

EDWARD ŁYSIAK

KRESOWA
OPOWIEŚĆ

Michał

TOM I

novaeres

E-book jest zabezpieczony znakiem wodnym

Edward Łysiak

Kresowa opowieść

Michał

Tom I

REDAKCJA: Zuzanna Gościcka-Miotk

KOREKTA: Aleksandra Tykarska

OKŁADKA: Paulina Radomska-Skierkowska

SKŁAD: Anita Szejder

© Edward Łysiak i Novae Res s.c. 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Wszelkie podobieństwo do realnych postaci i sytuacji jest całkowicie przypadkowe.

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-7722-876-0

NOVAE RES – WYDAWNICTWO INNOWACYJNE

al. Zwycięstwa 96 / 98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

Konwersja do formatu EPUB/MOBI:

Legimi Sp. z o.o. | Legimi.com

Dedykacja

Kresową opowieść dedykuję mieszkańcom Kresów II RP: Polakom, Ukraińcom, Żydom i Ormianom, których sąsiedzkie więzi w tragiczny sposób zerwały wydarzenia II wojny światowej, a także Łemkom, zmuszonym do opuszczenia swojej ojczystej ziemi.

Podziękowania

Kresowa opowieść w znacznej części opiera się na faktach. Choć osoby żyjące tam i wtedy są pierwowzorami wielu postaci występujących w powieści, to wszelkie podobieństwo do realnych postaci i sytuacji jest całkowicie przypadkowe.

Dziękuję:

Tobie, Żołnierzu Istrebitelnego Batalionu, który chciałeś pozostać anonimowym człowiekiem. Twoja odwaga uratowała wielu ludzi i chociaż odszedłeś od nas kilka lat temu, to żyjesz na kartach powieści jako Michał.

Tobie, Krzysiu. Twoja wiedza o tamtym czasie i zaangażowanie w tworzenie fabuły powieści bardzo mi pomogły i, o czym jestem przekonany, uczyniły ją bardziej atrakcyjną.

Mamie i Babci za zaszczepienie miłości do Ziemi, na której się urodziły, oraz wdzięczności dla Ukraińców, którzy uratowali im życie.

Żonie Wandzie oraz synom Rafałowi i Tomaszowi za wsparcie i wyrozumiałość.

Panu Janowi Sitnikowi. Pana zeszyt ze słowami piosenek śpiewanych wtedy przez Polaków i Ukraińców był bezcennym źródłem informacji, a pomocy w wyjaśnianiu wątpliwości nigdy Pan nie odmawiał.

Romanie Obrockiej za poniesiony trud przy realizacji projektu „Łączy nas wspólna historia” i wiele pozytywnych emocji, jakich dostarczyły razem organizowane wyjazdy na Ukrainę.

Sylwii Frołow za wprowadzanie w tajniki warsztatu pisarskiego i czas poświęcony na ich praktyczne wykorzystanie w powieści.

Ponadto dziękuję Pawłowi Misiorkowi, Dorocie Lutek, Klaudii Maślej-Feluś, Beacie Dżon, Elżbiecie Burgier, Bolesławowi Gruberskiemu, Rozalii Pleszewie, Marii Więcek, Józefowi Skowronowi oraz wielu innym osobom. Bez Waszej pomocy *Kresowa opowieść* nigdy nie uzyskałaby obecnej postaci.

Rok 2010, Wrocław

Siedziałem w kaplicy na jednym z wrocławskich cmentarzy. Młde światło ściennych lamp wypełniało przestrzeń dziesiątkami rozmytych cieni, a zapachy kwiatów, świerkowych wieńców i palących się świec tworzyły charakterystyczną oprawę dla zbliżającej się ceremonii. W ławkach były tylko dwie kobiety. Głowę młodszej, z wyglądu dwudziestopięcioletniej, zdobił kapelusz z szerokim rondem i woalką. Proste rude włosy dotykały jej ramion. Starsza, na pozór mniej atrakcyjna, od razu zwróciła moją uwagę. Organista ćwiczył pojedyncze akordy żałobnej pieśni, kiedy nagle ona podeszła do mnie.

– To pogrzeb moich dziadków – szepnęła. – Pan ma aparat fotograficzny, a ja chciałabym mieć zdjęcia z tego pogrzebu – uśmiechnęła się smutno, podała wizytówkę i wróciła na miejsce.

Przed końcem ceremonii opuściłem kaplicę. W bramie minąłem się z trzema nieznanymi mi osobami. Pięćdziesięcioletni mężczyzna miał na sobie granatowe dżinsy i marynarkę, drobna, czterdziestoletnia blondynka legginsy i tunikę, a kilka lat od niej młodszy mężczyzna niósł aparat fotograficzny przerzucony przez ramię. Wsiadając do samochodu zobaczyłem ich ponownie. Szli powoli za skromnym dwuosobowym konduktem.

Wracając do domu dziękowałem Bogu, że przed jego śmiercią mogłem z nim porozmawiać i nakłonić do opowiedzenia o jakże burzliwym życiu.

Było ich sześciu. Fedor Primak, Izaak Wise i on urodzili się w roku 1919, Roman Dywczuk i Stiepan Pawłyczko rok później, a jego brat Grzegorz – w roku 1922. On i brat byli Polakami, Izaak – Żydem, a Fedor, Roman i Stiepan – Ukraińcami.

Jako młodzi chłopcy chodzili do tej samej szkoły, wypasali bydło na zielonych od wczesnej wiosny do późnej jesieni pastwiskach i pastewnikach, które miejscowa ludność nazywała tołoką, i buszowali w gęstych zaroślach, porastających meandryczne koryto Czeremoszu.

W miarę dorastania ich wspólne drogi coraz bardziej się rozchodziły, a kiedy się ponownie spotkały, nie były już drogami dziecięcej i młodzieńczej przyjaźni.

Po powrocie do domu włączyłem komputer i sięgnąłem po wizytówkę

tajemniczej dziewczyny. „Dorota Woroniecka, tłumacz języka rosyjskiego i ukraińskiego” – przeczytałem. Mieszkała w Trzebnicy, a na wizytówce był podany jej adres e-mailowy.

Uruchomiłem aplikację obsługującą mojego Olympusa i skopiowałem zdjęcia do komputera. Wybrałem funkcję przeglądania plików graficznych i na ekranie monitora pojawił się katafalk z czerwonym suknem i dwiema urnami – białą i brązową. Obok urn stał oparty o ścianę drewniany krzyż z dwiema tabliczkami. „Julia Jakubowska z domu Pakosz i Michał Jakubowski” – przeczytałem.

Ich małżeństwo trwało ponad sześćdziesiąt lat, ale każde z nich zabrało do grobu sobie tylko znaną tajemnicę. Pewnie byłoby inaczej, gdyby podczas wojny los nie zetknął ich z Izaakiem.

Michał, Julia i Izaak – to o nich jest ta opowieść.

Rybaki leżały w trójkącie między łańcuchem górskim Karpat i rzekami Prut oraz Czeremosz. Do tej drugiej rzeki wieś przylegała całą swoją długością, wynoszącą około pięciu kilometrów. Miejscowość znajdowała się blisko Kut, które usadowiły się u samego podnóża Karpat i były sennym miasteczkiem, liczącym ponad cztery tysiące mieszkańców, z czego połowę stanowili Żydzi. Polaków i Ukraińców mieszkało w Kutach mniej więcej tyle samo, była też duża społeczność ormiańska. W Kutach żyły cztery społeczności, znajdowały się tam więc cztery domy boże – synagoga, kościół rzymskokatolicki, cerkiew greckokatolicka i kościół ormiański.

Czeremosz był rzeką graniczną, oddzielającą Polskę od rumuńskiej Bukowiny. Na wysokości Kut, po jego drugiej stronie, leżała rumuńska Wyżnica. Oba miasteczka łączył drewniany most drogowo-kolejowy, zbudowany przez polskich saperów w 1930 roku. Wsparto go na dwudziestu podporach, zabezpieczonych ostrogami przed lodem i tym wszystkim, co podczas licznych powodzi niósł ze sobą wzburzony Czeremosz.

Na zachód od Kut, w mocno zalesionych górach, wzdłuż strumienia wypływającego spod Krzywego Gronia i wpadającego do Czeremoszu, leżała wieś Paliwka. Niedaleko miejsca, w którym płynący od południa Biały Czeremosz łączył się z płynącym z zachodu Czarnym Czeremoszem, znajdowała się osada Berezka. Obie te miejscowości, których zwarta

zabudowa wzdłuż górskich strumieni przechodziła niezauważenie w luźno rozrzucone po całej okolicy pojedyncze domostwa, zamieszkiwali głównie Huculi.

Wiele potoków górskich po zachodniej stronie Połonin Hryniawskich łączyło się w Czarny, a po wschodniej w Biały Czeremosz. Obie te rzeki opływały Połoniny Hryniawskie z wysokimi szczytami, nazywanymi się Baba Lodowa, Skupowa i Rozticki, i łączyły w głębi Karpat w miejscowości Uściryki w jeden groźny i piękny Czeremosz, będący typową spławną rzeką górską średniej wielkości. Początkowo płynął on wielkimi zakrętami i spadami między wysokimi skałami i dużymi kamieniami aż do podnóża gór karpackich. W tym miejscu opuszczając skaliste górskie okowy, przełomem wypływał na teren równinny o małym spadzie poziomym, lecz wystarczającym do szybkiego ruchu wód i wartkiego nurtu. Toczył się szerokim korytem, nieregulowanym i przez to zmieniającym się, aż do rzeki Prut poniżej Śniatynia i dalej już jako Prut, przez Rumunię do Dunaju i Morza Czarnego.

Poziom wód Czeremoszu zmieniał się w zależności od pory roku, a jeszcze częściej od pogody. Zwykle kilkakrotnie od wiosny do jesieni występowały wielkie i groźne powodzie. Przynosiły one straty, cierpienie i śmierć. Charakterystyczne było to, że przybór ogromnych mas wodnych następował bardzo szybko, prawie natychmiast. Pędzące ze strasznym hukiem olbrzymie wały wodne zalewały wszystkie niżej położone pola i domy na szerokości dwóch, czasem trzech kilometrów. Bardzo groźnie to zjawisko wyglądało – prawdziwe morze brudnej wody rwącej wszystko i niszczącej to, co na napotykało na swojej drodze. Równie szybko, jak napływały te masy wodne, tak też ustępowały i już po dwóch dniach zostawały tylko olbrzymie spustoszenia i ślady po powodzi. Sama rzeka wracała do swojego koryta, bardzo często zmieniającego poprzednie miejsce, żeby w następnych kilku dniach zamienić się ponownie w małowniczą, niegroźną i czystą jak łąza rzekę o podłożu kamienistym.

Przez całe stulecia Czeremosz, który nie miał uregulowanego koryta, podmywał, zabierał i unosił ze sobą olbrzymie masy ziemi z miękkich nizinnych terenów, wyrządzając ogromne szkody. Sama rzeka, przypominająca podczas suszy leniwy strumyczek, zamieniła szeroki pas ziemi wzdłuż swojego koryta w mało korzystne i mało dochodowe, za to często zalewane i zamulane pastwiska, porośnięte olszyną, topolami,

wierzby i wikliną. Większe drzewa napotykało się wyłącznie w pobliżu brzegów pól, tam gdzie napór wód był mniejszy, natomiast bliżej rzeki rosła tylko gęsta wiklina. Dużo miejsca zajmowały kamieniste wysepki i piaski oraz namuły, porośnięte jedynie krzakami i rzadkimi, wysokimi kępami bezużytecznej trawy. Miejscowi nazywali je pastewnikami.

Kiedy się pominie olbrzymie straty gospodarcze i niepokoje ludzkie, to sam widok tej szerokiej doliny z majestatycznie płynącą środkiem rzeką, czystą i rybną, rozlewającą się w liczne maleńkie potoczki, które następnie znowu wpadały do rzeki, wyglądał bardzo uroczo. Dużo piękna dodawały tej dolinie wielkie, gęste i zielone pastewniki. Najładniej było wiosną, kiedy gnieźdzące się tam stada ptaków, szczególnie słowików, wprost spać nie dawały nocami. Bujna zieleń drzew, krzewów, trawy i ziół oraz kwiatów przechodziła w kolor ciemny i dosłownie rozpierała się w swoim rozwoju. Sprzyjały temu wszechobecna wilgoć, żyzność namułów powodziowych oraz ciepły mikroklimat doliny Czeremoszu.

Nadejście powodzi można było łatwo przewidzieć, obserwując olbrzymie ciemne chmury i pioruny nad Karpatami. To zawsze był znak, że już wkrótce pojawi się wielka woda. Kiedy tak się stało, wszyscy ludzie z Rybak wychodzili na brzeg, nawet ci z domów położonych daleko od rzeki. Stali i z bezpiecznej odległości obserwowali ogrom i niszczącą siłę najgroźniejszego ze wszystkich żywiołów.

Czeremosz zawsze wywierał wielki wpływ na Rybaki. Wpływ większy niż na inne wioski, z uwagi na jej wyjątkowe położenie w stosunku do koryta rzeki. Dawno temu pierwszy rząd domów, ciągnący się przez całą wieś, powstał nad brzegiem Czeremoszu i został nazwany *chati nad bieregom*. Dopiero później, kiedy rzeka, podmywając coraz bardziej brzegi, zaczęła zagrażać tym domom, ich właściciele musieli je rozebrać i przenieść na inne miejsce. W ten sposób powstał drugi rząd domów, przy drodze nazywanej cerkiewną dlatego, że w bezpiecznej odległości od Czeremoszu, pośrodku wsi, stała greckokatolicka cerkiew.

Trzecim, jeszcze późniejszym rzędem domów były te, które zbudowano przy gościńcu, czyli przy jedynej utwardzonej i nieco szerszej drodze, łączącej Kuty ze Śniatyniem.

Przez Rybaki płynęła też mała rzeczulka o nazwie Ulica, zupełnie nieciekawa i bez charakteru. Nad nią także pobudowano chaty, które

nazwano *chati nad Ulicą* oraz *chati za Ulicą*. W szczerym polu, bez dobrej dojazdowej drogi, wybudowano osiedle rozrzuconych zagród, które mieszkańcy nazwali *Caryni*. Domy te były bardzo odległe od rzeki, co z powodu ścisłej symbiozy Rybak i Czeremoszu czyniło ich położenie najbardziej niekorzystnym.

Znaczenie rzeki dla mieszkańców Rybak zawsze było ogromne. Czeremosz pozwalał tanim kosztem hodować bydło i owce, które wypasano na pastwiskach pastwników i łęgów doliny rzecznej od najwcześniejszej wiosny do późnej jesieni. Latem należało się zatroszczyć jedynie o paszę na cztery zimowe miesiące. Drewna na opał dostarczały pastwniki i łęgi gminne oraz powodzie, które znosiły z gór olbrzymie ilości różnego suszu drzewnego, nazywanego *plawienia*. Były to zarówno całe olbrzymie drzewa, jak i drobne trzaski połamanych konarów. Już tylko od fizycznej siły i zaradności mieszkańców zależało, do kogo trafiały różne rodzaje *plawienia*, bo wystarczało go dla wszystkich. Najstarsi i najślabi, kobiety i dzieci znosiły w workach do swoich domostw małe kawałki drewna wygładzone przez wodę i kamienie. Silniejsi brali się za duże pnie i konary.

Jesienią gmina za symboliczną opłatą przydzielała każdemu *orszlagi*, czyli nieduże kawałki łęgów, pastwisk lub pastwników nad rzeką, do wycinania drzew i grubej wikliny. Przydziału dokonywali i wyrąb nadzorowali *pobereźnicy* gminni.

Czeremosz za darmo dostarczał budulca na domy i zagrody. Ludzie gromadzili go przez lata, cięli piłami i ociosywali siekierami, aby w końcu postawić sobie nowy, zdrowy drewniany dom i zabudowania gospodarcze. Kiedy tylko mocno ściemniło się niebo nad górami, kiedy rozlegały się potężne grzmoty, a błyskawice rozświetlały niebo, mieszkańcy wsi przygotowywali się do zbierania budulca, a wybór był ogromny. Suche kłocę świerkowe różnej grubości, proste i gładkie jak świece, zalegały po opadnięciu wody na całym terenie koryta powodziowego. Były kłocę znakowane i bez znaków, państwowe i prywatnych firm, polskie i rumuńskie. Wszystko zabierał Czeremosz z wielkich stert drzewnych, przygotowanych zimą do zbijania tratw zwanych *darabami* i spławianych do nizinnych tartaków – *traczek*. Rzeka nie miała też litości dla płynących już lub gotowych do wypłynięcia olbrzymich tratw – *splawów*, które rozrywała z wielką łatwością. Mieszkańcy Rybak musieli się w takim przypadku wykazać siłą i sprytem, aby przetransportować i ukryć koło domu, na pastwiskach czy

w łęgach, dostarczone za darmo drewno.

Rozwinięte było rybołówstwo, które zaopatrywało wioskę w najsmaczniejszą rzeczną rybę z gatunku pstrąga, łososia, hołowacza, mereny, klenia, szpela, pidustwy, mareńczuka, czipa i drobnej, ale najsmaczniejszej ryby, z wyrośnicą na czele. Wyrośnica była pierwszą zdobyczą najmłodszych, bo tylko trzyletnich rybaków.

Niezależnie od pory roku, pranie bielizny odbywało się wyłącznie na rzece, nawet w najsroźsze zimy, największe mrozy i zamiecie. Tuż pod brzegiem była mała, czysta i przezroczysta jak szkło woda zwana *nora*, która nigdy w zimie nie zamarzała, a w lecie była tak zimna, że aż szczypiąca. Ryba w niej była najprzedniejsza. Do tej nory zimą ściągaly sanki z praczkami, nawet z sąsiednich wiosek, bo to i woda była ciepła, że aż para z niej buchala, i teren osłonięty przed wiatrem i zimnem. Od rana do wieczora slychać było tylko trzaskanie prannika drewnianego o drewnianą ławę z bielizną.

Ważna była kąpiel latem – podczas gorąca i trudu ciężkiej pracy polowej. Rzeka, czysta, z wodą wprost pachnącą, nieskażoną najmniejszym ściekiem miastowym czy fabrycznym, orzeźwiała. Na brzegu lub w łęgu można było odpocząć i przespać się na gorącym piasku. Mieszkańcy wsi po trudach całodziennych prac lub podczas niedzielnego odpoczynku po nabożeństwie w cerkwi cieszyli się i rozkoszowali oddychaniem tym powietrzem pachnącym zielonymi pastewnikami i rzeką. Łęgi nad Czeremoszem były przytulnym, przyjemnym i skrytym przed okiem plotkarzy i zazdrośników miejscem schadzek młodych zakochanych ludzi. To tutaj spotykali się mężowie i żony ze swoimi kochankami w niecnym celu dokonywania zdrady małżeńskiej.

Dla odważnych przemysłowców był Czeremosz źródłem dobrego zarobku, ale nieraz i miejscem śmierci. Na przestrzeni czasów działy się na rzece różne tragedie. Topili się w niej ludzie, często młodzi, bo też była ona bardzo zdradliwa. Często między brodem a wirem różnica okazywała się nieznaczna. Trzeba było przy Czeremoszu, a nawet w nim wyrosnąć, aby go poznać i czuć się jak u siebie w domu. Jednym słowem była ta rzeka dla Rybak i groźnym żywiołem, niosącym ogromne szkody, ale była też płucami i spichlerzem tej wioski. Nic więc dziwnego, że związane były z nim różne legendy i pieśni.

Ukraińcy tak śpiewali:

Werchowyno, switku ty nasz,
Oj, jak u tebe tam myło.
Jak ihry wid pływe tut czas
Swobidno, szumno, weselo.
Oj, ne ma to kraju, kraju nad tu Werchowynu,
Pusty, maty, pohulaty chot' odnu hodynu.
Oj, ne ma to kraju, kraju nad tu Werchowynu,
Pusty, maty, pohulaty chot' odnu hodynu.
Z wercha na werch, a z boru w bir
Z lękoju w serci dumkoju.
W czeresi kris, w rukach topir,
Bujaje lehin' toboju.
Czeremosze, Czeremosze, czysta twoja woda,
Diwczynońko z Werchowyny, jakaż twoja wroda.
Czeremosze, Czeremosze, czysta twoja woda,
Diwczynońko z Werchowyny, jakaż twoja wroda.
Tam pan ne kław, lancuchom meż,
Czużyj ne stanuw stopoju.
Wilnaja tut zemli odeż,
Bujaje lehiń toboju.
Jak zaszumyt' kołomyjka, watah zahulaje,
Czornobrywu diwczynońku kruhom obertaje.
Jak zaszumyt' kołomyjka, watah zahulaje,
Czornobrywu diwczynońku kruhom obertaje.
Litom ciłym, by nicz by deń,
Chłopci bujajut tut naszi.
Wilnaja tut zemli odeż,
Dostatkom lisa i paszi.
Zadudniły siromachi, w połonyni czuty,
Buwaj, luba diwczynońko, ja idu w rekruty.
Zadudniły siromachi, w połonyni czuty,
Buwaj, luba diwczynońko, ja idu w rekruty.
Ne wabit' nas barysziw łest',
Koby łysz poroch ta ciwka.
U ludyj swit, u Boha czest',
Ta owec turma sopilka.
Jak ja idu w połonynu taj oweczki hnaju,

*Rankom hraju na sopiłci, weczirom spiwaju.
Jak ja idu w połonynu taj oweczki hnaju,
Rankom hraju na sopiłci, weczirom spiwaju.
Ta koby pyrs chrebet u wid,
Ta medwid'szybnów lisamy.
Zawijaw juh, zahraw Beskid,
Czeremosz huknów skałamy.
A ja teje diwcza liubliu, szczo biłe jak husia,
Wono mene pocituje, skilki obernusia.
A ja teje diwcza liubliu, szczo biłe jak husia,
Wono mene pocituje, skilki obernusia.
Tam to brenyt' trembity zwuk,
Szebecze liubo sopiłka.
A jak zwirja zawyje zwuk,
W czelusty pliune mu ciwka.
A ja chodžu taj spiwaju, taj sobi dumaju,
Ne ma kraszczych spiwanoczok jak u naszym kraju.
A ja chodžu taj spiwaju, taj sobi dumaju
Ne ma kraszczych spiwanoczok jak u naszym kraju [1].*

Na tę samą melodię wtórowali im Polacy:

*Czerwony pas, za pasem broń
I topór, co błyska z dala,
Wesoła myśl, swobodna dłoń -
To strój, to życie górala!
Tam szum Prutu, Czeremoszu Hucułom przygrywa,
A wesoła kołomyjka do tańca porywa.
Dla Hucuła nie ma życia jak na połoninie.
Gdy go losy w doły rzucą, wnet z tęsknoty ginie.
Gdy świeży liść okryje buk
I Czarna Góra szernieje,
Niech dzwoni flet, niech ryczy róg,
Odżyły nasze nadzieje!
Tam szum Prutu, Czeremoszu...
Pękł rzeki grzbiet, popłynął lód,
Czeremosz szumi po skale,
Nuż w dobry czas kędziory trzód.*

*Weseli kapcie górale!
Tam szum Prutu, Czeremoszu...
Połonin step na szczytach gór,
Tam trawa w pas się podnosi,
Tam ciasnych miedz nie ciągnie sznur,
Tam żaden pan ich nie kosi.
Tam szum Prutu, Czeremoszu...
Dla waszych trzód tam paszy dość,
Tam niech się mnożą bogato!
Tam runom ich pozwólcie rósć,
Tam idźcie na całe lato.
Tam szum Prutu, Czeremoszu...
A gdy już mróz posrebrzy las,
Ładujcie ostrożnie konie,
Wy z plonem swym witajcie nas,
My z czarką podamy dłonie.
Tam szum Prutu, Czeremoszu...*

Było jeszcze wiele innych, podobnych piosenek na temat tej wyjątkowej rzeki.

Uroku temu zakątkowi ziemi nadawały pobliskie Karpaty, schodzące od potężnych szczytów Czarnogóry poprzez urokliwe i zalesione pasma Bukowca i Gór Sokolskich do pagórków i równin zamkniętych przez Prut i Czeremosz. Osłaniały równinę przed letnimi upałami i zimowymi mroźnymi wiatrami. Panował tam dzięki temu specyficzny mikroklimat, sprzyjający uprawie warzyw, a przede wszystkim sadownictwu, łącznie z hodowlą wrażliwych na mrozy orzechów włoskich, moreli i brzoskwiń. Ziemie były urodzajne i lekkie w uprawie, chociaż nie tak żyzne jak podolskie pszenno-buraczane czarnoziemy.

Kuty, Kosów i Wyżnica dotykały wprost Karpat. Z Owidiusza, górującego nad Kutami, można było upajać się rozległym i pięknym widokiem całej okolicy. Do samego miasteczka przylegała od północy duża wioska – Stare Kuty. W dawnych czasach przebiegał tędy jeden z głównych szlaków handlowych. Ze wschodu na zachód wzdłuż górskiego koryta Czeremoszu wędrowali przez Karpaty kupcy, przeważnie Ormianie, z różnymi cennymi towarami Wschodu. Nie była to droga dobra dla wozów i nie była to droga ani łatwa, ani bezpieczna. Towary i ludzi przewożono, a

raczej przenoszono na grzbietach małych, zgrabnych i wytrzymałych koników.

Góry w tej okolicy były pokryte dużymi i gęstymi świerkowymi masywami leśnymi.

Najbliżej Czeremoszu były pola uprawne, na których siało się owies i sadziło ziemniaki. Wyżej położone tereny, wolne od lasów, wykorzystywano jako pastwiska. Rozległe powierzchnie górskich zboczy grodzono płotami z ułożonych równoległe do ziemi długich świerkowych żerdzi. Połoniny porośnięte szlachetną, gęstą i słodką trawą były koszone na siano – jedyną i bardzo odżywczą karmę dla zwierząt na długi okres zimy.

Paliwka i Berezka, stykające się z Czeremoszem, miały zagrody luźno porozrzucane po okolicznych wzgórzach, ale inne wioski coraz śmieiej i wyżej zagłębiały się w półdzikie jeszcze Karpaty.

Tam gdzie nie było już huculskich zagród, rosły jeszcze świerkowe lasy, ale i one na pewnej wysokości się kończyły, ustępując miejsca rozległym połoninom bez drzew i krzewów, spadającym to łagodnie, to znowu stromo w różnych kierunkach. Połoniny porastała tak gęsta i niska trawa, że wystarczyło zamknąć oczy i uwolnić wodze wyobraźni, aby odnieść wrażenie stąpania po puszystym perskim dywanie. Połoniny wyrastały często z głębokich jarów z małymi i rwącymi potokami górskimi bez ryb, z brzegami porośniętymi gęstą i wysoką, nigdy niewycinaną świerczyną, w której stare drzewa kończyły swój żywot podobnie jak ludzie. Drzewa te padały i mimo, że były doskonałym materiałem budowlanym, to nikt ich nie sprzątał, bo było stromo i niebezpiecznie. Gniły więc, a na nich wyrastały nowe świerczki i szumiały na wietrze, przekomarzając się z szumem górskich potoków. Tak było po polskiej stronie Czeremoszu i po rumuńskiej. Tak było i dalej za Hryniawą, skąd już blisko do węgierskiej granicy.

Począwszy od Hryniawy, droga zwężała się coraz bardziej, aby po dziesięciu kilometrach przejść w ścieżkę prowadzącą hen, aż na Węgry. W tym miejscu, w którym droga przechodziła w ścieżkę, w lewo odbijała inna mała ścieżka i pięła się bardzo stromo i wysoko przez lasy nieprzejrzone w górę i w górę. Trzeba było iść tylko pieszo od rana aż do popołudnia, pod stromą górę Kozubejkę, aby wyjść na połoniny. Po drodze nie spotykało się już ani zabudowań, ani ludzi, a po wyjściu na najwyższe partie górskie, czyli połoniny, w słoneczny dzień widać było majestatyczny widok, jak okiem

sięgnąć, hal połonińskich i nieba. Tych połonin o obszarach od stu do kilkuset hektarów, poprzedzielanych od siebie głębokimi lesistymi jarami, było bardzo dużo, a każda miała swoją nazwę i właściciela – Dugonia, Mokryniec, Pliwie, Cziwczen, Pochrebline. Wykorzystywano je do letniego wypasu licznych stad bydła i owiec.

W Hryniawie mieściło się duże nadleśnictwo państwowe, już ostatnie nad Czeremoszem i najgłębiej w górach położone. Zimową porą wykonywano tam wielkie prace zwózki, a raczej spuszczenia i ściągania drewna w dolinę Czeremoszu, aby w okresie wiosenno-letnim spławić je w dół rzeki do tartaków i w pobliże stacji kolejowej. Latem drwale dokonywali ścinania i korowania świerków, a zimą suche drewno poślizgiem spuszczały żlebami po zamrożonych spadzistych górskich potoczkach, a gdzie i to było niemożliwe, zatrudniano do tego wozaków, tak zwanych cugów. Wyjeżdżali oni daleko od swoich domów w góry na całą zimę z małymi, krępyimi i silnymi konikami, aby zarobić trochę pieniędzy w ciężkich zimowych warunkach, przy bardzo ryzykownej, niebezpiecznej dla zdrowia i życia pracy zwózkowej. Używali do tego celu małych, niskich, ale bardzo mocnych okutych sań, zwanych *biridiukami*. Nadleśnictwa przygotowywały dla nich i dla koni zimowe, niewygodne pomieszczenia i umożliwiały im nabycie zgodnie z umową owsa i siana dla koni oraz żywności dla ludzi.

Zimowymi wieczorami, utrudzeni całodzienną pracą drwale, grzejąc się przy rozpalonym w zimowiku ognisku i tęskniąc za żonami i dziewczynami, tak śpiewali:

*Sonni hory nicz nakryła, połonynu wsiiu zmanila,
Niżnu czeredu pestyla. Mołodyj wiwczar ne spaw.
Win w cij rianisznij hodyni baczyw Kseniu w połonyni
I u cij hirskij hodyni pro kochanja jii spiwaw.
Hucułko Kseniu, ja tobi na trembiti
Łysz odnij na cim switi pro swij żal rozkażu.
Dusza stradaje zwuk trembity łunaje,
A szczo serce kochaje, ne rozkażut' usta.
Tycho spereszys' na woryni win dywywsia w oczy syni
I u cij hirskij hodyni sumno na trembiti hraw.
Hucułko Kseniu...
Nadijszło horiacze lito, hucuł Kseniu liubyt' skryto,*

A hucułku czornobrywu win ostannij raz proszczaw.

Hucułko Kseniu...

W Czeremoszu hrajut chwyli, sumowały oczy syni,

Tilki witer na sosyni sumno pisniu prowiwaw.

Hucułko Kseniu... [2]

Z nastaniem wiosny i roztopieniem się śniegu kończono wielkie prace *cugu*, a nad Czeremoszem piętrzyły się olbrzymie *megły* [3] różnego drewna pierwszej jakości. Rozpoczynała się praca przygotowywania i spławiania drewna. Po obfitych opadach wzburzony Czeremosz porывał z tych megieł i placów oraz z potoków i rzek wielkie ilości drewna i niósł je w dół aż do Rybak i jeszcze dalej.

Historia tej ziemi była bardzo burzliwa. Kiedyś nazywała się ona Rusią Czerwieńską lub Grodami Czerwieńskimi. Władali nią książęta ruscy z Halicza i Lwowa, a mieszkająca tutaj ludność nazywała się Rusinami. Grabili tę ziemię i Tatarzy, i Turcy. Ich hordy przychodziły i odchodziły, a Rusini wyrosli z tej ziemi i w nią wrosli, trwali, mimo doznawanych krzywd i zadawanych im strat. Dalej na wschód, nad Dniestrem w pobliżu Horodenki na południowym stoku łagodnego wzgórza, jest wioska, w której wiele rodzin ukraińskich ma typowe tureckie nazwiska, a wielu ludzi – tureckie rysy twarzy. Dziewczęta mają ciemną cerę, czarne oczy i mocno czarne włosy. Są wysokie i smukłe, charakterystycznie się ubierają i nawet chodzą inaczej niż mieszkanki z sąsiednich wiosek. Ludzie we wsi, zachęcani do rozmowy, nie kryją, że ich przodkowie przybyli na te ziemie podczas najazdów tureckich, ale dzisiaj oni czują się już Ukraińcami i z mowy, i z wyznawanej religii.

Ziemię tę otrzymał w drodze spadku w XIV wieku polski władca Kazimierz Wielki, ale przyłączył je do królestwa w następstwie zbrojnej wyprawy. Polska panowała tu do czasu rozbiorów, a później przyszli Austriacy.

Ludzie byli tutaj prości i gościnni, wyznający religię chrześcijańską obrządku greckokatolickiego. Cerkiewne nabożeństwa odprawiano według tego obrządku, ale kazania wygłaszano po rusińsku. Wsie były małe i rzadko zabudowane, a cerkwie znajdowały się tylko w niektórych z nich. Szkół nie stawiano, więc jedyne źródło nauki i wychowania stanowili rodzice, starsi szanowani ludzie oraz księża i ich kazania cerkiewne.

Sposób życia i gospodarowania przejmowano od przodków. Przyuczano się do tego od samego dzieciństwa, pracując ciężko i długo. Wielkimi zaletami i cnotami wychowawczymi były spokojne i wzorowe zachowanie się młodych oraz ich szacunek do rodziców i ludzi starszych.

W codziennym życiu przetrwały zwyczaje, przesady, zabobony i obrzędy z czasów pogańskich. Pilnowano, aby w dniu piątego maja wszystkie furtki, bramy i wejścia do zagrody były obłożone darnią trawy pociętej w cegiełki z powtykanymi gałązkami tarniny. Miało to chronić krowy przed nadejściem wiedźm w celu odebrania mleka w nocy z piątego na szósteo maja – w dzień świętego Jurija. Dla ogrzania zmarłych przodków przed świętami wielkanocnymi, w Wielki Czwartek, zwany tam *Rewnyj Czetwer*, blisko zagród palono wieczorem wielkie ogniska – *hritiem dida* – *grijut dida*. Na porządku dziennym były wróżby, przemówienia i zamówienia. W połączeniu z różnymi ziołami stosowano je przy wszystkich chorobach jako jedyny sposób leczenia.

W każdej wiosce było kilka, a nawet kilkanaście osób – mężczyzn, ale przeważnie kobiet, najczęściej biednych i wyróżniających się szpetotą lub kalectwem. Uważano je za *złe na przechód*. Nie daj Boże, aby taka osoba zdążyła w jakiejś potrzebie w kierunku domu, z którego ktoś gdzieś się wybierał, na przykład do miasta coś załatwić, sprzedać albo kupić, a już prawdziwa tragedia była, jak szedł na rozprawę sądową.

Były osoby *złe na oczy*. Nie daj Boże, aby zobaczyły coś ładnego lub szczególnego u zwierząt domowych, ludzi lub dzieci – wtedy już groziła choroba, a nawet śmierć.

Wierzono, że nic dobrego nie może się przydarzyć, jeżeli ktoś przejdzie drogę z próżnymi wiadrami, wędrując do studni czy strumyka po wodę. Wierzono także w powodzenie wszystkich spraw, kiedy drogę przeszedł ktoś z wiadrami pełnymi wody. Z tego powodu często jeden z domowników celowo przechodził drogę z wiadrami pełnymi wody przed wybierającym się gdzieś innym członkiem rodziny. Kiedy czarny kot przebiegł drogę, też trzeba było z niej zawracać.

Był człowiek odwracający grad – *widwiertoje grad*, chroniący uprawy polowe przed klęską gradobicia. Raz w roku po żniwach i młockach chodził po miarki zboża od gospodarzy za wyświadczone przysługi. Działał w dwóch, czasem trzech wsiach, a kiedy w którymś miejscu silny grad jednak

przeszedł, to tam już się nie pojawiał. Ludziom mówił, że na ich wielkie nieszczęście jego w tym czasie nie było w domu. Gospodarze także sami potrafili obronić się przed gradem przez wyrzucanie łopaty lub *koczerhy*, czyli domowego sprzętu piekarniczego, albo ustawienie siekiery odwróconej ostrzem do góry w momencie zbliżania się ciemnej chmury, kiedy z deszczu zaczynał już padać grad.

Byli ludzie niezręczni i źli na rękę, *zlij na ruku*, od których nie warto było niczego kupować, gdyż strata była pewna. Przeciwnieństwem do nich byli ludzie bardzo poręczni, *dobri na ruku i spiszni*. Od nich wszystko warto było kupić, nawet gdyby w chwili nabycia wyglądało źle i okazało się bardzo drogie. Starano się celowo pożyczać od takich osób symbolicznego grosza na jakieś przedsięwzięcie – wtedy powodzenie było zapewnione. Ludziom poręcznym bez wahania udzielano nawet dużej pożyczki, a *nispisnim* odmawiano pomocy.

Wierzono, że samobójca, na przykład powiesielec lub potopielec, stale chodził i pokazywał się w miejscu śmierci oraz straszył nocami. Były zakątki, w których zawsze coś straszyło.

Diabeł, czyli *neczesta siła*, straszył na porządku nocnym, a nieraz nawet w samo południe, pod różnymi postaciami, bardzo często jako mała trąba powietrzna w bezwietrzną pogodę.

Osobną dziedzinę stanowiły wróżby i przesady z dziedziny miłości i ożenku dziewcząt oraz chłopców – szczególnie na Andrija oraz w wigilię Bożego Narodzenia. Wylewano wtedy roztopiony воск na wodę w misce i odgadywano, co się z tego uformuje. Uważnie patrzono, w którym kierunku pies zaszczeka pierwszy raz, bo tam dziewczyna wyjdzie za mąż. Liczono kołki w płocie i jaki wypadał jedenasty, taki miał być przyszły mąż, na przykład gruby i krótki albo cienki i długi, a już nie daj Boże krzywy.

To tylko znikoma część guślarstwa, zabobonów i przesądów, które przetrwały do drugiej wojny światowej. Im bardziej zamierchłe były czasy, tym tych praktyk było więcej. To prawie wyłącznie one kierowały ludzkim życiem.

Poważnymi sprawami były strach i całkowita bezbronność przed chorobami zakaźnymi i pomorami, zwanymi *morowym powietrzem*. O jednej takiej chorobie opowiadali starzy ludzie, a najwięcej dziadek Michała

Jakubowskiego ze strony matki. To były wprost niesamowite okropności. Pokazywali zbiorowe mogiły z czasów tej cholery, a dziadek dodatkowo mówił o swoim udziale w grzebaniu trupów. Opowiadał:

– Pościągaliśmy, przywlekli powrozami do wykopanego dołu trupy wszystkich domowników z któregoś domu. Wśród nich leżała jeszcze żywa, ale bardzo chora dziewczka, która zarażona tą cholera, miała umrzeć niechybnie. Więc mówimy między sobą, że ją razem z umarłymi zakopujemy. Ona w ryk, że nie chce, a była to, mimo choroby, silna i wyrośnięta dwudziestoletnia dziewczyna. To my ją za włosy i pięścią w głowę. Zawlekliśmy ją wszyscy do jamy i zakopali, tam już nie krzyczała. Ginęły całe rodziny i wsie. Wiersz tak ten pomór opisywał:

*Dżuma z łopatoju chodyła i grobowyszczyna ryła,
Ryła i trup trupom naczynjała, i so swjatymy ne spiwała.
Mow roza w czystim poli seło zelenije,
Nichto w nioho ne zachodyt', lysze witer wije
Taj roznosyt' żowte lystja po żowtomu poli.
I dowho wono zeleniło, poki ljudy z polja, taj nareszti ne
pustyły
Taj ne zapalyły seła toho zelenoho.
Skinilo, zotliło, popił witrom rozmachało i slidu ne stało
Z seła toho zelenoho.
Ot, take to liudiam hore dżuma wyprawljała [4].*

Zupełnie innego rodzaju obawy czyniła gruźlica, od której nie było ratunku, a którą nazywali tam *suchoti*. Tak bardzo ludzie się jej obawiali, że nawet nie wolno było wymówić słowa *suchoty* – wpierw mówiono: *suchi drowa w pieczy*, a potem przywoływano śmierć na nią w młodym wieku. W pieśniach tę chorobę opiewano jako śmierć z miłości do ukochanego chłopca czy dziewczyny.

*Ne na suchoty ja choruju, ne na suchoty ja umru,
Czerez ljubow swoho myłocho ja w siru zemlju spaty idu [5].*

Te różne zabobony, a zwłaszcza przesady, każące uznawać różne osoby za wiedźmy, czarownice złe na oczy, a już najgorzej na przechód, były bardzo wielkim utrapieniem wielu biednych i niewinnych ludzi, a nawet ich dzieci i rodzin. Piętnowano te nieszczęsne dusze, spychając je do kategorii

ludzi najgorszych w środowisku wiejskim, a nawet w okolicy. Wiele osób przysięgało, że na własne oczy widziało różne przypadki tych zjawisk lub znało je ze słyszenia.

Wystarczyło, by gospodarz miał dobrą krowę i bardzo oszczędnie zużywał mleko, aby mógł zrobić i sprzedać masło i śmietanę. Jednak to już wystarczało, aby sąsiedzi podejrzewali go o podbieranie mleka od cudzych zwierząt. Krowa, od której wiedźma odebrała mleko, często ryczała w jej kierunku, a przy dojeniu zamiast mleka wyciekała krew. Nie zastanawiano się, że zwierzę ryczy z głodu i z bólu, bo ma zapalenie wymienia. Radykalnym i drastycznym środkiem zaradczym było wtedy złowienie dużego pstrąga i wrzucenie żywego, wprost z wody, do mocno rozpalonego pieca chlebowego na rozżarzony węgiel drzewny. Wierzono, że kiedy pstrąg pękał, to równocześnie pękała krowa u wiedźmy, która odebrała mleko innej krowie, a mleko od tej pękniętej krowy zalewało podwórze u wiedźmy.

Jeżeli ktoś nie spał w noc świętego Jana, tylko chodził gdzieś po bocznych drogach i odludnych polach, mógł zobaczyć, jeśli miał szczęście, taką wiedźmę w postaci wielkiej, toczącej się, jasnej kuli.

Z początkiem XVIII wieku jedynymi zajęciami ludności rusińskiej były uprawa ziemi i hodowla bydła. Trzeba jednak podkreślić, że to, co wtedy nazywało się uprawą i hodowlą, było tylko ciężkim ryciem ziemi oraz trzymaniem bydła. Plony były bowiem bardzo niskie, a bydło mało produktywne. Do rycia ziemi jako narzędzi używali Rusini soch, a wołów jako siły pociągowej.

Całkowite zapotrzebowanie na żywność, bieliznę, odzież i obuwie oraz sprzęt i urządzenia domowe było zaspokajane wyłącznie we własnym zakresie. Wiele tych narzędzi przetrwało do czasów drugiej wojny światowej w formie znacznie ulepszonej.

Chaty budowano wyłącznie z drewna i poszywano żytnią słomą. Przeważnie składały się z jednej dużej izby mieszkalnej i dużej sieni, zwanej *choromi*. Stare chaty były kurne, natomiast nowo budowane miały już otwór w suficie zwany *kałła*, odprowadzający dym na strych, zwany *pid*, skąd różnymi szparami przy krokwiach wydostawał się na zewnątrz. Komina nie miał żaden dom. Nad sienią nie było strychu, tylko bezpośrednio dach. Dym wykorzystywano do konserwowania produktów żywnościowych, a szczególnie mięsa.

Szerokie i ciosane drewniane ławy były w izbie na długości dwóch całych ścian. Pod trzecią ścianą w rogu stał duży piec chlebowy, służący do gotowania potraw i pieczenia chleba. Góra pieca, jako miejsce bardzo ciepłe, pełniła funkcję łóżka do spania dla najstarszego w rodzinie albo dla obojga dziadków lub pradziadków. Od pieca do końca ściany stało jedno duże legowisko zwane *postiel*. Było to masywne rusztowanie drewniane, na którego wierzchu leżały luźno ułożone grube deski. Pod czwartą ścianą, tą od strony sieni, był kąt gospodyni domu. Na drewnianych kołkach wstawionych w ścianę leżały deski, tworząc półki zwane *policja*, niżej stała szeroka ławka drewniana – *relin*, służąca za miejsce do trzymania i zmywania naczyń. Pod nią były cebry i beczułki używane do karmienia bydła i trzody. Z boku, na frontowym miejscu, na kawałku deski, stały konewki z czystą wodą do picia i gotowania.

Naprzeciw drzwi, równolegle do dwóch ław pod ścianami, znajdował się duży ciosany drewniany stół, zbijany bez gwoździ, łączony na drewniane kołki nazywane *tebli*. Górna część stołu była odsuwana i wykonana w formie dużej półki przykrytej blatem z lżejszych desek. Pod tym blatem przechowywano różne podręczne rzeczy domowe: igły, nici, sznurki i świece. Przy stole od strony izby stała ruchoma ławka, nazywana *oslin*, na której zasiadano do stołu.

Cały dół *postielu* od strony izby był zakładany ruchomymi deskami, aż do samej góry do legowiska. To miejsce służyło jako schowek na zimę, a przechowywano tam przeważnie ziemniaki.

Często w narożniku pod ścianą od strony sieni wykopany był w izbie dół szalowany belkami, przykryty z wierzchu grubymi deskami, nazywanymi *brusi*, służący za podręczną piwnicę.

Ściany domu z zewnątrz były smarowane gliną i bielone. Sufit był robiony z grubych *brusów*, oparty na podwójnych silnych, ciosanych, kanciastych belkach i nazywał się *stiel*. Z wierzchniej strony, czyli od strychu, był smarowany gliną, natomiast w izbie był gładki drewniany. Podłóg nigdzie nie było, a tylko wyrównana nawierzchnia i ubita ziemia, zamiatana brzożową miotłą. Obowiązkowo w sobotę, a już zawsze przed świętami, gospodyni lub któraś z jej córek, a często z braku kobiet któryś z dobrych synów, smarował całą posadzkę łajnem krowim świeżym, jeszcze dymiącym. Rozcieńczano ten krowieniec w specjalnym drewnianym

cebrzyku i wylewano na ziemię z równoczesnym rozmiataniem. W ten sposób pokrywano cienką warstwą całą ziemną podłogę za pomocą miotły brzozej. Podłoga szybko wysychała, a ziemia przyjmowała ciemny kolor i uzyskiwała świeżość. Taka czynność usuwała kurz i przydawała powietrzu izby specyficznego zapachu, wcale nieśmierdzącego. Bardzo dużo takich izb przetrwało również do czasów drugiej wojny światowej. Stąd pochodziło powiedzenie Polaków przebywających tam na posadach, a pochodzących często z poznańskiego, że *wtedy u chłopca święto, kiedy gównem izbę maszczą*. Stanowiło to jakiś czasowy punkt odniesienia, bo kalendarz świąt greckokatolickich był inny.

Wyżej pod sufitem na całej długości ściany wisiały szerokie półki – *połyci*, z wąską deseczką boczną, zabezpieczającą przechowywane rzeczy przed spadaniem. Przy ścianie nad *postilą* umocowana była przędna odzież. Powyżej półek znajdowała się gładka belecza, umocowana do grubych belek specjalnymi uchwytami. Służyła ona do przerwania i przewieszania odzieży równo rzędem. Od tego powstała nazwa określająca komplet bielizny i odzieży letniej i zimowej, świątecznej, czyli nowej, dla mężczyzny czy kobiety, dla dziewczyny czy chłopca – rząd odzieży, *riad odiezi*. Kiedy biedniejszy chłopiec lub dziewczyna godzili się na roczną służbę u bogatego gospodarza, uzgadniali, jaki *riad odiezi* dostaną od niego. Wszystko wyszczególniali dokładnie, na przykład kożuszek bez rękawów, zwany kieptarem, gładki lub wyszywany, a często taki i taki. Przed wojną powoli *riad odiezi* był zastępowany przez pieniądze.

Gdy dziewczynka była jeszcze mała, obowiązkiem ojca, nazywanego *dedja*, było zrobienie drewnianej, zdobionej skrzyni z desek, pokrywanej i zamykanej, którą nazywano *kufier*. Składano w niej posag dla córki. Zadaniem matki, zwanej *nenja*, było dobrze tę skrzynię zapełnić, zanim dziewczynka dorośnie do wesela. To była praca mrówcza, zajmująca wiele zim i wymagająca wielu rąk, ale przy tym bardzo przyjemna. Przygotowywaniu posagu towarzyszyło wiele obrzędów i pieśni na wieczornicach zimowych, zwanych tołokami. Muzyka, tańce, śpiewanie od północy aż do rana, podszcypywanie dziewcząt i ich głośne *wiwkanie*, odprowadzanie do domów późną nocą lub nad ranem – z tym wszystkim kojarzona była owa tradycja.

Modne były bójki między chłopcami o ładniejszą, bogatszą i gospodarną dziewczynę. Uczestniczyło w nich po każdej ze stron liczne towarzystwo.

Efekty tych walk były często widoczne. Rozbita głowa stanowiła powód do dumy, ale też czasem tracono w bójkach zdrowie, i to już na całe życie.

W sieni domu stały beczki z przechowywanym zbożem i duże, proste skrzynie drewniane, zwane *hambar*, służące również do tego celu. Wielkość *hambara* była zależna od zamożności gospodarza.

Drzwi były proste, spod siekiery, robione ze zbitych desek, z zawiasami i zamkami drewnianymi, mocno skrzypiącymi, okienka – małe i nieotwierane.

Tak wyglądały prawie wszystkie domy. Różniły się jedynie wielkością, w zależności od liczebności rodziny i zamożności gospodarza. Z czasem zaczęto stopniowo poprawiać i ulepszać chaty, ale nie zmieniano ich zasadniczo. Większe domy budowano w ten sposób, że pośrodku była duża sień, tak jak dotąd, ale po obu jej stronach przygotowywano już dwie duże izby, jedną do używania na co dzień, a drugą wykorzystywaną tylko od święta, czyli dla gości i na uroczystości. Sień często przedzielano ścianą z drzwiami; to pomieszczenie służyło za komorę. W późniejszym czasie z komory wyprowadzano dwoje drzwi do tak zwanego poddasza, dobudowanego do tylnej, często północnej ściany domu i pełniącego funkcję powiększonej komory oraz chroniącego dom przed wiatrami i mrozem. W kolejnym etapie zmieniały się rozmiary okien i do izb weszła *stoljarka*, a do izb gościnnych także podłogi. Proste ławy i postele rodzinne zastępować zaczęto stolarskimi łózkami i kanapami z oparciem, budowano kominy, a dachy zaczęto pokrywać blachą, darnią oraz gontem.

Dom i zabudowania grodzono płotami robionymi z kołów wierzbowych, specjalnie produkowanych i wybieranych. Drzewa wierzbowe przycinano na wysokość człowieka. W ten sposób uzyskiwano tak zwane *głowy*, z których po kilku latach wyrastały odpowiedniej grubości koły na płoty. Ich przygotowanie polegało na zastrzeniu siekierą z dwóch końców. Do przeplatania służyła kilkuletnia wiklina, zwana *prutiem*, także wybierana z krzaków wiklinowych. To wszystko było już w okresie międzywojennym, kiedy po rozbiorach powróciła na te ziemie polska administracja.

Rok 1930

Rybaki

Fedor, Stiepan, Roman, Izaak i Michał, nierozłączni szkolni przyjaciele, szli całą szerokością drogi cerkiewnej, wzbijając tumany pyłu z piasku i mułu, naniesionych przez rzekę.

Chłopcy w Rybakach byli dobrze znani. Zawsze widywano ich razem wracających ze szkoły, zawsze razem bawili się w policjantów i przemytników, zawsze spierali się o to, kto ma być przemytnikiem, bo policjantem nie chciał zostać nikt. Podobnie było i tym razem. W końcu zrobili losowanie, z którego wypadło, że przemytniczym rzemiosłem będą się trudnić Roman i Michał, a na stróżów porządku los wyznaczył Fedora i Stiepana. Posadę sędziego objął jak zwykle Izaak, ale on lubił tę rolę.

Gładkie rzeczne kamienie, pełniące funkcję włoskich orzechów z rumuńskiej Bukowiny, wypełniły kieszenie młodych przemytników. Oni sami, klucząc pomiędzy wystającymi z wody głazami, porastającymi piaszczyste łąchy krzakami i drzewami, starali się umykać policyjnemu patrolowi Fedora i Stiepana. Przemytnicy czasem mieli szczęście i wysypywali orzechy na wygryzioną przez bydło i wypaloną przez słońce, pożółkłą trawę pastwiska, a czasem nie – wtedy stawali przed groźnym obliczem Izaaka, który zawsze skazywał ich na długoletnie więzienie.

– Już niedługo ktoś z was zostanie sędzią – Izaak, po wydaniu kolejnego wyroku kreślił na piasku jakieś dziwne linie. Widać było, że trudno mu oznajmić coś, o czym oni jeszcze nie wiedzieli.

– Co ty mówisz? – zapytali niemal równocześnie.

– Niedługo wyprowadzam się do Kut – młody Żyd mówił tak cichym głosem, jakby to było jakieś szczególnie groźne przestępstwo. – Tata kupił tam garbarnię.

Wszyscy nagle zmarkotnieli.

– *Szczo bez nas budesz robyty u Kutach?* [6] – Stiepan przygryzł wargę, a Michał, Fedor i Roman skinęli głowami na znak, że też chcą to wiedzieć.

– Nie wiem. W Kutach nie znam nikogo.

Ta niespodziewana wiadomość zakończyła zabawę. Cała piątka w milczeniu opuściła łągi i wróciła na drogę cerkiewną. Chłopcy szli noga za

nogą ze spuszczoneymi głowami i tylko tumany pyłu, który wzbijali, zdawały się mówić, że nic się nie stało.

Paliwka

Było późne popołudnie, kiedy do Stefana Nowaka, siedzącego na werandzie, wyszła zmęczona Sofija.

– *Idite po Irynu Krasiuk, til'ky szwydko!* [7] – jej głos wzbudził w nim niepokój.

– Czy... czy wszystko dobrze jest? – próbował zajrzeć do środka izby.

– No idźcie już, idźcie! – Sofija domknęła uchylone drzwi.

Chociaż ukraińska rodzina Krasiuków mieszkała niedaleko, to teraz droga wydawała mu się dłuższa niż zwykle.

– Będzie dobrze, Krysiu – żegnał się wczoraj z żoną, kiedy wychodził z izby, zostawiając w niej sważkę Sofiję. – Sważka, a przecież nie swata, ale odbiera poród – mrucał pod nosem, dziwiąc się, że Sofija jest sważką wtedy, kiedy swata, i wtedy, kiedy pomaga przyjść na świat i z niego odejść. – Sofija was woła – mówił zdyszany do sąsiadki, która stanęła w drzwiach chaty.

– *Poczekajte, til'ky odjahny ja zapasku* [8] – Iryna wróciła do izby.

Droga powrotna minęła im szybko. Iryna od razu weszła do chaty, a on pozostał na werandzie.

Z dziećmi, które wczoraj zaprowadził do Krasiuków, nie zdążył się zobaczyć i nawet nie zapytał, jak się sprawują. O Kasię, dwunastoletnią panienkę, był spokojny, ale Ewa ma cztery latka, a Janek tylko rok; to o nich się martwił.

Z rozmyślań wyrwał go płacz dziecka. W jednej chwili znalazł się przy drzwiach i nasłuchiwał z niepokojem, bo ten poród od samego początku był inny niż poprzednie.

– *Majete syna* [9] – w uchylonych drzwiach zobaczył Irynę.

– Boże, niech Ci będą dzięki! – krzyknął i z całych sił przytulił sąsiadkę.
– Mam dwie córki i dwóch synów.

Cieszył się jak dziecko, któremu udało się zrobić pierwszy samodzielny krok.

– Teraz powiedzcie, co z Krysią – nie wypuszczał z ramion Iryny. – Mówcie, co z nią?

Kobieta oparła dłonie na jego piersi i lekko go odpychała. Zluzował uścisk i z uwagą przyglądał się jej twarzy, na której malowały się nieznane mu emocje.

– Czy...? – głos ugrzął mu w gardle.

Iryna odwróciła się i wybuchła spazmatycznym płaczem.

Rok 1933, Rybaki

Zbliżało się południe i żar z nieba lał się okropny, ale ludzie nie przerywali pracy. Pięciu Ukraińców kosami wgrzyzało się w długi łań dorodnej pszenicy niczym po ulewnych deszczach wzburzony Czeremosz w otaczające go łągi. Za nimi szły kobiety, podbierając skoszone zboże. Układały je równo, wybierały najdłuższej zżętej pszenicznej słomy tyle, co się w garści zmieściło, i przytrzymując pod pachą, skręcały powróśla. Pochylały się z nimi nad równo leżącą pszenicą, obejmowały niczym wiarołomnego kochanka i ugniatając kolanem, wiązały w snopki. Żniwiarze i żniwiarki co jakiś czas przystawali, prostując zgięte plecy i wycierając pot, który słonymi kroplami wciskał się do zmęczonych od słońca oczu.

Było parno, a ciężkie powietrze i zbierające się w oddali pojedyncze obłoki wróżyły popołudniową burzę. Edward Jakubowski z niepokojem patrzył w stronę gór, skąd zwykle nadciągały nawałnice, ale był zadowolony – już połowa pszenicy, związana w snopki, leżała w równych rzędach na ściernisku.

– Duszki wy moje – mówił, wsiadając na drabiniasty wóz przygotowany do zwózki. – Jeszcze troszku i przerwę na posiłek zrobimy.

Zaciął lejcami i koń ruszył w stronę Rybak.

Wóz trząsał niemiłosiernie, wpadając w koleiny i w głębokie doły polnej drogi. Dopiero kiedy wyjechał na gościniec, jazda stała się równiejsza.

Jakubowski przeżegnał się, mijając przydrożną kapliczkę. To właśnie w tym miejscu Polacy mieszkający w Rybakach postanowili wybudować kościół. Mijał zagrody polskie i ukraińskie, machając przyjaźnie ręką, kiedy widział kogoś w obejściu.

– Prrr! – krzyknął nagle, ściągając lejce. Wóz zatrzymał się obok zagrody Pakoszów, przed którą na gościńcu stało kilkoro ukraińskich dzieci. Stali przy ogrodzeniu z twarzami wciśniętymi między sztachety, a zza płotu dobiegał wesoły śpiew.

*Kółko graniaste, czworokanciaste,
Kółko nam się połamało,
Cztery grosze kosztowało,*

A my wszyscy bęc.

Przywiązał lejce do starej topoli rosnącej przy bramie, poklepał konia i wszedł na podwórze.

Pod rozłożystym orzechowcem stał długi stół, przykryty szarym obrusem, na którym piętrzyły się grubo pokrojone kawałki drożdżowego ciasta z kruszonką. Obok wozowni kilkoro dzieci, trzymając się za ręce, tworzyło nieforemne, co chwila rozrywające się koło. Jakubowski ze zdziwieniem zauważył, że są to wyłącznie polskie dzieci.

– Tam za płotem, duszko ty moja – zagadnął gospodynię – dzieci Pawłyczków i Primaków stoją. Zawołaj niech przyjdą, jedzenia przecież nie zabraknie.

– Pewnie, że widzę te dzieciaki – Lucyna Pakosz stanęła zdziwiona. – Kto by ich nie widział? Ale nie trza ich tutaj. Jak je zwołam, to jutro przyjdzie pięćdziesiąt, a może więcej – wzruszyła ramionami i weszła do izby.

Edward Jakubowski stał chwilę, w milczeniu przyglądając się kolejnej zabawie. W końcu zamknął skrzypiącą furtkę, odwiązał lejce i wsiadł na wóz.

– Wsiadajcie i wy! – zawołał do dzieci.

Fedor, Stiepan i Oksana w pośpiechu przeciskali się między szczeblami drabiniastej burty.

– Jeść i pić im daj, Mario – powiedział do żony, kiedy wjechali na podwórze. – Tak nie może być!

Włożył na wóz torbę z kanapkami i zbożową kawą, strzelił batem i ruszył z powrotem do żniwiarzy.

Rok 1935

Rybaki

Niedzielną msza dzisiaj trwała dłużej niż zwykle. Grekokatolicki ksiądz Petrowicz pouczał mieszkańców wsi o konieczności życia według przykazań i zachęcał do bardziej hojnego wspierania cerkwi dobrami doczesnymi. Ludzie we wsi byli biedni, więc słowo boże głoszone przez księdza nie trafiało do wszystkich.

Zmęczeni nudnym kazaniem Roman, Fedor, Stiepan i Michał wracali drogą cerkiewną do swoich domów. Od kilku lat nie było już z nimi Izaaka, którego ojciec kupił w końcu garbarnię w Kutach. Od tamtego czasu spotkali się ze swoim dawnym kolegą kilka razy i ze zdziwieniem stwierdzili, że nie był to już ten sam chłopak – ich sędzia z zabaw w policjantów i przemytników. Nie wiedzieli, że oni sami też się zmienili. Wprawdzie policjanci ciągle ścigali przemytników, ale często jedni i drudzy zapominali o zabawie, kiedy na ich drodze pojawiała się polska albo, co zdarzało się znacznie częściej, ukraińska dziewczyna.

Od kilku dni ich grupa znowu liczyła pięć osób. Stało się tak za sprawą Grzegorza, młodszego brata Michała. Bronili się przed jego przyjęciem, ale w końcu ulegli.

Szli w piątkę, a przed nimi w tym samym kierunku zmierzał starszy kuzyn Michała i Grzegorza z żoną. Przyjechał z dalekiej Warszawy, aby odebrać swoją kobietę, kurującą się w zakładzie leczniczym doktora Apolinarego Tarnawskiego w niedalekim Kosowie. Młodzi małżonkowie musieli wyjątkowo źle znosić długą rozłąkę, bo szli, trzymając się za ręce, a wkrótce zniknęli w gęstych nadrzecznych zaroślach. Fedor i Roman wymienili porozumiewawcze spojrzenia, a kiedy dotarli do jednej z licznych ścieżek, prowadzącej nad rzekę, Fedor zatrzymał grupę.

– *Wertajemo* [10] – oznajmił.

– Dokąd wracamy? – Grzegorz niczego się nie domyślał. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Zaraz sam zobaczysz.

Skręcili w zarośla, kierując się w stronę głównego nurtu Czeremoszu. Kiedy tam doszli, zawrócili i ruszyli w tym samym kierunku, w którym płynęła rzeka. Stąpali ostrożnie, bojąc się dekonspiracji. Fedor, który

prował grupę, odginal gałęzie, podając je idącym z tyłu, a w końcu podniósł rękę i wszyscy stanęli. Byli w miejscu, w którym wzburzony podczas powodzi Czeremosz wyrzucił drobny piasek, tworząc długą wyspę, porośniętą bujną wikliną. Rozdzielili się, pozajmowali niewidoczne dla kochanków stanowiska i z wypiekami na twarzy obserwowali ich igraszki.

– Co oni robili? – Grzegorz szarpał Fedora za rękaw, kiedy wyszli z zarośli na drogę cerkiewną.

– Jak urośniesz, to będziesz wiedział – Roman zaśmiał się rubasznie. – No, no – kiwał z uznaniem głową – czegoś takiego jeszcze nie widziałem.

– Ani ja – przyznał Michał.

– A co ona miała pod brzuchem, tam nisko? – dopytywał Grzegorz.

– *O własne!* [11] – Stiepan zatrzymał się. – Wczoraj widziałem Oksanę, jak się kąpała. Była całkiem golutka, ale ona tego nie miała.

– *Tomu, szczo szcze mołoda!* [12] – Fedor z politowaniem kiwał głową. – Jak można tego nie wiedzieć?

– Oj, dawno to było – sważka Sofija zamyśliła się. – No, ze dwadzieścia wieków temu. Najświętsza Panienska porodziła Jezusa i kazała służącej swojej koszulę zakrwawioną do rzeki wyrzucić i nie rozwijać jej ani nie oglądać. Służąca, głupia dziewczka, nie usłuchała Najświętszej Panienski, a ona w gniewie nakazała całemu niewieścemu ludowi co miesiąc odbywać oczyszczenie. Tak i mamy teraz za swoje. Julia młodziutka przecie, które to jej krwawienie?

– Drugie dopiero i takie duże, że aż – Lucyna Pakosz wycierała rogiem zapaski wilgotne oczy. – Dobrze, że wy w Rybakach byli. Nie wiem, co by ja sama zrobiła.

– Wiśniowe pędy strugać z góry na dół, samą korę – Sofija wykonała ruch ręką. – Nie odwrotnie, bo jeszcze większej biedy się napyta. Zrobić z tego odwar, z szafranem zmieszać i dać młodziutkiej do wypicia.

– I dobrze będzie?

– A co ma nie być? Nie ona pierwsza i nie ostatnia cierpi, a wszystko przez głupią służącą Najświętszej Panienski.

Berezka

Gryka już ugotowana, pieprz zmielony, sól, ziele angielskie, saletra i kolendra przygotowane. Świnia Krasiuków, którą zabił ich sąsiad Stefan Nowak, z największym trudem mieściła się w dużym drewnianym korycie. Iryna wraz z córką Galiną ledwie zdążyły z przygotowaniem wrzątku, którego cały blaszany kocioł stał przy korycie. Witalij polewał wrzątkiem świnie, a Nowak ostrym nożem zdierał szczecinę.

– Zamieszaj krew – kiwnął na Iwana. – Zamieszaj, bo skrzepnie i nie nada się na kaszanke.

– Oj, dużego knuryka uchowaliście, sąsiedzie – chwalił Witalija. – Ładny zapas jadła na zimę zrobicie.

– *Ce prawda, najsuworisza zyma nam ne bude straszna!* [13] – gospodarz trzymał rozchylone świńskie nogi – a i wy skorzystacie.

– Oddam wam mięso, jak swoją świnie ubiję – Stefan mył ręce w zimnej wodzie.

– Sąsiedzie, jaki on ciężki – nie mogli udźwignąć świni, aby powiesić ją w *żytnicy* [14] na grubej *bilani* [15]. – Pewnie ma ze dwa metry [16]. Sami nie damy rady, zawołajcie Iwana.

– *A deż win zapodiwsja?* [17] – Iryna rozglądała się dokoła.

– *Win wyjszow z Kateju na carynku* [18] – na twarzy Galiny zagościł tajemniczy uśmiech.

– No, no – gospodyni kręciła głową – tutaj praca, a jemu diwczynońka w głowie. – Iwaaaaaan! – krzyknęła donośnie.

– Iwaaaaaan – powtórzyły rosnące za carynką *smereki* [19].

Dźwignęli krasiukowego knurka we trójkę.

– Mielście rację, ciężki jak *didko* [20] – Witalij skrzywił się, rozcierając łądzwie.

– A wy niby skąd wiecie, że *didko* ciężki? – Stefan przywiązywał powrozem świńskie nogi.

– No, tak się mówi, to chyba inaczej nie jest?

Móźdzek posolili, usmażyli i zjedli. Z podgardla i wątroby zrobili pasztet. Oddzielili schab, a z szynki wyciągnęli kości. Wyszłamowali nożem cienkie kiszki, wypłukali je w wodzie z octem i nadmuchali, by wiedzieć, czy nie mają dziur. Nie miały i już puchną, wypełnione mieszaniną mięsa od łopatki, kawałków schabu, szynki i boczku, zmielonych razem i mocno przyprawionych czosnkiem. Jutro Witalij rozpali ogień ze śliwowych gałęzi i uwędzi te kiełbasy w wędzarni, którą zrobił za żytnią.

Grube kiszki wypłukali i napełnili kaszanką. Żołądek umyli i wiali do niego rosół z ugotowanymi nerkami, pociętym ozorem, ryjem, uszami, kawałkami mięsa, sercem, śledzioną i przyprawami. Żołądek zaszyli i będą gotować go na małym ogniu, a później przycisną płaskim kamieniem. Kiedy ostygnie, będzie smacznym salcesonem.

Boczek, schab i szynki zapeklują na tydzień, a później uwędzą. Część słoniny posolą, ułożą warstwami w dużych kamiennych garach i znowu posypią solą. Będą ją jedli przez długie miesiące z cebulą i chlebem. Resztę słoniny i trochę boczku pokroją i przetopią na smalec ze skwarkami, a z pęcherza zrobią balon dla dzieci.

Zajadali się smażonym mięsem, pili samogon, który w Berezce i Paliwce pędzili wszyscy, nie wyłączając księdza Martynuka i popa Atanasija.

– A gdzie jest Iwan? – Stefan wytarł rękawem zatłuszczone usta.

– Tam gdzie wasza Kasia – *bormotała* [21] Iryna, tak jakby to nie córka Stefana była na schadzce z jej synem, ale ona sama z *diakiem* [22] Wasylką, który podobał się wszystkim bez wyjątku kobietom.

– Może coś z tej znajomości będzie i na weselisku się spotkamy? – zagadnął Witalij i od razu zmarkotniał, kiedy przypomniał sobie, że już więcej świń w chlewiku nie ma.

Kuty

Natael Wise, ojciec Izaaka, urodził się w 1895 roku. Studiował w austriackim Gratzu, do którego wysłał go ojciec Mosze, właściciel jednej z kuckich garbarni. Natael miał zostać prawnikiem, jednak wybuch pierwszej wojny światowej przerwał jego studia.

Podczas wojny rodzina Wise zubożała. Wprawdzie nadal prowadziła garbarnię, ale do interesu dokładała i jedynie sentyment do wypracowanej przez dziesiątki lat własności oraz troska o nieliczną załogę nie pozwalały na zakończenie tej nieopłacalnej działalności.

Pierwsze lata po odzyskaniu przez Polskę niepodległości należały do wyjątkowo ciężkich. Ludzie byli biedni, a szalona inflacja powodowała upadłość coraz większej liczby młynów, garbarni, szwalni, młeczarni i innych prywatnych oraz państwowych przedsiębiorstw. Ten los był także udziałem rodziny Wise, która musiała sprzedać garbarnię i wyprowadzić się z Kut do Rybak.

Tuż po wojnie Natael ożenił się z Rachelą, wykształconą córką aptekarza, której cały posag przepadł w 1914 roku wraz z upadkiem austriackiej waluty. Rachelą nie była osobą religijną, jednak, chociaż miała poglądy socjalistyczne, może nawet komunistyczne, w domu prowadziła tradycyjną kuchnię żydowską. W pierwszym roku małżeństwa Nataelowi i Racheli urodził się syn Izaak i niedoszły prawnik zmuszony został do zarobkowania, które mogło zaprowadzić go wprost do sądu, ale nie za stół sędziowski. Zajął się bowiem przemytem z rumuńskiej Bukowiny. Często przekraczał Czeremosz i w workach przytroczonych do specjalnie uszytej uprzęży przynosił po czterdzieści kilogramów włoskich orzechów.

Bardzo niebezpieczne to było rzemiosło. Polscy i rumuńscy strażnicy graniczni czasami dawali się przekupić, ale Czeremosz nigdy. Wielu przemytników poznało klimat polskich i rumuńskich więzień, niektórzy utonęli lub zostali zastrzeleni, jednak jemu jakoś się udawało. Orzechy Natael sprzedawał na targu w Kosowie. Mówiło się, że trafiały do Warszawy, do samego Wedla. Najpewniejszą walutą w tych czasach był inny towar, więc Natael pieniądze brał w ostateczności. Dopiero reforma Grabskiego sprawiła, że pieniądze zaczęły spełniać swoją funkcję.

Podczas jednej z wypraw na Bukowinę Natael poznał Macieja

Jakubowskiego, który także trudnił się przemysłem. Wkrótce ich wspólne i niebezpieczne rzemiosło sprawiło, że zawiązała się między nimi nie tylko przemytniczej solidarności, ale też prawdziwej męskiej przyjaźni. Maciej Jakubowski stał się jedynym dostawcą cielęciny i wołowiny na kosztowny stół rodziny Wise, a członkowie obu rodzin, mimo że dzieliła ich religia i narodowość, polubili się wzajemnie. Dotyczyło to zwłaszcza Michała oraz Izaaka.

W latach trzydziestych państwo polskie, doceniając strategiczne położenie Kut, wybudowało most drogowo-kolejowy na Czeremoszu i doprowadziło od strony rumuńskiej linię kolejową. Spowodowało to duże ożywienie gospodarcze i rozwój drobnego przemysłu, będącego głównie własnością mieszkańców pochodzenia żydowskiego. Wzrosły zatrudnienie oraz aktywność polityczno-społeczna obywateli, a większość najważniejszych żydowskich partii politycznych miała swoje przedstawicielstwa również w Kutach.

Mosze Wise, który, cały czas mieszkając w Rybakach, myślał o odzyskaniu garbarni i powrocie do Kut, mógł wreszcie zrealizować te marzenia. Jak tego dokonał, pozostało jego tajemnicą, którą nie podzielił się nawet z najbliższą rodziną. Garbarnia zaczęła przynosić godziwe zyski, więc Natael zaprzestał przemytniczego fachu i zaczął pomagać ojcu w prowadzeniu ksiąg rachunkowych.

Nie chodził do synagogi, a w domu z rodzicami rozmawiał po niemiecku. Właściwie nie znał języka jidish. Był zafascynowany kulturą niemiecką, ale nie zajmował się polityką, a od czasu studiów w Gratzu uważał Austrię za wspaniały kraj.

– Błagam ciebie, Izaak – prosił syna, który wyraźnie sympatyzował z członkiniami nielegalnej Partii Komunistycznej – nie zadawaj się z nimi. Dziadek Mosze z trudem odzyskał garbarnię, a przez ciebie znowu możemy ją stracić – mówił przy każdej nadarzającej się okazji. – Sam wiesz, że Nechamę Melzer, z którą spotykały się nasze pracownice, skazano na sześć lat więzienia, a policja ciągle nas nachodzi. W takich warunkach nie można dobrze pracować, a może być jeszcze gorzej.

Na Izaaku te uwagi nie robiły większego wrażenia i wkrótce wstąpił do partii komunistycznej, którą władze polskie uważały za nielegalną.

Rybaki

Gęste chmury nadal otulały zalesione szczyty Karpat, ale deszcz wreszcie przestał padać. Ania Jakubowska prowadziła krowy i owce na pastwiska nad Czeremoszem, które mieszkańcy Rybak nazywali tołoką. Dziewczyna zauważyła, że tym razem zwierzęta wyjątkowo ociągały się z wyjściem z obory. Po drodze ze swoimi krowami i owcami dołączyła do niej Oksana Pawłyczko. Szły razem drogą cerkiewną, a obok zagrody Józefa i Wandy Pytlów skręciły nad rzekę.

Trawa na pastwisku była już mocno wyskubana. Zwierzęta, szukając pożywienia, wciskały się w zarośla i przechodziły przez małe strumyczki, będące odnogami wijącego się jak wąż Czeremoszu. Wszędzie rozlegały się głosy krowich dzwonek, a gęste krzaki dawały schronienie od deszczu, który padał jeszcze od czasu do czasu.

Krowy i owce pały się w pobliżu, ale co chwilę podnosiły niespokojnie głowy. Dziewczyny, zajęte rozmową, nie zwracały uwagi na narastający szum Czeremoszu. Nagle Anna znieruchomiała.

– Słyszysz? – spojrzała pytająco na Oksanę.

– *Tak, czuju, ce woda tak szumyt', ale zdajet'sja, szczo rika z druho ho boku* [23] – dziewczyna wyciągnęła rękę w kierunku przeciwnym do tego, z którego dobiegał niepokojący je hałas.

Poprzez jednostajny szum, którego jeszcze nie umiały rozpoznać, dobiegały je pojedyncze głosy rozmawiających głośno ludzi.

– Wracajmy do domu – na twarzy Oksany malował się niepokój.

Poganiały krowy i owce długimi witkami wikliny, nie czczędząc im razów. Przedzierały się przez gęste zarośla, ale nagle stanęły jak wryte. Zatrzymała je rzeka, której z rana w tym miejscu nie było. To Czeremosz, nie mogąc pomieścić w starym korycie spływającej z gór wody, zrobił sobie nowe i odciął w ten sposób drogę powrotną do Rybak.

Po drugiej stronie wodnej kipieli zebrała się duża grupa mieszkańców wsi. Stali, gestykulowali i coś krzyczeli.

– Do rzeki wam bydło wpędzać trza i krzepko trzymać ogony! – wołał przejęty Pawłyczko. – No jazda, jazda! – ponaglał. – Woda szybko przybiera,

czasu mało!

Krowy z lękiem wchodziły do spienionej rzeki. Beczące ze strachu owce podążały za nimi. Szalony nurt Czeremoszu od razu porwał wszystkich. Krowy płynęły z największym trudem, zadzierając wysoko łby; nad falami widać było jedynie ich rogi, uszy i nozdrza.

– Trzymać krzepko ogony! – krzyczał Pawłyczko, biegnąc brzegiem w dół rzeki – troszku jeszcze wytrzymać musicie!

Wystraszone zwierzęta i dziewczyny wychodziły na brzeg daleko od miejsca, gdzie rozpoczęły przeprawę, ale tym razem nikomu nic się nie stało. Jedynie owce, których wełna jak gąbka chłoneła wodę, poszły na dno.

– Nasze dzieci to dużo szczęścia miały – Maciej Jakubowski tulił wnuczkę – ale owiec szkoda.

– *Tak, my mamy bahato szczastja ta djakujmo za ce Bohowi, ale ce nasza wyna, szczo my dozwołyly jim sjohodni pity do riky* [24] – przyznał ojciec Oksany.

– Ot, mieliśmy szczęście, że woda nie zalała zagrody – Józef Pytel tulił Wandę, wywołując widoczną zazdrość ich czteroletniego synka. – Jasiu – mówił, czule gładząc synowską czuprynę – mamusi wystarczy i dla ciebie, i dla mnie. No, rozchmurz się – przytulił chłopczyka, który, trzymając się matczynej spódnicy, patrzył na niego spod oka. – Dla Tadzia też mamy wystarczy – uspokajał, wskazując łóżeczko, w którym spał ich drugi syn. – No dobrze, zaraz pójdziemy nad rzekę. Ty i mamusia będziecie zbierali drzewo na opał, a ja z wujkiem Grzesiem na dom dla ciebie i Tadzia. Może tak być?

Obietnica wydała się Jasiowi na tyle interesująca, że przestał się bocyć, ale ciągle trzymając spódnicę, próbował wyciągnąć matkę z izby.

– Zimno jest na dworze – wstrzymywała go. – Musimy się ciepło ubrać.

Ciągnęli drewniany wózek wśród krzaków i drzew pastwnika, zbierając po drodze kawałki drewna zostawione przez wielką wodę.

– A my to wracamy już do domu – Wanda uśmiechnęła się do męża, który z Grzegorzem Jakubowskim siedł nad Czeremosz po grube świerkowe

pnie.

Mijali się tego dnia jeszcze kilka razy, to idąc nad rzekę, to znad niej wracając. Było już ciemno, kiedy skończyli pracę.

– Będziemy zbierali drzewo po każdej powodzi – ojciec trzymał Jasia na kolanach – a kiedy ty i Tadzio urosiecie, razem zbudujemy dom.

Fedor wrócił ze szkoły w złym humorze. Nie dość, że nie udało mu się namówić Michała i Stiepana do harców nad Czeremoszem, to jeszcze musiał nauczyć się na pamięć *Dumki* Tarasa Szewczenki.

– Po co mi to? – pytał ojca, siedzącego przy warsztacie tkackim. – Co mnie obchodzi rozpacz jakiejś dziewczyny? – sięgnął po bochen chleba. – Czy od tego będziemy mieli co jeść?

– Musisz się uczyć, Fedorze – mężczyzna wyprostował zgięte plecy. – Więcej będziesz umiał, to i pracę dostaniesz. Może być, że w urzędzie – zamyślił się. – Moja robota ciężka, zarobek niewielki, a urzędnik dużo znaczy i nie robi tak wiele jak ja – wygładzał dłonią utkane płótno. – Gadamy, że źle z nami Polaki obchodzą się, że lepszą pracę to dla siebie mają. To i prawda jest, ale my nie takie uczone jak oni. Gdzie mnie w urzędzie pracy szukać, jak czytać nie potrafię ani pisać? A prawda taka jest, że z dorosłych tylko Pawłyczko potrafi.

– Ja też potrafię i to mi wystarczy – Fedor nie ustępował – a *Dumki* uczyć się nie będę.

Ojciec odłożył płótno i z trudem usiadł przy stole.

– Widzisz – położył dłoń na ramieniu syna – każdy pisać i czytać umieć musi. W książkach tyle mądrych rzeczy jest. No, ci, co czytają, tak mówią. Szewczenko też mądry człowiek był. Patriota wielki i pisać lekko mu było.

– A skąd, tato, o tym wiesz? Sam mówiłeś, że nie umiesz czytać.

– Prawda, nie potrafię – mężczyzna wolno kiwał głową – ale kiedy wojna się skończyła, ta w osiemnastym, to my wierzyli, że samostijna Ukraina będzie. Nie wszyscy wierzyli, prawda, ale ja tak. W wojsku ja był wtedy i o Lwów walczył. Przegrali my, całkiem przegrali i samostijna Ukraina nie powstała, no, ale wiara nie umarła w nas. Na tołokach my słuchali wierszy

Szewczenki. Pawłyczko, ojciec Stiepana czytał – zamyślił się. Nagle wstał z trudem jeszcze większym, niż usiadł. Wyszedł do sieni. Grzebał w starej skrzyni, pełnej najdziwniejszych przedmiotów, a kiedy odnalazł to, czego szukał, wrócił do izby.

– Czytaj – w wyciągniętej dłoni trzymał poniszczoną i zakurzoną ni to książkę, ni broszurę. – Czytaj, jak chcesz.

Fedor otworzył książkę bez przekonania i zaczął wolno przewracać kartki. Jego złość powoli ustępowała, przechodząc najpierw w obojętność, a później w coraz większe zaciekawienie. W końcu zaczął czytać na głos.

*Kiedyśmy byli Kozakami
I nic o unii nie słyszeli,
Na wolnych stepach, wolni sami,
Brataliśmy się z Polakami
I żyli sobie najweselej!
W sadach dziewczęta, niczym białe
Lilie, kwitły dla miłości.
A matki z dumą spoglądały
Na swoich synów, którzy rośli
Jak wolni ludzie i koili
Matczyne starych lat cierpienia...
Aż przyszli księża i w imieniu
Chrystusa Pana podpalili
Nasz cichy raj, rozlali morze
Łez i krwi ludzkiej, a sierotom
Zadali śmierć męczeńską oto
Ku jeszcze większej chwale Bożej...
Już głowy chylą się kozacze
Jak wiatrem przygnieciona trawa,
Już Ukraina jęczy, płacze,
Już się zaczęła ucztą krwawa,
A ksiądz bez przerwy wyśpiewuje
Wściekle: „Te Deum! Alleluja!...”
I tak, Polaku, druhu, bracie,
Zachłanni księża i magnaci
Nas poróżnili, rozdzielili,*

*A my wciąż zgodnie byśmy żyli.
Podajże rękę Kozakowi
I serce swe do niego przychyl,
I razem w imię Chrystusowe
Odbudujemy raj nasz cichy! [25]*

Ojciec bez słowa usiadł przy krosnach, a Fedor w ciszy czytał kolejne wiersze.

– Czy to prawda, tato, że Gonta zabił synów dlatego, że ich matka była katoliczką? – zapytał, kiedy skończył *Hajdamaków*.

– Tak było, Fedorze, ludzie mówią, że tak było.

Chłopiec odłożył książkę.

– Idę do Stiepana i Romana – powiedział, zakładając kieptar.

Kuty

Dawid Jurgiel długo nie wychodził z pokoju, w którym leżał Mosze, co wzbudzało narastający niepokój u córki i wnuka chorego.

– Nie dość, że dziadek ma chore nogi, to jeszcze boli go żołądek – ton głosu Izaaka wyrażał współczucie.

– Jak na swoje lata ojciec i tak nie może narzekać – Rachela starała się złagodzić smutny nastrój. – Za rok będzie miał siedemdziesiąt. To ładny wiek. Na pewno przeżyje każdego z nas.

Lekarz wyszedł strapiony.

– Nie jest dobrze – wyciągnął kartkę papieru i ołówek. – Mosze jest bardzo chory – uderzał miarowo ołówkiem o blat stołu. – Dla niego nie ma lekarstwa. On potrzebuje już tylko spokoju i dobrej opieki.

Założył monokl, chwilę się zastanawiał, a w końcu zaczął pisać.

– Do picia dajcie mu te zioła – podał kartkę Izaakowi. – Nie wyleczą go, ale ulżą w cierpieniu.

Izaak schował receptę i wybiegł na zewnątrz. Szedł uliczkami pełnymi przechodniów, kłaniając się spotkanym znajomym, a w końcu zatrzymał się przed drzwiami apteki. Z kieszeni wyjął kilka monet, przeliczył je szybko i uspokojony wszedł do środka.

W aptece panował półmrok. Na wysokich, przeszklonych regałach stały rzędy słoików, słoiczków, butelek i buteleczek, zamkniętych i otwartych, z tajemniczymi proszkami, ziołami i płynami. Za kontuarem, ubrany w biały fartuch, stał starszy, zgarbiony mężczyzna.

– Szalom – Izaak ukłonił się, podając receptę.

– Szalom, Izaak – aptekarz przebiegł wzrokiem równe pismo doktora Jurgiela i bez słowa wyszedł na zaplecze. Wrócił po dłuższej chwili z torebką i z dziewczyną niezwyklej urody. Jej czarne kręcone włosy sięgały niemal połowy pleców, wąskie brwi okalały brązowe oczy, a nieduży, zgrabny nos i śmiejące się usta sprawiały, że nie ustępowała urodą Ukrainkom, powszechnie uważanym za najładniejsze.

– Dwa złote – aptekarz uśmiechał się, widząc nieobecny wzrok Izaaka. –

Dwa złote, słyszysz? A to jest Miriam, moja siostrzenica z Kosowa – kręcąc głową, wrzucił monety do szuflady.

Rok 1938

Rybaki

Edward Jakubowski szedł wolno wąską ścieżką, rozglądając się na boki.

– Królu ty mój – zagadnął do wnuka – spojrzysz na ten ogródek. Zadbany jest, chwasty wyrwane i róże piękne rosną.

– Masz rację, dziadku – przytaknął Michał – ale tutaj zawsze tak było.

– Nie zawsze, Michale, nie zawsze – Edward zatrzymał się. – Czy wiesz, co jest za tym parkanem? To znaczy, co tam rośnie, czy wiesz?

Ogrodzeniowe sztachety zasłaniały widok i Michał pokręcił głową na znak, że nie wie.

– To pójdź ze mną – Edward położył dłoń na ramieniu wnuka i obaj wyszli na gościniec.

Między drogą a płotem rosły bujne chwasty, a nad nimi górował rozłożysty oset.

– Babcia ma rację, dziadku – chłopak skrzywił się. – Ten oset jest okropny.

– W błędzie jesteś, królu ty mój – głos Edwarda był spokojny, wpadający w melancholię. – W błędzie jesteś. Po mojemu oset jest tak samo piękny jak róża – delikatnie dotknął purpurowego kwiatu. – Czy wiesz, że te kwiaty więcej łączy niż dzieli? – odwrócił się do wnuka. – Żywi ich też sama ziemia, poi tenże sam deszcz, grzeje też samo słońce, no i tu w sercu nie obojętne nam oba.

– Oba kwiaty? – młody nie wytrzymał. – Przecież oset jest chwastem!

– Nie jest, Michale – mężczyzna nie zmieniał tonu głosu – nie jest. To my, ludzie, podzielili rośliny. Kwiaty niby dobre są, a chwasty złe, ale kto to wiedzieć może, czy inaczej nie jest? Patrzaj na różę. Kwiat na łodydze twardej z kolcami ma. Piękna jest i delikatna, to i broni tego, ale oset podobny do niej, całkiem podobny. Patrzaj, jakie jęczyczki tyciuchne wychyła z pokrytej kolcami główki. A purpurowe takie są jak czepiec biskupi, a może i piękniejsze? Ja tam nie wiem, królu ty mój, które ładniejsze jest, to i do koszenia mnie niespieszno.

Stali jakiś czas w milczeniu, a w końcu powrócili na ławkę.

– Po mojemu, królu ty mój – Edward położył dłoń na ramieniu wnuka – róža, oset i ten parkan, co między nimi to jakby my i oni. Polaki i Ukraińcy. Tu, na tej ziemi, Polaki, Ukraińcy, Żydzi i Ormianie żyją. Mieszkają obok siebie, lubią się, taj i nie lubią, ale mur jakby między nimi jest. Nasz Pan go nie postawił, królu ty mój. Mury zbudowali my same, bo Pan wolną wolę nam dał. Nie wiem, co zamierzał, kiedy to robił. Dobry jest i miłosierny, to i pewnie myślał, że i my takie same będziemy. A my co? My ani dobre, ani miłosierne – Edward zamyślił się. – Każdy stanie kiedyś przed Panem naszym, a on zapyta: „Co ty dobrego na ziemi zrobił?”. Życ nam trzeba tak, żeby Panu powiedzieć, że nikt krzywdy od nas nie miał. Pomyśl o tym, Michale, królu ty mój.

Spotkali się nad Czeremoszem, z daleka od wsi. Kiedy się upewnili, że nikt ich nie śledzi i że są sami, usiedli w milczeniu na kamieniach, których nad rzeką nie brakowało.

– No nie może tak być – Fedor pierwszy zabrał głos – żeby wolnej Ukrainy nie było! Polacy to okupanci i Gonta miał rację, że z nimi walczył. My też musimy coś zrobić.

– Gonta był złym człowiekiem – odpowiedział Stiepan, który cały czas siedział ze spuszczoną głową. – Złym, bo zabił swoich synów.

Trafna uwaga młodego Pawłyczki sprawiła, że na chwilę wszyscy zamilkli.

– Z okupantami się walczy – pierwszy odezwał się Fedor. – Kiedy Polaków nie będzie, to uzyskamy wolność.

– No to trzeba ich wymordować – Roman Dywczuk flegmatycznie cedził słowa.

– Co ty mówisz? – Stiepan nie krył zaskoczenia. – Kogo trzeba wymordować? Polaków?

– Polaków – Dywczuk kiwnął głową.

– A Grzesiek i Michał? Co z nimi?

Dywczuk wypluł przeżuwaną trawę i w milczeniu podniósł się z kamienia.

Kosów

Siedzieli na tarasie kawiarni Nad Hukiem, zawieszanej na skale wysoko nad wodospadem. W milczeniu podziwiali panoramę Karpat, bystry nurt Rybnicy z pensjonatem „Na skale” i pływające w dole kajaki.

– Mieszkam razem z dziadkiem – głos Miriam ledwie przebijał się przez szum wody rozpryskującej się na skałach. – On urodził się w Kosowie i pewnie tutaj umrze. O mieście wie wszystko i godzinami może o tym opowiadać – rumieniąc się, przytrzymała sukienkę zuchwale podwiewaną przez wiatr. – A ty? – zapytała przymilnie. – Znasz historię Kosowa?

– Nie, nie znam – powiedział zdawkowo, nie mogąc oderwać oczu od jej kolan.

– No widzisz – przekomarzała się – a przecież Kosów leży tak blisko Kut.

Chociaż dobrze widziała, że nie historia miasta w tej chwili interesuje Izaaka najbardziej, to postanowiła zrobić mu wykład.

– Nazwa miasta wywodzi się od rodu Kossakowskich – zaczęła z poważną miną. – To oni w XV wieku wybudowali zamek na Górze Miejskiej i byli fundatorami pierwszego modrzewiowego kościoła.

– Nie wiedziałem – przyznał zakłopotany.

– A o doktorze Tarnawskim słyszałeś? – zapytała, ale nie czekała na odpowiedź. – Doktor Apolinary Tarnawski w 1891 roku we wsi Smodna przy trakcie do Kut otworzył słynny dzisiaj zakład leczniczy. Kuracjusze przyjeżdżają tutaj z całej Polski. Mieszkają w willach i są leczeni w sposób naturalny, bez leków chemicznych.

– Tak, o metodach doktora Tarnawskiego słyszałem, a jeśli dopuścisz mnie do głosu, to coś ciekawego ci powiem.

– Pozwolę – kiwnęła głową – bo jeszcze pomyślisz, że jestem gaduła.

– W zakładzie doktora Tarnawskiego obowiązuje jarska kuchnia, przestrzeganie rozkładu dnia oraz regulaminu – mówił z uśmiechem. – Dzień zaczyna się pobudką o szóstej, gimnastyką na świeżym powietrzu i spacerem bospo po rosie. Później lekkie śniadanie, kąpiel solankowa, zimna kąpiel w

rzece, spacer rozgrzewający, obiad, a po nim odpoczynek. Po lekkim podwieczorku znowu gimnastyka i lekki bieg. Kolacja jest o ósmej, a później wszyscy idą spać.

– Tak właśnie jest – przyznała. – Hartowanie ciała i ducha, bez żadnych kulinarnych uciech. – No co? – zaintrygował ją tajemniczy uśmiech, który pojawił się nagle na twarzy Izaaka.

– O co chodzi?

– Tak mówią ci – Izaak roześmiał się na głos – którzy w zakładzie doktora Tarnawskiego nigdy nie byli. To, co naprawdę przyciąga letników z Warszawy, nie jest w Kosowie, ale w Kutach. Prawda, że leczenie bardzo drogie, że wczesna pobudka i gimnastyka, ale później jest ciężka praca, polegająca na zbieraniu kamieni i wywożeniu ich na taczkach.

– Nie rozumiem – przerwała mu w pół słowa – co do tego mają Kuty?

– Jak będziesz mi przerywać, to nigdy się nie dowiesz – Izaak nagle spoważniał. – Znasz kuchnię ormiańską? – zapytał.

– Nie. Nie znam, bo nie jest kosztowna.

– Kuracjusze doktora Tarnawskiego są wożeni autem do wód w Burkucie nad Czarnym Czeremoszem – oparł łokieć na poręcz ławeczki. – Kiedy jadą przez Kuty, zawsze zatrzymują się przed Gospodą Ormiańską pani Klementyny Janowiczowej, a przewodnik grupy zamawia torty orzechowe, nugaty, czarną kawę i lody. Po przyjęciu takiego zamówienia ciocia Klimcia, jak nazywają ją wszyscy znajomi, zamyka gospodę, a kuracjusze po powrocie z górskiej wycieczki zjadają wszystko do ostatniego okruszka. W Kosowie mają ascezę, a odbijają to sobie w Kutach.

– O tym nie wiedziałam – przyznała zaskoczona.

Kiedy schodzili wąską ścieżką, nie odzywała się przez całą drogę. Zatrzymali się na skalnej półce, chronionej drewnianymi barierkami. Stali wpatrzni w wodną kipieli wodospadu Huk, smagani wilgotną bryzą niesioną przez wiatr. Milczeli, a jego najbardziej cieszył dotyk ramienia dziewczyny.

Rybaki

– Niedobrze dzieje się w Rybakach – Maciej Jakubowski, ojciec Michała, upił łyk lipowej herbaty.

– Oj, tak, królu ty mój – Edward miarowo kiwał głową – Ukraińcy panoszą się, policja ledwie sobie radzi. Strach pomyśleć, co by stało się, gdyby zbrakło policji. Jednak to wszystko można zrozumieć jakoś. Nie powiem, żeby pochwalić, co to, to nie, ale zrozumieć można. Powiedz, Macieju – położył dłoń na ramieniu syna – ilu Ukraińców w Rybakach żyje?

– We wsi jest pięćset dwadzieścia numerów [26].

– A polskich rodzin to ile jest?

– Trzydzieści dwie, ale jakie ma to znaczenie?

Edward podszedł do okna i odsłonił firankę. Chwilę obserwował gościniec, kręcąc przy tym głową, a w końcu wrócił na swoje miejsce.

– Nie wiesz, królu ty mój, jakie to ma znaczenie? – pytał. – Moje wnuki, chociaż młode jeszcze, to wiedzą, a ty syn mój i nie wiesz? No powiedz, Michale – zwrócił się do najstarszego z trójki rodzeństwa – jakie to ma znaczenie?

– Dziadkowi chodzi o to, że tutaj jest Polska, a powinna być Ukraina, bo Ukraińcy zawsze tutaj mieszkali, a Polacy nie – chłopak spuścił głowę, obawiając się reakcji rodziny na takie obrazoburcze stwierdzenie.

– I Niemcy tutaj nie mieszkali – dodał Edward, patrząc wymownie na Herthę, która właśnie podawała do stołu. – Polacy, Austriacy, Niemcy i sam Bóg jeden wie, kto jeszcze, brali te ziemie jak swoje! Żydzi i Ormianie osiedli tutaj, bo nie mieli ojczyzny, ale my ją mieli. Tylko Ukraińcy byli tutaj zawsze, to ich ziemia, to oni są na prawie. Teraz takich nie brakuje, co bałamucą ich samostijną Ukrainą – przetarł rękawem spocone czoło. – Prawdę mówią, samostijna Ukraina musi powstać, ale nacjonalizm to rak jest najgorszy.

– Dziadek dobrze mówi – Grzegorz kiwnął głową. – Fedor, Roman i Stiepan już się z nami nie spotykają.

– Ale Oksana nic a nic się nie zmieniła – Ania rozłożyła ręce.

– Bo ludzie różni są, duszko ty moja – Edward położył dłoń na ramieniu wnuczki. – Jak drzewa w sadzie. Niby podobne, a każde inne.

Stanisławów

Ciasne korytarze Wojskowego Sądu Rejonowego w Stanisławowie wypełniała przemieszczająca się we wszystkich możliwych kierunkach cizba świadków, oskarżonych, ławników, konwojentów, protokolantów, skazanych, adwokatów i sędziów. Wszędzie panował zaduch, a zgiełk uniemożliwiał normalną rozmowę.

Miriam siedziała na drewnianej ławie tuż obok sali rozpraw, co chwila potrącana przez przeciskających się ludzi. Za drzwiami toczyła się rozprawa przeciwko kuckim Żydom, oskarżonym o przynależność do partii komunistycznej. Wśród nich był Izaak Wise.

Miriam, która dobrze знаła jego poglądy, wielokrotnie prosiła go, wręcz błagała o zaprzestanie działalności, którą polskie władze uznawały za nielegalną, a ona za sprzeczną z jej światopoglądem. Była ortodoksyjną Żydówką, zależało jej na zachowaniu wiary, wartości i obrzędów towarzyszących galicyjskim Żydom od wielu stuleci. Podobnie jak większość społeczności żydowskiej, broniła się przed wpływem szybko postępujących przemian społecznych, wynikających głównie z rozwijającego się przemysłu. Równie skutecznie opierała się asymilacji, ale też nie akceptowała różnych odłamów ruchu syjonistycznego, który w miasteczkach Galicji przeżywał bujny rozkwit.

Izaak był zupełnie inny. Uważał, że ortodoksyjność Żydów, ich przywiązanie do tradycji, popieranie ruchów religijnych, takich, jak wyrosły na Pokuciu chasydyzm, jest dobrowolnym zamykaniem się w psychologicznych gettach. „Dla nas to się źle skończy” – mówił wielokrotnie, kiedy ona niezmiennie trwała przy swoim. „Teraz to się może źle skończyć dla niego” – zamyśliła się.

Drzwi sali rozpraw zostały otwarte, a konwojenci kolejno wyprowadzali skazanych. Nie zauważyła, kiedy obok niej stanął ojciec Izaaka.

– Sześć miesięcy – szepnęła jej do ucha. – Skazali go na sześć miesięcy.

Paliwka

Stefan Nowak przyniósł wiklinowy kosz, wypełniony po brzegi dojrzałymi śliwkami, o tak pomarszczonej skórze jak twarz starej Waseleny Dmytrowicz.

– No i po robocie – postawił kosz na podłodze. – A wejdzie tu co jeszcze? – spoglądał z zadowoleniem na duży miedziany kocioł, wypełniony po brzegi rozpołowionymi, ociekającymi sokiem owocami.

– *Wy szczo, suside, wy bojitecja?* [27] – Iryna Krasiuk szturchnęła go łokciem. – Jak buchnie ogień pod kotłem i *kopyścią* [28] zamieszacie, to zobaczycie, że niejeden kosz jeszcze wsypiecie.

Rodzinę Nowaka lubili wszyscy mieszkańcy Paliwki. Być może z tego powodu, że od kilku lat wiodł niełatwy żywot wdowca, samotnie wychowywał dwie córki i dwóch synów. Wszyscy widzieli, jak ciężko pracuje, aby utrzymać rodzinę. Podziwiali go, bo dzieci miał jeszcze małe.

– *Nasz Stefan wse taky widważnyj* [29] – rozmawiały między sobą Ukrainki i Hucułki.

– *Hospodyn* [30] zabrał mu *czeladynę* [31], której ślubował, ale on nie szukał innej, tylko chował *detyny* [32], które jemu urodziła.

Kiedy umarła żona Stefana, najmłodszy Jaś miał roczek, Ewa cztery lata i tylko córka Kasia była dwunastoletnią panienką, która z konieczności zajęła się prowadzeniem domu. Na krótko jednak, bo już w następnym roku zamieszkała w bursie, rozpoczynając naukę w słynnym kołomyjskim gimnazjum.

– *Stefan widważnyj, ale žinka buła b jomu prydatnoju* [33] – zamyśliła się jedna z kobiet.

– *Czuczurny* [34] on taki i jeszcze nie stary, ale dziewczki dla niego trudno będzie znaleźć – Iryna Krasiuk przyznawała jej rację, kiwając głową. – Może Wiera? – wyrzuciła robaczywą śliwkę.

– A wy co? *Zsunęli sie z hluzdów jak pies jaki ze słomy?* [35] Ona za młoda, córką być może jego, a nie żoną. Jedyna nadzieja w Panu naszym.

– Wy Hospodyna w to nie mieszajcie, to nie dla niego robota, ale dla sważki Sofii.

– No nie wiem, czy dla sważki Sofii jest to praca? Może Stefan nie o naszych myśli, tylko o swoich? Kto go tam zresztą wie, o czym on myśli...

– A co wam się stało, że tak *paździokacie*? [36] – odezwała się inna. – Któryen chłop za babą nie obejrzy się, znacie takiego? Wszystkim tylko babska *huzycia* [37] w głowie, waszemu Witalijowi też!

– A wy skąd o tym wiecie? No, mówcie: skąd? – Iryna wycierała ręce o zapaskę.

Mimo chłodnego wieczoru w izbie Nowaka zrobiło się gorąco. Na szczęście kobiety skończyły już pracę. Jutro z rana gospodarz rozpali ogień pod kotłem i będzie mieszał śliwki do późnego wieczora. Później cała rodzina spróbuje tych powideł, które w wykopanej w ziemi piwnicy będą przechowywane aż do samego lata.

Na tołokę Ukrainki i Hucułki przyszły z córkami i synami, a każdy musiał przyznać, że miały się czym pochwalić.

– Wasza Galina harna diwczynońka jest – jedna z nich chwaliła córkę ciągle oburzonej Iryny Krasiuk, która nadal nie wiedziała, skąd wiedziały sąsiadki, że jej Witalijowi tylko babska *huzycia* w głowie.

– A Iwanowi to czego brakuje? – pytała druga.

– Diwczynońki mu brakuje. Nie widzicie, jak wzrokiem za córką Nowaka powłóczy?

– Za Kasią? Co też wy mówicie! Jemu do Olgi Demianiukowej spieszno.

– Do Olgi Demianiukowej? – kobieta wzruszyła ramionami. – Ona nie założy dla niego *gugli* [38], wspomnicie moje słowa. No, ale na dzisiaj z robotą koniec. Diwczynońki, zaczynajcie.

Galina, zawstydzona uwagami sąsiadek, zebrała inne dziewczyny. Coś poszeptaly między sobą i wkrótce całą izbę wypełniła śpiewana przez nie piosenka.

Oj, za toho Petrusia była mene matusia.

Oj, tycho, ne Petrus' bile tyczko, czornyj wus',

Oj, tycho, ne Petrus' bile tyczko, czornyj wus'.

Jak ne wydžu Petrusia, to wid żalu walu sia.

Oj, tycho, ne Petrus'...

*Jak pobaczu Petrusia, to pid boki berusia.
Oj, tycho, ne Petrus'...
Mene, matko, chot' ubyj, taki bude Petrus' mij.
Oj, tycho, ne Petrus'...
Nawaryła, napekła, a dla koho, dla Petra.
Oj, tycho, ne Petrus'...
Nema Petra, łyszeń Hryć, szkoda moich warenyc'.
Oj, tycho, ne Petrus'... [39]*

Iwan i inni chłopcy odpowiedzieli od razu:

*A ja, chłopec harnyj, taj ne wołociuha,
De chorosze diwcza czuju, tam perenoczuju.
Oj, ty harnyj Hryciu, ne czipaj za spidnyciu,
Bo meni maty kupyła, sztyry rubli zapłatyła.
Hryć mene, moja mamko, Hryć mene poliubyw,
Hryć meni, moja mamko, czerewyczki kupyw [40]*

Śpiewali i tańczyli, bo ktoś przyniósł skrzypczki i grał na nich to rzewne, to znowu skoczne melodie. Bawiła się młodzież, bawili się dorośli i tylko dziadkowie siedzieli na ławach, przyglądając się zabawie.

Już minęła północ, ale tołoka trwała w najlepsze. Jutro pójda wszyscy do Krasiuków, a za dwa dni do ich sąsiadów. Później do następnych i jeszcze do następnych, aż wszystkie śliwki zamienią się w powidła. Jeszcze później, kiedy nadejdą jesienne szarugi i zimowe zamiecie, będą spotykali się podczas darcia pierza i haftowania. Zawsze będzie z nimi muzyka, śpiew i taniec, bo taka jest tutaj tołoka. Jednak ta dzisiejsza już powoli zbliżała się do końca. Dwie młode mężatki zaczęły się ubierać. Udawały, że zbierają się do wyjścia, ale ciągle zerkały chłopaków. W końcu tak im zaśpiewały:

*I szumyt, i hudyt, dribnyj doszczyk ide.
A chtoż mene, mołodeńku, do domońku powede?
A chtoż mene, mołodeńku, do domońku powede?
Rozhulaw sia kozak na sołodkim medu.
Hulaj, hulaj, diwcza lube, ja tia do dom powedu.
Hulaj, hulaj, diwcza lube, ja tia do dom powedu.
Oj, proszusz ja tebe, ne wedyż ty mene.
Bo ja maju muža złocho, bude byty mene,*

*Bo ja maju muža złocho, bude byty mene.
Na bik chłopci, na bik, didku muža nese.
Jak pobaczyt' mene z wamy, to ho triastia roznese.
Jak pobaczyt' mene z wamy, to ho triastia roznese [41].*

– Ja was odprowadzę – Stefan zaśmiał się głośno, udając, że to niby dla niego była ta piosenka.

– *My pidemo sami, ne treba nas widwodyty!* [42] – odpowiedziały obie dziewczyny z zalotnym uśmiechem.

– To dlaczego wy, *czortonietki* [43] jedne, tak śpiewacie i mnie, staremu wdowcowi, robicie nadzieję? – w głosie mężczyzny słycać było wcale niemałą nutkę żalu.

Rybaki

Chociaż opuszczona stodoła naprzeciw cmentarza pełna była młodych ludzi, to panowały w niej cisza i porządek. Zebrani rozmawiali szeptem, stosując się do zaleceń tych, którzy ich o spotkaniu powiadomili.

– *Witaju wsich* [44] – może trzydziestoletni mężczyzna poprawił futrzaną czapkę. – Przyjechałem ze Stanisławowa. To kawał drogi, ale docierają do nas sygnały, że wasza organizacja działa źle – zawiesił głos, a przez stodołę przebiegł szmer niedowierzania. – Wybuch wojny jest pewny – delegat uciszył gwar uniesieniem dłoni – a kiedy Niemcy uderzą na Polskę, my też wkroczymy do akcji. Dlatego musimy być dobrze przygotowani. Pamiętajcie o zasadach konspiracji. Nie zapominajcie, że za naszą działalność polscy okupanci wsadzają do więzień.

Pomruk oburzenia wypełnił stodołę, ale także ucichł, kiedy delegat podniósł rękę.

– Przyjechałem do was w jeszcze jednym celu – przerwał i szepnął coś do ucha towarzyszącemu mu mężczyźnie. – W imieniu Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów witam Romana Dywczuka, Fedora Primaka i Stiepana Pawłyckę. Od dzisiaj jesteście jej nowymi członkami. Jestem rad, że wstępuje do nas coraz więcej młodzieży – chluby i przyszłości naszego narodu.

Rok 1939

Kuty

*Synku mój, już los mnie wzywa w świat.
Rośnij zdrów i matki słuchaj rad.
Smutna dola pędzi ojca w dal,
Na samotność, łzy, cierpienia, smutek, żal.
Zawiodły mnie sny, synku mój,
Lecz spełnij je ty, synku mój.
Wśród szczęścia i pieśni niech los da ci żyć
I w matki objęciach przed smutkiem się kryć.
I módl się co noc, synku mój,
By Bóg dał ci moc, synku mój.
I przez długi ten czas pomyśl o mnie choć raz,
Zanim los złączy nas, synku mój.
I przez długi ten czas pomyśl o mnie choć raz,
Zanim los złączy nas, synku mój.*

Ledwie ucichł śpiew, ledwie zamilkły organy, a już ksiądz Szmaliński zwracał się z ambony do wiernych, którzy wypełnili po brzegi kościół katolicki w Kutach.

– Drodzy bracia, drogie siostry w Chrystusie Panu – zwyczajowo wypowiedane słowa dzisiaj brzmiały inaczej, jakby bardziej podniosłe i uroczyście. – Rano ogłoszono powszechną mobilizację! Ojczyzna wzywa dzisiaj swoich synów! Ojczyzna wzywa dzisiaj waszych mężów, ojców i braci! – wychylił się, jakby chciał zobaczyć tych, którzy stali pod amboną. – Czy można nie posłuchać tego wezwania? Czy można nie posłuchać tej prośby? – spoglądał na skupione twarze wiernych. – Odpowiedź jest jedna – nie można! Nie można nie posłuchać! Każdy z was musi odpowiedzieć na to wezwanie! Zostawcie swoich najbliższych i pójdziecie za głosem tej, która prosi o ratunek! Pójdziecie za głosem naszej wspólnej matki – Polski!

Ksiądz Szmaliński chciał jeszcze coś powiedzieć, ale ktoś zaintonował tęskną pieśń, która szybko wypełniła cały kościół.

*O, nie uciekaj, szara ptaszyno,
Skrzydłem odpędź me czarne sny.
O, nie uciekaj, bo łzy mi płyną,
Wygнанką jestem, tak jak i ty.*

*Na świat rzucona Bożym rozkazem,
Tulam się, biedna, wśród nocnej mgły.
Będziemy śpiewać i płakać razem,
Wygnanką jestem, tak jak i ty.*

Julia Pakosz stała w tylnej części kościoła, wpatrzona w Michała Jakubowskiego niczym w obraz Przenajświętszej Panienki wiszący na jednej z bocznych ścian. Powoli przesuwała się w jego kierunku, walcząc z napierającym ze wszystkich stron tłumem. Chwilę stała obok, a kiedy przebrzmiały słowa pieśni, pocałowała go w policzek.

– Uważaj na siebie – powiedziała. – Proszę.

Nie spodziewał się tego, ale zachowanie dziewczyny ośmieliło go na tyle, że odwzajemnił pocałunek.

– Ja wkrótce wrócę, Julio – dotknął jej ramienia. – Czekaj na mnie.

– Wszystkim, którzy muszą opuścić swoje rodzinne domy, ja z całego serca błogosławię! – ksiądz Szmaliński lewą rękę trzymał na piersi, a prawą uniósł wysoko w górę. – Niech dobry Bóg ma was zawsze w swojej opiece. Niech dobry Bóg zawsze bezpiecznie was prowadzi. Niech dobry Bóg pozwoli wam powrócić do waszych rodzin. Niech tak się stanie w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Rybaki

Edward Jakubowski miał siedemdziesiąt jeden lat i lubił Ukraińców. Jednak, chociaż jego rodzina mieszkała w Rybakach od wielu pokoleń, on w tym ukraińskim żywiole nie czuł się dobrze.

– To nie jest w porządku, królu ty mój – powtarzał przy każdej okazji – że tutaj jest polska administracja.

Dobrze pamiętał postępowanie polskich władz i kościoła katolickiego wobec ukraińskiej ludności, którego zupełnie nie akceptował. A to pracę w urzędach dostawali głównie Polacy, a to niechętnie wydawano pozwolenia na budowę ukraińskich szkół i grekokatolickich cerkwi. Jakby tego było mało, na Lubelszczyźnie przeprowadzono planową akcję wyburzania cerkwi, a przecież Ukraińcy to naród bardzo pobożny. Nawet w jego rodzinnych Rybakach podczas wakacji organizowano półkolonie jedynie dla polskich dzieci, chociaż to głównie Ukraińcy pracowali w polu. Edward wszystko to widział i na swój, z konieczności mocno ograniczony sposób, próbował czynić zadość zadawanym w jego odczuciu krzywdom.

Edward był weteranem pierwszej wojny światowej, którą szczęśliwie przeżył jako oficer armii austriackiej. Później wstąpił do Legionów, ale z racji sympatyzowania z poglądami Władysława Sikorskiego nie był lubiany przez piłsudczyków. W 1918 roku grypa hiszpanka zabrała mu ukochaną żonę, jednak po dwóch latach ożenił się ponownie z Marią, młodą i biedną, ale bardzo pracowitą dziewczyną, niewiele starszą od Macieja – jego syna z pierwszego małżeństwa.

W połowie lat dwudziestych kupił połoninę, na której od maja do września wypasał owce gospodarzy z Berezki i Paliwki. W tej pracy często towarzyszył mu Maciej, który dobrze poznał górskie ścieżki i bezdroża, huculskie obyczaje i język oraz temperament tamtejszych dziewcząt.

W stosunku do właścicieli owiec Edward był uczciwym człowiekiem. Innym *watahom* [45] zdarzało się kraść co ładniejsze sztuki na niedźwiedzia – jemu nigdy, chociaż mógł to robić, bo niedźwiedzie były widywane w tych stronach.

Edward nie był zbyt religijnym człowiekiem. Do kościoła nie chodził, czasem widywano go w cerkwi. Raz był nawet w synagodze na nabożeństwie żałobnym po śmierci lubianego przez Żydów Józefa Piłsudskiego. Tuż po

zakończeniu pierwszej wojny światowej jego syn Maciej ożenił się z Herthą, Niemką, którą poznał przypadkowo w kolonii Hasedorf koło Kołomyi.

Maciej i Hertha zamieszkali w Rybakach, a w ciągu sześciu lat urodziło się im troje dzieci – Michał, Grzegorz i Anna. Kiedy Edward podupadł na zdrowiu i wolał pilnować gospodarstwa w Rybakach niż owiec na wysokich połoninach, Maciejowi zaczął pomagać syn Michał. Odziedziczył on po ojcu zawadiacką naturę, zamiłowanie do śpiewu i tańca oraz skłonność do bójek. Michał miał wyjątkową pamięć i zdolności do nauki języków. Już po dwóch latach tak dobrze poznał mowę miejscowych Ukraińców i huculską gwiarę, że i jedni, i drudzy traktowali go jak swojego człowieka.

Grzegorz był bardzo spokojnym chłopakiem, otwartym i tolerancyjnym. Jego postawa zjednywała mu licznych przyjaciół wśród polskich oraz ukraińskich rówieśników.

Anna nie wyróżniała się szczególną urodą ani wyjątkowymi zaletami charakteru, była jednak bardzo pracowitą i zaradną dziewczyną.

Maria szła właśnie do stajni, aby napoić konia i krowy, kiedy usłyszała głośne *Dobryden* [46]. Kiedy postawiła wiadra i odwróciła się, ze zdziwieniem zobaczyła trzech młodych mężczyzn stojących obok studni. Ich wychudzone twarze, pokryte kilkudniowym zarostem, wydawały się jej znajome.

– *Ne piznajete nas?* [47] – zapytał jeden z nich.

– Poznaję – z trudem przywołała w pamięci nazwisko Fedora Primaka oraz twarze Romana Dywczuka i Petro Szlowki, którzy mieszkali na drugim końcu wsi. – Pewnie, że poznaję.

– Idziemy z Kosowa i chcemy się napić – Primak oparł się o drewniany słup, podtrzymujący dach studni, na którym przycupnął blaszany kogucik. – Dajcie nam wody.

– Woda w wiaderku jest, a garnuszek na studni – głos Marii się łamał.

Dywczuk i Szlowka pili długo i równocześnie, jakby na komendę, wytarli dłońmi usta. Chwilę stali, szepcząc coś między sobą, a w końcu ruszyli w dalszą drogę. Primak celebrował picie.

– Dzisiaj o wodę prosimy, ale niedługo będzie inaczej – ujął kubek w obie dłonie. – Nie ma już waszej Polski i to wy będziecie prosili nas –

Ukraińców! Nawet nie domyślcie się, o co będziecie nas prosili – postawił kubek na studziennej cembrowinie, podziękował i odszedł.

Maria usiadła na ławce. Widok zwolnionych więźniów, których Rybaki spodziewały się zobaczyć dopiero za kilka lat, zrobił na niej przygnębiające wrażenie, a słowa Primaka przeraziły ją. Dobrze wiedziała, kim oni byli.

Roman Dywczuk – sadysta znęcający się nad własną rodziną. Bił sąsiadów, którzy próbowali pomóc jego siostrze i rodzicom, kiedy wpadał w szal. Podejrzewano go o liczne kradzieże, jednak czuł się bezkarnie, ponieważ żaden z pokrzywdzonych nie miał odwagi donieść o tym policji. Dopiero brutalne zabójstwo Michajła Pływki w sąsiednich Kamielnikach zmieniło sytuację i Dywczuka skazano na karę dożywotniego więzienia.

Życie Fedora Primaka było bardziej złożone. Jego ojciec walczył w armii austriackiej podczas pierwszej wojny światowej. W 1918 roku, jako żołnierz pułku Strzelców Siczowych, brał udział w walkach o Lwów. Podczas potyczki z oddziałem polskich licealistów i studentów został ranny i od tamtej pory zaczął bać się Polaków. Nie interesował się polityką i z nostalgią wspominał czasy Monarchii Austro-Węgierskiej. Po wojnie założył warsztat tkacki i wyrabiał płótno dla okolicznych mieszkańców. Matka Fedora była córką popa. Wyszła za mąż w grudniu roku 1918, ciesząc się z ogłoszonej właśnie niepodległości Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej. Aktywnie działała w strukturach Ukraińskiej Wojskowej Organizacji, a w latach trzydziestych, już jako działaczka OUN, zajmowała się rozpoznaniem dla bojówek tej organizacji. Fedor także był przyuczony do zawodu tkacza, jednak ta praca zupełnie go nie interesowała. W końcu zajął się przemysłem. W Kamielnikach poznał Mirko Stankowycza, którego także nie pociągały tradycyjne zawody i razem zaczęli chodzić przez Czeremosz na rumuńską Bukowinę. Kupowali orzechy, które sprzedawali na targu w Kosowie. Podczas jednej z wypraw obaj wpadli w zasadzkę. Rumuńscy policjanci zastrzelili Stankowycza, a Fedora złapali i bez wyroku sądu wymierzili mu karę trzydziestu batów. Pobitego i ledwie żywego przekazali polskiej straży granicznej, ta policji i wkrótce znalazł się w więzieniu. Nie był to jego pierwszy występki przeciwko prawu, więc otrzymał wyrok trzech lat więzienia.

Berezka, Paliwka

– *Os' majemo wijnu, Ol'go!* [48] – głos Iwana Krasiuka był pełen entuzjazmu.

– *A czoho ty znoł tiszyszsja?* [49] – pytała zdziwiona, kiedy przechodzili przez rozległą *kiczere* [50], stanowiącą umowną granicę między Paliwką i Berezką. – *Adże kożna wijna nedobra tomu, szczo hynut' l'udy* [51].

– To prawda, wojny są złe, ale nie ta, Olgo, nie ta. Niemcy rozbiją Polskę i będziemy mieli samostijną Ukrainę – słowa, które sam wypowiedział, tak bardzo go wzruszyły, że objął dziewczynę i pocałował.

– Teraz to mnie całujesz, a innym razem robisz to samo z tą twoją Polką – zawstydzona, odepchnęła go delikatnie.

– Co ty mówisz, Olgo? – zmieszał się. – To nieprawda! Tak, spotykam się z Kasią, bo to mądra dziewczyna i lubię z nią rozmawiać, ale nigdy jej nie pocałowałem – tłumaczył się nieporadnie. – Nawet nie trzymałem jej za rękę.

– To dlaczego się spotykacie?

– Już ci mówiłem, że lubię się z nią spotykać, bo to mądra dziewczyna, ma swoje zdanie i...

– Chcesz powiedzieć, że ja nie jestem mądra i nie mam swojego zdania?

– Co też tobie przyszło do głowy? – wił się jak wąż nadeptany nogą nieostrożnego wędrowca. – Przecież z tobą też się spotykam. Rozmawiamy, trzymamy się za ręce i nawet całujemy! – bronił się rozpaczliwie. – Z Kasią tego nie robię.

– Och, Iwanie, Iwanie – Olga przystanęła. – Duże z ciebie dziecko, ale i tak ciebie lubię.

– Czy tak bardzo mnie lubisz, że zostaniesz moją żoną i urodzisz moje dzieci? – ukląkł przed nią.

– W samostijnej Ukrainie? – zapytała przymilnie, z ledwie widocznym uśmiechem.

– Tak, w samostijnej, zresztą nieważne, w jakiej – wstał. Objął dziewczynę i obsypał ją dziesiątkami pocałunków.

– Będę twoją żoną i będę rodziła twoje dzieci, ale nie rozbudzajmy namiętności, Iwanie – odepchnęła go delikatnie. – Pamiętaj, że zanim

staniemy w cerkwi przed popem Atanasijem, ja w swoim domu będę siadała na dzieży i muszę być czysta.

Rybaki

Jewdokia i Myrosław Pawłyczko wraz z córką Oksaną i synem Stiepanem mieszkali w środku wsi i byli najbogatszymi gospodarzami w Rybakach. Rodzina Pawłyczków lubiła Jakubowskich i nie wykazywała zainteresowania działalnością tajnej, nacjonalistycznej organizacji. Ta postawa sprawiła, że otoczeni zostali murem nieufności i niechęci ze strony ukraińskich sąsiadów. Kiedy we wrześniu 1939 roku polska administracja przestała istnieć, rodzina Pawłyczków doświadczała coraz wyraźniejszych oznak tej wrogości. Zabito im psa, wyłamano drzwi, a przez okno wrzucono do izby kamień. To wszystko działo się w nocy, czyniąc te zdarzenia jeszcze bardziej ponurymi. Chociaż Stiepan należał do OUN i prosił ojca, aby zmienił poglądy, ten jednak zawsze odpowiadał, że sumienie każdy człowiek ma tylko jedno, a jego mówi, że nie wolno głosić nienawiści wobec innych ludzi.

– Kartofli byś na obiad przyniósł – Jewdokia dokładała do pieca.

Myrosław z wiklinowym koszykiem wyszedł na werandę, ale jego uwagę zwróciła grupa żołnierzy idących środkiem gościńca. Szli powoli i widać było, że są przygnębieni i zmęczeni.

Pawłyczko uważnie się im przyglądał. Wkrótce rozpoznał Macieja i Michała Jakubowskich. Zostawił koszyk na werandzie i wyszedł na gościniec.

– *Panowe, wy duże wtomleni* [52] – zagroził im drogę. – Do mnie zachodźcie. Odpoczniecie, wody dam.

Żołnierze skorzystali z zaproszenia. Weszli do chaty, zdjęli plecaki, złożyli broń pod ścianą i bez słowa usiedli przy stole.

– Oj, wojna dla was skończyła się – Pawłyczko dał znak ręką i Jewdokia wyszła z izby.

– Walka nierówna była – kiwał ze współczuciem głową.

– Nierówna, ale... – odpowiedź Michała Jakubowskiego przerwał głuchy odgłos kroków. Do izby wpadli Dywczuk z Primakiem i kilku uzbrojonych mężczyzn. Wszyscy mieli czerwone wstążki przypięte do ubrań, a w dłoniach trzymali pistolety.

– *Pid stinu!* [53] – uderzony na odlew jeden z żołnierzy upadł na podłogę.

– Nogi w rozkroku i ręce na kark! – Dywczuk trzymał Polaków na muszce, a Primak sprawnie przeszukiwał kieszenie. – Nic nie mają! – krzyknął po chwili. Było jasne, że dwie lebelles i trzy mausery, które złożyli pod ścianą, były jedyną bronią, jaką posiadali. Napastnicy wycofali się pospiesznie, zabierając całe uzbrojenie.

– Co się z nimi stało? – Michał nie krył rozgoryczenia. – Kiedyś byliśmy przyjaciółmi.

– Panowie, uwierzcie mi – Pawłyczko był przygnębiony – ja z nimi w zмовie nie był. Ja ich nie prosił do chaty, tylko was – mówił przejęty, kiedy bez słowa wychodzili z izby.

Niedzielny poranek 17 września 1939 roku obudził się chłodny, ale wschodzące nad Bukowiną słońce i pasma mgieł, pokrywające pastwiska i pastewniki nad Czeremoszem, zapowiadały pogodny dzień. Skąpe wiadomości, docierające z frontu, nie pozostawiały wątpliwości, że sytuacja wojenna jest poważna. Wojsko polskie wszędzie cofało się przed niemiecką nawałnicą.

Edward Jakubowski chodził bez wyraźnego celu wokół domu, zdając się nie słyszeć głośnego ryczenia krów, które zwykle o tej porze pasły się już nad Czeremoszem. Edward należał do Ochotniczej Straży Obywatelskiej, która polskim mieszkańcom Rybak dawała jeszcze złudzenie istniejącej państwowości. Jego obowiązkiem było czuwanie nad porządkiem we wsi, a w sytuacji krytycznej zabezpieczanie ważnych obiektów użyteczności publicznej, do których w Rybakach zaliczono kościół katolicki, cerkiew i szkołę. Czuł spoczywającą na nim odpowiedzialność, ale jako człowiek zwyczajnie wątpił. Grupki uciekających żołnierzy, którzy porzucali broń lub byli rozbijani przez ukraińskich nacjonalistów, stanowiły wyraźny dowód agonii państwa. Nie mógł nosić broni, a ludzie rozpoznawali, że jest na służbie, po pokaźnych rozmiarów lasce z dębowego drewna, z którą, wychodząc do wsi, nigdy się nie rozstawał. Chociaż mógł kontrolować wszystkich, to nie nadużywał tego prawa. Dochodziła ósma, kiedy usłyszał cichy, stopniowo narastający szum. Zaciekawiony wyszedł na gościniec, na którym kilku młodych Polaków o czymś głośno rozmawiało. Od strony

Śniatyna zbliżała się kolumna pojazdów i Edward pospiesznie wrócił po dębową łaskę. Kiedy samochody dojeżdżały do zagrody Pawłyczków, stanął na środku drogi i podniósł prawą rękę. Kawalkada pojazdów zatrzymała się. Podszedł do wojskowego łazika prowadzącego kolumnę i zagadnął kierowcę. Rozmawiali krótko, a w końcu Edward stanął na poboczu gościńca i znieruchomiał w postawie na baczność.

– Już jest po Polsce – powiedział do młodych zrezygnowanym głosem, kiedy minął ich ostatni samochód. – Dzisiaj rano Armia Czerwona przekroczyła Zbrucz, a w tej kolumnie był prezydent Ignacy Mościcki. Pojechali do Kut i tam przekroczą granicę.

Kuty

Izaak szedł ulicą Śniatyńską, kiedy z tyłu dobiegł go dziwny hałas. Odwrócił się i zobaczył dwa czołgi jadące środkiem ulicy. Dziwne to były pojazdy. Ogromne, z krótką armatnią lufą i czerwoną gwiazdą, pełzły wolno, wzbudzając strach wśród mijanych przechodniów.

– Rosjanie – mruknął pod nosem.

Kiedy doszedł do miejsca, w którym ulica Śniatyńska łączy się z Kolejową, zauważył średniego wzrostu mężczyznę w wojskowym mundurze, wychodzącego z piekarni Różankowskiego z bochnami chleba ułożonymi na ręku. Kierował się w stronę wojskowej ciężarówki, stojącej przed kościołem ormiańskim. Kiedy od pojazdu dzieliło go zaledwie kilka kroków, odwrócił się, usłyszawszy dudnienie. Stał, patrząc w głąb ulicy, a kiedy pierwszy czołg wyjechał z za zakrętu, sięgnął po pistolet. W tej samej chwili powietrzem targnęła seria z karabinu maszynowego. Mężczyzna upadł. Chleby rozsypały się na ulicę i chodnik. Kierowca ciężarówki zostawił leżącego i ruszył z impetem w kierunku przejścia granicznego na Czeremoszu. Załogi czołgów nie przejęły się zaistniałą sytuacją i spokojnie wjechały na rynek.

Ludzie w popłochu rzucili się do ucieczki, starając się jak najszybciej oddalić od miejsca zdarzenia. Izaak także biegł co sił w nogach.

– Rabbi, rabbi! – krzyczał z daleka, widząc Mosze Rozenfelda stojącego przed synagogą. – Stało się wielkie nieszczęście! – ledwie łapał oddech. – Rosjanie zabili jakiegoś człowieka.

Rabbi odwrócił się dostojnie, rozczesując palcami długą, siwą brodę.

– A kto zginął? – zapytał. – Czy to był ktoś z naszych? Jego głos nie zdradzał najmniejszych oznak niepokoju.

– Nie, rabbi – Izaak oddychał ciężko. – To jakiś wojskowy.

– Widzisz, Izaak – rabbi położył dłoń na jego ramieniu – we wszystkim, co nas otacza, we wszystkim, co się wokół nas dzieje, trzeba szukać dobrych rzeczy. Ktoś zginął, była śmierć i to jest zła wiadomość. Dobra wiadomość jest taka, że to nie był nikt z Żydów, a jeszcze lepsza, że to nie był nikt z twojej rodziny.

– No tak – oczywistości stwierdzeń rabbiego Izaak mógł tylko

przytaknąć. – Ma rabbi rację.

Rabbi był powszechnie szanowanym człowiekiem, który wszystko potrafił wyjaśnić, najtrudniejsze spory zażegnać, a najtwardszych wrogów pojednać. Izaak przypominał sobie spotkanie sprzed roku w synagodze. Tyle dobrych rad usłyszeli wtedy zebrani, więc i on je pewnie też teraz dostanie.

– Rabbi, zginęli ludzie i ja się boję, że nas Żydów czeka taki sam los – powiedział niepewnie.

Mosze Rozenfeld zamyślił się.

– Widzisz, Izaak, jaki los nas Żydów czeka, tego nie wie nikt, no, może z wyjątkiem naszego Jahwe – powiedział filozoficznie. – Na wojnie wszystko jest możliwe, ale dzisiaj są dobre wiadomości. Wracaj do domu i nie martw się. Szalom.

Izaak szedł wolno opustoszałymi uliczkami Kut. Mijał parterowe domy, ukryte wśród orzechowców, śliw i jabłoni. Wkrótce dotarł do Czeremoszu. Usiadł na kamieniu i patrzył na drugi brzeg, gdzie za wodą była spokojna rumuńska Bukowina. Do domu wrócił wieczorem.

– Gdzie ty się podziewałeś, Izaak? – matka pytała już w drzwiach głosem pełnym niepokoju.

– Nie wolno wychodzić bez potrzeby. Teraz jest tak niebezpiecznie. No idź umyj się, zaraz będzie kolacja.

Zdziwił się, kiedy po kolacji ojciec zapytał go, czy pamięta, kto napisał powieść *Kariera Nikodema Dyzmy*.

– Dołęga-Mostowicz – odpowiedział bez zastanowienia.

Ojciec w milczeniu kiwał głową.

– Dzisiaj na ulicy Kolejowej Rosjanie go zastrzelili – spojrzał z troską na syna.

Kosów

– Ja muszę to zrobić – Izaak objął Miriam i delikatnie pocałował. – Nie widzisz, co się tutaj dzieje? Nie ma policji, nie ma wojska, a Ukraińcy napadają na nas, biją i kradną. Musimy się bronić – poprawił kaburę ze

zdobyczym pistoletem. – Nie bój się, nie wsadzą mnie do więzienia, policji już nie ma.

– Boję się Ukraińców – przytuliła się do niego. – Nie chcę, żeby tobie stało się coś złego.

Uśmiechał się, gładząc jej czarne włosy.

– Izaak – zawahała się na krótką chwilę. – Chcę zostać twoją żoną.

Rybaki

– Zapalenie płuc. On mieć ciężkie zapalenie płuc. Musi leżeć i koniecznie wy postawić mu bańki, tak ze czterdzieści – Żyd Dawid Jurgiel z Kut, którego Maciej Jakubowski przywiózł konnym zaprzęgiem, schował do kieszeni pięć złotych, a jajka i słoik z miodem włożył do skórzanej torby, z którą podczas domowych wizyt nigdy się nie rozstawał. Wszyscy wiedzieli, że bardzo lubił, kiedy wychodząc od chorego, nie mógł torby dopiąć.

Przy łóżku Grzegorza Hertha ustawiła na stoliku dwadzieścia szklanych baniek, zmieniła watę na leszczynowym patyku, do małego słoiczka wlała denaturatu, a do szklanki wypełnionej pszenicą włożyła żółtą woskową świecę. Kafłowy piec dawał przyjemne ciepło.

Kobieta zapaliła świecę, umoczyła w denaturacie koniec patyka owinięty watą i przetarła nim od środka kilka baniek, które położyła na lnianym obrusie. Powoli odkryła plecy syna. Grzegorz ciężko dyszał, złożony czterdziestostopniową gorączką.

Nasączoną denaturatem i zapaloną od świecy watę na patyku przykładła do wnętrza baniek, które wprawnie kładła na plecach syna.

– To silne zapalenie – skinęła na córkę. – Zobacz, jak ciągną i jakie są czarne. O, tutaj nad łopatką. Przykryła Grzegorza grubą puchową pierzyną.

– Przyjdę za kwadrans – oznajmiła. – Zostań przy nim, Aniu. Dziewczyna usiadła obok łóżka brata.

– Nie możesz iść z Adamem i Kazikiem – powiedziała szeptem.

– Nie, nie mogę – Grzegorz z trudem łapał powietrze. – Jestem taki słaby.

Ich rozmowę przerwało ciche pukanie do okna. Anna odchyliła firankę, ale w wieczornych ciemnościach nikogo nie dostrzegła. Już miała odejść, kiedy pukanie rozległo się ponownie. Ostrożnie otworzyła okno.

– To ja, Adam, nie poznajesz mnie? – usłyszała znajomy głos. – Jak się Grzesiek czuje?

– Jest bardzo chory. Doktor Jurgiel był i kazał postawić bańki.

– Pamiętasz, że to już jutro? – w głosie Adama słychać było niepokój.

– Pamiętam, ale Grzesiek nie pójdzie.

Podłoga w sieni zaskrzypiała i Anna pośpiesznie zamknęła okno. Do pokoju weszła Hertha.

– No i co z Grześkiem? – poprawiła firankę. – Nie marudził?

– Nie, mamu, wszystko dobrze.

Hertha położyła bańki na drugą stronę pleców i znowu wyszła z pokoju.

Brak polskiej władzy spowodował żywiołowe powstanie ukraińskiej milicji, która sama nazywała siebie internacjonalistyczną, a w rzeczywistości była komunistyczno-nacjonalistyczna. Dla Polaków najgorsze były noce, kiedy często ktoś pukał do drzwi i okien, a później znikał w ciemnościach. Czasem dom obrzucano kamieniami i wybijano szyby. Nie było można poskarżyć się Rosjanom, bo oni wykazywali dużo zrozumienia dla tego rodzaju działań. We wsi zaczęto mówić o przygotowywanych listach osób, które miały być wywiezione na Sybir. Wydatną pomocą w tworzeniu tych list służyła Rosjanom ukraińska milicja, dobrze znająca miejscowych Polaków. Do mieszkańców Rybak docierały też skąpe wiadomości o ciągle trwającej ucieczce do Rumunii żołnierzy z rozbitych oddziałów wojskowych. To wszystko tak bardzo oddziaływało na młodzieńczą wyobraźnię, że ucieczki na Bukowinę stawały się coraz częstsze. Oni do tej ucieczki szykowali się od miesiąca, a robili to w najgłębszej tajemnicy. Anna wypchała plecak Grzegorza chlebem, powidłami, smalcem, słoniną, szynką i schowała go głęboko w sianie. Z trójki uciekinierów Grzesiek był najstarszy, Adam Rostoński o rok młodszy, a Kazik Pielik miał tylko czternaście lat.

Hertha zdjęła bańki i natarła plecy maścią ziołową. Wysoka gorączka sprawiła, że Grzegorz wkrótce zasnął.

*Dziki burze zahuczały, zaszumiły wiatry,
A z Wawelu Orzeł Biały schronił się gdzieś w Tatry.
I tam uczył swe pisklęta przed obliczem Boga,
Że Ojczyzna – wiara święta, a zemsta dla wroga.
Wspomnij, Kraku ukochany, gdzie wieki drzemały.
Powróć, powróć, królu ptaków, powróć, Orle Biały.*

Zlany potem zbudził się ze snu, w którym matka, siedząc przy nim, śpiewała piosenkę o Białym Orle. Tak było naprawdę jeszcze kilkanaście lat temu, tyle że nie matka go usypiała, ale babcia, nucąc piosenkę przekazywaną z pokolenia na pokolenie w czasach, kiedy wolnej Polski nie

było.

– Taki pech, Aniu – Grzesiek złapał się za głowę. – Taki pech. Teraz, kiedy już wszystko gotowe, ja mam zapalenie płuc.

Wiktor Pakosz z księdzem Szmalińskim odjechali już do Kut, a Polacy wychodzili z kościoła, szczęśliwi, że Rosjanie nie zabronili jeszcze odprawiania niedzielnych mszy świętych.

– Tak się cieszę, że wróciłeś cały i zdrowy – Julia podbiegła do Michała, który samotnie wracał do domu. – Wiesz – wzięła go pod rękę – bardzo bałam się o ciebie.

– Ja też się cieszę – mówił ściszym głosem. – Cieszę się, że czekałaś na mnie.

Szli jakiś czas w milczeniu, nie potrafiąc podtrzymać rozmowy.

– Tutaj, w Rybakach, nie ma przyszłości – Michał głęboko westchnął. – Rosjanie robią listy zesłańców, a ja... ja myślę o ucieczce na Bukowinę. Tylko nie mów o tym nikomu.

Julia zwolniła kroku, a później skręciła na ścieżkę prowadzącą do drogi cerkiewnej. Poszedł za nią, chociaż nie wiedział, dlaczego nie wracają do domu najkrótszą drogą.

– Nie rób tego, Michale – zatrzymała się przy krzaku dzikiej róży. – Tam jest wolność – patrzyła przez Czeremosz na bukowińską stronę – ale w Rybakach zostanie twoja rodzina. Nie wiesz, że wszystkich wywiozą na Sybir?

W jej oczach malowały się żal i smutek.

Rok 1939/1940

Z początkiem października 1939 roku powiat kosowski zajęła Armia Czerwona. Zwycięzcy przyszli w postrzępionych szynelach, niosąc karabiny bez pasów albo na sznurkach. Nie rozmawiali z nikim, niczego nie przyjmowali. Nie ruszali nawet owoców, które leżały na przyzmach w ogrodach i gniły.

W domu Jakubowskich zamieszkało dwóch Rosjan, ale nie byli uciążliwymi lokatorami. Od gospodarzy nie chcieli niczego, a po różne rzeczy, nawet po ciepłą wodę, chodzili do Ukraińca mieszkającego po drugiej stronie gościńca.

– Dlaczego nie mówicie, czego wam potrzeba? – zapytała kiedyś Hertha.
– Przecież podzielimy się z wami.

– Wy, Polaki, wy pany jesteście – odpowiedział lejtnant. – Możecie nam odmówić, a my honor mamy.

Jednak po tej rozmowie zaczęli przychodzić do Jakubowskich ze swoimi drobnymi sprawami.

Polskiej oraz ukraińskiej młodzieży nakazano uczyć się historii Rosji od zarania jej dziejów. Daty, nazwiska chanów mongolskich i kniazów dla niektórych były niemożliwe do zapamiętania.

– Znowu niczego nie umiesz – nauczycielka postawiła w dzienniku ledwie widoczną kropkę przy nazwisku Jakubowskiego. – Zostaniesz po lekcjach, Michale.

Po południu wypełniała dziennik, spoglądając od czasu do czasu na swojego ucznia.

– Dlaczego się nie uczysz? – zapytała, wiedząc, że ani razu nie zajrzał do podręcznika.

– Historii Polski bym się uczył, a tej nie będę.

– Michale – położyła dłoń na jego ramieniu – tak nie można. Musisz coś umieć. Naucz się chociaż jednego rozdziału. Kiedy zawołam cię do odpowiedzi, przyjdiesz z zeszytem otwartym na tym rozdziale i z niego ciebie zapytam – pouczała, prosząc o dyskrecję.

Jakubowskiemu pomysł się spodobał i od tej pory miał dobre stopnie z historii Rosji.

Po wkroczeniu Rosjan od razu zabrakło żywności. Towar z polskich i żydowskich sklepów został wykupiony, częściowo zrabowany, a nowych dostaw nie było. Rosjanie zaczęli zakładać spółdzielnie nazywane kooperatywami, ale panowała w nich okropna bieda. Ludziom mówili, że nie ma dostaw, bo trzeba najpierw przegłosować, aby Zachodnia Ukraina została przyłączona do Związku Sowieckiego. Przegłosowali i to, a towaru jak nie było, tak nie było. Czasem przywieźli parę kilogramów cukru i rozdzielali po dziesięć, najwyżej piętnaście deka. Jak się komu udało, to dostał, ale ogólnie rzecz biorąc, brakowało wszystkiego.

Prości Ukraińcy cieszyli się z nastania komuny. W listopadzie 1939 roku na święto rewolucji październikowej maszerowali przez wsie w pochodach, budowali bramy tryumfalne i wznosili okrzyki popierające Związek Radziecki. Jednak ten entuzjazm szybko opadł, bo wszyscy dobrze widzieli, co się dzieje i do czego to wszystko zmierza.

Miesiąc po zajęciu Polski władze radzieckie zorganizowały wybory do Zgromadzenia Ludowego Ukrainy Zachodniej. Towarzyszyły im nachalna propaganda i zastraszanie. Skutecznie uciszono przedwojennych działaczy, z reguły Polaków, wywożąc ich wraz z rodzinami na Sybir. Podobny los spotkał tych Ukraińców, którzy mieli odwagę publicznie krytykować władzę radziecką. Wybrane w ten sposób Zgromadzenie Ludowe poprosiło Radę Najwyższą Związku Radzieckiego o przyłączenie Ukrainy Zachodniej do tego państwa i ta prośba została spełniona. Ludzie w większości wybierali pod przymusem, ale było wielu takich, którzy uwierzyli sowieckiej propagandzie.

– Co robicie, dziadku, o tak wczesnej porze? – Michał zdziwił się, kiedy o świcie spotkał na drodze cerkiewnej starszego człowieka, nazywanego przez wszystkich Dudarzem.

– Aaa, ja z hołosowania wracam – staruszek uśmiechnął się zadowolony.
– Głosowałem i pierwszy wrzuciłem głos. Stalin już o tym wie.

Stalin nie wiedział, ale miejscowe władze – tak. Kiedy na wiosnę 1940 roku wyburzano część Rybak, domu dziadka nie ruszono, mimo że znajdował się w strefie wyznaczonej do rozbiórki.

W grudniu 1939 rodzinę Jakubowskich spotkała tragedia, której początkowo nic nie zapowiadało. Grzesiek był chory, ale jego dwaj koledzy nie zrezygnowali z ucieczki na Bukowinę. Jakubowscy jedli kolację, kiedy usłyszeli pukanie do drzwi. Do izby weszli Adam Rostoński i Kazik Pielik, obaj ubrani świątecznie.

– Niech pan sprawdzi, czy nie nadchodzi patrol graniczny – poprosił starszy z nich.

Na twarzy Macieja Jakubowskiego pojawił się grymas niezadowolenia.

– Czy wiecie, że Rosjanie wywiozą wasze rodziny na Sybir? – ostrzegął, jednak te argumenty nie docierały do chłopców. Dopiero wtedy Grzegorz zdał sobie sprawę z tego, że gdyby nie zachorował i uciekł razem z Adamem i Kazikiem, to wywóz na Sybir groził także jego rodzinie.

Radziecko-rumuńska granica była na Czeremoszu. Pilnowano jej jeszcze słabo, ale patrole już chodziły. Maciej poszedł na zwiady, a że był na swoim polu i przy swoim pastwisku, to nawet nie schodził z drogi cerkiewnej na tołokę. Rozglądał się na wszystkie strony, ale patroli nie zauważył. Nie dostrzegł też kilku ukraińskich chłopców, którzy ukryli się w łągach nad Czeremoszem.

– Możecie iść, droga wolna – powiedział po powrocie do domu. – Jednak zastanówcie się, czy warto.

Adam i Kazik pożegnali się i wyszli, a że byli ubrani odświętnie, od razu zwrócili uwagę ukraińskich chłopców. Zagłębili się już w nadrzeczne łągi, kiedy usłyszeli za sobą trzask łamanych gałęzi.

– Ktoś nas goni! – krzyknął Adam i obaj rzucili się do ucieczki.

Adam był zdrowy i sprawny więc łatwo uszedł pogoni, jednak Kazik od dzieciństwa utykał na nogę. Młodzi Ukraińcy złapali go i oddali Rosjanom, którzy podczas przesłuchania wymusili powiedzenie całej prawdy. Wieczorem po Macieja i Michała przyszli milicjanci. Obu zabrali do celerady [54] i zamknęli w małym pokoju, który przed wojną używany był jako tymczasowy areszt gminny. Najpierw wzięli na przesłuchanie Macieja. Długo trwało, nim oznajmili Michałowi, że on przesłuchiwany nie będzie i że jest wolny.

– A gdzie ojciec? – zapytał.

– Twój ojciec zaraz przyjdzie. Wracaj do domu.

Nikt go nie przesłuchiwał, nikt o nic nie pytał.

Kiedy ojciec nie wrócił na noc, Michał z rana poszedł do celerady. Tam powiedziano mu, że ojca zabrali pogranicznicy na placówkę graniczną w Rybakach. Chłopak poszedł we wskazane miejsce, ale i tam ojca już nie było. Dowiedział się, że ojca i Kazika wywieziono furmanką do Kołomyi. Michał i tam pojechał. Miał dla ojca paczkę żywnościową, jednak nie pozwolono mu jej doręczyć, a w końcu oznajmiono, że obu zabrano do Stanisławowa.

Kazik Pielik po jakimś czasie wrócił do Rybak, ale Maciej Jakubowski nie i ślad po nim zaginął. Po uwięzieniu Macieja rodzinie Jakubowskich groziła zsyłka na Sybir, jednak z nieznanых powodów Rosjanie tego nie zrobili.

W lutym 1940 roku zaczęły się pierwsze deportacje na Sybir i nagonka na wszystko, co polskie. Na religię, księży i Kościół. Księża z Kut i Kosowa co tydzień musieli stawiać się w NKWD na przesłuchania. Dorosłych spędzano kilka razy w tygodniu na wiece agitacyjne, trwające do północy, a czasem i dłużej.

W sklepach były pustki i wielogodzinne kolejki po chleb, cukier, a nawet sól, którą dowożono z daleka, bo słynną kosowską Salinę zamknięto. Michała Jakubowskiego również przesłuchiowano, pytano, gdzie ukrywana jest broń i kto jest w organizacji kontrrewolucyjnej.

Na wiosnę 1940 roku Rosjanie szykowali się do wojny z Rumunią, a część Rybak, która położona była przy drodze cerkiewnej, miała odczuć to w wyjątkowo bolesny sposób.

Z powodu spodziewanego frontu Rosjanie postanowili wyburzyć wszystkie domy leżące w pasie jednego kilometra od Czeremoszu. Pomiarów dokonywali nacjonalistyczni aktywiści z Rybak i celowo tak to zrobili, aby zniszczyć część wsi zamieszkałą w większości przez Polaków. Gdyby mierzyli od samej granicy, czyli od środka rzeki, to strefa wyburzania wielu domów by nie objęła, jednak oni mierzyli od odnogi Czeremoszu.

Doprowadzili w ten sposób do zniszczenia wielu polskich i ukraińskich domów. Celerada obiecała pomoc finansową dla przesiedleńców, ale było to tylko siedemset rubli, czyli równowartość ośmiu worków zboża. Jednak i tego nie dali wszystkim po równo. Bogaci gospodarze dostali po dwieście, a

biedni po dziewięćset rubli.

Jakubowskiemu nakazano zlikwidować las. Ponieważ odmówili, zrobili to za nich ludzie z innych wsi i zabrali wycięte drewno. Dom, stodołę i stajnię Jakubowski musieli rozebrać, a za tę pracę zapłacili ludziom zbożem i słoniną. Rodzina miała sześć dużych świń i kilka krów, a Rosjanie to wszystko zabrali. Kartofle zgniły w kopcu, bo nie było ich gdzie posadzić. Całe pole objęła strefa graniczna, do której nie pozwalano wejść nawet na chwilę. Nagle z dnia na dzień Jakubowski stali się bezdomni i zostali bez środków do życia. Z konieczności musieli przenieść się do zagrody przy gościńcu, w której zajęli jedną z dwóch izb. Wkrótce zaczęli nachodzić ich komsomolcy, zmuszając obu braci do darmowej pracy. Grzegorz i Michał mieli konia i pług, drugiego konia pożyczali od sąsiada i szli w pole. Orali od rana do wieczora i nie otrzymywali ani jedzenia, ani picia. Szybko, bo już na wiosnę w 1940 roku, Rosjanie zaczęli organizować kołchoz. Na jego potrzeby w pierwszej kolejności zajęli grunty wcześniej włączone do strefy granicznej, czyli łągi i sady, w których z powodu spodziewanych walk wycięto drzewa.

Na wiosnę miało dojść do walk o Bukowinę. Rosjanie obawiali się, że Rumuni zgromadzili znaczne siły po drugiej stronie Czeremoszu. Wysłany nocą zwiad, składający się z miejscowych przemytników, nie potwierdził tych obaw. Rosjanie przekroczyli rzekę i zajęli Bukowinę bez walki.

Nie lubili ani Polaków, ani Żydów. Jedynie w stosunku do Ukraińców zachowywali się w miarę poprawnie. Kiedyś Michał wybrał się do Kut i na targu spotkał Nataela Wise. Zapytał go, jak idą interesy. Pytanie nie było taktowne, bo Rosjanie znacjonalizowali już wszystkie tartaki, mleczarnie, garbarnie i sklepy, a Żydom zabierali pieniądze i biżuterię.

– Źle słyhać, pan Michał – odpowiedział Natael – bardzo źle słyhać. Amerykanie mnie obrabowali.

– Amerykanie? – zdziwił się Jakubowski. – Przecież tutaj nie ma Amerykanów. A co mówili ci Amerykanie?

– „Dawaj czasy” – mówili. „Dawaj czasy”.

– To nie Amerykanie pana obrabowali, ale Rosjanie – zaśmiał się Jakubowski.

– Może, to wszystko być może – Żyd rozłożył ręce – ale to pan Michał

powiedział, a nie ja.

Po wkroczeniu wojsk radzieckich Stiepan Pawłyczko, Fedor Primak oraz Roman Dywczuk, obawiając się prześladowań za przynależność do OUN, uciekli na Bukowinę. Kiedy jednak wiosną 1940 roku ona także została zajęta, młodzi Ukraińcy musieli się rozdzielić i ukrywać każdy na własną rękę. W konspiracji spotykali się ze sobą, ale z rodzinami w Rybakach nie mieli żadnego kontaktu. Latem 1940 roku Rosjanie ogłosili amnestię dla ukraińskich nacjonalistów i rodzina Pawłyczków odetchnęła.

– *Ne na taku ljudynu my chotily joho wychowaty* [55] – Myrosław nie mógł pogodzić się z faktem, że Stiepan należał do OUN. – Czemu innych on słuchał, a nas nie? – zadawał często pytanie. O Rosjanach Pawłyczko miał jak najgorszą opinię, ale w sprawie amnestii im zaufał.

Z niemałym trudem odnalazł syna w bukowińskim Milejowie, z jeszcze większym przekonał go do wyjścia z ukrycia. NKWD przesłuchało młodego Pawłyczkę i przydzieliło do pracy w Wyżnicy. Stiepan pracował przez sześć dni w tygodniu, a niedzielę spędzał w Rybakach z rodzicami i siostrą Oksaną. Roman i Fedor nie skorzystali z amnestii i pozostali w ukryciu aż do wybuchu wojny w 1941 roku.

Rok 1941

Rybaki

Celerada wyznaczyła termin deportacji Jakubowskich na dwudziestego siódmego czerwca.

– Za tydzień wywiozą nas – Maria płakała, tuląc Annę. – Tylko tydzień został nam.

Jakubowscy byli przygotowani do drogi. To, co pozwolono im zabrać, mieli spakowane, resztę zostawili ukraińskim sąsiadom. Nie wiedzieli, kto zamieszka w izbie, którą dotąd zajmowali, ale byli pewni, że wszystkie zwierzęta oddadzą Pawłyckom.

– One dobre ludzie, to i was dopilnują – mówiła Maria, czesząc zgrzebłem krowią szyję.

Edward co wieczór klęczał przed obrazem Chrystusa.

– Boże, a co my takiego zrobili, że każesz nam wyjeżdżać? – pytał. – Boże wszechmocny, zrób coś. Na kolana padnę i do kościoła pójde dziękować Tobie.

Edward wracał z łęgów nad rzeką, kiedy na gościńcu pojawiła się długa kolumna samochodów jadących z Kut w stronę Śniatyna. Zdziwiony przyspieszył kroku i wkrótce dotarł do pierwszych wiejskich zabudowań. Przed zagrodą Pawłyckiej natknął się na kilku Ukraińców.

– Dziękujcie Bogu, sąsiedzie! – wołał z daleka Pawłycko. – Jest wojna, nie powiozą was na Sybir – usiłował przekrzyczeć hałas jadących aut.

– Jaka wojna, królu ty mój?

– Niemce Sowietów napadli. To wy nic nie wiecie?

Maria była zdziwiona, kiedy mąż wkładał świąteczny garnitur, śnieżno-białą koszulę i muszkę. Nawet buty wyszukał najbardziej odświętne z odświętnych.

– A tobie co stało się? – zapytała.

– Spełnić Bogu dane słowo mi przyszło – Edward przejrzał się w lustrze i wyszedł z domu.

Stanął obok studni z blaszanym kogucikiem, ukląkł i przeżegnał się. Na kolanach wyszedł na gościniec, kierując się w stronę kościoła.

– Hospody, pomyłuj, Hospody, pomyłuj – Ukraińcy łapali się za głowy. –
Jakubowski całkiem zdurniał.

Kuty

– Szybko, szybko – Izaak wpadł zdyszany do jadalni. – Zbierajcie się, jest wojna. Rosjanie opuszczają koszary. Ledwie uprosiłem dla was miejsce.

– Uspokój się – Natael przerwał śniadanie, wycierając usta serwetką. – Nigdzie nie pojedziemy.

– Jak to? – Izaak z niedowierzaniem kręcił głową. – Jak to nie pojedziecie?

– Dziadek nie przeżyje podróży, a my nie zostawimy kamienicy. Poza tym nie mam zaufania do Rosjan. Zabrali nam garbarnię, nie pamiętasz?

– A ja nie wierzę Niemcom. Jak chcecie, ale to wasz wybór! – krzyknął z korytarza. – Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy.

Biegł co sił przez uliczki pełne wystraszonych ludzi i wkrótce znalazł się w koszarach.

– Jedźmy przez Kosów – prosił kierowcę rozklekotanej ciężarówki. – Tam mieszka Miriam, zabierzemy ją.

– Gównu mnie obchodzi jakaś baba! – kierowca sapał, kręcąc korbą rozrusznika. – Mnie tam życie miłe! A babę to jeszcze sobie znajdziesz.

Wyjechali z Kut, kierując się w stronę Śniatyna.

Kosów, Kuty, Rybaki

Przed ucieczką Rosjanie wysadzili w Kosowie żelbetonowy, łukowy most Salinarny, a w Kutach zbudowany w 1930 roku most drogowo-kolejowy. Powiat kosowski zajęli Węgrzy, którzy do Polaków odnosili się przyjaźnie, ale Ukraińców traktowali wrogo. Ta korzystna dla Polaków sytuacja nie trwała jednak długo. W sierpniu 1941 roku, wskutek interwencji Ukraińców, Węgrzy wycofali się za przedwojenną granicę Polski, a po dwóch tygodniach przyszła wiadomość, że wkrótce zjawią się Niemcy. Czekano na nich w Kutach i czekano w Kosowie, gdzie Ukraińcy zbudowali bramę tryumfalną. Po jej środku, na tle niemieckiej flagi umieścili portret Hitlera, a po bokach wstawili flagi ukraińskie z tryzubem oraz portrety Iwana Franki i Tarasa Szewczenki. Komitet powitalny i wielki tłum gapiów czekały siedem godzin.

Samochód ciężarowy, którym przyjechali Niemcy, zatrzymał się daleko od bramy. Wysiadło z niego sześciu żandarmów, którzy, rozglądając się wokół, podeszli do czekających ludzi.

Osiemdziesięcioletni staruszek, adwokat z zawodu, przywitał ich chlebem i solą, ale jego mowę w języku niemieckim przerwał jeden z żandarmów.

– Co to jest? – zapytał po polsku, wskazując bramę.

Zdumiony staruszek zaczął wyjaśniać, z konieczności również po polsku, znaczenie flag sino-żółtych oraz portretów. Jego słowa żandarm tłumaczył swojemu dowódcy.

– Portret Hitlera i flagę niemiecką zdjąć i zanieść na posterunek policji – rozkazał niemiecki oficer. – Resztę natychmiast rozebrać! – Raaaus! – warknął, kiedy adwokat próbował coś wyjaśnić. Bramę z portretami Franki i Szewczenki oraz sino-żółte flagi pocięto i spalono na posterunku policji. W czerwcu 1941 roku Rosjanie opuścili również Bukowinę, a rumuńskie wojsko jeszcze do niej nie powróciło i Bukowina stała się ziemią niczyją. Tę sytuację wykorzystali miejscowi Ukraińcy, dokonując rabunkowych napadów na Żydów.

Gospodarka kołchozowa zniszczyła pola i plony, a Niemcy ściągnęli kontyngenty i jesienią 1941 roku nastał głód. Jego skutki były tym większe, że nie wolno było jeździć po żywność do innych części Generalnej Guberni. Głód sprawił, że wielu Ukraińców zaczęło żałować upadku polskiego państwa i między sobą tak mówili:

Jak skazut: da, da – oj, to bida,

Jak skazut: gut – oj, duże bjut.

A tesz to hdy bude dobre,

Jak skazut: dzień dobry [56].

Michał Jakubowski zaczął przeprowadzać Żydów na Bukowinę. Czasem brał od nich pieniądze, czasem nie. Ten proceder nie trwał jednak długo. Podczas jednej z wypraw rumuńscy żołnierze zastrzelili Ukraińca, który wraz z Jakubowskim przeprowadzał Żydów, ale Jakubowskiemu udało się uciec. Bukowina bardzo krótko była bezpiecznym schronieniem dla kuckich Żydów. Po jakimś czasie Rumuni zaczęli wydawać ich Niemcom, a wśród deportowanych byli także ci, których przeprowadził Jakubowski. Widział ich na placówce granicznej, oni widzieli jego, ale udawali, że się nie znają.

Niemcy mieli dobre informacje o osobach trudniących się przemytem Żydów oraz towarów. Któregoś dnia aresztowali innego Ukraińca, kolegę Jakubowskiego. Ślad po nim zaginął, ale on też nikogo nie wydał.

Rybaki

W czerwcu 1941 roku Stiepan wrócił na stałe do Rybak i w rodzinie Pawłyczków zapanowała radość. Pomagał przy żniwach, sianokosach, wykopkach i innych pracach w polu, doglądał krów i koni.

Życie, mimo trwającej wojny, toczyło się spokojnie i wszyscy w zdrowiu doczekali Bożego Narodzenia. Siedzieli razem przy świątecznym stole, kiedy rozległo się pukanie.

– A kogoż to didko niesie? – Myrosław spojrział na Jewdokię. Nie wiedziała.

Nikt nie wiedział, więc wstał i wyszedł do sieni.

– Kto tam? – przyłożył ucho do drzwi.

– To my. Dywczuk i Primak, nie poznajecie nas?

– *Wy robyte meni czest' swoim wizytom!* [57] – Myrosław posadził za stołem niespodziewanych gości. – Skromnie u nas, ale wszystko jest i dla was.

Rzucili się na jadło, nie czekając, aż przełamią się opłatkiem.

– No i jak w konspiracji wam było? – Myrosław zamieszał kutię w glinianej misie. – Od kiedy Ruskie wyszli, ja was nie widział, a blisko mieszkamy.

– Było i koniec – Fedor wypił duszkiem kubek kompotu z suszonych jabłek. – Przykro to mówić, ale Stiepan to nas zdradził.

– Gdzież tam zdradził! – na twarzy Myrosława pojawił się grymas niezadowolenia. – Znormalniał zwyczajno i wam toż samo radzę. Do didka z organizacją, to bezpieczne nie jest. O sobie pomyśleć trzeba.

– Taki z was Ukrainiec – Dywczuk wydał usta – że samostijnej Ukrainy nie chcecie?

– Święto dzisiaj, to i droczyć się nie wypada – Myrosław gładził obrus – a samostijnej Ukrainy chcę jak ziemia deszczu, kiedy słońce pali. Jednakoż teraz dobrej pory na to nie ma i temu namówił ja Stiepana, by do domu wrócił.

– To namówcie go jeszcze, żeby z nami poszedł – Primak spojrział

ukradkiem na Dywczuka.

– Długo razem nie byliśmy i teraz spotkanie robimy. Muzyka będzie, dziewczyny też.

Pożegnali się z gospodarzami i wyszli we trójkę. Szli przez przykryte śniegiem pole i w końcu dotarli do samotnej chaty, stojącej na skraju wsi.

– Gdzie ta zabawa, gdzie dziewczyny? – zapytał Stiepan, kiedy weszli do izby, w której byli dwaj nieznani mu mężczyźni.

– Dziewczyn nie ma, ale zabawa będzie, ty sowiecki szpiegu! – Dywczuk pchnął go na ścianę.

– Nie jestem szpiegiem – rozcierał ramię. – Niczego Rosjanom nie powiedziałem. Chciałem tylko normalnie żyć.

– Zabierzcie go do szopy – Dywczuk machnął ręką. – Nie będziemy brudzić izby krwią tego ścierwa.

Dawni przyjaciele przez kilka dni zdierali skórę z pleców i ud Stiepana, cały czas trzymając go na mrozie. Po kilku dniach młody Pawłyczko zmarł.

Berezka

Iryna Krasiuk wygładziła kolorowy *liżnyk* [58], którym przykryte było rodzinne łóżko. Przypominała sobie, ile pracy ją kosztowało, aby powstał ten koc, który wśród sąsiadów wzbudzał taki podziw. Ceniła ich opinię, bo w Berezce wszyscy robią liżnyki i potrafią ocenić, co jest dobre, a co nie.

Te koce z owczej wełny Huculi nazywają *samoridnyj*, czyli zrodzony przez samą naturę, jakby zapomnieli, że jest to ciężkie i żmudne rękodzieło. Najpierw na ręcznych wrzecionach Iryna uprzedła cienkie nici, a później na krosnach utkała liżnyk. Włożyła go do *walyła*, czyli skrzyni z drewnianym kołem, którą zanurzyła w górskim potoku. Koło obracała przez pół dnia, aż w zimnej wodzie koc zbił się i sfilcował. Suszyła go długo, formowała i czesała, no i ma to cudo, które tak się wszystkim podoba. Na dodatek jest praktyczne, bo nie ma lepszej ochrony przed zimnem i chłodnym wiatrem niż okrycie się liżnykiem. U niej liżnyk przykrywał łóżko, ale Iryna obiecała popowi Atanasijowi, że zrobi jeszcze jeden, do cerkwi.

Jutro będzie Boże Narodzenie, a dzisiaj jest Swiatyj Weczir, który Polacy nazywają Wigilią. Chociaż Swiatyj Weczir jest rodzinnym świętem, to dzisiaj będą u nich znajomi z Paliwki – Stefan Nowak z żoną Elżbietą i dziećmi. Będą, tak jak dwa tygodnie wcześniej oni byli u nich na polskiej wigilii. To wspólne świętowanie miało długą tradycję. Tak było wtedy, gdy żyła jeszcze pierwsza żona Stefana. Kiedy umarła, Stefan przestał ich zapraszać, ale oni to rozumieli, a na swojej wigilii zawsze gościli całą jego rodzinę. Od dwóch lat, kiedy Stefan ożenił się z Elżbietą, znowu zaczęli być zapraszani do Nowaków.

Rodzina Krasiuków lubiła Stefana, który przez wiele lat wiódł niełatwy żywot wdowca, samotnie opiekował się czwórką dzieci. Nie ulegał namowom sąsiadek, aby ponownie się ożenił, a one w końcu zaprzestały swatania. Dwa lata temu spotkał Stefan w Rybakach dziewczynę, która bardzo mu się spodobała. Elżbieta była osobą wrażliwą, on był dla niej dobry i czuły, więc po kilku spotkaniach ona także nie wyobrażała sobie życia bez niego.

Dzieliła ich wiekowa przepaść. On miał czterdzieści trzy lata, a ona zaledwie dziewiętnaście i przez długi czas Rybaki, Paliwka i Berezka plotkowały o ich związku. Ze strony Kościoła nie było przeszkód i niebawem

Stefan z Elżbietą stali się małżeństwem. Po ślubie zamieszkali w Paliwce, a rok później urodził się Zbyszek. Edmund, Janek, Ewa i Kasia, dzieci Stefana z poprzedniego małżeństwa, mieszkały razem z nimi.

Iryna z Galiną już kilka dni temu wysprzątały chatę i obejście, wyszorowały podłogi i poukładały to, czego Witalij i Iwan nigdy nie potrafili utrzymać w porządku. Kołacze upieczone, grzyby i pstrągi z Czeremoszu przygotowane, *wareniki* [59] i *holubci* [60] ugotowane. Ugotowany też uzwar, czyli kompot z suszonych owoców, podobnie jak kapusta i buraki.

Byli już w cerkwi na nabożeństwie, po którym z płonącymi świecami poszli na cmentarz, by zatknąć je na grobach, bo przecież w Światy Weczir dusze zmarłych odwiedzają swoje groby. To właśnie dzisiaj podczas kolacji ona, Iryna, włoży po kawałeczku każdej świątecznej potrawy do miski, z którą przejdzie wokół domu i stodoły, a w końcu nakarmi owce, krowy i drób. Później zostawi ją na okiennym parapecie do końca świąt, aby duchy zmarłych także mogły się pożywić. Przed kolacją zapalą świece na choince, która stoi w kącie chaty, będąc symbolem wiecznego życia, i pomodlą się o pomyślność i jedność rodziny. Później łyżkę *kutii* [61] – świętego dania – rzuci Witalij w stronę pieca, w święty kąć, *pokuć*, tak samo, jak robili to ich rodzice i dziadkowie, aby zapewnić domownikom zdrowie i pomyślność. W ten sposób złoży ofiarę Rodowi, twórcy Wszechświata, Boga nad Bogami, który przebywa w Niebie, jeździ na chmurach, jest dawcą życia ludzi, zwierząt i ptaków, zsyła deszcz na zasiane żyto i wyznacza los każdego człowieka. Rzucona kutia będzie też ofiarą dla żeńskich bóstw Rodzanic, odpowiedzialnych za narodziny i pozostających w tajemnych związkach z gwiazdami, bo przecież dusza ludzka to gwiazdeczka, którą Bóg zapala przy narodzinach dziecka i gasi, gdy człowiek umiera. Więc Rod i Rodzanice dostaną tę łyżkę kutii. W końcu wszyscy usiądą do stołu, na którym tradycyjnie będzie dwanaście potraw, tyle, ile miesięcy w roku, a kiedy przyjdzie ktoś, kto w ten wieczór jest sam – przyjmą go, zaproszą na wieczerzę i przenocują. Nie będą składać życzeń, ale zaśpiewają kolędę, w której najpierw pochwalą narodziny Bożej Dzieciny, a później wyśpiewają świąteczne życzenia:

*Nowa radis't stała, jaka ne buwała,
Nad wertepą zwizda jasna switłom zasijała.
De Chrystos rodywsia z Diwy oplotywsia,*

*Jak czołowik pelenamy uboho powywsia.
Anhely spiwajut, sławu czes't widdajut,
Na nebesach i na zemli myr propowidajut.
Proszuż tebe, Cariu, nebesnyj Włodariu,
Daruj lita szczęśliwije semu hospodariu.
Semu hospodariu taj i cij hazdyny,
Szczoby wony doczekały za rik seji dyny.
Szczoby wik prożyły, Tobi dohodyły,
A po smerty iz Toboju po wik wikow żyły [62].*

O północy złe siły opuszczą ich dom, bydło, pola i nadejdzie Dobra Nowina. Dopiero wtedy święta rozpoczną się naprawdę. A później będzie *szczidriwka*, czyli odwiedziny domu przez chłopców, którzy będą śpiewać *koliadky* [63] na huculską nutę:

*Szczidryj weczir, dobryj weczir usim ludiam na cej weczir.
Nasza Małanka Dnister bryła taj tonkij fartuch zamoczyła.
Powij, witre bujneseńkij, wisuszy fartuch toneseńkij.
Powij, witre, jak z bołota, wisuszy fartuch z samoho zołota.
Powij, witre, jak tak jak siak, wisuszy fartuch jak mak, jak mak [64].*

Bereza [65] posypie izbę i wszystkich domowników ziarnem owsa, a inni kołędnicy złożą życzenia, przyniosą wieść o narodzinach Jezusa i zatańczą *rozples* [66]. Dla dobrych żniw i plonów także gospodarz posypie ziarnem wszystkich w rodzinie i całą swoją zagrodę.

– *Nenezko* [67], *ciła simja Nowakiw jde do naszoho domu* [68] – z rozmyślań wyrwał ją głos córki. Kolejny raz wygładziła liźnyk i odwróciła się w stronę Galiny. – *Klycz bat'ka ta Iwana! Wyjdemo wsi pered dim, szczob jich prywitaty* [69]. Po chwili cała rodzina Krasiuków stała przy drodze prowadzącej wprost do ich zagrody.

– *Dobryweczir! Jaka czudowa zastricz* [70] – Witalij z uśmiechem i rozłożonymi rękoma witał Nowaków.

– Witaj, Witaliju, witaj, Iryno – Stefan ścisnął wyciągnięte dłonie. – Wszyscy my przyszli i jeszcze gościa mamy.

Grzegorz Jakubowski uklonił się i przywitał z gospodarzami.

– To mój syn Iwan – Witalij przedstawiał rodzinę – a to Galina. Grzegorz podał rękę Iwanowi, a później jego siostrze. Zdziwił się, że rękę dziewczyny trzymał dłużej niż dłonie pozostałych osób. Zdziwiło go też, że Galina odwzajemniła ten uścisk, patrząc na niego tak, jak nigdy dotąd nie patrzyła na niego żadna inna dziewczyna.

Siedzieli przy stole, jedli i rozmawiali. Nagle Stefan wstał, odchrząknął i zaczął śpiewać:

– *Dzisiaj w Betlejem, dzisiaj w Betlejem wesola nowina,*

– *Że Panna Czysta, że Panna Czysta porodziła syna* – podchwycili pozostali.

Chrystus się rodzi, nas oswobodzi,

Anieli grają, pasterze śpiewają,

Cuda, cuda ogłaszają.

– *Nyni w Wefłejem, nyni w Wefłejem radisna nowina* – zaintonował Witalij i znowu izbę wypełniła śpiewana przez wszystkich kolęda:

Preczysta Diwa, Preczysta Diwa porodyła syna,

Chrystos rodywsia, Bohu opłotywsia,

Anheły spiwajut, pasterije hrajut,

Czuda, czuda powidajut.

– Dziękuję, że wy zaśpiewali jak dawniej – Stefan nie krył wzruszenia, pamiętając, że po 1939 roku cerkwie prawosławna i greckokatolicka zmieniły melodię do ukraińskich słów tak, aby nie kojarzyła się z polską kolędą.

Rok 1942

Rybaki

Wiosna długo ociągała się z przyjściem do Rybak. Zwykle o tej porze roślinność łąg nad Czeremoszem budziła się już do życia, liczne ptaki zapraszały na poranne i wieczorne koncerty, a trawa pastwisk cieszyła oczy świeżą zielenią, jednak w tym roku było inaczej. Kwiecień zbliżał się ku końcowi, a na polach można jeszcze było spotkać resztki śniegu, którego tej zimy spadło wyjątkowo dużo.

Michał i Julia szli drogą cerkiewną, trzymając się za ręce. Przechodzili obok ukraińskich chat, wśród których samotnie stała zagroda Pytlów, a w oddali widzieli srebrzystą kopułę cerkwi.

– Powiedz, Michale, co dalej będzie?

– Nie wiem – mocniej przycisnął jej ramię. – Nie mogę zrozumieć, dlaczego Roman i Fedor zamęczyli Stiepana. Przecież byliśmy kiedyś dobrymi kolegami, nawet przyjaciółmi, a Stiepan nie zrobił nic złego. Boję się, że kiedyś przyjdzie na nas kolej.

– To wyjedźmy stąd – Julia zatrzymała się. – Masz kuzyna w Warszawie, może on nas przyjmie?

– A nasze rodziny? – przytulił ją czule. – Wszyscy wyjechać nie możemy, a zostawić ich nam nie wolno.

Chłopcy już spali, a Wanda szykowała kolację dla męża i Grzegorza, którzy cały dzień zwozili drewno znad Czeremoszu. Był późny wieczór, kiedy obaj weszli do izby. W milczeniu umyli ręce i usiedli przy stole. Jedli powoli, w milczeniu.

– Dlaczego nic nie mówicie? – Wanda usiadła obok męża. – Stało się coś złego? Odezwij się wreszcie, Józek. Może pan powie, o co chodzi? – odwróciła się do Grzegorza.

– Wracaliśmy do domu – chłopak spojrzał niepewnie na gospodarza – i spotkaliśmy Fedora Primaka. Śmiał się z nas, jakoś dziwnie się śmiał. Powiedział Józkowi, że dobrze robi, zbierając drzewo, bo się przyda, kiedy pani zostanie sama.

– Boże drogi – Wanda przeżegnała się. – Co to znaczy?

– Nie wiem – Grzegorz wzruszył ramionami. W izbie zapadła cisza, zakłócana jedynie buzującym w piecu ogniem.

– Czy wiesz, o co chodzi? – Wanda położyła dłoń na ramieniu męża.

Przestał jeść i odłożył łyżkę. Patrzył na pęknięty kuchenny blat, spod którego wydobywała się wąska strużka dymu, wypełniając izbę zapachem palonego drewna.

– Nie wiem – powiedział i odsunął talerz. – Primak jest zdolny do wszystkiego.

Berezka

Dom Igora Matwieja stał na południowym stoku Tupakowej, w miejscu znakomitym do obserwacji całej doliny, którą od wschodu zamykał grzbiet Hłyniany, a od południa Rabiniec i Spensowa. Matwiej pamiętał, że przed wojną pięknym tego miejsca zachwycali się letnicy z Warszawy.

– Co wy tam wiecie! – odpowiadał na to. – Teraz jest lato, to i żyć się chce, ale mieszkać cały rok ciężko. Matwiej siedział na werandzie i obserwował dwoje ludzi wspinających się krętą ścieżką, prowadzącą od podnóża Spensowej przez Hłyniany na dół, aż do cerkwi.

Kiedy wyszli zza niewielkiego pagórka zauważył, że to dwoje młodych ludzi, mężczyzna i kobieta.

– Kogo licho niesie? – wymamrotał pod nosem. – Czego chcą ode mnie?

Trochę się wystraszył, bo niespodziewani goście byli już na tyle blisko, że mogli usłyszeć jego słowa.

– *Prywit'. Ja radyj was baczyty! Wy Ihor Matwiej?* [71] – młody człowiek zatrzymał się przy rozłohach, wprawiając Matwieja w zdziwienie.

„A ten skąd zna moje nazwisko?” – pomyślał.

– *Dobryjden'* – odpowiedział po chwili wahania. – Tak, ja Igor Matwiej, zachodźcie.

Przybysze weszli na werandę, zostawiając wypchane plecaki na schodach.

– Ładnie mieszkacie – dziewczyna rozpuściła włosy i rozpięła bluzkę.

– E tam – Matwiej machnął ręką. – Wszystkie tu tak żyją. Takie miejsce, zwyczajne.

Chłopak usiadł na schodach. Rozwijał podwinięte nogawki i wytrzepywał z nich piasek.

– Ja jestem Dmitrij – odwrócił się i wysmarkał nos – a ona Ołena. Jesteśmy ze Lwowa, z *pohidniej hrupy* [72] melnykowskiego skrzydła – wytarł palce o spodnie. – Organizacja ma do was zaufanie i powierzyła wam funkcję *stanciznoho* [73] Berezki i Paliwki. Będziecie odpowiadali za wiele spraw. No, chyba nie musimy wam mówić, że naszym celem jest samostijna

Ukraina – dodał, widząc zdziwioną minę Matwieja. – Jest ciężko, ale damy radę. Niemcy nam sprzyjają.

Matwieja irytował władczy ton wypowiedzi młodego człowieka. Uznał jednak, że widocznie takim językiem mówi się w organizacji, i przeszedł nad tym do porządku dziennego.

– Zaszczyt to, że wy mnie wybrali – drapał się w głowę – tylko u mnie obawa taka jest, że dwie wsie to dużo. Ludzi dużo, teren górski. Nie wiem, czy podołam.

– Nie wiecie, czy dacie radę? – Dmitrij przeczesywał palcami bujne włosy. – Tutaj prości ludzie są i trudno im pojąć, co się teraz dzieje – starannie dobierał słowa. – Jeszcze trudniej będzie zrozumieć to, co dopiero przyjdzie – powiedział tajemniczo.

– A co ma przyjść? – Matwiej spojrzał na niego pytająco.

– Ludzie są jak glina, z której można ulepić wszystko. Prawda? – zwrócił się do Olgi.

W milczeniu kiwnęła głową.

– Oni potrzebują kogoś, kto powie im, co mają robić, kogoś, kogo znają i komu ufają – mówił po chwili.

– Pop Atanasij! – Matwiej prawie krzyknął. – On taki jest!

– Właśnie – Ołena uśmiechnęła się kwaśno. – Pop albo nauczyciel. Ale w Berezce ani w Paliwce nie ma naszego nauczyciela. Zostaje tylko pop. No i mamy problem.

– Problem mówicie? – Matwiej skrzywił usta. – A dokładnie, to chodzi o co?

– O to, że byliśmy u popa Atanasija, ale on wyrzucił nas z cerkwi. Pop Atanasij jest wrogiem samostijnej Ukrainy. To wy, Matwieju, będziecie organizowali zebrania.

– Mamy jeszcze kilka spraw do załatwienia – Ołena zdjęła buty i usiadła na podłodze. – Znajdziecie nam jakiś nocleg?

– No przecież – Matwiej ożywił się nagle, nie odrywając wzroku od jej piersi, ledwie skrywanych przez rozpiętą bluzkę. – Chata duża, a żonę mam

tylko i dwie córki. Zaraz wam miejsca do spania zrobią.

– Nam wystarczy jedno, Matwieju – Dmitrij objął ramieniem Ołenę. – Ładne miejsce. Chciałabyś tu mieszkać?

– Nie wiem – położyła głowę na jego kolanach. – Lwów to jednak Lwów. Matwiej wrócił z butelką wina i szklankami.

– Z dzikiej róży i jarzębiny – zachęcał. – Spróbujcie, mocne nie jest.

Napełnił szklanki i wznosił toast za samostijną Ukrainę.

– Dużo, Matwieju, wiecie – Dmitrij wytarł usta wierzchem dłoni – ale ciągle trzeba się uczyć. Zostawiamy wam książkę mądrego człowieka. Pilnujcie jej, czytajcie i opowiadajcie ludziom. Wszyscy muszą to znać!

Ołena wyjęła z plecaka książkę.

– Dmytro Doncow, *Nacjonalizm* – przeczytała i podała ją Matwiejowi.

– Na początek, Matwieju, zajmiecie się zaopatrzeniem – Dmytro przeciągnął się, zakładając ręce za głowę.

– Zaopatrzeniem? – gospodarz zdziwił się. – A to dla kogo?

– To nie jest wasze zmartwienie. Jak przyjdzie pora, to się dowiecie. Teraz dobrze pomyślcie, jak to zrobicie.

– Tu biedne ludzie są. Trudno będzie.

– Samostijna Ukraina wymaga poświęceń – Ołena zapinała bluzkę. – Ludzie muszą to zrozumieć. Gdyby wam jednak było ciężko zgromadzić żywność, to na naszą pomoc zawsze możecie liczyć.

Słowa dziewczyny zabrzmiały dość złowieszczo i Matwiej już o nic więcej nie pytał.

Kasia Nowak była ładną, niezwykle uzdolnioną dziewczyną, a jej pasją była historia. To właśnie zdarzenia z przeszłości, podobne do tych, których od września 1939 roku sama była świadkiem, niepokoiły ją najbardziej. Widziała upadek polskiej państwowości i rozbudzenie antypolskich nastrojów wśród Ukraińców najpierw przez Rosjan, a teraz przez Niemców. Widziała organizowane w tajemnicy spotkania, na które przychodziło coraz

więcej ludzi. Odczuwała chłodną obojętność dotychczas życzliwych sąsiadów.

– Jak to jest z tą waszą samostijną Ukrainą? – pytała Iwana. – O czym rozmawiacie na zebraniach?

– E, jakie tam zebrania... – Iwan próbował zbagatelizować problem. – Ludzie z organizacji przyszli dopiero wczoraj. Tak mówią we wsi.

– Wiesz – ożywiła się – czytałam książkę Doncowa. On pisze o przemocy i terrorze. Mówi, że Ukraina ma być tylko dla Ukraińców. Powiedz, czy o tym też rozmawiacie?

Nie odpowiedział, a na jego twarzy pojawił się rumieniec.

Siedzieli obok siebie na skraju lasu i rozmawiali. W dole widzieli Berezkę, którą powoli przykrywała wieczorna mgła.

Dom Matwieja był pusty. Emisariusze OUN uprzejmie, ale stanowczo poprosili gospodarza, aby z całą rodziną opuścił swoją zagrodę na jedną noc.

– *Wam można wernuty til'ky zawtra w połdeń* [74] – Dmitrij klepnął Matwieja na pożegnanie.

Dzisiaj czekało ich ważne spotkanie i konspiracja musiała być pełna. Wolno płynący czas skracali lekturą *Nacjonalizmu* Dmytro Doncowa, chociaż całe rozdziały tej książki znali niemal na pamięć. Było już ciemno, kiedy usłyszeli pukanie. Dmitrij ze szklanką wina w ręku poszedł otworzyć drzwi. Z mroku, oświetlanego jedynie słabym płomieniem naftowej lampy, wynurzyli się dwaj mężczyźni. Jeden z nich miał głęboką bliznę na twarzy.

– Fedor Primak i Roman Dywczuk? – zapytał Dmytro, upijając łyk wina.

– *Tak, ce my* [75] – Dywczuk dziwnie przyglądał się dziewczynie.

– Masz na nią ochotę? – Dmitrij odstawił szklankę. – To uważaj! – pogroził palcem.

– Organizacja dobrze was zna – Ołena, zmieszana zaistniałą sytuacją, nie traciła czasu.

– Zna i dlatego wyznaczyła dla was dwa ważne zadania. Po pierwsze, zorganizowanie partyzanckiego oddziału, a po drugie, zorganizowanie

oddziału do zadań specjalnych.

Dywczuk i Primak słuchali uważnie, a Dmitrij i Ołena przekazywali ustnie instrukcje.

– Sytuacja nam sprzyja – zakończył Dmitrij. – Nasz czas powoli nadchodzi. Oczyszczymy nasze ziemie ze wszystkich Polaków.

Rybaki

– Proszę was, bardzo was proszę, wyjedźmy stąd – Hertha błagalnym wzrokiem spoglądała na dzieci. – W kolonii Hasedorf za Kołomyją jest dużo bezpieczniej niż tutaj. Wiem, bo tam byłam. Wróciłam, aby was stąd zabrać.

– A jest tam miejsca dla wszystkich? – Michał kroił świeżo upieczony przez Marię chleb.

– No, wygody nie będzie, ale dla naszej czwórki miejsca wystarczy.

– Naszej czwórki? – Michał odłożył nóż. – A babcia i dziadek? Co z nimi?

– Oni muszą zostać – Hertha opuściła głowę.

W izbie zapanowała cisza, przerywana jedynie przez świszczący w kominie wiatr.

– To my też zostaniemy, mamó – Michał, Grzegorz i Anna byli jednomyślni.

Michał i Julia spotkali się przy gościńcu obok kościoła.

– Tak nagle chciałeś się ze mną zobaczyć? – dziewczyna była zdziwiona.
– Czy stało się coś złego?

– Stało – odpowiedział zdawkowo. Zgarniał butem piasek, formując niewielki kopczyk, a w końcu ruszył w stronę drogi cerkiewnej. Poszła z nim, o nic nie pytając.

Droga cerkiewna, oddzielająca pola przylegające do wiejskich zabudowań od nadrzecznych łągów, była pusta. Przed domem Pytlów ujął jej dłoń i wąską ścieżką poprowadził w kierunku głównego nurtu Czeremoszu.

– Dokąd idziemy? – zapytała, ale nie odpowiedział. Szli dalej, a kiedy natknęli się na potężny świerk, który z gór przyniosła rzeka, zatrzymał się.

– Usiądźmy tutaj – zdjął kieptar, kładąc go na wilgotnym pniu. – Rosjanie zabrali na Sybir mojego ojca – powiedział – a wczoraj opuściła nas matka.

– Jak to? Dlaczego opuściła? – Julia nie rozumiała niczego.

– Zwyczajnie – złamał uschniętą gałąź olszyny i wrzucił do leniwie płynącej wody. – Powiedziała, że tutaj jest niebezpiecznie. Chciała nas stąd zabrać.

– Wszystkich?

– Nie – uśmiechnął się kwaśno. – Gdyby chciała zabrać wszystkich, to może byśmy pojechali, ale powiedziała, że dla babci i dziadka nie ma tam miejsca.

– Dobrze, że zostaliście – przytuliła go do siebie i pocałowała.

– Ja bardziej dla ciebie zostałem niż dla dziadków – posadził ją na kolanach. – Nie chcę wyjechać bez ciebie – tulił głowę do jej piersi. – Jeśli wyjadę z Rybak, to tylko z tobą – całował jej odkryte ramiona.

Przytuliła policzek do jego policzka. – Wiesz dobrze, że to niemożliwe – szeptała. – Musimy zostać i prosić Boga, aby miał nas w swojej opiece.

Berezka

Iwan powoli zbliżał się do *buchni* [76] stojącej na skraju rozległej połoniny, której większa część należała do Tymoszuków, a reszta do Demianiuków. Długie *worinie* [77], biegnące od skraju lasu aż na sam szczyt wzgórza, było granicą, którą szanowały te obie bogate ukraińskie rodziny. Ostrożnie pchnął drzwi. Zaskrzypiały, wpuszczając do półmrocznego wnętrza nieco światła.

– Jesteś – ucieszył się, kiedy zobaczył Olgę. Siedziała na *świerkowej łodwie* [78] z pochyloną głową i twarzą ukrytą w dłoniach. Cicho chlipała, a kiedy zobaczyła Iwana, rozplakała się na dobre. Usiadł obok i objął czule, a ona przytuliła się do niego.

– *Czoho ty płaczesz, Ol'ho, szczo trapyłosja?* [79] – gładził jej jasne włosy. Nie odpowiedziała, tylko wybuchła głośnym płaczem.

Przytulił ją mocniej i czekał.

– *Wczera pryjszly do nas bat'ky Mykoły Tomaszuka* [80] – mówiła przez łyzy. – Przyszli mówić o ślubie z Mykołą.

– No i co? – przytulił ją jeszcze mocniej. – Co powiedzieli bat'ky?

– Oni? Ucieszyli się. Widzisz to? – ręką przetarła twarz, pokazując trawiaste zbocze góry.

– Po ślubie z Mykołą – chlipała cicho – zamiast naprawiać *worinie*, będzie można je rozebrać.

Paliwka

Od dnia, w którym Kasia otrzymała wezwanie z posterunku policji w Kutach, w rodzinie Stefana Nowaka zapanował nastrój przygnębienia. Wszyscy byli pewni, że dziewczynę czeka wywóz na roboty do Rzeszy, kiedy więc w wyznaczonym dniu pożegnała się z rodziną i z walizką wypełnioną osobistymi rzeczami i prowiantem wyruszyła pieszo do Kut, Stefan nie potrafił sobie znaleźć miejsca.

– Ona taka delikatna, taka wrażliwa – powtarzał bez przerwy. – Nie nada się do pracy w polu.

Chodził bez celu po zagrodzie, a w końcu poszedł Kراسiuków, jednak i tam nie znalazł pocieszenia.

– Mądra dziewczyna z niej była – Iwan kręcił głową – lubiłem ją. Iwan mówił, a w ojcowskim sercu Stefana wzbierał coraz większy żal.

– Dajcie już pokój tej żałości! – Iryna uderzyła dłonią w stół. – Wojna się skończy, to i Kasia wróci. Do roboty zbierajcie się, to i złe myśli z was ulecą.

Kiedy wieczorem wracał do domu, trójka jego dzieci wybiegła mu na spotkanie.

– Kasia wróciła! Kasia wróciła! – wołały jedno przez drugie. Przyśpieszył kroku, a później biegł ile sił, chcąc mieć pewność, że to prawda. Zdyszany wpadł do izby. Przy stole siedziały Kasia z Elżbietą i spokojnie rozmawiały.

– Dziecko drogie – porwał córkę w ramiona – cieszę się, że ty znowu z nami.

– Nigdzie nie pojedę, tatko – Kasia śmiała się przez łzy. – Niemcy powiedzieli, że będę uczyć dzieci w starej szkole, w górach. Znam niemiecki, pogadałam z nimi i to mnie uratowało. Jak to dobrze, że w gimnazjum uczyłam się tego języka. Wszystko będzie dobrze, tatko kochany – rozpłakała się.

Rybaki

Wóz leniwie toczył się po nierównościach drogi. Czasem kamień, czasem złamane po burzy gałęzie topoli sprawiały, że podskakiwał, przerywając rozmyślenia Grzegorza. A on zastanawiał się, czy Galina przyjdzie na umówione spotkanie, czy znowu powie, że bardzo chciała, ale nie mogła, bo miała pracę.

Od kiedy poznali się podczas wspólnej wigilii, Galina rozpałała jego młodzieńcze pożądanie. Nigdy wcześniej nie był tak bardzo zniewolony przez igraszki swojej wyobraźni.

Wiedział, że Galina od kilku dni była w Rybakach. Przyszła do Jewdokii Pawłyczko, siostry swojej matki, aby pomóc przy żniwach i trochę zarobić.

Koń stanął i od razu zaczął skubać trawę. Czeremosz leniwie przekomarzał się z czerwcowym słońcem, odbijając jego promienie w spokojnej toni przybrzeżnych zatoczek i w tysiącach wodnych zwierciadeł głównego nurtu. Opodał, na drewnianych kozłach suszyła się koniczyna, którą udało się złożyć przed burzą. Zdjął koszulę i wbił kosisko w wilgotną ziemię. Przytrzymał je ramieniem, dłonią chwycił koniec kosy. Wyjął oselkę i miarowym ruchem sposobił kosę do pracy. W końcu stanął w rozkroku i mocnymi pociągnięciami ramion kładł trawę w równych pokosach. Dochodziło południe i po porannej rosie nie pozostało śladu, dlatego wiotka trawa nie poddawała się łatwo. Po kwadransie przerwał koszenie i garścią ściętej trawy oczyścił kosę, przygotowując ją do kolejnego ostrzenia. Rozejrzał się wokół, ale nie zauważył nikogo. Zdjął końskie wędzidło, położył się na skoszonej trawie, zamknął oczy i oddał rozmyślaniom. Nagle coś połaskotało go w policzek. Leniwie przesunął dłoń, aby spłoszyć zabłąkanego komara, i odwrócił się na bok. Łaskotanie jednak nie ustąpiło, a kiedy ponownie podniósł dłoń do policzka, dotknął innej dłoni i w jednej chwili zerwał się na równe nogi.

– To ty, Galina? Skąd się tutaj wzięłaś? – zapytał zaskoczony.

– *Ja przyszła, jak ty chotiw. Ja przyszła tomu, szczo i ja tak chotila* [81].

Dziewczyna usiadła obok. Jej długie, jasne włosy spadały luźno na plecy, a biała haftowana bluzka z szerokim sznurowanym dekoltem zalotnie opinała ciało. Długa, kolorowa spódnica, na której usadowiło się kilka lotnych nasion przekwitającego mleczu, odsłaniała bosc stopy. Chociaż znał dobrze każdy

cał ciała dziewczyny, bo w wędrówkach swojej wyobraźni dotarł już wszędzie, to jednak zdziwił go kontrast brązu jej oczu i delikatnej bladości twarzy.

Chwilę siedzieli w milczeniu, ale nagle Galina ujęła jego dłoń i delikatnie położyła na swojej piersi.

– Czujesz? – wyszeptała. – Czujesz, jak bije moje serce?

Potwierdził skinieniem głowy, chociaż bardziej od bicia serca czuł jądro jej piersi. Jego dłoń powoli zaczęła błądzić po ciele dziewczyny, a ona nie bronila się, dając przyzwolenie na więcej. Zsunęta z ramion bluzka odsłoniła piersi.

– *Meni pohano bez tebe, pocituj mene* [82] – szepnęła i ich usta spotkały się na krótko w delikatnym pocałunku.

Rozejrzał się dokoła. Byli sami. Pomógł jej wstać i chociaż znowu zastygli w miłosnym uścisku, to rozbudzona namiętność domagała się więcej. Ukląkł przed nią i drżącymi rękoma zaczął zdejmować spódnicę. Pomogła, widząc jego ujmującą nieporadność. Stała przed nim cudownie naga i tylko jej talia przykryta była zsuniętą z ramion bluzką.

Uśmiechnęła się, skrzyżowała ramiona, chwytając bluzkę oburącz, a kiedy je wyprostowała, trzymała ją już nad głową. Niedbale rzuciła bluzkę na skoszoną trawę.

Usiedli naprzeciw siebie. Wiatr zamilkł, Czeremosz spoglądał w stronę Bukowiny, a ich po chwili już tutaj nie było.

– Siadajmy na ławce, królu ty mój – Edward wziął Michała pod ramię. – Lepiej będzie nam rozmawiać. Drewniana ławka stała pod rozłożystą lipą, która w ten upalny dzień dawała orzeźwiający chłód. Ławka stała tam od zawsze, a zrobił ją ojciec Edwarda, jeszcze w czasie panowania cesarza Franciszka Józefa. Bury kocur, wylegujący się w rozgrzanym piasku, wstał, przeciągnął się leniwie i powoli podszedł do siedzących mężczyzn. Mruczał ocierając się o nogę Edwarda. Prosił, aby ten wziął go na kolana i wkrótce cel osiągnął.

– Są ludzie, królu ty mój – Edward głaskał kota – co mówią, że Ukraińcami wzgardzać trzeba. Mówią, że oni gorsi od nas, nie tak zdolni,

mniej wrażliwi, mocniej zacofani.

Nagle podniósł rękę i udając uderzenie, w gwałtownym ruchu zatrzymał dłoń tuż nad głową zwierzęcia. Kot w panice zeskoczył z kolan.

– Widzisz, Michale – Edward położył dłoń na ramieniu wnuka. – Zwierzę, a czuje to samo, co człowiek. Czuje, chociaż jak mówi ksiądz Szmaliński, duszy u zwierzęcia nie ma.

Kot przysiadł w cieniu dREWUTNI. Lizał łapę, patrząc podejrzliwie na ławkę.

– Człowieka charakter mało zależy od narodu, królu ty mój. Ukraińcy tacy jak my są ani lepsi, ani gorsi, zwyczajnie tacy sami. A czasem nam, Polakom, dużo do nich brakuje. Kto z nas potrafi tak śpiewać jak oni? Nikt, a dusze ich wrażliwsze od naszych – zamyślił się.

– Bogactwo i bieda już więcej zależą od narodu. Czy widzisz, królu ty mój, że my bogatsi od nich? Czy myślał ty kiedy, czemu nas w Rybakach tak mało? A to nie Ukraina jest tutaj, a Polska – przygryzł wargę.

– Ależ dziadku – Michał zdziwił się – tutaj zawsze była Polska.

– Nie zawsze, królu ty mój, nie zawsze – Edward zamilkł, dobierając w myślach słowa.

– W mojej pamięci dziadek, a i pradziadek jest jeszcze – zaczął po chwili. – Pradziadek w styczniowym powstaniu bił się i Ruskie zesłali go na Sybir. Mało kto stamtąd wrócił, ale on szczęście miał. Polski tu nie było, kiedy zaborcy rozgrabili nasz kraj. Ale jak historię pamiętasz, Polski nie było tutaj za króla Łokietka – położył dłoń na ramieniu wnuka. – Ukraina to nasza kolonia, królu ty mój. Przez długie wieki to nasza kolonia była, a i dzisiaj jest. Ludzie z Warszawy i Krakowa tu przyjeżdżali jak na swoje, a to ukraińska ziemia, nie nasza – westchnął ciężko.

– Ależ dziadku... – Michał próbował coś powiedzieć, jednak Edward podniósł dłoń.

– U nas Kościuszko powstawał, Księstwo Warszawskie zrobił Napoleon, a podchorążowie powstanie listopadowe. I Wiosna Ludów była, i powstanie styczniowe i rewolucja w 1905 roku – wymieniał jednym tchem. – My wolności chcieli jak ryba wody. Czy myślisz, że oni nie? Może troszku później ich świadomość obudziła się, narodowa świadomość, ale oni już chcą

żyć w wolnej Ukrainie. Czy ty nie widzisz tego, Michale? Czy ty zapomniał już, jakie bramy stawiali w Kutach i w Kosowie dla Armii Czerwonej, a potem dla Niemców? Czy nie wiesz o sekretnych spotkaniach we wsi? Czy pieśni wrogich nam też nie słyszysz? A i całkiem obce ludzkie do Rybak przychodzą. Polska silna dotąd była i nacjonalistów hamowała, ale teraz Rosjanie i Niemcy liczą się tylko, a Polski nie ma.

Niemcy samostijną Ukrainą ich mamią. Coraz słabsi są, to i szukają pomocy, gdzie tylko się da. Burzą Ukraińców przeciw nam i na nieszczęście nasze, coraz więcej ich słucha – podniósł lipowy listek, który opadł na ławkę.

– Kiedy wojna w 1918 roku kończyła się, a Niemcy i Rosja przegrały, my i oni nadziei dużo na niepodległość mieli. Rosja to był nasz wróg, a jak wojna polsko-bolszewicka wybuchła, marszałkowi Piłsudskiemu pomoc dał Petlura. Oddał nam Galicję, aż po Zbrucz oddał. Petlura myślał, że samostijna Ukraina za Zbruczem będzie, na wschód. Wojna skończyła się, w Rydze traktat podpisali, no i granica na Zbruczu stanęła, ale granica Polski i Związku Sowieckiego. A Ukraina za Zbruczem powstała, prawda, ale nie samostijna, a socjalistyczna i radziecka. Tak i przyszło ukraińskiemu narodowi żyć w Polsce i w Sowieciech. Ukraińcy przegrali, a Petlura powiedział, że marszałek Piłsudski zdradził go całkiem. Liga Narodów traktat z Rygi zatwierdziła i tym nadzieje Ukraińców pogrzebała. W polskiej armii dużo ukraińskich oficerów i żołnierzy było. Zgryzota ich zjadała, a i żal wielki, że bez walki przegrali. W Polsce mieszkać nie chcieli, to i zamysłili, że siłą zdobędą niezawisłość. Już w 1920 roku zorganizowali się i Ukraińską Wojskową Organizację utworzyli. Zamierzali wolność dla Ukrainy Zachodniej zdobyć. Zamierzali okupantów, prosto nas Polaków, pokonać. Rząd nasz autonomię chciał im dać i referendum zrobić, ale organizacja ludzi namówiła i autonomia przepadła – zgniótł w palcach liść. – Troszku poczekaj, królu ty mój. Do izby pójdę, taj coś przyniosę.

Wrócił po kwadransie ze stosem gazet, jakichś dokumentów i zdjęć.

– Trochu ja tego uzbierał – uśmiechnął się. – A ty weź taj posuń się, miejsca troszku zrób.

Usiadł ciężko i zaczął przeglądać przyniesione skarby. W końcu jego wzrok zatrzymał się na książeczce niewielkiego formatu.

– To ich broszura – kiwał głową. – Nie napisali, kiedy wydali – mruzczał

pod nosem. – Jedno miejsce ja w niej zaznaczył, taj przeczytam tobie – kartkował książeczkę, a w końcu odnalazł szukany tekst i zaczął czytać, od razu tłumacząc na język polski.

UWO nie stawia działalności terrorystycznej jako swego wyłącznego zadania. Jako organizacja, która prowadzi swoją działalność na ziemiach Zachodniej Ukrainy, uważa za swój obowiązek prowadzenie planowych przygotowań do zrywu rewolucyjnego przeciwko polskiemu okupantowi. Ukraińska Wojskowa Organizacja będzie z tego powodu wpływać na nastroje mas ludowych i szerzyć ducha aktywizmu oraz niegodzenia się przeciwko okupantowi [83].

– Oni terror przyjęli, Michale – przewrócił jeszcze dwie kartki i znowu zaczął czytać.

Każdy akt terrorystyczny kolejny raz pokazuje, że nie można zdusić w narodzie dążenia do wolności. Karalne akcje skierowane przeciwko osobom wrogiego państwa, przeciwko czołowym przedstawicielom systemu okupacyjnego, podrywają pewność siebie okupanta i autorytet władzy okupacyjnej, stwarzając stan prowizorium i niepewności [84].

– Taj i tak oni działają – Edward zamyślił się. – Teraz Ukraińskiej Wojskowej Organizacji nie ma już. W Wiedniu na kongresie w 1929 roku połączyła się z innymi nacjonalistycznymi partiami i Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów nazwała siebie. Jedna organizacja terror robiła do 1929 roku, a druga do wojny w 1939. Rosjanie zdusili ich troszku, ale jak Niemcy przyszli, to znowu odżyli oni – przewiązał złożone gazety sznurkiem.

– Zobacz, dziadku, co znalazłem koło szkoły – Michał, który cały czas milczał, sięgnął do kieszeni, wyjmując z niej pogniecioną kartkę papieru.

– A to co jest, królu ty mój?

– Nie wiem, dziadku, jeszcze nie czytałem.

Edward rozłożył kartkę i zaczął głośno czytać.

– Ja, Duch odwiecznego żywiołu, który uratował ciebie przed tatarskim potopem [85].

Wkrótce zamilkł. Czytał jednak dalej, a jego twarz stawała się coraz bardziej posępna. Kiedy skończył, przeżegnał się.

– Panienko przenaświętsza – wyszeptał. – W opiece swojej Ty nas miej.

Berezka

– *Witaju wid szczyroho serc'a!* [86] – Primak wyciągnął rękę do Mykoła Tymoszuka. – Sami jesteście?

– Tak, nikogo nie ma w domu.

– Oj, Mykoła, Mykoła, szczęściarz z was – Primak lustrował izbę, kiwając przy tym głową, a Dywczuk usiadł na ławie. – Organizacja was wybrała. Możecie być z tego dumni, bo nie każdego spotyka takie wyróżnienie.

– Tak jest! – Mykoła stanął na baczność.

– Dajcie spokój – Primak machnął ręką. – To nie polskie wojsko. Ale prawda, służyliście w nim i wybrali was też z tego powodu.

– Na pewno nie zawiodę organizacji.

– Tak – Primak rozgarniał frędzle wiszącego na ścianie lyżnika. – Nie możecie zawieść. Waszym zadaniem będzie gromadzenie ludzi w miejscu, które wskaże organizacja – wyjął z plecaka zeszyt i coś w nim zanotował.

– Jakich ludzi? – Mykoła usiadł przy stole.

– Chłopów! Wszystkich chłopów – Primak zaśmiał się. – Zdrowych i silnych, którzy zwyczajnie pracują w swoich zagrodach, ale nie dzieci i starców. I pamiętajcie, że tych ludzi musicie zgromadzić szybko.

– A skąd mam wiedzieć, kiedy to zrobić i gdzie? – na twarzy Tymoszuka pojawił się grymas niepewności.

– Wszystkiego dowiedzie się w swoim czasie.

– Wioska jest rozległa – Tymoszuk drapał się po głowie – a zagrody w górach, na połoninach.

– Wiem, ale musicie sobie poradzić. Mieszkacie blisko cerkwi, w środku wsi, można powiedzieć, i nawet do najdalszych zagród nie jest aż tak daleko.

– I jeszcze jedno – położył dłoń na ramieniu Tymoszuka. – Kiedy stąd pójdziemy, zrobicie plan wsi i zaznaczycie chaty, w których mieszkają Polacy, komuniści i ludzie, którzy źle mówią o organizacji.

– A na co to komu?

– Nie wasza sprawa. Zapamiętajcie raz na zawsze, że im mniej pytań będziecie zadawali, tym lepiej dla wszystkich. A chłopci mają być uzbrojeni.

– Uzbrojeni? – Tymoszuć rozłożył ręce. – Ludzie broni nie mają.

– Widły, siekiery i noże, to jest wasza broń. Nie mówcie, że tego we wsi nie ma.

– I tym mamy walczyć z Niemcami?

– Coś podobnego! – na twarzy Primaka malowała się irytacja. – Przeczytajcie to – wyjął z plecaka *Nacjonalizm* Doncowa i podał go Tymoszućowi. – Koniecznie przeczytajcie!

Paliwka

Ksiądz Stiepan Martynuk stał przed ołtarzem w gęstym dymie palonych kadzideł i świec. Kiedy wchodził na ambonę, greckokatolicka cerkiew w Paliwce rozbrzmiewała jeszcze chóralnym śpiewem. Chór wnet ucichł, a wypełnioną po brzegi świątynię zaległo pełne niepokoju wyczekiwanie. Primak i Dywczuk stali w pierwszym rzędzie i kapłan doskonale ich widział.

– *Ja – Duch odwieczności stichiji, szczo zberih Tebe wid tatars'koji potopy j postawyw na hrani dwoch switiw, tworyty nowe žyttja* [87] – słowa księdza spotęgowały niepokój. – *Ja – Duch odwieczności stichiji, szczo zberih Tebe wid tatars'koji potopy j postawyw na hrani dwoch switiw tworyty nowe žyttja* – powtórzył.

– Na Martynuka możemy liczyć – szepnął Primak. – Ledwie wczoraj dostał Dekalog, a już mówi o nim do ludzi.

– Drogie siostry, drodzy bracia! – Martynuk oparł się o ambonę. – Dobrze znacie przykazania z góry Synaj, które nasz Pan dał Mojżeszowi. Ciągłe wam o nich przypominam, bo jest tam napisane jak żyć, aby osiągnąć zbawienie. Ale czy wy żyjecie według tych przykazań? – zawiesił głos, jakby dawał czas na odpowiedź. – Czy słuchacie swojego księdza? Każdy z was odpowiada teraz w swoim sumieniu na to pytanie, ale dzisiaj nie o tych przykazaniach będę mówił. Słowa o duchu odwiecznego żywiołu, jakie usłyszeliście, to początek zupełnie innych przykazań. Innych, bo i czas, w którym żyć nam przyszło, zwyczajny nie jest. Dzisiaj walczymy o samostijną Ukrainę, a te przykazania mówią nam, jak mamy to robić – ksiądz zamilkł, upajając się ciszą wypełniającą cerkiew. – Tego, co zaraz powiem, wysłuchajcie z uwagą. Uważajcie na każde słowo i od razu mówię, że to są trudne przykazania.

Zdobędziesz państwo ukraińskie albo zginiesz w walce o nie! – to pierwsze przykazanie. *Zdobędziesz albo zginiesz!* Drodzy bracia, drogie siostry w Panu naszym. Czeka nas walka o Wielką Ukrainę! Czeka nas walka o państwo, w którym żyć będą ludzie tej samej wiary, co nasza! Czeka nas walka o ziemię od Cisy, Dunaju, Morza Czarnego i Kaukazu do Polesia. Od Popradu, Sanu i Białowieży aż do nadkaspjskich stepów i Donu. Każdy z nas, nie patrząc na cenę, jaką przyjdzie mu zapłacić, a nieraz będzie ona najwyższa, musi podjąć taką walkę! Samostijność wymaga ofiar, a ten, kto

nie jest do nich zdolny, nie jest godzien być synem czy córką ukraińskiego narodu!

Drugie przykazanie mówi: *Nie pozwolisz nikomu plamić chwały ani czci Twojego Narodu* – wyprostował zmiętą kartkę papieru. – Jesteśmy narodem wybranym przez Pana. To On tam w Niebie wyznaczył zadanie, którego wielu z nas nie rozumie. Ja, wasz kapłan, też byłem zagubiony, ale Pan nie zostawił nas samych! Do pomocy dał ludzi, którzy nas poprowadzą. To mądrzy ludzie, ich mamy słuchać. Nie wolno wam wątpić w to, co oni robią! Pamiętajcie o tym!

Pamiętaj o wielkich dniach naszych Walk Wyzwoleńczych - to jest trzecie przykazanie! Pamiętajcie o kniaziu Światosławie, wielkim rycerzu bez strachu i zmyy. To on tysiąc lat temu założył Kijów! To on walczył z plemionami najeźdźców o wielkie rusko-bałkańskie imperium! To on, napadnięty zdradziecko, poległ w walce. To on zostawił syna Włodzimierza, który wprowadził na Rusi chrześcijaństwo. Pamiętajcie o hetmanie Iwanie Mazepie, który zdradził cara Piotra Pierwszego i ramię w ramię ze Szwedami walczył przeciwko Rosji o wolną Ukrainę! Pamiętajcie o Chmielnickim, który wywołał powstanie przeciwko Polakom! Pamiętajcie o pułkowniku Semenie Paliju, który walczył z Rosją o niezależność Ukrainy! Pamiętajcie o Żeleźniaku i Goncie, przywódcach koliszczyzny, powstania chłopskiego z 1768 roku! Pamiętajcie o atamanie Siczy Zaporoskiej Petro Kałnyszewskim! Pamiętajcie o nich wszystkich. Pamiętajcie o ich bohaterskich czynach. To jest wasz obowiązek wobec naszej historii! To ich macie naśladować!

Stiepan Martynuk zamilkł. Oparł się rękoma o ambonę i patrzył na skupione twarze kobiet i mężczyzn. Za chwilę będzie mówił dalej, ale teraz wsłuchuje się w ciszę, która mówi, że jego słowa trafiają do wszystkich.

– Czwarte przykazanie jest takie: *Bądź dumny z tego, że jesteś spadkobiercą walk o chwałę Włodzimierzowego Tryzuba*. I znowu przywołam pamięć o Wielkiej Rusi Kijowskiej. Przywołam pamięć o wielkim kniaziu Światosławie, który walczył o ukraińskie imperium. Naszym obowiązkiem jest podjąć taką samą walkę. Tryzub to znak, który łączy Wielką Ruś Kijowską i naszą samostijną Ukrainę! Jest symbolem kniazia Światosława i Stepana Bandery. Nie zapominajcie o tym!

Pomścisz śmierć Wielkich Rycerzy to piąte przykazanie prawdziwego ukraińskiego patrioty! Drodzy bracia, drogie siostry. Wielu walczyło o

niepodległość. Wielcy kniaziowie walczyli i hetmani. Walczyli też zwykli ludzie, całkiem podobni do was. Ginęli, ale wolności zdobyć się nie udało! Naszym obowiązkiem jest pomścić ich śmierć! Może ktoś z was pomyśli, że zemsta jest niegodna chrześcijanina. Może ktoś z was pomyśli, że ja, wasz kapłan, zawsze mówiłem inaczej. To prawda, ale chociaż ewangelia nawołuje do miłości, chociaż żyjemy według niej od wieków, to co z tego mamy? Chyba tylko to, że na naszej ziemi panoszą się obcy ludzie, a my, jej prawowici właściciele, jesteśmy ich sługami. Czyż tak nie jest? – zapytał, a przez cerkiew przebiegł pomruk niezadowolenia. – Dzisiaj mówię wam, że na czas walki musicie zapomnieć o ewangelii. W Starym Testamencie jest napisane, że ktokolwiek skaleczy bliźniego, będzie ukarany w taki sposób, w jaki zawinił. Złamanie za złamanie, oko za oko, a ząb za ząb. Nas okaleczano tyle razy! Okaleczano nasze ciała i nasze dusze! Nie lękajcie się więc zemsty na nieprzyjaciołach naszych! Zemsta jest naszym obowiązkiem wobec ojczyzny.

Walczyliśmy o słuszną sprawę, ale musimy pamiętać, że wokół nas jest wielu wrogów! Dlatego szóste przykazanie nakazuje: *O sprawie nie mów z tym, z kim można, lecz z tym, z kim trzeba*. Pamiętajcie o tym zawsze i wszędzie!

Jak zrozumieć przykazanie siódme – *Nie zawahasz się wykonać największego przestępstwa, jeżeli tego wymagać będzie dobro sprawy* i ósme – *Nienawiścią i podstępem będziesz przyjmował wroga Twojej Nacji*? Drodzy bracia i drogie siostry! – Martynuk wznosił ręce w modlitewnym geście, jakby samego Boga chciał prosić o pomoc. – Walczymy o Ukrainę bez Żydów, bez Polaków, bez Ormian i bez Rosjan! Nie możemy czekać, aż oni sami opuszczą nasze ziemie, bo się nie doczekamy. Oni tego nie zrobią! Są tutaj od wieków i uważają się za panów! Tak, oni są panami naszej ziemi, ale czy powinni być? Czy powinni decydować o naszym losie? Nie, nie powinni i my to zmienimy! To przez nich nie mamy swojego państwa! To oni są wrogami naszego narodu! To ich mamy przyjmować nienawiścią i podstępem! Tak, walczymy o to, aby na naszej ziemi nie było *cuzyńców* [88], a walcząc, nie możemy lękać się grzechu! Zbrodnia, którą popełnicie w słusznej sprawie, nie będzie grzechem!

Droгие siostry, drodzy bracia. Na czas walki o niepodległą Ukrainę zapomnijcie o przykazaniach Mojżesza. Każdego dnia modląc się do Pana, powtarzajcie, że to przez Polaków i Żydów nie mamy wolnej ojczyzny, że to

oni prześladowali naszych bohaterów, że to ich kościół chciał narzucić nam swoją wiarę, że to polskie władze burzyły nasze cerkwie, że to polskim osadnikom przydzielano naszą ziemię, kiedy my umieraliśmy z głodu!

Cerkiew mruknęła gniewnie. Ludzie patrzyli na siebie, coś szeptali i kiwali głowami, a Martynuk, wsparty o ambonę zbierał siły, aby mówić dalej.

– Dziewiąte przykazanie mówi: *Ani prośby, ani groźby, ani tortury, ani śmierć nie przymuszają ciebie do wyjawienia tajemnicy* – głos kapłana uciszył zgromadzonych. – Samostijnej Ukrainy nikt nam nie da za darmo! Sami musimy ją wywalczyć! Jednak kiedy jest walka, to i tak być może, że niejeden z was dostanie się do niewoli. Wtedy musi o tym przykazaniu pamiętać! Nie wolno zdradzić sprawy, nie wolno zdradzić dowódców, nie wolno zdradzić towarzyszy walki! Słyszycie, nie wolno! – uderzył pięścią w ambonę. – Opowiem wam o ostatnim atamanie Siczy Zaporoskiej Petro Kałnyszewskim, który przez dwadzieścia osiem lat był więziony w podziemiach monastynu sołowieckiego. W 1775 roku ataman zaufał obietnicy Katarzyny II i oddał jej bez walki swoją sicz. Caryca jednak słowa nie dotrzymała, Kozaków rozpedziła, a atamana wtrąciła do lochów. Miał wtedy osiemdziesiąt cztery lata. Lochy były ciemne, nikt nie sprzątał nieczystości, gryzły go pająki, a rany nigdy się nie goiły. Kiedy w 1801 roku na cara Rosji koronowano Aleksandra I, atamanowi udzielono amnestii. On jednak z kozacką dumą ją odrzucił i zmarł, mając sto dwanaście lat. Pamiętajcie o tym, gdy wróg torturami będzie chciał zmusić was do mówienia!

Będziesz dążyć do poszerzenia siły, chwały, bogactwa i przestrzeni Państwa Ukraińskiego – jak mówi ostatnie, dziesiąte przykazanie – Martynuk wsparł się oburącz na ambonie i patrzył z góry na wypełnioną po brzegi cerkiew. Dymy kadzideł już opadły i wszyscy czekali w milczeniu, co będzie dalej. Byli gotowi pójść tam, gdzie Martynuk ich poprowadzi i zrobić to, co im zrobić każe. Ale Martynuk zszedł z ambony i stanął przed ikonostasem, a cerkiewny chór rozpoczął kolejną pieśń.

Rybaki

Michał dokładał do pieca, kiedy usłyszał ciche pukanie.

– Otwarte, można wejść! – krzyknął, nie przerywając pracy. Drzwi zaskrzypiały i zapanowała cisza. Odwrócił się zdziwiony i oniemiał. – To ty, Julio? – ledwie wykrztusił.

– Nie poznajesz mnie? Tak bardzo się zmieniłam?

– Nie, nie o to chodzi – tłumaczył się nieporadnie. – Nie spodziewałem się, że ty... no, że do mnie przyjdiesz.

– Szłam gościńcem, zobaczyłam otwarte okno, to pomyślałam, że odwiedzę Ankę.

– Nie ma jej w domu – pospiesznie mył ręce. – Z Grześkiem po trawę nad Czeremosz pojechała.

– Jak nie ma Anki, to już sobie pójdę.

– O nie! – jednym susem znalazł się między nią i drzwiami, szeroko rozkładając ociekające mydlinami ręce. – Nigdzie nie pójdziesz. Zostań, chciałem porozmawiać.

Julia usiadła na krześle.

– Anka obiecała mi, że opowie o narzeczonej Grześka.

– Jeśli o to chodzi, to ja wiem więcej od Anki – Michał przysunął się do niej. – Grzesiek wszystkiego jej nie powiedział. To Galina Kراسiuk z Paliwki, a Grzesiek poznał ją w święta. W Berezce mieszka Stefan Nowak, dobry znajomy ojca. Grzesiek często mu pomagał w robocie. Przed świętami prace przeciągnęły się, spadł śnieg, no i został w Berezce dłużej niż zamierzał. Kراسiuکی zaprosili Nowaków na Światy Weczir, oni zabrali ze sobą Grześka i tak poznał Galinę.

– I co? Spotkali się jeszcze?

– Tylko raz – Michał przygryzł wargę – w łęgach nad Czeremoszem.

– Naprawdę tam się spotkali? – Julia uśmiechnęła się.

– Naprawdę.

– To takie romantyczne – położyła głowę na jego ramieniu.

– Romantyczne? – oburzył się. – Nie romantyczne, ale głupie! Wiesz, jak bardzo Ukraińcy nas nie lubią. Powtarzam to Grześkowi bez końca, ale on nie chce słuchać. Boję się o niego. Może ojca by posłuchał, ale mnie nie chce.

– Ale, ale, dlaczego ma słuchać? – pocałowała go w policzek. – Miłość jest taka piękna.

Michał, którego myśli zaprzętały do tej pory sprawy Grzegorza i Galiny, spojrział nagle na Julię tak, jakby zrozumiał, że uczucie, którym ją darzy, jest równie ważne, z jego punktu widzenia nawet ważniejsze, a właściwie to najważniejsze. Lubił dotyk jej dłoni, ciemny brąz oczu, czerń kręconych włosów. Lubił jej przelotne pocałunki. Przypominał sobie spotkanie nad Czeremoszem, kiedy całował jej odkryte ramiona. Nagle uświadomił sobie, że i teraz ramiona Julii są odkryte. Bez wahania zaczął je całować, ale ona ujęła jego głowę w dłonie i odepchnęła od siebie.

– Co jest, Julio? – zapytał.

– Kocham ciebie, Michale – odpowiedziała zmysłowym pocałunkiem.

Bał się powtórzyć, że też ją kocha, bo nie był pewien, co to dokładnie znaczy. Wiedział tylko, że chce całować jej usta, szyję i ramiona. Nic nie mówiła, kiedy rozwiązywał tasiemkę bluzki i zsuwał ją z ramion. Zawstydzona skrzyżowała ręce, zasłaniając odkryte piersi, ale kiedy ujął jej dłonie i położył na swoich ramionach, objęła go mocno i znowu pocałowała. Całował jej ramiona i piersi. Robił to nieporadnie, chociaż wiele razy podglądał kochanków w łęgach nad Czeremoszem.

– Poczekaj – podszedł do drzwi i zamknął je na zasuwę. Ukląkł przed nią i włożył ręce pod spódnicę.

– Nie – cofnęła się. – Jeszcze nie teraz.

– Przepraszam – tłumaczył się zawstydzony. – Nie chciałem tego. Jakoś samo tak wyszło.

– Chciałeś, Michale – skarciła go czule. – Wiem, że chciałeś.

– Poczekasz na mnie chwilę? – zapytał. Kiwnęła głową, że tak, a on włożył kieptar i wyszedł z izby. Kiedy wrócił z barwinkowym bukietem, Julia była już ubrana.

- To dla mnie? – zdziwiona przytuliła do policzka niebieskie kwiaty.
- Dla ciebie – ukląkł i ujął jej dłonie. – Zostań moją żoną.

Berezka

Kasia Nowak została nauczycielką huculskich i ukraińskich dzieci z Berezki i Paliwki. Zamieszkała w skromnej izbie wiejskiej szkoły, stojącej na zboczu Spensowej, a z okna mogła oglądać wznoszący się nad doliną Rabiniec. Dzieci uczyła od poniedziałku do soboty, a na niedzielę wracała do swojej rodziny.

Tuż przy szkole mieszkała Hucułka Kałyna. Jej męża niedługo przed wkroczeniem niemieckich wojsk Rosjanie wywieźli na Sybir, bo podejrzewali go o przynależność do OUN. Jak było naprawdę, Kałyna nie wiedziała, ale Rosjanom wystarczyły same podejrzania. Nie miała dzieci i Kasię traktowała jak swoją dorosłą córkę. Obie kobiety bardzo się lubiły. Razem czuły się pewniej, kiedy w długie zimowe wieczory i noce padał śnieg, zawodził wiatr na połoninach, a w ich wyobraźni nawiedzały je bezcielesne *szczesznyki* [\[89\]](#).

Rybaki

– Dlaczego zabrali właśnie Józka? – Wanda Pytel zanosiła się łzami. – Jak sobie bez niego poradzę, jak sama wychowam synów? – pytała sąsiadów, którzy przyszli, aby być z nią w tym trudnym dniu. Chodziła po izbie, wycierała kurz z tych samych miejsc, poprawiała kolejny raz wiszące na ścianie rondle, dokładała do wygaszonego pieca, chcąc podtrzymać ogień, którego już nie było.

– *Wanda, ja dobre rozumiju twoje nieszczęstja* [90] – Jewdokia Pawłyczko gładziła jej ramię.

– Takie durnowate czasy, że krzywdy ludzkiej i nieszczęścia pełno, a życie nic nie znaczy.

– *Ne ty odna nieszczęsływa* [91] – Myrosław Pawłyczko też próbował ją pocieszać. – Niemcy zabrali wszystkich młodych Polaków ze wsi, nie tylko Józka.

Edward Jakubowski poczuł się nieswojo. Wprawdzie przyznawał rację Pawłyczce, ale przecież jego wnuki i Julia zostali. Wiedział, że załatwiła to Hertha, tyle tylko, że dla Wandy nie miało to żadnego znaczenia.

– Droga Wandziu, duszko ty moja – mówił łagodnie. – Szybko czas płynie. Wojna wnet skończy się i Józek do nas wróci. Ja tobie pomogę i Maria też pomoże. Wnuki nasze pomogą i jakoś to minie. Nie płacz, duszko ty moja, to nie zmieni nic a nic. Roboty jakiej chwyć się, to i o nieszczęściu zapomnisz.

– Galinko – Grzegorz przytulił ją mocno – dlaczego jesteś smutna?

Cieszył się ze spotkania z dziewczyną, którą tak bardzo kochał. Od czasu schadzki w łęgach nad Czeremoszem nie widział jej, ale kilka dni temu niespodziewanie przyszła do Rybak i zamieszkała u Pawłyczków.

– *Prywit', ja rada tebe baczyty* [92] – Galina pocałowała go. – Tak, jestem smutna. Jestem bardzo smutna, bo nie wiem jak mam żyć, kiedy mówią, że ja *zwenyca* [93]!

– Kto tak mówi? Jaka *zwenyca*? Powiedz, co się stało?

– Będziemy mieli dziecko. Mama, tatko i Iwan mnie wspierają, ale we wsi... – rozpląkała się. – We wsi odwracają się na mój widok. Nie chcą ze mną rozmawiać, grożą. Nie wiem, co będzie, jak urodzę dziecko. Nie wiem.

Grzegorz milczał. Kiedy latem powiedział, że kocha Galinę, jego rodzina przyjęła to chłodno, a matka zrobiła awanturę.

– Zastanów się, co robisz! – krzyczała. – Nie pozwolę na to, żebyś zadawał się z jakąś Ukrainką!

Tak było kilka miesięcy temu, a teraz będzie musiał powiedzieć, że Galina jest w ciąży.

– Ożenię się z tobą i zamieszkaż z nami – powiedział z pewnym wahaniem. Galina zauważyła to od razu.

– Nie, Grzegorzu – przytuliła się do niego całym ciałem. – Lepiej będzie, kiedy zostaniemy przy swoich rodzinach. Obiecuj tylko, że o dziecku i o mnie nie zapomnisz.

Berezka

Wiera Demianiuk była zadowolona. Po okadzeniu świętymi ziołami przez Hucułkę Kałynę w jej *dzieży* [94] znowu można *misić* [95] ciasto, a jeszcze niedawno nic się jej nie udawało. Ktoś musiał *dzieżę* zauroczyć i ona nawet wiedziała kto, jednak teraz to już jest bez znaczenia.

W *dzieży* rośnie ciasto na ogromny *korowaj* [96], który będzie pleciony z dziewięciu pilustek, czyli ciastowych warkoczy, a na *dzieży*, przykrytej wiekiem ze splecionej słomy i łoziny, siedzi jej córka Olga. Usiadła, więc jest czysta, a zgodnie z odwiecznym prawem panna młoda przed ślubem musi być czysta.

*Ne żaly berwin barwinkowiji,
Preczysta Diwo Maty,
Preczysta Diwo Maty.
Prosymo was do chaty,
Winoczok zaczynaty.
Ne żaly berwin barwinkowiji,
Oj, dajte, mamko, hołku,
Oj, dajte, mamko, hołku
Taj nytoczku szowku,
Taj czasnyczku zuboczok,
Zaczynaty winoczok,
Zaczynaty winoczok.
Ne żaly berwin barwinkowiji,
Oj, dajte, mamko, hołku,
Oj, dajte, mamko, hołku
Taj nytoczku szowku,
Taj czasnyczku zuboczok,
Wże zaczęły winoczok [97].*

Tak prosiła ją Olga. Prosiła i płakała.

– Młoda jesteś, to i życia nie znasz – pocieszała wtedy córkę. – Iwan harny, ale biedny. Jakie życie będziesz z nim miała? Mykoła to co innego. Durijka minie, a połoniny zostaną.

Uplotła wianek, a jakże. Taki z kawałkiem białego płótna, do którego przyszyła trzy ząbki czosnku i mirt. To wszystko dla szczęścia córki. Teraz

ona i Danyło wkładają ten wianek na głowę Olgi i błogosławią ze szczerego serca.

Weselny orszak wyszedł już na wiejski gościniec, a popołudniowe słońce, odbite w cerkiewnych kopułach, zdaje się zapraszać wszystkich na tę uroczystość.

Olga, jak zwyczaj nakazuje, idzie do ślubu w stroju narodowym. Cała Berezka przygląda się orszakowi druhen kroczącemu za nią. Prowadzi go sważka Sofija, niosąc dumnie duży pakunek rantuchu – lnianego płótna, które sama utkała. Spod czepca Olgi, całego w kwiatach i pozłótce, z przypiętymi kolorowymi wstążkami, opadają na jej ramiona długie, kręcone włosy, złociste niczym łan dojrzałej pszenicy. Biała, długa do samej ziemi koszula i brązowa zapaska podkreślają kobiecość jej sylwetki. Na rękawach i wycięciu koszuli okalającym piersi wyhaftowane są krzyżyki, a jej smukłą szyję zdobią różnokolorowe sznury koralu. Wygląda jak księżniczka z baśni, która przypadkiem zjawiała się w tej biednej huculskiej wsi.

Olga nie ma bukietu kwiatów, to też taki zwyczaj i jej wolne ręce nie czują się pewnie. Wie, że będzie musiała przejść obok chaty Iwana i wie, jak on ją powita. Kochali się, przyrzekali sobie miłość, jednak jej rodzice nie pozwolili na to małżeństwo.

Iwan zebrał już kompanię chłopców i dziewczyn. Jeszcze w milczeniu stoją przy gościńcu, ale kiedy orszak Olgi dochodzi do nich, także ruszają w stronę cerkwi. Całą drogę idą razem, takie jest tu święte prawo chłopaka lub dziewczyny, których miłość została odrzucona. Idą, a żal coraz bardziej ściska oba młode serca. W cerkwi pop Atanasij już czeka z błogosławieństwem, ale nie dla nich. Nagle Iwan i chłopcy z jego orszaku zaczynają śpiewać:

*Oj, kopaw ja kirnyczeńku,
Ne odnu, ne dwi.
Oj, lubyw ja diwczynońku
Liudam ne sobi.
Oj, żal, żal, żal w serci bude,
Woźmut jeji czuži ludy,
Moja ne bude.
Wże do mojej kirnyczeńki*

*Steżki zarosły,
A do mojej diwczynońki
Swatońki piszły.
Oj, żal, żal, żal w serci bude,
Woźmut jeji czuži ludy,
Moja ne bude.
Wże iż mojej kirnyczeńki
Orły wodu piut
I wże moju diwczynońku
Do ślubu wedut'.
Oj, żal, żal, żal w serci bude,
Woźmut jeji czuži ludy,
Moja ne bude.
Oden wede za ruczeńku,
Druhyj za rukaw,
A ja płaczu, serce bołyt',
Szczom kochaw ne wziaw.
Oj, żal, żal, żal, wełykij żal
W sercu bude,
Wziały jeji czuži ludy
Moja ne bude [98].*

Olga zna słowa tej piosenki i chociaż idzie pewnym krokiem, to jej wilgotne od łez oczy co chwilę kierują się w stronę Iwana.

Gdzieś z drugiej strony Berezki wyrusza orszak Mykoły Tymoszuka. Mykoła ma na sobie długie portynyki z rantuchu i koszulę, pięknie wyszywaną na całych plecach, z bogato zdobioną stójką wokół szyi. Jego głowę zdobi kapelusz z szeroką wstążką, na której Olga wyszyła kwiat i jeszcze przypięła kwiat żywy. Cieszy się, bo już wkrótce pop Atanasij pobłogosławi jego i Olgi związek, czyniąc ich mężem i żoną.

Cerkiew w Berezce zbudowano w połowie XIX wieku z grubych świerkowych pni. W pokrytych cynkową blachą wieżach i dzwonnicy przegląda się słońce, a kamienny mur otacza świątynię ze wszystkich stron. Prowadzą do niej dwie drogi od strony Czeremoszu i jedna z gór. Zwyczaj nakazuje, aby panna młoda była przy cerkiewnej bramie pierwsza i Olga ze swoim orszakiem stoi już przed wejściem do cerkwi. Orszak Mykoły właśnie nadchodzi. Za chwilę razem wejdą do środka.

Półmrok i dym ze święconych kadzideł rozpraszają nieliczne promienie słońca, którym udało się znaleźć drogę przez gałęzie drzew i małe cerkiewne okna. *Ikonostas* [99] mieni się odcieniami złota. Tutaj, w prawosławnej cerkwi w Berezce, ma on cztery rzędy ikon i jak wszędzie rząd dolny stanowią ikony największe. Szczególną jest zawsze ta z prawej strony, przedstawiająca patrona cerkwi. W Berezce jest nim Jan Chrzciciel, spoglądający na ludzi surowym wzrokiem. Z dolnego rzędu z lewej strony, czyli miejsca przeznaczonego dla ikony najbardziej poważanych świętych w okolicy, przyglądają się Piotr i Paweł. I kolejne rzędy ikon, a im rząd wyższy, tym ikony mniejsze. Każda z nich ma swoją wymowę, każda zajmuje określone miejsce, a wszystkie prowadzą wyznawców prawosławia na Straszny Sąd przed oblicze Chrystusa, groźnego sędziego całego Wszechświata.

Chór śpiewa religijne pieśni, a pop Atanasij modli się i błogosławi. Olga i Mykoła zapalają świece i idą za nim w procesji do środka świątyni, by wkrótce ze wszystkimi rozpocząć śpiewną modlitwę:

*Błażen wsjakij bojaszczijsia Hospoda.
Sława Tobi, Boże nasz, sława Tobi.
Chodjaszczij putiami Jeho.
Sława Tobi, Boże nasz, sława Tobi.
Ty budiesz jest' ot trudow ruk twoich
Sława Tobi, Boże nasz, sława Tobi.
Błażen ty i blaho tobi.
Sława Tobi, Boże nasz, sława Tobi.
Żena twoja kak płodowitaja łoza, w dome twojem.
Sława Tobi, Boże nasz, sława Tobi.
Synowja twoi kak maslicznyje wietwi, wokrug trapezy twojej.
Sława Tobi, Boże nasz, sława Tobi.
Tak błagosłowitsja czelowiek, bojaszczijsia Hospoda
Sława Tobi, Boże nasz, sława Tobi.
Błagosłowit tebja Hospod z Siona i uwidisz błagodenstwie
Jerusalima wo wsie dni żizni twojej.
Sława Tobi, Boże nasz, sława Tobi.
Uwidisz synow u sinowej twoich. Mir na Izrailja!
Sława Tobi, Boże nasz, sława Tebe [100].*

Śpiew milknie i Olga z Mykołą wchodzą na rozpostarte na podłodze białe płótno przed *analoj* [101], na którym leżą krzyż, Ewangelia i wieńce. Pop Atanasij poucza ich, a kiedy skinieniem głów potwierdzają, że zrozumieli, pyta Mykołę:

– *Imiejesz li ty iskrennje neprinużdiennoje żałanje w twierdoje namerenje byt' mužem etoj Olgi, kotoruju widisz zdes' pered soboju?*

– *Imieju, czestnyj otcze* - głos Mykoły jest wyraźny i doniosły.

– *Ne swjazan li ty objeszczanjem druhoj niewiestie?*

– *Niet, ne swjazan* [102].

Pop Atanasij zwraca się teraz do Olgi.

– *Imiejesz li ty iskrennje neprinużdiennoje żałanje w twierdoje namerenje byt' żenoju etoho Mykoły, ktoroho widisz zdes' pered soboju?* [103]

Cisza, jaka zapadła, zmarszczyła czoło kapłana. Patrzył na bladą twarz dziewczyny wzrokiem, w którym jedni widzieli bezgraniczną surowość, a inni równie wielkie współczucie. Nie wytrzymała tego spojrzenia i pochyliła głowę. Mykoła stał nieruchomo, niczym kamienny posąg przytwierdzony do piedestału. Patrzył w ikonostas, jakby tam szukał odpowiedzi na to, co się za chwilę stanie.

– *Imieju, czestnyj otcze* - słowa Olgi zabrzmiały dla niego tak, jak odgłos deszczu dla spękanej od słońca ziemi. Dziewczyna przyłożyła haftowaną chusteczkę do wilgotnych oczu, pop Atanasij westchnął głęboko i w odruchowo zamkniętym brewiarzu zaczął szukać pytania, które teraz miał zadać.

– *Ne swjazana li ty objeszczanjem druhomu żenichu?*

– *Niet, ne swjazana* [104].

Przez cerkiew przetoczył się krótki szmer ściszonych rozmów, a pop Atanasij odłożył brewiarz, rantuchem zawinął głowę Olgi, związał go w kokardę i zaśpiewał:

Hospodin, Boże nasz, sławoju i czestiju wienczaj ich.

Wozwieliczijsja, żenisze, jakoże Abraam i blagosłowijsja jakoże Isaak i umnożisja jakoże Iakow, chodijaj w mire i delajaj w prawdie zapowiedi

Bożija.

I ty newiesto wozwieliczijsja jakoże Sarra, i wozwieselijsja jakoże Rebekka, i umnożisja jakoże Rachil, weselijszczisja o swoim muże, chranjaszczij predeli zakona zane tako blahowoli Boh [105].

Olga i Mykoła podejda jeszcze do Carskich Wrót [106], by ucałować ikony Chrystusa Zbawiciela i Bożej Matki. Nim opuszczą cerkiew, pop Atanasij da im do ucałowania krzyż i obdaruje ikonami, a żegnając, wyśpiewa najlepsze życzenia.

Huczne wesele trwa już drugi dzień. Rodziny Olgi i Mykoły są bogate, więc i jadła nie brakuje, i goście bawią się w najlepsze. Już zapomnieli o bóje, bo też nikt nie pamięta, o co tak naprawdę poszło. Muzykanci grają, a po wsi niesie się zalotny śpiew to druhn, to družbów:

*Diwcza w siniach stojala, na kozaka morhala.
Ty, kozacze chody, mene wirno liuby – serce moje, serce moje.
Jak ja maju chodyty, tebe wirno liubyty?
W tebe maty lycha, ne terpyt' kozaka – serce moje, serce moje.
Maty doma ne maje, na chrystynach hulaje.
Ty do mene chody, mene wirno liuby – serce moje, serce moje.
Jak ja maju chodyty, tebe wirno liubyty?
W tebe bat'ko lychij, taj nedobryj takij – serce moje, serce
moje.
Ja bat'kowy dohożu, tiutiuh w lulku nalożu.
Ty do mene chody, mene wirno liuby – serce moje, serce moje.
Jak ja maju chodyty, tebe wirno liubyty?
W tebe myszi lychi, taj nedobri taki – serce moje, serce moje.
Jak ty myszej boiszsia, na worotiach powiszsia.
Ady tfu, propady, blisz do mene ne chody.
Put' tobi pyrs, put' tobi pyrs! [107]*

Pojedli, wypili, a muzykanci już śpiewają kołomyjkę:

*Ceji noczi u piwnoczi lulka sia kuryła,
Upała z peczi na prepiczok, do cebra sia ubyła.
Oj, piszow ja na jarmarok lulku kupowaty,*

*Wona buła za doroha, ne min storhuwaty.
Taj iszow ja czerez sady taj czerez horody,
Zaputawsi w harbuzyni, taj narobuw szkody.
Oj, priszow ja do karczmońki: dobryj weczir, ludy,
Rozputajte harbuzyni, jakoś to to bude.
Oden bere rozputaje, druhy kłycze: kume!
A toj treti makohonom meży płeczy sune [\[108\]](#).*

Weselny gwar tylko na chwilę cichnie, bo już druźbowie zaczynają śpiewać kolejną piosenkę:

*Rozpriahajte, chłopci, koni
Taj lahajte spoczywat'.
A ja pidu w sad wysznewyj,
W sad kiernyczeńku kopat.
Kopaw, kopaw kiernyczeńku
U wysznewomu sadu,
Czy ne wyjde diwczynońka
Rano w rańci po wodu?
Wyjszła, wyjszła diwczynońka
Rano w rańci wodu brat',
A za neju kozaczeńko
Wede konia napuwat'.
Prosyw, prosyw widereczka,
Wona jomu ne dała.
Daryw, daryw w ruki persteń,
Wona joho ne wzięła.
Znaju, znaju, diwczynońko,
Czym ja tebe obrazyw,
Szczu ja wczora i z weczora
Kraszczub tebe polubyw.
Wona rostom newełyeczka,
Szczej litamy mołoda.
Rósa kosa do pojasa,
Krajka syna hołuba.
Czorni occhi, biła ruczka,
Rozsmijana, wesęła.
Krasne łyczko mow jak roza,*

Ce moja luba diwczynyna [109].

Roześmiane druhny nie pozostają im dłużne:

*Meni worožka worožyla,
Meni worožka kazala.
Meni worožka worožyla,
Szczob ne lubyła chłopciw ja.
Bo chłopec lubyt i pokine,
Pokine diwczynnu, lubyt'
Pokine, łyczko ciełuwaty
Szczu i myleńkoju nazywat'.
Pidu u lis ja i zabłudžu,
Nechaj szukaje win mene.
Pidu u more utoplusia,
Nechaj ne bude blisz mene.
Pryjszła nad more i stanula,
Wesela chwyla wyhraje.
Myłyj z myłoju rozstajetsia,
Prawu ruczeńku ne podaje.
Pryjszła hodyna, pryjszła minuta,
Myła u moriu wtonula.
Łysz des' ne des' pomyż falamy
Prawoj ruczeńkoj zamachala.
Nechaj tebe bohaczka lubyt,
Nechaj tebe bohaczka zwe.
Wona lu'byty tak ne zumije,
Jak ja lubyła kołys' tebe [110].*

I trwa to wesele, chociaż jest wojna, chociaż zaczynają dziać się rzeczy, które niedługo przeorają ludzkie sumienia i charaktery, które zmieniają ludzkie życia jak wiosną Hucuł zmienia kawałek połoniny, przygotowując ją do nowego zasiewu. Trwa, bo łatwiej byłoby odwrócić bieg Czeremoszu, niż tym muzycznym duszom znad jego brzegów zabronić śpiewu, zabawy i tańca.

Już świtało, kiedy młodzi małżonkowie zostali sami.

– *Ja tebe kochaju [111]* – Mykoła mocno objął Olgę. – Nareszcie

będziesz moja, tak długo na to czekałem.

– *Ja ne budu twoja!* – wyrwała się z mężowskiego uścisku. – Nie miłość nas w cerkwi połączyła, ale połoniny. Zostanę z tobą, może nawet kiedyś ciebie pokocham, ale nie dzisiaj. Musisz to zrozumieć.

Rybaki

W tym samym czasie, kiedy bawiono się na weselu Olgi i Mykoły, w Rybakach ksiądz Szmaliński udzielał innego ślubu. W drewnianym kościółku wzajemną miłość przyrzekali sobie Julia Pakosz i Michał Jakubowski.

Kiedy późnym rankiem młodzi małżonkowie wyszli z pokoju, cała rodzina Pakoszków siedziała już przy stole.

– Dobry dzień nowożeńcom – ojciec Julii pochylił się nisko. – Jak noc poślubna? – zapytał żartobliwie, ale wywołał tym irytację swojej żony.

– A co ty taki ciekawy? – obruszyła się. – Przy stole dzieci, a ty o takich rzeczach mówisz – zamachała rękami. – Lepiej wspomnij, jak z nami było.

Dla Wiktora nie mogły to być miłe wspomnienia bo zamilkł, wydymając usta.

– Co to jest noc poślubna, mamusiu? – Antoś włożył do buzi pustą łyżeczkę.

– Jedz kaszkę, bo ostygnie! – synowa Pakoszków nerwowo poprawiała obrus, z wyrzutem patrząc na Julię.

– Noc poślubna, Antosiu, to pierwsza noc, jaką mąż i żona spędzają razem – dziewczyna pogłaskała jasną czuprynę Antosia. Odpowiedź zadowoliła chłopczyka i nie pytając już o nic, zabrał się do jedzenia stygnącej kaszy manny.

Słońce stało wysoko, gdy Michał i Julia wychodzili z zagrody, kierując się w stronę Czeremoszu. Minęli drewniany kościółek, przylegający do niego cmentarz i wśród wysokich zagonów kukurydzy szli polną ścieżką w kierunku drogi cerkiewnej. Kiedy na nią wkroczyli, skręcili w stronę Kut. Wąska ścieżka wiła się wśród gęstych krzewów dzikiego bzu, olch, wierzby i wikliny, to zagłębiając się w nie, to wychodząc na otwartą przestrzeń pól i łąk, kończących się gdzieś u podnóża Karpat.

Czasem schylali się pod wiszącymi nisko gałęziami, czasem je rozgarniali, przerywając na krótką chwilę śpiewny koncert nadrzecznego ptactwa, którego gatunków nikt we wsi nie potrafił zliczyć. Szli, trzymając się za ręce, i coraz bardziej zbliżali do ustronnego miejsca, które Michał, jako

przemysłownik bukowińskich orzechów, znał bardzo dobrze.

– To tutaj – powiedział i się zatrzymał.

Znaleźli się w miejscu osłoniętym gęstą wikliną, gdzie jedna z wielu odnóg Czeremoszu, ledwie połączona z jego głównym nurtem, łagodnym zakolem omijała wysoką, piaszczystą łachę porośniętą olszyną, tworząc duże rozlewisko stojące, rozgrzanej słońcem wody. Michał rozłożył na piasku łyżnik i czule objął żonę.

– Tak długo czekałem, Julio, tak długo – całował jej usta.

– Czy ty naprawdę mnie kochasz? – kiwała głową, uśmiechając się tajemniczo.

– Dlaczego wątpisz? Oczywiście, że cię Kocham – próbował ująć jej dłoń, ale nie pozwoliła i ruszyła przed siebie. Nie wiedząc, o co chodzi, poszedł za nią. Przyśpieszył kroku, ale ona zaczęła biec.

– Julio, poczekaj! Co się stało, dlaczego uciekasz?

Chociaż nie było ani kamieni, ani korzeni, potknęła się i przewróciła na piasek. Kiedy pochylił się, aby ją podnieść, objęła go za szyję.

– Kocham ciebie, Michale – szeptała. – Bardzo ciebie Kocham.

– Droczyłaś się ze mną – rozpinał jej sukienkę.

– Tak – przyznała i cmoknęła go w policzek.

Rozbierali się nawzajem, obsypując dziesiątkami pocałunków, aż w końcu zastygli w czułym uścisku dwóch nagich ciał. Cieszyli się sobą w milczeniu, zadowolając się przelotnymi pocałunkami i dotykiem, którego oboje dopiero się uczyli.

– Julio kochana – mówił, kiedy wracali do miejsca, w którym zostawili łyżnik. – Tak musiał wyglądać Raj. Jestem pewien, że Czeremosz kiedyś płynął w Raju, że były tam łągi i śpiew ptaków, taki jak tutaj.

– Może tak było, a może nie. Kto to może wiedzieć?

Bez słowa weszli do ciepłej wody, a kiedy sięgała im do piersi, znowu przytulili się do siebie.

– Płyn za mną – zachęcał. Kilka ruchów ramion wystarczyło, aby znaleźli się na drugiej stronie rozlewiska. Cieszyła ich woda, cieszył wzajemny dotyk

i śpiew ptaków, które zdawały się nie zwracać na nich uwagi. Kiedy wszystkim już się nacieszyli, wyszli na brzeg, by wysuszyć nagie ciała.

– Ale ręcznik to został w domu – Julia zmartwiła się.

– Jest ciepło – uśmiechnął się. – Szybko wyschniemy.

Zgarniał kropelki wody z jej ciała, strzepując ręce jak znachor uzdrawiający chorego, a ona stała z zamkniętymi oczyma, poddając się temu z nieukrywaną przyjemnością. Widział to i powoli zamieniał dotyk dłoni w zupełnie inny jego rodzaj – taki, jaki schowany w nadrzecznych zaroślach, wiele razy widział u młodszych i starszych kochanków.

Gładził jej piersi, biodra i uda. Chociaż dziewczynę w ramionach miał po raz pierwszy, robił to tak delikatnie i tak czule jak bardzo doświadczony kochanek. Gładził jej pośladki i plecy, całował usta. Kiedy dotykał jej łona, otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

– Kocham cię, Michale. Jestem twoja, cała jestem twoja, chcę kochać się z tobą. Od dawna tego pragnę.

– Połóżmy się – przytulił ją mocniej. – Masz śliczne ciało.

Wełniany lyżnik z chrzęstem zagłębił się w nadrzecznym żwirze.

Leżeli złączeni mocnym uściskiem ramion, wsłuchani w szum wiatru, Czeremoszu i śpiew ptaków, a słońce smagało ich ciała cieniami gałązek wikliny.

– Wczoraj w kościele przysięgaliśmy sobie miłość i wierność, Michale – Julia przerwała panującą ciszę. – To było bardzo uroczyste, ale takie jakies – szukała odpowiedniego słowa – takie na pokaz, dla ludzi.

– Dlaczego o tym mówisz?

– Złożmy ślubowanie jeszcze raz – prosiła. – Tutaj, w tym miejscu.

Uklękli naprzeciw siebie i trzymając się za ręce, wolno powtarzali słowa małżeńskiej przysięgi.

– *Mij Boże, jak wse tut zminylosja* [112] – Myrosław Pawłyczko kiwał głową, jakby chciał sobie przyznać rację. – Wesele Olgi i Mykoły bogate, a ślub Michała i Julii biedny.

Jewdokia i Oksana siedziały przy stole, ale nie włączały się do rozmowy.

– Wojny jakby nie było, to u Jakubowskich i Pakoszów weselisko duże jak u Demianiuków i Tymoszuików mogło być.

– *Jakby ne wijna, ce ne Mychajło, ale nasz Stiepan wzjaw by Julju za drużynu* [113] – Oksana wstała od stołu. – Wiesz przecież, tatko, że Julia bardzo się jemu podobała.

– Moja to wina, że Stiepana ubili. – Pawłyczko zacisnął pięść. – Amnestia była i ja go prosił, by ujawnił się i organizację rzucił. Przez moje głupoty wyrok na niego wydali. Bożeż ty mój! – wzniósł oczy ku górze. – Jak mogli zrobić to, no jak?

– *Chto mih znaty, lipsze wyjty abo zalyszytysja w orhanizaciji?* [114] – Jewdokia poprawiła obrus.

– Na co nam ta wojna? Na co samostijna Ukraina, kiedy tyle nieszczęścia ludzie mają?

Rok 1943

Paliwka, Berezka

Od dnia, w którym dowiedział się, że będzie ojcem, Grzegorz częściej niż zwykle odwiedzał rodzinę Krasiuków. Chociaż piesza wędrówka z Rybak do Berezki zajmowała kilka godzin, podejmował ten trud każdego tygodnia, aby spotkać się z Galiną. Dzisiaj także gościł w jej domu, chociaż Stefan Nowak stanowczo mu tej wizyty odradzał.

– Galinko najdroższa – gładził włosy dziewczyny, tak samo jak wtedy, w łęgu nad Czeremoszem. – Nie mogę się z tobą ożenić, matka nie chce się zgodzić. Możesz jednak być pewna, że zawsze będę dbał o ciebie i nasze dziecko.

– Ludzie mną gardzą, Grzegorzu – Galina uśmiechnęła się smutno, przesuając dłoń po jego zarośniętym policzku. – *Jak ty mogła ce zrobyty, czy mało ukraińskich chłopciw?* - mówią. *Ty prosto pljuha!* [115]. Gdyby nie rodzice, Iwan i pop Atanasij, moje życie... – zabrakło jej słów. – Ja chyba bym... Tak, pop Atanasij bardzo mi pomógł. Mówił w cerkwi o miłości i przebaczeniu. Nie powiedział, że mnie ma na myśli, ale kazał każdemu zastanowić się, czy złym słowem nie zabija innego człowieka. Po tym ludzie trochę się uspokoili, a ja poszłam mu podziękować. Ucieszył się. Powiedział, że dziecko jest darem Boga, a Bóg kocha wszystkich tak samo – wtuliła głowę w ramiona Grzegorza i cicho płakała.

– *Idy wże, bo nezabarom temno stane* [116] – wycierała zapaską zapłakaną twarz.

– Nie boję się ciemności – odpowiedział zdecydowanie. – Duchów też się nie boję.

– Ty nie duchów się bój, ale ludzi. We wsi ciebie nie lubią.

– Nic mnie to nie obchodzi – machnął ręką.

– Mylisz się, Grzegorzu – odpowiedziała. – To, co ludzie myślą i mówią, jest bardzo ważne. No, idź już!

W drodze powrotnej Grzegorz zatrzymał się na krótko u Nowaków. Zapadał zmierzch, kiedy od nich wyszedł, kierując się w stronę Rybak.

– Nie bójcie się! – krzyknął spod przydrożnej skały. – Nic mi się nie stanie.

Stefan i Elżbieta próbowali przekonać go, aby został na noc, ale się uparł, że jeszcze dzisiaj wróci do Rybak. Teraz stali na werandzie z nadzieją, że się jednak rozmyśli.

– Trudno, co ma być, to będzie – Stefan wziął żonę za rękę. – Chodźmy.

Weszli do sieni i zamknęli drzwi na zasuwę.

Elżbieta robiła kolację, Stefan czytał kolejny rozdział *Potopu*, a Edmund i Janek z uwagą wsłuchiwali się w każde jego słowo. Nagle rozległo się łomotanie do drzwi.

– *Put' by tobi prypała. Połomył by ty ruki i nohy* [117] – dobiegły ich głośne przekleństwa.

Stefan odłożył książkę i podszedł do okna. Stał z boku i odsunął firankę.

– Lampę zgaście, szybko! – krzyknął stłumionym głosem.

W pokoju zrobiło się ciemno. Świeży śnieg, który spadł dwa dni wcześniej, rozjaśniał mrok, a wzrok Stefana na tyle do niego przywykł, że zobaczył kilka biegnących postaci, które wkrótce zniknęły za przydrożną skałą.

– Przestraszyć nas chcieli – powiedział półgłosem i wrócił do stołu. Izbę rozjaśniło światło zapalanej przez Ewę lampy. Stefan otworzył książkę. Z zewnątrz dobiegł dziwny hałas i wszyscy w jednej chwili zamilkli. Kiedy hałas powtórzył się, Stefan podszedł do drzwi i zaczął nasłuchiwać. Pełną wyczekiwania ciszę zakłócił trudny do zrozumienia głos, bełkot nieledwie. Za drzwiami ktoś był.

– A tam kto? – Stefan dla pewności wziął ciężki metalowy pogrzebacz. Kiedy bełkot powtórzył się, otworzył zasuwę i lekko uchylił drzwi. W bladym świetle lampy dostrzegł mężczyznę bez czapki, leżącego w kałuży krwi twarzą do podłogi. Jego płaszcz pokryty był śniegiem.

– Elu – przywoływał żonę. – Chodź szybko.

Elżbieta włożyła dziecko do kołyski i podbiegła do męża.

– Boże, to Grzesiek – szepnęła przejęta. – Poznaję jego ubranie.

Po ślubie Olgi i Mykoły świat Iwana legł w gruzach.

– *Jiji bat'ky cjoho ne dozwołyly* [118] – mówił do Kasi, z którą spotkał się przed szkołą na zboczku Spensowej. – A ona obiecała zostać moją żoną i rodić moje dzieci!

Dziewczyna nie umiała znaleźć słów, które mogłaby go pocieszyć. Złych emocji, które teraz były udziałem Iwana, doświadczali zarówno chłopcy, jak i dziewczyny, nie tylko w Berezce i Paliwce, ale na całym Pokuciu. Rodzice nie zabraniali dzieciom spotkań z rówieśnikami, ale kiedy miało dojść do małżeństwa, liczyły się wyłącznie głosy ojca i matki.

– Widzisz, Iwanie – Kasia położyła dłoń na jego ramieniu – ani ty, ani Olga, ani nawet pop Atanasij nic nie możecie zrobić. Takie jest rodzicielskie prawo.

– Co to za prawo? – Iwan zacisnął zęby. – Co to za prawo, które zabrania szczęścia? Ja go nie uznaję.

– No i co z tego, że go nie uznajesz, kiedy ono jest stosowane przez wszystkich...

– Gdybym był bogaty, zabrałbym Olgę daleko stąd i tam się z nią ożenił.

– Gdybyś był bogaty, nigdzie nie musiałbyś jej zabierać. Jesteś *harnym* [119] chłopakiem, nie to, co Mykoła, a gdybyś jeszcze był bogaty, to dzisiaj Olga byłaby twoją żoną.

Berezka

Był lipcowy poranek. Brak rosy i parne, ciężkie powietrze zapowiadały popołudniową burzę. Olga przecierała wiadro kawałkiem płótna, zerkając na śpiącego Mykołę.

– *Mamo, wychodzu!* [120] – jej dźwięczny głos wypełnił półmroczny korytarz.

– *Koly budeś?* [121]

– W południe. Idę na Rabiniec, a to daleko.

– A musisz iść aż tam? Za wsią też jagód nazbierasz.

– Ale nie takich jak na Rabińcu.

– Oj, młoda ty jeszcze, to i daleko iść tobie niestraszno.

Głośna rozmowa Olgi z matką nie zbudziła Mykoły.

Jednak dziewczyna nie myślała dzisiaj o jagodach. Wczoraj, kiedy szła na połoninę, aby składać siano, spotkała Iwana. Właściwie nawet nie spotkała, tylko minęła się z nim, zamieniając w locie kilka słów. Od ślubu z Mykołą nie widziała Iwana ani razu i bała się spotkania z nim. Nie chciała dawać powodów do plotek, bo przecież ludzie wiedzieli, że ona i Iwan bardzo się kochają. Wiedzieli, że ślub z Mykołą nie był jej wyborem i że miłości w jej małżeństwie nie było. Po ślubie, ku zgorszeniu obu rodzin, Olga nie dzieliła z mężem wspólnego łóża. Przez trzy tygodnie spała sama i płakała. Nie słuchała ani ojca, ani matki, którzy najpierw jej grozili, a później już tylko prosili, aby była prawdziwą żoną. Dopiero Sofii udało się ją przekonać.

– *Sołodeńka* [122] ty moja – mówiła sważka. – Myślisz, że tobie jednej serce krwawi? Takich jak ty więcej jest. Wracaj do Mykoły, on poczciwy chłopak. Pije tyle, co inni, robotny jest, to i przywykniesz do niego, a kiedy urodzisz dziecko, to i jego pokochasz. Coś jeszcze ci powiem – Sofija ściszyła wtedy głos. – Spotkaj ty się sekretnie z Iwanem. Było już nieraz, kiedy chłopak albo i dziewczyna, co żalność wielka ich gryzła, zmieniali się po tym całkiem, bo nie miłość, jeno *durijka* [123] ich do siebie gnała. Durijka przeszła jak noc po dniu i ulgę wszystkim dała. I z tobą tak być może.

– *Zawtra zranksu pid pochyłym dubom* [124] – powiedziała wczoraj, mijając Iwana i nie podnosząc głowy.

– *Ja pryjdu!* [125] – odpowiedział, a jej serce chciało wyskoczyć z emocji. To była cała ich rozmowa. Przeszli obok siebie, jakby się nie znali. Nawet kroku nie zwolnili. Stara, nieco przygłucha Waselena Dmytrowicz, siedząca na ławce przed domem, która wszystko o wszystkich wiedziała, była zawiedziona.

Przed cerkwią Olga przeżegnała się, upojona widokiem srebrzystych kopuł, widocznych wyraźnie na tle jednego z zalesionych wzgórz. Spojrzała przelotnie na cmentarz przywołujący wspomnienia babci oraz dziadka i poszła. W oddali widziała już Rabiniec. Droga cały czas prowadziła pod górę. Po jej jednej stronie stały huculskie zagrody, ogrodzone drewnianymi płotami, czasem tylko drewnianymi drągami zwanymi *rozłohami*, po drugiej z kamienia na kamień przeskakiwał górski strumień, szmerząc przy tym głośno.

Swoje źródła miał gdzieś pod Krzywym Groniem i wcale nie najkrótszą drogą zmierzał do nieodległego Czeremoszu. Na stromych połoninach pasły się krowy i owce, a wyżej stały pasterskie szałas. Wioska powoli traciła swoją luźną zabudowę. Pojedyncze domy były teraz w coraz większej odległości od siebie, ale znajdowały się wszędzie. Czasem stały samotnie, czasem po dwa lub trzy razem. Wszystkie drewniane, tylko dachy pokrywała słoma, czasem błyszcząca w słońcu blacha albo drewniane łupki. Olga mijała dom za domem, zagrodę za zagrodą, niby podobne do siebie, a jednak inne.

Droga niepostrzeżenie stała się ścieżką i zostawiła w dole towarzyszący jej dotąd strumień. Im ścieżka wyżej się wspinała, tym bardziej urokliwy krajobraz ukazywał się oczom Olgi, a ona pewnie pokonała kołyszącą się drewnianą kładkę i weszła do lasu. Ścieżka biegła teraz tuż przy potoku, czasem obok szmerzącej wody, czasem nad nią, to wspinając się na skalisty brzeg, to znowu opadając. Na rozwidleniu ścieżek skręciła w prawo. Strumyk został z tyłu, a jego szum wkrótce zamilkł. Olga minęła polanę otoczoną wysokimi świerkami, kilka przewróconych drzew, kolejną polanę i wreszcie dotarła do pochylonego dębu. Iwan już czekał.

Podbiegła do niego, splotła ręce na jego karku i powitała długim pocałunkiem.

– Niedaleko jest polana, chodźmy tam – jej ledwie słyszalny szept wprowadził oboje w stan ekscytującego oczekiwania.

Uśmiechnął się, a ona ujęła jego dłoń, prowadząc w dobrze sobie znane miejsce. Świerkowy las stawał się coraz bardziej gęsty, ale strumień ciągle im towarzyszył. Wspinali się łagodnym zboczem i wkrótce znaleźli na płaskiej i rozległej polanie, pełnej słonecznych promieni. W tym miejscu strumyk zmieniał kierunek, tworząc duże zakole. Rozejrzała się, chcąc mieć pewność, że są sami. Byli.

Powoli zdjęła wszystko, co miała na sobie, i kołysząc się z gracją, ilekroć jej stopy trafiły na kamień, ostrożnie weszła do chłodnej wody.

Iwan stał oszołomiony, a ona ruchem ręki zapraszała do siebie. Rozebrał się i wkrótce oboje cieszyli się bliskością swoich ciał w zimnej i kryształowo czystej wodzie. Nie trwało to jednak długo. Chłód i siła pożądania sprawiły, że wyszli na brzeg. Rozcierali krople wody spływające z twarzy i ramion, a słońce powoli suszyło ich nagie ciała. Spoglądali na siebie co chwilę.

Olga splotła dłonie i wyprostowała ręce nad głową, zwracając twarz ku słońcu. Zamknęła oczy i znieruchomiała. Sprawiała wrażenie, że Iwan wcale jej nie interesuje. A on podziwiał jej ciało, kręcone, jasne włosy spadające na ramiona, wąską talię i dwa dołeczki tuż nad pośladkami. Nagle Olga odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy tak, że nie udźwignął jej spojrzenia. Trzymając ciągle splecione nad głową dłonie, podeszła tak blisko, że ich ciała zetknęły się ze sobą.

– *Meni pohano bez tebe! Ne možu bez tebe żyty!* [126] – objęła jego szyję.

Nie czuł ciężaru jej ciała, kiedy oplotła nogi na jego plecach. Jej uda mocno przylgnęły do jego ciała, a usta z rozmysłem błędziły po całej jego twarzy, by w końcu złączyć się z jego ustami w gorącym pocałunku. Płaski kamień, na którym złożyli swoje ubrania, był o krok. Iwan ostrożnie położył na nim dziewczynę. Przysięgi, ślubowania i przestrogi rozwiały się w szalonej namiętności pożądania, a ich ciała wykorzystywały to z całą bezwstydną bezwzględnością.

Głośne stukanie wyrwało Iwana z głębokiego snu. Zaspany usiadł na skraju łóżka i po omacku szukał zapalek.

– *Ukrajin's'ka Powstan's'ka Armija! Widczyn'ajte!* [127] – stanowczy głos z zewnątrz rozwał wszelkie wątpliwości.

Witalij, który także zdążył wstać, podszedł do drzwi i mocował się z drewnianym skoblem. Kiedy się z nim uporał, do izby weszło czterech mężczyzn. Przewodził im człowiek z głęboką blizną na lewym policzku. Witalij, Iryna i Galina z córeczką na ręku stanęli obok kaflowego pieca. Byli przestraszeni.

– A wy co? Jak nas witacie? – w głosie mężczyzny z blizną zabrzmiały groźba i gniew. – Po nocy my szli, a wy nie prosicie do stołu?

– Prosimy. Bardzo prosimy – Iryna wskazała ławę i krzesła stojące przy stole.

– No, tak lepiej. Nie po to my tu jednak przyszli, by was zachowania uczyć. A ty co? – spojrzał na Iwana. – Samostijnej Ukrainy nie chcesz? Zebrań unikas, diwczynońki durijką mamisz, a nam ludzi potrzeba.

Iwan siedział ze spuszczoną głową i milczał.

– Widzieliśmy was w lesie pod Rabińcem – mężczyzna uderzał palcami o blat stołu. – Taaak – kiwał głową – było na co patrzeć. Ciekawe, co Mykoła zrobi, kiedy o tym się dowie?

– Zbieraliśmy tylko jagody – Iwan bronił się bez przekonania.

– Mam powiedzieć, jak wyglądało to zbieranie? – mężczyzna z blizną wybuchł szyderczym śmiechem i w izbie zapanowała cisza. Twarz Iwana przyjęła kolor purpury.

– Nie musisz – wymamrotał.

– No widzisz – człowiek z blizną w jednej chwili spowaźniał. – Wiedziałem, że dasz się przekonać. Jutro przyjdzie po ciebie ktoś od nas.

Wstał i poklepał Iwana po plecach.

– *Boże, pomahaj wam* [128] – powiedział od niechcenia. Wyszedł z izby, a z nim jego towarzysze.

– *Diakuju za dobre słowo. Nechaj Boh pomahaje i wam* [129] – głos Iryny łamał się.

Dochodziła jedenasta, kiedy w zagrodzie Krasiuków pojawił się obcy mężczyzna.

– Gotowy do drogi? – zapytał bez zbędnych ceregieli. Iwan był gotowy i

obaj zarzucili na plecy worki z ubraniem i prowiantem i ruszyli na południe w stronę Rabińca.

Szli dobrze Iwanowi znaną drogą. Minęli krzywy dąb, ten sam, przy którym kilka dni temu spotkał się z Olgą. Tą samą ścieżką dotarli do płaskiego kamienia przy rzeczonym zakolu i weszli w gęsty sosnowy las. „To stąd musieli nas widzieć” – przemknęło przez głowę Iwana.

Szli dalej, ciągle się wspinając, i po kwadransie znaleźli się na niedużej połoninie, opadającej łagodnie w kierunku południowym. Na jej skraju, tuż przy wysokich świerkach starego lasu, stała nowa huculska chata. Weszli do środka i z ulgą zrzucili worki.

– Siadaj i odpoczywaj – przewodnik był w doskonałej kondycji. Chwilę krzątał się po chacie, a w końcu wyszedł z wiadrem na podwórze.

Iwan opadł ciężko na szeroką ławę. Rozglądał się po izbie i zastanawiał, kto tutaj mieszka.

– No, ja swoje zrobił – przewodnik podał mu kubek zimnej wody. – Chodź ze mną.

Przeszli do małego pomieszczenia, w którym były drewniane łóżko wciśnięte we wnękę, mały stół i krzesło. Mężczyzna odsunął łóżko i drewnianą laską trzy razy uderzył w podłogę. Odczekał chwilę i ponownie zrobił to samo.

Kuty

W grudniu 1943 roku już było wiadomo, że Niemcy tę wojnę przegrali. Ich wojska stacjonujące na Pokuciu powoli szykowały się do odwrotu. Ukraińskiej policji i oddziałom UPA dano milczące przyzwolenie na bezkarną działalność.

Fedor Primak i Roman Dywczuk, obaj aktywni członkowie OUN, w pełni to wykorzystali. Primak został komendantem posterunku policji w Kutach, a Dywczuk jego zastępcą. Obaj czekali na dogodny moment, aby objąć dowództwo nad oddziałami, które od kilku miesięcy formowali w górach otaczających Paliwkę i Berezkę.

Anna Jakubowska była w Kutach u znajomych i po południu wracała do Rybak, odprowadzana przez ich córkę Kazimierę. Dziewczyny szły ulicą Kolejową, kiedy nagle drogę zagroził im Dywczuk.

– *Wy obydwu majete zjawytc'a nehajno w policijnomu komisariati!* [\[130\]](#)
– oznajmił groźnie.

– O co chodzi? – pod dziewczynami ugięły się nogi.

– Dowiecie się na komisariacie.

Przestraszone poszły za nim i wkrótce znalazły się na posterunku.

Primak siedział za biurkiem i milczał, a Dywczuk roztaczał ponurą wizję rychłego wyjazdu obu dziewczyn do Rzeszy.

– Z naszym głosem Niemcy się liczą – powiedział na koniec – a od was zależy, czy wstawimy się za wami.

– Od nas? – zapytała Anna. – To co mamy zrobić?

– Nie wiesz, czy tylko udajesz? – Dywczuk zarechotał. – Ty pójdiesz ze mną – chwycił ramię Anny – a ona – ruchem głowy wskazał Kazimierę – jest wasza, komendancie.

Kiedy roztrzęsione i zapłakane wyszły z posterunku, dobry humor nie opuszczał Dywczuka.

– Jak się wam, komendancie, rznąło tę ślicznotkę? Bardzo się broniła?

– E tam – Primak zapinał guziki policyjnej bluzy. – Była potulna jak baranek.

– Moja się stawiała i chyba tego żałuje. Nie biję kobiet, ale ją musiałem. To co, komendancie, jutro następne?

– Tak – Primak poklepał Dywczuka po ramieniu. – Tylko wybierajcie najładniejsze.

Jurek Batycki, silny jak tur chłopak Kazimiery, wszedł do restauracji obok posterunku policji.

– Tutaj jesteś, bydlaku! – wycedził przez zęby, kiedy zobaczył siedzącego przy stoliku Dywczuka. Chwycił go za kłapy policyjnej bluzy i z łatwością podniósł z krzesła. – Ty świnió! – wycedził przez zęby i rzucił nim o ścianę.

Nagle poczuł silne uderzenie w głowę.

– Zostaw go! – krzyknął ktoś z tyłu. – Pod ścianę i łapy do góry!

Primak i dwaj policjanci mierzyli do niego z pistoletów.

Batycki wykonał polecenie.

– Przeszukać go!

Jeden z policjantów zaczął obmacywać kieszenie marynarki i spodni Batyckiego.

– Niczego nie ma – meldował po chwili.

– Skuć go i zaprowadzić na komisariat!

– Pozwolicie, komendancie, że ja z nim pogadam – Dywczuk rozcierał obolałe ramię.

– Jest wasz, tylko pamiętajcie, że musi jeszcze dojść do Kosowa.

– Z tym to może być problem, komendancie – Dywczuk wyjął z szuflady kastet.

– To mówicie, że za Starymi Kutami więzień Batycky zaczął wam uciekać i musieliście go zastrzelić? – niemiecki oficer, prowadzący dochodzenie, zapisywał coś w zeszycie.

– Tak jest! – Primak stanął na baczność. – To było w lesie za Starymi Kutami.

– Wiem, że kłamiecie, ale napiszę, że tak było.

Rok 1943/1944

Lwów, Rybaki, Kuty

Michał Jakubowski nadal zajmował się przemytem, jednak towary z Bukowiny trudno było sprzedać na targu w Kosowie. Żydów, jego dawnych klientów, już nie było, jeździł więc pociągiem do Lwowa. Woził jabłka, które kupowali niemieccy żołnierze i policjanci, ale pod nimi miał schowany tytoń. Niebezpieczne były to podróże. Pociągiem jeździła też ukraińska młodzież, taka z ostatnich klas gimnazjum. Dojeżdżała do szkół we Lwowie i śpiewała różne piosenki. Jedna z nich szczególnie niepokoiła Michała:

*Wy, chłopci, ne sumujcie, wy, chłopci, junaki,
Nezabarom pryjide pohybel na Lachiw.
My budemo strel'aty i rizaty nożem,
Aż z ridnij Ukrainy Lachiw my proženem [131].*

To była groźna piosenka, ale przez myśl Jakubowskiemu nawet nie przeszło, że to może stać się naprawdę, że oni to mogą robić. Nie wiedział, że to był program banderowski.

We Lwowie widział jadące sznury chłopskich furmanek zaprzężonych w konie. Wozy były załadowane, a za każdym szła krowa. Ciągnęły te dziwne tabory ze wschodu na zachód.

– Dokąd jedziecie? – zapytał kiedyś jednego z woźniców.

– Do centralnej Polski, panie – woźnica ściągnął lejce. – Z Wołynia jedziemy. Wiozę tyle, ile na wóz można było włożyć. Tam cały dobytek my zostawili. Domy my zostawili, bydło my zostawili. Jedziemy ot tak, byle dalej. Ja z życiem uszedł, a innych banderowcy popalili i ubili. I dalej to trwa.

Dla Jakubowskiego stało się jasne, w jaki sposób banderowcy dążą do powstania samostijnej Ukrainy. Jednak na Pokuciu panował jeszcze spokój.

Był marzec 1944 roku i zbliżał się front. Niemcy zamykali posterunki i uciekali na zachód. Najpierw opuścili Śniatyn, a później placówkę graniczną w Rybakach. Wzięli całe uzbrojenie, cały zrabowany dobytek i załadowali to wszystko na wozy. Jakubowskim zabrali świnie, zabili ją, zrobili wyroby, a później dużą grupą poszli w Karpaty. Odjeżdżając, dali rozkaz ukraińskiej policji, aby wycofała się razem z nimi.

– Wszystko gotowe? – Primak zapalił papierosa.

– Gotowe – Dywczuk odwijął rękawy. – To solidny wóz i dobry ormiański woźnica.

– Wiecie, że nasi ludzie od rana czekają za Starymi Kutami?

– Dobry plan, komendancie – Dywczuk cmoknął z podziwem. – I Nedobytyj będą was nazywać?

Primak podszedł do okna.

– Tak – potwierdził i odsunął firankę. – I to już niedługo. Może nawet dzisiaj wieczorem.

Pobity ormiański woźnica ledwie dowlókł się do domu.

– Co się stało, gdzie wóz, gdzie konie? – przestraszona żona opatrywała jego zakrwawioną twarz.

– Banderowcy nas napadli w lesie za Starymi Kutami – syczał z bólu. – Mnie pobili, zabrali wóz, konie i do Kut wracać kazali. Primaka i Dywczuka powiązali i do lasu zaciągali. Zastrzelić ich chcą, bo w policji byli.

Tosiek Myrdak był Polakiem i mieszkał w Kutach. Ten olbrzymi, silnie zbudowany mężczyzna pracował w tartaku w Załuczu, gdzie wynajmował mały pokoik. Dwa razy w miesiącu wracał na niedzielę do żony.

Był wieczór i mała naftowa lampa ledwie rozpraszała ciemności. Tosiek z żoną siedzieli przy stole, kiedy rozległo się łomotanie do drzwi.

– Tośku, szybko uciekaj na strych! – kobieta przeżegnała się. – A wy to czego chcecie? – pytała Dywczuka, który z kilkoma mężczyznami wszedł do izby.

– *De twij muž? My pryjszly po twoho muža! Tiszc'a, szczo ne po tebe!*
[132]

– Nie ma go, w robocie jest.

– Kłamiesz! – Dywczuk pchnął kobietę tak mocno, że upadła na podłogę. – Przeszukać dom!

– Mamy go – meldowali wkrótce banderowcy. – Na strychu był.

– A mówiłaś, że w robocie – Dywczuk uderzył kobietę w twarz. – Jeszcze

tu wrócimy!

– Nie róbcie nic złego Tośkowi – prosiła, kiedy związanego wyprowadzali z chaty.

Tośka nie było całą noc i z rana wyszła go szukać. Znalazła go leżącego w kałuży krwi przed domem sąsiadów. Ludzie ubierający go do pogrzebu naliczyli w koszuli trzydzieści pięć dziur od noża.

To był pierwszy zryw banderowców, a jego celem była likwidacja tych Polaków, którzy ich zdaniem mogli stanąć na czele oddziałów samoobrony.

Polaków mieszkających w Rybakach ogarnęło przerażenie. Zaczęli się ukrywać w stodołach i oborach Ukraińców, za ich wiedzą lub bez niej. U Jakubowskich powstał samoistnie punkt zborny. Ludzie przychodzili, aby być razem, ale to nie gwarantowało bezpieczeństwa. Polacy mieli jedną strzelbę samoróbkę, trochę noży i siekier. Było dwóch, może trzech mężczyzn zdolnych do walki. W starciu z sotniami UPA nie mieli najmniejszych szans.

Banderowcy mordowali nocą. Kiedy jednak pojawili się w Rybakach za dnia, sytuacja zrobiła się tragiczna. Wielu Polaków uznało, że trzeba uciekać do Śniatyna, gdzie już stacjonowali Rosjanie. Po drodze była jednak wieś Kamielniki, a w niej silna bojówka banderowska. Nie było żadnych możliwości, aby dostać się bezpiecznie z Rybak do Śniatyna.

– Dajcie nam kilka ukraińskich paszportów – prosił Jakubowski gminnego sekretarza Sieńczuka. – Chcemy uciekać do Śniatyna, ale w Kamielnikach nas wyrzną!

– Nie mam paszportów – Sieńczuk rozłożył ręce.

Rybaki, Bukowina

– Nie możesz tutaj zostać – Michał gładził brzuch Julii. – To jeszcze trzy miesiące.

– Masz rację – przycisnęła do brzucha jego rękę. – Coraz szybciej się męczę, nie mogę biegać, ciągle się boję. Tylko gdzie uciekać?

– Poczekaj – pocałował żonę i wyszedł z izby. Po kwadransie usłyszała jego kroki.

– Szykuj się do drogi – mówił już w sieni. – W nocy uciekamy na Bukowinę. Grzesiek i Pawłyczko pomogą przejść Czeremosz.

Pod osłoną ciemności przedzierali się pojedynczo przez krzaki wikliny, kałuże, strumyczki i piaszczyste wyspy, aż zatrzymał ich główny nurt rzeki. Przeżegnali się i podali sobie ręce.

– Boże, prowadź nas bezpiecznie – prosił Jakubowski. Wziął Julię na plecy, podtrzymując oburącz jej nogi, a ona objęła go za szyję. Grzegorz i Pawłyczko chwycili go pod ręce i ruszyli przed siebie. Powoli zanurzali się w lodowatej rzece. Przeszli szczęśliwie, chociaż woda nieraz sięgała im do piersi.

Grzegorz i Pawłyczko wrócili do Rybak jeszcze tej samej nocy, a Michał i Julia poszli do Baniłowa, w którym mieszkała daleka rodzina dziewczyny.

Na Bukowinie panował spokój i oboje zatrzymali się tam na kilka tygodni. Kiedy do Kut wkroczyli Rosjanie, Michał powrócił do Rybak, ale Julia została w Baniłowie.

Sotnia Fedora Primaka liczyła dziewięćdziesięciu dwóch ludzi i była oddziałem, z którym każdy przeciwnik musiał się liczyć. Podział na przeciwników i przyjaciół był oczywisty. Tymi pierwszymi byli radzieccy partyzanci i oddziały pograniczników stacjonujące w Kutach, drugimi – Niemcy. W samej sotni byli i tacy ludzie, którzy ramię w ramię z Niemcami walczyli przeciwko partyzantom generała Sidora Kowpaka. Sotennyj Primak dobrze pamiętał wyczyn radzieckiego generała, który spod Kijowa przez tereny kontrolowane przez Niemców i Ukraińską Powstańczą Armię w brawurowym rajdzie przeprowadził w Karpaty tysiąc dwustu żołnierzy. Partyzanci generała ulegli w końcu przeważającym siłom niemieckim i UPA, ale nie zostali rozbici całkowicie. Ich niewielkie oddziały zapuszczały się aż do gór Sokolskich, przysparzając sotennemu niemało problemów.

Primak dowodził zarówno młodymi, zaledwie osiemnastoletnimi chłopcami, jak i dojrzałymi mężczyznami, z których kilku skończyło sześćdziesiąt lat. Wzorcowym przykładem dwóch żołnierskich pokoleń był Mirko Smotryczewskij ze swoimi trzema synami, stawiany często za wzór prawdziwego ukraińskiego patrioty.

Największą wartość bojową przedstawiali uciekinierzy z niemieckich

jednostek wojskowo-policyjnych, wiernie wykonujący odgórny rozkaz *prowidu* [133] OUN, nakazujący porzucanie służby i wstępowanie do partyzantki celem oczyszczania terenów Zachodniej Ukrainy z polskiej ludności. W sotni Primaka takich ludzi było około dwudziestu, a ponieważ oprócz broni przynieśli ze sobą niemałe wojskowe doświadczenie, większość z nich została dowódcami *czot* [134] i *rojów* [135]. Niektórzy mieli przed wojną konflikt z prawem. Karanych za drobne przestępstwa włączono do zwykłych oddziałów UPA. Z tych, którzy otrzymali wyroki za rozboje, akty terroru i zabójstwa, utworzono oddział Służby Bezpieki. Jego dowódcą został Roman Dywczuk. Była to grupa do zadań specjalnych, zabójstw ideologicznych wrogów, kolaborantów i szpiegów oraz dezertersów z szeregów UPA. To oni łamali fizycznie i psychicznie tych, którzy nie godzili się z metodami walki stosowanymi przez UPA. Dotyczyło to także ich rodzin.

Oddział Dywczuka posiadał nieograniczoną władzę. Był postrachem Polaków i Ukraińców mieszkających w Kutach i okolicznych wsiach. Sam Dywczuk mógł oskarżyć każdego o popełnienie dowolnego czynu i wykonać na nim wydany przez siebie wyrok.

Najliczniejszą grupę w sotni Primaka stanowiła chłopska młodzież, pragnąca walczyć o niepodległą ojczyznę z każdym okupantem, w tym także z Niemcami. Ten młodzieńczy zapał i naturalna wrogość wobec obcych wojsk były początkowo powodem różnych nieporozumień. Zdarzało się, że atakowano mniejsze oddziały niemieckie, jednak intensywne akcje propagandowe i działania grupy Dywczuka pozwoliły opanować sytuację. Teraz już nikt nie uważał Niemców za wrogów niepodległej Ukrainy.

Po każdej akcji, ostatnio głównie przeciwko partyzanckim niedobitkom Sidora Kowpaka, sotnia odpoczywała w podziemnym schronie, lecząc rany w szpitalu, który się w nim znajdował. Primak był dumny z tego schronu. Wykopali go żydowscy uciekinierzy z niemieckich transportów do obozów śmierci. Żydów było prawie czterdziestu. Część z nich została złapana przez ludzi Primaka, innych wydali chłopci z okolicznych wiosek.

Więźniowie przez trzy miesiące ryli górskie zbocza, zakopywali świerkowe pnie, tworząc labirynt podziemnych korytarzy i pomieszczeń z pomysłowo zamaskowanymi wejściami. Niewielka odnoga górskiego strumienia, skierowana do schronu, zapewniała czystą wodę w kuchni i

szpitalu, a przepływając coraz niżej, zabierała wszelkie nieczystości, także te związane z fizjologią człowieka. Kiedy prace przy budowie zostały zakończone, Żydów odesłano do miejsca, w którym, jak cynicznie mawiał Dywczuk, zaczyna się ogon rzepy.

Wiosną 1944 roku w bukowińskim Baniłowie Julia urodziła dziewczynkę i dała jej na imię Natalia. Latem Michał zabrał żonę i córkę do Rybak i we trójkę zamieszkali u Wiktora i Lucyny Pakoszów – rodziców Julii.

Berezka

Północne stoki Rabińca pokrywały duże połacie topniejącego śniegu. Słońce zaszło za Rabiniec i zrobiło się zimno. Na podwórzu osedoka Olgi i Mykoły stały małe *karczuchy* [136], na których Mykoła układał zaostrome pale do naprawy worini.

Olga schodziła błotnistą ścieżką, z największym trudem niosąc wiadra pełne wody. Bukowe *koromysto* [137] bezlitośnie wrzynało się w jej ramiona. Była w siódmym miesiącu ciąży, więc z rozmysłem robiła każdy krok. Zatrzymała się przy werandzie i ciężko opadła na ławę, nie zdejmując jarzma z ramion.

Mieszkali razem, jednak Mykoła pomagał jej rzadko. Rozmawiał tylko wtedy, kiedy musiał, chociaż ona prała, szyła, haftowała i gotowała jak każda przykładowa żona.

Z Iwanem Krasiukiem, ojcem dziecka, nie widziała się od dnia, w którym spotkali się pod pochyłym dębem. Kiedy tylko myślała o tym spotkaniu, żałowała, że Iwana nie ma przy niej na co dzień.

„Boże, po co mu to powiedziałam?” – pomyślała kolejny raz, kiedy Mykoła minął ją bez słowa, kierując się w stronę spichrzyka.

Paliwka

Wieś spowity wieczorne ciemności. Z okolicznych gór, rozdeptując grząskie, błotniste ścieżki, schodzili mężczyźni z sotni Fedora Primaka, ze Służby Bezpieki Romana Dywczuka oraz chłopci z Paliwki i Berezki, zwerbowani do Samoobronnych Kuszczowych Widdił przez Mykołę Tymoszuka. Wszyscy kierowali się do cerkwi, w której panował głęboki półmrok. Naftowe lampy były zgaszone, a ołtarz przed ikonostasem oświetlały jedynie dwie grube świece. Nastrój tajemniczości, niezwykłości, ale i podniosłości dało się wyczuć na każdym kroku.

Na podłodze przed ołtarzem leżały noże, siekiery, maczety i *czepetyki* [138]. Przybywało ich wraz z wchodzącymi mężczyznami. Mimo nieustannego ruchu i wypełnionej po brzegi świątyni w środku panowała cisza, przerywana jedynie dźwiękiem metalu uderzającego o metal. Za ikonostasem słyhać było stłumioną rozmowę, a kiedy ucichła, ksiądz Martynuk wyszedł dostojnie przez Carskie Wrota. Kroczył, trzymając oburącz zapaloną gromnicę. Zatrzymał się twarzą do stojących, złożył ukłon tym, co z lewej i z prawej, po czym postawił gromnicę obok dwóch palących się świec. Oparł dłonie na ołtarzu, pochylił się i ucałował go.

Wyprostowany spoglądał na mężczyzn, których twarze tonęły w mroku, i w milczeniu kiwał głową. Na jego twarzy malowały się skupienie i powaga. Po chwili uniósł ręce, rozpoczynając śpiewną modlitwę.

– Boże, Boże nasz, szczo daw nam Pana naszoho ta Boha, Isysa Chrysta – naszoho Spasytel'a, Byzwolytel'a ta Dobrodijnyka, jakyj nas blahoslowyt' ta osw'aczuje – Ty poblahoslowy ci nozi ta sokyry, szczo my s'ohodni skladajemo na cjomu zemnomy wiwtari wirujuczy, szczo ce Twij nebesnyj Wiwtar [139]. Wspomnij, Panie, w swej dobroci i miłości do człowieka, byśmy dobrze dokonali świętej czynności sprawowania Twych Bożych tajemnic. Pozbaw, Panie, tych, co walczą o wolną ojczyznę, uczucia litości i współczucia, daj im siłę nienawiści i umiejętność podstępnego działania wobec wrogów narodu ukraińskiego. Spraw, by w dążeniu do rozszerzenia siły, bogactwa i obszaru państwa ukraińskiego drogą ujarzmania cudzoziemców nigdy nie ustali. Nie wstrzymuj ich przed spełnieniem największej zbrodni, bo Ty wiesz, że tego wymaga dobro sprawy, o którą walczą i za którą wielu z nich odda swoje życie. Tych, co zginęli i zginą, zechciej przyjąć do Swojego królestwa i przebaczyć im czyny, których dokonali

i dokonają w imię najświętszej sprawy, jaką jest walka o samostijną Ukrainę – abowiem święte i pełne uwielbienia jest najchwalebniejsze i najwspanialsze imię Twoje, imię Ojca i Syna i Świętego Ducha, teraz i zawsze, i na wieki wieków!

– Amen – rozległo się z setek gardeł.

– *Dorohi braty!* [140] – głos Martynuka był cichy i spokojny, ale docierał do najdalszych miejsc. – Niech Pan Wszechmogący ma was w swojej opiece, a te noże, skropione wodą święconą, niech dobrze wam służą. Sytuacja jest trudna. Nasz sojusznik cofa się, ale nie wolno tracić nadziei. Niedługo sprzymierzeni wylądują na Bałkanach i przejdą Karpaty. Kiedy wejdą na naszą ziemię, nie mogą zastać żadnych cużyńców! Drodzy bracia! – Martynuk wytarł palcami kąciki ust. – Musicie oczyścić te ziemie z Polaków. Jeśli ich nie będzie, wtedy nikt nie powie, że samostijna Ukraina powstać nie może! Żydzi i Polacy to nasi wrogowie. Żydów już nie ma, ale Polacy nadal żyją wśród nas, nadal chodzą po naszej ziemi. Trzeba ich wyrwać z korzeniami i spalić, jak pali się uschniętą trawę na wiosnę!

– Trzeba, trzeba! – rozległy się pojedyncze głosy, ale kapłan uciszył je, podnosząc obie ręce.

– Idźcie w imię Boga i oczyszczajcie naszą ziemię! Idźcie w imię Boga i przygotujcie ją do nowego siewu, z którego wyrośnie samostijna Ukraina! Pan z wami.

Kiedy ksiądz Martynuk wyszedł za ikonostas, mężczyźni zaczęli zabierać swoje noże i siekiery, ale stojący w pierwszym szeregu sotennyj Primak podniósł rękę, aby poczekali. Stanęli zdziwieni, a on zaintonował pieśń śpiewaną przez żołnierzy Ukraińskiej Powstańczej Armii podczas powrotów z udanych akcji przeciwko chwastom tej ziemi. Pieśń, którą wkrótce podchwycili pozostali, i całą cerkiew wypełnił ich śpiew.

*Czerwona kałyna pochylilas 'a,
Czohož moja Ukraina zażuryłas 'a?
Czerwona kałyno, ne chylys 'a,
Sławna Ukraino, ne żurys 'a [141].*

W cerkwi zapanowała euforia. Mężczyźni ze łzami w oczach podawali sobie ręce i padali w objęcia. Wierzyli, że już niedługo czerwona kalina będzie kwitnąć tylko dla nich. Już tylko od nich zależało, aby na ich ziemi

nie było ani jednego żywego Polaka.

Berezka

– *Spokijno, dytyno, spokijno, vse bude dobre* [142] – kojący głos Sofii przeplatał się z krzykiem Galiny, leżącej na słomianym materacu. Zapalona świeca stała na stole, a obok niej leżał drewniany krzyż z postacią ukrzyżowanego Chrystusa. Przy innych porodach były jeszcze wiejskie babki, które śpiewały modlitewne pieśni, aby Hospodyn miał litość dla rodzącej i by zdrowe dziecko przyszło na świat, ale w domu Krasiuków Sofija była sama.

– Lackiego bastriuka ty sama na świat sprowadź! – babki jedna za drugą odmawiały jej pomocy.

Bóle porodowe się nasiliły.

– Niedługo już – Sofija głaskała twarz Galiny. – Niedługo po wszystkim będzie.

Dziewczyna zacisnęła dłonie na zmiętym prześcieradle, krzycząc tak głośno, że Witalij, siedzący na werandzie, pośpiesznie wyszedł z zagrody i krętą ścieżką bez żadnego celu zaczął wspinać się na szczyt Tupakowej.

– Diwczynońka jest, a harna jakoż i ty – Sofija umyła dziecko w ciepłej wodzie, zawinęła je w białe płótno i położyła obok matki.

Galina oddychała ciężko. Jej ciało zlane było potem, a zlepione kosmyki włosów kleiły się do twarzy, na której pojawił się ledwie widoczny uśmiech.

– Dam jej na imię Olenka – wyszeptwała.

Kuty

Armia Czerwona wkroczyła do Kut na początku kwietnia 1944 roku, a Polacy i Ormianie witali Rosjan jak zbawicieli. Wiadomość o zajęciu miejscowości rozeszła się lotem błyskawicy. Wielu Polaków z okolicznych wsi zostawiło cały swój dobytek i uciekło pod opiekę czerwonoarmistów. Edward, Maria i Anna także. Skorzystali z gościny swoich kuckich znajomych, pozostawiając na gospodarstwie Michała i Grzegorza. Kiedy jednak po kilku dniach Rosjanie opuścili miasteczko, mieszkańców i uciekinierów ogarnęło przerażenie. Nikt nie wiedział, dlaczego tak się stało. Jedni mówili, że dowódcą wojsk radzieckich był pułkownik ukraińskiego pochodzenia sprzyjający UPA i że to właśnie on doszedł do porozumienia z dowódcami sotni stacjonujących w górach. Inni twierdzili, że banderowscy przekupili Rosjan wódką, a jeszcze inni, że dowództwo Armii Czerwonej nie doceniło siły i determinacji banderowców. Jak było naprawdę, nikt nie wiedział.

Banderowcy zaatakowali już pierwszej nocy. Palili polskie i ormiańskie domy, mordowali ludzi. Tę noc Anna, Maria i Edward spędzili w wykopanym w ziemi schronie. Ściany były wzmocnione grubymi deskami, a na drewnianym przykryciu położono darń. Nikt na nich nie doniósł i banderowcy ich nie znaleźli.

Rano UPA wycofała się w pobliskie góry, aby odpocząć przed kolejną, tym razem nocną akcją. Na drogach dojazdowych stanęły banderowskie posterunki i nikt nie mógł opuścić tej miejscowości. Wiadomość o tym, co się dzieje w Kutach, w jakiś sposób dotarła do Rybak.

– Sąsiedzie, pomóżcie – Michał Jakubowski prosił Pawłyczkę. – Dziadek i babcia swoje przeżyli, ale Anka jeszcze młoda. Z Kut wyprowadzić ją trzeba.

– Trzeba – Pawłyczko zachnął się. Usiadł przy stole, coś mamrotał, jednak po chwili wstał, podszedł do Michała i położył dłoń na jego ramieniu.

– Dobrze, że żony mojej, Jewdokii nie ma, to rozmawiać możemy. Oksanę po Annę wysłać zamiaruję. Ubranie nasze ukraińskie ma, to i siostrę waszą w to ubierze, ale Boga o łaskę nam prosić trza. Dwoje dzieci my mieli – wytarł wilgotne oczy – a teraz ona jedna tylko została. Boskiej pomocy trza, by i jej nie ubili. Żona moja na to by nie przystała, ale nie ma jej, to od razu Oksanie

iść każe.

Oksana poszła bez wahania. Bez problemu przeszła przez posterunki UPA i szybko odnalazła Annę, która przebrała się w ukraińskie rzeczy, a swoje schowała w tobołku Ukrainki.

– Ty to się nie odzywaj – Oksana udzielała ostatnich rad. – Oni poznają, że ty Polka. Ja będę z nimi rozmawiała.

Jeden z posterunków UPA był przy drodze do Rybak.

– *De wy buli ta kudy wy jdete?* [143] – głos młodego banderowca był ostry i stanowczy.

– *My służyły u Pol’akiw, ale jich ubyły, tomu wertajemo do domu* [144].

Mężczyzna rozwiązał tobołek.

– A to co? – wyciągnął zapaskę Anny.

– Polacy nam nie zapłacili, to wzięłyśmy trochę ich rzeczy – wyjaśniła Oksana.

– To idźcie, tylko szybko!

Zanim Rosjanie powrócili do Kut, banderowcy zaczęli mordować także w dzień. W niedzielny poranek Haneczka Mojzesowicz odwiedziła doktor Buzatową, która samotnie wychowywała małą córeczkę. Dziewczyna chciała dowiedzieć się, czy u pani doktor wszystko w porządku i czy nie trzeba jej pomóc. Chociaż doktor Buzatowa była dobrą lekarką i dobrym człowiekiem – leczyła i Polaków, i Ukraińców, a od biednych nigdy nie biorąc zapłaty – banderowcy zamordowali obie kobiety i dziecko.

Do Calińskich przyszli pod wieczór, tuż przed kolacją. Na stole stały talerze, a w domu była cała rodzina: matka, ojciec i trzech synów. Pani Calińska zdążyła schować się pod kanapą, ale jej męża i synów zabili. Jedego z chłopców, który próbował uciekać po drabinie na strych, rozrąbali siekierą na pół. Wszystkim odcięli głowy i ułożyli na talerzach, a dom podpálili.

Berezka, prawosławna Wielkanoc 1944 roku

Wielkanoc jest ważnym i wielkim świętem, więc wszyscy mieszkańcy wsi przyjechali do cerkwi konnymi zaprzęgami, nawet ci, którzy mieszkali

blisko niej. Teraz wokół świątyni stoją konie i wozy, a między nimi kosze z żywnością tak duże i ciężkie, że często musiało je nieść dwoje ludzi. W każdym z nich, przykrytych haftowaną chustą, są szynki, sery, jajka, chleby, bułki, owoce, czosnek i chrzan. Jest wszystko, co spożywa się w zwykłe i świąteczne dni. Przy koszach stoją całe rodziny – ojcowie, matki, dzieci i dziadkowie.

W ten chłodny kwietniowy poranek 1944 roku ci, którzy przyjechali najwcześniej, zdążyli już dobrze zmarznąć, zanim w cerkiewnych drzwiach ukazał się orszak diaków, a za nim, ubrany w bogato zdobione liturgicznych szaty, wolno podążał pop Atanasij.

– *Chrystos woskresen!* [145] – śpiewał co chwila tak donośnym głosem, że aż drżało powietrze.

– *Chrystos woskresen!* – odpowiadały góry i lasy.

Pop Atanasij poświęcił pokarmy i dostojnie powrócił do cerkwi.

Rozpoczęła się rezurekcja. Chór śpiewał pieśni, ludzie modlili się żarliwie, aż przyszedł moment, kiedy kapłan wszedł na ambonę.

– *Chrystos woskresen!* – oznajmił raz jeszcze. – *Dorohi sestry ta braty w Isusi Chrysti!* [146] Dzisiaj jest wielki dzień pańskiego zmartwychwstania. Wszyscy, i wy, i ja, cieszymy się, że nasz Pan i Stwórca pokonał śmierć. Wierzymy, że tak jak On, my też kiedyś zmartwychwstaniemy – przerwał kazanie, wodząc wzrokiem po wypełnionej po brzegi cerkwi. – A jednak nie wszyscy dostąpią tego szczęścia – mówił już po chwili. – Niektórych z nas czeka ogień piekielny. Drodzy bracia i siostry. Grozą przepełnia moje serce to, co stało się z Polakami i Ormianami w Kutach. Zapytacie, kto im zgotował ten los? Zapytacie, kto zrobił im piekło tutaj, na tej naszej ziemi? To my zrobiliśmy to piekło! My, ich sąsiedzi! – rozczesywał palcami długą, siwą brodę. – Calińskiego dobrze znałem, porządny był człowiek. Wy go zabiliście! – wyciągnął rękę w kierunku ludzi. – Zabiliście jego synów! Odrabaliście głowy i położyliście je na talerzach! Nie ma takich słów – mówił cicho – którymi można nazwać okrucieństwo i podłość tego czynu. Nie ma takich słów. Dzisiaj z tej ambony – głos Atanasija nagle stał się ostry, donośny, wręcz przeszywający – w dniu zmartwychwstania naszego Pana mówię wam, że każdy, kto brał udział w tej zbrodni, będzie potępiony na wieki! Będzie potępiony przez naszego zmartwychwstałego Pana! Będzie

potępiony przez tych, którzy przeżyli! Będzie potępiony przez sumienie do końca swoich ziemskich dni. Zapewniam was, że nie wszyscy z was udźwigną ten ciężar, nie wszyscy! Wojna się kończy – jego głos nagle stał się spokojny, jakby zdołał wyciszyć targające nim emocje. – Rosjanie nie dadzą nam samostijnej Ukrainy, możemy o tym zapomnieć, a tych, którzy dopuścili się zbrodni, nie zostawią w spokoju. Zabiją, wywiozą na Sybir, jak to Rosjanie. Dlatego mówię do was raz jeszcze w dniu tak wielkim: przerwijcie to nikomu niepotrzebne zabijanie! Ja, pop Atanasij, wasz kapłan, błagam was – przestańcie! Wasze myśli omotali źli ludzie! Nie wierzcie im! Zawsze pytajcie swoich sumień, bo one was nie zwiodą! Pamiętacie wspólne z Polakami wigilie, chrzciny i wesela? Pamiętacie dobre sąsiedzkie uczynki? Dlaczego o tym zapomnieliście? Co takiego się stało, że już o tym nie pamiętacie? Samostijna Ukraina kiedyś powstanie, ale jak będziecie żyć na ziemi, przesiąkniętej krwią niewinnych ludzi? Jak będzie smakował wam chleb ze zboża, które wyda ta ziemia? Opamiętajcie się! Proszę was, opamiętajcie się i pomyślcie o tym, co kiedyś powiecie swoim wnukom.

W cerkwi zapanowała cisza. Słowa popa Atanasija, jakże inne od tych, które spodziewali się usłyszeć, na wszystkich zrobiły ogromne wrażenie. On sam stał na ambonie ze spuszczoną głową.

– Teraz pomódlmy się do naszego Pana i prośmy o przebaczenie – powiedział, wznosząc ręce, i cerkiew wypełniła modlitwa do wspólnego Ojca Polaków i Ukraińców.

*Otcze nasz, Iże jesi na nebesach,
da swiatitsia imia Twoje,
da priidet carstwije Twoje,
da budet wola Twoja,
jako na nebesi i na ziemi,
chlib nasz nasuszcznyj daj nam dneś,
i ostawi nam dołhi nasza,
jakoże i my ostawlamjem dołżnikom naszym,
i ne wwedi nas wo iskuszenije,
no izbawi nas wid łukawaho.*

Ludzie byli tak przejęci, że nikt nie zwrócił uwagi na stojącego przy drzwiach Dywczuka, który podczas modlitwy spokojnie wyszedł z cerkwi.

Berezka

– A ty do drogi gotowa? – Kałyna postawiła na podłodze kosz porąbanych gałęzi.

– Gotowa – Kasia uśmiechnęła się przyjaźnie. – Tylko zamknijcie okna i drzwi.

– No idź już, idź – Hucułka rozłożyła ręce. – Do domu droga daleka, a słoneczko nie tak wysoko. Oj, Hospody, Hospody – mamrotała pod nosem – znowu sama jak ten palec zostanę.

Dziewczyna rozsunała rozłohy i zesła na wąski płaj. Zatrzymała się krótko na zboczu Spensowej, by podziwiać górujący nad doliną Rabiniec. Krajobraz, który oglądała każdego dnia, zawsze wprowadzał ją w zachwyt, ale tylko czasami zdarzało się jej przystanąć i upajać jego pięknem.

Szła przez wysoki *basztarnyk* [147]. Kiedy wyszła na rozległą połoninę, natknęła się na pasterza z *bardą* [148] za pasem, pilnującego dużego stada owiec. Mężczyzna przyglądał się jej uważnie.

– *Dobryj den* – powiedziała niepewnie.

– *Dobrydeń, diwczyno* - watah w szerokim uśmiechu pokazał poźółkłe zęby. – *A kudy ty tak samitno jdesz?* [149].

Z jego zarośniętej i ogorzałej twarzy emanowały spokój i pogoda.

– Do Paliwki, do rodziny idę.

– Oj, *czicziena* [150] z was diwczynońka, *czicziena*, to i *lubaska* [151] pewnie z was najlepsza. Do koliby zachodźcie – wskazał kijem rozpadający się drewniany szałas. – Człowiek ze mnie *harnyj* [152], jeno umyć się muszę, panienko, i zdjąć *chołosznie* [153], co je od świętego Jurija noszę. To już trzy miesiące, panienko – mówił, dumnie poklepując się po sztywnych od tłuszczu i brudu spodniach, których pierwotny kolor nie był do odgadnięcia. – Wnet do rodziny wracam.

– Ciężko tak samemu – Kasia uzaliła się nad losem watahów.

– Oj, ciężko, panienko, ciężko – Hucuł kiwnął głową. – Widzę, że u was dobre serduszko, panienko, to jeszcze wam powiem, że źle tak samej po górach chodzić. Ja tam owieczki jeno pilnuję, na *sopilce* [154] pogrywam,

nikomu nie wadzę, jednak złych ludzi tu widzę. Baczcie na siebie, panienko. Wczoraj dwie *leckie czeladyny* [\[155\]](#) pohańbili – matkę i córkę. Dobrze, że wy nasza, a nie lecka jesteście.

Kuty

Po ponownym wkroczeniu Armii Czerwonej w Kutach rozpoczęło pracę NKWD, na którego czele stanął major bezpieczeństwa państwowego Izaak Wise. Teraz był na sali wśród oficerów kuckiego garnizonu.

– *Tawariści!* [156] – major Wise zawiesił głos, czekając, aż umilkną prowadzone rozmowy. – Popełniliśmy błąd, opuszczając Kuty. Banderowcy wykorzystali to i wymordowali wielu Polaków i Ormian. Te tereny pozostają pod naszą kontrolą i na takie traktowanie ludności cywilnej nie będzie naszej zgody. Nasza Ojczyzna nigdy nie dopuści do powstania samostijnej Ukrainy. Te ziemie zawsze będą nasze, radzieckie! – uderzył pięścią w stół. – Domyślcie się, jak trudne zadanie nas czeka. Walka z UPA będzie rozprawą na śmierć i życie, a do mnie należy opracowanie jej strategii. Podjąłem już pewne działania, które wkrótce przedstawię. Dzisiaj mogę wam tylko powiedzieć, że do walki zamierzam włączyć miejscową ludność cywilną.

Ogrom zadań, jakie stanęły przed NKWD sprawił, że major Wise przez kilka dni nie wychodził z koszar. Teraz jednak najważniejsze sprawy miał za sobą i wreszcie mógł zobaczyć swoje rodzinne miasto, które opuścił trzy lata temu. Szedł uliczkami, które dobrze znał. Minął cmentarz przy Śniatyńskiej, tej samej, którą w czerwcu 1941 roku w starej wojskowej ciężarówce opuszczał Kuty. Przystanął na skrzyżowaniu z ulicą Kosowską, gdzie znajdował się Dom Ormiański.

Ulica Kosowska przywołała wspomnienia Miriam. „Gdzie ona teraz jest?” – pomyślał.

Kiedy minął restaurację Burkut i wszedł na rynek, stanął jak wryty. Kiedyś bogate żydowskie kamienice straszyły oczodołami wypalonych okien, pustką spalonych wnętrz i pajęczyną zwęglonych krokwi. Nie inaczej wyglądała jego kamienica.

Nagle uświadomił sobie, że nie widzi *chałatów* [157] i *jarmulek* [158], a przecież tylu ortodoksyjnych Żydów mieszkało w tym miasteczku. Nie widzi starozakonnych Żydów z okazałymi pejsami, ani tych sędziwych z długimi brodami, podobnych do bilijnych patriarchów. „Gdzie oni są?”

Rybaki

W izbie Edwarda Jakubowskiego panowała cisza. W piecu buzował ogień, Maria wyszła do sąsiadki, a siedzący przy stole Michał od dłuższego czasu nie zabierał głosu. Atmosfera bezsilności i strachu panowała także w tym domu.

– Nieraz ja mówił, królu ty mój, o szanowaniu innego człowieka – Edward wrzucił do pieca kolejne polano. – Mówił ja o szanowaniu Ukraińców, bo tak moje sumienie kazało. Jednak wiedzieć musisz, że nie wszystkich Ukraińców ja na myśli miał – wytarł dłonie o spodnie i usiadł obok wnuka. – Banderowcy w pień nas wyrzynają, Michale. Doncowa czytają, a on pisze, że samostijna Ukraina bez Polaków ma być. Bandery to czytają, gwałcą i mordują. Samemu mnie dziwno, że nie było tego jeszcze w Rybakach. A my co? My słabe, nie mamy jak obronić się przed nimi – mówił zrezygnowanym głosem. – Tylko Armia Czerwona może ich pokonać, tylko ona. Z ciebie młody i silny chłopak jest – położył dłoń na ramieniu wnuka, a jego twarz wykrzywił grymas smutnego uśmiechu. – Znasz Pokucie, Karpaty i Bukowinę, znasz ukraiński i huculski język. Ty, Michale, będziesz dla Rosjan bardzo znacznym żołnierzem. Długo ja o tym myślał, a nie wiem, jak tobie to powiedzieć... – Edward wstał z trudem i podszedł do okna. – Tutaj, w Rybakach, same my są i poginiem, kiedy bandery przyjdą. Z Rosjanami zdusić ich możesz, a jak szybko to stanie się, to może i nas od śmierci uchronisz. Namawiam ciebie, królu ty mój, by przystał ty do nich.

– Dziadku! – Michał zerwał się jak oparzony. – Chcesz, żebym pomagał Roskim?

– A czy ja nie powiedział tego jasno? Do paktowania z diabłem namawiam ciebie, prawda to, ale bandery gorsze od diabła, królu ty mój.

Julia skończyła karmienie Natalki. Ułożyła dziecko do snu, przemyła piersi i położyła się obok Michała. Lubiła się do niego przytulać. W jego ramionach czuła się bezpiecznie.

– Jaki jesteś gorący – szeptała czule. – Lubię, kiedy jesteś w domu.

Nic nie powiedział, tylko utkwiał wzrok w pajęczynie, która, zawieszona pod sufitem, zdawała się poruszać w rozedrganym płomieniu naftowej

lampy.

– O czym myślisz?- pocałowała go w policzek.

– Muszę coś ci powiedzieć – przytulił ją mocniej.

– To mów, Michale.

– W Rybakach jest coraz niebezpieczniej. Jeśli nic się nie zmieni, to wszystkich nas czeka śmierć. W Kutach i Śniatyniu są już Rosjanie, ale na wsiach banderowcy panoszą się coraz bardziej. Tak dłużej być nie może. Musimy zacząć działać.

– A co ty znowu wymyśliłeś? – usiadła na łóżku. – Co zamierzasz zrobić?

– Dziadek uważa, że naszym obowiązkiem jest pomóc Rosjanom. To znaczy moim obowiązkiem – wyrzucił z siebie jednym tchem.

– Ty chcesz walczyć z banderowcami? – Julia zmarszczyła czoło. – Co ty możesz zrobić, jeśli wojsko nie jest w stanie ich pokonać? Pomyśl o Natalce, pomyśl o mnie – rozplakała się, chowając twarz w poduszce.

– Właśnie o was myślę – czule objął ją ramieniem.

Kuty

– W imieniu Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich witam was w naszych szeregach – major Izaak Wise przyglądał się uważnie kilkunastu siedzącym przed nim Polakom. – Przed wami zaszczytna, ale niebezpieczna służba. Nie będziecie walczyć na froncie przeciwko Niemcom, ale tutaj, na miejscu, przeciwko ukraińskim nacjonalistom. Staniecie się częścią istrebitelnego, czyli po waszemu: myśliwskiego batalionu. Dołączycie do ukraińskich komunistów i partyzantów generała Kowpaka, którzy już służą w tej jednostce. Waszym zadaniem będzie ochrona polskiej ludności. To niebezpieczne zadanie, już o tym mówiłem, dlatego zostaniecie wyposażeni w broń. Chyba was zaskoczę – uśmiechnął się tajemniczo – ale na pierwszą akcję pojedziecie już dzisiaj. *Hołowa* [159] Rybak dostał pogróżki od banderowców i poprosił nas o pomoc.

Spotkanie się skończyło i ludzie powoli opuszczali salę. Wkrótce zostali w niej tylko Michał oraz Izaak.

– Witaj, Izaak – Jakubowski wyciągnął rękę. – Miło spotkać się po latach. Opowiadaj, jak było w Związku Radzieckim.

– Nie jestem dla was żadnym Izaakiem – Wise przerwał mu w połowie zdania. – Macie mówić do mnie *towarzyszu majorze!*

Berezka

Mykoła wyprowadził ze *stadnarki* [160] dwa huculskie koniki. Sposobił je do drogi, zerkając co chwila na werandę. Czekał na sważkę Sofiję, aby odwieźć ją do chaty. Niepokoił się, bo przed nimi była daleka droga, a już zrobiło się późne popołudnie.

Jako zapłatę za pomoc przy porodzie przygotował kawał wędzonego boczku, woreczek kaszy kukurydzianej i kolorowy liźnyk z owczej wełny.

Sofija wprawnie wskoczyła na konia i ruszyli w drogę.

– *Majete wże syna!* [161] – zagadnęła, kiedy wyjechali z zagrody. – Duży jest i Olga utrudzona wielce. Musicie jej pomagać więcej niż dotąd – spojrzała na Mykołę. – Słyszycie?

Ten uderzył piętami koński brzuch i zwierzę przyspieszyło kroku.

– A co wy nerwowy taki? – kobieta się zdziwiła.

Płaj zaczął piąć się zakosami na szczyt zalesionego wzniesienia i musieli zwolnić.

– Mówią, że rozpowiadacie po wsi, że to nie wasze dziecko – sważka wróciła do przerwanej rozmowy, kiedy wjechali na rozległą połoninę.

– *Bo win ne je... Ja ne budu joho wychowywaty! Ne budu!* [162] – Mykoła zeskoczył z konia.

– Uspokójcie się! – zachrypty głos Sofii odbił się dziwnym echem od ściany lasu, do którego właśnie się zbliżali. – Przy babskiej huzyci więcej razy byłam od was, to i wiem, że takich jak wy dużo jest. Obyczaj taki, że od batków ożenek zależy. Młodzi ze sobą chodzą, a jakże, a *zornic* [163] nie liczą. W chołosznie i pod kiecę *tuha* [164] ich pędzi, a w głowach miesza jak kamień wodę w Czeremoszu. To siadanie na dzieży, że niby dziewczka czysta jest, to jeno pusty obyczaj. One tak czyste jak i ja są – zachichotała rubasznie. – Pewnie nie wiecie, że dziewczka, co przed ślubem do niej chodziliście, wasze dziecko chowa – stwierdziła jakby od niechcenia.

– Co mówicie? – Mykoła w jednej chwili zatrzymał konia. – Moje dziecko?

– A wy co? – zapytała tym samym zachrypłym głosem. – Głuchy jaki?

Nie *pereżywajt'e* i na konia siadajcie, bo droga daleka. Mówią, że wy do partyzantów przystali – pociągnęła łyk gorzałki. – Prawda to?

Wiadomość o nieślubnym dziecku zrobiła na Mykole takie wrażenie, że nie odpowiedział. Że Hanna była w ciąży, to wiedział, ale nie myślał, że z nim. Przecież kiedy się rozstawali, chodziła już z innym.

– Przez tydzień albo i dłużej, bo słaba jest, Oldze opieki trza, a nie waszego wojowania – Sofija poprawiła *bordiuh* [165]. – Zostawcie do didka to wojsko. Zostawcie partyzantów. Życ trza w rodzinie, a czy w samostijnej Ukrainie, czy w Polsce, to znaczenia nie ma.

Dalszą drogę odbyli w zupełnym milczeniu. Sofija nie rozpoczynała rozmowy, a on walczył ze sobą niczym *przemównik* [166] z *obertynem* [167].

Kiedy wrócił do domu, był już późny wieczór. Olga spała, tuląc do piersi chłopczyka. Poprawił lyżnik, którym byli przykryci oboje, i cicho położył się na ławie stojącej obok ciepłego jeszcze pieca.

Kuty, Rybaki

– *Nu mal'cziki, s'ewodnia w'ecz'eram prajd'ot'e bajewoje kreścienije!* [168] – starszy lejtnant Witalij Gawryłow próbował żartować, chociaż wiedział, że to nie będzie zabawa. – Rozkaz to rozkaz – mruczał pod nosem, zły, że to jego żołnierze mieli poprowadzić na rozpoznanie, a może i walkę dopiero wcielonych do służby Polaków, ukraińskich komunistów i partyzantów generała Kowpaka.

Było już ciemno, kiedy dwudziestu uzbrojonych ludzi, załadowanych na furmanki, ruszyło wyboistym gościńcem z Kut do Rybak. Gawryłow zarządził ciszę i zakazał palenia tytoniowych skrętów. Niezatrzymywani przez nikogo, po godzinie dotarli do celu. Przestraszony Hołowa już czekał.

– Są we wsi – mówił rozdygotanym głosem.

Gawryłow wyznaczył czterech mężczyzn do przeszukania wioski.

– Pójdziecie gościńcem – objaśniał ściszym głosem. – Jak spotkacie banderowców, natychmiast wracajcie.

– Tak jest, towarzyszu lejtnancie – odpowiedzieli donośnym chórem.

– Zamknijcie mordy, do jasnej cholery – Gawryłow chwycił za poły wojskowej bluzy najbliższej stojącego żołnierza.

– Tak jest, towarzyszu dowódcu – odpowiedział odruchowo, doprowadzając lejtnanta do furii.

Minęła godzina, a zwiad nie wracał.

– *Rebjata propali, ubili ich* [169] – Gawryłow wyszeptał to, o czym myślał każdy. – Wy pójdziecie ich szukać – rozkazał Jakubowskiemu i Miszy Griszkinowi, jednemu z byłych partyzantów.

Jakubowski, który doskonale znał wieś, wszystkie ścieżki i dróżki w łągach nad Czeremoszem, przerzucił przez ramię karabin i zapiął grubą nieprzemakalną pelerynę.

– Idziemy – pociągnął Griszkina za rękaw.

Ciemność nie stanowiła dla nich przeszkody i wkrótce dotarli do ostatnich zabudowań Rybak. Nie spotkali jednak ani zaginionych istrebitieli, ani banderowców. Już mieli wracać, kiedy ich uwagę przyciągnął gwar dochodzący z jednego z domów. Upewnili się, czy nikogo wokół nie ma i ostrożnie weszli do ogródka. Jakubowski stanął pod drzewem, a Misza podszedł do okna. Przy zastawionym stole, siedziało kilkunastu mężczyzn jedząc, pijąc i głośno rozmawiając. Dwie pepesze stały oparte o ścianę.

– To banderowcy – zdenerwowany Misza pospiesznie opuszczał ogródek.
– Wracajmy.

Jakubowski nie oponował.

Przeszli już spory kawał drogi, ciągle trzymając się ścieżki biegnącej wzdłuż zarośli porastających koryto Czeremoszu, kiedy nagle dobiegł ich dziwny, chociaż Jakubowskiemu dobrze znany dźwięk. Było to charakterystyczne cmoknięcie, oznaczające w języku przemytników *tutaj jestem*. Jakubowski odpowiedział w ten sam sposób i po chwili obaj spotkali się z dwoma roslymi mężczyznami.

– E, to nie swoi! – krzyknął jeden z nich. Chwycił za lufę pepeszy Jakubowskiego i próbował ją wyrwać. Drugi mężczyzna, widząc, co się dzieje, zniknął gdzieś w zaroślach.

Mocowali się zaciekle, a wynik walki nie był przesądzony. Nagle stojący

z boku Misza doskoczył do nich i dwukrotnie uderzył młodego banderowca. Mężczyzna osunął się na ziemię, a pelerynę i koszulę Jakubowskiego pokryła lepka i ciepła ciecz.

– Uciekajmy! – Misza biegiem ruszył w drogę powrotną.

– On miał nóż! – Jakubowski kojarzył fakty. – On uderzył go w szyję nożem!

Wracali w pośpiechu do miejsca, w którym zostawili oddział Gawryłowa.

– Co się stało? – dowódca zapominał o zachowaniu ciszy, którą sam zarządził, kiedy w słabym świetle latarki zobaczył zakrwawionego Jakubowskiego. – Mówcie, co się stało? Jesteście poważnie ranni!

– Nie jestem, towarzyszu lejtnancie, a we wsi są banderowcy! To blisko stąd. Chodźmy tam szybko. Będziemy ich mieli.

– Nigdzie nie pójdziemy. Jesteście ranni i wracamy do Kut.

– Nic mi nie jest, towarzyszu lejtnancie, nie jestem ranny. Misza uratował mi życie, a to jest banderowska krew. Chodźmy rozprawić się z nimi.

– Powiedziałem, że nigdzie nie pójdziemy. To rozkaz! Straciliśmy czterech ludzi. Wracamy do koszar.

Kiedy furmanki ze *stripkami* [170] lejtnanta Gawryłowa wjechały na teren kuckiej szkoły, zamienionej tymczasowo na radzieckie koszary, wywołały wśród żołnierzy duże poruszenie.

– Jak ty, Michał, wyglądasz? – jeden z istrebitieli, których on i Misza Grizskin bezskutecznie poszukiwali w Rybakach, przyglądał się mu uważnie.

– Nic mi nie jest – Jakubowski ścierał z twarzy krew. – A was to gdzie diabli nosili?

– My wrócili pieszo, a po drodze dwóch banderowców jeszcze złapali – istrebitiela rozpierała duma.

– Towarzyszu majorze – Gawryłow stanął na baczność. – Hołowa ocalał, jeden banderowiec zabity, a dwóch złapanych. To wszystko bez jednego wystrzału i bez strat własnych.

– Oby tak dalej – major Wise zgasił wypalonego do połowy papierosa.

Berezka

Był chodny poranek i chociaż słońce chowało się jeszcze za górami, to zapowiadał się ładny dzień. Witalij i Iryna Krasiukowie wyszli z domu wcześniej niż zwykle, ale nie przypuszczali, że na pierwszą majową mszę przyjdą przed innymi.

– W imię Ojca i Syna, i Świętego Ducha – przed przydrożną kapliczką Iryna zrobiła potrójny znak krzyża. – A ty pogan jaki, czy co? – strofowała męża, który przeszedł tak, jakby kapliczki nie było.

Witalij otworzył furtę prowadzącą do dużego sadu, w którym znajdowała się cerkiew. Dębowe drzwi, prowadzące do świątyni, były jeszcze zamknięte.

– *My pryjszly tak rano, szczo pop Atanasij ne wstyh szcze prosnutycja* [171] – ziewnął przeciągle.

– *Poczekajemo, my ne pospyszajemo, majemo bahato czasu* [172] – Iryna usiadła na zadaszanej ławce.

Ludzie powoli nadciągali ze wszystkich stron i wkrótce Krasiuków otaczał całkiem spory tłum.

– Pop Atanasij przed świtem wstaje – dziwił się ktoś na głos. – Być nie może, by spał jeszcze.

Jeden z mężczyzn ruszył w głąb sadu, w kierunku niewielkiego domu, w którym mieszkał kapłan. W połowie drogi zatrzymał się jednak, chwilę czemuś przyglądał i biegiem ruszył z powrotem.

– *Hałaj bałaj!* [173] – wołał, z trudem łapiąc powietrze. – Drzwi, otwarte drzwi do prezbiterium są. Może pop Atanasij zasłabł?

– Stójcie! – Witalij zagroził drogę, kiedy tłum ruszył w kierunku drzwi. – Toć to najświętsze miejsce w cerkwi jest i wejść nie można. Tylko pop przebywać tam może i ci, co w cerkwi służą. – Wasylko służy – przypomniała jedna z kobiet. – Po diaka Wasylkę iść trza.

Wasyłko właśnie nadchodził, a widząc tłum żywo dyskutujących ludzi, przyśpieszył kroku.

– A co to stało się? – pytał już zza cerkiewnego ogrodzenia. – Nie może być – torował drogę przez tłum, kiedy powiedziano mu o zamkniętych

drzwiach cerkwi i otwartych do prezbiterium. Przeżegnał się i pewnym krokiem wszedł do środka. Otoczył go półmrok. Minęło nieco czasu, nim zaczął dostrzegać znajdujące się wokół przedmioty. Rozglądał się uważnie i wkrótce był pewien, że wszystko jest na swoim miejscu. Otworzył drzwi, za którymi była tylna ściana ikonostasu. Zaskrzypiały, burząc pełną wyczekiwania ciszę. W prezbiterium także było ciemno, jedynie niewielkie okno rzucało spod sufitu snop światła na drewnianą podłogę.

– *Ni, ce nemożlywo! Skaży, szczo ce ne tak! Boże! Boże!* [174] – krzyk Wasylki zmroził stojących na zewnątrz. Spojrzeli na siebie niepewnie i z wolna, pamiętając o świętości miejsca, zaczęli wchodzić do cerkwi.

Witalij i tym razem był pierwszy. Kiedy znalazł się za drzwiami, ledwie rozpoznał zmienioną twarz Wasylki. Diak stał bez ruchu z ręką wyciągniętą w stronę carskich wrót. Witalij skierował wzrok w tym kierunku i jego także ogarnęło przerażenie.

Na podłodze obok ikonostasu, w kałuży krwi leżało nagie ciało mężczyzny, od pasa w górę przykryte dużym lyżnikiem, który zasłaniał jakiś dziwny kształt.

Witalij spojrzał na Wasylkę, ale ten zdawał się nie widzieć niczego. Ukląkł więc, wziął w palce koniec lyżnika i odsłonił przykrytą postać.

– *Hospody, pomyłuj! Hospody, pomyłuj!* – krzyknął. – Panie, jak Ty pozwolić na to mógł?

Ciało mężczyzny nie miało głowy.

Wzrok Witalija przyciągnęła ława stojąca w miejscu, w którym ikonostas łączył się ze ścianą cerkwi. Leżał na niej dziwny pakunek zawinięty w ornat. Podniósł się z klęczek i podszedł do ławy. Bał się, ale w końcu zaczął odwijać zakrwawione cerkiewne szaty.

– Boże – wyszeptał przerażony, kiedy zobaczył długą siwą brodę. – To pop Atanasij.

Kuty

Izaak Wise był w swoim żywiole. Miał przed sobą salę wypełnioną po brzegi żołnierzami różnych szarż i specjalności, a bardzo lubił występować przed licznym audytorium. Cieszył się, kiedy słyszał kierowane do niego, pełne uznania głosy. Spodziewał się, że tym razem będzie podobnie.

– *Szto eta takoje Ukrains'kaja Powstancieskaja Armija?* [175] – zapytał. Na sali panowała cisza. Nikt dotąd nad tym się nie zastanawiał. Z banderowcami się walczyło, był to bezwzględny przeciwnik, którego należało pokonać i tyle.

– Ukraińska Powstańcza Armia jest militarną formacją Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów – Wise sam odpowiedział na postawione pytanie. – UPA i OUN, zapamiętajcie te nazwy, jeśli ktoś jeszcze tego nie wie. UPA walczy o samostijną Ukrainę! – uderzył otwartą dłońią w stół. – Ubzdurali sobie, że będą mieć państwo, którego nigdy dotąd nie było. My nie dopuścimy do tego! Jaką ideologię przyjęła Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów? – rozglądał się po sali. – Jaka ma być ta ich samostijna Ukraina? Internacjonalistyczna? Sprawiedliwa dla wszystkich narodów? Otóż nie. OUN wyznaje faszystowskie i nacjonalistyczne ideały. Ukraina ma być państwem tylko jednego narodu! Żydów wymordowali Niemcy i jak dobrze wiecie, policja ukraińska miała w tym duży udział. Polacy i Ormianie są likwidowani właśnie teraz. Osobiście nie lubię Polaków, ale na banderowską samowolę nie mogę pozwolić! – uderzył pięścią w stół. – Banderowcy mordują podstępnie i okrutnie – sięgnął po zapalki. Bezskutecznie szukał papierosów, a w końcu machnął ręką. – Dwa miesiące temu zamordowali generała Watutina, bohaterskiego dowódcę Frontu Południowo-Zachodniego. Nie zamordowali go w otwartej walce, ale w podstępnej zasadzce! Oni nie znają litości, dlatego musimy walczyć z nimi do ostatniego naboju, do ostatnich sił, pamiętając, że lepiej odebrać sobie życie, niż dostać się do ich niewoli! UPA to organizacja faszystowska, nacjonalistyczna i zbrodnicza, a naszym zadaniem jest jej likwidacja! Jeszcze wam powiem – dodał na koniec – że po śmierci generała Watutina towarzyszą Stalin sprawą likwidacji UPA interesuje się osobiście! Powtarzam – osobiście!

– *Tawariść major, razrieszitie atajti!?* [176] – lejtnant Gawryłow, który

przyprowadził Jakubowskiego, uznał, że wypełnił swoją misję.

– Możecie. Najpierw jednak przynieście butelkę wódki i zakąskę.

– Dziwnie ten świat ktoś urządził – zagadnął filozoficznie Wise, kiedy zostali sami. – Trzy lata temu opuściłem Kuty i nawet nie myślałem, że kiedyś tutaj wrócę – zaciągnął się głęboko papierosowym dymem. – Zapalicie? – podsunął paczkę papierosów.

– Dziękuję, towarzyszu majorze, ale nie palę.

Jakubowski próbował odgadnąć przyczynę, dla której sprowadzono go do tego gabinetu, ale nic sensownego nie przychodziło mu do głowy.

– Jak uważacie – Wise strzepnął popiół na podłogę i usiadł na skraju biurka. – Może umrzecie zdrowsi ode mnie – chwilę przeglądał notes, a w końcu go zamknął i położył na biurku. – Wiemy o was dużo, Jakubowski – powiedział, drapiąc się po brodzie. – Waszego ojca zesłano na Sybir za działalność przeciwko władzy radzieckiej.

– Bzdury! – mężczyzna zerwał się na równe nogi. – Nie było żadnej działalności przeciwko władzy radzieckiej! To wymysł NKWD!

– Byliście przemytnikiem...

– Byłem! Inaczej rodzina umarłaby z głodu!

– Przesadzacie. Inni tego nie robili i jakoś przeżyli. Wiemy, że przeprowadzaliście Żydów do Rumunii. Czasem robiliście to dla pieniędzy, a czasem za darmo. Wiemy, że wasza rodzina nie podpisała folkslisty, chociaż wasza matka jest Niemką i mogliście to zrobić. Wiemy, że nie mściliście się na komunistach za zesłanie ojca na Sybir i nie powiedzieliście Niemcom, gdzie ukrywają się partyzanci Kowpaka, chociaż znaliście to miejsce. Nie dziwi was, że mamy tak dużo informacji?

Jakubowski milczał. Zastanawiał się, skąd major Wise tak dużo wie o nim, dlaczego zbiera tego rodzaju informacje no i po co o tym mówi. Czuł, że szykuje się jakiś podstęp. Postanowił zachować największą ostrożność.

– Wiemy, że wasz brat ma dziecko z Ukrainką, że...

– Jeszcze powinien pan dodać, że mam chudą siostrę! – nie wytrzymał. – Tak, mam chudą siostrę, no i co z tego? Do czego pan zmierza? Po co to przedstawienie?

– Słuchajcie, Jakubowski – Wise rozgniał niedopałek papierosa. – Chyba zapomnieliście, gdzie jesteście i z kim rozmawiacie! Zapomnieliście też, że waszej pańskiej Polski już nie ma! Powtarzam raz jeszcze: macie mówić do mnie *towarzyszu majorze*. Jasne? Podobno dobrze mówicie po ukraińsku i znacie huculską gwarę...

– Tak jest, towarzyszu majorze, to prawda.

– No, widzicie, jaki pojętny z was uczeń – rzucił niedbale Żyd, którego opuściły już emocje.

– Znam też dużo ukraińskich piosenek, ale nie wiem, do czego towarzyszu major zmierza.

– Lejtnant Gawryłow mówił o waszym zachowaniu w Rybakach wtedy, kiedy Misza Griszkin zabił banderowca. Muszę przyznać, Jakubowski, że byliście jedynym odważnym istrebitielem, który chciał poprowadzić oddział do walki.

– Tak było, ale nie ma o czym mówić, towarzyszu majorze. Nie musieliśmy czekać, aż banderowcy uderzą pierwsi. Kiedy poznaliśmy miejsce ich pobytu, mogliśmy atakować. Dotąd nie wiem, dlaczego tego nie zrobiliśmy.

– No cóż, musicie się nauczyć, że nie wszystkie decyzje dowódców, których nie rozumieją ich podwładni, są złe, ale podoba mi się wasza odwaga – pochwalił major Wise. – Decyzja Gawryłowa była zła, ale to zupełnie inna sprawa. Sami widzicie, że banderowcy są silni i mają poparcie miejscowych. Niektórzy robią to z własnych przekonań, inni są przymuszeni terrorem, więc popierają i milczą. Nasza wiedza o UPA jest żadna, dlatego to nie my decydujemy, kiedy i gdzie będziemy z nimi walczyć. Inicjatywa należy do nich. Zmierzam do tego, Jakubowski, że dobrać się im do dupy możemy tylko wtedy, kiedy wykorzystamy duże oddziały wojskowe. Ale akcja musi być przygotowana precyzyjnie. Jak się domyślacie, to wymaga dobrego rozpoznania. Problem w tym, że nie potrafimy wprowadzić ludzi do ich szeregów. Są cholernie czujni, a podejrzanych natychmiast likwidują. Mam jednak pewien pomysł – położył dłoń na ramieniu Jakubowskiego. – Myślę o sformowaniu oddziału rozpoznawczego, a was widzę w roli jego dowódcy. Co wy na to?

Jakubowski był oszołomiony. Wchodząc do gabinetu majora Wise,

spodziewał się wszystkiego, ale nie takiej propozycji.

– To będzie bardzo niebezpieczna służba, towarzyszu majorze – odpowiedział. – Boję się o swoją rodzinę. Ale powiedzcie, czy to jest rozkaz?

– Nie, to nie jest rozkaz. Myślałem, że przyjmiecie tę propozycję z przekonaniem, że w obecnej sytuacji jest ona najlepsza. Jeśli chodzi o bezpieczeństwo, to gdy obejmiecie dowództwo nad oddziałem, wasza rodzina zamieszka w Kutach. Gorzej będzie z waszym bezpieczeństwem. Z oczywistych powodów o istnieniu formacji musi wiedzieć jak najmniej osób. Chyba domyślacie się, czym to grozi? Jeżeli zdemaskują was banderowcy, zabiją jako szpiegów. Jeżeli nie rozpoznają was nasi żołnierze, zabiją jako banderowców. Znajdziecie się między młotem i kowadłem. To od was samych, od waszego sprytu i pomysłowości będzie zależało wasze życie – podkreślił z naciskiem. – Oczywiście nie musicie przyjąć tej propozycji i wszystko zostanie jak dotąd. Wasza rodzina będzie mieszkała w Rybakach, wy będziecie jeździli na akcje jako *istrebitiel*, banderowcy będą zabijali Polaków i może się okazać, że wasza rodzina też zostanie zamordowana.

W gabinecie oficera NKWD zapanowała długa, pełna obustronnego wyczekiwania cisza.

– Sposób działania banderowców znamy – major Wise zdecydował się przerwać milczenie. – Trzonem UPA są uzbrojone sotnie stacjonujące w górach. Kiedy schodzą na akcję, dołączają do nich chłopcy z siekierami, nożami i widłami i sotnia liczebnie staje się *kureniem* [177]. Po akcji banderowcy wracają w góry, a chłopcy do swoich zagród i kureń staje się sotnią. Sprytne, prawda?

– Sprytne – Jakubowski kiwnął głową.

– Kiedy zlikwidujemy sotnie, banderowskie akcje zostaną znacznie ograniczone, może nawet zupełnie zanikną. Wątpię, aby sami chłopcy potrafili i chcieli się zorganizować! – Wise zgasił papierosa. – Zadaniem waszego oddziału będzie udawanie banderowskiego roju. Czy wiecie, jaką strukturę posiada UPA?

– Trochę się w tym orientuję.

– Trochę to za mało – major wyciągnął z szuflady arkusz papieru i ołówki. Chwilę rysował jakieś prostokąty i linie, a w końcu zadowolony podsunął rysunek Jakubowskiemu. – Można powiedzieć, że kureń składa się

z trzech sotni, sotnia z trzech czot, a czota z trzech rojów – objaśniał. – Jak widzicie, UPA wzoruje się na waszym, polskim wojsku. Kureń to batalion, sotnia to kompania, czota to pluton, a rój to drużyna. Oddział, o którym mówimy, będzie taką drużyną, niby ocalałą z banderowskiej sotni rozbitej przez Rosjan gdzieś w rejonie Czarnohory. Po górach włączą się różne oddziały z dawnych grup banderowców, przetrzebionych partyzantów generała Kowpaka, oddziały pograniczników, enkawudzystów i cholera wie, jakie jeszcze. Wydaje się, że w tym zamieszczeniu wasz oddział będzie mógł przez jakiś czas działać i zbierać informacje, które pozwolą nam precyzyjnie i skutecznie uderzyć – major Wise wyjął z biurka butelkę wódki i rozlał ją do szklanek. – Za waszą dobrą decyzję – wziósł toast.

Jakubowski celebrował picie.

– Co, wódka wam nie smakuje?

– Nie, nie o to chodzi, towarzyszu majorze. Ciągle myślę o tym, co usłyszałem. To trudna decyzja.

Nagle przechylił szklankę i wierzchem dłoni przetarł usta.

– Zgoda, towarzyszu majorze – powiedział.

– Siadajcie, Jakubowski – major Wise wskazał drewniane krzesło. – Sprawdziliśmy ich wszystkich, to pewni ludzie. Od dzisiaj to będzie wasz oddział. Macie kilka godzin na poznanie się i omówienie zadania, które wieczorem was czeka. W oddziale jest sześciu ukraińskich komunistów i pięciu partyzantów generała Kowpaka. Partyzanci znają góry, pozostali – nie. Ze względów bezpieczeństwa nie pochodzą z tych stron. Z kolei partyzanci słabo znają ukraiński i łatwo mogą zostać zdekonspirowani. Musicie o tym pamiętać. Was pewnie nikt nie rozpozna – sięgnął do szuflady. – Mamy wasze zdjęcie z 1939 roku. Od tego czasu bardzo zmężnieliście. Kiedy jeszcze zapuścicie brodę i włosy, to powinno wystarczyć.

Przeszli do niewielkiego pomieszczenia, w którym tłoczyła się spora grupa mężczyzn.

– Czołem! – major zsalutował.

– *Zdrawija żelaju, tawariść kamandir!* [178] – odpowiedzieli chórem.

– Od dziś to wasz dowódca – Wise położył dłoń na ramieniu Jakubowskiego. – Teraz zostawiam was samych.

Przez kilka chwil przyglądali się sobie nawzajem, jakby chcieli poznać słabe i silne strony przeciwnika, a przecież nie mieli być dla siebie wrogami. Wiedzieli, że misja, którą polecono im wykonać, wymagała poświęcenia, odwagi i lojalności.

– Ja nazywam się Michał Jakubowski. A wy?

Jeden po drugim wypowiadali swoje imiona i nazwiska.

– W porządku – podniósł rękę. – Od tej chwili zapominacie o nazwiskach. W rozmowach między sobą będziemy używali wyłącznie imion. Major Wise uprzedził was, że to niebezpieczna służba. Będziemy oddziałem wywiadowców ubranych jak banderowcy i działających na ich terenach. Z tego powodu niebezpieczeństwo czeka nas nie tylko ze strony UPA, ale przede wszystkim ze strony naszych wojsk. Tam, gdzie pójdziemy, będziemy uważani za banderowców, musimy jednak zachować wyjątkową czujność. Nie muszę chyba nikomu przypominać, w jaki sposób banderowcy zabijają zdrajców. Jeśli nie ma pytań, to spotykamy się tutaj za dwie godziny.

Kuty

Targ w Kutach tętnił porannym życiem. Cywile i wojskowi, mężczyźni i kobiety, miejscowi i uciekinierzy przepychali się wśród rozłożonych na ziemi chust, koszyków i innych przedmiotów, pełniących funkcję prowizorycznych straganów. Ponieważ towaru było mało, co chwila dochodziło do słownych utarczek, a nawet przepychanek.

Major Wise, wmieszany w tłum, poddawał się bezwiednie jego chaotycznym ruchom. Przyszedł na targowisko bez konkretnego celu, bardziej dla przypomnienia jego przedwojonej atmosfery niż konkretnych zakupów, jednak znanego sobie klimatu nie potrafił odnaleźć. Nie wiedząc czemu zatrzymał się przed starszym mężczyzną, który usiłował sprzedać drewniane grabie. Nie były nowe, przez wiele lat musiały wygrabić niejedną połoninę, bo podobnie jak ich właściciel, nie miały większości zębów.

– To dobre grabie, panie – zachwalał towar staruszek. – Jesionowe, a zęby pan wstawi. Tanio sprzedam, panie, naprawdę tanio. Będziecie mieli z nich duży pożytek.

Wise nie odchodził, czym rozbudzał nadzieje Hucuła. Nagle odwrócił się gwałtownie. Jakimś nieznanym sobie zmysłem zarejestrował, że przed chwilą zdarzyło się coś ważnego, coś niezwykłego. W pierwszej chwili nie wiedział, co to było, ale wkrótce uświadomił sobie, że obok przeszedł ktoś dobrze mu znany. Usiłował przypomnieć sobie tę postać i wkrótce był pewien, że to młoda kobieta. Długie, czarne i kręcone włosy przywołały wspomnienia.

– Miriam! – krzyknął tak głośno, że staruszek trzymający grabie natychmiast zamilkł.

Rzucił się w kłębowisko ludzi, przewrócił jakiegoś mężczyznę. Torując sobie drogę łokciami, przepychał się w kierunku, w którym, jak mu się zdawało, poszła dziewczyna.

– Miriam! – krzyczał bez przerwy, wzbudzając ciekawość ludzi. – Miriam!

Przemierzał targowisko wzdłuż i wszerz, ale nie spotkał dziewczyny o długich, czarnych i kręconych włosach.

Berezka, połoniny

Oddział Jakubowskiego nie prezentował się okazale. Kilkunastu ludzi z najróżniejszą bronią ubranych było w spodnie, swetry i bluzy, których jedyną wspólną cechą stanowiły łaty i dziury wygryzione zębem czasu i warunkami, w jakich były noszone. Teraz ta gromada obdartusów szła krętą ścieżką pod górę i niczym olbrzymi wąż zbliżała do dużej zagrody.

Jakubowski rozsunął *rozłohy* i oddział wszedł na podwórze *osedoka* [179], który stanowiły chata, komora, spichrzyk, ogrodzone miejsce dla owiec, nazywane *koszarą*, drewnitnia i *prytuła*, czyli stajnia dobudowana z tyłu chaty. Wszystkie te zabudowania połączone były drewnianym parkanem.

Było późne popołudnie i huculska rodzina mieszkająca w osedoku przygotowywała się do kolacji. Po obszernej izbie krzątały się trzy córki gospodarza i jego żona. On sam i syn siedzieli już przy stole.

Jakubowski zastukał do okna. Hucuł wstał i wolno podszedł do drzwi. Znieruchomiał z kamiennym wyrazem twarzy, kiedy zobaczył grupę nieznaną sobie ludzi.

– *Chto wy taki i czoho choczete wid nas?* [180] – zapytał.

– A wam to oczy zamgliło? – Jakubowski udawał oburzonego. – Partyzantów nie poznajecie? My żołnierze Ukraińskiej Powstańczej Armii. Sotnię partyzanci Kowpaka pod Pistyniem rozbili. Czwarty dzień łazimy po górach jak *ditki* [181] jakie po piekle. Jeść nam dajcie i noc spędzić pozwólcie, a nie szpiegujcie jak ruskie wojsko.

– Nie muszą prosić o jedzenie i nocleg partyzanci nasi – na twarzy mężczyzny pojawił się szczerzy, serdeczny uśmiech. – Moja chata zawsze otwarta dla was jest.

– Jak się nazywacie i ta wioska jak się nazywa?

– Petro Bazarka mnie wołają, a wioska Berezka jest – Hucuł stanął z boku i otwartą dłonią zapraszał do izby.

Jakubowski zawahał się na moment. Zanosilo się na dłuższe spotkanie i groźba dekonspiracji z powodu słabej znajomości języka przez partyzantów Kowpaka była całkiem realna.

– Wy – oddzielił całą piątkę – będziecie pełnili wartę. Powiedz, Petro, nie

było tu Ruskich?

– Nie było. Nie zaglądamy tu, boją się was. A oni co? – Bazarko szczerze przejął się losem wartowników. – Czemu na polu zostali? Wszyscy zachodźcie do izby.

– Czujność ważniejsza od jadła – Jakubowski przyjaźnie pogroził Bazarce. – A im krzywda nie stanie się.

Weszli do obszernej izby. W jej kącie stał duży kaflowy piec, a pod sufitem na drewnianej poręczy wisiało kilka kolorowych łyżników. Wszyscy domownicy mieli na sobie krótkie kożuszki bez rękawów, bogato zdobione ręcznym haftem, nazywane tutaj *kieptarami*. Widać było, że rodzina Bazarki nie cierpiała głodu. Córki gospodarza krzątały się po kuchni i ukradkiem zerkały na przybyszów, szepcząc coś do siebie i wybuchając co chwila głośnym śmiechem. Gospodarz z Jakubowskim prowadzili ożywioną rozmowę. Gospodyni stawiała na stole coraz to nowe potrawy, które znikwały równie szybko jak samogon ze szklanek napełnianych przez Petra.

– Nasz *sotennyj* [182] śliczną dziewczynę miał – Jakubowski nagle wstał i w izbie zapanowała cisza. – Marija ją nazywali. Jak on ją bardzo kochał. On, twardy żołnierz, który niejedno życie przerwał, zbierał dla niej kwiaty na połoninach.

Wszystkie trzy córki Bazarki westchnęły równocześnie jak na wojskową komendę.

– Wtedy też do niej poszedł, ale został dłużej niż zwykle i wracał dopiero nad ranem. Po drodze natknął się na bolszewicki patrol i wywiązała się walka. Boże, jak on walczył! – Jakubowski jednym łykiem wypił samogon, który w międzyczasie podsunął mu gospodarz, i wytarł usta rękawem. – Był jednak sam – mówił dalej – i miał tylko pistolet, a Ruskich było piętnastu. Mieli pepesze, ale i tak dwóch zabił. W końcu sam się zastrzelił.

W izbie zapanowała przejmująca cisza. Gospodyni i jej córki wycierały łzy z rumianych policzków, ale i żołnierze Jakubowskiego siedzieli z szeroko otwartymi ustami. Nagle tę ciszę przerwał przejmujący śpiew Jakubowskiego:

Wże weczir weczirije, wsi pany w son idut’.
Marusia otrujilac’, w bolnyc’u jiji wezut’.

*Prywezly jiji w bolnyc 'u, pokłaty na krowat',
Dwa doktory z sestryc 'u starajus jeji spasat'.
Ne nada mnie spasaty, ne nada niczoho,
Wernite mne miłoho, wernite mne johoh.
Wże weczir weczirije, wsi pany w son idut',
Marus 'u, ty, Marus 'u, odkroj swoji hłaza,
Bo jesli ne odkrojesz, pomru z toboju ja [183].*

Kobiety płakały, a Jakubowski powrócił do przerwanej opowieści.

– Kiedy Marija dowiedziała się o śmierci sotennego, skoczyła w przepaść. Zginęła od razu, ale ludzie, co przyszli na jej pogrzeb, mówili, że w trumnie wyglądała ślicznie. Uśmiechała się, a w rękach trzymała kwiaty z połonin. Płaczecie, bo to wzruszająca historia, ale teraz nie ma miejsca na łzy i nie ma miejsca na litość! – uderzył pięścią w stół. – Za samostijną Ukrainę giną jej najlepsi synowie. My też nie wiemy, jaki los nam pisany – gestem dłoni kazał wszystkim powstać. – Zaśpiewajmy hymn Ukrainy, która na pewno powstanie! – odchrząknął i po chwili izbę wypełnił hymn państwa, którego jeszcze nie było.

*Czórne móre Dnipróm proplywé,
Atamán na Moskwú was wedé.
Ne strasznája w bojú smert',
Słáwa Bóhu, czest',
Smert' Lachám, żydiwśkij komúni [184].*

To, co nastąpiło, kiedy przebrzmiał śpiew, zaskoczyło i Jakubowskiego, i ludzi z jego oddziału.

– Nasi bohaterowie – matka i córki rzuciły się na mężczyzn, nie szczędząc im gorących pocałunków i uścisków. – Wspaniali nasi wybawcy, dziękujemy wam.

Zamieszanie trwało dość długo, bo spragnieni bliskości kobiet żołnierze ochoczo korzystali z niespodziewanej okazji, ale w końcu także gospodarz mógł uścisnąć dłoń Jakubowskiego. Usiedli i dokończyli kolację.

– Teraz pójdziecie spać. Jutro damy wam na drogę coś do jedzenia – zapewniał Bazarko. – Jesteście nowi, to wam powiem, że stanicznym jest u nas Matwiej, Igor ma na imię. On żywność dla was trzyma. Ludzi Mykoła Tymoszuć zbiera – przysunął się do Jakubowskiego. – Młodą żonę ma –

szeptał mu na ucho – a ładna taka, że aż! Olga ją wołają. Dziecko też ma, ale mówią, że nie jego jest, a zresztą – machnął ręką – co was to wszystko obchodzi! Chociaż z drugiej strony... nikt nie wie, co i kiedy jemu potrzebne będzie.

– Dziękuję, bardzo wam dziękuję – Jakubowski nie szczędził słów pochwały. – Prawdziwy z was patriota, Petro.

– *Tawariść komandir, kak eta była s etim stanicznym i Marijeju? Prawda li eta?* [185] – zapytał go szeptem Stepan Pozyczaniuk, jeden z partyzantów, kiedy znaleźli się przez chwilę sami.

– Może – poklepał żołnierza po plecach. – Sam nie wiem. Ale ludzi wzruszają takie historie.

Jakubowski zasypiał na słomie, kiedy ktoś przysunął się do niego, obejmując delikatnie za kark.

– Idź w cholerę! – warknął półgłosem, myśląc, że to któryś z jego wywiadowców. Szybko się jednak przekonał, że ma do czynienia z kobietą. Jego złość od razu ustąpiła. Tę noc miał zapamiętać na długo, jednak rano, kiedy się obudził, nikogo już przy nim nie było.

Przy śniadaniu zerkał ukradkiem na każdą z czterech kobiet, te jednak udźwignęły jego spojrzenie, odwzajemniając się ledwie dostrzegalnym, zalotnym uśmiechem.

Chłód kwietniowego poranka przykrył mglistą pierzyną podnóże Rabińca i Spensowej. Oba szczyty wyrastały z niej niczym wyspy z bezkresnego morza i tonęły w promieniach wschodzącego słońca. Zieloną trawę połonin pokrywał szron, roztapiany powoli i skapujący kryształowo czystymi kroplami na wychłodzoną ziemię. Berezka i Paliwka powoli budziły się ze snu jak utrudzony pracą Hucuł, któremu niespieszno do następnej.

Kasia Nowak krzątała się po obszernej izbie, pełniącej rolę szkolnej klasy. Każdego dnia z zagród, porozrzucanych po zboczach okolicznych szczytów i skrajach lasów, przychodziły tutaj huculskie i ukraińskie dzieci. Szły do szkoły zbudowanej na zboczu Spensowej jeszcze za czasów monarchii Austro-Węgierskiej. Wydeptywały rozmiękłą od jesiennych deszczów ziemię, brnęły przez wysokie zasypy śnieżnych zim i rozchłapywały

łoto wiosennych roztopów. Najmilej było w czerwcu i wrześniu, kiedy ścieżki wysychały.

W izbie stały dębowe stoły i długie świerkowe ławy. Hucułka Kałyna dokładała do pieca. Przyjemne ciepło rozchodziło się po całym pomieszczeniu. W chłodne i deszczowe dni piec był oblegany. Rozgrzewał zmarznięte ciała, suszył przemoczone buty i ubrania, pozwalał zapomnieć o rodzinnej biedzie, której tutaj nie brakowało.

Kasia siedziała przy piecu. Trzymała na kolanach książkę otwartą ciągle na tej samej stronie, bo myślami była już ze swoją rodziną.

– *Twoji uczni ne spiszat' s'ohodni na uroki!* [186] – niski głos Kałyny przerwał jej rozmyślenia.

Nim zdążyła odpowiedzieć, dobiegł je dziwny, początkowo trudny do rozpoznania hałas. Po chwili dał się słyszeć odgłos ciężkich kroków. Po drewnianych schodach ktoś wchodził na werandę. Kiedy w drzwiach ukazał się postawny młody mężczyzna, Kasia odruchowo przysunęła się do Kałyny. Z wyglądu miał dwadzieścia pięć, może trzydzieści lat, jasne, kręcone włosy, kilkudniowy zarost i głęboką bliznę na lewym policzku.

Dziewczyna zamarła. Przypomniała sobie powtarzane szeptem opowieści o Dywczuku, dowódcy Służby Bezpieki OUN, w których jawił się on jako człowiek niezwykle brutalny, z głęboką blizną, ciągnącą się niemal od ucha do brody. Właśnie ta okaleczona twarz zdawała się potwierdzać jej najgorsze przypuszczenia.

Mężczyzna przyglądał się jej w milczeniu. Po chwili odsunął ławę i zwałił się na nią, utrudzony przebytą drogą. Oparł się plecami o stół i wyprostował nogi, zakładając jedną na drugą.

– *Mene zwaty Roman Dywczuk* [187] – powiedział chłodno. – Sześciu nas przyszło do ciebie. A ty paszła! – warknął do Kałyny. Kobieta bez słowa wyszła z izby.

– Nie będziesz już uczyła dzieci – mówił wolno do Kasi. – Twoja praca się skończyła, ale na koniec jeszcze nam pokażesz, co potrafisz.

– Czego ode mnie chcecie? – głos dziewczyny łamał się.

– Wiesz, czego chcemy – Dywczuk uśmiechnął się. – Wiesz dobrze. Ty zwyczajna polska suka jesteś. Rozbieraj się.

– Nie róbcie mi nic złego – Kasia uklękła przed Dywczukiem. – Dobrze uczyłam wasze dzieci. Uczyłam miłości i szacunku, mówiłam, że każdy ma być dobry dla innego człowieka, chciałam...

– Zamknij się – Dywczuk zerwał się z ławy i dłonią wielką jak bochen huculskiego chleba chwycił bluzkę dziewczyny. – Gównu mnie to wszystko obchodzi, rozbieraj się – puścił ją i ponownie usiadł na ławie.

Nie panując nad drżeniem rąk, zaczęła rozpinać bluzkę, co uspokoiło Dywczuka.

– Do mnie! – krzyknął w stronę drzwi, kiedy stanęła przed nim naga, próbując zasłonić łono i piersi. Dwaj banderowcy weszli do izby. – Kładź się – rzucił krótko.

Płacząc, położyła się na klepisku.

– Przywiązać ją do stołu – rozkazał. Mężczyźni rozciągnęli ramiona dziewczyny i paskami z podartego prześcieradła przywiązali nadgarstki do nóg dębowego stołu.

Nie broniła się. Leżała przed nimi płacząca i naga, rozciągnięta na niewidzialnym krzyżu hańby i cierpienia, które miały dopiero nadejść.

– Zostawcie nas samych – Dywczuk skinieniem głowy wskazał drzwi swoim ludziom.

Przed szkołą Kałyna i Iwan Krasiuk prowadzili głośną rozmowę. Iwan wiedział, kim była nauczycielka, na której przyszli wykonać wyrok. Znał ją doskonale, rozmawiał z nią tyle razy, zwierzał się jej i prosił o radę, kiedy Olga wychodziła za mąż. Teraz nadszedł jej koniec, a on nie mógł jej pomóc. Podjął jednak postanowienie, że w gwałcie nie weźmie udziału. Pozostali banderowcy także ze sobą rozmawiali. Świadomość zniewolenia polskiej nauczycielki wyzwalala w nich najdziksze żądze.

Po kwadransie Dywczuk wyszedł na werandę.

– Polska suka czeka – powiedział, wkładając koszulę do luźnych spodni. Jego głos poderwał jednego z mężczyzn, który wbiegł do izby.

Dywczuk przysłonił oczy, wypatrując czegoś na skąpanym w słońcu szczycie Rabińca. Trwał w tej pozycji jakiś czas, a później usiadł na świerkowym pniu i zapalił fajkę. Zaciągał się głęboko i rozglądał uważnie. W

końcu wstał i zniknął w drewnutni. Wyszedł z siekierą i stanął przed młodą sosną, rosnącą tuż obok szkoły. Kilkoma uderzeniami ściał drzewo wysoko nad ziemią.

– Urźnij tutaj! – rozkazał jednemu z podwładnych.

Do szkolnej izby wszedł następny mężczyzna. Dywczuk tymczasem zaostrzył siekierą jeden z końców sosnowego pała, a na drugim zaczął wycinać w korze znak Tryzubą.

– No rusz się, teraz ty – warknął do Iwana, gdy ostatni z banderowców wyszedł na werandę.

– Ja znam Kasię i tam nie pójdę – Iwan nie ruszył się z miejsca.

– Wiem, że ją znasz – Dywczuk nie przerywał pracy – ale pójdziesz.

Jego głos był opanowany i zimny. Ci, którzy znali ten ton, wiedzieli, że sens przedłużania rozmowy zniknął bezpowrotnie. Iwan też o tym wiedział. Wszedł do izby.

Chociaż spodziewał się najgorszego, to obraz, który zobaczył, przeraził go. Kasia leżała rozciągnięta między nogami dębowego stołu. W ustach miała brudną szmatę, przytrzymywaną przez zawiązany na supeł sznurek. Oddychała z trudem, a kasztanowe włosy, ściśnięte paskiem prześcieradła, okrywały jej smukłą szyję. Brzuch, łono i uda dziewczyny dosłownie lepiły się od spermy.

Ukląkł przy niej. Z ust wyjął szmatę i wilgotnym kawałkiem prześcieradła przetrął jej twarz. Tym samym prześcieradłem wycierał spermę. Rozwiązał jej ręce i nogi. Na oparciu krzesła stojącego przy piecu zobaczył suszący się ręcznik. Zdjął go i przykrył jej nagie ciało. Drżącą dłonią gładził włosy i policzki.

– Tylko tyle mogę dla ciebie zrobić – pocałował ją. – Przepraszam, Kasiu. Położył się obok i przytulił twarz do twarzy dziewczyny. Rozpłakała się. – Boże – pytał półgłosem. – Dlaczego jesteś taki obojętny? Dlaczego nic nie robisz? Czy nie widzisz, co się tutaj dzieje? Milczysz, bo tak najłatwiej. Ty zawsze milczysz, kiedy ludzie Ciebie potrzebują. Czy Ty w ogóle istniejesz? Czy Ty wiesz, co to dobroć i miłosierdzie? Gardzę Tobą, tak jak Ty nami gardzisz. Tak, to moja do Ciebie modlitwa – przeżegnał się, uściśnął dłoń Kasi i wyszedł.

Dywczuk odłożył fajkę i uśmiechnięty wszedł do szkolnej izby. Wypadł już po chwili z grymasem wściekłości na twarzy.

– Który? – krzyknął. – Który ją rozwiązał?

– Ja – Iwan podniósł się ze schodów. – Chciałem ulżyć jej cierpieniu.

– Oj, ulżysz jej, ulżysz – twarz Dywczuka nagle rozjaśniała. Podeszedł do drewnianej skrzynki stojącej na werandzie. Iwan przypomniał sobie, że kiedy rozmawiał z Kałyną, jeden z banderowców włożył do niej kreta, którego udało się złapać na pobliskiej połoninie. Dywczuk uchylił wieko. Przerazone zwierzę, nieprzywykłe do dziennego światła usiłowało schować się w kącie tego dziwnego pomieszczenia. – Zaraz będziesz w norce – grymas uśmiechu nie zniknął z twarzy Dywczuka. – Będziesz w takiej norce, jakiej jeszcze nie znasz. Iwan ci w tym pomoże i zamknie ją tym palem, abyś nie uciekł, kreciku.

Rubaszny rechot banderowców zagłuszył płacz Kałyny, która klęczała przed werandą, tak jakby to był cerkiewny ołtarz, a Dywczuk kapłanem celebrującym niedzielne nabożeństwo.

– Nie uratujesz polskiej suki – Dywczuk splunął pod nogi Iwana. – To twój koniec – nogą przesunął skrzynkę – ale śmierć sam sobie wybierzesz. Jeżeli wykonasz rozkaz, to on – ruchem głowy wskazał najbliższego banderowca – powiesi ciebie na werandzie. Jeżeli nie wykonasz, będziesz umierał przez tydzień. Wiesz, że potrafimy to zrobić – zaśmiał się głośno.

Iwan zbladł. Przypomniał sobie egzekucję dwóch radzieckich partyzantów, którzy dostali się do ich niewoli. Pamiętał, jak rozebrano ich do naga i przywiązano do drzew w taki sposób, że nie mogli ani usiąść, ani osunąć się na ziemię. Stali, a Dywczuk zdierał z nich skórę. Na noc rany posypywano solą, w dzień przypiekało ich słońce, a na ranach żerowały muchy. Po dwóch dniach plecy roiły się od robactwa, a oni stali i błagali o śmierć. Przyszła sama: do jednego po pięciu dniach, do drugiego po tygodniu. Ten obraz jawił się w jego wyobraźni bezustannie, a on bał się takiej śmierci.

Oddział Jakubowskiego zbliżał się do zagrody stanicznego Matwieja. To właśnie on został wyznaczony przez OUN do organizowania zaopatrzenia dla oddziałów UPA działających w górach otaczających Paliwkę i Berezkę. Na

początku miał z tym problemy. Nie mogło być inaczej, bo biedni mieszkańcy wsi dobrze znali głód i nie byli chętni do dzielenia się skromnymi zapasami. Nie pomagały prośby Matwieja, nie przejmowano się jego groźbami. Widmo głodu od wszystkiego było silniejsze.

– Daj spokój, Igor – mówili Huculi. – To niepewna sprawa ta walka jest. Życie trzeba, a czy pod Polakiem, czy Ruskim, ważne nie jest, byle jeść co było, byle dzieci głodne nie chodziły. Co nam da samostijna Ukraina? Lepiej nam będzie, czy co?

Matwiej przyznawał im rację, ale też nie mogło tak być, aby partyzanci przymierali głodem. Staniczny długo się wahał, a w końcu powiedział o wszystkim organizacji.

Dwie egzekucje, przeprowadzone przez Dywczuka i jego służbę bezpieczeństwa, radykalnie zmieniły sytuację. Widok Kuzycza przybitego gwoździami do drzwi stodoły i Hryhorczuka rozerwanego końmi zrobił swoje. Nikt już nie protestował, kiedy Matwiej przychodził po żywność. Teraz ze swojego podwórza obserwował zbliżający się jeden z partyzanckich oddziałów.

– Dzień dobry, Matwieju! – Jakubowski szerokim uśmiechem przywitał stanicznego. Znał go. Ze swoim oddziałem był tutaj już dwa razy.

– *Dobryj den', ale jakszczo wy pryjshly po charczy, muszu Was zasmutyty!* [188] Wczoraj wasi dużo zabrali i mało co zostało.

– Nie, Matwieju, nie chcemy żywności. Powiedz tylko, czy Ruskich tu nie było?

– Nie było – Matwiej rozłożył ręce. – Tylko nasi. Dywczuk z oddziałem nauczycielki szukał, to ja im drogę pokazałem – wyciągniętą ręką wskazywał odległy szczyt Spensowej.

– Był tutaj Dywczuk? – poczuł nagły przypływ gorąca.

– Był. A wy, to czemu dziwicie się, co?

– Sprawę do niego mam. Idziemy – poderwał oddział i szybkim krokiem ruszyli w stronę Spensowej. Droga łagodnie prowadziła pod górę, ale kiedy schował ich świerkowy las, zaczęli biec. – Boże, spraw, byśmy zdążyli – modlił się na głos Jakubowski. – Boże, oszczędź tę dziewczynę.

Kiedy wybiegli na połoninę, na której stała szkoła, wiedzieli, że przybyli

za późno. Z daleka słyszeli przejmujący krzyk Kałyny, która, trzymając się za głowę, biegała po niewielkim podwórzu. Na miejscu nie pytali o nic. Zdziwił ich tylko widok młodego mężczyzny powieszzonego na poręczy werandy.

Wpadli do szkolnej izby. Na podłodze w kałuży krwi leżała Kasia. Miała obcięte piersi, a w jej krocze wbity był sosnowy pal z wyciętym w korze Tryzubem.

Rybaki

– Coś długo Michała nie ma – Wiktor Pakosz usiadł przy nakrytym do kolacji stole.

– Taką ma służbę, tato – Julia usprawiedliwiała męża. – Nigdy nie wiadomo, kiedy przyjdzie. Mówił, że za cztery dni, no to niby dzisiaj. Poczekajmy trochę.

Rozmawiali o różnych sprawach i czekali.

– Późno już – Wiktor podniósł się z ławy, kiedy zegar wybił dziewiątą. – Dłużej czekać nie będziem. Pomódlmy się i kolację zaczynamy.

Zjedli w milczeniu i nadal siedzieli przy uprzątniętym stole, tylko Jadwiga myła się za parawanem, przygotowując się do snu.

– Prawie jedenasta – Wiktor spojrzał na ścienny zegar, którego wahadło rytmicznie odmierzało upływający czas. – I nam pora spać.

– Cicho! – Julia w jednej chwili znalazła się przy masywnej zasuwie – ktoś idzie. To Michał – uśmiechnęła się, słysząc charakterystyczne pukanie. Otworzyła drzwi i złapała się za głowę. – Boże drogi, jak ty wyglądasz?

Michał stał oparty o ścianę. Miał na sobie podartą bluzę, ubłocone buty i mokre do kolan spodnie. Przetłuszczzone, od dawna niemyte włosy, posklejane w dziwaczne kosmyki, przykrywały spocone czoło. Stał i co chwilę drapał się po całym ciele.

– No wchodź – Julia złapała go za rękaw. – Na co czekasz i co się tak drapiesz?

– To wszy! – stanął przy stole. – Zżerają mnie wszy. Swędzi całe ciało.

– Naftą głowę umyć trza – matka Julii skrzywiła się. – No, całemu umyć się trza, a dobrze wykapać. Taj gotuj kąpiel, Julka.

Było już po północy, kiedy wszyscy znowu usiedli przy stole. Widzieli, że dziwny wyraz twarzy Michała nie zmienił się. Byli zaniepokojeni. Julia zwróciła na to uwagę od razu, kiedy tylko przekroczył próg izby, ale wtedy wydawało się jej, że to zmęczenie.

– Co z tobą? – położyła dłoń na jego dłoni. – O wszach tylko mówiłeś, o niczym innym.

Michał patrzył w kąt izby, w którym, zwinięty w kłębek, spał na podłodze czarny kot.

– Zabiję łajdaka – wolno cedził słowa. – Jak psa zabiję! Nie daruję mu tego!

– Komu nie darujesz? – na twarzy Julii malowało się zdziwienie. – Kogo chcesz zabić?

– Dywczuka, mojego szkolnego kolegę.

Kiedy pełnym emocji głosem opowiedział o śmierci Kasi Nowak, w izbie zapanowała cisza.

– Do Boga módlmy się, by opamiętanie im dał – Wiktor ukląkł i wyjął z kieszeni różaniec.

Razem z nim uklękli pozostali, ale nie Michał.

– A ty czemu nie modlisz się, co? – Lucyna patrzyła na niego z wyrzutem.

Milczał, jakby nie do niego było to pytanie.

– Na Boga nie mamy co liczyć! – uderzył pięścią w stół. – Jeśli Bóg w ogóle jest, to banderowską trzyma stronę!

– Jezu, Chryste! – Lucyna przeżegnała się. – Ty bluźnisz, Michale! Klękaj, taj z nami módl się!

Odetchnęła z ulgą, kiedy spełnił jej prośbę.

Klęczał z łokciami na stole, obejmując dłońmi nisko pochyloną głowę.

– Daj mi siłę i wytrwałość, Boże – mówił głosem, którego nikt dotąd nie słyszał. – Tylko tyle mi daj, nic więcej. Odwagę, by go zabić.

Kolumna samochodów kuckich enkawudzistów i pograniczników zbliżała się do Rybak. Pojazdy wzbijały kurz, kołysząc się na wyboistym gościńcu. Wracali z Zabłotowa, dokąd odstawili kilkanaście ukraińskich rodzin z Berezki i Paliwki, którym major Wise udowodnił czynne wspieranie UPA. Wśród ludzi wyznaczonych do zsyłki na Sybir byli nie tylko krewni stanicznego Matwieja, ale także familia *prowidnyka* [189] rejonu. Dekonspiracja tego ostatniego była dużym sukcesem NKWD. Dowódca

plutonu, starszy lejtnant Witalij Gawryłow, odpowiedzialny za transport, cieszył się z sukcesu majora Wise jak każdy człowiek, kiedy jego wróg ponosi straty. Zadowolony był także z powodu bliskości Kut. Jeszcze tylko kwadrans, może dwadzieścia minut, dzieliło jego pluton od bezpiecznych koszar.

– *Tawariś l'ejtant, astanawims'a na mam'ent!* [190] – rozmyślania Gawryłowa przerwał obolały głos szeregowego Iwanienki. – Brzuch mnie boli – skrzywił się. – W krzaki muszę.

– Jak się żre słoninę i popija wodą, to zawsze tak jest – koledzy Iwanienki nie wykazywali najmniejszego współczucia.

Gawryłow dał znak i kolumna pojazdów zatrzymała się na poboczu rozjeżdżonego gościńca.

Niewysokie, ale gęste zarośla, rosnące w rozległym korycie Czeremoszu, dawały dobrą osłonę i pochylony Iwanienko wręcz biegł do nich, trzymając się za brzuch.

– Szkoda chłopca, cierpi! – Gawryłow z za oparcia siedzenia kierowcy wyciągnął pękata, mocno poniszczoną skórzaną torbę. Otworzył ją z powagą i ostrożnie wyjął trzy butelki owinięte w papier i brudne szmaty. Wódkę otrzymali w Zabłotowie za sprawny transport banderowskich rodzin.

– No, chłopcy – rozlewał wódkę do szklanek – spisaliście się wzorowo, a to jest za to zapłata.

Wódka i kobiety były ich jedyną nagrodą za trudy wojennej służby. Musieli przyznać, że dowódcy nie zabraniali im ani jednego, ani drugiego, byle tylko nie dowiedzieli się o tym ich przełożeni.

Wznosili kolejny żołnierski toast, kiedy z zarośli wyszedł błądy Iwanienko.

– Towarzyszu lejtnancie – w pośpiechu podciągał spodnie. – Chodźcie ze mną, szybko!

– Ciekawe, co chcesz pokazać naszemu dowódcy? – rozgrzani alkoholem żołnierze wybuchnęli jednocześnie głośnym, szczerym śmiechem. – To na pewno jakaś śmierdząca sprawa – młodszy lejtnant Kazaszwili puścił do Iwanienki oko.

Gawryłow z butelką w ręce poszedł za Iwanienką, a Kazaszwili z żalem patrzył na puste butelki.

– Kurwa mać! – dobiegło ich z zarośli głośne przekleństwo dowódcy. – Wszyscy do mnie!

Kazaszwili poderwał się natychmiast i wyznaczył kilku żołnierzy do pilnowania samochodów.

– Za mną! – zatoczył ręką łuk i biegiem ruszył w stronę Gawryłowa.

Tuż za pierwszą ścianą zarośli natknęli się na klęczącego dowódcę. Pochylał się nad nieruchomą, półnągą postacią rosłego mężczyzny, leżącego twarzą do ziemi. Człowiek ten nie miał butów, a jego odsłonięte plecy nosiły ślady wielu przestrzelin.

– Zginał od serii z pepeszy – Gawryłow podniósł się z klęczek. – Odwróćcie go.

Jeden z żołnierzy natychmiast wykonał rozkaz.

– To lejtnant Kalnikow – Kazaszwili uważnie przyglądał się twarzy ofiary. – Tak, to on.

Kalnikow służył w ich batalionie i wszyscy dobrze go znali. To on rozweselał ich i smucił, kiedy grał na akordeonie, śpiewając tęskne czastuszki i kozackie dumki. Dzisiaj na porannej odprawie został wyznaczony do wykonania jakiegoś zadania w Rybakach. Gawryłow nie pamiętał, co to było, przypomniał sobie tylko, że mieli się tym zająć w piątkę.

– Towarzyszu lejtnancie! – jeden z pograniczników niepewnie obserwował gęste zarośla. – Wynieśmy go na drogę.

– Strach was obleciał, co? – zachnął się, ale skinieniem głowy przystał na tę propozycję. Dwaj żołnierze wynieśli ciało Kalnikowa na pobocze gościńca. – Musimy przeszukać te krzaki – Gawryłow pociągnął z butelki spory łyk wódki. – Wy pójdziecie w stronę Kut, a wy w stronę Śniatyna – sprawnie rozdzielił zadania. – Nie oddalajcie się zanadto, najwyżej na pół kilometra.

Chwilę obserwował ruszające się zarośla, a w końcu machnął ręką, usiadł na kamieniu i zapalił papierosa. Ze śmiercią spotykał się już tyle razy, że właściwie przywykł do niej. Kiedy jednak ginął ktoś dobrze mu znany,

zawsze nachodziły go myśli, że wojenny żołnierski los zależy od przypadku. Zaciągnął się głęboko i znowu skierował wzrok na zarośla. Żołnierze idący tyralierą w stronę Kut wynosili na pobocze kolejne ciało. Nie miał wątpliwości: oddział Kalnikowa wpadł w zasadzkę. Banderowcy musieli być silni, skoro odważyli się zaatakować pięciu dobrze uzbrojonych żołnierzy. Obie tyraliery powróciły po godzinie, a efektem ich poszukiwań były dwa ciała.

Wypita wódka zaczynała robić swoje i Gawryłowowi coraz trudniej było pogodzić się z myślą, że nie usłyszy już dumek i czastuszek. Gdy przypominał sobie zmasakrowane ciała cywilów i żołnierzy zamęczonych przez banderowców, wzbierał w nim gniew. Dał sygnał do odjazdu.

Zbliżali się do pierwszych zabudowań wsi. W przylegającym do drogi polu pracowało kilka osób. Może czterdziestoletnia kobieta i dwie dziewczyny rozkopywały motykami zagon kartofli, a mężczyzna wsypywał je na drewniany wózek.

– Stać! – Gawryłow szarpnął kierowcę za ramię. Samochody zatrzymały się na poboczu gościńca, prawie wpadając na siebie. – Brać go! – ręką wskazał pracującego na polu mężczyznę.

Dwaj pogranicznicy po krótkim biegu znaleźli się obok Ukraińca. Zanim zorientował się, o co chodzi, miał wykręcone ręce i w pochylonej pozycji ciała popychany był w stronę Gawryłowa. Kobiety, widząc, co się dzieje, porzuciły motyki i zaczęły uciekać do wsi.

– *Myłoserd'a proszu, pane!* [191] – błagał przerażony wieśniak, kiedy stanął przed drzwiami szoferki.

– Milcz, ty ukraińska świnio! – Gawryłow chwycił oburącz połataną koszulę mężczyzny. – Jak się nazywasz?

– Młyńczuk, panie, Iwan Młyńczuk.

– Pojedziesz z nami – lejtnant nie zwalniał uchwytu. – Powiesz, gdzie mieszkają banderowcy.

– Ja nic nie wiem, panie, ja spokojny człowiek jestem.

– Łapać je! – Gawryłow skinął na pograniczników. Kilku z nich ruszyło biegiem za uciekającymi kobietami.

– Litości, panie! – Ukrainiec padł na kolana. – Nic złego żonie nie róbcie ani córkom, to jeszcze dzieci!

Dziewczynki i matka były przerażone. Żołnierze ciągnęli je za włosy, które wprawnie okręcili wokół swoich dłoni. Żona Młyńczuka miała podartą bluzkę, a z kącika jej ust płynęła wąska strużka krwi. Zaszczutym wzrokiem patrzyła to na męża, to na Gawryłowa.

– Mój oddział liczy dwudziestu pięciu żołnierzy – Gawryłow spokojnie zapalił papierosa – a żaden z nich od miesiący nie miał kobiety. Wiesz, ile razy twoja żona i córki zostaną zerżnięte? Policz, bo mnie wychodzi, że osiem – zaciągnął się, wypuszczając dym w twarz Ukraińca. – Tutaj, przy tobie! A młodzi są i takie rzeczy potrafią, że sam się zdziwisz. I co? Nadal nie wiesz, gdzie mieszkają banderowskie rodziny?

– Wiem, panie, i powiem, tylko nie krzywdź, panie, żony i córek. Proszę.

– No to jedziemy – Gawryłow dał znak do odjazdu.

Pogranicznicy sprawnie wskoczyli na samochody, zabierając ze sobą kobietę i jej córki. Młyńczuka posadził Gawryłow między siebie i kierowcę. Wjechali do Rybak.

– Tutaj, panie, Sławyczuk mieszka – Młyńczuk wskazał nowy okazały dom. – Dwóch synów jego w partyzantce jest. Za Sławyczukiem, tam dalej, trochu w polu – pokazywał trzęsącą się ręką – Sławko Smotrycz żyje. Jego żona, panie, sanitariuszką jest w... – szukał właściwego słowa. – Sanitariuszką u partyzantów jest.

Gawryłow zatrzymał kolumnę.

– Spalić te domy – rozkazał.

Żołnierze ruszyli ruszyli biegiem. Wkrótce z obu domów dobiegły krzyki przerażonych ludzi, rozległy się dwa, może trzy wystrzały, ale po kilku minutach wszystko ucichło. Budynki stanęły w płomieniach.

Ruszyli w dalszą drogę, mijając kolejne wiejskie zagrody. Za cerkwią stał nieduży, drewniany dom, pokryty ocynkowaną blachą.

– Tutaj, panie, rodzina Dywczuka mieszka – Młyńczuk złapał Gawryłowa za ramię.

– Kogo? – dowódca odwrócił się gwałtownie. Niespodziewana reakcja i

ostrzy ton głosu Gawryłowa do reszty wystraszyły wieśniaka.

– Dywczuka, panie – odpowiedział szeptem, jakby się bał, że sam szef służby bezpieczeństwa może go usłyszeć. – To dom jego rodziców.

– Wypuścić ich! – Gawryłow wyskoczył z samochodu. – Otoczyć dom!

Żołnierze sprawnie wykonali rozkaz. Gawryłow dał znak i jeden z pograniczników kopnięciem otworzył drzwi. Z odbezpieczonymi pistoletami i pepeszami gotowymi do strzału weszli do ciemnej sieni. Zza uchylonych drzwi usłyszeli dziecięcy płacz. Wpadli do izby, mierząc do przerażonych domowników.

Przy stole, zwrócony do nich twarzą, siedział sześćdziesięcioletni mężczyzna, a obok niego kobieta w podobnym wieku. Dwie dziewczynki, płacząc, tuliły się do jasnowłosej kobiety, odwróconej plecami.

– *Wstań't'e i ruki ww'erch!* [192] – rozkazał Gawryłow. Mężczyzna i kobieta wstali, a dziewczynki, płacząc jeszcze głośniejszym głosem, uczepliły się oburącz matczynej spódnicy. Kobieta także wstała z uniesionymi wysoko rękoma.

– Odwróć się! – Gawryłow przyłożył lufę pistoletu do jej pleców. Oniemiał, kiedy wykonała polecenie. Stała przed nim kobieta o niezwykle regularnych rysach twarzy i delikatnej, wręcz dziewczęcej urodzie. Jej twarz nie zdradzała przerażenia, emanowała ufnością, podkreślaną dodatkowo smutkiem dużych, brązowych oczu. Była po prostu piękna.

– Roman Dywczuk to dla was kto?

– *Ce mij muž. Ci diwczynky, Julija ta Switlana, joho doczku. Mene zwaty Oksana* [193] – kobieta uśmiechnęła się. – Nie róbcie nam nic złego. Jesteśmy spokojnymi ludźmi.

– Gdzie twój mąż?

– Nie wiem – ujęła dłoń Gawryłowa. – Od dawna nie było go w domu. Wyjdźmy do pokoju, porozmawiajmy.

Na twarzy lejtnanta malowało się bezgraniczne zaskoczenie. Pogranicznicy wymieniali między sobą pytające spojrzenia, kiedy Oksana otwierała drzwi pokoju.

– Zostańcie z babcią i dziadkiem – kobieta prosiła dziewczynki. – Ja zaraz wrócę.

Nie widziała skinienia głowy Gawryłowa skierowanego do żołnierzy.

Weszli do pokoju, który zdawał się sypialnią. Niewielkie okienko wychodziło na przydomowy sad, a promienie słońca zatrzymywała korona dużego orzechowca. W środku panował półmrok.

– *Ja – twoja, ciła twoja* - kobieta zdejmowała sukienkę. – *Roby zi mnoju wse, szczo bażajesz, tilky daruj nam żytt'a* [194]. Ja nie chcę takiej Ukrainy, o jaką walczy Roman. To przynosi tyle nieszczęścia, tyle cierpienia – rozpięła jego wojskową bluzę. – Modłę się za Romana – szeptała. – Modłę się, żeby się zmienił.

Przytuliła głowę do zarośniętej piersi Gawryłowa. Cuchnął potem i alkoholem.

Gawryłow milczał, ale w jego umyśle rodził się nowy plan. Już wiedział, że nie zabije Oksany. Był pewien, że od dzisiaj ona nie zostanie w tym domu ani chwili i wyprowadzi się bliżej męża, w góry, a wtedy on, Gawryłow, wkroczy do akcji. Teraz jednak chciał być sobą. Już tak dawno nie miał kobiety.

Powalił Oksanę na szerokie łóżce. Zdarł z niej bieliznę i z dziką rozkoszą dawał upust żądzom, podsycanym przez wypity alkohol. Dziwił go tylko delikatny zapach ciała kobiety, tak bardzo różny od tych woni, do których od dawna zdążył się przyzwyczaić.

Kiedy wychodził, Oksana wtuliła twarz w poduszkę i cicho płakała. W kuchni panowała przejmująca cisza. Pograniczników już nie było, a przy stole w nienaturalnej pozycji siedzieli rodzice Dywczuka. Na podłodze leżały obie córki Oksany. Zręcznie ominął kałuże krwi i wyszedł.

Dom Wandy Pytel był pełen ludzi. To sąsiedzi przyszli jej pomóc w łuskaniu kukurydzy, którą Pawłyczko obiecał zabrać do młyna w Paliwce.

– Rada jestem was gościć – gospodyni krzątała się koło pieca. – Bez waszej pomocy ciężko by było. Już sama nie wiem, co mam myśleć. Od kiedy Józka zabrali, a rok już minął, nie mam żadnych wiadomości. Może go bauery zabili?

– Wojna jest, duszko ty moja, i poczta jak należy nie pracuje – Edward Jakubowski położył dłoń na ramieniu Wandy.

– A może znalazł sobie inną?

– Już tam on ma czas za babami rozglądać się – Pawłyczko obracał w dłoniach kukurydziany *kaczan* [195].

– Dobrze Myrosław mówi – Edward kiwał głową. – U bauerów pracować od wschodu do zachodu słońca trza. Chłopu po tym to ani listów pisać się nie chce, ani o kobietach myśleć.

– Może macie rację? – Wanda uśmiechnęła się niepewnie.

– On haruje, ale bezpieczny jest – Maria nie przerywała łuskania. – Nie to, co my.

– Święte słowa, duszko ty moja, święte słowa. Ja zły na Herthę był, jak z domu uchodziła, ale widzę, że rację miała całkiem.

– Najgorzej to z dziećmi mam – Wanda rozrabiała ciasto. – Gdzie ja się z tą drobnicą podzieję, jak przyjdzie uciekać? No gdzie?

– Prawda – Wiktor Pakosz kiwał głową. – Twoja chata przy łągach stoi, dalej już tylko Czeremosz, a uciekać trzeba będzie. Bandery dzieci i bat'ków Dywczuka mścić będą. On za dużo znaczy dla nich, żeby mścić nie chcieli. Co Ruskim do głowy przyszło, żeby ich zabijać?

– Mądrze gadasz, królu ty mój, oni tu przyjdą. Żeby tylko wiedzieć kiedy...

– Moja chata w środku ukraińskich stoi – Wiktor strzepywał ze spodni kukurydziane plewy – to i bezpieczna jest. Jakby co, sąsiadów o pomoc prosić można. Do mnie zachodź, miejsca mam dosyć.

– A jemu to co stało się, że co mówi, nie wie? – dziwił się Edward.

– Żaden Ukrainiec Polakowi nie pomoże. Nie żeby nie chcieli, ale boją się gorzej jak my. Każden na siebie liczyć musi. Jak Bóg szczęście da, to i życie zachowa.

– W mojej oborze nocować możecie – Pawłyczko wyprostował zgięte plecy. – Z krowami i świniami. Tam szukać nie będą. Jak was znajdą to powiem, że wy bez mojej woli, sami od siebie tam poszli.

– Człowiek z was dobry, Myrosławie – Edward przerwał łuskanie. – Dobry, a i odważny. Inni nie pomagają jak wy. Pokażą banderom, gdzie

Polak się schował, pokażą, gdzie jego zagroda i jak tu przeżyć, królu ty mój?

– A jak pokazać nie mają? – Pawłyczko rozłożył ręce. – Jak nie pokażą, sami zginą. To jest terror, drogi Edwardzie. To jest terror.

Rozmawiali, a w izbie unosiła się smakowita woń placków pieczonych na kuchennym blacie.

– Zostańcie – Wanda kątem oka obserwowała sąsiadów zbierających się do wyjścia. – Zaraz zrobię *łamańce* [196].

Zjedli, pochwalili, że smakowało, bo dobre było, ale zanim wyszli, uklękli i pomodlili się do Matki Jezusa.

*Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko,
naszymi prośbami racz nie gardzić w potrzebach naszych,
ale od wszelakich złych przygód racz nas zawsze wybawiać,
Panno chwalebna i błogostawiona, o Pani nasza,
Orędowniczko nasza...*

Kuty

Szli wyżej i wyżej, a on wcale nie odczuwał zmęczenia.

– Dokąd mnie prowadzisz? – pytał oszołomiony widokiem gór i pagórków, lasów i połonin, głębokich wąwozów i rwących górskich strumieni.

– Nie pytaj, Izaak – przystanęła, dotykając palcem ust. – Nie pytaj, tylko patrz. Chcę ci pokazać miejsca, których nie zdążyliśmy poznać. Jest wiele takich miejsc, gdzie nie byliśmy. Teraz chcę je tobie pokazać.

Miała białą zwiewną sukienkę. Widział ją w niej po raz pierwszy i może by jej nie poznał, gdyby nie kruczoczarne, długie i kręcone włosy.

– Miriam! – zawołał. – Miriam!

Zbudził go jakiś hałas. Przetarł oczy i usiadł na brzegu łóżka. Chwilę trwał w tej pozycji, obserwując szkło zbitej szklanki leżące na podłodze.

Gawryłow siedział na stołku z łokciami opartymi na kolanach. Palce obu dłoni zagłębił w przetłuszczonych włosach. Zamknięty w szkolnej piwnicy, pełniącej funkcję więzienia, miał o czym rozmyślać. Jego akcja w Rybakach, podczas której zginęło siedmioro Ukraińców i spalono kilka domów, nie znalazła uznania u majora Prochorenki. Ten, kiedy tylko dowiedział się o zdarzeniu, rozkazał Gawryłowa aresztować. Po krótkim śledztwie, które osobiście nadzorował, do aresztu trafiło także sześciu żołnierzy z oddziału lejtnanta. Zamiast spodziewanego awansu Gawryłowa czekał wojskowy sąd.

– *Tawariśc l'ejtant, uże para!* [197] – z rozmyślań wyrwały go skrzypienie drzwi i głos młodego żołnierza.

Wstał ciężko i wyciągnął przed siebie ręce.

– Jak będziecie uciekać, mamy strzelać – informował żołnierz, zakładając kajdanki.

Po stromych schodach wyszli na długi korytarz, pełen wojskowych i cywilów. Zatrzymali się przed drzwiami szkolnej świetlicy. Jeden z żołnierzy otworzył je i weszli do środka.

Trzy połączone stoły, przykryte czerwonym suknem, odcinały się od

szarości stojących przy nich krzeseł. Kilkanaście rzędów takich samych krzeseł czekało na ludzi. Usiedli w pierwszym rzędzie, na wprost sędziowskiego stołu.

Świetlica zaczęła się wypełniać i wkrótce połowa miejsc była zajęta. W powietrzu unosił się bezładny gwar prowadzonych rozmów. Nagle wszystko ucichło, a siedzący żołnierze i cywile wstali jednocześnie. Do świetlicy wszedł barczysty mężczyzna w stopniu majora w asyście dwóch cywilów. Cała trójka zajęła miejsce za sędziowskim stołem.

– *Atkrywaju zas'edanije Wajskowawa Suda!* [198] – przewodniczący sędziowskiego składu zatrzymał wzrok na Gawryłowie.

– Rozprawa odbędzie się przeciwko starszemu lejtnantowi Witalijowi Gawryłowowi i sześciu jego żołnierzom, oskarżonym o samowolny napad na wieś Rybaki w dniu 9 września 1944. Akt oskarżenia odczyta wojskowy prokurator.

Chudy, niskiego wzrostu mężczyzna, siedzący dotąd przy bocznym stoliku, wstał energicznie. Z papierowej teczki wyciągnął dwie kartki wypełnione gęstym maszynowym pismem i zaczął czytać.

Gawryłow siedział ze spuszczoną głową. Jego świadomość rejestrowała jedynie pojedyncze słowa aktu oskarżenia. Myślami był już przy końcu procesu. Próbował odgadnąć czekający go wyrok. Kara śmierci? Zsyłka na Sybir? Może przydział do karnej kompanii?

Ta ostatnia możliwość wydawała się jego najbardziej prawdopodobnym losem.

Prokurator zakończył czytanie i zeznania zaczęli składać cywile oraz wojskowi.

Z ich wypowiedzi wyłaniał się obraz skutków akcji w Rybakach oraz to, że Gawryłow działał samowolnie. Resztki nadziei lejtnanta na łagodny wyrok rozwiął major Prochorenko, mówiąc, że istnieje zakaz prowadzenia tego rodzaju akcji wobec ludności cywilnej.

– Po zakończeniu wojny tutaj będzie władza radziecka! – krzyczał w stronę Gawryłowa. – Nie możemy stosować przemocy! Czy nie widzicie, że ludność sprzyja banderowcom? Takie nieodpowiedzialne akcje doprowadzą do tego, że ludzie zaczną nas nienawidzić! Dobrze wiemy, że hitlerowskie

represje wobec ludności cywilnej na Białorusi nie tylko nie złamały jej oporu, ale go jeszcze zwiększyły! Tak samo będzie tutaj! – uderzył pięścią w stół.

– Panujcie nad emocjami – sędzia upomniał Prochorenkę i podyktował coś protokolantowi.

– Teraz wasza kolej, towarzyszu majorze! – wskazał ręką na Izaaka Wise.

Niepozorna, lekko zgarbiona sylwetka i cywilny ubiór nie pasowały do wysokiego stopnia oficcerskiego NKWD, który posiadał Wise. Być może z tej właśnie przyczyny jego wejście przed stół sędziowski nie zwróciło szczególnej uwagi zebranych. Powszechnie potępienie akcji w Rybakach utwierdzało wszystkich w przekonaniu, że Gawryłow zostanie skazany, że kara będzie surowa i że nikt, nawet major Wise, nie jest w stanie tego zmienić.

Spokojny głos oficera NKWD, odpowiadającego na pytania sędziego, nie wzbudzał choćby nikłego zainteresowania zgromadzonych. Dało się słyszeć gwar szeptem prowadzonych rozmów. Kiedy jednak Wise oświadczył, że bierze na siebie całkowitą odpowiedzialność za to, co się stało, na sali zapanowała cisza.

– Uważam, że wszyscy oskarżeni powinni zostać natychmiast zwolnieni! – major podniósł głos. – To ja mówiłem, że dla pokonania banderowców należy tak postępować, aby ludność cywilna bardziej bała się nas niż ich. Oni stosują terror, na który musimy odpowiedzieć jeszcze większym terrorem. Nie macie racji, towarzyszu Prochorenko, kiedy mówicie, że na Białorusi odwetowe akcje Niemców jedynie wzmagają opór ludności cywilnej. Nie macie racji, kiedy mówicie, że u nas będzie podobnie. Niemcy prowadzili swoje akcje na ślepo, paląc całe wioski i mordując wszystkich mieszkańców. Nasze represje muszą dotyczyć jedynie banderowskich rodzin i tych, którzy banderowcom sprzyjają. Jeszcze raz oświadczam, że biorę na siebie całkowitą odpowiedzialność za akcję w Rybakach, chociaż wiem, że wysoki sąd może nie podzielać tej opinii.

Siedzący w bocznej ławie prokurator poprosił o głos.

– Za chwilę, towarzyszu prokuratorze – sędzia szukał czegoś w dokumentach. – Mam do świadka pytanie – zamknął tekturową teczkę. – Czy jesteście świadomi wagi wypowiedzanych słów? Czy zdajecie sobie sprawę z

tego, że to was może czekać pluton egzekucyjny?

– Tak, mam tę świadomość. Powtarzam, że moim zdaniem starszy lejtnant Gawryłow zasłużył na pochwałę, a nie na sąd wojenny!

Przewodniczący znowu podyktował coś protokolantowi i udzielił głosu prokuratorowi, który od razu zaczął zadawać pytania.

– Czy wy, towarzyszu Wise, osobiście wydaliście rozkaz przeprowadzenia akcji w Rybakach?

– Nie, ale biorę całkowitą odpowiedzialność za tę akcję. Te zasady wpajałem żołnierzom na licznych naradach. Ich można sądzić tylko za to, że nieostrożnie podpalali banderowskie domy, czym spowodowali pożary domów innych mieszkańców wsi.

Stanowczy głos oficera NKWD uciszył prokuratora, ale nie sędziego prowadzącego rozprawę.

– Oddajcie pistolet, towarzyszu Wise! – rozkazał. – Do czasu wydania wyroku zostajecie zawieszeni w prawach dowódcy. Otrzymujecie też zakaz opuszczania Kut. Zarządzam również wasze obowiązkowe badanie lekarskie.

Mam poważne wątpliwości, czy jesteście świadomi tego, co mówicie i co robicie. Wszyscy oskarżeni w tej sprawie pozostaną w areszcie. Zamykam posiedzenie sądu!

Major ledwie przeciskał się przez zatłoczoną salę, w której wszyscy stali i klaskali w dłonie.

– Jesteście bohaterem, towarzyszu Wise! – słyszał co chwila. – Jesteście prawdziwym żołnierzem.

Rybaki

Świadomość nieuchronności banderowskiego napadu, spotęgowana dodatkowo śmiercią rodziców i dzieci Dywczuka, na dobre zagnieżdżyła się w umysłach Polaków mieszkających w Rybakach. Strach spowodował, że pomagali sobie bardziej niż dotąd, że zanikły gdzieś sąsiedzkie waśnie, nawet te najbardziej zadawnione. Wszyscy czekali z niepokojem, co przyniesie kolejna noc i cieszyli się, kiedy wstawał nowy dzień.

Grzegorz Jakubowski, pobity w Paliwce przez nieznaną ludzi, przestał odwiedzać Olgę i Ołenkę, chociaż tęsknił bardzo i za jedną, i za drugą.

– Dlaczego wszystko tak się zmieniło? – pytał Wandę Pytel, której przez cały dzień pomagał przy kopaniu kartofli. – Przed wojną było inaczej.

Kobieta w milczeniu słuchała jego słów, układając do snu kolejnych synów.

– Nie wiem – powiedziała, siadając przy stole, kiedy dzieci już spały. – Nikt tego nie wie.

Grzegorz kiwał głową ze zrozumieniem, ale jego wzrok przyciągała rozpięta bluzka Wandy. Nagle uświadomił sobie, że ta pracowita kobieta, z takim trudem wychowująca czterech synów, podobnie jak on potrzebuje pomocy.

– Proszę się nie martwić – odruchowo położył dłoń na jej złożonych jak do modlitwy rękach. – To musi kiedyś się skończyć.

Wanda ocknęła się nagle. Spojrzała na niego tak, że nie wiedział, jak ma się zachować.

– Przepraszam, ja nie chciałem, ja... – zaczął się tłumaczyć, ale nie pozwoliła mu dokończyć. Przysunęła się, ujęła jego dłonie i przycisnęła je mocno do swoich piersi.

– Tak dawno nikt mnie nie dotykał – mówiła szeptem. – Tak dawno nie miałam mężczyzny. Ten wieczór będzie nasz, Grzegorzu – powoli zdejmowała bluzkę. – Nie wiem, co nam przyniesie jutro – zsuwała ramiączka koszuli. – Nie wiem, czy ono w ogóle będzie.

Kuty

– Izaak, co ty dobrego robisz? – doktor Jurgiel już w progu nie krył irytacji. – Dlaczego ty nie myślisz o naszym narodzie? Nas już prawie nie ma, a ty sam siebie skazujesz na śmierć. Tak nie można. To nie godzi się z naszym świętym Talmudem.

Jurgiel miał sześćdziesiąt lat i też był Żydem. Mieszkał i pracował w Kutach, skąd w czerwcu 1941 roku uciekł z Armią Czerwoną. Wrócił z Rosjanami jako lekarz wojskowy, a teraz realizuje decyzję przewodniczącego sądu nakazującą zbadanie Izaaka Wise.

– Izaak, ty skończysz w karnej kompanii na pierwszej linii frontu albo postawią cię pod murem przed plutonem egzekucyjnym. Wycofaj to, co powiedziałeś sędziemu. Ja tobie wystawię takie zaświadczenie, że unikniesz kary. Wycofaj to, co powiedziałeś.

Major Wise siedział wpatrzony w okazałą pajęczynę wiszącą pod sufitem, gdzie pająk oplatał nicią przed chwilą złapaną ćmę.

– Tacy ludzie jak ty są nam potrzebni! – nie ustępował Jurgiel. – Naród żydowski nie całkiem został zniszczony. Rodzi się nowa nadzieja. W Palestynie powstaje żydowskie państwo i chociaż wokół są Arabowie, to popierają nas towarzysze Stalin i Anglicy. Na pewno sprzyjają nam Amerykanie. Nie marnuj sobie życia, Izaak. Tutaj wszystko się skończyło. Tutaj wygrali antysemita, którzy chcą się nas do końca pozbyć! My stąd musimy odejść. Izaak, czy ty tego nie widzisz?

Wise słuchał z coraz większym zniecierpliwieniem, a w końcu nie wytrzymał.

– Nie wycofam ani jednego słowa! – powiedział. – A jeżeli ty nie przestaniesz mówić do mnie w ten sposób, to całą rozmowę powtórzę w sądzie.

Jurgiel zamilkł. Otworzył torbę i czegoś w niej szukał, a w końcu przystąpił do badania.

Miriam przyszła znowu.

– Zrób mi miejsce – powiedziała łagodnie, a on przesunął się na

drewnianej pryczy.

– Pamiętasz ławeczkę przy wodospadzie w Kosowie? – usiadła, kładąc dłoń na jego ramieniu.

– Tak, pamiętam – odpowiedział i zamilkł.

Rybaki

Dochodziło południe i wiejski kościółek powoli zapełniał się wiernymi. Wszyscy czekali na Wiktora Pakosza, który pojechał do Kut po księdza Szmalińskiego. Ludzie przyszli podziękować Panu za to, że mają co jeść, że szczęśliwie przeżyli tydzień, ale przede wszystkim za to, że nie było we wsi banderowców. Przyszli prosić, aby w nadchodzącym tygodniu było tak samo.

– Jada! – jeden z mężczyzn stojących na drewnianych schodach kościoła wyciągnął rękę w stronę Kut. Wóz Pakosza zatrzymał się przed kościołem po kilku minutach.

– Co się stało, królu ty mój? – Edward chwycił końską uzdę, zatrzymując bryczkę. – A gdzie ksiądz jest?

– Chodźcie do kościoła – Pakosz przywiązał konia do drzewa. – Wszystkim to powiem.

Kiedy okazało się, że księdza Szmalińskiego nie ma, w kościelnych ławkach zapanowało poruszenie.

– Ksiądz chory może jest? – pytała Lucyna Pakosz.

– Nie, on nie chory! – głos Wiktora łamał się. – Zdrow całkiem jest. Powiedział tylko, że strach z Kut ruszać się. Prosił, żeby po niego więcej nie przyjeżdżać.

W kościele zapadła pełna niepokoju cisza.

– To śmierć nam pisana – Lucyna Pakosz schowała różaniec. – Nawet Bóg nas opuścił!

– Nie przesadzaj, duszko ty moja – Edward schował do kieszeni książeczkę. – Nie przesadzaj. Póki co ksiądz Szmaliński Bogiem nie jest.

– Prawda, że nie jest, ale Bóg przyjeżdżał z nim, a z Bogiem nadzieja. A teraz co? Sami Pana prosić musim, by Polskę wolną nam dał. My bez niej bezbronni jak dzieci jesteśmy.

Lucyna wstała, wytarła oczy i nos i zaintonowała pieśń, której w czasach niewoli nikt nie potrafił śpiewać obojętnie.

*Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,*

*Coś ją osłaniał tarczą swej opieki
Od nieszczęść, które przygnębić ją miały,
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie!*

Kiedy wyszli z kościoła, natknęli się na Myrosława i Jewdokię Pawłyczków.

– Do cerkwi nam chodzić przyszło – Maria Jakubowska zagadnęła ukraińskich sąsiadów.

– Ksiądz Szmaliński do nas przyjechać nie chciał. Całkiem nas zostawił.

– Mario – Pawłyczko z niepokojem rozglądał się dokoła – nie rozmawiajmy, proszę. Zachodźcie na noc do mojej obory, ale teraz nie rozmawiajmy.

Kuty

– *Praszu wstat'!* [199] – donośny głos przewodniczącego bez trudu docierał do każdego miejsca wypełnionej po brzegi sali. – W imieniu Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich i wielkiego przywódcy Józefa Wissarionowicza Stalina ogłaszam wyrok w sprawie przeciwko starszemu lejtnantowi Witalijowi Gawryłowowi i jego żołnierzom za napad na wieś Rybaki w dniu 9 września 1944 – sędzia poprawił okulary i zaczął odczytywać wyrok. – Starszego lejtnanta Witalija Gawryłowa uznaje się winnym zarzucanych mu czynów. Biorąc jednak pod uwagę oświadczenie złożone przez majora Izaaka Wise oraz skomplikowaną sytuację społeczną i wojskową, w jakiej przyszło nam działać, sąd odstępuje się od wymierzenia oskarżonemu najwyższego wymiaru kary. Starszy lejtnant Witalij Gawryłow zostaje zdegradowany do stopnia szeregowego i przydzielony do karnej kompanii. Żołnierze biorący udział w akcji zostają uniewinnieni. Wobec tego, że prokurator nie wniósł aktu oskarżenia przeciwko majorowi Wise, sąd uchyla wszystkie prewencyjne środki zastosowane wobec jego osoby. Zamykam posiedzenie sądu.

Przez salę przetoczył się pomruk niedowierzania. Jeden z członków zespołu sędziowskiego, starszy już wiekiem mężczyzna, który podczas całej rozprawy zachowywał kamienny, niezdradzający żadnych emocji wyraz twarzy, nagle wstał, zwrócił się w stronę Izaaka Wise i zasalutował. Dało się słyszeć pojedyncze oklaski.

Wise szedł sztywnym, niepewnym krokiem, nie rozglądając się na boki. Zamknął drzwi swojego gabinetu, usiadł na krześle i rękawem przetarł spocone czoło. Było już ciemno, kiedy odwiedził Gawryłowa w jego celi.

– Uspokójcie się, do cholery! – krzyknął, kiedy ten ukląkł przed nim i płacząc, dziękował za uratowanie życia. – NKWD potrzebuje takich ludzi jak wy – usiadł na drewnianej pryczy.

– Nie traficie do karnej kompanii! Major Prochorenko oskarżył was niesprawiedliwie. Nie wiem, dlaczego to zrobił! – poczęstował Gawryłowa papierosem. – NKWD ma dla was zadanie na Litwie. Nie bójcie się! Nim dojedziecie na front, zabierzemy was z pociągu.

– Zabierzecie z pociągu? – głos ugrzął w gardle Gawryłowa. – Zabierzecie tak jak...

– Mówiłem przecież, żebyście się nie bali. Was naprawdę nie spotka nic złego!

Rybaki

Wspomnienia wieczoru spędzonego z Grzegorzem powracały do Wandy z regularnością wschodów i zachodów słońca. „Jak mogłam to zrobić?” – ciągle zadawała sobie to samo pytanie. „Co powiem Józkowi, jak wróci do Rybak? Czy będzie potrafił zrozumieć? Czy wysłucha?”.

Doglądała jak dotąd wszystkich domowych spraw, ale wieczorami, kiedy dzieci już spały, klękała przed obrazem Jezusa i modliła dłużej niż zwykle. „Boże, spraw, abym na zawsze o tym zapomniała” – prosiła. Zauważyła jednak, że im bardziej o tym myśli, tym mniej zaczyna żałować, a Bóg z nieznanej jej przyczyn nie chce tej prośby wysłuchać. W końcu zaczęła tęsknić do tych cudownych chwil, jakie razem z Grzegorzem dane jej było przeżyć, i przeraziła się na dobre.

Kuty

Wysoka pozycja szefa kuckiego NKWD po procesie Witalija Gawryłowa jeszcze się wzmocniła. Przełożeni ze Stanisławowa go szanowali, oficerowie z kuckiego garnizonu bali się, a zwykli żołnierze bardzo polubili. Dzisiaj Wise miał przedstawić swoją strategię walki z UPA, nad którą pracował od pewnego czasu. Major Prochorenko oraz dowódcy kompanii – kapitanowie Stepaniuk, Romanow i starszy lejtnant Kuźniecowa – czekali już w szkolnej sali. Wise przyszedł z pokaźnej grubości teczką, wypełnioną jakimiś dokumentami.

– *Tawariści aficery!* [200] – zaczął od razu. – Zakończyliśmy zbieranie informacji o Ukraińcach z Kut i okolicznych wsi. Mamy listy tych, którzy do UPA należą, i tych, którzy jawnie banderowcom sprzyjają. To prawie tysiąc nazwisk! – wyjął z teczki plik gęsto zapisanych kartek papieru. – Nie zrobiliśmy tego zestawienia tylko dla samej statystyki. Wszyscy, którzy się na naszych listach znaleźli, zostaną wywiezieni na Sybir, a od was, towarzysze, oczekuję pomocy w realizacji tego zadania. Transport, który do Zabłotowa eskortował Gawryłow, rozpoczął zsyłkę, ale to dopiero początek.

Oficerowie spojrzeli po sobie, kręcąc przy tym głowami.

– Widzę, że coś was niepokoi – Wise obracał w palcach źle zatemperowany ołówek. – Jestem po to, aby wyjaśniać wątpliwości. Słucham, towarzysze.

– *Da, u min'a dwa waprośa!* [201] – Major Prochorenko przeglądał jedną z list. – Po pierwsze, czy decyzja o deportacji przyszła od naszego dowództwa, czy jest to wasza inicjatywa, towarzyszu Wise? Po drugie, kto znajduje się na tej liście? Czy są tu wyłącznie rodziny sprzyjające banderowcom z własnego przekonania, czy również takie, które do współpracy zmuszono terrorem?

Grymas niezadowolenia pojawił się na twarzy oficera NKWD. Spodziewał się pytań, które usprawnią deportację, a usłyszał takie, które poddają w wątpliwość słuszność jego działań. Nie lubił tego.

– Na liście są rodziny, które pomagają UPA – odpowiedział szorstkim głosem. – Nie wnikaliśmy w to, dlaczego to robią. To nie ma żadnego znaczenia. Od nich banderowcy otrzymują żywność, schronienie, informacje o ruchach naszych oddziałów. Czy to mało? – zachnął się. – Dla mnie nie ma

znaczenia, dlaczego to robią. Dzięki nim UPA rośnie w siłę i jest dla nas poważnym zagrożeniem. Mimo najlepszych chęci nie potrafię zrozumieć waszych wątpliwości, towarzysze! – złość oblała twarz majora kolorem purpury.

– Towarzyszu Wise – major Prochorenko stukał rytmicznie palcami o blat stołu. – Jestem żołnierzem przywykłym do walki z uzbrojonym wrogiem. Chyba niepotrzebnie to mówię, bo dobrze wiecie, jednak deportacja ludności cywilnej to nie jest walka. Można powiedzieć, że to sprawa oficerskiego honoru. Wkraczamy do domów tam, gdzie nie ma mężczyzn, i od razu zakładamy, że są w banderowskich sotniach. Zabieramy ich rodziny. Oczywiście nikt z nich nie przyzna się do popierania banderowców i nie można wykluczyć, że w wielu przypadkach jest to prawda. Jednak my stosujemy odpowiedzialność zbiorową. Robimy to również wobec ludzi, których dotknął banderowski terror. Tak nie można, towarzyszu Wise. Chodzi mi o to, że jednak jest ważne, dlaczego ludzie wspierają UPA, a z tych list to nie wynika.

– Nie rozumiem was, towarzyszu dowódco! – w głosie majora Wise zabrzmiały gniew i dezaprobata. – Przemoc musi rodzić przemoc, a terror musi rodzić terror! Przy czym nasz terror musi być bardziej dotkliwy niż terror banderowców! Ludzie bardziej muszą się bać nas niż ich! Nie rozumiem też, skąd u was takie filozoficzne myślenie. Jest wojna. Nie ma miejsca i czasu na litość, współczucie i rozterki, czy to własna wola, czy przymus. Żołnierski honor? Naprawdę nie wiem, o czym wy mówicie. To ojcowie, mężowie, synowie i bracia są odpowiedzialni za los swoich najbliższych! To oni, wstępując do UPA, musieli liczyć się z przegraną i z naszymi represjami! To do nich mogą mieć żal ci, których czeka Sybir! Te prawdy są tak oczywiste, że nie wiem, dlaczego muszę o nich przypominać!

Wise wyszedł z kantyny już po kwadransie. – Codziennie dają to samo – mruzczał niezadowolony. Do spotkania z majorem Prochorenko zostało jeszcze pół godziny, które postanowił wykorzystać na spacer po mieście. Krążył wyboistymi uliczkami, których od lat nikt nie naprawiał, to zbliżając się do rynku, to się od niego oddalając. Od kiedy ponownie znalazł się w Kutach, był w tym miejscu tylko jeden raz. Postanowił wtedy, że nigdy tutaj nie wróci. Obraz wypalonych i milczących kamienic wstrząsnął nim do głębi.

Pamiętał, że zawsze tętniły życiem. W kwietniu zajęli Kutę i wzięli do niewoli niemieckiego oficera. Podczas przesłuchania powiedział on o losie, jaki spotkał mieszkających tutaj Żydów. Major Wise starał się ten obraz wymazać ze swojej pamięci.

Minął odrapany budynek i wszedł w ulicę prowadzącą z powrotem do koszar. W niewielkiej odległości przed sobą zauważył kilka stojących osób, które o czymś głośno rozmawiały. Szedł w ich stronę bez zbytniego zaciekawienia, ale nagle stanął jak wryty. Wśród rozmawiających była dziewczyna o długich, czarnych i kręconych włosach. Stała odwrócona tyłem i nie mógł zobaczyć jej twarzy, ale te włosy pamiętał doskonale.

Nie wiedział, co ma zrobić. Kiedy jednak dziewczyna zaczęła iść w stronę koszar, także ruszył w tym kierunku. Szedł szybko, coraz szybciej i wkrótce znalazł się tuż za nią.

– Miriam! – zawołał głosem, który jemu samemu wydał się nienaturalny. Odwróciła się zaskoczona. – Przepraszam – próbował się uśmiechnąć. – Bardzo panią przepraszam. Pomyliłem się.

Berezka

Niedzielny poranek 1 października 1944 był chłodny i ponury. Wisząca nisko mgła pokrywała szronem kępy trawy w osłoniętych od wiatru wąwozach i parowach. Górską dolinę wypełniały dymy unoszące się pionowo z coraz większej liczby kominów. W powietrzu czuć było charakterystyczną woń palonego drewna. Berezka budziła się ze snu.

Iryna Krasiuk niosła do domu świerkowe polana. Witalij wynosił obornik spod ich jedynej krowy. Chociaż nie spali już od godziny, to dzisiaj nie zamienili ze sobą ani jednego słowa. Bo co też mogli sobie powiedzieć? Ich życie dawno straciło sens.

Zawsze byli biedni, przed wojną też, ale wtedy żyli nadzieją, że jeżeli nie ich, to przynajmniej Iwana i Galinę czeka lepsza przyszłość. Wojna zmieniła wszystko. Dla nich sprawcą największych upokorzeń i największego nieszczęścia był Roman Dywczuk. To on zabił ich wnuczkę Ołenę. Miała już półtora roku i chociaż była nieślubnym, to bardzo kochanym dzieckiem Galiny. Grzegorza Jakubowskiego, ojca Ołenki, nawet polubili, zwłaszcza że wydziedziczony przez matkę, nie wyparł się związku z ich córką i pomagał na miarę swoich możliwości.

Krasiukowie dobrze pamiętali ten kwietniowy wieczór. Oni jedli kolację, a Galina śpiewała kołysanki, próbując uśpić dziecko.

*Stoit chatka mow pałatka, sołomiana stricha,
Prycziloczki u kietyciach, malowani wikna.
Żowta pryspa koło chaty, a chata bileńka,
Na podwiriu, mow barwinok, trawa zeleneńka.
I sadoczok jak winoczok chatku ukwiczczaje,
U wikonce z neba sonce w chatku zahladaje.
Tut harneńko ta czysteńko, tut use w poriadku
Oj, liubliu ja ciłym sercem swoju ridnu chatku [202].*

*Oj, chodyt son koło wikon, a drimota koło płota,
Pytajetsia son drimoty: de my budem noczuwaty?
Tam, de chatynka bileńka, tam, de detynka mileńka,
Tam my budem noczuwaty, małe dytia prysypiaty [203].*

Ołenka już zasypiała, kiedy sześciu mężczyzn weszło do ich domu.

Przewodził im Roman Dywczuk, człowiek z blizną na twarzy. Banderowcy stanęli przy drzwiach i w milczeniu czekali na rozkazy dowódcy. Dywczuk podszedł do Galiny.

– *Daj meni dytynu!* [204] – powiedział i wyciągnął ręce.

– *Szczo chcesz zrobity z Olenkoju?* [205] – kobieta, płacząc, przyciskała dziecko do piersi.

– Twoja córka jest polskim bękartem – płacz Galiny nie zrobił na Dywczuku najmniejszego wrażenia – a ukraińska dziewczyna musi urodzić ukraińskie dziecko. Ty je urodzisz, tego możesz być pewna. Nie ociągaj się, to nic nie da.

W jego głosie było coś tak uspokajającego, że Galina bez słowa oddała Olenę, a on przekazał ją jednemu z banderowców.

– Idziemy – wziął ją pod rękę i skinieniem głowy wskazał drzwi pokoju.

Iryna z przerażeniem przyglądała się mężczyźnie trzymającemu Olenkę. Zobaczyła jednak, że robi to we właściwy sposób i uspokoiła się. Starła nie myśleć o tym, co dzieje się z jej córką za zamkniętymi drzwiami pokoju.

Witalijowi i Irynie wydawało się, że czas płynie wolniej niż zwykle. Nie wiedzieli, ile go upłynęło, kiedy w drzwiach stanął Dywczuk. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji, a przez uchylone drzwi widzieli półnagą córkę, która płakała kurczowo, ściskając prześcieradło.

Dywczuk gestem dłoni przywołał mężczyznę trzymającego dziecko. Ujął dziewczynkę pod rączki i kilka razy podniósł do sufitu. Markotna dotąd Olenka uśmiechnęła się. Najwyraźniej ta zabawa bardzo się jej spodobała. Dywczuk wyprostował ramiona tak, że główka dziewczynki dotykała sufitu.

– Jesteś ładna – mówił, a głos miał łagodny – bardzo ładna, ale jesteś polskim bękartem. Nie ma dla ciebie miejsca w samostijnej Ukrainie. Rozumiesz?

Nim ktokolwiek pomyślał, do czego zmierza, z całej siły swoich potężnych ramion cisnął dziecko o podłogę. Nie krzyknęło, nie zapłakało. Ksiądz Martynuk pochował je nazajutrz na cerkiewnym cmentarzu.

Od śmierci Olenki minęło już pół roku, a oni nadal nie mogą uwierzyć w to, co się wtedy stało. Krwawią matczyne i ojcowskie serca, kiedy czas

pozwała na rozmyślania, a wzrok zatrzymuje się na coraz większym brzuchu Galiny. Buntują się ich dusze, no bo jak to być może, aby zabójca jednego dziecka był ojcem drugiego? To już tylko cztery miesiące. Nie, oni tego dziecka nie będą kochali!

Po śmierci Ołenki Galina płakała każdego dnia. Chodziła bez celu po wiosce, szła na wysokie połoniny, błędziła po lesie. Ludzie omijali ją z daleka, ale też przestali wyzywać od dziwek.

Witalij usiadł ciężko na drewnianej ławie. Ledwie trzy tygodnie temu pochowali Iwana, powieszzonego przez Dywczuka w szkole na zboczu Spensowej Góry.

– Iwan taki dobry był, taki delikatny – mówił półgłosem do żony. – Skąd tyle zła w tym człowieku jest?

Iryna usiadła obok męża. Martwiła się o córkę, której od wczorajszego popołudnia nie było w domu. Galina wyszła niezauważona i dotąd się nie pokazała. Szukali jej z Witalijem przez cały wieczór, ale góry, las i ciemność sprzysięgły się przeciwko nim. Teraz siedzieli obok siebie i milczeli.

Nagle poranną ciszę zburzył dziwny hałas, odbity od górskich szczytów. Stawał się coraz wyraźniejszy i dochodził od strony Kut. Po kilku minutach zza zakrętu wyłoniła się wojskowa ciężarówka, a za nią kolejne. Było ich kilkanaście i wszystkie jechały w stronę Berezki.

– Znowu akcja przeciw partyzantom – Witalij wbił w ziemię widły. – No i dobrze, niech to się wreszcie skończy. Niech Polacy albo Rusczy przyjdą, wszystko jedno kto, byle tylko spokój nastał.

Kilka samochodów zatrzymało się na skraju wsi. Kilkudziesięciu żołnierzy zeskoczyło na drogę i znikło wśród zalesionych pagórków. Reszta kolumny wjechała do Berezki.

Dom Krasiuków był czwartym z kolei i samochody jeden po drugim, kołyszac się na wyboistej drodze, przejeżdżały obok niego. Ostatni zatrzymał się. Przez otwartą burtę zeskoczyło kilku żołnierzy i otoczyło zagrodę. Z szoferki wysiadł szczupły mężczyzna w stopniu lejtnanta. Chwilę się rozglądał, a kiedy zobaczył gospodarzy podszedł do nich. W ręku trzymał kartkę papieru.

– *Waszy familiji?* [206] – zapytał krótko.

– Krasiuk, panie. Ja jestem Witalij Krasiuk, a to żona moja Iryna.

– Z wami mieszka jeszcze córka Galina – palcem wskazywał coś na kartce. – Gdzie ona?

– Nie wiemy, panie – głos Krasiuka drżał ze strachu. – Wczoraj z domu wyszła i nie wróciła.

– Dla wszystkich będzie lepiej, żeby wasza córka się znalazła! – lejtnant zmierzył Krasiuków obojętnym wzrokiem i zaczął czytać:

– *Za czynne popieranie Ukraińskiej Powstańczej Armii zarządza się przymusowe wysiedlenie Witalija Krasiuka, Iryny Krasiuk i Galiny Krasiuk. Wymienieni obywatele zostaną przewiezieni do Zablótowa i przekazani tamtejszemu NKWD. Rozkaz wydał i podpisał Izaak Wise. Możecie zabrać tyle, ile potraficie unieść – złożył kartkę. – Na spakowanie macie godzinę!*

Dwóch enkawudzistów usiadło na ławie przed domem, a lejtnant poszedł w stronę sąsiedniej zagrody.

Witalij z żoną upychali w kuferku różne rzeczy i wkrótce w zaczęło brakować miejsca.

– Łyżnik, jeszcze łyżnik zabrać musimy! – tego Iryna była pewna.

Słońce pokazało się już nad grzbietem Hłyniany, kiedy wąską ścieżką, pnącą się stromo w górę, z największym trudem biegła dziewczyna. Zdyszana wpadła do zagrody Krasiuków i nie zważając na siedzących enkawudzistów, zaczęła walić pięściami w drewniane okiennice.

– *Widczyn 'ajte, szwydko widczyn 'ajte!* [207] – krzyczała.

Żołnierze zerwali się z ławy i doskoczyli do dziewczyny. Chwycili ją za ręce i wykręcili je do tyłu.

– Czego się drzesz, głupia? – starali się ją uciszyć. – No czego się drzesz?

Witalij i Iryna stanęli w drzwiach domu.

– Niestety! – dziewczyna usiłowała się wyrwać trzymającym ją enkawudzistom. – Stało się wielkie nieszczęście! Ludzie z Czeremoszu Galinę wyłowili!

W tej samej chwili ze wzgórz otaczających dolinę rozległy się serie wystrzałów z karabinów maszynowych. Rozproszeni żołnierze wpadli w

zasadkę Ukraińskiej Powstańczej Armii.

Kuty

Pełna tytoniowego dymu i gwaru szkolna izba, pełniąca funkcję kantyny, pozwalała żołnierzom kuckiego garnizonu na krótko zapomnieć o wojnie. Przychodzili tutaj i oficerowie, i zwykli żołnierze. Czasem coś kupowali, czasem nie, zawsze jednak gapili się na wielkie piersi bufetowej Maruszy, ledwie skrywane pod obcisłą bluzką z dużym dekoltem. Nie kryli zadowolenia, kiedy ta niemłoda już kobieta przynosiła piwo i pochylała się, aby przetrzeć blat stołu. Nie przeszkadzało im, że twarz barmanki przypominała raczej oblicze bajkowego krasnala z dużym czerwonym nosem niż delikatne kobiece rysy. Jeszcze dwa miesiące temu pomagała jej dziewczyna z Rybak, której uroda była przeciwieństwem wyglądu Maruszy. Drobną postać i delikatne rysy zawsze poważnej twarzy sprawiały, że tamta była bardziej podobna do dziecka niż do dorosłej kobiety. Oddział pograniczników odnalazł jej ciało w przydrożnym rowie pomiędzy Kutami i Rybakami. To oddział Dywczuka wykonał wyrok za pracę dla Rosjan.

Przy stoliku w rogu kantyny siedzieli Izaak Wise i Michał Jakubowski. Dawnych przyjaciół dzielił dystans służbowych zależności, jednak dzisiaj skracał się on w miarę wznoszenia kolejnych toastów. W końcu mówili sobie po imieniu, tak jak wtedy, kiedy jako chłopcy buszowali w zaroślach nad Czeremoszem.

– Zawałeś sprawę! – Jakubowski obracał w dłoniach pustą szklankę. – Jak mogłeś wysłać w góry młodych i niedoświadczonych żołnierzy? Zasadzka banderowców tak ich przeraziła, że zostawili broń, radiostację i uciekli. Nie dość, że część zginęła, że wielu zostało rannych, to jeszcze resztę postawiono przed sądem, a ty przygotowałeś akt oskarżenia! Jak mogłeś?

Izaak siedział bez ruchu i z posępną miną przyglądał się pustej szklance.

– Nie masz prawa tak mówić – jego pełen nostalgii głos ugrzązł w panującym gwarze. – Ty nie wiesz, co to znaczy być Żydem. Nas zawsze można było znieważać, okradać, poniżać i mordować. Można to było robić bezkarnie. Wszyscy uważali nas za gorszy gatunek ludzi. Można było gwałcić nasze córki, żony i matki – Wise przyglądał się Jakubowskiemu tak, jakby to on był za wszystko odpowiedzialny. – My nie mamy przyjaciół ani wśród Ukraińców, ani wśród Polaków. Są Ukraińcy, co chronią Polaków przed banderowcami, ale Żydów nie ratuje nikt. Ciebie Ukraińcy może i

lubią, ale kto lubi takiego parszywego Żyda jak ja? Nikt, zwyczajnie nikt! Powiedz mi, dlaczego tak się dzieje?

Jakubowski milczał. Sam wiele razy zastanawiał się nad tym, dlaczego tak było. Zwykle dochodził do wniosku, że to odrębność kulturowa Żydów, ich przywiązanie do własnych obyczajów, ale też czasem drobne handlowe oszustwa były tego głównymi powodami.

– Trochę racji masz – powiedział, wpatrując się w blat stołu – ale tylko trochę. – Trzy lata temu przyszli tutaj Niemcy i niektórzy Żydzi próbowali uciekać do Rumunii. Musieli przechodzić przez Czeremosz i właśnie wtedy wielu Ukraińców było ich przewodnikami. Ryzykowali życie, a kilku z nich rzeczywiście zginęło.

– Ukraińcy byli biedni, a Żydzi mieli pieniądze – na twarzy Izaaka pojawił się uśmiech pobłażania. – I to jest cała tajemnica ich szlachetności.

– Mylisz się, Izaak! Nie wszyscy z was mieli pieniądze. Wielu Żydów było tak samo biednych jak Ukraińcy czy Polacy. Poza tym przypomnij sobie, kogo w 1940 i w 1941 roku Rosjanie wywozili na Sybir. A Niemcy mordowali nie tylko was, ale i Polaków. Zresztą nie mówmy już o tym, kogo bardziej dotknęła ta wojna.

Jakubowski próbował skierować rozmowę na inny temat. Chciał się dowiedzieć, w jaki sposób jego dawny przyjaciel zamierza walczyć z banderowcami. Jednak dzisiaj major Wise był w podłym nastroju. Ostatnia przegrana potyczka z UPA, której gorycz topił w wódce, jeszcze bardziej potęgowała jego frustrację. Przywoływał w pamięci zdarzenia, które rozegrały się w Kutach po czerwcu 1941 roku.

– Posłuchaj mnie, przyjacielu – powiedział, ruchem ręki przywołując Maruszę. Podeszła z butelką wódki. – W kwietniu nasze oddziały zajęły Kutę. Aresztowałem wtedy kapitana Hansa Krügera z jakiegoś szwabskiego batalionu policji. Moi ludzie wzięli go na przesłuchanie, a szwabisko tak się wystraszyło, że odpowiadało na wszystkie pytania. Z tych przesłuchań sporządzano raporty, które trafiały do mnie – Izaak rozlał wódkę i jedną ze szklanek postawił przed Jakubowskim. – Raporty były tak ciekawe, że wkrótce sam zacząłem brać udział w przesłuchaniach. Wypijmy – podniósł szklankę. – Łatwiej będzie mi mówić. Przed wojną ciężko się żyło – wytarł usta rękawem. – Ojciec mówił, że wszystkie polskie rządy, te lewicowe i

prawicowe, prześladowały Żydów. Trwało to kilka lat, a zmieniło się dopiero po przewrocie majowym. Marszałek Piłsudski sprzeciwił się polskiemu nacjonalizmowi i poprzez żydowskie organizacje społeczne, uznawane przez jego wojskowy rząd, zaczęły płynąć pieniądze także dla nas. Jednak po śmierci Marszałka wszystko wróciło do normy. Nawet wasz katolicki kardynał Hlond w swoim liście duszpasterskim ostrzegał, że Żydzi walczą przeciw kościołowi katolickiemu, że są awangardą ateizmu, bolszewizmu, rewolucji i zalecał bojkotowanie żydowskich sklepów i stoisk na targach.

– Nieprawda! – Jakubowski zaprotestował. – Znam ten list. Ksiądz Szmaliński czytał go w Rybakach. Kardynał Hlond nie potępiał wszystkich Żydów, a tylko tych, którzy byli komunistami. W tej sprawie zgadzam się z kardynałem.

– Drogi Michale – grymas uśmiechu pojawił się przez chwilę na twarzy majora Wise. – Polska jest takim krajem, w którym potępia się Żydów komunistów i Żydów kapitalistów. Dyskryminuje się nawet Żydów ortodoksyjnych, którzy odcinają się od wszystkiego, co nowe i zamykają w świecie religijnych wierzeń, zasad i nakazów. Polska to antysemitowski kraj, a Polacy zawsze mydlili oczy, mówiąc o złych i dobrych Żydach. Tak naprawdę nie było takich Żydów, którzy nie zaznali waszych szykan. Wiesz co? – położył dłoń na ramieniu Jakubowskiego. – Nie zrozum mnie źle, ale z Niemcami sprawa była dużo prostsza. Dla nich dobrym Żydem był zawsze martwy Żyd. Mój ojciec był ortodoksyjnym Żydem. Był wierny tradycyjnej religijności, nie popierał ruchów syjonistycznych ani komunistycznych. W Kutach mieliśmy garbarnię, a kilka naszych pracowników należało do Partii Komunistycznej, którą wasze władze uznawały za nielegalną. Z tego powodu ojciec miał dużo nieprzyjemności. Nie powiem, cierpiał też z mojego powodu – w końcu byłem członkiem tej partii. Ojcu przez myśl nie przeszło, że jego religijność przyniesie mu śmierć, a mój komunizm uratuje mi życie – zgarnął ze stołu na podłogę okruchy chleba. – Po wybuchu wojny przestała istnieć władza państwowa i od razu uaktywniły się różne grupy Ukraińców, które zaczęły napadać na Żydów. Zostaliśmy zmuszeni do tworzenia oddziałów samoobrony i ja też należałem do takiego oddziału. Mieliśmy broń i chroniliśmy Żydów z Kut i okolicznych wsi. Jednak po wkroczeniu Rosjan musieliśmy zaprzestać działalności. Rosjanie mianowali radę miejską, do której w większości weszli żydowscy komuniści. Młodzi, najbardziej radykalni Żydzi wstąpili do milicji, ja zresztą też i wiesz co? – poklepał

Jakubowskiego po ramieniu. – Nikt mnie do tego nie zmuszał, zupełnie nikt. Chciałem służyć władzy radzieckiej najlepiej, jak umiałem. Nie straciłem entuzjazmu nawet wtedy, gdy Rosjanie znacjonalizowali wszystkie młyny, garbarnie, sklepy i sami decydowali, gdzie mamy mieszkać, gdzie możemy jeździć i co mamy robić. Daj ognia – pochylił się w stronę szeregowca siedzącego przy sąsiednim stoliku. Zaciągnął się głęboko, wypuszczając regularne pierścienie dymu. Niedzielę 22 czerwca 1941 roku pamiętam bardzo dobrze – strzepnął popiół na podłogę. – Był wczesny poranek, kiedy zadzwonili ze Staniaszawowa, że jest wojna i w koszarach wybuchła panika. Rosjanie uciekali w popłochu, a oddział milicji, w którym służyłem, dołączył do nich. Musisz wiedzieć – poprawił podwinęty rękaw wojskowej bluzy – że z Rosjanami miałem dobre stosunki. Tak dobre, że udało mi się załatwić miejsce dla rodziców i dziadka, ale nie skorzystali z tego. Nie chcieli wyjechać z Kut – zamyślił się, wpatrując w pustą szklanę. – Co robiłem w Związku Radzieckim, to oddzielna sprawa, o której nie chcę mówić. No i znowu jestem tutaj, ale to jest już zupełnie inne miejsce, Michale. Dla mnie, chociaż miasteczko jest przeludnione, to puste miejsce. Nie ma synagogi, nie ma naszych kamienic, są tylko ich wypalone ruiny – zacisnął zęby. – Na początku lipca 1941 roku Kut zostały zajęte przez wojska rumuńskie i węgierskie. Sojusznicy Niemców, job ich mać, Rumuni, byli wobec nas brutalni, ale na szczęście szybko wyszli z Kut i do końca sierpnia w miasteczku zostali tylko Węgrzy. Już wtedy było tutaj wielu żydowskich uciekinierów.

Niemcy przyszli we wrześniu. Od razu zaczęli konfiskować żydowskie mienie, zmuszając nas do pracy na terenie miasta i zabraniając opuszczania go. Każdy Żyd musiał nosić na ramieniu białą opaskę z niebieską gwiazdą Dawida. W końcu przyszła mroźna zima. Wszyscy cierpieli z głodu, wielu chorowało na tyfus i umierało. Niektórzy Żydzi chodzili nocami do pobliskich wsi i próbowali ukraść coś do jedzenia. Jednym się udawało, innych Ukraińcy zabijali na miejscu albo wydawani Niemcom. Wiosną 1942 roku zaczęły nadchodzić wiadomości o mordowaniu Żydów w innych miejscowościach. Było oczywiste, że to samo stanie się tutaj. Niektórzy Żydzi zaczęli budować schrony w samych Kutach i w okolicznych lasach. Co to jednak było za budowanie? – Izaak uśmiechnął się. – Jaka to była konspiracja? Żadna! Masz rację, niektórzy rzeczywiście uciekali do Rumunii, ale udało się tylko nielicznym! Uciekinierów wyłapywali ukraińscy chłopcy i oddawali Niemcom.

Nie znam ani jednego Żyda, któremu pomógł ukraiński chłop! Polacy pomagali, Ormianie też, ale Ukraińcy w żadnym wypadku! Ostatniego dnia Paschy, w piątek 10 kwietnia 1942 roku, przyjechała z Kołomyji kolumna ciężarówek, przywożąc żołnierzy z Einsatzgruppe D i oddział Policji Bezpieczeństwa. Po wjechaniu do miasta Niemcy zaczęli strzelać do Żydów stojących przy drodze. Inni Żydzi, widząc to, ukryli się w piwnicach swoich domów. Wtedy z pomocą Niemcom przyszła ukraińska policja. Razem przeszukiwali domy, ale niewielu Żydów znaleźli. No i zaczęli domy podpalać, zmuszając ukrywających się Żydów do ucieczki. Ci, którym udało się wydostać, byli wrzucani w płomienie, innych rozstrzeliwali albo zabijali drewnianymi drągami. W tym dniu zginęło prawie tysiąc Żydów. Część z nich pochowano na miejskim cmentarzu, a reszta została w ruinach spalonych domów. Dwa tygodnie później przeprowadzono kolejną selekcję. Wszystkich, którzy nie mieli dokumentów potwierdzających, że są potrzebni do pracy w Kutach, odesłano do getta w Kołomyi. Wielu Żydów tak bało się tego, co ich czeka, że popełniło samobójstwo.

W końcu przyszedł 8 września 1942 roku – Wise zacisnął usta i splótł palce obu dłoni. – Niemcy spędzili do rynku wszystkich pozostałych przy życiu Żydów i pognali ich pieszo do Kołomyi. Osiemset osób było w tej kolumnie. Po drodze dołączono do nich Żydów z Kosowa.

Z Kut do Kołomyi jest pięćdziesiąt kilometrów. Niemiecko-ukraińska eskorta zmieniała się, ale Żydom nie pozwalano na odpoczynek. Starszych, chorych i wycieńczonych, którzy nie nadążali za innymi, dobijano kolbami lub strzałami w głowę. W Kołomyi trzymano ich całą noc w więzieniu, wraz z Żydami z Horodenki, Zabłotowa i Śniatynia. Nazajutrz, a był to upalny dzień, podstawiono pociąg towarowy. Miał trzydzieści wagonów. Do każdego upchnięto po dwieście osób. Stali obok siebie głodni, spragnieni i wycieńczeni. Było tak ciasno, że nikt nie mógł się ruszyć. Słyszeć było tylko płacz, modlitwy i przekleństwa.

Po krótkim postoju we Lwowie pociąg pojechał do podmiejskiej stacji Kleparów, gdzie z dziewięciu wagonów wyładowano ludzi do obozu pracy w Janowie. We Lwowie Niemcy zmienili lokomotywę. Była stara i ciągle się psuła, ale dla Żydów na szczęście. Podczas przymusowych postojów przeciskali się przez dziury w ścianach i dachach wagonów, które wcześniej zrobili i próbowali uciekać. Do tych, którym się to udało, strzelali policjanci z eskorty transportu. Tych, których złapano, zabijano bagnietami – Wise

przerwał.

Przetarł rękawem zaparowane okno, próbując odgadnąć przyczynę krzyków i bieganiny na szkolnym podwórzu, pełniącym funkcję placu manewrowego.

– Był upał – powrócił do przerwanej opowieści. – W przeładowanych wagonach ci, którzy umarli, stali wśród żyjących. Wszędzie unosił się smród gówna, moczu i martwych ciał. Dobę to trwało, zanim wieczorem dotarli do Bełżca. Kiedy pociąg rozładowano, znaleziono dwa tysiące martwych ciał. Tych, którzy przeżyli, poprowadzono do obozu. Na bramie zobaczyli napis: „Wejście do państwa żydowskiego”. Drzwi komory gazowej były owinięte zasłonami z synagogi, na których po hebrajsku było napisane: „To jest brama Boga i wszyscy porządni religijni ludzie powinni przejść przez tę bramę” – Wise zamilkł i rozgniał w palcach niedopałek papierosa. Tytoń posypał się na stół. – Wszyscy musieli rozebrać się do naga. Niektórzy mieli jeszcze nadzieję, że uda się ocalić życie, więc słuchali rozkazów idąc do komory bez protestów, jednak trupi fetor wyczuwany był na każdym kroku i większość wiedziała, co ją czeka. Niektórzy stawali i próbowali zawracać. Tych esesmani bili batami. Przerazone matki tuliły dzieci do piersi. Upychano ich po kilkuset w dużych komorach i wpuszczano gaz. Myślisz, że śmierć przychodziła od razu? Niektórzy umierali dopiero po półgodzinie. To wszystko wiem od Hansa Krügera.

Przy stoliku zapanowało milczenie. Tylko gwar rozmów, gęsty tytoniowy dym i bufetowa Marusza przypominały, że znajdują się w kantynie.

– Ja musiałem to z siebie wyrzucić! – Izaak położył dłoń na ramieniu Jakubowskiego. – Dobrze, że chciałeś mnie wysłuchać. Nie wiem, co stało się z moją rodziną, ale może to i lepiej – zamilkł.

Jakubowski wahał się. Wiedział dużo, właściwie wszystko na ten temat, jednak nie miał pewności, czy teraz jest właściwy moment, aby o tym powiedzieć. W końcu jednak się przemógł.

– W moim oddziale służy Wasyl Kotenko – zaczął swoją opowieść. – Wasyl jest Ukraińcem, mieszka w Kutach. Powinieneś go znać jeszcze sprzed wojny. Mówił, że często przywoził skóry do waszej garbarni.

– Tak, znam go – major Wise przesunął dłoń wzdłuż krawędzi stołu. – W końcu to ja organizowałem twój oddział.

– Wasyl znał twoją rodzinę i wie, co się z nią stało. Kiedyś mówił mi o tym.

– Wiedziałeś o wszystkim i nic mi nie mówiłeś? – Izaak chwycił Jakubowskiego za poły wojskowej bluzy. Przewrócone szklanki rozbiły się na podłodze.

– Puść mnie, do jasnej cholery! Nie mówiłem, bo myślałem, że o wszystkim wiesz.

– Nie wiem! – grymas złości wykrzywił twarz majora Wise. – Słyszysz, nie wiem! W Kutach zostawiłem rodzinę, a w Kosowie... – zawahał się. – W Kosowie została Miriam. Mów, co się z nimi stało?

– To było w kwietniu – Jakubowski nie ociągał się z odpowiedzią. – Wasyl widział, jak do rynku wjechały niemieckie samochody. Żołnierze i policjanci rozbiegli się do żydowskich domów i wkrótce było słycać krzyki ludzi i pojedyncze wystrzały. Jeden z policjantów wyprowadził twojego ojca. Popychał go, szarpał i zapędził do parku. Tam powalił ojca uderzeniem kolby. Kiedy go kopnął, a ojciec nie zareagował, policjant uznał, że już nie żyje. Po południu akcja się skończyła i Niemcy powrócili do Kołomyi. Twój ojciec ciągle leżał w parku, ale przed wieczorem zaczął padać deszcz i Wasyl widział, że ojciec się poruszył. To samo zauważyła przechodząca Ukrainka. Kiedy przykrywała go chustą, podeszło do niej dwóch ukraińskich policjantów patrolujących Kutę. Jeden z nich uderzył kobietę w twarz. Krzyczał, że powinien ją zabić, bo Żydom pomaga, a drugi kolbą karabinu dobił twojego ojca. To był Roman Dywczuk. Wasyl nie wie, gdzie byli wtedy twój dziadek i matka. Jakoś przeżyli, bo widział ich wśród Żydów, których we wrześniu Niemcy gnali do Kołomyi.

– Jakoś przeżyli – Wise zacisnął usta. – Po co przeżyli? Żeby dłużej cierpieć?

– I co ci mogę powiedzieć? – Jakubowski siedział z opuszczoną głową. – Że masz rację? Wtedy we wrześniu wyszli z Kut wczesnym rankiem, ale stary Wise utykał. Chociaż twoja matka cały czas go podtrzymywała, to za Starymi Kutami już szli na końcu kolumny i niemiecki policjant nadzorujący marsz zastrzelił ich oboje.

Przerwał i dyskretnie obserwował Izaaka. Ten jednak milczał, a jego twarz nie zdradzała najmniejszych emocji.

– W Kosowie do kolumny dołączono tamtejszych Żydów. Wasyl mówił, że była wśród nich ładna dziewczyna o długich, czarnych włosach, która też opiekowała się starym Żydem. Słabego on był zdrowia, nie nadążał za kolumną i jeden z Niemców rozkazał ukraińskiemu policjantowi, aby ich zastrzelił. Policjantem był młody Mirko z Paliwki. Kolbą oddzielił oboje od kolumny i kazał się położyć na dnie przydrożnego rowu. „Starego Żyda muszę zabić” – powiedział, pochylając się nad dziewczyną – „ale ciebie mi szkoda! Leż do nocy, a później uciekaj”. Mirko strzelił dwa razy.

– To znaczy, że Miriam przeżyła? – Wise nagle się ożywił.

– Tak. Miriam wtedy nie zginęła.

– Skąd o tym wiesz? Też od Wasyla?

– Nie od Wasyla. Od Miriam.

– Jak to od Miriam?

– Dziewczyna leżała w rowie do wieczora. Wstała, kiedy zrobiło się ciemno. Dobrze знаła okolicę, ale uznała, że powrót do Kosowa oznacza śmierć. Postanowiła odejść od tego miasta jak najdalej. Poszła na wschód. Szła całą noc, a szczekanie psów pozwalało jej unikać ludzkich zagród. Świt zastał ją na polu wśród zagonów kartofli i kukurydzy. Położyła się na ziemi i usnęła. Obudziła ją rozmowa kobiety i mężczyzny. Oboje byli w średnim wieku i mówili po ukraińsku. „Dobrzy ludzie” – Miriam rozplakała się. „Nie mówcie nikomu, że tutaj jestem. Pójdę, jak robi się ciemno”. „Nie bój się – mężczyzna starał się ją uspokoić”. – Nie zrobimy tobie nic złego. My Ukraińcy z Rybak, Wartycze. Nie możesz iść z nami, ale wieczorem dobre ludzie tu przyjdą. Wiesz, kto przyszedł wieczorem? – Jakubowski zawiesił głos.

– Nie, nie wiem – Wise zachnął się. – Skąd mogę wiedzieć?

– Pawłyczkowie przyszli. Mirosław i Jewdokia, rodzice Stiepana. Pamiętasz go?

– Jasne.

– Miriam była u nich ponad rok. W piwnicy mieszkała. Widywałem ją często, bo rodzinę Pawłyczków znaliśmy dobrze. Przynosiłem jedzenie, rozmawialiśmy. Julia, moja żona, była nawet o nią zazdrosna. No cóż, może miała rację. Miriam była ładną dziewczyną.

– Jak to była? Dlaczego mówisz, że była?

– W marcu Niemcy wycofali się z Kut. Miriam nie posłuchała Pawłyczki i wyszła z ukrycia, a w południe odnalazł ją oddział Dywczuka.

– Co stało się z Miriam? Mów!

– Rozebrali ją do naga. Jeden z ludzi Dywczuka grał na organkach, a Miriam musiała tańczyć.

– Zabili ją?

Jakubowski kiwnął głową.

– A, no wiesz... – pytanie ugrzęzło w gardle Izaaka.

– Tak, wszyscy po kolei. Na końcu związali ją i wrzucili do studni w opuszczonej polskiej zagrodzie.

Przy stoliku zapanowała cisza. Wise patrzył tępym wzrokiem w kąt kantyny. W dłoniach trzymał pustą szklankę. Marusza postawiła butelkę wódki na sąsiednim stoliku. Ukradkiem spoglądała to na Izaaka, to na Jakubowskiego.

Z zadumy wyrwał Jakubowskiego chrzęst gniecionego szkła. Skrzywił się, kiedy zobaczył krew spływającą z rąk Izaaka na blat stołu i skapującą na podłogę.

– Zobaczycie, co to jest zemsta! – Wise mówił przez zaciśnięte zęby i nie wypuszczał zgniecionej szklanki. – Zobaczycie, co to jest cierpienie! Nie doczekacie tej swojej samostijnej Ukrainy! Ja, Izaak Wise, wam to obiecuję!

Rybaki

W domu Jakubowskich panowała atmosfera przygnębienia.

– Jak długo to jeszcze będzie trwać? – Maria spojrzała na Edwarda. – Niemcy wyszli, Ruskie przyszli, ale banderom to nie przeszkadza. Napadają, taj mordują, jakby Ruskich nie było.

– Widać jasno, duszko ty moja – Edward rozsupływał splątane frędzle obrusa – że Armia Czerwona nie radzi sobie. Oni silni są, to i banderów w końcu zduszą, tylko Bóg jeden wie kiedy. Chować się w oborze u Pawłyckzi nam dalej trza, a tyle szczęścia mamy, że to dobry człowiek.

– Na dworze ciemnica nastąpiła – Maria stanęła przy oknie. – Taj i pójdziem do Pawłyckzi.

– Bożeż ty mój, a to kto? – przeżegnała się, usłyszawszy głośnie pukanie.

– Bandery nie pukają – Edward podniósł się z krzesła. Nim stanął przed drzwiami, pukanie powtórzyło się z jeszcze większą natarczywością. – A tam kto? – zapytał groźnie.

– To ja. Grzegorz. Otwórz, dziadku!

Dał się słyszeć odgłos otwieranej zasuwki i po chwili do pokoju wszedł młody Jakubowski. Trzymał za rękę może dwunastoletniego chłopca.

– To Piotrek – mówił półgłosem. – Dzisiaj banderowcy wymordowali w Trójcy wszystkich Polaków. Tylko on uciekł.

– Chryste Panie! – Maria załamała ręce. – Przyjdą i do nas.

– Idziemy do Pawłycków, duszki wy moje. Troje nas, to i czwarty się zmieści – odezwał się Edward.

Kiedy leżeli pod krowimi żłobami, wystraszony Piotrek zaczął opowiadać o tym, co stało się w Trójcy, wsi koło Zabłotowa.

– To było po południu. Słońce stało jeszcze wysoko, a my bawiliśmy się w wojnę na wzgórzu. Nagle patrzymy, a tu banderowcy idą. Ze wszystkich stron szli i było ich bardzo dużo. Najpierw zaczęli mordować i palić na Petryłowie i Grabowcach, no tam, gdzie dziadek i babcia mieszkają. Polacy uciekali w stronę Prutu. Jedni wchodzili do rzeki, inni biegli po kładce – chłopiec rozplakał się. – Za Prut biegli, do Zabłotowa, tam wojsko ruskie

jest.

– Pst! – szept Edwarda uciszył Piotrka. Na podwórzu Pawłyczków ktoś rozmawiał półgłosem. – Nic więcej nie mów już, królu ty mój. Coś postanowić nam trzeba. Jak nie w Rybakach to samo, co w Trójcy będzie.

– Tylko co zrobić mozem? – Maria cicho płakała.

– Nie wiem, duszko ty moja, nie wiem.

Berezka

Olga i dziecko już spali, kiedy Mykoła wrócił do domu. Ukroił chleb i usiadł przy stole. Zachowywał się cicho, ale sen Olgi musiał być lekki. Stała w drzwiach prowadzących do kuchni i przeciągle, chociaż dyskretnie ziewała. Umyła twarz w zimnej wodzie i przysiadła się do męża.

– Zrobić ci kolację? – położyła głowę na jego ramieniu.

– Nie – spojrzał zdziwiony. – Nie trzeba, wszystko mam.

– Co dzisiaj robiłeś? – przylgnęła do jego ramienia.

– To co zwykle.

– Zostaw to wszystko i uciekajmy stąd. Wczoraj miałam zły sen.

– Ja tam w sny nie wierzę – wzruszył ramionami.

– Śniło mi się, że zbierałam jagody na Rabińcu. Miałam już pełne wiadro, kiedy jakiś szczenyk przewrócił je i jagody wysypały się na ziemię. Uklękałam, aby je pozbierać. Nagle zjawili się Kasia z Iwanem. Oboje mi pomagali, a później zniknęli. Rozglądałam się po lesie, ale nigdzie ich nie było. Kiedy chciałam wracać do domu, zobaczyłam, że wiadro też zniknęło. Wtedy ktoś położył rękę na moim ramieniu. Odwróciłam się i zamarłam! Za mną stał pop Atanasij! Pamiętasz? To on udzielał nam ślubu.

Mykoła skinął głową.

– Pop Atanasij trzymał wiadro pełne czerwonej kaliny i dziwnie się uśmiechał. „Bierz, dziecko, męża i uciekaj stąd jak najdalej” – powiedział i też zniknął.

– Naprawdę to wszystko tobie się śniło? – Mykoła przerwał kolację.

– Naprawdę – patrzyła mu prosto w oczy. – Boję się. Wyjedźmy stąd. Kasia, Iwan i pop Atanasij nie żyją. Ten sen był przestrogą.

– Najgorsze, że nie mamy jak i dokąd uciekać, kochana Olgo.

– Nigdy tak do mnie nie mówiłeś – dziewczyna uśmiechnęła się. – Ja wszystko przemyślałam – mocniej ścisnęła jego ramię. – W nocy przejdziemy Czeremosz i bukowińską stroną pójdziemy do Czerniowiec. Tam mieszka brat mojej *neni* [\[208\]](#), który na pewno nas przyjmie. Później, kiedy to wszystko się uspokoi, pomyślimy, co robić dalej. Co o tym myślisz?

- Porozmawiamy o tym za trzy dni, dobrze?
- Za trzy dni? Co będzie za trzy dni?
- Nie pytaj, nie mogę nic więcej powiedzieć.

Berezka, Paliwka

Oddział Jakubowskiego kolejny raz przemierzał górskie ścieżki i bezdroża. Rankiem byli u stanicznego Matwieja. Przyjął ich gościnnie, ale od razu zaznaczył, że jego magazyn jest pusty. Na drogę dał im tylko duży kawał wędzonego, solonego boczku. Niektórych istrebitieli głód przycisnął tak bardzo, że połowę boczku już zjedli. Teraz co chwila gaszą pragnienie wodą z górskiego strumienia.

Zagroda Bazarki była ostatnim miejscem, do którego zamierzali wstąpić przed powrotem do koszar. Chociaż gospodarz wyszedł na werandę i jak zwykle zapraszał do chaty, oni tym razem nie zamierzali z gościny skorzystać.

- Śpieszymy się – tłumaczył Jakubowski. – Dajcie tylko coś do picia.

Bazarko zamienił kilka słów z żoną. Kobieta kiwnęła głową i weszła do chaty.

– *To szczo, komandyre, czerez dwa dni nas czekaje spilna akcija!* [209] – zagadnął. – Mówcie, gdzie to będzie?

Jakubowski ledwie zdołał ukryć zaskoczenie i niepokój. Bazarko wiedział coś, o czym on nie miał najmniejszego pojęcia.

– Nie mogę! A wy to zasad konspiracji nie znacie? Nie rozumiecie, że chodzi o bezpieczeństwo i zaskoczenie? – improwizował.

- Tak tylko pytam. Jak konspiracja, to i wiedzieć nie muszę.

– To będzie duża akcja. Tyle mogę wam powiedzieć. A wy gdzie macie się stawić?

- Godzinę przed zmrokiem, za Kutami.

– To tam gdzie my – Jakubowski poklepał gospodarza po plecach. – Może się nawet spotkamy?

Kuty

Miriam przyszła niespodziewanie. Była w długiej czerwonej sukience, a we włosy miała wpiętą białą różę.

– Weź mnie za rękę – prosiła.

Szli w milczeniu wąskim płajem. W dole widzieli wijący się Czeremosz.

– Lubię do ciebie przychodzić – szeptała – ale twoja nadzieja właśnie umarła. Kiedy nadzieja umiera, ja powinnam odejść.

– Co to znaczy, Miriam? – zatrzymał się. – Przecież wiesz, że bardzo ciebie kocham.

– Czym jest miłość? – zapytała łagodnie, kładąc rękę na jego ramieniu.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Najpierw wyraźne, a później natarczywe. Zaspany Wise zerwał się na równe nogi. Otworzył drzwi, za którymi stał Jakubowski.

– Co to za sprawa, że budzicie mnie w środku nocy? – warknął. Spojrzał na zegar, który pokazywał dwadzieścia po pierwszej. – Szlag by was, Jakubowski, trafił! – zaczął się w pośpiechu ubierać.

– Przepraszam, towarzyszu dowódcu, ale właśnie wróciliśmy do koszar.

– Widzę, że do koszar, a nie na Księżyc. Czego chcecie?

– Pojutrze banderowcy szykują dużą akcję, chyba w Rybakach.

– Banderowcy ciągle coś szykują! Poza tym ta akcja, jak mówicie, ma być za dwa dni.

– Towarzyszu majorze, już minęła północ. To nie za dwa dni, ale jutro!

– Nie bądźcie tacy dokładni, Jakubowski! Jutro czy pojutrze, to nie ma znaczenia.

– Jak to nie ma, towarzyszu majorze? Przecież trzeba opracować plan, trzeba się zastanowić, jak zapobiec tej akcji, trzeba ostrzec ludzi, żeby nie nocowali w domach.

– O czym wy mówicie? – Wise usiadł przy biurku. – Przecież nikt z Polaków od dawna nie nocuje w swoim domu. Wiecie o tym bardzo dobrze i nie ostrzec, tylko uspokoić ich trzeba, że nic im nie grozi, powiedzieć, że

banderowcy zrezygnowali z akcji, no wiecie.

– Nie rozumiem, towarzyszu majorze.

– Niby bystry z was żołnierz, a nie pojmujecie najprostszych rzeczy. Naszym głównym celem jest zniszczenie banderowskich oddziałów operujących na tym terenie, a nie obrona ludności cywilnej. Zniszczenie banderowców będzie oznaczać bezpieczeństwo mieszkających tutaj Polaków, jasne?

– Nie, towarzyszu majorze!

– Bo strateg z was słaby! Czy wiecie, gdzie teraz są banderowcy?

– No, gdzieś w górach.

– Właśnie, gdzieś w górach! – Wise kopnął krzesło. Przekoziołkowało i zatrzymało się na kaflowym piecu. – Gdzieś w górach, czyli poza naszym zasięgiem. Góry są ich żywiołem. Tam nie mamy żadnych szans. Wasza informacja o tym, że planują akcję w Rybakach... – przerwał nagle w połowie zdania. – No właśnie. Skąd wiecie, że przygotowują napad na Rybaki?

– Jutro, godzinę przed zmrokiem chłopci mają zebrać się w łęgach nad Czeremoszem. To kilka kilometrów za Kutami. Najbliżej stamtąd są Rybaki.

– Nie macie pewności, że chodzi o Rybaki tylko się tego domyślacie?

– Tak, to są moje przypuszczenia. Nie mogłem zapytać wprost, rozumiecie towarzyszu majorze. Zresztą człowiek, od którego mamy tę wiadomość też pewnie nie wie. Banderowcy są ostrożni.

Wyjaśnienia Jakubowskiego uspokoiły majora Wise.

– To rzeczywiście cenna wiadomość – zapalił papierosa. – Niech wyjdą ze swoich kryjówek i odejdą jak najdalej od gór – zaciągnął się głęboko. – Nie możemy na nich czekać w Rybakach. Wywiad mają znakomity i zrezygnują. Pozwolimy im spokojnie zacząć akcję i dopiero wtedy uderzymy. Jasne?

Jakubowski oniemiał. Major Wise chciał świadomie dopuścić do mordowania ludności cywilnej, aby móc skuteczniej dobrać się do banderowców. To dlatego powiedział, że głównym celem nie jest obrona ludności polskiej, ale zniszczenie UPA. Dopiero teraz uświadomił sobie, że w planach majora Polacy mają być przynętą dla realizacji tego celu.

Rybaki

Późnym wieczorem Jakubowski dotarł do domu Wiktora i Lucyny Pakoszów.

– Jutro wieczorem banderowcy przyjdą do Rybak! – powiedział już w progu. – To pewna wiadomość. Zostawjajcie wszystko i uciekajcie do Kut. Ciebie i Natalkę zabieram jeszcze dzisiaj – pocałował Julię.

– Teraz, w nocy? – zdziwiła się.

– Tak, właśnie teraz. Jeśli banderowcy wiedzą, że służę w istrebitelnych batalionach, to wydali na mnie wyrok, a może i na was.

– Jezusie Chryste – Lucyna przeżegnała się. Patrzyła pytająco to na męża, to na Michała.

– Nam zastanowić się trzeba – Wiktor przygryzł wargę. – Do rana czas mamy.

– Nie ma się nad czym zastanawiać, trzeba uciekać – Michał zapinał bluzę, szykując się do wyjścia.

– A ty dokąd idziesz? – Julia przytrzymała go za rękaw.

– Dziadków, Grześka i Ankę ostrzec. Wrócę niedługo. Szykuj się do drogi.

Wrócił po kwadransie, kiedy Julia kończyła pakowanie. Z wypchanym plecakiem i dzieckiem na rękach o północy ruszyli do Kut.

Miasteczko tonęło w zupełnych ciemnościach i niemal po omacku dotarli do koszar.

– Stój! Kto idzie? – zatrzymał ich ostry głos wartownika.

– Jakubowski. Do majora Wise – odpowiedział.

W pokoju oficera NKWD paliło się mdłe światło. Major Wise poważnie potraktował otrzymany meldunek i dopracowywał szczegóły zasadzki na banderowców.

Jakubowski zapukał do drzwi. Uchyliły się po chwili z nieznośnym skrzypieniem. Wise stanął w progu ze zwichrzonymi włosami i rozpiętą koszulą.

– Co was o tej porze sprowadza? – przecierał przekrwione oczy.

– Towarzyszu majorze – Jakubowski stanął na baczność. – Przeprowadziłem żonę i dziecko. Niech towarzysz major pozwoli nam zostać do rana. Żona ma na imię Julia, a córeczka Natalka.

– Żonę i córkę, mówicie? Jesteście sami. Gdzie one są?

Jakubowski cofnął się, robiąc miejsce Julii. Nie zauważył zaskoczenia na twarzy Izaaka, kiedy w słabym świetle naftowej lampy stanęła dziewczyna o długich i kręconych, kruczoczarnych włosach.

Drewniany kościół został zbudowany w 1934 roku. Miał wysoką wieżę, pełniącą funkcję dzwonnicy, i dach kryty cynkową blachą. Każdą z bocznych ścian zdobiło troje półkolistych okien, a do głównych drzwi od strony gościńca prowadziły szerokie drewniane schody. To tutaj na niedzielnych mszach odprawianych przez księdza Szmalıńskiego z Kut spotykali się mieszkający w Rybakach Polacy. Obok kościoła znajdował się cmentarz. Był tak blisko domu Jakubowskich, że Maria często tam chodziła. Lubiła rozmawiać z tymi, których знаła, a którzy już umarli. Dzisiaj też była na cmentarzu. Właśnie wracała do domu, kiedy zobaczyła obcych mężczyzn stojących przy gościńcu. Byli wśród nich mieszkańcy wioski, ale większości jednak nie znała. Nie wiedziała, że polnymi ścieżkami od strony Kut i Kosowa podążały w stronę wsi inne grupy uzbrojone w noże i siekiery, a łągi nad Czeremoszem maskowały zbliżanie się oddziału Romana Dywczuka.

Dom Wandy Pytel stał samotnie przy drodze cerkiewnej. Po jej drugiej stronie zaczynały się nadrzeczne pastwiska i pastewniki. Wanda mieszkała z czwórką synów. Dni, chociaż pełne niepokoju, mijały szybko, bo pracy w gospodarstwie nie brakowało, ale prawdziwym koszmarem były długie jesienne wieczory i noce. Paraliżujący strach nie pozwalał zostać w domu, dlatego od kilku dni chodziła na noc do Pakoszków.

– Gdyby Józek był z nami... – często powtarzała. Zamknęła dom i z dziećmi ruszyła do wsi.

Dobrze pamiętała ten dzień, kiedy Niemcy wywozili Polaków na roboty do Rzeszy.

– Janek ma osiem lat, Tadzio pięć i tylko Władzio jest jeszcze mały – pocieszał ją, a ona, wtulona w jego ramiona, cicho płakała.

– Na pewno wrócę! – obiecał. – Ta wojna trwa już trzy lata i musi się kiedyś skończyć! Może u Niemców nie będzie tak źle? Może trafię do dobrych ludzi? Wiesz, Wandziu – przypomniała sobie słowa męża – żał mi tych świerkowych kłoców na dom. Niemcy zabrali wszystko, co przez lata udało się nam zgromadzić, ale jak wrócę, znowu będziemy z Grześkiem ściągali je znad Czeremoszu. Dom trzeba zbudować – przytulił ją. – Przecież mamy trzech synów.

– Może będziemy mieli czwartego? – objęła wtedy brzuch, którego nie potrafiła już ukryć ani spódnica, ani zapaska. – Wracaj do nas, Józku – prosiła. – Wracaj najszybciej, jak będziesz mógł.

Jednak od męża już od roku nie miała żadnej wiadomości.

– Boże drogi, a co ja mu powiem, kiedy znowu z Grześkiem będą ściągali świerkowe pnie znad Czeremoszu? – przypominała sobie noc, którą spędziła z Grzegorzem.

– Co mówisz, mamusiu? – Janek nie zrozumiał słów matki.

– Nie, nic takiego. Dzisiaj będziemy nocować u babci Lucyny i dziadka Wiktora. Będziecie bawić się z Antosiem i Olą.

– Mamo, nie chodźmy tam – chłopiec uczeplił się jej spódnicy. – Nie chodźmy tam, ja się boję.

– Czego się, Jasiu, boisz? – głaskała syna po głowie. – No powiedz: czego?

– Z dziadkiem Wiktorem mieszka wujek Michał, prawda, mamo?

– Prawda, Jasiu, prawda.

– Wujek Michał jest banderowcem. Ja i Tadzio widzieliśmy go, jak byliśmy u babci.

– Ty znowu swoje! – czule skarciła syna. – To niemożliwe, Jasiu. Dobrze znam wujka Michała.

– Ale my go widzieliśmy, mamo! Naprawdę go widzieliśmy! To było wtedy, kiedy zamordowali ciocię Kasię.

– Pytałam babcię. Mówiła, że nie widziała wtedy wujka Michała.

– Babcia była w kuchni. Tylko Tadzio i ja patrzyliśmy przez okno. Kiedy zobaczyliśmy banderowców i wujka Michała z nimi, szybko pobiegliśmy po babcię, ale zanim przyszła, oni byli już daleko.

Wanda milczała zakłopotana. Nie było tajemnicą, że Michał zniknął z domu, ale nikt z jego rodziny nie chciał na ten temat rozmawiać. Opowieść synów znała od dwóch miesięcy i w końcu sama nie wiedziała, co ma o tym sądzić.

Kuty

Major Wise przemierzał pokój wzdłuż i wszerz. Palił papierosa za papierosem, coś rysował, zapisywał, darł kartki i wrzucał je do pieca. Wiedział, że UPA zaatakuje Rybaki, ale nie miał pomysłu, jak banderowców zaskoczyć. Usiadł i kolejny raz przyglądał się mapie. Rozważał różne warianty i kolejno z nich rezygnował.

– Szlag by to trafił – uderzył pięścią w stół. – Wszystko im sprzyja.

W dodatku był niewyspany. Od kiedy poznał Julię, nawet na chwilę nie zmrużył oka.

Rybaki

Deszczowe chmury sprawiły, że zmrok nad Rybakami zapadł nadspodziewanie szybko. W domu Pawłyczków matka i córka siedziały przy stole i rozmawiały ze sobą szeptem.

– No gdzie ten tato poszedł? – pytała Oksana.

– Nie wiem, córeczko – Jewdokia zrobiła na piersiach znak krzyża.

– Czas już, żeby do domu wrócił. Obcych ludzi ja we wsi widziała. Noże i siekiery mieli.

Cicho zaskrzypiały otwierane drzwi.

– To chyba tatko – Oksana ożywiła się.

– Tak, to ja – Myrosław usiadł obok żony. – We wsi dwie sotnie są – odłamał kawał chleba. – Mówią, że Primaka i Dywczuka ludzie przyszli. Hucułów z gór zabrali i na rozkazy czekają.

– Hospody, pomyłuj! – Jewdokia objęła głowę rękoma. – Ostrzec sąsiadów musim.

– Musim – Pawłyczko zamyślił się. – Tak, musim, jednak nie my. Nam w izbie zostać trza. Oksana – ujął dłoń córki. – Ty do młodych Jakubowskich pójdziesz. Aby nie nocowali w oborze naszej, tylko w pole uciekali, im powiedz. No idź już.

Dziewczyna włożyła kieptar i bez słowa wyszła z izby.

– Kiedy to się skończy? – Jewdokia ciężko westchnęła.

– A kto to wiedzieć może? – Pawłyczko wytarł usta rękawem. – Ale Polakiem ja by teraz być nie chciał.

– A Ukraińcem, co ich chroni, jesteś. Przecie to na to samo wychodzi albo i jeszcze gorzej.

Z sieni dobiegł ich odgłos wycieranych butów, a po chwili drobna postać cicho wśliznęła się do izby.

– Nie bójcie się, to ja, Oksana – dziewczyna mówiła ściszym głosem.

– Dom Anki i Grześka jest zamknięty. Chyba gdzieś poszli.

– A Weronka? – Pawłyczko przypomniał sobie, że mają jeszcze jedną polską sąsiadkę. – Do niej leć szybko.

– Ależ tatko – Oksana rozłożyła ręce. – Ona nie może uciekać. Ona kaleka.

– Temu szybko do niej leć – pocałował córkę w czoło.

Weronika Pastusiak łuskała kukurydzę, a młoda Hucułka z Berezki zamiatała izbę.

– Uciekajcie, szybko uciekajcie! – Oksana wpadła, ledwie łapiąc oddech.
– Tatko mówił, że banderowcy przyszli. Uciekajcie!

Weronika odłożyła kukurydziany kaczan i przytuliła Oksanę.

– Dobre z ciebie dziecko – gładziła jej jasne włosy. – Jednak gdzie ja po nocy pójdę? Nogę chromą mam, to i nie ucieknę daleko. A zresztą – machnęła ręką – ja nikomu nic złego nie zrobiła, to i uciekać mnie nie trzeba.

Hucułka przestała zamiatać i zamieniła się w słuch.

– Hospody – przeżegnała się i podeszła do okna. – A to co?

Weronika i Oksana także odwróciły się w tę stronę. Przez uchylone okno dał się słyszeć odgłos szybkich kroków i po chwili do izby wbiegł Dywczuk.

Weronika знаła go od dziecka, teraz jednak patrzyła w jedno miejsce wzrokiem, który zdawał się nie dostrzegać nic innego. Patrzyła na ręce Dywczuka, w których w blasku naftowej lampy połyskiwał długi nóż.

– Romciu kochaniutki – uklękła przed nim. – Przez Przenajświętszą Panią ja ciebie proszę, ty mnie nie rznij, ty mnie zastrzel.

Dywczuk zawahał się, a w końcu machnął ręką i wsunął nóż za gruby skórzany pas. Chwilę mocował się z kaburą, ale w końcu ją otworzył. Strzelił dwa razy i wybiegł z chaty.

Dom Wiktora i Lucyny Pakoszów był pełen ludzi. Chociaż Michał zabrał do Kut Julię i Natalkę, to przecież została córka Jadwiga, synowa Ewa z wnuczkami Antosiem, Olą i Pauliną, a przed chwilą przyszła Wanda Pytel z Jankiem, Tadzkiem, Władkiem i Zygmuntem.

– Dobrze, że nas tak dużo jest – cieszyła się Lucyna. – Rażno nam będzie.

Wiktor palił w kaflowym piecu już od rana i przyjemne ciepło wypełniało

całą izbę. Dzieci bawiły się na podłodze, wrywając sobie pluszowego misia, którego przyniósł Tadzio. Dorośli siedzieli przy stole i półgłosem rozmawiali o Julii i Natalce.

– Wczoraj Michał był – Wiktor wycierał ręce. – Zostawić wszystko kazał i do Kut uciekać. Może by my go posłuchali, ale jak konia zostawić, także krowy, świnię i kury? Kto jeść im da, jak nas nie będzie? – zamyślił się. – A zresztą, czy my komu co złego zrobili, żeby nas mordować? Żadnego Ukraińca my nie skrzywdzili – rozłożył ręce i zastygł w tej pozie. Nasłuchiwał. Zza zamkniętych drzwi dobiegały jakieś głosy, a po chwili rozległo się głucho łomotanie.

– *Widczyn'ajte, pols'ki swyni! Widczyn'ajte, bo inaksze spalymo was żywcem!* [210]. Gruby świerkowy drąg wpadł z hukiem przez okno, rozpryskując szkło po całej podłodze. Krzyki banderowców zmieszały się z płaczem i krzykami dzieci i kobiet. Korzystając z zamieszania, siedząca obok pieca Jadwiga szybko wsunęła się pod łóżko i zastygła w bezruchu przytulona do ściany.

Kuty

Jakubowski od godziny nie opuszczał gabinetu majora Wise.

– Towarzyszu majorze, jedźmy już! – nalegał raz po raz. – Robi się ciemno. Nasze patrole donoszą, że banderowcy w grupach i pojedynczo ściągają ze wszystkich stron do Rybak. Moje przypuszczenia się potwierdzają – oni dzisiaj zaatakują wieś. Do Rybak jest osiem kilometrów. To daleko, towarzyszu majorze, jedźmy już!

Major Wise siedział z założonymi na karku rękoma i wpatrywał się w okno.

– Znowu się zapominacie, Jakubowski! Przygotujcie swoich ludzi i powiadomcie lejtnanta Stiepaszkin. Jego oddział za godzinę ma być gotowy do drogi, a wy, do jasnej cholery – uderzył pięścią w stół – czekajcie na dalsze rozkazy!

– Tak jest, towarzyszu majorze! – Jakubowski zasalutował i wybiegł z gabinetu. – Wszyscy do samochodu! – rozkazał jednemu z istrebilieli i pobiegł dalej. Stiepaszkiną znalazł bez trudu. – Towarzyszu lejtnancie! – meldował. – Major Wise dał rozkaz natychmiastowego wyjazdu do Rybak!

Starszy lejtnant Borys Stiepaszkin przybył do Kut trzy tygodnie temu i objął dowództwo plutonu po Witaliju Gawryłowie, który wyrokiem sądu wojennego został zdegradowany i wysłany do karnej kompanii. Nie wdrożył się jeszcze w wojskową dyscyplinę i zastanawiał się, czy rozkazu nie powinien otrzymać wprost od majora Wise, w końcu jednak wydał odpowiednie polecenia. Po kilku minutach trzy wojskowe samochody wyjechały z koszar w kierunku Rybak. Kiedy minęły ostatnie zabudowania miasteczka, niewidzialny horyzont ogarnęła żółtawa poświata. Po chwili żołnierze zobaczyli pojedynczy jęzor ognia.

Rybaki

Po zastrzeleniu Weroniki Pastusiak Dywczuk dołączył do oddziału.

– Idziemy do kościoła! – wydał krótki rozkaz. Ruszyli natychmiast i wkrótce stanęli przed wejściem. – *Wybyjcie dweri!* [211] – krzyknął. – A wy idźcie po słomę.

Trójka banderowców ochoczo zabrała się do pracy i głuche dudnienie roznosiło się po wsi. Dwóch innych wyciągało snopki słomy z pobliskiej stodoły.

Nie minął kwadrans, kiedy Dywczuk podpalał snopki złożone na schodach prowadzących na wieżę kościelnej dzwonnicy. – Pal się, ty polska oboro! – cedził przez zęby. – Już nigdy żaden Polak nie będzie tu przychodził.

Kościół szybko obejmowały płomienie, a oni wybiegli na zewnątrz.

– Teraz kolej na ciebie, panie Jakubowski – Dywczuk chichotał szyderczo. – *Oj, będziesz żałkuwaty, szczo ty maw dytynu z naszoju diwczynoju!* [212]

Przywołał oddział i poprowadził do zagrody Jakubowskich. Szli szybko i wkrótce znaleźli się na miejscu. Dom, w którym mieszkali Anna i Grzegorz, tonął w ciemnościach, a jego drzwi były zamknięte.

– Wybić okno! – rozkazał.

Weszli do środka, ale nikogo nie znaleźli.

– Zdążyli uciec! – Dywczuk był poirytowany. Po chwili jednak uśmiechnął się, kiedy na kościelnej wieży zobaczył pierwsze jęzory ognia.

Jeden z jego ludzi właśnie wrócił z rozpoznania.

– Jest u dziadków – meldował.

– Kto? – Dywczuk nie odrywał wzroku od płonącego kościoła.

– Jakubowski.

Po chwili byli już w zagrodzie Edwarda i Marii Jakubowskich. Dywczuk podzielił oddział na trzy grupy. Pierwsza pilnowała domu od strony drogi, druga od podwórza, a trzecia stanęła przy drzwiach. Wszystkie drogi ucieczki

zostały zamknięte.

W domu Jakubowskich trwały przygotowania do kolacji. Grzegorz stał przy oknie i wpatrywał się w gęsty mrok jesiennego wieczoru. Zaintrygowała go pulsująca jasność, której nie potrafił rozpoznać, i jakieś stłumione, chociaż wyraźne odgłosy. Odsunął firankę. Przyłożył twarz do szyby, a dłonie do skroni i coraz intensywniej wpatrywał się w ciemność. Nie mógł niczego zobaczyć, ale banderowcy pilnujący domu poczuli się niepewnie.

Maria położyła na stole bochen chleba, masło, śliwkowe powidła, bryndzę i gorące mleko. Ona i Edward mieszkali sami, ale dzisiaj przyszli do nich Anna i Grzegorz. Przyszli mimo usilnej prośby Michała, aby wieczorem uciekali jak najdalej od wioski.

– Niebezpiecznie jest – Edward patrzył w obraz Matki Boskiej wiszący na ścianie.

– Jedni wilkiem patrzą, inni przestraszeni są i spotykać się boją. Coraz więcej napadów jest. Tutaj żyć już nie można, ale gdzie uciekać?

– W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego – modlitwa Marii przerwała ciszę, jaka zapanowała po słowach Edwarda.

– Amen! – odpowiedzieli zgodnie.

Zmówili *Ojcze Nasz* i *Zdrowaś Mario*, prosząc Jezusa i Jego Matkę o opiekę.

– Nie, wierzę dziadku, żeby sąsiedzi mogli zrobić nam krzywdę – w głosie Anny pobrzmiwał ton nadziei.

– Widzisz, duszko ty moja – Edward nakładał powidła na posmarowany masłem chleb. – Do banderów nie wszyscy należą, a i bandery też sumienia mają. No, może się boją, kto ich tam wie, ale sąsiadów nie mordują. Nasze domy tylko pokazują – machnął ręką. – To niby rację masz, że krzywdy nam nie robią. Tylko czy to ważne, z czyjej ręki śmierć przychodzi?

Z korytarza dobiegły ich dziwne odgłosy.

– Sprawdź, co to było – Grzegorz podszedł do drzwi. W chwili, kiedy naciskał klamkę, ktoś pchnął je tak gwałtownie, że uderzony upadł na podłogę. Kiedy odzyskał przytomność, zobaczył trzech uzbrojonych w noże mężczyzn, a czwarty mierzył do niego z pistoletu. Dziadkowie i siostra

siedzieli na krzesłach, a dwóch banderowców wiązało ich wykręcone do tyłu ręce.

– *U was bude wyn'atkowa wystawa!* [213] – mężczyzna pistoletem wskazał Grzegorza. – Wszystkie zginiecie, ale wpierw napatrzeć się damy! Ot i wasz lubas, psia jego mać! Naszej dziewczki mu się zachciało – uderzył Jakubowskiego w twarz. – Bastriuka jej zrobił. – Ty oszczędzony będziesz – ruchem głowy wskazał Edwarda. – Ty nam pomagał, jeść dawał. Prosto ty nas szanował, a my pamięć mamy! Zaczynajcie – skinął na kompanów.

Dwaj banderowcy odwrócili Grzegorza twarzą do podłogi. Jego skrzyżowane na plecach ręce związali sznurkiem.

– Nu, wstawaj, ty polska świnió! – jeden z nich kopnął Grzegorza w krocze. Zaskowyczał, z trudem odwrócił się na bok i usiadł na podłodze. Barkiem i brodą oparł się o krzesło, które przechyliło się w jego stronę. Nie przewróciło się jednak, dzięki czemu mógł uklęknąć.

– Ot, Lachy! – banderowiec śmiał się. – Tak już będzie! Na kolanach, a głowa do ziemi. Ale wy nieprzywykli do tego. Wy nas, Ukraińców, do tego zmuszali!

Grzegorz podniósł się. Z rozciętej wargi spływała wąska struga krwi. Mężczyzna odłożył pistolet i mocnym szarpnięciem rozpiął koszulę Grzegorza. Próbował zdjąć ją z ramion, a kiedy zatrzymała się na związanych z tyłu rękach, rozciął rękawy.

– Ściągaj buty! – warknął. Związane ręce Grzegorza nie pozwalały wykonać jego rozkazu.

– A ty, Petro, to całkiem głupi jesteś! – Dywczuk stanął w progu. – Sam tego nie robi. Ją rozwiąż, niech ściągnie jak siostra bratu! – zaśmiał się szyderczo. – Ty Polaczkowi butów nie zdejmuj!

Petro uwolnił Annę. Trzęsącymi się rękoma rozwiązała sznurowadła i zsunęła buty z nóg Grzegorza.

– Spodnie jeszcze mu ściągnij!

Anna pokręciła głową.

– Ta kurwa jeszcze się stawia? – Dywczuk przygryzł wargę. – Rozebrać ją!

Dwaj banderowcy doskoczyli do dziewczyny.

– Zostaw mnie, ty świnio! – uderzyła w twarz jednego z nich i rozplakała się.

– Harda jest! – Roman uśmiechnął się. – Lubię takie. A wy to od bab gorsi! Do roboty!

Banderowcy wykręcili ręce dziewczyny.

– Po dobroci nie chciałaś – Dywczuk uderzył ją w twarz – to masz. Hardaś, ale żałować będziesz! – zdarł z niej bluzkę i spódnicę. – Ale teraz to chyba brata rozbierzesz? – zarechotał, kiedy została w samej bieliźnie.

– Nie skrzywdziłem Galiny – Grzegorz stał nagi i przestraszony. – Ja ją naprawdę kochałem.

– Prawdę mówi – Roman roześmiał się. – Takim kutasem krzywdy zrobić nie można. Dziwne, że bastriuka się dało.

– Ołenkę też kochałem! To wy zabiliście moje dziecko! To wy zaszczuliście Galinę. Wy, nie ja!

– Zamknij mordę, ty polska świnio! – Dywczuk ponownie kopnął go w krocze.

Egzekucja trwała godzinę. Banderowcy zdarli skórę z pleców, pośladków i ud Grzegorza, wyłamali nogi i ręce, ściągnęli paznokcie. Na koniec rozplatali głowę ciesielskim toporem.

– On gotowy – Dywczuk odchylił do tyłu głowę Anny. – Teraz ty. Rozwiążcie ją.

Nagle rozległy się pojedyncze wystrzały, a później krótkie serie z pepeszy. Zanim zdążyli się zorientować, co się dzieje, do izby wpadł zdyszany banderowiec.

– *Wtikajte, Rosijany pryjichaly!* [214] – krzyknął.

Kuty

– *Jewo zd'ot Wajennyj Sud! On bud'et rastriel'an ili pajd'ot na front!*
[215] – Wise szybkim krokiem przemierzał pokój od okna do drzwi. – Sam zabiję skurwiela! Jak można nie wykonać rozkazu oficera NKWD?

– Jak widać, można – major Prochorenko wydał usta. – To ewidentna niesubordynacja, która nie może wyjść na zewnątrz. Wyobrażacie sobie, towarzyszu majorze, co powiedzą w Stanisławowie, kiedy dowiedzą się, że w Kutach żołnierzom Armii Czerwonej wydaje rozkazy Polak, i to w dodatku cywil? Za to nas obu czeka sąd wojenny.

– Towarzyszu majorze! – dopiero teraz Wise uzmysłowił sobie grozę sytuacji. – Natychmiast wyślijcie pograniczników do Rybak! Jeśli banderowcy ich rozpieprzą, to już po nas!

Prochorenko nie zwlekał z wydaniem rozkazów i wkrótce samochody z kompanią kapitana Romanowa podążały w stronę zaatakowanej przez banderowców wsi. Jechali szybko i po kwadransie byli na miejscu. Zastali płonący kościół oraz kilkanaście polskich i ukraińskich domów. Przy skrzyżowaniu gościńca i drogi prowadzącej do łągów nad Czeremoszem stali żołnierze Stiepaszki i stripkowie Jakubowskiego.

– Już po wszystkim! – meldował Michał. – Nie wiedzieli, że nas jest tak mało. Wystraszyli się i uciekli!

– Jakie macie straty? – Romanow z niepokojem oczekiwał odpowiedzi.

– Nie mamy żadnych, jeszcze dwóch banderowców udało się nam złapać, ale oni dużo ludzi we wsi zamordowali.

– Przejmuję dowodzenie – twarz Romanowa oświetlały snopy iskier z zapadającego się dachu kościoła. – Co można w tej chwili zrobić?

– Teraz już nic. Wioska jest pusta. Ludzie chowają się gdzieś na polach, banderowcy rozproszyli się i pewnie wracają do swoich kryjówek. Jeśli wyślecie zwiad, to może uda się jeszcze kogoś złapać!

Wyznaczony przez kapitana oddział wrócił po trzech kwadransach. Nikogo nie napotkał. Rybaki były wymarłe, a UPA rozplynęła się w mroku.

– Wracamy do koszar! – rozkazał Romanow, kiedy ostatni patrol powrócił z drogi cerkiewnej i także nie nawiązał kontaktu z banderowcami. –

No to macie problem, Jakubowski. Wise i Prochorenko są na was wściekli!

Rybaki

Anna, Maria i Edward uwolnili się z więzów i w pośpiechu opuścili izbę.

Padał deszcz ze śniegiem, kiedy przemykali między zagrodami w stronę Czeremoszu. Słyszeli krzyki ludzi, ryki palonych żywcem krów i śmiertelne rżenie koni. Nagle ich wzrok przyciągnęła łuna większa od wszystkich.

– Boże, nasz kościół pali się! – Maria zrobiła na piersi znak krzyża. – Piekło prawdziwe tak wyglądać musi.

Mijali ostatni ukraiński dom, zbliżając do zbawczych łąg nad Czeremoszem.

– Zimno mi, babciu – Anna szła skulona, ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma.

– Poczekaj, Anulka. Będzie, co ma być, bo tu Ukraińce mieszkają.

Maria wbiegła po schodach i zapukała do okna. Wydawało się jej, że czas stanął w miejscu. W uchylonych drzwiach stanęła młoda kobieta.

– Do Kut uciekamy, a jej zimno jest. Poratujcie nas.

– Jakubowskie? – Ukrainka przyglądała się im uważnie.

– Ano Jakubowskie – Maria tuliła trzęsącą się Annę. – Z życiem ledwie my uszli. Grzegorza na śmierć zamęczyli, a ona goła prawie. Do ubrania co dajcie.

– Poczekajcie – kobieta zniknęła za drzwiami. Po chwili wyniosła huculski kożuszek.

– No, idźcie już – prosiła, okrywając dziewczynę. – Jak was znajdą, to i mnie ubiją. A dobry Bóg niech prowadzi was szczęśliwie – przeżegnała się i szybko zamknęła drzwi.

Deszcz i śnieg nie przestawały padać. Przemoczeni i ubłoceni brnęli przez pola i łągi. Nagle dobiegły ich odgłosy, których nie potrafili rozpoznać. Instynktownie skręcili w pole, a po kilkunastu krokach wpadli w głęboką brudę. Leżeli bez ruchu i nasłuchiwali. Rozpoznawali pojedyncze słowa, a strach ogarniał ich coraz większy. Obok nich przechodziła grupa banderowców. Wracali z Rybak do swoich górskich kryjówek.

Mijały długie godziny, a oni ciągle leżeli, bojąc się poruszyć. Dopiero

nad ranem dotarli do Kut. Zatrzymali się przed domem dobrych znajomych – Dmytra i Ludwiki Baniuków.

– Boże, a czy oni zechcą nas? – szeptała Maria, otwierając drżącymi rękoma drewnianą furtkę.

Kuty, Rybaki

Zbrodnia, jakiej dokonała UPA w Rybakach, sprawiła, że Polacy masowo opuszczali okoliczne wsie. Kuty były przeludnione, a z przyjściem Jakubowskich rozwiła się też względnie spokojna atmosfera w domu Dmytra i Ludwiki Baniuków.

– Oni to wszystko widzieli – powtarzała raz po raz Ludwika. – Nie dziwuj się, Dmytro.

Edward zamknął się w sobie. Siedział bez ruchu przy kaflowym piecu, wpatrzony w kąt izby. Nie odpowiadał na pytania gospodarzy. Pytań do niego zresztą nie było. Prawie całą uwagę Baniukowie musieli poświęcać Marii. Żona Edwarda krzyczała, płakała, czasem komuś wygrażała, by po chwili zamilknąć w cichej modlitwie przed ikoną Chystusa Zbawiciela wiszącą nad łóżkiem. Trwało to do południa i dopiero napar przygotowany przez ukraińską zielarkę wyciszył jej emocje.

– Ja to o Annę się obawiam – Dmytro dzielił się swoimi obawami. – Tyle przeszła, a spokojna i cicha taka.

– No, rację ty masz – Ludwika kiwała głową. – Maria całą noc spokojna była, ale Anna oka nie zmrużyła nawet. Rozmawiała tylko.

– Sen jaki może miała, ha?

– Taj mówię, że oka nie zmrużyła – Ludwika przeżegnała się. – Ze śmiercią rozmawiała.

Po śniadaniu Ludwika, Anna i Maria, która po naporze z ziół sprawiała wrażenie osoby pogodzonej z losem, poszły na targ. Edward jak zwykle siedział oparty o piec i o czymś rozmyślał. Od czasu do czasu mówił coś do siebie.

Kobiety wróciły w południe.

– Niczego my nie kupili – Ludwika bezradnie rozłożyła ręce. – Sprzedawać nikt nie chce, dla siebie trzyma tylko.

– A w Rybakach tyle jadła my zostawili – Maria zamyśliła się. – Nic, tylko jechać tam trza.

– Mario – Dmytro położył dłoń na ramieniu kobiety – jadło życia niewarte.

– Może rację ty masz, ale jak żyć, kiedy jeść nie ma co? A w Rybakach tyle wszystkiego zostało. Nic, tylko jechać trza. Ja strachliwa – skrzywiła usta. – Ania odważna, ale wozu i konia trza.

– A Józek Bojer? – Ludwika spojrzała pytająco na Marię. – On z żoną do Kut koniem wczoraj przyjechał, to może i do Rybak wróci? Idę do niego.

– Józek nie pojedzie – oznajmiła po kwadransie. – Boi się. Helusia, żona jego, odważna bardzo, ale pomocy jej trza.

– Ja pojedę z ciocią – Anna wstała z krzesła.

– Tego nie rób, dziecko moje – Dmytro przytulił ją do siebie. – Bandery wszędzie są, a ty żyć musisz. O nich pomyśl – ruchem głowy wskazał Marię i Edwarda. – Kto opiekę im da, jak ciebie nieszczęście spotka?

– Teraz jest dzień, wujku. Banderowcy napadają w nocy. Zresztą oni nie są źli. Wczoraj powiedzieli dziadkowi, że był dobry dla nich i nic mu nie zrobią. Nie zrobili, a mogli go zabić. Grześka żal, ale sam był winien, bo miał dziecko z Galiną.

– Dziecko drogie – Dmytro przeżegnał się. – Co ty mówisz?

– A co? – Anna hardo podniosła głowę. – Może nieprawda?

– Pomodlić się nam trza – Dmytro i Ludwika spojrzeli na siebie. Uklękli obok Marii i złożyli ręce do modlitwy.

Kiedy wjeżdżały do Rybak wieś była wymarła. Pozamykane okna, drzwi i furtki, pusty gościniec. Dom Heleny Bojer był pierwszym we wsi i dziwnym zbiegiem okoliczności nie został spalony.

– Będę miała do czego wrócić – Helena ściągnęła lejce.

Weszły do kuchni i zamarły przerażone. Na podłodze leżało ciało młodej kobiety, całe pocięte nożami.

– Kto to, ciociu? – Anna ścisnęła dłoń Heleny.

– Nie wiem, ale chodźmy stąd. Jedźmy najpierw do ciebie.

Minęły dopalający się kościół, spalony dom Anny Pastusiak, dymiące zgliszcza domu i wozowni w zagrodzie Edwarda i Marii Jakubowskich.

Domu Pakoszów już nie było. Wokół murowanego komina leżała sterta nadpalonych belek i desek. Spalone były obora i stajnia, zachowała się jedynie drewnutnia. Zwęglony pies leżał przywiązany łańcuchem do budy. W zgliszczach stajni leżały przywiązane do żłobów krowy.

Przez uchylone drzwi drewnutni Anna dostrzegła jakąś postać.

– Ciociu, tam ktoś jest! – zawołała.

Po chwili wahania obie weszły do środka. Na stercie porąbanego drewna siedziała skulona dziewczęca postać.

– To chyba Jadzia? – Anna z trudem rozpoznała córkę Pakoszów. – Jadziu, to ja, Ania, nie poznajesz mnie? Dziewczyna nie reagowała.

– Jadziu, co z tobą? – Helena próbowała ją podnieść. Nie dała rady i skinęła na Annę. Ujęta pod rękę dziewczyna poddała się bezwiednie. Dopiero teraz dostrzegły jej przeraźliwie bladą twarz i siwe włosy.

– Ciociu – szepnęła Anna. – Ona zawsze była ruda.

– Tam są – Jadwiga nieobecny wzrokiem wodziła po spalonej zagrodzie i trzęsącą się ręką pokazywała dopalające się zgliszcza. – Wszystkich nożami zabili. Najpierw mamę i tatę, potem dzieci. Te większe nożami, ale małe nie. Boże, jak ciężko o tym mówić. Za nóżki je brali i huścili, jakby bawić się chcieli – dwie duże łzy spływały po jej twarzy. – A potem główkami o ścianę trzaskali. – Ewę i ciocię Wandzię cały czas trzymali za ręce. Musiały na to patrzeć. Boże, jak one prosiły, jak krzyczały – przetarła dłonią policzek. – Ja schowałam się pod łóżkiem. Kiedy ktoś zaczął strzelać, to podpálili dom i wybiegli. Dopiero wtedy przyszedłam tutaj.

Helena została z Jadwigą, a Anna poszła do zagrody dziadków. Kiedy mijiała dom wujka Kubickiego, zauważyła uchylone drzwi. Chwilę się wahała, ale weszła do środka.

Wujek leżał w kuchni na podłodze, w kałuży krwi. Obok niego leżała dziewięcioletnia córka Krysia. Anna przeżegnała się. Stała wpatrzona w oba

ciała i nagle usłyszała ich głosy.

– Boże, tak Ci wierzyłem, tak Ci ufałem! – mówił wujek. – Dziękowałem za każdy posiłek. Modlitwą zaczynałem i kończyłem każdy dzień. W niedzielę zawsze byłem w kościele. Wierzyłem każdemu słowu księdza Szmalińskiego. Wierzyłem, kiedy mówił, że jesteś Wszechmogący i Miłosierny, a Ty zawiodłeś mnie. Albo ciebie nie ma, albo nie jesteś Miłosierny. Mówisz, że bluźnię? Bluźnierstwo jest tylko obrazą Twojego Majestatu, a śmierć jest zawsze śmiercią!

– Dlaczego zostawiłaś nas, mamó? – głos Krysi był pełen żalu. – Dlaczego wyszłaś beze mnie? Teraz byłybyśmy razem. Może w Kutach, a może tam, gdzie jestem z tatusiem. Tutaj nie ma ani wiosny, ani jesieni, nie ma zimy i nie ma lata, nie ma dnia i nie ma nocy, nie słyhać żadnego głosu, ale nie ma też ciszy. Tutaj nie szumi Prut ani Czeremosz, a Huculi nie wypasają owiec na wysokich połoninach. Tutaj nie ma panów i służących, nikt nikogo nie pyta, czy jest Polakiem, Ukraińcem, czy Żydem. Jestem tylko ja i tatuś. A może i nas tutaj nie ma? Wczoraj bardzo się bałam. Tatuś prosił ich, aby nie zrobili mi nic złego. Zastrzelili go. Myślałam, że mnie też zastrzelą, ale jeden z nich powiedział, że na polskiego bękarta szkoda kuli, i wyciągnął nóż. Był młody, miał ładną twarz i tylko jego oczy były jakies dziwne. Próbowalam zasłonić głowę, ale ten starszy wykręcił mi ręce. A ten młody uderzał, uderzał, uderzał...

– Witaj, Anno, to ja, już mnie nie pamiętasz? – wczoraj byłam tak blisko, ale tylko Grzegorza zabrałam ze sobą. Teraz jesteś w mojej świątyni i nie zakłócaj ciszy tych, których ułożyłam do snu. Nie ciesz się jednak, że nie śpisz moim snem. Od dzisiaj będę cię odwiedzać do końca twoich dni. Będiesz budziła się w nocy zlaną potem i zastanawiała, czy jesteś w mojej świątyni, czy w zupełnie innym miejscu, a ja będę zżerała twoją duszę. Powoli i do końca. Teraz już stąd odejdz.

Anna szła przez wieś ze zwieszoną głową. Zatrzymała się dopiero przy studni swoich dziadków. W milczeniu przyglądała się spalonym zabudowaniom. Gdzieś w tym pogorzelsku leżało ciało jej zamęzonego brata. Na podwórzu nietknięta była tylko studnia, a na przykrywającym ją daszku siedział blaszany kogucik, zrobiony przez dziadka Edwarda. Kogucik przyciągnął wzrok Anny, jakby chciał jej coś powiedzieć.

– Żegnaj, blaszany koguciku – wolno obracała duże drewniane koło. –

Nie wiem, kiedy znowu się zobaczymy. Tutaj zawsze mieszkali dziadkowie i ja tutaj mieszkałam, więc kiedyś wrócę na pewno – uśmiechnęła się i nagle zdumiała.

– Może tak, Aniu, a może nie – przemówił blaszany kogucik. – Tego nie wie nikt, ale ja zostanę. Będę pilnował tego, co zrobiliście wy i wasi ukraińscy sąsiedzi. Nowym gospodarzom powiem, że byliście dobrymi ludźmi. Może pozwolą mi zostać, a może mnie wyrzucą, kto to może wiedzieć? Jeśli jednak kiedyś tutaj przyjedziesz, to odnajdziesz swoje ślady. Chociażby moją studnię. Woda to przecież życie, a ono toczyć się będzie dalej.

Wóz był tak załadowany, że dla Heleny, Anny i Jadwigi ledwie starczało miejsca.

– Wiesz, ciociu – Anna oparła głowę na ramieniu Heleny – rozmawiałam ze śmiercią. Ludzie się jej boją, a ona ma taki łagodny głos.

Jadwiga milczała, ale Helena ledwie trzymała skórzane lejce. Na jej twarzy malowało się przerażenie.

– Tak, Aniu – przytuliła dziewczynę do siebie. – Wszystko rozumiem. Ma łagodny głos.

Siedziały w milczeniu, patrząc w stronę odległych gór. We wsi nie było śladu życia, jedynie stado kur rozgrzebywało zgliszcza stodoły Pakoszów.

Celerada przygotowała dwadzieścia trzy skrzynie z nieheblowanego drewna, ale tylko trzy osoby udało się rozpoznać. Do pozostałych trumien wsypano szuflami mieszaninę spalonych ludzkich szczątków, desek, belek i popiołu.

Przykościelny cmentarz przyjmował ostatnich Polaków. Nie było księdza Szmalińskiego, który bał się przyjechać, i nie było księdza z grekokatolickiej cerkwi w Rybakach. Ceremonię pogrzebową prowadził major Prochorenko w asyście dwóch plutonów pograniczników i Michała Jakubowskiego. Kilka ukraińskich kobiet też przyszło pożegnać swoich polskich sąsiadów.

– *W cziom winawaty eti spakojnyje l'udi?* [216] – pytanie majora Prochorenki pozostało bez odpowiedzi.

Pogranicznicy siedzieli na skrzyniach samochodów i niecierpliwie spoglądali to w stronę cmentarza, to na majora Prochorenkę.

– Jedźmy już, towarzyszu majorze – odezwał się jeden z nich.

– Jeszcze nie – Prochorenko położył rękę na jego ramieniu. – Musimy poczekać na Jakubowskiego.

Michał klęczał na kopczyku mogiły Grzegorza. Trzymał w górze dwa złożone palce prawej dłoni i półgłosem składał ślubowanie.

Góry za Kutami. Podziemny schron UPA

Roman Dywczuk nie przywykł do krytyki i nie spodziewał się jej również ze strony sotennego Primaka, gdyż jako szef Służby Bezpieki podlegał bezpośrednio okręgowemu prowidowi OUN.

– *Zawdann'a cilkom my ne wykonaly!* [217] – podniesiony głos Primaka tłumili świerkowe pnie i ziemia. – Stało się tak w znacznej mierze przez was! Zmarnowaliście czas na tortury, zamiast szybko go zabić! Straciliśmy czterech ludzi, dwóch naszych złapali! Wiecie, jak przesłuchuje NKWD. Chociaż Topczuk i Tomaszuk niewiele wiedzą, to nasze kontakty w Rybakach są spalone. Zaczną się zsyłki na Sybir – podkreśli cybuch naftowej lampy. – Znęcanie się leży w waszej naturze! Niemcy nazywali to sadyzmem i uważali za zboczenie powodujące niepotrzebną stratę czasu! Przecież uczyli nas, że Żydów należy mordować szybko i sprawnie! Zapomnieliście o tym?

Dywczuk milczał. Nie wyglądał na człowieka, który przejmował się tym, co usłyszał.

– To wy wymusiliście akcję w Rybakach – Primak nie zmieniał tonu głosu. – To wy uzyskaliście zgodę prowidu na zupełnie niepotrzebną akcję. Los Polaków został przesądzony przez Niemców i Rosjan. Polacy są już podobni do wyrwanego drzewa, które powoli usycha.

– *Pro szczo wy howoryte? Pro jake derewo jdet'c'a?* [218] – Dywczuk podniósł głowę.

– Nieważne. Tego i tak nie zrozumiecie.

– I ja zadowolony nie jestem! – Dywczuk przejął inicjatywę. – Ruskie wojsko za szybko przyjechało. Ktoś musiał im powiedzieć.

Kuty

Jeśli armia nie tolerowała niesubordynacji, to w przypadku NKWD była ona w ogóle nie do pomyślenia. Z tego powodu rozmowa majora Wise z Jakubowskim stała się niezwykle ostra.

– Mogliśmy zlikwidować całą bandę, ale wy spierdoliliście robotę! – Wise rzucił na stół plik dokumentów. Luźne kartki rozsypały się po podłodze. – Czekaj was sąd wojenny! Właściwie powinienem was natychmiast aresztować!

– Z tym jeszcze poczekajcie, towarzyszu dowódco – słowa oficera NKWD zdawały się nie robić na Jakubowskim większego wrażenia. – W sprawie waszych działań napisałem raport do Stanisławowa i nie jestem pewien, kogo czeka sąd wojenny.

Wise stanął jak wryty. Takiej zuchwałości, wręcz bezczelności zupełnie się nie spodziewał. Zmierzył Jakubowskiego wzrokiem, którego on nie wytrzymał. Zwiesił głowę, spodziewając się najgorszego.

– Zbierajcie ludzi i ruszajcie w góry – major schylił się, aby pozbierać rozsypane dokumenty. – I nie wracajcie bez informacji, gdzie ukrywa się ta cholerna sotnia!

Od kilku godzin oddział Jakubowskiego wykonywał rozkaz, o którym wszyscy wiedzieli, że był nie do wykonania. Kiedy żołnierze przechodzili obok zagrody Bazarki, zauważyli, że rozłochy są rozsunięte, a drzwi chaty otwarte, mimo że na dworze panował lekki mróz.

Jakubowski podniesioną ręką zatrzymał oddział. Nasłuchiwali przez chwilę, ale z chaty nie dochodziły żadne odgłosy.

– Sprawdźcie, co się tam dzieje – zwrócił się do najbliższych stojących ludzi. Dwaj istrebitiele weszli do środka. Widok, który zastali, przeraził ich. Przy stole w dziwnie zgiętej pozycji siedział Bazarko. Jego żona i córki leżały na podłodze, a ich nagie ciała nie miały piersi. Wszędzie było pełno krwi.

Stali w milczeniu, nie wierząc własnym oczom. Usiłowali zrozumieć powód, dla którego cała rodzina Bazarki, rodzina o tak nacjonalistycznych poglądach, tak bardzo sprzyjająca banderowcom, została wymordowana. Jakubowski kojarzył zdarzenia, jakie miały miejsce, kiedy odwiedzali ten dom, jednak nic szczególnego z tego nie wynikało. Ostatnio byli tutaj kilka

dni temu i nawet nie wchodzili do środka. To właśnie wtedy omal nie doszło do dekonspiracji, kiedy dowiedział się od Bazarki o planowanej akcji UPA. Nagle wszystko zaczęło się układać w sensowny ciąg skutków i przyczyn. Bazarko, kiedy powiedział o przygotowywanej akcji, wbrew swojej woli stał się przypadkowym informatorem NKWD! To jego wskazówki zapobiegły wymordowaniu wszystkich Polaków mieszkających w Rybakach. Tylko skąd oprawcy Bazarki wiedzieli o rozmowie, która odbyła się w tym domu? Odpowiedź, której sam sobie udzielił zmroziła go.

– Wracamy do koszar! – rzucił krótko.

Wise słuchał z coraz większym zainteresowaniem.

– A to swołocz! – krzyknął, kiedy Jakubowski doszedł do oczywistej konkluzji. – Mamy wśród waszych ludzi banderowskiego szpiega! To wasza wina, Jakubowski! Jak mogliście do tego dopuścić?

– Chyba zapomnieliście, towarzyszu dowódco, że to wy organizowaliście ten oddział. To nie ja dokonywałem selekcji.

– To niemożliwe! – Wise nie poddawał się. – Z tej grupy nikt nie może współpracować z UPA. Wszyscy zostali dokładnie sprawdzeni. Mam pewność, że są godni zaufania!

– Towarzyszu dowódco, cudów nie ma. Jeśli w moim oddziale nie ma szpiega, to w jaki sposób banderowcy dowiedzieli się, o czym rozmawialiśmy w chacie Bazarki?

– Może sam Bazarko powiedział o waszej rozmowie?

– Może, ale trochę go znałem i nie wydaje się to prawdopodobne. A czy do was, towarzyszu dowódco, nie trafiały jakieś meldunki i doniesienia, które mogłyby mieć związek z tą sprawą? – dopytywał Jakubowski.

– Owszem, trafiały – Wise rozpozgodził się. – To były donosy głównie na was – obaj mężczyźni wybuchnęli głośnym śmiechem.

– Tak czy inaczej to wy, towarzyszu dowódco, odpowiadacie za skład osobowy mojego oddziału.

– No dobra, dobra. Wezwijcie lejtnanta Stiepaszkiną.

– *Priw'edit'e s'ejciac d'es'at'era swaich l'ud'ej s p'ep'eszami!* [219] – Wise rozkazał lejtnantowi. – Gdzie jest teraz wasz oddział? – zwrócił się do Jakubowskiego.

– Mają wolne, towarzyszu dowódco.

– Zbierzcie ich wszystkich w szkolnej świetlicy! Natychmiast!

– Co chcecie zrobić, towarzyszu dowódco? – Michała zdziwiła szybka i stanowcza reakcja przełożonego.

– Jak to co? W waszym oddziale jest banderowski szpieg, a wy pytacie, co zamierzam zrobić? Opamiętajcie się! Znajdziemy go, przesłuchamy i może dowiemy się, gdzie ukrywa się sotnia.

– Dobrze, towarzyszu dowódco, że użyliście słowa „może”! Może tak, może nie. To twardzi ludzie, a milczenie mają we krwi. Jeżeli nie uda się wam niczego z niego wyciągnąć, to stracimy okazję, jaka nieprędko może się nam trafić.

– Co macie na myśli? – Wise zapalił papierosa.

– Towarzyszu majorze, od chwili, kiedy odkryliśmy, że rodzina Bazarki została zamordowana, nie przestaję myśleć o tej sprawie.

– No i co takiego wymyśliliście? – Żyd zaciągnął się głęboko.

– To wymyśliłem, że banderowcy wiedzą, kim naprawdę jesteśmy.

– Niemożliwe! Gdyby wiedzieli, zlikwidowaliby was od razu!

– Nie macie racji, towarzyszu majorze. Postawcie się w sytuacji dowódcy sotni. Na jego miejscu postąpilibyście podobnie. To prawda, nasz oddział mógł być łatwo zlikwidowany. W końcu byliśmy kilka razy w terenie, który oni dobrze znają. Mają tam pewnie ze dwustu, a może nawet więcej ludzi. Jednak gdyby nas zaatakowali, to mogłoby zginąć ich człowiek! Na takie ryzyko by sobie nie pozwolili. Przecież on ostrzega ich przed naszymi akcjami – Jakubowski poprawił się na krześle. – Uważam, że właśnie z tego powodu nie atakują mojego oddziału, chociaż jestem pewien, że z ukrycia śledzą każdy nasz krok!

– Wasze rozumowanie nie jest pozbawione sensu. Powiedzcie jednak w końcu, do czego doszliście...

– Towarzyszu majorze, zaufajcie mi. Nie szukajcie szpiega.

– Czy wyście oszaleli? Jak mam pracować, wiedząc, że wszystkie plany są przekazywane bandytom? Za dużo ode mnie wymagacie, obywatelu Jakubowski! Za dużo!

– Towarzyszu, majorze, raz jeszcze proszę: zaufajcie mi! Mam pewien plan. Wyjadę z Kut. Ludziom powiem, że jadę na szkolenie do Stanisławowa. Na mojego następcę nie nakładajcie trudnych zadań. Chłopcy muszą być przekonani, że nic szczególnego się nie stało. I jeszcze jedno – ściszył głos. – Nie mówcie nikomu o naszej rozmowie. Nawet majorowi Prochorence.

Miriam tańczyła w łęgach nad Czeremoszem, a jej sukienka mieniła się kolorami tęczy. Przyglądał się jej z podziwem, a ona uśmiechała się. Nagle przerwała taniec i usiadła obok niego.

– Kochany ty mój – mówiła łagodnie – dlaczego mnie unikasz? Dlaczego myślisz o mnie coraz mniej? Powiedz: dlaczego?

Próbował odpowiedzieć, ale nie mógł wykrztusić ani jednego słowa.

– Nic nie mów – położyła palec na jego ustach. – Ja wiem wszystko. Ty myślisz o Julii. Pamiętaj jednak, że to dzięki mnie ją poznałeś. Szukałeś moich ust. Szukałeś moich dłoni. Szukałeś moich włosów i dotyku. Nie znalazłeś – uśmiechnęła się. – I wtedy pojawiła się ona. Jest podobna do mnie. Tak, to ja sprawiłam, że znalazła się tak blisko ciebie. Nie smuć się, Izaaku. Ja będę przychodzić coraz rzadziej. Którejś nocy przyjdę, aby pożegnać się na zawsze.

Wstała i zaczęła iść w stronę Czeremoszu. Oddalała się coraz bardziej i bardziej.

– Nie odchodź! Miriam! – Zostań! – krzyknął.

Odwróciła się, wciąż idąc.

– Julia? – na twarzy Izaaka malowało się bezgraniczne zdumienie.

– *Im'ejem dw'e asnawnych celi!* [220] – major Wise przeglądał przyniesione dokumenty. – Likwidacja oddziału Dywczuka i sotni, którą

dowodzi Primak. Te cele od dawna są takie same. Dowództwo w Stanisławowie jest poirytowane. Zwołałem tę naradę, aby podjąć skuteczne działania, które rozwiążą oba te problemy. No, może na początek chociaż jeden z nich. Słucham waszych propozycji.

– *Ja raspałagaju znaczit'el'nymi siłami!* [221] – major Prochorenko podniósł rękę. – Dwie kompanie pograniczników są na górskich placówkach, trzy stacjonują w Kutach. Dowódcy codziennie patrolują teren, ale nie napotykają banderowców. A przecież są! Atakują prawie każdej nocy. Te ataki są odpierane, jednak nigdy pościg za banderowcami nie zakończył się sukcesem. Dowódcy są pewni, że ukrywają się w dobrze zamaskowanych podziemnych schronach. Żeby przeprowadzić skuteczną akcję, musimy wiedzieć, gdzie one są. Niestety dotąd takich informacji nie mamy – spojrział na majora Wise.

– Już odpowiadam – Żyd rozpiął wojskową bluzę. – Oddział Jakubowskiego penetruje góry. Porusza się na ich terenach i jestem pewien, że w końcu trafi na trop banderowców. Na razie jednak rzeczywiście niewiele wiemy.

– To nie do końca jest prawda – Jakubowski zwrócił się wprost do majora Prochorenki. – Mam pewne informacje i wiem, jak je wykorzystać.

– Jak to? – Wise uderzył pięścią w stół. – Dlaczego ja nic o tym nie wiem?

– Mówcie dalej, Jakubowski – Prochorenko ruchem dłoni uciszył majora.

– Odbyliśmy kilka marszów do Paliwki i Berezki. Na miejsce pobytu banderowców nie natknęliśmy się, ale wiemy, gdzie mieszka żona Dywczuka. Przeprowadziła się po tym, jak ludzie Gawryłowa zamordowali jej córki i rodziców męża. Uważam, że warto sprawdzić, czy Dywczuk ją odwiedza. Jeśli złapiemy Dywczuka, to major Wise znajdzie sposób, aby powiedział wszystko, co wie. A może nawet więcej.

Paliwka

Piętnastu pograniczników kapitana Romanowa tkwiło na posterunkach już od północy. Na długości trzystu metrów ścieżka biegnąca wzdłuż strumyka była pod ich całkowitą kontrolą. Jeśli potwierdzą się przypuszczenia Jakubowskiego, to właśnie wtedy powinien iść Dywczuk.

Zagrodę obserwują już od trzech dni, ale jak dotąd bez skutku i kapitan Romanow zaczął podejrzewać, że UPA odkryła jego oddział.

Zaczynało świtać, kiedy zza zakrętu wyłonił się wysoki, barczysty mężczyzna. Szedł w górę kamienistą ścieżką, rozglądając się uważnie na boki. Kiedy doszedł do połowy kontrolowanego odcinka, kapitan Romanow podniósł rękę. Dwaj żołnierze zbiegli ze wzgórza, odcinając drogę powrotną do wsi. Dwaj inni stanęli na ścieżce prowadzącej w stronę Rabińca.

Mężczyzna zatrzymał się kompletnie zaskoczony. Nagle zaklął i ruszył biegiem w stronę lasu. Kiedy od pierwszych drzew dzieliło go zaledwie kilkadziesiąt kroków, zobaczył Rosjan z pepeszami gotowymi do strzału. Odwrócił się w jednej chwili i pędem ruszył w stronę huculskiej zagrody, stojącej samotnie na skraju połoniny. Żołnierze Romanowa otaczali ją ze wszystkich stron. Szli z bronią gotową do strzału, ale mieli kategorię zakaz jej użycia. Dywczuk nie mógł zginąć. Kiedy przeszukiwanie zagrody nie przyniosło rezultatu, Romanowa ogarnęła wściekłość.

– *Nemożliwo, szczob win propaw bezwisti!* [222] – krzyczał. – On musi tutaj być! Szukajcie!

Zdenerwowany zapalał papierosa, kiedy jeden z pograniczników wskazał ręką stertę obornika, jedyne miejsce, które dotąd omijali. Od strony zagrody była rozkopana i parowała na mrozie.

Kuty

Kucki rynek, przed wojną tętniący życiem, teraz był pusty i ponury. Zniknął targ, nie było żydowskich jarmułek, ale chociaż kamienice bogatych Żydów straszyły wypalonymi ruinami, to ich piwnice były w dobrym stanie. Właśnie w tych piwnicach NKWD urządziło więzienie dla banderowców. Grube mury, zakratowane okna i silne straże uniemożliwiały ucieczkę i próbę odbicia więźniów. To tutaj od trzech tygodni przebywał Mykoła Tymoszuk, złapany przez oddział Jakubowskiego podczas akcji w Rybakach. To właśnie stąd wczesnym rankiem zabrano na przesłuchanie Romana Dywczuka. Zbliżał się wieczór, a jego dotąd nie przywieziono.

W tym prowizorycznym więzieniu Mykoła poznał głód, zimno i pragnienie. Kiedy po czterech dniach głodówki, strażnicy przynieśli miskę solonych śledzi, on i Mirko Topczuk dosłownie rzucili się na nie. Zjedli połowę i poprosili o wodę, ale jej nie dostali. Krzyczeli i płakali, ale nic to nie pomogło. Ich odchodów nikt nie sprzątał, odwiedzały ich szczury. Na początku budziły lęk i obrzydzenie, ale później już tylko obojętność. Mykoła miał dużo czasu, aby przemyśleć swoje krótkie życie. Najbardziej żałował Olgi i syna. Żonę kochał zawsze, a w końcu polubił też dziecko. Do tego, że nie był jego ojcem, też się przyzwyczaił. Żałował, że już nic nie będzie mógł dla nich zrobić. Wiedział, że jego dni są policzone, że nie doczeka samostijnej Ukrainy i gdyby mógł, chciałby cofnąć czas. Powiedział wszystko, co o organizacji wiedział. Nawet go nie torturowali. Nigdy nie był w schronie, więc miejsca, w którym się znajduje, nie mógł zdradzić. „Gdzieś w górach” – mówił, a major Wise, osobiście go przesłuchujący, dał temu wiarę. Mykoła wiedział, że z Dywczukiem będzie inaczej. Zdawał sobie sprawę, że NKWD zrobi wszystko, aby zaczął mówić.

Nieznośną ciszę przerwał zgrzyt klucza. Dwóch strażników schodziło po schodach, ciągnąc za rękę bezwładne ciało mężczyzny. Rzucili je na kamienną posadzkę piwnicy i wyszli.

– *Ja jim niczoho ne skazaw, niczoho!* [223] – szeptał Dywczuk, a Mykoła bardzo się dziwił, że tak skatowany człowiek jest w stanie cokolwiek powiedzieć.

– *Uchadit'e, uchadit'e!* [224] – żołnierze chodzili od domu do domu,

wypędzając wszystkich na ulicę. Inni żołnierze kierowali tłum do rynku w pobliże kina „Sokół”, gdzie stanęła szubienica. Właśnie to miejsce NKWD wybrało na egzekucję Mykoły Tymoszuka i Mirka Topczuka.

Obaj, ze związanymi z tyłu rękoma i pętlami na szyjach, stali na wojskowym samochodzie, w którym opuszczono burty. Wojskowy sędzia odczytywał wyrok.

Mykoła obserwował tłum spędzony na egzekucję. Polacy im wygrazali, Ukraińcy stali w milczeniu, a ich twarze zdawały się nie wyrażać żadnych emocji. Nagle jego wzrok zatrzymał się na drobnej kobiecej postaci z dzieckiem na ręku. Stała, opierając się plecami o mur żydowskiej kamienicy. Przyglądał się jej uważnie. Dzieliła ich duża odległość, ale wkrótce wiedział, że to Olga z synem przyszli go pożegnać. Uśmiechnął się. Choć nie mogła widzieć jego uśmiechu, to chyba się domyśliła i pomachała ręką na pożegnanie.

– Bracia Ukraińcy, pomścicie nas! – okrzyk Topczuka wyrwał go z zadumy. Samochód ruszył, a oni zostali na kuckim rynku na trzy dni i noc.

Kiedy wykonano wyrok, Jakubowski podszedł do drugiego samochodu, przy którym wartę pełnił jeden z jego ludzi.

– Kogo pilnujesz? – zapytał.

– Nie wiem, obywatelu dowódco. Mówią, że to sam Dywczuk.

Człowiek leżący na skrzyni samochodu przykryty był czarną plandeką. Usłyszawszy rozmowę, wyprostował się nagle, jakby chciał ją z siebie zrzucić. Związane ręce i nogi nie pozwoliły na to, ale udało mu się odsłonić głowę. Wartownik długo przyglądał się sienie i opuchniętej twarzy.

– Tak, to Dywczuk – powiedział półgłosem. – Razem chodziliśmy do szkoły. Ech, Romciu, Romciu, po co ty się w to pakowałeś?

– *Durnyj rozum, propało!* [225] – zdołał wybełkotać skazaniec.

Wkrótce zawieziono go do Kosowa i powieszono obok pomnika Tarasa Szewczenki.

Zimny wiatr sprawił, że kucki rynek szybko opustoszał. Tylko Olga, tuląca dziecko, ciągle stała pod murem żydowskiej kamienicy.

Wise był wściekły. Nie wyobrażał sobie, żeby przesłuchanie Dywczuka nie dało żadnych rezultatów, a jednak tak było. Jego enkawudziści, którzy każdego potrafili zmusić do mówienia, z Ukraińca przez jedenaście godzin nie wydusili ani słowa.

– Cholerna sotnia – zastanawiał się głośno, chodząc nerwowo po pokoju.
– Gdzie też może się ona ukrywać?

Jakubowski siedział przy stole. Schwytnie Dywczuka, które było jego zasługą, poprawiło ich stosunki na tyle, że rozmawiali ze sobą bez wyczuwalnego dystansu.

– Towarzyszu majorze, chcę wam przedstawić mój plan.

– Jaki znowu plan? – Wise przerwał wędrówkę. – I przestańcie, do cholery, bawić się jak dziecko! – wyszarpnął ołówek z rąk Jakubowskiego.

– Ten, o którym rozmawialiśmy. Jest ryzykowny, ale jeśli się powiedzie...
– Jakubowski zawiesił głos.

– Jaki to plan? Mówcie, do cholery, bo przez te wasze plany i konspiracje już trzecią noc nie śpię!

– Mój oddział był kilka razy w Paliwce i Berezce – nagle Jakubowski rozpiął wojskową bluzę i zaczął drapać się po plecach.

– Wszy? – zainteresował się Wise.

– Wszy, towarzyszu majorze. Zjedzą mnie żywcem. Cały oddział mam zawszawiony, ale nie o tym chciałem powiedzieć. Jestem pewien, że nikt z sotni Primaka mnie nie widział, przynajmniej z bliska. Dla ludzi ze wsi też musieliśmy wyglądać jak prawdziwi banderowcy. Poznaliśmy co prawda rodzinę Bazarki, stanicznego Matwieja i Mykołę Tymoszuka, ale z nich tylko Matwiej pozostał przy życiu.

– Do czego zmierzacie? – major zaczął tracić cierpliwość. – Mówicie dużo i mało konkretnie.

– Cholera z tymi wszami – Jakubowski drapał się pod pachą. – Jest pewne, że Dywczuk cały czas przebywał z sotnią Primaka. Kiedy wracał od żony, został złapany przy strumieniu, który spływa spod Rabińca. To gdzieś tam musi być podziemny bunkier. Zimno u was, towarzyszu majorze.

– Dlaczego was to dziwi? – Wise wzruszył ramionami. – Zapnijcie bluzę

i pamiętajcie, że Kutry to nie Afryka. Ale mam coś na rozgrzewkę – wyciągnął z biurka butelkę. – Samogon – napełnił szklanki. – Zaraz będzie wam ciepło. – Wasze zdrowie! – wznosił toast. – No i powiedzcie wreszcie, co chcecie zrobić...

– Za handlarza się przebiorę i po huculskich połoninach na Rabińcu pochodzę. Takich handlarzy kręci się po górach niemało. Wędrują od zagrody do zagrody, sprzedają towary, nocują u Hucułów. W dzień można coś zobaczyć, a wieczorem przy wódce usłyszeć. To dobry plan, towarzyszu majorze.

– Czy wiecie, na jakie niebezpieczeństwo się narażacie? – Wise z niedowierzaniem kręcił głową. – Czy wiecie, jaka śmierć może was spotkać?

– Wiem, towarzyszu dowódcu, ale ja muszę znaleźć oddział Dywczuka. On już jest w ziemi, ale to jego ludzie zgwałcili i zamęczyli Kasię, to oni zabili Grzegorza. Nad grobem brata przysięgałem im zemstę. Oni też muszą zginąć.

– Podziwiam waszą pomysłowość i odwagę – Żyd rozlał do szklanek resztę samogonu. – Cóż, wypijmy za wasze szczęście. Kiedy chcecie wyruszyć?

– Za trzy dni, towarzyszu majorze.

– Jest jeszcze jedna sprawa – Wise patrzył w blat stołu. – Chodzi o bezpieczeństwo waszej żony i córki. Wiem, że mieszkacie w jednym pokoju z inną rodziną. Ten dom nie jest pilnowany przez naszych żołnierzy. Nie muszę wam mówić, że banderowcy swoich ludzi mają wszędzie i prawdopodobnie wiedzą, co robicie. Możliwe, że na was i na waszą rodzinę wydali wyrok – podszedł do okna. – Mamy wolny pokój w domu obok koszar – przesunął popielniczkę stojącą na parapecie. – W każdej chwili możecie się do niego wprowadzić. Oczywiście z żoną i dzieckiem.

– Dziękuję wam, towarzyszu majorze – ta wiadomość ucieszyła Jakubowskiego. – Będę spokojny, wiedząc, że Julia i Natalka są bezpieczne. Kiedy możemy się przeprowadzić?

– Mówiłem, że w każdej chwili, a najlepiej od razu. Czy mogę wam jeszcze w coś pomóc?

– Tak, towarzyszu majorze. Potrzebuję dwóch ampułek z cyjankiem.

– Major Wise jest jednak porządnym człowiekiem – Michał gładził rękę Julii. – Wiesz, czasem mi się zdaje, że w jego duszy więcej jest Izaaka, mojego przyjaciela z lat szkolnych, niż oficera NKWD. Zamieszkamy tuż obok koszar i będziemy bezpieczni. Jutro się przeprowadzimy. Rzeczy mamy tak mało, że szybko nam to pójdzie.

– Oj, szczęśliwe z was ludzie – kobieta, która z dwójką dzieci mieszkała w pokoju razem z Jakubowskimi, nie kryła zadowolenia. – Wy będziecie bezpieczne i nam będzie luźniej.

– Ma pani rację – Jakubowski uśmiechnął się. – Trochę było nam ciasno.

Wieczorem byli już w nowym mieszkaniu.

– No i jak podoba ci się to miejsce? – tulił żonę w ramionach.

– Pokoik jest mały, chyba nawet mniejszy od tego, w którym mieszkaliśmy, ale będziemy sami – mówiła szeptem, nie chcąc rozbudzić usypiającej Natalki.

– Na razie tylko wy obie będziecie same.

– Co to znaczy? – zaniepokoiła się. – Dlaczego będziemy same?

– Jutro z rana wyruszam w góry – przytulił ją mocniej. – Byłem tam wiele razy, ale jutro idę sam. Wiesz – zawahał się – gdybym nie wrócił, poproś Izaaka o pomoc. Na pewno nie odmówi.

– O czym ty mówisz? – głos jej łamał się, a po policzkach jedna po drugiej spływały łzy. – Dlaczego masz nie wrócić?

– Jest wojna, różnie może być.

– Nie idź tam, Michale – prosiła. – Zostań z nami.

Leżał przytulony do żony. Rozmyślał o czekającej go wyprawie, analizował szczegóły górskiej wędrówki i planował trasę.

W górach między Krzyworównią i Kutami

Na targu w Krzyworówni kupił huculskiego konia i dwa duże *bordiuhy* z długimi skórzanymi paskami. Bordiuhy przerzucił przez koński grzbiet, spał

pod brzuchem i wyładował towarami, które powszechnie kupowali Huculi. Miał szare mydło i wódkę, ale najwięcej miejsca zajmowały pojemniki z naftą – towarem bardzo poszukiwanym. Bez nafty nie było światła, a bez światła strasznie było mieszkać w długie zimowe wieczory, z dala od innych ludzi, wśród dzikiej przyrody.

Szedł już czwarty dzień. Kiedy kamienista droga lub płaj biegły płasko, dosiadał konia, aby nieco odpocząć. Kiedy wspinały się, szedł pieszo, by nie męczyć zwierzęcia.

Wstępował do mijanych zagród. Czasem sam, czasem zapraszali go Huculi, którzy dobrze znali takich jak on wędrowców. Nigdy nie odmawiano mu noclegu ani jadła. Zawsze płacił za nie równą miarką nafty.

Minął przełęcz między Pisanym Kamieniem, a Siną Kiczera i schodził w dolinę, którą od północy zamykał Rabiniec, a od południa Spensowa. Dobrze pamiętał, że na zboczu tej góry oddział Dywczuka zgwałcił i zamordował Kasię. Wiedział, że gdzieś w pobliżu banderowcy mają swoją kryjówkę. „Tylko jak ten cholerny schron odnaleźć?” – to pytanie nie dawało mu spokoju. Dotychczasowa wędrówka ani trochę nie zbliżyła go do tej tajemnicy. Był jednak gotów powtórzyć ją jeszcze raz, dwa razy, a nawet więcej, aż do skutku, bo morderców Kasi i Grzegorza nie zamierzał zostawić w spokoju.

Od pewnego czasu droga szerokimi zakosami prowadziła pod górę. Widoczność była dobra, ale nie zatrzymywał się, by podziwiać widoki. Szedł przez gęsty las i zastanawiał się, dlaczego w tej okolicy nie ma huculskich zagród. Tyle ich mijał po drodze, a tutaj było zupełnie inaczej. Żadnych domów, żadnych *kolib* [226], a przecież wędruje już niemal godzinę.

Las się skończył i droga prowadziła teraz przez rozległą połoninę, opadającą łagodnie w kierunku południowym.

„No nareszcie” – ucieszył się, kiedy zobaczył nową huculską chatę. Przywiązał konia i zapukał do drzwi. Kiedy nikt nie odpowiadał, nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte. Pchnął je i znalazł się w ciemnej sieni, z której były wejścia do dwóch izb – dużej i małej. Zajrzał do obu, ale nikogo w nich nie było. W większej izbie, na drewnianym stołku stało wiadro z wodą, a na przymocowanej do ściany drewnianej półce dwa gliniane kubki, odwrócone dnem do góry. Chata wyglądała tak, jakby ktoś przebywał w niej tylko od

czasu do czasu. Z ulgą usiadł na szerokiej ławie i wyprostował zmęczone nogi.

Przez nieduże okno widział część połoniny, którą od góry zamykała ściana gęstego lasu.

– Dziwne miejsce – mruknął. – Ani to koliba, ani huculska chata.

Przeciągał się właśnie, unosząc ręce nad głowę, kiedy dostrzegł człowieka zbiegającego w stronę domu. Po chwili usłyszał odgłos kroków na werandzie i w drzwiach stanął barczysty mężczyzna w baraniej czapce i krótkim baranym kożuszku. Nie wyglądał na Huculą. Stał i z trudem łapał oddech.

– *Wy chto takyj i czoho tut szukajete?* [227] – warknął.

– Widziałeś konia? – Jakubowski podszedł do nieznajomego. – Widziałeś torby, które ma na grzbiecie?

Mężczyzna kiwnął głową.

– Jak widziałeś, to po co pytasz? Idę od rana, zatrzymałem się, żeby odpocząć, a ty na mnie warczysz jak pies!

– Dmytro nazywam się – nieznajomy wyciągnął rękę. – Ty nie złość się, ale jak nieznany do chaty wchodzi, to nie lubię.

– To ją zamykaj – Jakubowski ścisnął kościstą dłoń przybysza.

– A ja mam na imię Petro.

Dyskretnie lustrował postać Ukraińca. Zauważył, że w naszywanej kieszeni kożuszka ma pistolet. Był pewien, że rozmawia z kimś z sotni Primaka. Dążył do takiego spotkania, ale teraz przeszył go dreszcz emocji.

– Ładne miejsce – powiedział, podchodząc do okna. Dokładnie obserwował połoninę, wypatrywał innych banderowców, ale niczego niezwykłego nie dostrzegł.

– Że od końskiego grzbietu dupa boli, to rozumiem – zagadnął – ale nogi?

– To i już tak jest! – Dmytro zaśmiał się rubasznie. – I ja to znam.

– Zaraz ruszam w drogę – Jakubowski oparł się o parapet. – Najpierw jednak coś zjem. Od rana w gębie niczego nie miałem, a tutaj jest ława i stół.

Będzie mi wygodnie.

Wyszedł na werandę. Grzebał w przepastnych bordiuhach i po chwili przyniósł kawał bryndzy, twardy placek, pieczony na kuchennym blacie i butelkę wódki. Pokroił bryndzę w nieduże kostki i zaczął jeść. Dyskretnie zerkał na Dmytra, który nerwowo przełykał ślinę.

– Podzielę się z tobą, Dmytro – mówił z pełnymi ustami – tylko przynieś świeżej wody. W wiadrze pływają jakieś śmieci.

Mężczyzna zerwał się na równe nogi. Chwycił wiadro i wybiegł z chaty.

Jakubowski stanął przy oknie. Kiedy zobaczył, że Dmytro spuszcza wiadro do studni, szybko wrócił do stołu. Nożem wydrążył otwór w kawałku bryndzy i wcisnął do niego ampułkę z cyjankiem. Tę kostkę położył nieco z boku, a pozostałe podzielił na dwie równe porcje. Jedną z nich postawił naprzeciw siebie.

Dmytro wrócił po chwili. Z szafki wyjął ceramiczny kubek. Sięgnął głębiej, przestawiając szklane naczynia.

– *Put' by tobi prypała!* [228] – krzyknął, kiedy z szafki wypadła ruda mysz. Biegła wzdłuż ściany i przez uchylone drzwi uciekła na werandę. Wyjął drugi kubek, napełnił oba wodą i bez słowa postawił na stole.

– Znajdź jeszcze coś na wódkę, napijemy się – Jakubowski nie przerywał jedzenia.

Dmytro szperał przez dłuższą chwilę, a w końcu położył na stole blaszany garnuszek z uchem.

– A dla ciebie? – Michał udawał zdziwionego. – Przecież sam pić nie będę.

– Ja nie piję – mężczyzna zwiesił głowę.

– Nie pijesz? Na chorego nie wyglądasz, baby nie ma, to czego się boisz? Napij się, chociaż trochę – nalegał.

Dmytro ponownie przeszukał szafkę i znalazł małe szklane naczynie, przypominające aptekarski słoiczek. Jakubowski rozlał wódkę.

– Za nasze spotkanie! – wznosił toast.

Gospodarz wypił jednym łykiem, ale Jakubowski ledwie umoczył usta.

Wznosili toasty, zagryzając kostkami bryndzy. Kiedy Dmytro nie mógł już usiedzieć na krześle, a jego mowę trudno było zrozumieć, Jakubowski objął go za szyję i cmoknął w policzek.

– To za naszą przyjaźń – udawał bełkot.

Ukrainiec zwał się na stół. Michał błyskawicznie wyjął pistolet z jego kieszeni.

– Łapy do góry! – warknął. – Ty świnió! Jak mamy walczyć o samostijną Ukrainę z takimi śmieciami jak ty?

– Petro, a tobie co stało się? – Dmytro nagle oprzytomniał.

– To się stało, że organizacja mnie wysłała! Sprawdzam czujność naszych powstańców! Prowadź do sotni!

– Hospody, pomyłuj, Petro, pomyłuj – błagał Dmytro. – Oni ubiją mnie.

– Idziemy – Jakubowski nie spuszczał go z muszki.

Ukrainiec, płacząc i chwiejąc się na nogach, wszedł do mniejszej izby.

– Petro, pomyłuj – złożył ręce jak do modlitwy. – Oni ubiją mnie.

– Prowadź.

Dmytro, chlipiąc, zaczął odsuwać łóżko stojące we wnęce. Zdjął chodnik i ukląkł na podłodze.

– Pomyłuj, Petro – prosił bez wiary, że zostanie wysłuchany.

Jakubowski cofnął się o krok.

– Zaczekaj! – powiedział. – Tym razem ci daruję! Wracaj do stołu!

Ukrainiec zbaraniał.

– Znaczy – zaczął niepewnie – znaczy co robić mam?

– Wracaj do stołu! Sotennyj pod sąd ciebie wyśle i karę śmierci dostaniesz – opuścił pistolet. – Szkoda, bo nawet ciebie polubiłem – stanął za plecami Dmytra. – Oddam pistolet, a ty przysięgniesz, że nigdy na służbie nie będziesz pić. Obiecuj jeszcze, że zostaniesz tutaj do wytrzeźwienia! Musisz to obiecać, bo jak sotenny się dowie, że puściłem ciebie wolno, to mnie też czeka śmierć! No jak, zgoda?

– Tak, Petro, na wszystko zgoda moja jest.

– No to wypijmy i zapomnijmy o wszystkim – Jakubowski rozlał resztę wódki, a bryndzę z cyjankiem położył przed Ukraińcem.

Wypili, ale tym razem Jakubowski nie udawał. Dmytro włożył do ust podsuniętą zakąskę, patrząc niepewnie na Jakubowskiego. Nagle skrzywił się i w tej samej chwili bezwładnie osunął na ziemię.

Kuty

Było ciemno, kiedy Wise wchodził do domu, w którym mieszkała rodzina Jakubowskich. Szedł ostrożnie, klnąc w duchu na skrzypienie starych schodów. Przed drzwiami chwilę się zawahał, a w końcu delikatnie zapukał. Zza drzwi dobiegły odgłosy przesuwanego krzesła i stłumionych kroków. Nagle wszystko ucichło. Zapukał raz jeszcze.

– Kto tam? – usłyszał kobiecy głos.

– To ja, Izaak Wise. Proszę otworzyć.

Trzymał dłoń na klamce. Czuł, jak ktoś naciska ją z drugiej strony. Otwarte drzwi zaskrzypiały.

„Boże” – pomyślał, kiedy zobaczył Julię. „Jaka ona jest podobna do Miriam”.

– Dobry wieczór – podał rękę. – Czy mogę wejść?

– Proszę – cofnęła się pół kroku, robiąc miejsce. – Michała nie ma w domu. Wróci dopiero za kilka dni, ale proszę usiąść – przysunęła krzesło.

– Wiem, że pani męża nie ma w domu. Jestem jego dowódcą – uśmiechnął się.

Pewność siebie, która mu zawsze towarzyszyła, nagle uleciała. Patrzył w stronę kołyski, w której spała mała Natałka. Wiedział, że Julia nie domyśla się celu jego wizyty.

– Może zaparzę herbaty? – kobieta pierwsza przerwała panującą od kilku chwil ciszę. Nie czekając na odpowiedź, podeszła do węglowej kuchni. Zdjęła fajerki i postawiła czajnik nad buzującym ogniem. Blask płomienia spod czajnika i światło naftowej lampy wyczyniały dziwne harce na ścianach i suficie. Julia nie potrafiła zgadnąć ani po co Wise przyszedł, ani o czym teraz myśli. Pamiętała jednak, że był zaskoczony, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. Na jego twarzy widziała jakiś dziwny niepokój, którego nie potrafiła zrozumieć. Nie próbowała zgłębiać tej tajemnicy, ale zapamiętała, że w głębi jej duszy zatliła się wtedy iskierka dziwnej ciekawości. Teraz, kiedy był w jej pokoju nagle odkryła, że ta iskierka wcale nie przygasła.

– Proszę wybaczyć mi tę wizytę – Wise położył ręce na stole – ale musiałem do pani przyjść. Bardzo proszę, aby zechciała mnie pani

wysłuchać.

– Ale co ja mogę dla pana zrobić?

– Bardzo dużo – oparł dłonie na kolanach – a właściwie nic. Proszę mnie tylko wysłuchać.

Nasypała herbaty do szklanek i zalała ją wrzątkiem.

– Proszę, to dla pana – postawiła przed nim parujący napój.

Upił nieco i skrzywił się, parząc usta.

– Jest pani podobna do Miriam – odsunął szklankę. – Jest pani podobna do dziewczyny, którą bardzo kochałem.

Słuchała opowieści z coraz większym zaciekawieniem, a kiedy skończył, ukradkiem wytarła wilgotne oczy.

– Tak mi przykro! – jej głos ledwie przeciskał się przez gardło, a serce waliło jak oszalałe. – Bardzo panu współczuję.

– Musiałem to pani opowiedzieć – obracał w palcach kartkę papieru, którą bezwiednie wyciągnął z kieszeni. – Teraz jest mi lżej – uśmiechnął się. – Nie, wcale nie jest mi lżej – dodał po chwili. – Julio – delikatnie dotknął jej dłoni. – Ty też przychodzisz do mnie w nocy.

– Jak to? – zdziwiła się. – Nie rozumiem.

– W moich snach przychodzisz. Coraz częściej przychodzisz.

Zmieszała się, ale nie cofnęła dłoni. Jego dotyk sprawił, że poczuła delikatne ciepło płynące gdzieś z jej wnętrza. Nie potrafiła powiedzieć, skąd się ono wzięło, ale było na pewno. Było i powoli ogarniało całe jej ciało. Ten dotyk prawie nieznanego mężczyzny wprowadził ją w stan, jakiego dotąd nie знаła. Milczała, bojąc się, że słowa rozwieją tę dziwną więź, która się między nimi pojawiła. Milczała, bojąc się tej więzi.

– Nie wiedziałem, towarzyszu majorze – Jakubowski stanął na baczność – że cyjanek działa tak szybko.

– A wy skąd o tym wiecie? – major Wise ściągnął brwi. – Przecież jesteście cali i zdrowi.

- Bo nie na sobie go wypróbowałem – Michał uśmiechał się tajemniczo.
- To na kim, do jasnej cholery? Mówcie, kogo otruliście!

Jakubowski złożył szczegółowy meldunek ze swojej misji. Odczuł satysfakcję, kiedy zobaczył, że zrobiło to na oficerze NKWD duże wrażenie.

– Dobra robota – Wise poklepał Jakubowskiego po plecach. – To nie był cyjanek. Dostaliście ampułki z kwasem pruskim, a on działa natychmiast. Poczekajcie chwilę – wyszedł z gabinetu. – Byłem u Prochorenki – powiedział, niosąc butelkę wódki. – Major zaraz przyjdzie. Nad tym wszystkim musimy się wspólnie zastanowić.

Prochorenko także gratulował Michałowi odwagi i skuteczności.

– Odkryliście jedno z wejść do schronu, ale na pewno jest ich jeszcze kilka – dzielił się swoją wiedzą. – UPA buduje schrony głęboko pod ziemią – zaciągnął się papierosem. – Taki bunkier ma kilka pomieszczeń połączonych labiryntem korytarzy. Z naszych doświadczeń wynika, że rozległość takiego schronu może dochodzić nawet do trzystu metrów. Jeżeli odkryte przez was wejście znajduje się na skraju bunkra, to musimy otoczyć je pierścieniem, w którym każdy z żołnierzy znajdzie się jakieś trzysta metrów od chaty. Tak właśnie proponuję zrobić – strzepnął popiół na podłogę. – Przez otoczony teren przejdziemy tyralierą. Jeśli znajdziemy pozostałe wejścia, nasza akcja będzie łatwiejsza. Jak sądzicie, czy oprócz wartownika ktoś jeszcze was widział? – zapalił następnego papierosa.

– Nie wiem, towarzyszu majorze. Chyba nie.

– To dobrze. Jest nadzieja, że cała sotnia będzie w bunkrze.

– Nie liczcie na to, towarzyszu majorze – Jakubowski kręcił głową. – Banderowcy ukrywają się w huculskich zagrodach. To my musimy ich zapędzić do schronu.

– W jaki sposób chcecie to zrobić?

– Wiem, jak tego dokonać – Jakubowski uśmiechnął się tajemniczo. – Ustalmy tylko dzień i godzinę akcji.

– *Jak było na wyszkoli w Stanisławowi?* [229] – pytali istrebitiele. – Cały tydzień nie było was z nami, obywatelu dowódco.

– Tak bardzo tęskniliście za mną? Tak śpieszy się wam do walki? Żle wam było w koszarach? No dobrze, szkolenie było ciekawe, jedzenie lepsze, no i były baby. Czego można chcieć więcej?

Nie wiedział, że tym krótkim oświadczeniem wywoła ożywioną dyskusję na temat jedzenia, wódki, a zwłaszcza kobiet.

– Jedzenie podłe, wódki i bab nie ma – narzekał któryś z istrebitieli. – Do dupy taka służba!

Inni także zaprotestowali i Jakubowski zaczął obawiać się otwartego buntu. Wiedział, że długi czas bez kobiety źle wpływa na każdego mężczyznę, a w jego oddziale ten problem dotyczył prawie wszystkich. Jedynie dwóch miejscowych istrebitieli miało żony, z którymi widywali się niemal codziennie, ale pozostali – nie. Partyzanci generała Kowpaka i komuniści spoza Kut samotność topili w wódce i w gwałtach na Ukrainkach. Gwałty były zakazane, ale zdarzały się często, a wiek ofiar nie miał żadnego znaczenia.

– Uspokójcie się – próbował przekrzyczeć panujący zgiełk – dajcie mi coś powiedzieć. Front jest daleko stąd, Armia Czerwona stoi już nad Wisłą. Jeszcze kilka miesięcy i wojna się skończy. Jednak koniec wojny nie będzie oznaczał końca banderowców. Ich musimy zniszczyć sami.

– Też mi nowina! – kpił jeden z istrebitieli. – Ameryki nie odkryliście.

– Posłuchajcie mnie uważnie – Jakubowski ściszył głos. – Za cztery dni, w piątek o ósmej rano, garnizony z Kut i Kosowa przeprowadzą wielką obławę w Paliwce i Berezce. Przeszukamy wszystkie zagrody, wszystkie połoniny, nawet te najwyższe, i wyłapiemy wszystkich banderowców. To ma być decydująca akcja, dlatego nasz oddział nie będzie już wykonywał innych zadań. Major Prochorenko ocenia, że w góry pójdzie tysiąc żołnierzy. Nie muszę chyba dodawać, że obowiązuje was ścisła tajemnica. Nie wolno rozmawiać na ten temat między sobą ani z żołnierzami z innych jednostek. Jasne?

W pomieszczeniu zapanowała całkowita cisza.

– I jeszcze jedno. W naszym garnizonie jest jednostka łączności, w której służą same kobiety. Po tej akcji wszystkie będą wasze!

Iwan Kazankin był partyzantem generała Kowpaka. Cudem wydostał się z pierścienia, jakim jego oddział otoczyli Niemcy i banderowcy. Długo tułał się po górach, aż w końcu dotarł do Kut i po przesłuchaniu trafił do plutonu lejtnanta Gawryłowa.

Żołnierskiej gorliwości omal nie przypłacił wyrokiem skazującym, kiedy za akcję w Rybakach postawiono go przed sądem. Major Wise potrafił jednak docenić hart ducha byłego partyzanta i od samego początku służył on w oddziale *wojenno-bojowej rozwiadki*, którym dowodził Jakubowski.

Kazankin miał duszę romantyka. Pisał wiersze, recytował je, a nieżyjący już lejtnant Kalnikow przygrywał mu na akordeonie. Razem tworzyli duet, który zawsze wypełniał po brzegi salę garnizonu.

Kazankin był przy tym niezwykle gadatliwym człowiekiem. Potrafił rozmawiać z każdym na dowolny temat i niektórzy z powodu tego gadulstwa zaczęli go unikać. Nikt nie przypuszczał jednak, że niebawem wszyscy będą mu zazdrościć.

Jakiś czas temu spotkali na kuckim rynku trzy ukraińskie dziewczyny. Dwie szybko się oddaliły, ale Natasza została. Chętnie rozmawiała ze wszystkimi, ale, co było oczywiste, najwięcej z Kazankinem. Jak oni jej pożąдали! Jakie uwagi na jej temat wymieniali między sobą! Gotowi byli zrobić wszystko, aby móc chociaż na nią popatrzeć, a ten Iwan, wcale nieprzystojny, miał ją całą. Nikt nie wątpił, że Iwan potrafił słowami oczarować tę śliczną dziewczynę.

Natasza nie miała przed Kazankinem tajemnic. Opowiadała, w jaki sposób banderowcy zabili jej rodziców tylko za to, że pokazali drogę kierowcy radzieckiej ciężarówki. Jak ona tych banderowców nienawidziła! Gdyby mogła, zabiłaby każdego z nich.

– *Adże ce Ukrajincy!* [\[230\]](#) – mówiła do Kazankina. – Dlaczego są tacy okrutni?

Kazankinowi szczerze było żal Nataszy. Mówił jej o tym niejedną raz i obiecał, że kiedy wojna się skończy, to się z nią ożeni. Natasza zawsze wtedy płakała.

– To ze szczęścia – mówiła.

Teraz też był razem z nią i cieszył się bliskością jej ciała.

– *Uże n'edolga, Natasza!* [231] – gładził jej piersi. – W piątek przeszukamy obie wsie i wyłapiemy ich jak szczury.

– Nie chcę, Iwanie, byś szedł w góry – nie broniła się przed jego pieścizotami. – Mówiłeś, że kiedy wojna się skończy, to zostanę twoją żoną. Nie idź tam, proszę. To takie niebezpieczne.

– Muszę – pocałował ją. – Wszyscy żołnierze muszą. Nie będzie żadnych przepustek!

– To przyjdź chociaż na noc.

– Nie mogę. O ósmej wyjeżdżamy z koszar, a po każdej nocy z tobą ledwie trzymam się na nogach. Koledzy to widzą i śmieją się ze mnie.

– No widzisz, mój ty żołnierzku, jakie niebezpieczne są kobiety – czule objęła kochanka.

Michał wyszedł w południe. Żegnając się, zapewniał, że wróci za dwa, może trzy dni.

– Taka jest wojna, droga Julio – pocałował ją. – Niedługo się skończy i już zawsze będziemy razem.

Od spotkania z Izaakiem minęło kilka dni. Michałowi nic nie mówiła, ale tamten wieczór mocno utkwiał w jej pamięci. Izaak był z nią, obok niej i przy niej. Towarzyszył jej przy każdej czynności. Nie odstępował ani na krok. Natałka spała, a ona chodziła bez celu po ledwie oświetlonym pokoju. W końcu także położyła się spać. Kuty okryły nocne ciemności, ale pobliskie koszary, zwykle śpiące o tej porze, dzisiaj kipiały życiem.

Berezka

Fedor Primak spędzał noc z wdową po jednym z chłopaków ze swojej sotni. O czwartej nad ranem zbudził go warkot samochodowych silników. Dziewczyna też się obudziła i wtuliła się w jego ciało, zaczynając miłosną grę.

– Daj spokój – warknął. – Nie teraz – wyskoczył z łóżka jak oparzony. – Jasna cholera – w pośpiechu zakładał spodnie. – Miało być o ósmej.

Reflektory wojskowych ciężarówek, mozolnie wspinających się po wyboistej drodze, co chwila zaglądały do okien chaty. Doliczył się szesnastu, ale z tymi, które przejechały, zanim uwolnił się z objęć gorącej Hucułki, było ich ponad dwadzieścia.

– Godzina, tylko jedna godzina jest mi potrzebna – powtarzał, zapinając bluzę. – Dobrze, że już od wczoraj wszyscy siedzą w bunkrze.

Pocałował kochankę i wyszedł z chaty.

Mroźne powietrze wyostrzyło jego zmysły. Wspinał się ścieżką znaną przemytnikom, potykając się w ciemnościach o kamienie. Odruchowo osłaniał twarz przed oszronionymi świerkowymi gałęziami. Po długim marszu dotarł na szczyt wzgórza, które ze znajdującym się naprzeciw Rabiniec tworzyło jedną z kilku dolin, w jakich leżała Berezka.

Zaczynało już świtać, nadal jednak niewiele mógł dojrzeć, schodząc ścieżką cały czas prowadzącą przez las. Przy dużym kamieniu skręcała i biegła dalej górnym skrajem polany, z której w całej okazałości widać było Rabiniec. Stał majestatycznie, rozmyty w szarości poranka.

Z dołu dobiegły go jakieś odgłosy. Zatrzymał się. Poranna mgła utrudniała obserwację, jednak w odległości najwyżej trzystu kroków w światłach stojących samochodów zobaczył dwa długie szeregi żołnierzy wchodzących na Rabiniec różnymi ścieżkami. Sotennyj zamarł. W całej grozie dotarła do niego okrutna prawda, że to nie jest akcja przeszukiwania Paliwki i Berezki. Stał w milczeniu, łącząc się myślami z towarzyszami walki. Przypominał sobie ich twarze, ich radości i smutki, którymi dzielili się z nim jak z ojcem, chociaż z racji wieku to często on mógł być ich synem. Teraz byli w bunkrze i niczego się nie spodziewali, a on, ich dowódca, nie mógł nic zrobić. Stał jeszcze chwilę, a w końcu z opuszczoną głową ruszył w

drogę powrotną do wsi.

Rabiniec

Wszyscy żołnierze z garnizonów w Kutach i Kosowie biorą udział w tej akcji. Major Prochorenko koordynuje działania kilku kompanii pograniczników i trzech plutonów pomocniczych, liczących razem prawie sześciuset żołnierzy. Dla uniknięcia tragicznych pomyłek, których w walkach z UPA nie brakowało, każdy z żołnierzy ma przewiązane ramię szeroką czerwoną wstążką. Cały Rabiniec otoczony został pierścieniem kilkudziesięciu czteroosobowych patroli, pozostających ze sobą we wzrokowym kontakcie. W obu wsiach czekają w odwodzie dwa plutony pograniczników. Główne siły, liczące ponad dwustu pięćdziesięciu żołnierzy, otoczyły polanę ze stojącą na niej chatą. Tą samą, w której Jakubowski odkrył wejście do podziemnego schronu UPA.

O dziesiątej major Prochorenko dał rozkaz rozpoczęcia akcji i żołnierze ruszyli gęstą tyralierą z głębi lasu w stronę polany. Uważnie przyglądali się każdej piędzi ziemi, każdej kępie krzaków i każdemu kamieniowi. Szczególnie dokładnie sprawdzali koryto wartkiego strumienia, licząc na odnalezienie miejsca, z którego bunkier czerpał wodę.

Po dwudziestu minutach jeden z żołnierzy idących brzegiem strumienia zatrzymał się. Uważnie czemuś się przyglądał, a po chwili kiwnięciem ręki przywołał innych do siebie. Stali w kilku nad spokojnym zakolem strumienia z regularnie kręcącym się wirym.

– *B'erit'es' za rabotu!* [232] – dowódca saperów przydzielał zadania podwładnym. Dwóch z nich układało kamienie w taki sposób, aby odciąć zakole od głównego nurtu strumienia, a dwóch innych uszczelniało ziemią tę prowizoryczną tamę. Wkrótce poziom wody w zakolu obniżył się na tyle, że ukazała się rura z wypalanej gliny.

– Kopać! – w głosie dowódcy saperów pobrzmiwały emocje.

Oddział żołnierzy zabrał się do pracy. Saperzy kopali, a w innym miejscu jeden z pograniczników przyglądał się stercie świerkowych gałęzi. Znajdowała się w lesie, najwyżej dwadzieścia kroków od jego skraju i wyglądała na niedawno i pospiesznie ułożoną.

Pogranicznik zdejmował gałąź po gałęzi i wkrótce odsłonił leśne poszycie, będące mieszaniną igliwia, mchu i ziemi. Wyglądało tak, jakby zryły je dziki. Ukłękł i rękoma zaczął odgarniać ziemię. Po chwili odkrył

okorowany pał grubości przedramienia.

– Chodź szybko! – zawołał stojącego najbliżej kolegę. Rozgarniali poszycie obaj i po kilku minutach odsłoniли kwadratową pokrywę, zrobioną z okorowanych pali. Leżała na dwóch znacznie grubszych, także okorowanych belkach. Chwycili ją z dwóch stron i podnieśli. Ich oczom ukazał się kwadratowy otwór, prowadzący pionowo w dół. Był niewiele szerszy od ramion dorosłego mężczyzny. Z pepeszami gotowymi do strzału ostrożnie pochylili się nad nim. Do jednej ze ścian przytwierdzona była długa drewniana drabina.

Gestami rąk przywoływali żołnierzy będących w pobliżu. Wkrótce pojawił się sam major Prochorenko.

– Dobra robota – pochwalił. – Przykryjcie to wejście. Wy dwaj będziecie go pilnowali.

Wyznaczeni pogranicznicy stanęli w rozkroku, z pepeszami gotowymi do strzału.

Major Prochorenko zwołał pospiesznie roboczą naradę.

– Znamy dwa wejścia do bunkra i miejsce, skąd biorą wodę – informował dowódców kompanii i plutonów. – Ich bunkry mają najczęściej dwa wejścia główne i dwa, czasem trzy wyjścia bezpieczeństwa. Prowadzą do nich wąskie i niskie tunele, którymi trzeba się czołgać. Powiedzmy, że z takim bunkrem mamy do czynienia. Musimy zrobić wszystko, by nie wydostali się wyjściami, których położenia nie znamy. A jak idą prace przy odkopywaniu rur? – zapytał dowódcę saperów.

– Odkopali dziesięć metrów, towarzyszu majorze.

Około południa saperzy natknęli się na gruby świerkowy pień. Po dalszej godzinie odkopali całą ścianę zbudowaną z takich pni. Rury z wodą zniknęły gdzieś w środku tej budowli.

– Wyrąbać pnie – dowódca saperów przekazał rozkaz majora Prochorenki.

Żołnierze zamienili łopaty na ciesielskie topory. Pracowali na zmianę, zmieniali się co kilka minut i wkrótce pierwszy pień był gotowy do wyrwania ze ściany. Ciągnęli, podważali drągami i pień zaczął się ruszać. Po chwili wytoczył się na zewnątrz, odsłaniając fragment podziemnego korytarza. W

tym samym momencie mroczna czeluść bunkra rozbłysła ogniem karabinu maszynowego. Dwaj najbliżej stojący żołnierze upadli na ziemię.

– Padnij! – krzyknął Prochorenko.

– Granaty!

Dwóch pograniczników zsunęło się po ścianie wykopu. Wyciągnęli zawlecзки i równocześnie wrzucili do bunkra po jednym granacie. Nim rozległy się głucho eksplozje, ponownie zagrał karabin, ale tym razem nikt nie ucierpiał.

W bunkrze i obok niego zapanowała cisza. Pogranicznicy ułożyli ciała zabitych kolegów na porośniętej mchem polanie. W ruch poszły ręczne piły i dwa kolejne pnie zostały usunięte. Do wnętrza bunkra prowadził otwór niemal metrowej wysokości, jednak wszyscy trzymali się od niego z daleka.

– Pilnujcie ich – major Prochorenko wyznaczył dziesięciu ludzi. – Tylko dobrze.

Stanęli przy wejściu do bunkra z odbezpieczonymi pepeszami.

– Towarzyszu lejtnancie – Prochorenko położył dłoń na ramieniu dowódcy saperów. – Do roboty.

– Tak jest, towarzyszu majorze, ale ludzie są zmęczeni. Potrzebuję jeszcze piętnastu żołnierzy.

– Kapitanie Romanow, wyznaczcie ludzi do pomocy saperom.

Rozkaz wykonano sprawnie i ponad dwudziestu żołnierzy, brodząc w lodowatej wodzie, przegradzało główny nurt strumienia. Kierowali go do wykopanego właśnie rowu.

– Dobrze uszczelniajcie tamę i niech woda pochłonie to żmijowisko! – major Prochorenko był pewien, że banderowcy tym razem się nie wymkną.

Od godziny strumień wpływał do bunkra sotni Primaka, a dwa znane wejścia były pilnowane przez żołnierzy z bronią gotową do strzału. Późnym popołudniem major Prochorenko ponownie zwołał dowódców.

– Wejście w lesie jest powyżej miejsca, gdzie woda wpływa do bunkra – rysował szkic na kartce papieru. – Tam nie ma wody i nigdy nie będzie. Dziwi mnie jednak, że woda nie pojawiła się dotąd w chacie. Musimy

sprawdzić, dlaczego jej nie ma.

Żołnierze wymienili niepewne spojrzenia.

– Spokojnie – Prochorenko zauważył ich strach. – Najpierw wpuścimy psa, a później... Później będzie potrzebny ochotnik. Oczywiście, jeśli pies wróci.

Prowizoryczną naradę przerwał krzyk biegnącego żołnierza.

– Szybko! Na polanę! Woda wypływa z ziemi!

Pobiegli we wskazanym kierunku. Już z daleka widzieli strumień tryskający w górę pod dużym ciśnieniem. Na trawie leżały cztery ciała sponiewierane przez wodę, kamienie i ziemię.

– Tutaj musiało być wyjście bezpieczeństwa – objaśniał dowódca saperów – a oni nie zdążyli z niego skorzystać.

Poszli do chaty. Otwór w podłodze wskazany przez Jakubowskiego wyglądał złowieszczo. Wzdragali się na myśl, jaką ponurą tajemnicę kryje podziemny korytarz, który się tutaj zaczyna. W słabym świetle latarek widać było jedynie zupełnie suchą ziemię.

– Zaczynamy – major Prochorenko zwrócił się do niskiego mężczyzny z okazałą łysiną.

– Spuszczajcie psa.

– Tak jest, towarzyszu majorze! – opiekun Didka, czteroletniego owczarka niemieckiego, stanął na baczność.

– Dajcie spokój – Prochorenko machnął ręką.

Mężczyzna wyciągnął ze skórzanej torby dwa szerokie pasy. Z pomocą Jakubowskiego przełożyli je pod brzuchem psa i na linach powoli spuścili go na dół.

– Szukaj, szukaj! – zachęcał opiekun i wkrótce stracił psa z oczu.

W chacie zapadła cisza. Wszyscy nasłuchiwali odgłosów z tunelu, jednak nic się nie działo.

– Szukaj, szukaj! – pokrzykiwał co chwila mężczyzna. Po kilku minutach usłyszeli ciche skomlenie. Stało się jasne, że trzeba zrealizować drugi etap planu.

– Są ochotnicy? – Prochorenko przyglądał się zebrany.

Siedzieli ze spuszczoneymi głowami, jakby nie do nich było to pytanie.

– Ja pójdę, towarzyszu majorze – Jakubowski podniósł rękę. – Dajcie tylko pistolet i latarkę. Nóż mam.

– Odważny z was człowiek – Prochorenko z uznaniem kiwał głową.

Jakubowski zszedł po drabinie. Kiedy stanął na dnie korytarza odruchowo pogłaskał psa. Didek zaskomlał przyjaźnie.

Korytarz obudowany był grubymi świerkowymi belkami. Był na tyle wysoki, że można było stanąć w wyprostowanej pozycji, i na tyle wąski, że dwóch dorosłych mężczyzn nie mogło się swobodnie minąć. W słabym świetle latarki można było dostrzec płytkie wnęki przeznaczone do mijania. Niektóre z nich miały małe, mroczne okienka.

„Wentylacja” – pomyślał, kiedy poczuł powiew świeżego powietrza, które różniło się bardzo od zatęchłej woni mieszaniny ziemi, drewna i wilgoci, jaką wypełniony był korytarz. Co kilka kroków tunel zmieniał kierunek. „Jak w transzei” – pomyślał Jakubowski.

Pies szedł przodem z nosem przy ziemi i był spokojny. Po kilkudziesięciu krokach korytarz zrobił się nieco szerszy. Nadal zmieniał kierunek, ale po jego obu stronach znajdowały się tajemnicze rozwidlenia. Jakubowski nie odważył się ich penetrować.

Podłoże stawało się coraz bardziej rozmiękle, a dziwny szum, który towarzyszył mu od samego początku, stawał się coraz głośniejszy.

Nagle Didek stanął. W słabym świetle latarki Jakubowski dostrzegł jego zjeżoną sierść. Pies czemuś się przyglądał i warczał. Michał przeraził się, usłyszawszy za sobą jakieś kroki. Odwrócił się gwałtownie przygotowany na najgorsze, ale korytarz był pusty. „Wyobraźnia” – pomyślał.

Przetarł rękawem spocone czoło i podszedł do Didek. Pies nadal stał bez ruchu i cicho warczał. Korytarz w tym miejscu się rozwidlał. W głębi jednej z odnóg było coś, co zaintrygowało owczarka. Światło latarki wyłuskało z ciemności wejście do jakiejś wnęki. Pies, ośmielony obecnością Jakubowskiego, ruszył powoli przed siebie.

Weszli do ciasnego pomieszczenia, w którym przy każdej ze ścian

znajdowały się drewniane prycze. Panujący nieład świadczył, że to miejsce zostało opuszczone w wielkim pośpiechu. Na jednej z prycz leżał mężczyzna, który tak zaniepokoił psa. Skierował światło na jego twarz i cofnął się. To był Dmytro. Ten sam, którego kilka dni wcześniej otrął w chacie. „O co chodzi?” – pomyślał. „Dlaczego go nie zakopali?”.

Wrócił do głównego korytarza. Jego dnem płynęła wartka struga wody. Ciągłe szedł pod górę, mijając trzy podobne, ale puste wnęki. Szum wody stawał się trudny do zniesienia. Wypełniał bunkier, tłumił wszelkie inne odgłosy i bardzo pobudzał wyobraźnię. Kiedy minął kolejny zakręt, jego oczom ukazała się ściana zamykająca korytarz. Ze szczelin między belkami tryskały strumienie lodowatej wody. Dno korytarza było tak rozmiękłe, że stał w błocie sięgającym niemal połowy łydki.

Domyślał się, że woda wypełniła jakąś dużą komorę i z ogromną siłą napierała na ścianę. Nie wiedział, co to za konstrukcja, ale był pewien, że wkrótce zostanie zniszczona. W pośpiechu rozpoczął powrót.

– Ta część bunkra jest pusta! – meldował ubłocony, mokry i spocony. – Banderowcy muszą znajdować się wyżej.

Major Prochorenko zamierzał to skomentować, gdy nagle dał się słyszeć narastający szum, który wkrótce zamienił się w głucho dudnienie. Chata dygotała tak, jakby za chwilę miała się rozpaść. Nim zorientowali się, w czym rzecz, z wejścia do bunkra buchnęła brudna, spieniona woda. Szybko zalewała izbę, przewracając krzesła i ławę. Przerażeni rzucili się do ucieczki. Kiedy otworzyli drzwi, dosłownie spłynęli ze schodów werandy.

– Mieliliśmy dużo szczęścia! – zziębnięty Prochorenko grzał się przy ognisku. – Nim podejmiemy dalsze działania, musimy się upewnić, czy wasze domysły są trafne – spojrzał na Jakubowskiego. – Jeśli macie rację, to banderowcy są blisko. Może nawet bardzo blisko – patrzył na właz, pilnowany przez pograniczników. – Otwierajcie – rozkazał.

Dwaj żołnierze ostrożnie zdjęli pokrywę. Opiekun z Jakubowskim ponownie spuścili psa.

Zanim wyciągnęli pasy, rozległy się dwa stłumione wystrzały, a chwilę później usłyszeli przejmujący skowyt Didka.

– Taki pies, taki pies – opiekun płakał jak małe dziecko.

Major Prochorenko wezwał dowódcę saperów.

– Wysadzić to żmijowisko – wycedził przez zęby.

– Towarzyszu, majorze – na twarzy dowódcy saperów pojawił się szczery uśmiech. – Mamy miny przeciwpancerne. Wystarczą do rozpieprzenia całej polany.

Leżeli na ziemi w bezpiecznej odległości. W blasku płonącego ogniska obserwowali wejście do bunkra. Nikt się w nim jednak nie pokazał. Nagle usłyszeli śpiew. Śpiew stłumiony i zniekształcony, zupełnie nienaturalny w miejscu, w którym teraz byli. Spojrzeli po sobie i zamilkli. Pieśń niosła się górami i dolinami, lasami i połoninami, a oni słuchali w absolutnej ciszy.

*Jichaw kozak na wijnońku, proszczaw swoju diwczynońku.
Proszczaj, myleńka czornobryweńka, ja idu w czużu storońku.
Proszczaj, myleńka czornobryweńka, ja idu w czużu storońku.
Podaj, diwczyno, chustynu, może ja w poli zahynu.
Temnoji noczi pokryjut oczi, kozak u poli zahynuw.
Temnoji noczi pokryjut oczi, kozak u poli zahynuw.
Ludy uznały nowynu, wziały neszczasnu diwczynu.
Tam sered polia hnetsia topola, tam na strileckij mohyli.
Tam sered polia hnetsia topola, tam na strileckij mohyli [233].*

– *Eta s bunkra!* [234] – odezwał się jeden z pograniczników. Major Prochorenko opuścił podniesioną rękę i w tej samej chwili powietrzem targnęła potężna eksplozja. Ciemności rozświetlił ogień stokrotnie większy niż ten z rozpalonego przez nich ogniska. Na głowy posypał się deszcz gałęzi, kamieni i ziemi. Po chwili wszystko ucichło. Kiedy podeszli bliżej, w świetle latarek zobaczyli ogromny lej, wypełniony kamieniami i kawałkami świerkowych pni. Po wejściu do bunkra nie zostało najmniejszego śladu.

– Towarzyszu dowódco, dziękuję wam – Jakubowski stanął na baczność.

– Przysięgałem zemstę i teraz jestem już spokojny. A wy wszyscy – mówił w stronę głębokiego leju – wy, którzy siedzicie zamknięci pod ziemią jak szczury i czekacie na śmierć, przekonacie się, co to znaczy umierać w cierpieniu. Możecie skrócić swoją mękę. Macie przecież noże poświęcone przez księdza Martynuka. Przekonajcie się, jak to jest ginąć od noża.

Pogranicznicy i saperzy słuchali w milczeniu. Kiedy skończył, zapadła

długa, przejmująca cisza.

– Rozpalcie jeszcze jedno ognisko – major Prochorenko wydał rozkaz głosem, którego dotąd nie znali. – Zostajemy na noc.

Rabiniec milczał przez całą noc i cały następny dzień, a po trzech dniach major Prochorenko zdjął wszystkie posterunki rozmieszczone u jego podnóża.

Kuty

– Obywatelu Jakubowski! – głos majora Wise był stanowczy. – Sprowadźcie swój oddział!

Istrebitiele rozsiedli się wygodnie w świetlicy. Prowadzili ożywioną dyskusję, bo akcja na Rabińcu ciągle budziła emocje. Zamilkli, kiedy przez boczne drzwi z pokoju przesłuchań weszli major Wise, lejtnant Stiepaszkin i oddział żołnierzy z pepeszami gotowymi do strzału.

Żołnierze ustawili się dwójkami przy drzwiach, a czterech stanęło przy stole, za którym podczas rozpraw zasiadali sędziowie.

– Wyjdźcie stąd, Jakubowski! – major Wise lustrował zebranych. – *Snimitie s siebia wsiu adieżdu!* [235] – rozkazał.

– Idziemy do łaźni, towarzyszu majorze? – zapytał ktoś i istrebitiele wybuchnęli głośnym śmiechem.

– Natychmiast! – major Wise uderzył pięścią w stół.

Nadzy, odważni mężczyźni stali niepewnie na środku sali. Ich dobry nastrój zniknął bezpowrotnie. Nie wiedzieli, co ich za chwilę czeka.

– Wśród was jest zdrajca! – krzyczał Wise. – Wśród was jest banderowski szpieg! Czy ma tyle odwagi, aby się ujawnić?

Oddział Jakubowskiego milczał zdumiony.

– Jaki szpieg? – ktoś odważył się zadać pytanie. – O czym, towarzyszu majorze, mówicie?

– Nie mamy czasu na prowadzenie śledztwa – Wise nagle się uspokoił. – Za tymi drzwiami – niedbale wskazał pokój przesłuchań – na stole leży nabity pistolet. Od was zależy, czy sprawa zostanie zakończona honorowo. Jeśli nie, wszyscy będziecie rozstrzelani, a wasze rodziny wywiezione na Sybir.

– Towarzyszu dowódco, drodzy koledzy – Iwan Kazankin stanął między istrebitielami i majorem Wise. – Wybaczcie mi. Nie wiedziałem, że Natasza, że ona... – przerwał w połowie zdania. Pożegnał się z wszystkimi kolegami i pewnym krokiem wszedł do pokoju przesłuchań.

Rok 1945

Kuty

Mimo siarczystego mrozu kilkuset żołnierzy stało bez ruchu na placu odpraw kuckiego garnizonu. Przykryty czerwonym materiałem stół pełnił funkcję trybuny. Generał Karinow wymieniał ostatnie uwagi z niewysokim pułkownikiem.

– *Tawariści kamandiry, tawariści sałdaty!* [236] – mówił donośnym głosem. – Takie uroczystości odbywają się w salach ministerialnych gmachów. My stoimy na mrozie, nasze spotkanie będzie więc krótkie. Mam zaszczyt odznaczyć dwóch z was – otworzył notes. – Majora Prochorenkę wszyscy dobrze znacie. Walczył pod Stalingradem, zawsze był na pierwszej linii frontu. Front poszedł dalej, a on został w Kutach. Został dlatego, że jest doskonałym dowódcą. Tutaj, na Zachodniej Ukrainie, banderowcy są bardzo silni. Major Prochorenko znakomicie sprawdził się w walce z nimi – spojrzał przyjaźnie na dowódcę kuckiego garnizonu. – W uznaniu tych zasług przyznano wam tytuł Honorowego Bohatera Związku Radzieckiego i medal Złotej Gwiazdy. Podejdźcie, towarzyszu majorze.

Prochorenko podszedł do stołu sprężystym krokiem. Po chwili na jego piersi widniała pięcioramienna gwiazda ze szczerego złota, zawieszona na połączanej metalowej baretce, obciążonej czerwoną wstążką.

– Nie tak szybko, towarzyszu majorze – generał Karinow zaśmiał się, kiedy wzruszony Prochorenko zaszutował i zrobił zwrot, chcąc wrócić na swoje miejsce. – Powiedzcie coś od siebie.

Major Prochorenko był zaskoczony i stremowany. Nie lubił publicznych wystąpień. Znacznie pewniej czuł się podczas narad, kiedy dyskutowano o taktyce walki z UPA, a tu generał każe mu zabrać głos.

– Towarzyszu generale, obywatele żołnierze. Spotkał mnie zaszczyt, który nigdy by się nie zdarzył, gdyby nie wasze bohaterstwo. Ten medal wam zawdzięczam. To dzięki towarzyszowi Stalinowi i takim żołnierzom jak wy przegnaliśmy Niemców z naszej ziemi. O tym zawsze pamiętam i dlatego za ten medal dziękuję towarzyszowi Stalinowi, wam i naszej socjalistycznej ojczyźnie – Związkowi Radzieckiemu.

Słowa majora Prochorenki zainicjowały spontaniczny śpiew. Z setek żołnierskich gardeł popłynęły słowa hymnu Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich:

*Sojuz nieruszymyj riespublik swobodnych,
Splotiła nawieki Wielikaja Rus',
Da zdrawstwujet sozdannyj wolej narodow,
Jedinyj, moguczij Sowietskij Sojuz! [\[237\]](#)*

Kiedy śpiew umilkł, generał Karinow zwrócił się do Jakubowskiego:

– Wam też przyznano medal. Zostaliście odznaczeni Medalem za Zasługi Bojowe. Jesteście dzielnym człowiekiem. Swoją odwagą i poświęceniem wspieracie naszą socjalistyczną ojczyznę.

Krążek ze srebra na metalowej baretce obciążonej wstążką koloru szarego, ze skrzyżowanym karabinem i szablą oraz napisami *CCCP* i *Za Bojowyje Zasługi*, zawisł na piersi Jakubowskiego.

Rok 1946

Kuty

Czas bardzo powoli leczył wojenne rany. Tyle ofiar, tyle zbrodni, tak wiele tragedii się wydarzyło, że ludzie nie potrafili o tym zapomnieć.

Sobota, piątego stycznia 1946 roku była dniem wyjątkowym. Od samego rana Kuty przykryła gruba śnieżna pierzyna, jakby zima chciała w ten sposób pożegnać Polaków, jakby chciała przeprosić za to, że muszą zostawić domy, pola, najbliższych i ukraińskich sąsiadów. Mieszkali tutaj od stuleci, ale jutro mieli wyjechać w nieznane.

Już są spakowani. Michał i Julia cały swój dobytek zmieścili w trzech drewnianych kuferkach, które zrobił im jeden z Ukraińców. W Wyżnicy po drugiej stronie Czeremoszu czeka na nich pociąg. Pojadą nim do Polski.

– Jakie to dziwne uczucie jechać do Polski – Michał tulił w ramionach żonę. – Polska była tutaj zawsze, a my jutro jedziemy do Polski – kręcił głową.

Polacy wyjeżdżają, a dla Ukraińców dzisiaj jest Swiatyj Weczir – wigilia prawosławnego i greckokatolickiego Bożego Narodzenia.

– *Sidajte do stolu!* [238] – Dmytro Baniuk zaprosił łamiącym się głosem. – Niewiele na nim, ale kutia i opłatek są.

Wstali, kiedy gospodarz wziął do ręki opłatek.

– To drugi nasz Swiatyj Weczir – mówił wzruszony. – Czego życzyć wam mogę? Szczęścia może i tego, by wy do Polski bezpiecznie dojechali. Niech dobre ludzie tam będą, a nas źle nie wspominajcie i wracajcie do Kut – wierzchem dłoni przecierał wilgotne oczy. Przełamali się opłatkiem.

Było już ciemno, kiedy usłyszeli pukanie.

– *Ce my, Pawlyczky z Rybak, widczyn'ajte! My pryszli poproszczatys'a* [239].

Michał otworzył drzwi. Jewdokia, Myrosław i Oksana weszli do izby.

– My przyszli nieproszeni – Myrosław strzepywał świeży śnieg. – W Swiatyj Weczir nam w domu być trza, no, ale jak, kiedy w Swiatyj Weczir my zawsze razem byli? To i w ten inaczej być nie może i opłatek przełamać z wami musim. O was my pamiętali i wy o nas pamiętajcie. Tyle wojna

zmieniła, tyle ludzi złamała, tyle na złą drogę zwiódła, że i mówić szkoda. Kolędy my razem śpiewali, to dzisiaj jak nie zaśpiewać?

Dał znak i izbę Baniuków wypełniła melodia, która zawsze łączyła Polaków i Ukraińców:

*Boh predwicznyj nam narodywsia,
Pryszow dnes' so z nebes',
Aby wzrił lud swij wes', i utiszywsia.
W Wefłejemi nam narodywsia
Mesyja, Chrystos nasz i pan nasz,
Dla wsich nas nam narodywsia [240].*

Julia siedziała przy stole. Na kolanach trzymała Natalkę, ale myślami była w zupełnie innym miejscu. Od kiedy zlikwidowano sotnię Primaka, Izaaka widziała zaledwie kilka razy. Zauważyła jednak, że te przelotne spotkania i kilka zamienionych z nim słów zawsze ją zmieniały. Zostawiały jakąś pustkę, której nie potrafiła wypełnić. Jutro miało się to skończyć raz na zawsze, a przecież tyle jeszcze chciała mu powiedzieć.

Kuty pożegnały ich siarczystym mrozem. Załadowano po pięć rodzin do każdego wagonu. Na końcu pociągu stłoczono bydło, upchnięto słomę i siano. Skuleni ludzie, ubrani we wszystko, co tylko mieli, na próżno usiłowali znaleźć jakiś cieplejszy kątek.

Jadą już dobieg w trudnym do wytrzymania zimnie i okropnym fetorze. Rozmawiają, ale trudne są to rozmowy. Wspomnienia przeżytych zdarzeń przewalają się w myślach i w słowach niczym chmury letniej burzy nad szczytami Karpat.

Piękny, chociaż zaniedbany i zniszczony dworzec kolejowy w Stanisławowie i krótki postój. Można wyjść na peron, można rozprostować kości. Tyle tu jednak radzieckiego wojska, że strach wychodzić!

Do jednego z wagonów wchodzi dwaj czerwonoarmiści i mężczyzna w cywilnym ubraniu.

Słychać jakieś rozmowy, podniesione głosy, a w końcu kobiecy krzyk i płacz. Po chwili kogoś stamtąd wyprowadzają.

– Jakubowskiego zabrali – mówi ktoś z sąsiedniego wagonu.

Stanisławów

– *My na miestie!* [241] – cywilny członek eskorty zatrzymał się przed bramą pilnowaną przez kilku żołnierzy.

Przemierzali długie korytarze okazałego gmachu jakiegoś przedwojennego urzędu, który teraz w całości zajmował Narodnyj Komissariat Wnutriennich Dieł, nazywany w skrócie NKWD.

– To tutaj. Poczekajcie, zaraz wracam! – dowódca eskorty zniknął na chwilę za dużymi, odrapanymi drzwiami. – Wchodźcie! Pułkownik Kriwonosow już czeka.

Weszli do obszernego gabinetu, prawie nieumeblowanego, z dużą, odrapaną szafą i poniszczonym biurkiem, za którym siedział mężczyzna w mundurze radzieckiego pułkownika. Był średniego wzrostu, okazałej postury. Z uwagą przyglądał się Jakubowskiemu.

– *Sidajt'e, tawariść Jakubowskij!* [242] – powiedział tubalnym głosem. – O waszej pomysłowości i odwadze krążą legendy. Major Prochorenko wyraża się o was jak najlepiej, podobnie jak towarzysz Wise, który, z tego, co mi wiadomo, zwyczajnie was nie lubi. Jestem zadowolony, że mogę was poznać osobiście. Zapalicie? – wyciągnął dłoń z otwartą paczką papierosów.

– Nie, dziękuję – Jakubowski pokręcił głową. – Ja nie palę, towarzyszu pułkowniku.

– *Wot mołodiec* [243] – pułkownik przytknął płonąca zapalną do papierosa i skinął na jednego z żołnierzy eskorty. Wkrótce butelka wódki, kiełbasa, słonina i ogórki znalazły się na biurku Kriwonosowa. Pułkownik rozlał alkohol, a kiedy wypili, od razu przeszedł do konkretów. – Widzicie, Jakubowski – mówił, zagryzając kiszonym ogórkiem – wojna skończyła się dawno temu, a w Karpatach jeszcze ciągle trwa. UPA nie zaprzestała walki. Przetrzebiliśmy ich oddziały, ale nadal kilka tysięcy bandytów jest pod bronią. Tutaj już ich prawie nie ma, ale u was w Polsce to jest duży problem. Całe Bieszczady są pod ich kontrolą. Akcja przesiedlania Ukraińców idzie bardzo opornie. Bojków i Łemków też. Przesiedlenia są dobrowolne, a banderowcy występują przeciw nim. Wiedzą, że wymiana ludności pozbawi

ich zaplecza, a to oznacza szybką likwidację przez oddziały waszego wojska. Dlatego tak zażarcie walczą z ludową władzą i terroryzują ludność. Znacnie zresztą ich metody – sięgnął po butelkę wódki. – To wojna partyzancka. Do rozprawy z banderowcami i z przeciwnikami władzy ludowej wasz Rząd powołał Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, w którym pracuje wielu naszych funkcjonariuszy. Major Izaak Wise także. To na ich prośbę przygotowujemy ludzi, którzy mają przeniknąć do oddziałów UPA. Tak, towarzyszu Jakubowski – zrobił krótką przerwę – to jedyna droga do ostatecznej likwidacji ukraińskiego podziemia i ograniczenia strat po waszej stronie. Chyba domyślacie się, do czego zmierzam?

Jakubowski milczał. Wizja zostania szpiegiem w szeregach UPA pogrążyła go całkowicie. Wiele razy zastanawiali się z Julią nad tym, co będą robili na Ziemiach Zachodnich i jak rozpoczną nowe życie, a tutaj taka perspektywa. Postanowił się jej sprzeciwić.

– Czy mogę się nie zgodzić, towarzyszu pułkowniku? – zapytał.

Kriwonosow ściągnął brwi, a na jego czole pojawiła się głęboka pionowa bruzda.

– Nie! Moja odpowiedź jest krótka i zdecydowana – nie! Jesteście za dobrzy, żeby marnować się w jakiejś kooperatywie. Dopóki wasz kraj nie będzie wolny, wasze miejsce jest w wojsku.

– Mam żonę i małą córeczkę – Jakubowski spróbował z innej strony.

– A czy myślicie, że żołnierze i milicjanci, którzy giną z rąk banderowców, nie mają rodzin? Czy myślicie, że oni nie planowali swojej przyszłości? Mojej propozycji nie możecie odrzucić! To rozkaz! – opróżnił kolejny kieliszek. – Przejdźcie przeszkolenie – wytarł usta dłonią. – Dostaniecie mapy wojskowe, których będziecie musieli nauczyć się na pamięć. Rejonem waszego działania będą Bieszczady.

– Ja to wszystko rozumiem, towarzyszu pułkowniku – Michał wiedział, że już nic nie wskóra. – Powiedzcie jednak, w jaki sposób dostanę się do ich oddziałów. Oni się znają, są bardzo ostrożni i nieufni, a przy tym bezwzględni.

– Tak, to jest problem – Kriwonosow ponownie zmarszczył brwi. – Jednak po górach włóczy się tylu różnych ludzi, że możecie podawać się za niedobitka z sotni Primaka. Będziecie udawali jedyne, który ocalał. Dobrze

wiecie, że cała sotnia została pogrzebana na Rabińcu, więc nie ma nikogo, kto mógłby was zdemaskować.

– Ależ towarzyszu pułkowniku, to było rok temu. Kto uwierzy, że tak długo żyłem w górach?

– Oczywiście, oczywiście – Kriwonosow ponownie zapalił papierosa. – To mało prawdopodobne. Idźcie w zaparte i mówcie, że w czasie akcji na Rabińcu byliście u baby i tym sposobem uratowaliście życie. Później ukrywaliście się na Bukowinie, ale doniesiono na was i musieliście uciekać w góry. W naszych Karpatach już prawie nie ma oddziałów UPA, więc szliście na północ i zachód. Ukrywaliście się przed wojskiem radzieckim, a banderowców, no, partyzantów, nie spotkaliście i w ten sposób doszliście w Bieszczady. Nie ma obawy, tam na pewno się na nich natkniecie. Według naszych szacunków na terenie Polski ukrywają się jeszcze trzy tysiące banderowców. Oni praktycznie kontrolują wasze góry – Kriwonosow przeciągnął się sennie. – A o sotni Primaka wiecie bardzo dużo, więc będziecie wiarygodni. Wasze szkolenie potrwa kilka tygodni. Wyruszyście na wiosnę i wasza wędrówka przez góry powinna być łatwiejsza. Cały czas musicie jednak pamiętać, że to wyjątkowo tajna misja. Grozić wam będzie niebezpieczeństwo ze strony banderowców i naszych, to jest radzieckich i polskich żołnierzy. Oni przecież nie będą wiedzieli, kim wy naprawdę jesteście.

Oborniki Śląskie, Karlików

Blade słońce nieśmiało przebijało się przez poranną mgłę. Oszronione drzewa stały w milczeniu, a trzaskający mróz wyczarował w ich gałęziach fantazyjne wzory. Ptaki nastroszyły pióra i siedziały bez ruchu wśród tej lodowej mozaiki.

Na zasypanym śniegiem peronie dworca w Obornikach Śląskich piętrzyły się najróżniejsze toboły. Wśród nich snuli się zmarznięci i zagubieni podróżni, trzymający na postronkach przestraszone konie i krowy.

Czerwonoarmiści w wysłużonych szynelach pomagali rozładowywać transport, jaki po dwóch tygodniach podróży przyjechał z Kut nad Czeremoszem. Na placu przed kolejowym dworcem tłoczyły się wozy i sanie, które raczkująca polska administracja dała do dyspozycji wojennym

przesiedleńcom.

– Wio! – niski głos woźnicy ledwie przedarł się przez oszronione, sumiaste wąsy. Koń ruszył wolno, ciągnąc nieduże sanie.

Julia siedziała na snopku słomy, wtulona w drewniany kufer i toboły. Na kolanach trzymała Natalkę, opatuloną tak szczelnie, że widać było jedynie jej bystre brązowe oczka. Przywiązana powrozem do sań, niepewnie po ubitym śniegu kroczyła krowa.

– Piętnaście stopni mrozu – woźnica próbował nawiązać rozmowę.

Kiedy minęli budynek poczty, drogę zagrodziła im stojąca w poprzek radziecka wojskowa ciężarówka. Młody żołnierz próbował uruchomić silnik, kręcąc korbą i klnąc przy tym siarczyście.

– Co to? – Julia szarpnęła woźnicę za rękaw. – Co to jest?

– Prrrrr! – ściągnięte lejcami konie stanęły jak wryte.

Woźnica spojrzął we wskazanym przez kobietę kierunku. Z okien okazałej willi buchały białe obłoki czegoś, co lekko unosiło się w powietrzu. Na twarzy mężczyzny pojawił się uśmiech.

– To Ruskie, panienko – powiedział szeptem, bacząc, aby kierowca ciężarówki nie usłyszał. – Prazdnik jakiś mają albo inne święto i czerwonego materiału na flagi im trzeba. No, poduszki rozrywają i puch wyrzucają. Latem zeszłego roku na ten przykład drzewo czereśniowe zrabali, bo czereśni zrywać im się nie chciało. Wszystko niszczą. Mówią, że to germańskie jest, że zdobywcze.

Uspokojona Julia przytuliła do piersi Natalkę i wcisnęła się głębiej w piramidę podróży tobołów.

– Wiśta! – woźnica zaciął lejcami i koń posłusznie skręcił na chodnik, omijając ciężarówkę. – To gdzie jedziemy, panienko? – zapytał, kiedy dotarli do skrzyżowania.

– Nie wiem. A co wy radzicie?

– Wsie w prawo i w lewo są – woźnica poprawił baranicę. – Prosto też, ale tamte niezamieszkałe jeszcze. Mało ludzi tutaj przyjechało. Boją się, że to niemieckie i oddać będzie trzeba. W lewo krajobraz ładny. Pagórki i lasy jak koło Kielc i pustkowie wielkie. Na prawo równina, ale miasto duże na niej.

Breslau Niemcy go nazywali, a Polacy Wrocław albo jakoś podobnie. Ja na miejscu panienki bliżej miasta bym osiadł. Uchowa coś panienka, to i w mieście sprzedać będzie łatwiej.

– Macie rację z tym miastem – Julia poprawiła czapkę na głowie Natalki.

Woźnica kiwnął głową i smagnął konia batem.

– Hejta! – krzyknął donośnie.

– To już tutaj? – zapytała, kiedy wjechali do wsi.

– Nie, panienko. Niemców nie ma, ale nikt jeszcze tu nie mieszka. W Karlikowie dużo ludzi już jest, no tak ze trzydzieści. Tam was, panienko, zawiozę.

Wyjechali ze wsi na rozległą, pokrytą śniegiem przestrzeń, którą tylko sporadycznie urozmaicały krzaki dzikiej róży i tarniny. Wiatr zwiewał śnieg na drogę i trzeba było niemałej uwagi, aby nie wjechać do zasypanego przydrożnego rowu.

– A wy tak sami, panienko, przyjechaliście? – woźnica odwrócił się na chwilę. – Dziecko u was jest, to i ojciec być musi. Samej to ciężko wam będzie – stwierdził, nie doczekawszy się odpowiedzi. Jechali w ciszy, którą od czasu do czasu przerywało żalosne ryczenie krowy.

Pytanie woźnicy przywołało w pamięci Julii zdarzenia sprzed dwóch tygodni. Pociąg stał na stanisławowskim dworcu i oboje z Michałem zastanawiali się, czy nie wyjść na peron, kiedy dwóch czerwonoarmistów i cywil weszło do wagonu. Cywil uważnie przyglądał się przesiedleńcom, a w końcu podszedł prosto do nich. „Pożegnajcie się z rodziną, Jakubowski” – powiedział oficjalnie. „Mamy rozkaz zabrać was z transportu”. „To jakieś nieporozumienie!” – zapamiętała słowa męża. Nie mieli czasu na pożegnanie. „Na pewno wszystko się wyjaśni” – zapewniał – „i szybko do was wrócę”. Pocałował je obie i wyszedł tak, jak stał. Pociąg odjechał bez niego.

– W Stanisławowie z transportu męża zabrali – odezwała się nagle. – Ludzie mówili, że to NKWD było.

– NKWD, powiadacie? – woźnica w jednej chwili spoważniał. – Jak NKWD, to już po nim.

Karlików

Sława wielikomu Stalinu – taki napis powitał ich, kiedy zatrzymali się przed dużym domem na końcu Karlikowa.

– Już jesteście? – Julia ucieszyła się, widząc rodzinę Nowaków, która wcześniej dotarła do wsi i zainteresowała się tym samym domem. Miał dwa wejścia. Dwie bramy prowadziły na oddzielone drewnianym płotem podwórza i duże owocowe sady.

– Niech panienska wpierw zobaczy, co jest w środku – woźnica karmił konie owsem.

Julia i Elżbieta weszły na werandę. Pchnięte wejściowe drzwi łatwo ustąpiły.

– Ktoś wyłamał klamkę – zauważyła Jakubowska.

Podłoga w sieni wyłożona była żółtymi kafelkami, zdobionymi w geometryczne wzory. Drewniane schody, prowadzące na górę, wyglądały tak, jakby ktoś rąbał je siekierą. W sieni było dwoje drzwi. Julia otworzyła jedno z nich i oniemiała. Cały pokój aż po sam sufit wypełniony był sianem tak pachnącym, jakby dopiero wczoraj zostało zwiezione z łąki.

– Przynajmniej będzie ciepło – powiedziała zadowolona – no i krowa przetrwa zimę.

Weszły na górę. Z zagraconego korytarza drzwi prowadziły do niewielkiego pokoju, połączonego z innym, znacznie większym. W obu leżały butelki i niedopałki papierosów.

– Pamiątka po Rosjanach – Elżbieta przyglądała się pustej paczce po papierosach – ale dom ładny i my chyba tutaj zostaniemy.

– Ja też dalej szukać nie będę – Julia kiwnęła głową.

– Kaszka jest be, mamusiu – Natałka skrzywiła się i zamknęła usta.

Julia spróbowała kaszy. Była przypalona i gorzka.

– Poczekaj chwilkę – pogłaskała córkę po głowie. – Pójdę po cukier.

Założyła chustę, zarzuciła na ramiona barani kieptar i wyszła na dwór. Powoli zapadał zmierzch, a bezchmurne niebo zapowiadało mroźną noc.

Długo pukała do drzwi domu Elżbiety, ale nikt nie odpowiadał.

– Dziwne – mruknęła pod nosem. – Nie ma ich czy boją się otwierać po zmroku?

Spojrzała w stronę wsi. Dwa najbliższe domy straszyły oczodołami wybitych okien, ale w następnym zobaczyła mdłe, mrugające światełko. Nie zastanawiając się, ruszyła w tamtym kierunku. Brnęła przez puszysty, skrzypiący pod butami śnieg i wkrótce stanęła przed drewnianą furtką. Z głębi podwórza dobiegało basowe szczekanie psa. Kiedy wchodziła na ganek, zauważyła w oknie jakąś postać. Zanim dotknęła klamki, drzwi otworzył starszy, może siedemdziesięcioletni mężczyzna. Był szczupły, wręcz chudy i miał wydatną łysinę.

– Dobry wieczór – owinęła szal wokół szyi. – Cukru mi zabrakło. Chciałam trochę pożyczyć.

Mężczyzna zawahał się.

– Bitte, bitte – powiedział po chwili. – Prosche – zapraszającym gestem wskazał uchylone drzwi. Julia niepewnie weszła do środka.

Na dużym drewnianym stole, przykrytym białym obrusem, stała naftowa lampa. To jej blask przywiódł Julię do tego domu. Przy stole siedziała starsza kobieta, a obok niej może dwunastoletni chłopiec i o kilka lat starsza dziewczyna w widocznej ciąży. Przy kaflowym piecu, na lnianym chodniku spał bury kot. W izbie panował ład i porządek.

– *Diese Frau die gerade gekommen ist will etwas von uns* [244] – mężczyzna zwrócił się do chłopca. – *Frag was sie will* [245].

– Opa pytać, co pani chceć – malec patrzył na Julię bystrym wzrokiem.

– Cukier chciałam pożyczyć – postawiła szklankę na stole. – Tak trochę.

– Ja być Helmut – chłopiec uśmiechnął się, pokazując białe zęby. – Ja umieć polski. Ja pracować u polski pan. A ty jak nazywać?

– Mam na imię Julia.

– To mój siostra Marlene – Helmut spojrzał na dziewczynę. – *Sie möchte etwas zucker leihen* [246] – powiedział głośno, przypomniawszy sobie cel wizyty Julii.

Starsza kobieta wyjęła z kredensu porcelanowy pojemnik i nasypała cukru do pełna.

– To mój oma Helga – Helmut wskazał palcem starszą kobietę.

Julia zwróciła się w jej stronę i lekko schyliła głowę.

– A ja mam małą córeczkę – uśmiechnęła się do chłopca. – Natałka ma na imię.

– Marlene też urodzić dziecko – chłopiec dotknął ramienia siostry. – Marlene... – zamilkł, skarcony spojrzeniami babci i dziadka. W izbie zapadła cisza.

– To ja już pójdę – Julia uśmiechnęła się niepewnie. – Dziękuję wam, to znaczy *danke* i do widzenia.

Dochodziła do furtki, kiedy usłyszała odgłos otwieranych drzwi, a później wołanie chłopca.

– Pani, pani, cukier! – Helmut wybiegł na ganek. – Pani zapomnieć cukier.

– Pomogę pani – usłyszała niski męski głos i z trudem wyprostowała plecy.

Stał przed nią młody mężczyzna, chłopiec nieledwie. Był szczupły i wysoki, a jego ciemne, kręcone włosy niemal sięgały ramion. Spod grubych, czarnych brwi spoglądały bystre brązowe oczy.

– Jestem Tomasz Zawadka – przedstawił się. – Ten worek jest dla pani za ciężki.

– Julia Jakubowska – nieśmiało wyciągnęła dłoń. Mężczyzna podniósł worek kartofli i położył go na sankach.

– Od sołtysa kartofle wiozę – wyjaśniała. – Worek ciągle mi spada.

– Bo sanki są małe, dlatego spada – wyciągnął z kieszeni sznurek i przywiązał nim worek.

Szli w milczeniu, grzęznąc w głębokim, zmrożonym śniegu.

– Proszę wejść – zachęcała, kiedy zaniósł kartofle do piwnicy. – Ogrzeje

się pan trochę.

Weszli do kuchni. Natałka spała w drewnianym łóżeczku, przykryta grubą pierzyną, ale ogień w piecu wygasł zupełnie.

– No tak – uśmiechnęła się. – Zaprosiłam pana, a tutaj tak samo zimno jak na dworze. Proszę chwilkę poczekać, zaraz rozpalę.

– O nie – wyciągnął rękę po zapalki. – Na pewno pani na to nie pozwoli. Ogień to męska sprawa.

Rozłupywał nożem świerkowe szczapy i wkrótce na palenisku zagościł bladożółty płomień. Powoli dokładał coraz grubsze polana podsycając płomień. Julia postawiła garnek z wodą nad odkrytym paleniskiem.

– Zaraz się zagotuje i zaparzę herbaty – poprawiła zapaskę i usiadła przy stole. – Rozgrzejemy się, bo jakoś zimniej dzisiaj niż zwykle.

Tomasz rozglądał się po izbie, kręcąc głową.

– Pojedyncze okna i popękane szyby – mówił. Podeszedł do drzwi. Schylił się i zapaloną zapalkę przyłożył tuż nad progim. Płomień w jednej chwili pochylił się tak, jakby chciał położyć się na podłodze. – Wieje. Nie wybrała pani najlepszego domu.

Z uwagą przyglądał się, jak Julia nalewa herbacianą esencję do porcelanowej filiżanki.

– Z boku wsi – podsunął swoją – tam bliżej lasu, jest dom. Nikt w nim nie mieszka, chociaż to najlepiej utrzymany budynek we wsi – uśmiechnął się. – Jestem pewien, że warto się tam przeprowadzić.

– Proszę – podsunęła cukiernicę, nie podejmując tematu rozmowy – niech pan posłodzi. Przez ten cukier poznałam niemiecką rodzinę.

– Reitnerów? – Zawadka uniósł brwi. – Jasne, że Reitnerów – odpowiedział sobie. – Głupio zapytałem. W Karlikowie nie ma już innych Niemców. Wszyscy wyjechali. Reitnerowie to porządni ludzie. Nie wiem, dlaczego zostali.

Julia słuchała z uwagą, spoglądając od czasu do czasu na śpiącą córeczkę.

– Reitnerowie mieszkają razem z wnukami Marlene i Helmutem – Tomasz grzał dłonie od filiżanki. – Dzieci są sierotami. Ojciec zginął na

froncie wschodnim, a matka we Wrocławiu, w nieznanym okolicznościach. To stało się w maju zeszłego roku. W Karlikowie stacjonowały odwody Czerwonej Armii. Po zdobyciu Wrocławia wśród czerwonoarmistów zapanowała euforia. Śpiewali, strzelali, samogon lał się litrami, a w końcu ruszyli na wieś. Kiedy Reitnerowie zobaczyli Rosjan, uciekli do piwnicy, ale nic im to nie pomogło. Tamci znaleźli ich i wyprowadzili na górę. Dziadka i chłopca posadzili na krzesłach, a babcię i wnuczkę rozebrali do naga i kolejno gwałcili. Ojciec zna niemiecki i często z Reitnerem rozmawia. Od niego się tego dowiedział.

– Chce pan powiedzieć, że ciąża Marleny to wynik gwałtu?

– Tak, pani Julio – Tomasz kiwnął głową.

– A pan – spuściła głowę. – To znaczy chciałam zapytać, skąd twoja rodzina przyjechała do Karlikowa. Mówmy sobie po imieniu, dobrze? – na jej twarzy pojawił się rumieniec. – Tak będzie łatwiej.

– Z Warszawy – uśmiechnął się. – Mieszkaliśmy w Warszawie do września 1944 roku. Później wyjechaliśmy do rodziny ojca w kieleckie – nagle spowaźniał. – W powstaniu zginęli brat i siostra – mówił wolno, patrząc nieruchomo w blat stołu. – To matka zdecydowała o wyjeździe z miasta. Bała się, że wszyscy zginiemy. Wiesz, że od tamtej pory śledzi każdy mój krok? – wskazał dłonią łóżeczko, w którym Natalka przeciągała się i ziewała.

– Zwyczajnie cię kocha, jak każda matka – Julia wzięła na ręce rozbudzoną córeczkę. – Chcesz siusiu? – zapytała. Dziewczynka pokręciła głową. Przytulona do matczynej piersi, w milczeniu przyglądała się Tomaszowi.

Krosno

– Ona nazywa się Julia Jakubowska – Izaak zapalił papierosa. – Transport wyjechał z Kut szóstego stycznia. A zresztą, co wam będę mówił – wziął ołówek i zaczął notować coś w zeszycie. Przyglądał się kartce z uwagą, a w końcu wydarł ją i podał sierżantowi. – Tutaj wszystko zapisałem – powiedział, strzepując popiół. – Odszukajcie jej adres.

Utrzymujące się od kilku dni ocieplenie sprawiło, że śniegi zaczęły topnieć, zmieniając w czasie dnia drogi w śnieżno-błotne trakty, ale nocne przymrozki ponownie ścinały je w zmrożoną, szklistą i nierówną nawierzchnię.

Julia ubrała Natalkę.

– Nie będziesz płakała w kościele? – pytała, dotykając palcem jej noska, ledwie wystającego spod szalika zakrywającego całą bez mała twarz.

– Nie, mamusiu – dziewczynka pokręciła głową.

Z drewnitni Julia wyciągnęła sanki z napisem Davos, które zostały po niemieckiej rodzinie, zamknęła drzwi na klucz i wyszła na drogę.

Dochodziła do olchowego zagajnika, kiedy usłyszała jakiś dźwięk. Najpierw był delikatny, trudny do odgadnięcia, a później coraz wyraźniejszy. W końcu rozpoznała głos dzwoneczków. Zatrzymała się i odwróciła. Drogą od strony Karlikowa jechały duże ozdobne sanie, ciągnięte przez zadbaną kasztanekę. Zeszła na pobocze, robiąc wolną drogę. Kiedy sanie znalazły się obok nich, woźnica ściągnął lejce.

– Prrr! – zawołał. – Dokąd to idziecie, sąsiadko?

Z kozła spoglądał na nią młody, może trzydziestoletni mężczyzna z niewielkim wąsem. Obok niego siedziała równie młoda kobieta, uśmiechająca się przyjaźnie.

– Do kościoła idziemy – Julia zmrużyła oczy.

– My też. Wsiadajcie, będzie szybciej.

Jakubowska patrzyła niepewnie to na Natalkę, to na woźnicę. Wahala się, czy skorzystać z tej propozycji.

– Czego się pani boi? – mężczyzna był zdziwiony. – My nie gryziemy.

Zeskoczył na drogę i wziął Natalkę pod rękę.

– Ładna – uśmiechnął się. – Podobna do pani.

Posadził dziecko na ławce, przywiązał sanki do sań i szarmanckim gestem zaprosił Julię.

– Wio! – koń smagnięty batem ruszył truchtem, rozpryskując podkowami kryształki lodu. – Kitman się nazywam – odwrócił się do pasażerki. – Nie zna mnie pani. Mieszkam na drugim końcu wsi.

– Julia Jakubowska – podała rękę, drugą tuląc córeczkę.

– Wiem, wiem. W Karlikowie mieszkam od czerwca. Znam wszystkich, którzy do wsi przyjeżdżają. A to Luiza – ruchem głowy wskazał kobietę. – Moja żona.

– No i jak? – Tomasz patrzył jej prosto w oczy. – Podoba ci się ten dom?

– Tak, nawet bardzo – odpowiedziała z pewnym wahaniem.

– Tylko co?

– O przeprowadzce myślałam, od kiedy pokłóciłyśmy się z Elżbietą – spuściła głowę. – Stefan spór załagodził, ale żal w sercu pozostał. Wiesz, jak to jest.

– No to nie wiem, w czym problem. I podoba ci się, i nie chcesz mieszkać blisko Nowaków. Nic tylko się przeprowadzać. Mówiłem, że ci pomogę.

– Ale tu dach przecieka, a w kuchni nie ma okna – spojrzała pytająco.

– To drobiazgi. Wszystko można naprawić.

– Ale ta przeprowadzka to takie trudne.

– Nic nie jest trudne – dotknął jej ramienia. – Krowę się przeprowadzi, siano przewiezie, a rzeczy masz tyle, że na jeden wóz wejdą.

– Znasz Kitmana? – zapytała nagle, przypomniawszy sobie niedzielne spotkanie.

– Znam. Dlaczego pytasz?

– Spotkałam go w niedzielę, to znaczy podwiózł nas do kościoła. Wiesz – zawałała się – on ma taką dziwną żonę.

– Chodzi ci o to, że nic nie mówiła?

– Właśnie, skąd wiesz? Czy ona jest niemową?

– Nie, skądże – Tomasz uśmiechnął się od ucha do ucha.

Kitman został wywieziony z kieleckiej wsi na roboty przymusowe do Niemiec. Trafił do bauera gdzieś w Bawarii, który szybko zorientował się, jak cennego pracownika zesłał mu los. Polak w mig posiadał nie tylko umiejętność posługiwania się maszynami rolniczymi, wcześniej mu nieznanymi, ale też serce jednej z trzech córek gospodarza. Dziewczyna miała na imię Luiza i była najmłodszą z rodzeństwa.

W krótkim czasie Kitman został zarządcą całego gospodarstwa, na którym przymusowo pracowali Polacy, Czesi, a nawet dwóch Francuzów. Trudy całodzienniej pracy wynagradzała mu z nawiązką Luiza i jej ojciec cieszył się, że po wojnie będzie miał u siebie mężczyznę, których tak w Niemczech brakowało. Przeliczył się jednak. W czerwcu 1945 Kitman wyjechał do Polski i ku rozpaczycy bauera zabrał ze sobą Luizę. Na wsi, z której pochodził, nie było dla nich perspektyw, dlatego postanowili osiedlić się na Ziemiach Zachodnich. No i przyjechali do Karlikowa jako jedni z pierwszych osadników. Jakiś czas mieszkali wśród Niemców, którzy nie zdążyli jeszcze wyjechać na Zachód, i to oni pokazali im gospodarstwo, jakie teraz zajmują. Oddali też Kitmanowi swoje najlepsze maszyny rolnicze. We wsi ludzie mówią, że nie zawsze dobrowolnie to robili. Kitman im odpowiada, że przecież do Niemiec w walizkach zabrać ich nie mogli.

Tomasz podszedł do żeliwnej pompy stojącej w kącie kuchni. Przyglądał się jej przez chwilę i zaczął pompować. Do wiadra popłynęła czysta woda.

– No i pompy zalewać nie trzeba – zauważył z zadowoleniem. – Wodę będziesz miała w domu. Zobaczysz, spodoba ci się tutaj.

Otworzył przeszkłone drzwiczki kredensu. Wyjął kubek z namalowanym krasnałem, opłukał go i wylał wodę do żeliwnego, pokrytego emalią zlewu. Nacisnął rączkę pompy dwa razy.

– Napij się – podał kubek Julii. – Sprawdź, czy jest smaczna.

– A nie jest zatruta?

– Nie. Rosjanie sprawdzili wszystkie studnie. Żadna nie była zatruta.

– Smaczna – Julia wytarła usta chusteczką.

– Luiza inaczej wyobrażała sobie życie u boku Kitmana – Tomasz upił wody z tego samego kubka. – Przyjechała na niedawna ziemię i wyobrażała sobie taki porządek, jaki panował w gospodarstwie jej ojca, a zastała opustoszałe i ograbione domy, ludzi przyjeżdżających z różnych stron Polski, najczęściej zagubionych, tak samo jak ona, ale też zwyczajnych szabrowników, dla których życie ludzkie warte jest tyle, co worek mąki, kilka kur lub zabita w chlewiku świnia. Dlatego Luiza po prostu się boi.

Tomasz przyszedł z torbą pełną narzędzi i od razu zabrał się do pracy. Dochodziło południe, kiedy skończył naprawiać okno. Natychmiast zajął się węglową kuchnią. Miała pęknięty blat i zdeformowane fajerki. Długa rura, wchodząca do komina pod sufitem, rozpadła się, kiedy próbował ją poprawić.

– No to mamy kłopot – wytarł rękawem spocone czoło. – Musisz trochę poczekać. Blisko nas stoi pusty jeszcze dom. Wydaje mi się, że tam jest taka sama kuchnia.

– Ale może na dzisiaj wystarczy? – Julia przykryła stół szarym obrusem.
– Tak dużo już zrobiłeś i pewnie jesteś zmęczony.

– Nie – uśmiechnął się, muskając palcem jej nos – nie jestem zmęczony, a ciepło w domu musi być. Wrócę za godzinę.

Przyszedł wcześniej. Przyniósł cały blat, fajerki, rurę i wiadro gliny zmieszanej z piaskiem. Wymiana blatu poszła sprawnie, ale z rurą miał problem – nie mógł dopasować kolana. W końcu jednak i z tym się uporał.

– Wlej kubek wody – poprosił, nie przerywając ubijania gliny i piasku. – Glinę trzeba mieszać z piaskiem, bo inaczej popęka – wyjaśniał. Oczyszczył wlot do komina, włożył rurę z dopasowanym kolaniem. Otwór uszczelnił zmieszaną z piaskiem gliną. – Gotowe – stwierdził z zadowoleniem.

– Ale się ubrudziłeś. Trzymaj mydło – Julia podała duży kawałek kanciastej, brunatnej kostki. – Umyjesz ręce nad zlewem.

– Lepiej wyjdźmy na dwór – zaproponował. – Jestem tak usmarowany, że całą kuchnię zapaskudzimy.

Od kilku minut ogień buzował pod nowym blatem i dudnił w rurze. Powoli kuchnię wypełniało przyjemne ciepło.

– To pierwszy gorący posiłek w tym domu – zauważyła, kiedy zjedli jajecznicę i delektowali się smakiem zaparzonych kwiatów lipy.

– Cieszę się, że mam w tym swój mały udział – Tomasz dotknął jej dłoni.
– Dużo jeszcze jest do zrobienia, ale przecież nikt nas nie pogania.

Pokój wypełniało mdłe światło naftowej lampy. Okrągły stół, nakryty białym obrusem, dźwigał misy z mięsem, ciastem i owocami. Michał, Tomasz i Izaak siedzieli przy stole. Grali w karty i palili papierosy. Kłęby tytoniowego dymu otaczały lampę ze wszystkich stron, przybierając fantazyjne kształty. Mężczyźni milczeli, a ich emocje oddawała jedynie siła, z jaką rzucali karty na stół.

Julia siedziała na kanapie przykrytej czerwonym satynowym prześcieradłem. Przyglądała się im w milczeniu, trzymając na kolanach usypiającą Natalkę. Ścienny zegar miarowo odmierzał czas. Kiedy wybiła północ, Michał bez słowa wyszedł z pokoju. Zostawiła dziecko i podbiegła do drzwi, aby go zatrzymać, ale nie mogła ich otworzyć.

Chwilę później wyszedł Tomasz, a ona znowu stała przed zamkniętymi drzwiami, bezskutecznie szarpiąc klamkę. Izaak przyglądał się jej z uwagą. Nagle chwycił rogi obrusa i ściągnął go ze stołu. Naftowa lampa rozbiła się na podłodze. W pokoju zapanowała ciemność. Ogarnięta strachem, nie miała siły, aby się bronić, kiedy silne męskie dłonie przewracały ją na prześcieradło.

– Przestań Izaak, to boli – próbowała uwolnić się z jego objęć.

– Nie udawaj – szeptał jej do ucha. – Chcesz tego.

„Tak, chcę” – pomyślała i jej opór od razu ustał. „Izaak, Izaak” – szeptała czule, wtulona w jego ramiona.

Wstawał dzień, kiedy obudziło ją delikatne głaskanie. To Natalka siedziała obok i bawiła się jej włosami.

– Co to jest Izaak, mamusiu? – zapytała.

W połowie kwietnia słońce stało już wysoko. Jego promienie budziły z zimowego letargu drzewa, rośliny i ptaki. Szybko zbliżała się spóźniona w tym roku Wielkanoc i mieszkańcy wsi tłumnie przystępowali do spowiedzi.

„Mam szczęście” – pomyślała Julia, kiedy po wejściu do kościoła zobaczyła przed konfesjonalem tylko dwie osoby. Uklękła w ławce, zmówiła kilka modlitw, ale rachunku sumienia zrobić już nie zdążyła.

– W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego – klęcząc w zamkniętym konfesjonale, zrobiła na piersiach znak krzyża.

– Amen – usłyszała nieco ochryply głos księdza.

– Ostatnio spowiadałam się trzy lata temu i przystępuję do spowiedzi z następującymi grzechami – wyrecytowała formułkę, którą pamiętała z lekcji religii. Nagle ogarnęła ją pustka. Pamięć o uczynkach, które uznawała za grzech, gdzieś uleciała, pozostawiając przerażającą pustkę.

– Tak, słucham – ksiądz poprawił poduszkę, na której siedział. – Proszę mówić.

– Kiedy, proszę księdza, ja... ja nic nie pamiętam.

– Ach, te młode kobiety – ksiądz udawał zgorzonego. – Spowiedź wielkanocna, najważniejsza w roku, a żadna nie robi rachunku sumienia. Otworzył drzwi konfesjonalu i chwilę rozglądał się po pustym kościele. – Pomogę ci – powiedział. – Mamy dużo czasu. Dzisiaj chyba już nikt do spowiedzi nie przyjdzie.

– Przepraszam – mówiła ze skruchą w głosie. – Tak jakoś wyszło.

– Nic się nie stało, ale na przyszłość poświęć Bogu trochę więcej czasu. Dobrze?

– Tak, na pewno to zrobię.

– Grzech to życie niezgodne z bożymi przykazaniami zapisanymi w Dekalogu – ton głosu księdza ze zgorzonego zmienił się w mentorski. – Znasz Dekalog, prawda?

– Znam – odpowiedziała niepewnie.

– To pomyśl o każdym przykazaniu i przypomnij sobie, czy żyjesz z nimi w zgodzie.

Ta dziwna spowiedź trwała już dość długo, a sumienie Julii było zupełnie czyste. Czasem wydawało się jej, że coś było grzechem, ale ksiądz Władysław usprawiedliwiał to czasem wojny, który inaczej kazał przyglądać się sprawie bożych nakazów.

– A dziewiąte? – ksiądz Władysław obracał w palcach frędzle stuły. – Czyli nie pożądaj żony bliźniego swego. To znaczy męża w twoim przypadku. Jak jest z tym u ciebie?

– Tomasz i Izaak – próbowała pozbierać rozbiegane myśli. – Obaj nie są mi obojętni.

– Masz męża? – ksiądz przerwał przedłużającą się ciszę.

– Mam – czuła, jak jej twarz oblewa rumieniec wstydu, a policzki zapiekły nieznośnie – ale nie wiem, gdzie jest i co się z nim dzieje.

– Jak mam to rozumieć?

– W Stanisławowie z transportu NKWD go zabrano – mówiła łamiącym się głosem. – W styczniu to było. Od tej pory nie mam żadnej wiadomości. W Kutach, w istrebitielnych batalionach był i tam miał dowódcę Żyda. To o nim myślę, chociaż nie chcę. To on często mi się śni. Nie wiem, czy to jest grzech.

– A modlisz ty się do Pana?

– Tak.

– Rano i wieczorem?

– Tylko wieczorem.

– To za grzechy żałuj, a za pokutę módl się do Boga, także każdego ranka.

Ksiądz Władysław złożył ręce i zaczął się modlić po łacinie. W końcu zrobił znak krzyża i zapukał w kratkę konfesjonału.

Po rezurekcji Julia i Natalka zostały zaproszone do Nowaków na wielkanocne śniadanie.

– Życzę wam dużo zdrowia – Stefan trzymał talerzyk ze święconym jajkiem. – Niby radosne to święta, ale jednak smutne – głos mu się łamał. –

Kasi z nami nie ma. Tyle radości wносиła do naszej rodziny, tyle szczęścia i nadziei. Weźcie to święcone jajko i niech żadne kłótnie już nas nie dzielą – spojrzał na Julię i Elżbietę. – Naprawdę nie warto.

Mimo świątecznego nastroju i starań Stefana atmosfera przy stole nie była serdeczna. Kłótnia pomiędzy Elżbietą i Julią z powodu rozgrzebanych przez kury grządek była zbyt świeża, aby można było o niej zapomnieć.

W południe matka i córka wyszły od Nowaków. Kiedy skręcały na drogę prowadzącą do ich domu, zauważyły Tomasza. Szedł w stronę lasu, trzymając ręce w kieszeniach. Od czasu do czasu podbiegał, kopiąc polne kamyki. Ręką przyciskał jakiś pakunek. Szedł wolno, ale odległość między nimi nie malała.

– Tomaszu, poczekaj! – zawołała, kiedy mijał ich dom.

Chłopak przystanął.

– A ty dokąd się wybierasz? – zatrzymała się obok niego.

– Nie wiem – wzruszył ramionami. – A czy to nie wszystko jedno?

– No to zapraszamy do nas, prawda, Natalko?

– Prawda, mamusiu.

– Zimno tu – zauważył, kiedy weszli do kuchni. Położył na stole szare kartonowe pudełko, przewiązane zieloną wstążeczką.

– Byłam na rezurekcji, a później u Nowaków – Julia zdejmowała płaszcz.
– Nie zdążyłam rozpalić.

– Ja to zrobię – wziął ją za rękę i posadził przy stole. – A to prezent dla Natalki – skinieniem głowy wskazał kartonowe pudełko.

– Co tam jest, mamusiu?

– Nie wiem, córeczko. Wujek Tomek zrobił ci niespodziankę. Wprawnie odwiązała wstążeczkę. – Jaka śliczna! – zawołała, unosząc do góry kolorową szmacianą lalkę.

– Daj, mamusiu, daj – Natalka podbiegła do niej natychmiast.

– Poniemiecka – Tomasz rozłupywał drewniane polana. – Była w domu, który zajęliśmy.

Zapadł wieczór i Julia zapaliła naftową lampę. Położona w łóżeczku Natałka szybko usnęła, przytulona do szmacianej lalki.

– Nie lubię ani Wielkanocy, ani Bożego Narodzenia – oznajmił nagle Tomasz. – To rodzinne święta, a przy naszym stole są puste miejsca.

– Myślisz o bracie i siostrze?

– O nich też – utkwiał nieruchomy wzrok w blacie stołu.

– O kimś jeszcze? – przyglądała się mu uważnie.

– Miała na imię Magda – Tomasz zgniał w palcach brzeg obrusa. – Była sanitariuszką. Zastrzelił ją niemiecki snajper, kiedy opatrywała ранego powstańca. Przepraszam. Nie powinienem tego mówić. To nie ma sensu. W tej wojnie każdy stracił kogoś bliskiego.

– Ma sens, i to głębszy, niż się nam wydaje – Julia zaprotestowała. – Tłumienie emocji nie ma sensu, ale podzielenie się nimi z kimś... no z kimś bliskim, czasem przynosi ulgę.

– Dziękuję za zaproszenie – przytrzymał jej dłoń, kiedy późnym wieczorem żegnali się w sieni. – Dzięki tobie ten dzień jakoś minął.

– A ja dziękuję za prezent dla Natałki, ale... – zawahała się. – Mówiłeś, że nie wiesz, dokąd idziesz, no wiesz, w południe.

– Bo naprawdę szedłem bez celu.

– To dlaczego wzięłeś ze sobą lalkę?

– Dobranoc – uśmiechnął się. Pocałował ją w policzek i wyszedł.

Bieszczady, Beskid Niski

Szkolenie zaplanowane na kilka tygodni przeciągnęło się do czterech miesięcy. Jakubowski władał białą i palną bronią, poznał strukturę polityczną OUN i wojskową UPA, a rozległy teren Bieszczadów i Beskidu Niskiego znał z map niemal tak dobrze jak Pokucie i Bukowinę.

Pod osłoną nocy przewieziono go do Stryja, a później do Wołowca, leżącego u podnóża górskiego pasma Borżawy, i tam zostawiono. Szedł górkami ścieżkami, starając się omijać wyludnione wioski. Nocował w opuszczonych domach i stodołach. Czasem, kiedy spotkał gospodarza, prosił

o nocleg. Nikt mu nie odmawiał, nikt nie pytał, kim jest ani dokąd idzie. Zostawił za sobą Niżne Worota, Iwaszkowce, Matków, Wysocko Wyżne i Niżne i dotarł do Boryni, gdzie zrobił dwudniowy odpoczynek. Bez problemów przekroczył San, który był nową granicą Polski. Niósł poniszczony lniany worek, przytroczony do grubego kija. Z każdym krokiem uwierał go coraz bardziej. Z żalem wspominał huculskie koniki, z którymi przemierzał bezdroża Gór Sokolskich.

Był w drodze już od tygodnia i jak dotąd uniknął spotkania z wojskiem. Wiedział, że gdyby do tego doszło, ma odmówić składania wyjaśnień i żądać odstawienia do najbliższego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. W duchu prosił jednak o takie spotkanie, które mogło oznaczać koniec jego misji i upragniony wyjazd na Ziemię Zachodnie do żony i córki.

Dzień powoli zbliżał się ku końcowi. Szedł ścieżką biegnącą skrajem lasu i myślał o noclegu, a kiedy zobaczył w dole drewnianą chatę, uznał, że to właśnie ona da mu dzisiaj schronienie. Dom leżący u podnóża rozległej połoniny okazał się opuszczonym pasterskim szałasem, a woń owczego gnoju była trudna do zniesienia. Nie jadł kolacji. Zagrzebał się w sianie i zasnął przytulony do wilgotnej ściany.

Obudził go stłumiony gwar. Nasłuchiwał uważnie, a im więcej rozpoznawał słów, tym mocniej biło mu serce. Kilku mężczyzn rozmawiało po ukraińsku.

– Musi być blisko – mówił jeden z nich. – Po ciemku by nie szedł.

– Dobrze mówisz – przyznawał ktoś inny. – Ale tu go nie ma. Wracajmy do wsi, jutro go znajdziemy.

Rozmowa ucichła, a nieznajomi wyszli z szałasów.

Mimo zmęczenia Michał nie zasnął do rana. Było jeszcze ciemno, kiedy ruszył w dalszą drogę.

– *Deż to idete pane?* [247] – zagadnął go mężczyzna stojący przy rozpadającym się płocie, kiedy mijał ostatnią zagrodę jakiejś wsi.

– Przed siebie – odpowiedział zdawkowo. Skierował się w stronę pobliskiego lasu, nie mając ochoty na rozmowę.

– Nie idź do lasu – mężczyzna wykonał kilka ruchów dłonią z wyciągniętym palcem wskazującym. – Złą drogę wybrałeś. Od rana obcy

ludzie tam są.

– Partyzanci? – zapytał.

– Nie, to nie oni, panie.

Mimo ostrzeżeń nieznanego nie zmienił planów. Ścieżka, którą szedł, zrobiła się bardziej stroma, a przed nim był las porastający szczyt Kiczery. Czuł się nieswojo.

„Może jednak powinienem posłuchać?” – myślał, zagłębiając się w leśnej gęstwinie.

– *Stij! Ruky whoru!* [248] – usłyszał nagle za plecami.

Zatrzymał się, położył przytroczony do kija worek i spokojnie uniósł obie ręce.

– *Widwernyc'a!* [249]

Kiedy i ten rozkaz wykonał, zobaczył grupkę ludzi w brudnych i poniszczonych ubraniach. Kilku z nich mierzyło do niego z pepeszy.

– *Wy chto takyj i kudy jdete?* [250]

– Ja Ukrainiec – powiedział pewnie, starając się zapanować nad emocjami. – Przed siebie idę. Ruscy na Sybir rodzinę wywieźli.

– Walczyłeś z Ruskimi?

Kiwnął głową, że tak i od razu zwątpił. Od początku wydawało mu się, że ma do czynienia z oddziałem UPA. W ogóle nie zastanawiał się, że może to być ktoś inny. Zaniepokoiło go jednak to, że dowódca oddziału słabo mówi po ukraińsku i że nikt inny dotąd się nie odezwał. Przypomniał sobie swój oddział wojenno-bojowej rozwiadki, z którym przemierzał góry w okolicach Kut. Wtedy było podobnie. Z Hucułami rozmawiał tylko on, a inni milczeli.

– Nie jesteście banderowcami – dowódca wolno wymawiał słowa – za to wiemy, kim ty jesteś. Należy się tobie kula w łeb, ale od nas dostaniesz inną pamiątkę. Taką na całe twoje zasrane odtąd życie. Związać go.

Dwaj mężczyźni doskoczyli do niego i nim zdążył zareagować, stał pochylony z wykręconymi do tyłu rękoma. Po chwili znajdował się już przed młodym bukiem. Jeden z mężczyzn wprawnie wiązał mu nogi na wysokości kostek, drugi zdarł kieptar i koszulę, a ręce związał w nadgarstkach tak, że

obejmował drzewo.

– Kim jesteście? – krzyknął. – Co chcecie ze mną zrobić?

Nagle obleciał go paniczny strach, bo dobrze wiedział, że w podobny sposób banderowcy przygotowują swoje ofiary do zdzierania skóry.

– Boisz się? – dowódca odłożył pepeszę. – Tak, masz się bać. Bandziory muszą się bać.

Nagle poczuł ostry ból, przeszywający całe ciało. Nóż w rękach milczących cały czas oprawców zataczał na jego plecach dziwne kręgi i linie. Próbował powstrzymać krzyk, ale nie dał rady. Kiedy odzyskał przytomność, był sam. Tajemniczy oddział gdzieś zniknął.

Nie umiał ocenić upływającego czasu. Związane ręce i nogi nie pozwalały na zmianę pozycji, a plecy bolały niemiłosiernie. Próbował uwolnić się z więzów, ale sznur był silny i tak zawiązany, że szybko zrezygnował. Wzywał pomocy, jednak odpowiadało mu tylko echo. Wiedział, że sam nie da rady – umrze albo rozszarpia go dzikie zwierzęta, jeśli nikt nie pośpieszy mu z pomocą.

Kiedy się obudził, słońce było już schowane za wierzchołkami drzew. Zastanawiał się, gdzie jest. Próbował odtworzyć trasę wędrówki, ale szybko się pogubił. W końcu uznał, że nie ma to żadnego znaczenia.

W środku nocy ponownie zapadł w letarg. Ocknął się nad ranem i usłyszał stłumione głosy.

– Ludzie, pomocy! – krzyknął. – Tu jestem. Ratunku!

Nagle zapanowała cisza.

– Tu jestem. Ratunku! – powtórzył przerażony, bojąc się, że mogli go nie usłyszeć.

– *Tam, ce zwidty!* [251] – dobiegł go wyraźny głos. Trzask łamanych gałęzi stawał się coraz głośniejszy. Po chwili otoczył go oddział dwudziestu, może trzydziestu mężczyzn.

Krzywiąc się z bólu, opowiadał o spotkaniu ze swoimi oprawcami. Nie zastanawiał się, że i tym razem nie wie, z kim ma do czynienia.

– Taaak – dowódca oddziału zamyslił się. – Ten, co rznął twoje plecy, nie miał wprawy, a naszych tutaj nie było. To musieli być Polaczki. Wiesz, co ci wycięli na plecach?

– Nie – Jakubowski skrzywił się. Uśpiony ból stał się nagle tak nieznośny, że na jego twarzy pojawił się grymas cierpienia.

– Tryzuba ci wyrznęli. Masz na plecach znak tryzuba, a to zobowiązuje. Jest nas coraz mniej i potrzebujemy ludzi. Kiedy wyzdrowiejesz, dołączysz do naszego oddziału. Teraz zaprowadzimy ciebie do wsi. Tam się tobą zajmą.

Kiedy ruszyli, dowódca przywołał dwóch zaufanych ludzi.

– Coś mi się tutaj nie podoba – powiedział. – Uważajcie na niego.

Krosno

– Kapitanie Zeliński! – major Wise stał przy biurku z zaciśniętymi pięściami. – Postępujecie tak, jakbyście nie wiedzieli, że wojna zakończyła się rok temu. Porozumienie o wymianie ludności obowiązuje już dwa lata, a deportacja ludności ukraińskiej z Polski przebiega bardzo powoli. Polacy z Wołynia i Pokucia wyjeżdżają masowo, a Ukraińcy z Polski – nie. Grupa Operacyjna „Rzeszów” nie może uporać się z oddziałami UPA i z przesiedlaniem. Dowództwo zarzuca nam zbyt łagodne traktowanie ludności cywilnej i muszę przyznać, że ma rację. Tak dalej być nie może.

– Majorze Wise – kapitan Zieliński przysunął się do biurka. – Mówicie tak, jakbyście nie wiedzieli, że sytuacja Polaków z Wołynia i Pokucia jest inna niż miejscowej ludności. Tamte tereny należały przed wojną do Polski, ale Polacy byli w mniejszości. Banderowcy wymordowali tysiące z nich, a ci, co przeżyli, wyjazd traktują jak wybawienie. Ich nie trzeba do tego zmuszać – rozlał do szklanek resztę wódki. – Tutejsza ludność nie w całości jest ukraińska – postawił szklankę przed majorem. – Łemkowie to prości i życzliwi nam ludzie.

– Gównu życzliwi – major usiadł. – Jeśli są życzliwi, to dla banderowców. Dlaczego nie chcecie tego przyjąć do wiadomości?

– Wasze zdrowie – Zieliński wznosił toast. – Musimy ich zrozumieć, bo ta, jak mówicie, życzliwość to strach przed banderowskim terrorem.

– No cóż, kapitanie – Wise szykował się do wyjścia – widzę, że każdy z nas pozostanie przy swoim. Chcę wam przypomnieć, że za dwa dni wysiedlacie Porohate Niżne, a z tego, co wiem, tylko dwie rodziny zgłosiły się dobrowolnie.

– To prawda – kapitan skinął głową. – Moja kompania przeprowadzi tę akcję.

– Obym się mylił – major zatrzymał się w progu – ale uważam, że wojsko, którym dowodzicie, nie jest do tej akcji dobrze przygotowane.

– Szybko to załatwiliście – Wise przyglądał się to pogniecionej szarej kopercie, to sierżantowi, który ją przyniósł.

– To nie było trudne, obywatelu majorze. Nasze służby działają sprawnie.

– Gówno sprawnie! Banderowcy robią, co chcą, a wy pieprzycie o sprawnym działaniu – major kuchennym nożem rozcinał kopertę. – Karlików, Oborniki Śląskie? – podszedł do dużej ściennej mapy. – Gdzie to jest?

Dom Julii i Natalki stał przy polnej drodze z Karlikowa do Ozorkowa. O ile Karlików leżał przy szosie prowadzącej do Wrocławia, o tyle Ozorków był wsią, o której zapomnieli nie tylko Pan Bóg, ale i większość osadników przybywających na Ziemi Zachodnie. Dlatego w kwietniu 1946 roku liczba mieszkańców Karlikowa dochodziła do stu, a Ozorków zamieszkiwało zaledwie dwadzieścia osób. Placówka pocztowa, obejmująca administracyjnie te same wsie, co parafia, mieściła się w zrujnowanym budynku w Szczepanowie i nosiła dumną nazwę urzędu. Listonoszem był stary Tkaczuk, mieszkający w Karlikowie, w którym piastował dodatkowo funkcję sołtysa. Tkaczuk rozwoził listy dla mieszkańców Szczepanowa, Karlikowa i Ozorkowa. Jego środkiem lokomocji była poniemiecka damka, dobra na karlikowską szosę, ale prawie nieprzydatna, kiedy udawał się do Ozorkowa. Piaszczysta droga zmuszała do pchania roweru i tylko niewielki jej odcinek, prowadzący przez las, mógł z trudem przejechać.

Dochodziło południe, kiedy Tkaczuk zatrzymał się przed domem Julii. Oparł rower o parkan i dłonią ocierał pot z czoła. Jakubowska, która zobaczyła go przez okno, wyszła do furtki.

– Dzień dobry – uśmiechnęła się przyjaźnie, poprawiając pośpiesznie założone sandały. – Ma pan coś dla mnie?

– Listu nie ma – listonosz ciężko sapał – ale mam dobre wiadomości. Pole panience zaorali i kartofle z UNRRY w mojej stodole na sadzenie czekają. Pobronować tylko trzeba, no i sadzić.

Reforma rolna ogłoszona we wrześniu 1944 przez PKWN pozwalała tworzyć jedynie małe gospodarstwa, ale latem 1945 roku na terenach poniemieckich mogły już powstawać nawet piętnastohektarowe farmy. Kitman wziął właśnie tyle, pięć hektarów dokupił w sobie tylko znany sposób i jego gospodarstwo stało się największym w Karlikowie. Po

Niemcach przejął narzędzia rolnicze. Najcenniejsza była snopowiązałka, którą musiały ciągnąć aż trzy konie. Równie przydatna była młockarnia napędzana z przewoźnego silnika elektrycznego. Kitman miał jeszcze żniwiarkę, roztrzęsacz do siana, dołownik i kopaczkę do kartofli, pługi, płużki, kultywatory i brony. Wszystkie narzędzia były w dobrym stanie, a on wkładał niemało pracy, aby ten stan utrzymać.

Kitman i większość ludzi, którzy do Karlikowa przybyli, byli skazani na siebie. On miał duże gospodarstwo, narzędzia i konie, ale brakowało mu rąk do pracy. Oni narzędzi nie mieli, a ich gospodarstwa w większości były małe, najwyżej kilkuhektarowe. Z tego powodu Kitman chętnie świadczył usługi rolnicze, stosując prostą zasadę – godzina jego pracy z wykorzystaniem konia i narzędzi odpowiadała dniówce pracy u niego.

Julia rozglądała się niepewnie po rozległym podwórzu Kitmana. Dom mieszkalny, obora, stajnia, podręczny warsztat, pomieszczenie z piecem chlebowym i stodoła zamykały je z trzech stron, a wysoki drewniany płot – z czwartej. Ze stajni dobiegało ciche rżenie koni. Kury wygrzewały się w słońcu, obsypując się rozgrzanym piaskiem. Łańcuchowy pies wyjrzał z budy, szczeknął kilka razy i położył się na ziemi, opierając łeb na złożonych łapach. Znudzone wzrokiem obserwował niespodziewanego gościa. Zza uchylonych wrót stodoły dobiegało miarowe stukanie. Julia skierowała się w tamtą stronę.

W stodole panował półmrok, rozświetlany jedynie wąskim strumieniem słonecznego światła, wdzierającego się przez uchylone wrota. Chwilę trwało, zanim między sąsiadem a młockarnią zobaczyła Kitmana. Siedział na stołku i klepał kosę. Nie zauważył jej i nie przerywał pracy.

– Dzień dobry – powiedziała głośno.

– A, dzień dobry, sąsiadko – Kitman odłożył młotek. Wstał i prostował zgięte plecy. Uważnie przyglądał się Julii, której twarzy z powodu świecącego z tyłu słońca nie mógł dokładnie zobaczyć. – A co to się stało, że do mnie przyszliście?

– Przeszkadzać panu nie będę – mówiła szybko. – Traktory pole zaorały, pobronować trzeba i kartofle posadzić.

– Pobronować, posadzić, mówicie – Kitman gładził dłonią kilkudniowy zarost. – To da się zrobić, ale nie dzisiaj. Jutro też nie – u siebie mam robotę.

Pojutrze może być?

– Może – Julia z zadowoleniem kiwnęła głową. – Pewnie, że może. A o której pan przyjedzie?

– Ale wiecie, sąsiadko, że za godzinę pracy przyjdziecie do mnie na cały dzień?

– Tak, wiem. Ludzie mówili mi o tym.

– No, chyba że... – Kitman zawiesił głos, kładąc rękę na jej ramieniu.

– Chyba że co? – zapytała niepewnie.

– Chyba że się inaczej dogadamy – prowadził ją w stronę drzwi stodoły.

– Nie rozumiem.

Kiedy przechodzili obok otwartego sąsiedka, chwycił ją mocno za rękę i wciągnął do środka.

– Chyba że dasz mi coś innego – wykręcił ręce i przywarł do niej całym ciałem. – No co, dogadamy się? – sapnął.

– Puść mnie! Ty świnię! – próbowała się uwolnić z żelaznego uścisku, ale był na to przygotowany i nie dał się zaskoczyć. Chwycił ją oburącz za ramiona i pchnął na siano. Upadła i zanim zdążyła cokolwiek zrobić, leżał na niej, trzymając ją za ręce.

– Nic ci nie będzie – ciężko dyszał. – Innym nie było, to i tobie nie będzie. Całował usta i szyję, zdmuchując czosnkowym oddechem źdźbła siana z jej twarzy. – No, już lepiej – mruczał zadowolony, kiedy jej opór ustał zupełnie. – Dobrze wybrałaś. Przyjemność będziesz miała, kartofle posadzimy, a odrobku nie będzie. Podniósł się, stanął nad nią w rozkroku i zaczął rozpinać spodnie. – No widzisz – uśmiechnął się. – Rozumiemy się bez słów.

Julia leżała bez ruchu z przymkniętymi oczyma sprawiając wrażenie pogodzonej z losem. Powoli rozchyłała uda i uginała nogi. Nagle jedną z nich wyprostowała najenergiczniej jak potrafiła i sąsiedk wypełnił przeraźliwy krzyk Kitmana. Mężczyzna zwałił się na siano i trzymając oburącz za krocze, zwijał się z bólu. Julia zerwała się na równe nogi, podpierając na jęczącym Kitmanie. W pośpiechu zapięła bluzkę, poprawiła sukienkę i zapłakana wybiegła ze stodoły.

– To prostak i cham – Tomasz krótko podsumował zdarzenie, o którym mu w tajemnicy powiedziała. – Wszyscy we wsi wiedzą, jaki jest. W zeszłym roku przy sianokosach przewrócił jedną z kobiet na siano. Broniła się, okładała go pięściami, ale on jest silny i śmiał się tylko. Obmacywał ją, wkładał rękę pod spódnicę, no wiesz...

– A inne kobiety? – Julia pociągnęła nosem. – Nie przyszły jej z pomocą?

– Nie. Tylko się przyglądały i cieszyły, że to nie do nich dobiega się Kitman. No, nie płacz już – objął ją ramieniem. – Dałaś mu niezłą lekcję.

Przez chwilę milczeli oboje, tylko Tomasz obserwował coś przez uchyloną firankę.

– Tkaczuk szedł – powiedział po chwili. – Nie zatrzymał się, ale przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Wiesz jaki?

– Skąd mogę wiedzieć?

– Napisz do PCK. W sprawie męża napisz do PCK. Oni zajmują się poszukiwaniem zaginionych osób, to może i tobie pomogą? A jak mąż będzie z tobą, to Kitman straci odwagę.

– Myślisz, że pomogą? – uśmiechnęła się po raz pierwszy. – To już cztery miesiące.

– Myślę, że tak. Wiesz, że ładnie wyglądasz, kiedy się uśmiechasz? – na jego twarzy pojawił się młodzieńczy rumieniec. – A kartoflami to się nie martw. Jutro je posadzimy.

Julia zrobiła kanapki. Do dzbanka wlała osłodzoną zbożową kawę, ubrała Natalkę i usiadła przy oknie, czekając na Tomasza. Zdziwiła się, kiedy niewielki konny wóz zatrzymał się przed jej domem. Miał wysokie drewniane burty i zatylniki.

– Czyj to wóz? – zapytała, zamykając drzwi na klucz.

– Tkaczuka – Tomasz poklepał konia po grzbiecie. – Dzisiaj rozwozi listy, to konia nie potrzebuje. Wsiadajcie.

Najpierw podała mu Natalkę, a później sama weszła na wóz. Speszyla

się, kiedy wsiadając, musiała podnieść spódnicę. Na wozie oprócz płużka były jeszcze szpadel, drewniany znacznik, wiadro, sznurek, dwa zastrugane kołki i siekiera.

– A po co to wszystko? – zapytała, chwytając kłonicę, kiedy smagnięty batem koń ostro ruszył z miejsca.

– Wiśta! – Tomasz ściągnął lejce i koń zawrócił w stronę wsi. – Zobaczysz, wszystko się przyda. Musimy jeszcze wstąpić do Tkaczuka po kartofle. Ile worków ci przydzielili?

– Chyba pięć – zastanawiała się chwilę. – Tak, na pewno pięć.

– No to dołożymy jeszcze dwa – trącił ją barkiem i przymknął oko. – Nam tyle nie potrzeba.

– Kto pobronował pole? – nie mogła wyjść z podziwu, kiedy dotarli na miejsce.

– Święty Mikołaj – objął ją i na krótko przytulił do siebie. – Ale kartofli posadzić nie zdążył.

Wbił paliki, rozciągnął sznurek i znacznikiem zrobił najpierw cztery równe rowki, a później pokrył nimi całe pole. Po dwa worki położył na początku i końcu pola, a trzy na środku. Nasypał kartofli do wiadra i podał je Julii. Sam wziął szpadel i w pulchnej, pachnącej gnojem ziemi robił niewielkie zagłębienia. Julia wrzucała do nich kartofle, a on przykrywał je ziemią utrzymaną na szpadlu.

Pracowali do południa, prawie ze sobą nie rozmawiając. Puszczony wolno koń skubał koniczynę rosnącą na miedzy, a przykryta płaszczem Natałka spała na wozie. Kiedy skończyli, usiedli na ziemi na pustych workach po kartoflach.

Julia wyjęła kanapki i dzbanek.

– Jedz, proszę – zachęcała, nalewając kawę do garnuszka.

Zjedli kanapki i chwilę odpoczywali, ale rozmowa się nie kleiła.

– No, koniec fajrantu – Tomasz wstał i zaprzągnął konia do płużka. – Będziesz prowadzić konia za uzdę – mocno chwycił rączki płużka.

Chodzili tam i z powrotem, a płużek rozgarniał ziemię na obie strony,

przykrywając posadzone ziemniaki. Było późne popołudnie, kiedy wracali do wsi.

– Bardzo ci dziękuję – Julia podała dłoń na pożegnanie. – Wiesz... – spuściła głowę – to znaczy zapraszam ciebie na kolację. Może w sobotę? – uśmiechnęła się zalotnie.

Porohate Wyżne

– *S'elo czyste!* [252] – meldowali zwiadowcy, kiedy po półgodzinnym marszu dotarli do pierwszych zabudowań Porohatego Wyżnego.

– Zostawimy go u Basłaków! – dowódca wydał rozkaz i dwóch ludzi poprowadziło Jakubowskiego stromą ścieżką do zagrody położonej na zboczu góry.

– A Katryna to gdzie? – zapytał jeden z nich, kiedy drzwi otworzył pięćdziesięcioletni mężczyzna w poniszczonych płóciennych spodniach i lnianej koszuli.

– *Ne ma jej doma, pizła na seło!* [253] – odpowiedział spokojnie.

– Mój prawdę mówi – niewysoka kobieta stanęła w progu obok mężczyzny. – A wy od niej czego chcecie?

– Poczekamy! – banderowiec odtrącił gospodarzy i w trójkę weszli do środka. Obaj mężczyźni eskortujący Jakubowskiego usiedli na stojącej pod ścianą ławie. Michał stał pośrodku izby, krzywiąc się z bólu.

– Nie widzicie, że człowiek ranny? – niższy z mężczyzn wyciągnął papierosa.

– A mnie co do tego? – kobieta wzruszyła ramionami i wyszła z izby, ale wróciła po chwili z wełnianym kocem. Rozłożyła go na drugiej ławie. – Ma – skinęła na Jakubowskiego. – Niech kładzie się.

Michał z trudem położył się na brzuchu.

Katryna wróciła przed wieczorem i od razu zainteresowała się Jakubowskim.

– Jest ranny – jeden z banderowców uprzedził jej pytanie. – Potrzebuje pomocy.

Dziewczyna podała dłoń Michałowi.

– *Ja je Katryna Basłak* [254] – powiedziała ciepłym głosem.

Podniósł się z widocznym wysiłkiem.

– Michajło Kierpak – wyszeptał, z trudem ujmując dłoń dziewczyny.

– A co się tobie, Michajło, stało? – Katryna z grymasem na twarzy przyglądała się zakrwawionej koszuli.

– Polaczki tryzuba na mu plecach wyrznęli – jeden z banderowców wyręczył Jakubowskiego. – To ich sprawa. My nie rżniemy ukraińskich pleców.

– Chyba że to plecy zdrajcy – zauważył drugi z banderowców. – Ale Michajło nie zdrajca. To musieli być Polaczki.

Jakubowski z uwagą przysłuchiwał się tej rozmowie i nagle przypomniał sobie rozmowę z Kriwonosowem.

– Powiedzcie, w jaki sposób dostanę się do oddziału UPA? – zapytał wtedy pułkownika.

– *Da, zd'es' jest' kakaja-to prabl'ema!* [255]. Zostawcie to naszym ludziom z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Ja ufam ich doświadczeniu!

– Zaraz się tobą zajmę – Katryna podeszła do stołu. – A wy głodni to nie jesteście?

– Jeszcze jak! – jeden z mężczyzn głośno przełknął ślinę. – Kilka godzin tu siedzimy, ale jeść nam nie dali.

Dziewczyna bez słowa wyszła z izby. Wróciła po chwili z dzbankiem mleka, bochnem chleba i masłem. Banderowcy natychmiast zabrali się do jedzenia.

– To dla ciebie – Katryna podała Jakubowskiemu kromkę chleba z masłem. – Pomogę ci wstać. Musisz coś zjeść.

Usiadł z niemałym wysiłkiem, jednak w trzęsących się rękach nie potrafił utrzymać kubka z mlekiem.

– Źle z nim! – zauważył jeden z mężczyzn.

Katryna położyła dłoń na czole Jakubowskiego.

– Masz gorączkę – stwierdziła. – Straciłeś dużo krwi, Michajło.

Pokroiła kromkę na małe kawałki i zaczęła go karmić. Jadł i pił z jej rąk. Mimo silnego bólu zauważył, że Katryna ma duże szare oczy i że jest ładna.

– Dobrze się nim opiekuj! – banderowcy zbierali się do wyjścia. – Ludzi nam potrzeba.

Katryna wyszła razem z nimi. Jakubowski słyszał ich stłumione głosy, ale nie wiedział, o czym rozmawiali. Dziewczyna wróciła po chwili z kostką szarego mydła. Strugała cienkie wiórki do blaszanej miski. Na koniec zalała je dzbankiem wrzątku. Mieszała drewnianą łyżką, a kiedy woda ostygła, przyniosła kilka kawałków cienkiego płótna.

– Ściągnij koszulę – powiedziała, sprawdzając łokciem temperaturę mydlanej zawiesiny. – Spodnie też.

Niepewnie rozpinał pasek i guziki.

– Trochę będzie bolało – Katryna uśmiechnęła się widząc jego zakłopotanie.

Ostrożnie zmywała zakrzepłą krew i kurz z pleców i pośladków. Choć przy każdym dotyku grymas bólu wykrzywił mu twarz, cieszył się z bliskości lemkowej dziewczyny.

– Leż spokojnie, niedługo wrócę – klepnęła go w ramię.

Przyszła po kwadransie z wiklinowym koszykiem pełnym ziół, wśród których rozpoznał liście babki. Płukała je wodą, układała na plecach, a w końcu przykryła go prześcieradłem i grubym kocem.

– Będę się tobą opiekowała – powiedziała łagodnie. – To nie zagoi się szybko.

W nocy zbudził go jakiś hałas. Katryna siedziała przy stole, rozmawiając z tymi samymi ludźmi, którzy go tutaj przyprowadzili.

– Ukryj go w schronie – mówił jeden z nich. – Jutro będą wysiedlać Porohate Niżne.

Katryna zmieniła opatrunek, okryła prześcieradłem plecy Jakubowskiego i trzymając go za rękę, wyprowadziła z izby. Weszli do jakiegoś

pomieszczenia, w którym czuło się woń krowiego gnoju i gnojówki.

– Trzymaj się tego – naprowadziła jego dłoń na metalowe okucie, wbite w drewnianą belkę. – Będziemy schodzić po drabinie. Uklęknij i szukaj drabiny.

Zrobił, jak mu kazała. Wkrótce oboje byli w schronie.

– To już tutaj – szepnęła. Pomogła mu usiąść na pryczy wyścielonej sianem. – Schron jest mały, ale powietrza wystarczy – dłonią dotknęła jego czoła. – Dobrze, że gorączka trochę spadła. Połóż się i odpoczywaj. Z rana przyjdę zmienić opatrunek.

Krosno

Szli ulicami wyludnionego miasta, trzymając się za ręce. Miriam miała długą zieloną sukienkę, a na głowie wianek z polnych kwiatów.

– Dlaczego zieloną? – pytał zaciekawiony.

– Zieleń to igły sosen i świerków, to majowe liście drzew, to trawa huculskich połonin – szeptała. – Zieleń to nadzieja.

Stała przed nim. Zobaczył smutek w jej oczach.

– Ale nadzieja umarła – powiedział.

– Umarła tylko na chwilę. Tam gdzie jest miłość, zawsze jest nadzieja, pamiętaj o tym, Izaaku.

– Moja miłość odeszła razem z tobą, Miriam.

– Wahasz się? – powoli ściągała wianek. – Wahasz się, bo znasz Julię. Pamiętaj jednak o Michale i Natalce. Nie odbieraj im szczęścia, nie krzywdź tej dziewczyny. Prawdziwa miłość nie umiera, a ty mówisz, że twoja odeszła razem ze mną. Jeśli odeszła, to nie była prawdziwa miłość, Izaaku. Kiedyś mówiłam, że przyjdę się z tobą pożegnać. Dzisiaj właśnie jest ten dzień. Pamiętaj jednak, że miłość odchodzi jak jesień i wraca jak wiosna. Odchodzi i wraca. Każda miłość jest inna, ale każda jest najpiękniejsza. Miłość jeszcze do ciebie przyjdzie, Izaaku – objęła go i pocałowała.

– To ty, Julio? – pytał zaskoczony. – Przecież rozmawiałem z Miriam.

– Nie, Izaaku, rozmawiałeś ze mną – Julia uśmiechnęła się smutno.

Krople deszczu głucho bębniły o blaszany parapet, a zaparowane okna zacięniały pokój. Zwłókł się z łóżka i ubrał niedbale. Chwilę siedział, trzymając głowę w dłoniach, a w końcu zapalił lampę i zaczął pisać list.

Beskid Niski, schron UPA

Narada trwała krótko.

– *Naszi syly budut' odnakowi!* [256] – sotennyj zapalił papierosa. – Jednak to my lepiej znamy teren i zaskoczmy ich. Zaatakujemy za wsia tam, gdzie droga biegnie wąwozem. Czoty Hajdyczki i Wertyczychy zajmą

wzgórze od strony strumienia, jakieś pół kilometra od siebie. Waszym zadaniem będzie odcięcie drogi ucieczki do wsi i od strony Krosna. Wasza czota – zwrócił się do Boroncuka – zajmie miejsce na przeciwległym wzgórzu. To wy rozpoczniecie atak, kiedy usłyszycie trzy wystrzały z pistoletu. Czy wszystko jasne?

Porohate Niżne

Porohate Niżne było niewielką wsią położoną u podnóża pasma Kiczery. Jedyna droga prowadziła stąd do Porohatego Wyżnego i tam się kończyła. Łemkowskie zagrody usadowiły się głównie na górskich zboczach, schodzących łagodnie w stronę niewielkiego strumienia. Mieszkańcy wsi zajmowali się rolnictwem. Niewielkie mieli gospodarstwa, ziemia była marnej jakości, żyli więc skromnie, a często po prostu biednie. Niektórzy mężczyźni pracowali w lesie jako drwale i ich rodzinom powodziło się lepiej. Latem kobiety i dzieci zbierały jagody i maliny, które sprzedawały potem na targu w Krośnie. Mężczyźni i kobiety z najbiedniejszych rodzin podejmowali się czasem pracy najemnej u bogatszych gospodarzy.

Spokojna to była ludność. Pomiędzy nimi i nielicznymi w tych stronach Polakami i Żydami nie wybuchały spory. Społeczność ukraińska była tutaj liczniejsza, lepiej zorganizowana i to właśnie ona stanowiła główne zaplecze dla oddziałów UPA wypartych z Zachodniej Ukrainy.

Kiedy skończyła się wojna, zmieniły się granice państw. Związek Radziecki i Polska podpisały umowę o przesiedleniu polskiej ludności na zachód, a ukraińskiej, ruskiej i rusińskiej – na wschód. Chociaż ludziom trudno było zostawić ziemię, na której żyli od pokoleń, to jednak wyjeżdżali. Nieliczne rodziny, którym udało się uniknąć przesiedlenia, żyły w ciągłej obawie, że będą musiały opuścić to miejsce z dnia na dzień, ale póki trwały na swojej ojcowiznie, miały też obowiązek utrzymywać zbrojne oddziały ukraińskich nacjonalistów, których walka o samostijną Ukrainę wydawała się przegrana. UPA czynnie sprzeciwiała się przesiedleniom, gdyż stanowiły zagrożenie dla jej egzystencji. Oddziały wielokrotnie atakowały wojsko polskie, placówki Milicji Obywatelskiej i Urzędu Bezpieczeństwa, broniąc Łemków przed wyjazdem.

W Porohatem Niżnem jedynie rodziny Kotopczaków i Malaków zgodziły

się dobrowolnie na wyjazd, pozostałych do tego zmuszono. W końcu jednak wszyscy pogodzili się z losem i akcja przesiedleńcza przebiegała bez większych problemów. Długa kolumna załadowanych wozów, ciągniętych przez wychudzone konie, wolno przesuwała się w stronę Krosna. Za każdym wozem szły przywiązane krowy. Wojskowy łązik i *studebaker* [257] jechały na czele, a drugi *studebaker* zamykał ten dziwny konwój. Żołnierze przemieszani z przesiedleńcami szli poboczem drogi.

Łazik właśnie zniknął za zakrętem, kiedy rozległy się trzy pojedyncze wystrzały, a chwilę później całe wzgórze zagrało ogniem karabinów maszynowych.

W kolumnie zapanował chaos. Konie uciekały w popłochu, zaprzęgi wpadały na siebie, ratując się nawzajem. Zaskoczeni żołnierze w pośpiechu zajmowali pozycje, chroniąc się za drogą biegnącą stromym brzegiem strumienia. Odpowiadali ogniem na oślep, w kierunku przeciwnika schowanego w gęstym świerkowym lesie. Po kwadransie do ataku ruszyły czoty Hajdyczki i Wertyczychy i kompania kapitana Zielińskiego znalazła się w potrzasku.

On sam, gdy pojął beznadziejność sytuacji, wydał rozkaz natychmiastowego odwrotu. Ostrzeliwane, rozciągnięte wzdłuż całej drogi oddziały, małymi grupkami przemieszczały się wśród stłoczonych wozów i przesiedleńców w stronę łązika i *studebakera*. Nikt nie myślał o zabitych i rannych kolegach.

Czota Wertyczychy, zamykająca odwrot od strony Krosna, miała teraz naprzeciw siebie dwa razy liczniejszego i przerażonego przeciwnika. Nie zamierzała jednak toczyć walki na śmierć i życie. Banderowcy, podzieleni na dwie grupy, przepuszczali uciekających żołnierzy i ostrzeliwali ich od tyłu. Kiedy walka ustała, sotennyj zwołał krótką naradę.

- *Jaki majemo wtraty?* [258] – pytał Wertyczyhę.
- Dwóch rannych, nikt nie zginął – meldował dowódca czoty.
- Znakomicie – sotennyj nie krył satysfakcji. – A straty przeciwnika?
- Dziewięciu zabitych i siedemnastu rannych.
- Rannych zlikwidować i pospieszyć się z tym.

Kiedy ucichły odgłosy egzekucji, sotennyj rozkazał przyprowadzić

rodziny Kotopczaków i Malaków. Banderowcy wtopili się w tłum Łemków i wkrótce przyprawili kilkunastu wystraszonych ludzi.

– Wyjechać wam się chciało – sotenny chodził tam i z powrotem wzdłuż stojących w szeregu kobiet i mężczyzn w różnym wieku. – Będziecie tego żałowali – cedził przez zęby. – Wszystkich, którzy ulegają komunistycznej propagandzie i chcą stąd wyjechać, spotka kara.

Nagle zatrzymał się przed drobną dziewczyną o delikatnej, wręcz dziecięcej urodzie.

– Rozebrać ją – rozkazał.

– W spokoju ją zostawcie, proszę was – matka dziewczyny rzuciła się na kolana, obejmując nogi sotennego. – Ona niewinna całkiem jest, to my chcieli wyjechać.

Płacz kobiety zmienił się w histeryczny krzyk, kiedy banderowcy zdarli z jej córki sukienkę.

– Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć – sotenny uderzeniem w twarz powalił kobietę na ziemię. – Przyprawzić konie.

Naga łemkowska dziewczyna leżała na środku drogi. Jej nogi przywiązane były grubym powrozem do końskich uprzęży. Łemkowie stali przerażeni, ale i wielu banderowców miało strach w oczach.

– Jazda! – sotenny machnął ręką i zacięte batem konie ruszyły z kopyta w przeciwnych kierunkach.

Na skromnie zastawionym stole paliła się świeca, wetknięta w pszenicę nasypaną do szklanki. Natałka właśnie usnęła, a Julia kolejny raz przeglądała się w lustrze. O spotkaniu z Tomaszem myślała od wczoraj i już od południa się do niego przygotowywała. „Tyle dla mnie zrobił, że muszę przyjąć go jak najlepiej” – powtarzała sobie. Jej rozmyślenia przerwało pukanie. „Tomek puka inaczej” – dziwiła się, podchodząc do drzwi.

– Dobry wieczór – odpowiedziała zaskoczona, kiedy w drzwiach zamiast Tomasza stanęła jego matka. – Proszę, niech pani wejdzie.

– Nie, nie – kobieta nie przestępowała progu. – Zaraz sobie pójdę. Przyszłam powiedzieć, że Tomasza nie będzie na kolacji. Musiał nagle

wyjechać.

– Co się stało? – Julia próbowała pozbierać rozbiegane myśli. – Gdzie wyjechał? Dlaczego?

– Proszę wybaczyć – kobieta chusteczką wycierała wilgotne oczy – ale nie chcę o tym rozmawiać.

– Dzień dobry, panienko – Julia usłyszała znajomy głos listonosza. – Zamęczy się panienka, odpocząć trzeba.

Tkaczuk stał przy furtce z przewieszoną przez ramię torbą.

– Dzień dobry – wyprostowała plecy, opierając się na motyce. – Chwasty wycinam. Pełno ich tutaj.

– Z chwastem się nie wygra – listonosz machnął ręką.

– Bardzo panu dziękuję za wóz i konia. Jest coś dzisiaj dla mnie?

– Nie ma za co, panienko, nie ma za co. Koń wolny był, pogoda dobra, to grzech nie sadzić było. A dla panienki nic nie mam. Tak tylko się zatrzymałem. Piasek duży, sił mało, to odsapnąć muszę.

– A tam to co się dzieje? – Julia wyciągnęła rękę w stronę wsi. – Ruch jakiś i tyle ludzi.

– Z boku, panienko, mieszkacie, to nie dziwota, że nic nie wiecie – listonosz kiwał głową. – Niemców wywożą, no tych, jak im tam... – drapał się po głowie. – No, Reitnerów.

– Wywożą? – zdziwiła się. – Raz u nich byłam. To porządna rodzina, chyba mogli zostać? No i to dziecko. Malutkie jeszcze jest.

– Mogli, nie mogli, kto to może wiedzieć? No niby mogli, ale same wśród obcych byli. Jedne im pomagali, ale drugie od Szwabów i świń wyzywali, jak to ludzie, panienko. Ale władza nasza dobra, to przyznać trzeba. Auto dali, na stację zawieźli, dużo rzeczy pozwolili zabrać – zamyślił się. – Nie to, co rok wstecz, kiedy Ruskie mieli nadejść. Uciekali jak stali, Niemce, panienko, z torbami, walizkami, z dziećmi na rękach. Na piechotę uciekali do Amerykanów.

– Sami wojnę zaczęli. A wojna, jak to wojna.

– To wielka polityka, panienko. Ludzie tylko cierpią, chociaż do polityki nie lgną – Tkaczuk rozejrzał się dokoła. – UB u Zawadków było – ściszył głos. – Nad ranem przyszedli, jeszcze przed świtem. Tomasza szukali. To dobry chłopiec, panienko. Szczęście wielkie, że ktoś dał znać i jeszcze wczoraj z Karlikowa uszedł.

Kiedy zrównali się z Julią i Natalką, ksiądz Władysław złapał Kitmana za rękaw.

– Zatrzymajcie konia – poprosił.

– Prrr! – woźnica posłusznie ściągnął lejce.

– Z Panem Bogiem od chorego wracamy – ksiądz wychylił się za burtę wozu.

– Przepraszam – Julia uklękła i przeżegnała się. – Nie wiedziałam.

– No dobrze już, wstańcie. Na mszę idziecie?

– Tak, na dwunastą.

– Wsiadajcie – zachęcał – to jeszcze ze dwa kilometry.

– Dziękujemy księdzu, ale to nie tak daleko – Julia wzięła Natalkę za rączkę i ruszyła w stronę Szczepanowa.

– Nie chcecie, żeby was podwieźć? – na twarzy księdza malowało się zdziwienie.

– Nie chcemy – kobieta pokręciła głową.

– Dziwne – kapłan dzielił się wątpliwościami z Kitmanem. – Pierwszy raz widzę, żeby iść pieszo, kiedy można podjechać. Nie rozumiem tego.

– Wie ksiądz, jak to z babami jest – tamten przymknął jedno oko.

– Jeśli mam być szczery, to nie wiem.

– Raz w miesiącu takie dni mają – Kitman zaśmiał się rubasznie – że bez bata strach podchodzić. Z nią pewnie tak samo – smagnął lejcami końskie grzbiety. – Ot, babskie fochy. Nie warto się przejmować.

Upalna pogoda sprawiła, że życie we wsi zamarło. Psy pochowały się w budach, krowy na pastwiskach szukały cienia i leżąc, przeżuwały trawę. Mimo niedzielnego popołudnia nigdzie nie było widać żywego ducha.

Julia i Natałka siedziały pod rozłożystym dębem, na kocu położonym na zrytej przez dziki ziemi.

– No, czytaj, czytaj – dopominała się dziewczynka, kiedy matka, zmęczona upałem, na chwilę przysnęła i upuściła książeczkę z bajkami.

– Później, dobrze, Natałko? – zapytała sennie. – Teraz chodźmy nazbierać jagódek.

Weszły do lasu i natychmiast otoczył je zapach olejków eterycznych wydzielanych przez rozgrzane słońcem sosny.

– Co tak pachnie, mamusiu?

– To drzewa cieszą się, że słońeczko świeci, córeczko. O, zobacz, są jagódki.

Pochyliły się i zaczęły zrywać słodkie, fioletowe owoce.

– Zobacz, mamusiu – Natałka wyciągnęła rączką. – Ktoś do nas idzie.

Julia spojrzała we wskazanym przez córkę kierunku. Leśną ścieżką szedł jakiś mężczyzna. Był na tyle daleko, że nie mogła go rozpoznać.

– Chodźmy – chwyciła Natałkę za rękę i ruszyła w kierunku łąki. – Tylko szybko.

– Co się stało, mamusiu? Dlaczego biegniemy?

– Nie, nic takiego, córeczko – niepewnie spoglądała za siebie. – Chyba się nam zdawało.

Wytrzepała koc i przeniosła go spod dębu na łąkę, której część tonęła w cieniu wysokich sosen.

– Poczytasz, mamusiu? – Natałka ziewnęła przeciągle. – Obiecałaś.

Kiedy siadała na kocu, kątem oka spojrzała na stary dąb i zamarła. W miejscu, w którym wcześniej miały rozłożony koc, stał dziwnie ubrany mężczyzna. Zerwała się w jednej chwili i przycisnęła dziecko do siebie. Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu, ale mężczyzna ruszył w ich stronę, przyjaźnie machając ręką. Dopiero teraz rozpoznała księdza

Władysława.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – przywitał się z łagodnym uśmiechem. – Tak bardzo was przestraszyłem?

– Na wieki wieków, amen – Julia ujęła wyciągniętą przez księdza rękę. – Tak, bardzo. Nie spodziewałam się księdza tutaj zastać. Myślałam, że to jakiś zły człowiek.

– Niedzielne popołudnia mam wolne – ksiądz Władysław uśmiechnął się – a że lubię spacerować, to często chodzę do lasu.

– Tak samotnie?

– A z kim ksiądz ma chodzić?

– Przepraszam – zrozumiała niestosowność pytania.

– Z gosposią nie wypada, ale ja nawet nie mam gosposi.

– W takim razie zapraszam na kolację, a przy okazji chciałam księdza o coś zapytać.

– Dziękuję, ale nie skorzystam – ksiądz Władysław skrzyżował na piersiach dłonie. – Wiesz, jacy są ludzie. Wezmą nas na języki i z igły zrobią widły. Powiedz, o co chciałaś mnie zapytać...

– Pamięta ksiądz moją spowiedź wielkanocną? No wtedy, kiedy zapomniałam grzechów – wyjaśniła, widząc niepewną minę kapłana.

– A, tak. Przypominam sobie. Razem robiliśmy rachunek sumienia.

– Uhhmm.

– Czy coś było nie tak? – zaniepokoił się. – Pokuta za duża albo komunia świętokradcza?

– Nie, nie w tym rzecz. Chociaż właściwie... no, już sama nie wiem. Niech mi ksiądz powie, czy Bóg jest dobry? – spuściła głowę.

– Oczywiście – pytanie pogłębiło zmarszczki na czole kapłana. – Nie rozumiem, dlaczego w to wątpisz...

– A czym jest modlitwa? No i czym jest pokuta?

– Przecież chodziłaś na lekcje religii – ksiądz przetarł spocone czoło rękawem sutanny.

– Chodziłam, a egzamin do pierwszej komunii zdałam najlepiej z całej klasy.

– To dlaczego tego nie wiesz? Zapomniałaś?

– Mam wątpliwości. No bo jeśli modlitwa jest rozmową, a pokuta karą, to ksiądz za karę kazał mi rozmawiać z dobrym Panem Bogiem. Właśnie tego nie rozumiem.

Zmarszczki na czole księdza Władysława zamieniły się w jedną pionową bruzdę zakłopotania i niepewności.

– Źle myślisz, moje dziecko – powiedział po dłuższej chwili milczenia. – Źle myślisz. Kiedy odmawiasz *Ojcze Nasz*, prosisz Boga o odpuszczenie win, a modląc się do Maryi, prosisz o modlitwę za siebie.

– Może. Sama nie wiem. Czasem wydaje mi się, że Boga w ogóle nie ma. Wojna przyniosła tyle nieszczęścia, że wiarę stracić łatwo.

Ksiądz Władysław milczał. Na jego pogodnej dotąd twarzy pojawiły się zaduma i powaga.

– Tak – przyznał po chwili. – Wojna zachwiała wiarę w Boga u wielu ludzi.

Las był państwowy, ale duża łąka, która do niego przylegała, nie miała jeszcze właścicieli. Kosili na niej trawę i wypasali bydło prawie wszyscy mieszkańcy Karlikowa, dlatego często dochodziło do sąsiedzkich awantur. Od dawna mówiło się, że tylko sąd może zdecydować, kto i w jakiej części będzie prawowitym właścicielem tej łąki.

Julia kończyła kosić trawę, kiedy zobaczyła Tkaczuka pchającego rower i przywołującego ją ruchem ręki. Bez chwili namysłu rzuciła kosę i wybiegła na drogę. Była tak podekscytowana, że zapomniała o Natalce, która na łące zrywała złociste mleczce.

– Wreszcie napisał – Tkaczuk uśmiechnął się szeroko. – Jest w Krośnie. A jakie jego imię, panienko? – dopytywał – bo koperty nie podpisał.

– Ma na imię Michał – odwzajemniła uśmiech, podziękowała i wróciła po Natalkę.

Kiedy weszła do domu, od razu otworzyła kopertę i zaczęła czytać list.

Droga Julio, piszę do Ciebie z Krosna. Moja służba jest ciężka i niebezpieczna, a banderowcy są tak samo okrutni jak w Kutach. Każdego dnia zwożą z gór zabitych i rannych żołnierzy i nikt nie wie, jak długo to jeszcze potrwa. Chcę, żebyś wiedziała, droga Julio, że chociaż do Ciebie jest tak daleko, ty ciągle jesteś przy mnie. Każdej nocy przychodzisz do mnie, każdej nocy tulę Cię w swoich ramionach i czekam, kiedy wreszcie będę z Tobą.

Przerwała czytanie i rozpląkała się. Zdziwiona Natałka przytuliła się do niej z całych sił.

– Czemu płaczesz, mamusiu? – pytała, a jej buzia powoli układała się w podkówkę.

– Tatuś do nas napisał, córeczko – głaskała jej ciemne włosy. – Tak się cieszę, że żyje i że niedługo przyjedzie.

– Chcę jeść, mamusiu – niespodziewana prośba córki sprawiła, że odłożyła list i zabrała się za przygotowanie kolacji. Dziecko wkrótce usnęło, a ona powróciła do czytania. Kiedy odwróciła kartkę na drugą stronę, odruchowo spojrzała na podpis.

– Twój Izaak – przeczytała na głos i nagle zamilkła.

Porohate Wyżne

– W imja Otcia i Syna i Swjatocho Ducha – Dmytro Basłak zrobił na piersi znak krzyża.

– Amiń – Makryna, Petro i Katryna odpowiedzieli niemal równocześnie.

– Dzieci moje – głos Dmytra łamał się – dawno my razem nie byli. Dziś my są, to i w spokojności zjedzmy. Ubogo u jest nas, ale to dobre, że nie brakuje nikogo. Jak w *chyży* [259] was nie ma, z matką do Boga modlimy się, by w opiece was miał i w zdrowiu sprowadził. No i Bóg dziś nas wysłuchał.

Jedli w milczeniu. Nikt z nie podejmował rozmowy, chociaż wszyscy wiedzieli, do czego zmierza Dmytro. On tymczasem odłożył łyżkę i wytarł ręką usta.

– My dobrych Łemków z was zrobić chcieli. My was uczyli, jak ludzi szanować, gdzie zło jest, my pokazali, a wy co zrobili, ha?

– Oj, Dmytro, Dmytro – Makryna wytarła ręce o zapaskę. – Surowy ty dzisiaj taki. Taż to nasze dzieci jedyne. Kochać nam ich trza.

– A jak nam ich kochać, kiedy oni całkiem otumanieni? Wy słyszeli, co partyzanty z Kotopczaka córką zrobili? Czemu ty, Petro, do nich przystałeś? Czemu ty, Katryna, pomoc im dajesz? Oni nas całkiem zniszczą.

– O czym, tato, mówisz? – Petro przerwał jedzenie. – Partyzanci Łemków zniszczą? Ty niczego nie rozumiesz. Oni nas bronią przed Polakami. Partyzanci to nasi przyjaciele. Dlatego jestem z nimi.

– A ja, tato, myślę tak jak ty – Katryna wstała od stołu. – Oni zgubią i siebie i nas zgubią, a ja nie im pomagam, tylko chorym i rannym. Partyzanci czy nie, to przecież są ludzie.

– Oj, córeczko, córeczko – Dmytro i zamyślił się. – Po co to oni zrobili? Po co dziewczuszkę koniami rozdarli? A ty, Petro, mówisz, że oni nasi przyjaciele są. – My im potrzebni na to, by jeść co mieli i skryć się mogli. A i kobiety nasze biorą jak swoje. Tylko na to my im potrzebni, Petro. Tylko na to.

Julia zamiatała kuchnię, kiedy usłyszała pukanie. – Proszę wejść – powiedziała.

Kiedy w drzwiach stanął Kitman, natychmiast przerwała pracę, a przed oczyma stanęła jej scena ze stodoły. Poczowała, że nogi ma z waty. Mężczyzna zauważył to.

– Przepraszam, że przyszedłem bez zapowiedzenia – mówił łagodnym głosem – ale proszę się nie bać.

Stał ze zwieszoną głową, ugniatając w dłoniach czapkę.

– Dużo o tym myślałem i bardzo, bardzo panią przepraszam.

– Zachował się pan okropnie – Julia powoli przychodziła do siebie. – Gdyby się wtedy panu udało, poszłabym na milicję.

– Pani jest inna – tłumaczył się. – W Karlikowie są kobiety, co żyją

samotnie, więc to się im podoba. No, to, co w stodole zrobić z panią chciałem, im się podoba. Niby krzyczą, niby bronią się, ale są zadowolone. Myślałem, że pani też taka jest – podniósł głowę. – Ale pani jest inna, całkiem inna.

Milczała, uważnie słuchając jego szczerych, jak się jej zdawało, słów.

– Worek mąki na przeprosiny przywiozłem – Kitman przestąpił z nogi na nogę. – Jest w sieni.

– Przyjmuję pana przeprosiny – odpowiedziała – ale mąkę niech pan zabiera.

Kitman bez słowa skierował się w stronę drzwi. Zanim chwycił klamkę odwrócił się, jakby chciał coś powiedzieć.

– Pana słowa niewiele dla mnie znaczą – uprzedziła go. – To, co pan robi, musi się zmienić, a teraz proszę już iść. Obiad muszę gotować.

Kiedy wyszedł, odetchnęła z ulgą. Usiadła przy stole i wpatrywała się w śpiącą w łóżeczku Natalkę.

– O matko! – krzyknęła, gdy wieczorem weszła do sieni i wpadła na coś dużego i miękkiego.

– Ale jesteś biała, mamusiu – Natalka roześmiała się, kiedy wróciła po naftową lampę.

Krosno

– Mówi pan, kapitanie, że dowództwo jest niezadowolone z postępów w walce z UPA? – major Wise uśmiechał się szyderczo. – Mówi pan, iż mają wam za złe, że siatka cywilnych informatorów OUN nie została rozbita? Jeśli się pan temu dziwi, to ja pana nie rozumiem. Przecież wasze dowództwo ma rację! Straty ponoszone przez banderowców nie są na tyle poważne, aby można było mówić o przełomie w tej wojnie – sięgnął po paczkę papierosów.

– Teraz jest lipiec – zapalił. – Grupa Operacyjna „Rzeszów” działa od trzech miesięcy i też nie ma się czym pochwalić. Do dupy to wszystko.

W jego głosie tym razem brzmiała irytacja. Pozycja, jaką miał w Urzędzie Bezpieczeństwa, nie dawała mu takiej władzy i takiego wpływu na podejmowane decyzje jak wcześniej w NKWD. Był jedynie funkcjonariuszem, z którego opinią polscy dowódcy mogli, ale nie musieli się liczyć. Nie darzył sympatią kapitana Zielińskiego – ten wprawdzie wysłuchiwał jego rad, ale zwykle postępował według swojego uznania. Słowo „pan”, którego w stosunku do niego nadużywał, wyrażało dezaprobatę dla tych działań.

– Wojnę z UPA chcecie, panowie dowódcy, wygrać, stosując półśrodki, może nawet trzymając ręce w kieszeniach! – mówił podniesionym głosem. – To ja przepędziłem banderowców z Karpat w Bieszczady i to mnie przysłano tutaj, aby ich dobić, jednak wy, panowie, w tym przeszkadzacie! To jest wojna, kurwa mać, a nie pałacowy bal.

– Towarzyszu majorze – kapitan Zieliński mówił spokojnie – ja w tej sprawie nie zmieniłem zdania. Wasze propozycje są nie do przyjęcia. Nie będziemy aresztować całych rodzin i wywozić ich na Sybir, chociażby z tego powodu, że Sybiru nie mamy. A poważnie mówiąc, Łemkowie są przecież obywatelami naszego kraju.

– Chyba pan sobie kpi, panie kapitanie – Wise zgasił do połowy wypalonego papierosa. – Obywatelami waszego kraju są Polacy i jakoś nie może do was dotrzeć, że Łemkowie wspierają banderowców.

– Zmuszono ich do tego terrorem i wy, towarzyszu majorze, dobrze o tym wiecie.

– Gównu mnie obchodzi, czym ich zmuszono. Z naszego punktu

widzenia nie ma to żadnego znaczenia. Łemkowie stanowią oparcie dla UPA i dopóki tutaj pozostają, banderowcy będą silni. Dlaczego nie chce pan tego przyjąć do wiadomości?

Gdyby dyskusję kapitana Zielińskiego i majora Wise rozważać w kategoriach wojskowych, to tę batalię polski kapitan przegrywał. Chociaż w duchu zgadzał się ze swoim rozmówcą, to przecież nie mógł tego zrobić otwarcie.

– Mówi pan, że Łemkowie pomagają banderowcom, bo się ich boją? – Wise szykował decydujące uderzenie.

– Tak właśnie uważam.

– To pan, panie kapitanie, nie wie, co trzeba zrobić, aby wam także zaczęli pomagać? – drwina w głosie majora rozzłościła polskiego oficera.

– Wiem, do jasnej cholery – wybuchnął. – Jednak nie będę stosował terroru wobec ludności cywilnej, do czego tak usilnie towarzyszu major mnie namawia. Nasz terror przyniesie odwrotny skutek. Wy, towarzyszu majorze, nie doceniacie siły wiary. Łemkowie to prości ludzie, dla których właśnie religia jest ważna. Teraz nie czują się ani Polakami, ani Ukraińcami. U nas w Polsce jest powiedzenie, że jak trwoga, to do Boga, a łemkowski Bóg jest w greckokatolickiej cerkwi. Nie w katolickim kościele, ale właśnie w greckokatolickiej cerkwi. Zupełnie jak dla większości Ukraińców. Jeśli zastosujemy terror, to Łemków i banderowców połączy wiara, a możecie mi wierzyć, że nie ma silniejszej więzi. Wam, towarzyszu majorze, trudno to zrozumieć, bo w Boga u was wierzyć nie wolno, ale zapewniam, że tak jest naprawdę.

Wise nie skomentował tej uwagi. Nie zamierzał opowiadać, w jaki sposób znalazł się w radzieckim wojsku. Przez krótką chwilę myślał jednak o Kutach, o spalonej synagodze i ukochanym przez żydowską gminę rabbim Mosze Rozenfeldzie.

– Jedynym rozwiązaniem sprawy UPA jest zwycięstwo militarne – mówił kapitan Zieliński. – To przyjdzie szybko, kiedy ściągniemy znaczne posiłki.

– Czy sądzi pan, że wystarczy tego wojska? – major Wise uśmiechnął się szyderczo. – Czy pana zdaniem wojsko może pozwolić sobie na to, aby postawić żołnierza przy każdym Łemku? A jak się okaże, że i dwóch będzie mało, to co? – spojrzął zaczepnie. – Moim zdaniem należy zmusić

banderowców do czynnej obrony łemkowskich wiosek. Jeśli to się uda, to wygramy, ale polscy dowódcy nie mogą tego zrozumieć. Obaj dobrze wiemy, że bez pomocy Łemków UPA się nie utrzyma. Dlatego opracowałem plan, który może nam przynieść sukces i który nie stoi w sprzeczności z pana rycerskim honorem.

– Jaki to plan? – kapitan spojrzał spod oka.

– Bardzo prosty. Ogłosimy, że wysiedlana będzie ludność Porohatego Wyżnego i wyślemy na przynętę niewielki oddział wojska, niby do realizacji tego zadania. Jest prawdopodobne, że banderowcy, widząc słabego przeciwnika, zaatakują w samej wiosce, a wtedy my wprowadzimy do walki kilka kompanii. Co pan na to, szanowny panie Zieliński?

– Towarzyszu Wise! – tamten nie zdzierzył kolejnej drwiny. – Ja służę w ludowym wojsku i tutaj nie ma szanownych panów!

– To zachowujcie się, do jasnej cholery, jak oficer ludowego wojska – grzmiał Wise – a nie jak szlachcic na jakimś sejmiku! Dobrze wiecie, jak ta szlachecka Polska skończyła!

– Dlaczego wybraliście Porohate Wyżne? – kapitan z trudem przełknął gorzką uwagę radzieckiego oficera.

– Ta wioska leży w górach – major mówił już spokojnie. – Wiemy, że UPA gdzieś blisko niej ma swoje kryjówki. Poza tym położenie wsi jest korzystne do przeprowadzenia ataku, dlatego jestem pewien, że uderzą.

– Obawiam się, że ten oddział zostanie rozбит, zanim nadejdzie pomoc – Zieliński szukał słabych stron planu Wise.

– Nie zostanie. Wybierzemy najlepszych żołnierzy, a odwody będą blisko.

– W takim razie powiedzcie, towarzyszu majorze, którego dowódcę wyślecie na pewną śmierć...

– Ja sam obejmę dowództwo – Wise wstał i oparł się oburącz na biurku.

– To nie ma sensu! – kapitan Zieliński uderzył pięścią w stół. – Nie zgodzę się na wysyłanie żołnierzy na pewną śmierć. Zapamiętajcie to sobie!

– A co powiecie o rozkazach atakowania wroga przez pola minowe?

– To głupota i cynizm dowództwa.

– Nie, to strategia marszałka Żukowa. Radzę go nie krytykować. Jest jeszcze jedna sprawa – major Wise usiadł. – Przed akcją chcę odpocząć, dlatego biorę kilka dni urlopu i jadę do znajomych na Ziemię Zachodnie.

Porohate Wyżne

Jakubowski powoli wracał do zdrowia. Jego plecy goiły się z trudem, chociaż Katryna opatrywała je kilka razy dziennie. Szybkiej rekonwalescencji nie sprzyjało to, że mały schron pod oborą Basłaków nie nadawał się do długiego przebywania, a Michał był tam już trzeci tydzień.

Katryna odwiedzała go regularnie. Czekał na jej wizyty z niecierpliwością i coraz częściej zastanawiał się nad tym, dlaczego tak jest. Wiedział, że jest ładną łemkowską dziewczyną, która pomaga ukraińskim nacjonalistom i że za tę pomoc pójdzie do więzienia, kiedy UPA przegra i postawią ją przed sądem. Wydawało mu się, że Katryna trochę go lubi, że rozmawia z nim inaczej niż z innymi banderowcami, ale nie wiedział, dlaczego tak się dzieje.

Jego rozmyślenia przerwało skrzypienie włazu, a po chwili na głowę posypały się żdzbla słomy i siano. Katryna schodziła po drabinie.

– *Prynestam weczirju* [260] – postawiła na podłodze mały wiklinowy koszyk. Usiadła obok i rozpłakała się.

– Co się stało? – dźwignął się z trudem.

– Dlaczego jesteście tacy okrutni? – dziewczyna otarła oczy rękawem zapaski. – Dlaczego nie pozwalacie nam spokojnie żyć?

– Powiedz wreszcie, co się stało? – potrząsnął ją za ramię.

– Wczoraj rozerwaliście koźmi Halinę Kotopczak. To była moja najlepsza przyjaciółka.

Julia układała Natalkę do snu, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

– Mamusiu, ktoś do nas przyszedł – dziewczynka rozbudziła się.

Ostrożnie wyjrzała przez okno, ale w zapadającym zmroku nikogo nie

zauważyła. Nie spodziewała się żadnych gości, więc niepewnie podeszła do drzwi.

– Kto tam? – zapytała.

– Otwórz, Julio, to ja – mężczyzna nie przedstawił się.

– Skąd znam ten głos? – zawahała się, ale po chwili uśmiechnęła.

Kiedy otwierała drzwi, przypomniała sobie o ledwie tłącej się iskierce, która nagle zapaliła się jak dogasające ognisko od silnego podmuchu wiatru.

– Kto to jest, mamusiu? – Natałka stanęła w łóżeczku.

– To wujek Izaak – odpowiedziała szeptem.

Porohate Wyżne

– Dzień dobry, Michajło – twarz Katryny rozjaśnił uśmiech. – Przyniosłam śniadanie.

– Dzień dobry – odpowiedział. Nie potrafił oderwać oczu od jej piersi, kiedy schyliła się kładąc na ziemi koszyk.

– *Hneska pideme na spacer* [261] – oznajmiła tajemniczo.

– Naprawdę? – ucieszył się. – Wreszcie zobaczę słońce.

– O nie, nie – studziła jego entuzjazm – wyjdziemy wieczorem. Nikt nie może cię zobaczyć. Teraz nikomu nie można ufać. Wioska jest pod waszą kontrolą, ale ludzie mówią, że Polacy też mają tu swoich ludzi.

– Masz rację – zimny pot drobnymi kropelkami pokrył jego czoło. – O zmroku będzie bezpieczniej.

– Wierzysz jeszcze w samostijną Ukrainę? – zapytał, kiedy szli wieczorem przez skoszoną połoninę.

– Tak, wierzę – zawahała się.

– Chyba jednak nie bardzo.

– A jakie to ma znaczenie? Robię, co mi każą, nikogo o nic nie pytam, ciebie też. Opiekuję się tobą – dodała po chwili. – Dużo ze sobą rozmawiamy. Ty jesteś inny niż oni. Sama nie wiem, dlaczego tobie ufam.

Szli w milczeniu, mijając stogi złożonego siana.

– Wśród nas są różni ludzie, ale nasz duch podupada – mówił. – Wszyscy czekają na nową wojnę, która przyniesie niepodległość, ale ta wiara jest coraz słabsza.

– Ty jeszcze naprawdę w to wierzysz? – poszukała jego dłoni.

– Już sam nie wiem, Katruniu – czule wypowiedziane imię sprawiło, że zamilkli oboje.

Spokojny dotąd wiatr nagle przybrał na sile. Pioruny, które niedawno były jedynie odległymi pomrukami burzy, zaczęły uderzać niebezpiecznie blisko. Pojedyncze krople deszczu zamieniały się stopniowo w ulewę.

– Nie zdążymy do wsi – Katryna ruszyła biegiem w stronę stogu siana, ciągnąc go za rękę. – Tutaj przeczekamy burzę.

Wyrywali w pośpiechu świeżo złożone siano i wkrótce wygrzebali niszę wystarczającą do ukrycia się obojga. Siedzieli przemoczeni i przytuleni, słuchając szumu równo padającego deszczu. Wiatr powoli ustawał, a pioruny uderzały coraz dalej. Kiedy odgarniał przemieszane z sianem włosy z jej czoła i delikatnie pocałował, nie wiedział, że uwalnia tym dziką, nieokiełznaną namiętność, tłącą się w nich od dawna.

Po upalnym dniu pokój na poddaszu był tak rozgrzany, że Izaak musiał otworzyć okno. Zbawczy chłód sierpniowego wieczoru przyniósł ulgę, choć wraz z nim wdarły się do pomieszczenia komary, najpierw pojedyncze, później coraz liczniejsze, kuszone bladym światłem naftowej lampy i wonią człowieka.

Schował się pod pierzyną, ale było za gorąco. Wstał więc i po ciemku podszedł do okna. Zamknął je, rozsunął firanki i spojrzał w stronę odległych wiejskich zabudowań. W ciemności mrugały pojedynczymi punktami światła. Stał dłuższą chwilę, potem po omacku dotarł do stolika. Zaklął cicho, bo niechcący strącił metalowy kubek, w końcu usiadł na łóżku, wsparł łokcie na kolanach i schował głowę w dłoniach.

Julia wylała wodę z miednicy. Poprawiła koc w łóżeczku śpiącej Natalki i usiadła przy stole, zgrabnym ruchem rozpuszczając zwinięte w kok włosy. Długie, kręcone i czarne – w blasku lampy naftowej wpadały w odcień

granatu.

Po drugiej stronie pokoju wisiało odrapane lustro, pozostałość po byłych gospodarzach. Podeszła do niego, przyglądając się swemu odbiciu. Uśmiechnęła się, kiedy zebrana w dłoniach nocna koszula przylgnęła do ciała, podkreślając szczupłość talii i krągłość niedużych piersi. Zastygła w tej pozie na dłużej, patrząc z wyraźną przyjemnością, po czym uklękła przy łóżku i złożyła ręce do wieczornej modlitwy.

Ranek był pochmurny i chłodny. Julia wypuściła kury, zaniósła jedzenie psu i wyprowadziła krowę na łąkę pod lasem. Kiedy wróciła, Natałka jeszcze spała, Izaak także nie wychodził ze swojego pokoju. Zrobiła śniadanie i usiadła przy stole. Przesuwała po drewnianym blacie kubek z herbatą ruchem znudzonym i zniecierpliwionym jednocześnie. W końcu wstała i podeszła do drzwi pokoju Izaaka. Nasłuchiwała przez chwilę, potem nacisnęła klamkę.

Śpiący mężczyzna nawet nie drgnął.

– Wstawaj, już dziesiąta – powiedziała, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Odruchowo położył na niej swoją, nie bardzo wiedząc, czy to jeszcze mu się nie śni. Poczul, że dłoń dziewczyny gdzieś się wymyka.

– Wstawaj, zrobiłam śniadanie – odwróciła się i wyszła pospiesznie z pokoju.

– Teraz będzie dobrze – stwierdził. – Dach nie powinien już przeciekać.

Julia trzymała długą drabinę, na której stojąc, Izaak od godziny naprawiał uszkodzony komin i dach.

– Chodź, umyjesz się i zrobię coś do jedzenia – zaproponowała, jednocześnie zerkając na drogę prowadzącą do wsi.

– Boisz się, co powiedzą ludzie? – spytał.

Nie odpowiedziała, ale po wejściu do domu poprawiła firanki w oknie.

– Dobranoc – powiedziała i pocałowała go w policzek. Natychmiast poczuła się nieswojo, bo do tej pory tak czułym gestem obdarowywała tylko Michała. Speszona spuściła głowę i odruchowo poprawiła spódnicę, jakby ta jej się bezwstydnie zadarła. Zamykając za sobą drzwi, zdążyła jeszcze zauważyć, że nagle spoważniał.

– Musisz pilnować, by dach był zawsze cały – powiedział, kiedy skończył wymieniać przegniłe deski podłogi na strychu.

– Nie wiem, jak mam ci podziękować – uśmiechnęła się. – Może tak... – podeszła i cmoknęła go w brudny policzek.

– Jak mnie odnalazłeś? – zapytała, gdy szli polną drogą wśród dojrzałych łanów pszenicy. – I dlaczego przyjechałeś?

– Dlaczego...? A pamiętasz, co pisałem w liście? – zatrzymał się.

Julia także przystanąła. Ten fragment listu czytała tyle razy, że nauczyła się go na pamięć.

– Chcę żebyś wiedziała, że chociaż do Ciebie jest tak daleko, ty ciągle jesteś przy mnie. Każdej nocy przychodzisz do mnie, a ja tulę Cię w swoich ramionach i czekam na tę chwilę, kiedy wreszcie będę z Tobą... – zerknęła na niego lekko spłoszona. – Tak do mnie napisałeś... tak ładnie napisałeś.

Szli dalej bez słowa, muskając dłońmi dojrzałe kłosa żyta i pszenicy.

– Jutro z rana wyjeżdżam – powiedział nagle.

Przystanąła i spojrzała pytająco.

– Za kilka dni będę dowodził ważną akcją... – złapał jeden kłos, urwał go i zgniótł w dłoni. Posypały się między palcami ziarenka, wprost na polną drogę. – Spotkanie z tobą było mi bardzo potrzebne – delikatnie dotknął jej ramienia.

Nie cofnęła ręki, nie chciała.

– Czy wujek Izaak pogniewał się na ciebie, mamusiu? – głos Natalki był senny.

– Nie, dlaczego tak myślisz? – pytanie córki bardzo ją zaskoczyło.

– Bo nic nie mówicie. Ty nie mówisz i wujek nie mówi – Natalka siedziała na podłodze, bawiąc się szmacianą lalką.

Dopiero uwaga dziecka uprzytomniła jej, że od chwili, gdy powiedział o swoim wyjeździe, rzeczywiście nie zamienili ze sobą ani słowa.

Kolację także zjedli w milczeniu, tylko Natalka marudziła, prowadząc coraz bardziej nierówną walkę ze snem.

– Ja nie chcę spać, mamuuusiu – protestowała, gdy Julia kładła ją do łóżeczka.

Izaak bez słowa podszedł do starej szafy i otworzył szufladę. Pamiętał, że wczoraj, gdy Julia wyjmowała pościel, widział na dnie szuflady organki. Znalazł je bez trudu.

„Kiedy ostatni raz grałem na organkach?” – pomyślał.

Ćwiczył przez krótką chwilę i mrugnął porozumiewawczo do Julii i Natalki, które z zaciekawieniem go obserwowały. Pokój wypełniły dźwięki kozackich dumek, tych samych, które w kuckim garnizonie grał na akordeonie lejtnant Kalnikow.

– Dobranoc, Julio – powiedział, kiedy Natalka już spała.

Uścisnął jej dłoń i wyszedł do swojego pokoju.

Zgasiła światło i kiedy przykrywała się pierzyną, uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że jest naga. Wstała, by założyć koszulę, i znieruchomiała – w drzwiach pokoju stał Izaak.

Było ciemno, ale wyczuła, że stoi. Kiedy kładł się obok, wiedziała, że też jest nagi. Otoczył ją ramieniem, a ona przytuliła się, jakby robiła to z nim od zawsze. Obejmował ją mocniej i mocniej, a ona poddawała się całym ciałem, dając do zrozumienia, że chce, że tak bardzo na tę chwilę czekała.

– Tęskniłam, wiesz... – szeptała mu prosto do ucha. – Dotykaj mnie i nie przestawaj, proszę.

Uśmiechnął się i położył palec na jej ustach.

– Ciii... – wyszeptał, pozostawiając na jej policzku wilgoć oddechu.

Ugryzła go delikatnie w dłoń, a on powoli przesunął ją z twarzy na szyję, potem ramiona. Muskał palcami piersi, talię, rozchylające się uda. Wiedział, że im delikatniejszy jest ten dotyk, tym mocniej ona go czuje.

Wysunął język, zaczął nim dotykać nabrzmiałych brodawek. Ujęła jego dłoń i wolnym ruchem przesunęła niżej, kładąc sobie między uda. Przyciskała ją coraz mocniej i mocniej, w końcu uniosła biodra. Rytmicznie zaczęła się poruszać w jakiejś nieznaney sobie dotąd miłosnej ekstazie. Zamknęła oczy i już tylko słyszała trzeszczenie drewnianego łóżka. Słomiane sienniki tłumiły metaliczne skrzypienie sprężyn.

Natalka poruszyła się niespokojnie w łóżeczku.

Izaak, który ciągle leżał na boku, odwrócił się nagle na plecy i przyciągnął Julię do siebie.

– Stań nade mną – poprosił.

Wstała, cudownie i bezwstydnie naga, a jej długie włosy zasłoniły ramiona i piersi.

Powiodła wzrokiem po jego ciele i zatrzymała nagle zaskoczone spojrzenie. Zauważył to.

– Przecież jestem Żydem – uśmiechnął się.

– Ukłęknij powoli – ton głosu miał bardzo delikatny.

Zawahała się, ale tylko na chwilę.

Przyciągnął ją do siebie i muskał językiem nabrzmiące piersi.

– Teraz, Julio – szepnął, kiedy wtuliła się w jego ramiona – musisz mi jednak pomóc.

Podniosła się, dłonią gładząc jego zarośniętą pierś. Przesuwała ją coraz niżej. Widziała, jaką sprawia mu tym przyjemność, delektowała się jego cichym pomrukiem zadowolenia, w końcu wyprostowała się, unosząc przy tym biodra.

– Czujesz? – spytała.

Potwierdził ruchem powiek.

Błede światło padało na jej twarz, gdy zaczęła ruszać biodrami, szybciej i szybciej. Łóżko znowu zajęczało.

– Julio... – Izaak nagle zeszywniał.

Spojrzała pytająco na kochanka, który skinieniem głowy wskazał łóżeczko w drugim kącie pokoju.

Natalka siedziała z otwartymi oczami, patrząc na nich w milczeniu.

Julia zamarła. Trwało to jednak tylko krótką chwilę.

– Połóż się, Natalko – szepnęła i sięgnęła ręką, by zgasić naftową lampę.

Beskid Niski, schron UPA

Dowódcy czot i rojów siedzieli ze spuszczoneymi głowami.

– A jednak postawili na swoim! – sotenny zacisnął pięść. – Użyli takich sił, że nie byliśmy w stanie im przeszkodzić. Teraz możemy tylko spalić wieś, aby żaden Polaczek tam nie zamieszkał. Dzisiaj w nocy wasz oddział to zrobi – zwrócił się do Wertyczyhy.

Dla Jakubowskiego miała to być pierwsza prawdziwa akcja. Do oddziału Wertyczyhy dołączył trzy tygodnie temu. Czuł się już dobrze, jednak długi pobyt w schronie i troskliwa opieka Katryny sprawiły, że przybrał na wadze. Początkowo męczył go nawet krótki marsz, ale teraz było zupełnie inaczej. Sotnia, do której trafił, miała dwa małe, dobrze zamaskowane schrony. Znajdowały się one w lesie na zboczach Kiczery. Blisko były dwa inne, przeznaczone do przechowywania żywności. Tę wiedzę Jakubowski posiadał już po trzech tygodniach i kiedy zastanawiał się, czy odłączyć się od oddziału i zakończyć swoją misję, usłyszał rozmowę, która odwiodła go od tego zamiaru. Wynikało z niej, że dzień drogi od Porohatego Wyżnego znajduje się cały kompleks podziemnych schronów ze szpitalem i piekarnią. Uznał, że musi znaleźć to miejsce. Postanowił zostać.

Brakowało mu Katryny. Przywoływał w pamięci ostatni okres pobytu w schronie Basłaków, pełny namiętnych z nią spotkań. Ze zdziwieniem stwierdził, że coraz mniej myśli o Julii i Natalce. Za to Katryna rozbudzała w nim taką namiętność i takie pożądanie, jakich nigdy dotąd nie doświadczał.

Po godzinnym marszu Wertyczyha zatrzymał oddział. Było mało prawdopodobne, aby Polacy urządzili zasadzkę, ale doświadczony Wertyczyha chciał mieć tego pewność. Zwiadowcy wrócili po kwadransie z wiadomością, że wieś jest pusta.

– Podpalimy wszystkie zagrody jednocześnie – Wertyczyha przypominał rozkaz sotennego. – Sygnałem będzie pierwszy płonący dom.

Trzydziestu ludzi weszło do wioski. Sprawnie podzielili się na dwuosobowe grupy i zniknęli w ciemnościach. Kiedy zobaczyli płonącą stodołę, natychmiast przystąpili do akcji i po kilku minutach całe Porohate Niżne stanęło w płomieniach. W ich blasku widać było wycofujących się do lasu banderowców.

Krosno

– Co pan w takim skupieniu czyta, panie kapitanie? – major Wise silił się na grzeczność.

– Protokół z przesłuchania Danyło Kotopczaka – kapitan Zeliński nie przerywał lektury.

– A kto to taki?

– Nie wiecie? To do was niepodobne.

– Niech pan nie będzie złośliwy – major Wise spojrzał spod oka. – Wszystkiego wiedzieć nie mogę.

– Podczas wysiedlenia Porohatego Niżnego banderowcy rozerwali koźmi córkę Kotopczaka – kapitan Zieliński uznał, że dalsze przekomarzenie się nie ma sensu. – On sam zgłosił się do nas z prośbą o przesłuchanie – odłożył maszynopis. – Właściwie nic interesującego nie powiedział, jedynie zdawał relację. Ciekawa jest natomiast informacja o rodzinie Basłaków z Porohatego Wyżnego – wyjął z kieszeni paczkę papierosów. – Zapalicie?

– Zapalę – major Wise wyciągnął zmiętego papierosa. – Siedzieliście na tej paczce, kapitanie Zieliński, czy co?

– Córka Kotopczaka przyjaźniła się z Katryną Basłak – kapitan podał ogień. – Dziewczyny rozmawiały ze sobą szczerze, a córka nie miała przed ojcem tajemnic i stąd jego wiedza. Dmytro i Makryna Basłak to porządni Łemkowie, ale ich syn jest w sotni „Łemko”, a córka to banderowska sanitariuszka.

– Widzę, że szybko się pan uczy, kapitanie – major Wise zaciągnął się głęboko. – Niech pan zbiera takie informacje, kiedyś na pewno je wykorzystamy.

– Mam jeszcze jedną wiadomość – kapitan Zieliński włożył protokół do szuflady. – Dowództwo przełożyło termin waszej akcji w Porohatem Wyżnem.

– Jak to przełożyło? – major Wise zakrztusił się dymem. – Chyba pan żartuje?

– Nie żartuję. Dowódcy uznali, że jeszcze nie jesteśmy do niej dobrze

przygotowani.

Szczepanów

Dzisiaj w szczepanowskim kościele było mniej ludzi niż zwykle. Wprawdzie wszystkie miejsca w ławkach po lewej stronie były zajęte, ale prawa, męska część kościoła świeciła pustkami. Niedzielna suma powoli zbliżała się do końca.

– *Pater noster, qui es in caelis* [262] – śpiew księdza Władysława wypełniał kościół.

– *Sanctificetur nomen tuum; adveniat regnum tuum; fiat voluntas tua, sicut in caelo et in terra. Panem nostrum quotidianum da nobis hodie* [263] – podchwycił organista, a za nim zgromadzeni wierni.

Julia śpiewała ze wszystkimi i tak jak oni, nie rozumiała ani jednego słowa. Nie to jednak było dla niej ważne. Bała się tego, co nieuchronnie musiało nadejść.

– *Agnus Dei, qui tollis peccata mundi, miserere nobis* [264] – powtarzała z ukrytą w dłoniach głową.

– *Ecce Agnus Dei, ecce qui tollit peccata mundi. Beati qui ad cenam Agni vocati sunt* [265] – ksiądz Władysław trzymał hostię w wysoko uniesionych dłoniach, a ministranci trwali w gotowości do potrząsania dzwonkami.

– *Domine, non sum dignus, ut intres sub tectum meum, sed tantum dic verbo et sanabitur anima mea* [266] – ludzie klęczeli z pochylonymi głowami, bijąc się w piersi.

Kościelny zamknął balaski, przykrył je białym płótnem, a kościół zaczął się wypełniać wychodzącymi z ławek ludźmi. Mężczyźni i kobiety, wymieszani między sobą, wolno przesuwali się w stronę ołtarza.

– *Corpus Christi* [267], *Amen. Corpus Christi, Amen* - słowa kapłana przeszywały powietrze niczym ostre strzały, odbijały się od ścian, sufitu i organów grających właśnie *Pan Jezus już się zbliża* i trafiały ją bezlitośnie. Klęczała w ławce z pochyloną głową i złożonymi do modlitwy rękoma. Wokół niej nie było nikogo.

Porohate Wyżne

Święta Bożego Narodzenia 1946 roku były bardziej mroźne i śnieżne niż zwykle. Często padający śnieg pokrył grubą warstwą dachy łemkowskich chat i gałęzie świerków w pobliskich lasach.

– *Chrystos raždajetsia* [268] – już wczoraj podczas uroczystej jutrzni kapłan pozdrawiał wiernych.

– *Sławyte Jeho* [269] – odpowiadali pojedynczo, podchodząc do niego.

Tak było wczoraj, a dzisiaj jest wielkie święto: dzień szacunku dla bliźnich i dzień wzajemnego pokoju. Wszyscy wypatrują *połaznyka*, czyli pierwszego gościa, który wejdzie do ich domu. Wiedzą, że musi to być mężczyzna pogodnego usposobienia, chłopak odważny i koniecznie kawaler, który będzie się zalecał do córki gospodarza. Ma wejść do domu od dołu do góry, nigdy odwrotnie, aby dom i całe gospodarstwo bogaciły się w nadchodzącym roku.

Rodzina Baślaków znowu była w komplecie.

– *Ne budeme czekaty na połaznyka* [270] – oświadczył Dmytro. – Bo kto niby odwiedzić nas może?

– No, Mychajło może – Makryna przykrywała stół lnianym obrusem. – Może Mychajło do nas zajdzie?

– Ten, co Katryna leczyła go? – twarz gospodarza sposepniała.

– Tenże sam – kobieta uśmiechnęła się pogodnie. – To dobry człowiek jest, a i Katrunia go polubiła.

– No, może to i prawda – Dmytro podrapał się po głowie. – On partyzant, ale inny.

Petro i Katryna nie włączali się do rozmowy i na chwilę zapadła cisza. Przerwało ją nagłe pukanie do drzwi.

– A to kto? – Makryna spojrzała na męża.

– A mnie to skąd wiedzieć? – obruszył się. – Ale to połaznyk jest – ucieszył się. Wyszedł do sieni przywitać niespodziewanego gościa.

– *Na szczasti, na zdrowla, na to Boże Narodźynia, szczob ste byli zdorowi, weseli, jak w Nebi Anheli* [271] – usłyszeli znajomy głos.

– Mychajło! – Katryna zerwała się na równe nogi. – To on.

Usiadła i zamilkła, skarcona groźnym spojrzeniem ojca.

– Tak, to ja – Jakubowski wszedł do izby.

– Do stołu prosimy – Dmytro wskazał ławę, chociaż widać było, że toczy walkę ze swoim sumieniem.

Matka i córka przyniosły misę pełną kiełbasy i słoniny. W wiklinowym koszyku podały biały chleb. Przyniosły też kutię i keselicyę, czyli żurek z kwasu owsianego, które zostały po wczorajszej wieczerzy. Aby keselicya była smaczniejsza, Makryna wlała do niej już nie oleju, tak jak wczoraj, w Swiatyj Weczir, tylko skwarków z podsmażonego sadła. Obie wiedziały, że *połaznyk* musi zostać dobrze ugoszczony, żeby zamiast dobra nie przyniósł do domu zła i nieszczęścia.

Obecność rodziny nie pozwalała na swobodną rozmowę, dlatego Katryna zeszła do schronu razem z Jakubowskim.

– *Chto ty vlastywo je?* [272] – wtuliła głowę w jego ramiona. – Dzisiaj święto Bogarodzicy i Józefa Oblubieńca mamy. Rano chyżę zamiotłam i śmieci wyrzuciłam na śnieg. Ludzie mówią, że kiedy na nich wróbel usiądzie, to narzeczonym będzie kawaler, a kiedy wrona, to wdowiec. Na moich śmieciach nie usiadł żaden ptak – zamyśliła się. – Powiedz, Mychajło, kim ty naprawdę jesteś?

– Staram się być dobrym człowiekiem – mówił wolno, chcąc zyskać na czasie. – Staram się nie krzywdzić ludzi.

– Wśród was nie ma dobrych ludzi, Mychajło.

– Ludzie są różni, jak wszędzie, Katruniu. Nie zabiłem nikogo i chcę, żeby tak było do końca.

– Do końca, czyli do czego? – spojrzała mu prosto w oczy.

– Sam nie wiem. Coraz więcej z nas wątpi, czy ta walka ma jeszcze sens. Wojna, o której ciągle mówi sotennyj, nie nadchodzi, a jak jej nie będzie, to nasz koniec jest pewny.

– Wiesz – przytuliła się jeszcze mocniej – Petro mówi tak samo. On

bardzo się zmienił. Już nie chce służyć w sotni.

Milczeli dłuższą chwilę. Nagle Katryna ujęła jego dłoń, położyła ją na swoim brzuchu i zaczęła przesuwając we wszystkich kierunkach.

– Czujesz? – zapytała cicho.

– Co?

– Mój brzuch. Spódnica jest luźna i jeszcze tego nie widać, ale będę miała dziecko. Twoje dziecko, Mychajło.

Po wyjeździe Izaaka życie Julii zmieniło się zupełnie. Nie, nie to, które widział czasem stary Tkaczuk, kiedy pchał rower obok jej domu, albo ludzie ze wsi, kiedy robiła zakupy. Tutaj wszystko było jak dawniej. Zmieniło się coś w niej samej. Coś, czego ani Tkaczuk, ani nikt inny nie mógł zobaczyć. Była pewna, że Michał nie żyje. Ta świadomość, z którą tak trudno było się jej pogodzić, sprawiła, że wszystkie swoje emocje, całe uczucie, jakim kobieta potrafi obdarować mężczyznę, skierowała do Izaaka. Ale jego teraz też przy niej nie było. Nie było tych czułości, które na krótko pozwoliły jej być prawdziwą kobietą, które wyzwały takie jej zachowania, jakich dotąd nie знаła. Nie było tego dotyku, wznoszącego ją na szczyty szalonych uniesień.

Natalka bawiła się szmacianą lalką, a ona zrobiła miejsce na stole i zaczęła pisać list.

Porohate Wyżne

W marcu 1947 roku na nizinach zaczynała się już wiosna, ale w górach było inaczej. W lasach leżało jeszcze dużo śniegu i jedynie wystawione na słoneczne promienie połoniny przyciągały wzrok bielą śnieżnych łąk i brudną zielenią jesiennych traw. Porohate Niżne straszło wypalonymi ruinami łemkowskich zagród. Tylko sterczące kikuty kominów przypominały, że jeszcze niedawno mieszkali tutaj ludzie.

W Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa w Krośnie trwała narada przed akcją, którą planowano już od kilku tygodni.

– Naszym głównym zadaniem jest zlokalizowanie schronu UPA –

przypominał major Wise. – W plan wtajemniczone są wyłącznie osoby znajdujące się w tym pokoju. Teren wokół wsi wyklucza manewr oskrzydający, dlatego tak ważna jest taktyka, którą chcę wam przedstawić. Oddział mający wciągnąć banderowców w zasadzkę poprowadzę osobiście. Na terenie ich działalności pozostały już tylko cztery zamieszkałe wsie. Utrata każdej to dotkliwe ograniczenie ich zaplecza. Dlatego jestem pewien, że wyjdą z bunkra i zrobią wszystko, żeby udaremnić nasz plan. – Kapitanie Zieliński – podniósł głos. – Na was spoczywać będzie duża odpowiedzialność. Odsiecz, którą poprowadzicie, nie może się spóźnić. Jeśli nie przyjdziecie na czas, mój oddział przestanie istnieć, ale jeśli zjawicie się za wcześnie, cały plan szlag trafi.

– Majorze Wise – kapitan uśmiechnął się kwaśno. – Żądacie ode mnie działań z dokładnością szwajcarskiego zegarka. Dobrze wiecie, że nie jest to możliwe.

– Wiem – kiwnął głową. – Muszą ją jednak zastąpić wasze doświadczenie i żołnierska intuicja. Dla mojego oddziału będzie to sprawa życia albo śmierci.

Rodzina Basłaków skończyła obiad i Dmytro przez okno patrzył na podwórze.

– A to co? – zdziwił się, widząc dziwny ruch w zagrodzie sąsiadów. Zanim zdążył coś więcej powiedzieć, dobiegły ich głośne krzyki kobiet i przekleństwa mężczyzn.

– *Schowaj sia skoro, doniu!* [273] – Dmytro chwycił córkę za rękę i Katryna bez chwili zwłoki wyszła do schronu.

Gdyby słowa mogły zabijać, trup w Porohatem Wyżnem padałby gęsto. Żołnierze majora Wise wyrzucali Łemków z chat na gościniec i spędzali w pobliżu cerkwi. On sam krzyczał po ukraińsku i po rosyjsku, stojąc na pace wojskowej ciężarówki.

– *Za paddierzywaniye UPA, wy bud'et'e wys'el'eny iz waszewa s'ela!* [274]. Do rana wasz dobytek ma być spakowany. Możecie zabrać tyle, ile zdołacie unieść.

Ludzie odchodzili w pośpiechu.

– Jak to wieś opuścić? – pytali siebie nawzajem. – To nie my prosili partyzantów. Oni jak na swoje przysli, a nas mają wysiedlić?

Major Wise zakładał, że banderowcy zostaną powiadomieni o jego akcji przez ludzi mieszkających we wsi. Początkowo nie dopuszczał myśli, że może być inaczej, ale teraz naszyły go wątpliwości. „A co będzie – zastanawiał się – jeśli nie przyjdą?”. Martwiło go to o tyle, że do prawdziwego wysiedlenia ani on, ani nikt w Krośnie nie był przygotowany. Uspokoił się dopiero wieczorem, kiedy w zapadających ciemnościach zobaczył sylwetkę mężczyzny wychodzącego ze wsi do lasu.

– No to poczekamy na was – mruknął pod nosem. Usiadł na świerkowym pniu i zapalił papierosa.

Długo formował swój oddział, ale dobrał najlepszych i najbardziej zdeterminowanych. Byli w nim ludzie z Wołynia i Galicji, którzy w akcjach UPA stracili swoich najbliższych. Z nimi znalazł wspólny język, z nimi czuł się najpewniej, a ich krzywdy były tak wielkie, że skutecznie tłumili strach przed walką z okrutnym przeciwnikiem. Oddział rozproszył się, ale żołnierze zachowywali najwyższą czujność.

Godziny mijały powoli. Mimo głębokiej nocy mieszkańcy wsi nie spali. Pakowali dobytek i nie wiedzieli, co mają zabrać, a przecież nie mogli wziąć wszystkiego. Najważniejsze są ikony, tylko tego byli pewni. Właśnie ikony, obrazki święte, fotografie czasem jakieś dokumenty pakowali w pierwszej kolejności.

Zmrok powoli ustępował, a ludzie majora Wise czuwali. Chociaż sen atakował zaciekłe, to świadomość zbliżającej się walki skutecznie ich przed nim broniła.

Majora Wise dręczyły obawy jeszcze innego rodzaju. Ta akcja była sprawą honoru radzieckiego i polskiego oficera. Jego sukces będzie jednocześnie porażką kapitana Zielińskiego, ale to przecież kapitan ma przyjść z odsieczą. „A jeśli celowo się spóźni?”. Starał się nie myśleć, co będzie wtedy. Pograżony w rozmyślaniach, nie zauważył skradających się banderowców. Kiedy się ocknął, dwaj z nich byli najwyżej dziesięć kroków od chaty. Na jego szczęście nie zauważyli go. Panującą ciszę przerwała seria z pepeszy, jaką oddał w ich kierunku. W tej samej chwili ożyły sąsiednie zagrody, w których żołnierze czekali na sygnał do walki. Na banderowców

spadł krzyżowy grad pocisków, nie dając im szans przeżycia. Atakujący oddział został zaskoczony i rozbity, ale spokój nie trwał długo.

Informacje dostarczone sotennemu przez łącznika potwierdziły się w pełni. We wsi było najwyżej kilkunastu żołnierzy i nie mieli karabinu maszynowego. Sotnia, wzmocniona ściągniętymi naprędce posiłkami, zamykała szczelny pierścień wokół wsi. Po krótkiej naradzie sotenny wydzielił grupę pięćdziesięciu ludzi do bezpośredniego ataku i wkrótce chaty, z których strzelali żołnierze, przykryły serie pocisków z dwóch karabinów maszynowych. Pod osłoną ognia banderowcy obrzucali chaty granatami zapalającymi, jednak wzniecone pożary nie tyle zagroziły oddziałowi majora Wise, co demaskowały pozycje atakujących, skrywane dotąd przez z wolna ustępujące ciemności.

Napastnicy przypuścili kolejny atak i chociaż on także został odparty, to jednak pozwolił im dokładnie określić pozycje obrońców. Ogień karabinów maszynowych siekł drzwi i okna, a ukryci w konarach drzew snajperzy próbowali dosięgnąć żołnierzy majora Wise precyzyjnym ogniem. Kilku banderowców z granatami czołgało się w ich kierunku.

Jakubowski stał ukryty za stuletnim świerkiem. Miał dokładny przegląd pola walki, a jego karabin, wyposażony w lunetę, pozwalał na precyzyjne prowadzenie ognia. Widział dwóch żołnierzy majora Wise ukrytych za stosem świerkowych żerdzi, ale nie do nich strzelał. W tej samej linii znajdowali się banderowcy. Wybierał takich, na których śmierć nikt nie zwracał uwagi. Wkrótce zamilkł jeden z karabinów maszynowych, ale drugie stanowisko znajdowało się poza polem ostrzału Jakubowskiego. Po kilku następnych minutach znieruchomieli dwaj banderowcy z granatami. Później przestał liczyć.

Nagle usłyszał z tyłu długie serie z pepeszy. Odwrócił się i niemal został staranowany przez zbiegającego ze wzgórza żołnierza, który, zajęty prowadzeniem ognia w pierwszej, chwili go nie zauważył. Jakubowski strzelił instynktownie i żołnierz w polskim mundurze osunął się na ziemię. Chwycił jego pepeszę, odrzucił karabin snajperski i rzucił się do ucieczki, gotów zabić każdego, kogo spotka na drodze. Nie musiał długo czekać. Biegł pod górę, a kiedy zobaczył dwóch kolejnych żołnierzy, otworzył do nich ogień. To także byli Polacy. Nie ustawał w biegu i wkrótce miał pewność, że

minął zbiegającą w dół tyralierę. Jakiś nadludzki zmysł podpowiadał mu, że ktoś podąża za nim, ale ten sam zmysł uspokajał go jednocześnie, że nic mu nie grozi.

Na szczycie wzgórza wpadł na grupę uciekających banderowców, ściganych przez znacznie liczniejszy oddział polskiego wojska. Dołączył do nich. Uciekali razem przez las, a kiedy kule zaczęły świstać coraz bliżej, krzyknął, że muszą się rozdzielić. Skręcił w bok, a wraz z nim trzech innych banderowców. Reszta pobiegła na wprost, ściągając cały pościg na siebie.

Biegli co sił. Bitewny zgiełk słabł coraz bardziej i w końcu zrobiło się cicho. Znaleźli niewielkie zagłębienie w ziemi. Położyli się na jego dnie i przykryli świerkowymi gałęziami. Czekali na zmierzch.

Krosno

Major Wise odniósł niewątpliwy sukces. Jego oddział zwabił banderowców, zabił blisko dwudziestu z nich i nie poniósł żadnych strat. Odsiecz prowadzona przez kapitana Zielińskiego spisała się znacznie gorzej. Żołnierze przybyli za późno, za wcześnie zostali zdemaskowani, bo otworzyli ogień przed wkroczeniem do wsi, stracili dziesięciu zabitych i pozwolili na ucieczkę prawie całej formacji UPA. Przewidując dalszy rozwój wydarzeń, major Wise zlecił wykonanie dokumentacji fotograficznej miejsca potyczki. W duchu cieszył się ze strat poniesionych przez oddziały kapitana Zielińskiego. On, radziecki oficer, miał coś do udowodnienia polskiemu panu, którego szczerze nie lubił, i on to udowodnił. Teraz z niecierpliwością czekał na odprawę sztabu krośnieńskiego garnizonu, zwołaną na siedemnastą.

Narada trwała, a major Wise był w swoim żywiole. Tłumaczył, jaki był plan akcji. Wskazywał, co poszło dobrze, a co nie. Mówił prawdę i nie potrzebował zmieniać faktów, które bezdyskusyjnie świadczyły na jego korzyść. Kiedy zarzucono mu nadmierną fantazję i kłamstwo, przedstawił dokumentację, która potwierdziła jego słowa.

– Gdyby nie odsiecz, jaką przyprowadziłem – bronił się kapitan Zieliński – wasz oddział zostałby całkowicie zniszczony.

– To prawda – przyznawał major Wise – ale walczyliśmy z dużo liczniejszym przeciwnikiem. Mój plan zakładał wyciągnięcie banderowców z lasu i związanie ich walką. Został on wykonany, natomiast pan miał zlikwidować banderowskie oddziały i złapać kilku jeńców, a to się nie udało.

Wise znowu był górą, ale nie zyskał sympatii polskich oficerów. Cekał więc spokojnie na protokół ze spotkania, a kiedy go otrzymał, przeczytał uważnie. Był po jego myśli i podpisali go wszyscy zebrani. Zapalił papierosa i szybko zapełniał kartkę papieru drobnym pismem. Kiedy skończył, zaadresował kopertę do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, włożył do niej list wraz z protokołem z odprawy sztabu i zlecił wysłanie do Warszawy. Zmęczony wrócił do gabinetu i usiadł w głębokim, wysłużonym fotelu.

„Te Polaczki mnie nie doceniają” – zamyślił się. „To był duży sukces, a oni usiłują go pomniejszyć”. Jego rozmyślenia przerwało pukanie do drzwi.

– Wejść! – zawołał szorstko.

Do pokoju wkroczył ten sam sierżant, któremu kiedyś rozkazał odszukać adres Julii.

– Towarzyszu majorze – żołnierz stanął na baczność. – Przyniosłem dla was list.

Ksiądz Władysław klęczał w ławce i odmawiał różaniec mając nadzieję, że ktoś jeszcze przyjdzie do spowiedzi. Kościół jednak był pusty, a wokół panowała niczym niezakłócona cisza. Kiedy skończył modlitwę, podniósł się z klęczek i usiadł. Przypominał sobie parafię, w której przed wojną był proboszczem, i kościoły pełne ludzi. Dziwił się, że tych kilka wojennych lat tak bardzo zmieniło ludzkie zwyczaje. Im więcej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że wszystko wymaga czasu, a ludzie, którzy przyjechali tutaj z różnych stron Polski, nie zdążyli się jeszcze zżyć ze sobą i przez to o Bogu myślą mniej. Z zadumy wyrwało go skrzypienie drzwi. Odruchowo odwrócił się. Do kościoła weszła Julia.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedziała półgłosem, kiedy znalazła się blisko niego.

– Na wieki wieków, amen.

– Do spowiedzi przyszedłem. Czy nie za późno?

– Nie, moje dziecko. Na spowiedź nigdy nie jest za późno. Tutaj chcesz wyznać grzechy czy w konfesjonale?

– Sama nie wiem – zawahała się. – No, może jednak w konfesjonale.

– No to mów, co ci na duszy leży – ksiądz Władysław zamknął ażurowe drzwiczki.

– Kiedy nie wiem, jak zacząć.

– Znowu nie zrobiłaś rachunku sumienia?

– Nie, nie o to, proszę księdza, chodzi. Grzechy pamiętam, tylko... tylko to takie trudne.

– Zawsze zaczynaj od najcięższych, dziecko drogie.

– Kiedy byłem u spowiedzi wielkanocnej – zaczęła łamiącym się głosem

– mówiłam księdzu o Izaaku. Że śni się mówiłam, że o nim myślę, chociaż nie chcę. Pamiętam, że nic mi wtedy ksiądz nie powiedział. Ani nie potępił, ani nie zabronił. Dlaczego ksiądz wtedy na mnie nie nakrzyczał? – pociągnęła nosem. – No, w czasie tej spowiedzi. Może nie przyjąłabym go, może nie pozwoliła zostać? On przyjechał i był u mnie kilka dni – zamilkła.

W konfesjonale zapadła cisza, którą dopiero po długiej chwili przerwał zgaszony głos księdza Władysława.

– Powiedziałaś, moje dziecko, że wyznanie grzechów jest trudne. To prawda, czasem jest trudne, a wiesz, kiedy tak się dzieje?

– Nie, nie wiem.

– To nasze sumienia o tym decydują – ksiądz patrzył przed siebie. – Czasem jest tak, że zrobisz coś, czego Bóg nie uznaje za grzech, a sumienie cię dręczy. Innym razem popełnisz grzech, obrażając Boga, a w sumieniu masz spokój. Tak, to sumienia są naszymi sędziami – uchylił drzwiczki konfesjonau. – Ciężko się żyje, kiedy sumienie przypomina o grzechu, ale spowiedź pomaga zrzucić jego brzemię. Tak, tak. Każdy z nas potrzebuje spowiedzi.

– Dlatego tutaj przyszedłam – powiedziała skruszonym głosem.

– Przed wojną byłem proboszczem w małym miasteczku koło Tarnopola – ksiądz Władysław zdawał się nie słyszeć jej słów. – To było zwykłe miasteczko, w którym mieszkali Żydzi, Ukraińcy i Polacy. Przy moim kościele działał żeński chór, a ponieważ był to jedyny katolicki kościół w okolicy, śpiewały w nim dziewczyny i kobiety z pobliskich wsi. Ona miała na imię Anna.

– Nie rozumiem. Dlaczego ksiądz o tym mówi?

– Posłuchaj, proszę, to zrozumiesz. W czasie wojny Rosjanie zabronili spotkań i chór rozwiązali, ale mszę pozwolili odprawiać. Za Niemców było podobnie i tak nasza wspólnota dotrwała do 1944 roku. Na wiosnę do miasteczka wkroczyły oddziały Czerwonej Armii. Różnie się to wojsko zachowywało, ale ogólnie panował spokój i było bezpiecznie. Latem zaczęły się akcje banderowców i miasteczko zapełniło się uciekinierami. Ze wsi uciekli rodzice Anny, ale ona sama została. – Słuchasz? – zbliżył twarz do kraty konfesjonau.

– Tak, słucham. U nas w Kutach było tak samo.

– Anna wstydziła się ludzi. Za miesiąc miała rodzić i dlatego została. Banderowcy przyszli wieczorem. Rozcięli jej brzuch i wyjęli dziecko. Pytasz, dlaczego ciebie nie potępiłem? – mówił zmienionym głosem. – Może rzeczywiście źle zrobiłem, ale żeby mieć prawo pouczać innych, powinno się żyć w zgodzie z własnym sumieniem. Ja nie mam takiego prawa.

Julia karmiła Natalkę, ale przez rozsunięte firanki spoglądała na polną drogę. Listonosza obserwowała od pewnego czasu. Tkaczuk, z przewieszoną przez ramię torbą, pchał jak zwykle rower przez głęboki w tym miejscu piasek. Kiedy był przed domem zauważył ją, pomachał przyjaźnie ręką i nie zatrzymał się, tylko poszedł w stronę lasu.

Zrezygnowana poprawiała firanki. Kątem oka dostrzegła jednak, że Tkaczuk zatrzymał się, wyjął z torby jakąś przesyłkę i ruszył z powrotem. Zostawiła dziecko i wybiegła mu na spotkanie.

– Z pamięcią kłopot mam, panienko – listonosz otwartą dłonią uderzył się w czoło. – O was zapomniałem, a list z Warszawy panienska ma. Z Czerwonego Krzyża i polecony, to podpisać trzeba.

Podpisała i wbiegła do kuchni, zapomniawszy pożegnać się z Tkaczukiem.

Obywatelka Jakubowska Julia, Karlików – czytała po chwili. Informujemy, że mąż obywatelki, Jakubowski Michał, syn Macieja i Herthy, urodzony w Rybakach w ZSRR 12.X.1919 roku, obecnie odbywa służbę wojskową. Z powodu tajemnicy wojskowej Polski Czerwony Krzyż nie posiada żadnych innych informacji.

Położyła list na stole i rozplakała się.

Po obiedzie poszła do Elżbiety. Obie kobiety dobrze pamiętały kłótnię sprzed miesiąca, ale upływający czas powoli łagodził sytuację. Dzieci Elżbiety zaopiekowały się Natalką, Stefan był poza domem, mogły więc spokojnie porozmawiać.

– List od PCK dostałam – Julia mówiła pełnym emocji głosem. –

Napisali, że jest w wojsku, no, Michał, ale z powodu tajemnicy wojskowej nic więcej nie wiedzą. Może niedługo przyjedzie? Może nawet na święta?

– Może – Elżbieta zamyśliła się. – Masz dużo czasu, żeby to wszystko przemyśleć.

– Co przemyśleć? – Jakubowska zmarszczyła czoło, ale nie uzyskała odpowiedzi. Drzwi pokoju otworzył najstarszy syn Stefana.

– Jesteśmy głodni, mamó – powiedział, nie przestępując progę. – Zrób coś do jedzenia.

– Poczekaj chwilę – Elżbieta wzięła chłopca za ramię i wyszła z pokoju.

Wróciła po kwadransie z chlebem, smalcem ze skwarkami i kawą zbożową.

– Jedz, proszę – zachęcała. – O twoim gościu myślałam. No wiesz, jak by to powiedzieć... – szukała właściwych słów. – O tym, co był u ciebie latem.

– Jak możesz? Ja wcale... to znaczy... – Julia nie wiedziała, co powiedzieć.

– Ja tam do tego nic nie mam, to twoja sprawa, ale we wsi aż huczy od plotek. Michał, jak wróci, prędzej czy później wszystkiego się dowie. Nie żeby specjalnie ktoś mu powiedział, ale przy wódce łatwo się wygadać. Masz jeszcze czas. Pomyśl, co mu powiesz. Każdy chłop łatwowierny jest, ale coś mądrego musisz wymyślić.

Beskid Niski, masyw Chryszczatej

Jakubowski i trzej banderowcy ledwie dowlekli się do miejsca zbiórki. Byli tak zmęczeni, że natychmiast położyli się na ziemi i usnęli. Z różnych stron nadchodzili inni żołnierze UPA, a kiedy po godzinie napływ niedobitków ustał, okazało się, że straty są ogromne. Brakowało czterdziestu ludzi. Tylu zabitych i rannych zostało w Porohatem Wyżnem.

Jakubowskiego obudziło kopanie w podeszwę buta.

– *Dawaj pepeszu ta hwintiwku z optycznym prycilom!* [275] – rozkazał jeden ze stojących nad nim mężczyzn.

Bez słowa oddał pepeszę.

– Jeszcze karabin!

– Nie mam karabinu – podnosił się powoli. – Wyrzuciłem.

Nieznajomy nic nie odpowiedział. Chwilę się nad czymś zastanawiał, a w końcu skinął głową na towarzyszy i wraz z Jakubowskim ruszyli przez gęsty świerkowy las.

Szli kilka godzin, w większości pod górę. Pod wieczór dotarli do rozwidlenia ścieżek przy rwącym potoku. Zatrzymali się obok samotnej skały i strudzeni szukali miejsca na odpoczynek. Jakubowski domyślił się, że na kogoś czekają.

Po kwadransie pojawiła się inna grupa banderowców. Bez słowa zawiązali Jakubowskiemu oczy, a dwóch z nich wzięło go pod ręce. Znowu szli pod górę, tym razem korytem mniejszego strumienia. Jakubowski próbował odgadnąć, o co w tym wszystkim chodzi?

„Nie obudzili mnie brutalnie i ani razu nie grozili” – w myślach analizował sytuację – „no to chyba nie mają zamiaru mnie zabić”. W końcu doszedł do wniosku, że skoro zawiązali mu oczy, to idą do ważnego miejsca i nie chcą, aby on zapamiętał tę drogę. Jakby na potwierdzenie tych domysłów banderowcy zatrzymali się i zaczęli obracać go wkoło.

– Przestańcie, kręci mi się w głowie – blefował.

Ciągle szli pod górę. Jeszcze kilka razy zatrzymali się i powtarzali obracanie, a w końcu kazali pochylić się i kilkanaście kroków przeszli w takiej właśnie pozycji. Kiedy się zatrzymali, jeden z banderowców zdjął opaskę z jego oczu. Byli w podziemnym bunkrze.

Słabe światło naftowych lamp ledwie rozpraszało ciemności, ale wkrótce zobaczył przed sobą trzech mężczyzn siedzących przy stole. Wiszące za nimi lampy skrywały w cieniu ich twarze.

– To Nedobytyj, Prijmak albo Pariezanyj! – meldował przewodnik.

– *Chto daw nakaz wtikaty?* [276] – jeden z mężczyzn od razu przystąpił do przesłuchania.

– Nikt – Jakubowski mrużył oczy. – Zacząłem uciekać, kiedy wpadła na mnie tyraliera polskiego wojska.

– Kto jeszcze z wami uciekał?

- Trzech innych. Poznałbym ich, ale nazwisk nie znam.
- To było później. Powiedzcie, kto uciekał z wami na samym początku?
- Nie wiem. Uciekałem i nie oglądałem się za siebie, ale wiedziałem, że za mną ktoś biegnie.
- Czy ci, co za wami biegli strzelali?
- Nie wiem, ale chyba nie.
- A dlaczego nie strzelali?
- Naprawdę nie wiem – Jakubowski starał się zachować spokój. – W takiej sytuacji ludzie zachowują się różnie. Ja strzelałem, a oni nie i tyle.
- Czy to twoja pepesza? – mężczyzna podniósł z ziemi broń.
- Teraz tak.
- Co to znaczy? Mówcie jaśniej.
- Ze swojego karabinu zastrzeliłem polskiego żołnierza – Jakubowski odtwarzał przebieg ucieczki. – Zabrałem jego pepeszę, a karabin z lunetą wyrzuciłem.
- Czy wiecie, ile nabojów zostało w magazynku waszej pepeszy?
- Nie wiem.

Usiłował odgadnąć, do czego zmierza ta rozmowa. Niepokoiła go wiedza, jaką mieli przesłuchujący. Bał się, że w jakiś sposób odkryli, kim naprawdę jest.

– Ani jednego. Ty strzelałeś do żołnierzy, a ten za tobą nie, dlatego magazynek jego pepeszy jest pełny. Czy wiesz, dlaczego on nie strzelał?

– Nie. Mówiłem już, że nie wiem.

– Nasz człowiek widział was obu. Mówił, że tylko ty strzelałeś. Ten, który biegł za tobą, był takim samym niedobytym powstańcem jak ty. Tak samo jak ty dołączył do nas tutaj, w Bieszczadach. My takich ludzi bardzo pilnujemy. On dużo mówił i wszystko chciał wiedzieć. Na początku byliśmy pewni, że obaj jesteście szpiegami. Myśleliśmy, że szpiegami są jeszcze dwaj inni, którzy tak jak wy mówili, że są z rozbitych sotni. Tu w bunkrze rozważaliśmy, czy was wszystkich nie obdrzeć ze skóry. Oczywiście

żartowałem – dodał, widząc kwaśny uśmiech na twarzy Jakubowskiego.

– Tamci dwaj gdzieś przepadli. Może zginęli, może uciekli do Polaków. Jednak ten, który biegł za tobą i nie strzelał, musiał być szpiegiem.

– Czy nie za wielu szpiegów widzicie wśród partyzantów? – Jakubowski przetarł mokre włosy i cofnął się pół kroku. Skapująca z sufitu woda rozpryskiwała się teraz u jego stóp.

– Nie macie racji – prowadzący przesłuchanie szepnął coś na ucho mężczyźnie siedzącemu po jego prawej stronie. – Lepiej zabić wszystkich podejrzanych, niż stracić dziesiątki ludzi. Z tego, co biegł za tobą, ściągniemy skórę, a wtedy na pewno powie prawdę.

– A jeśli jest niewinny? Czy wtedy też mu uwierzycie?

– Znowu żartowałem – śledczy uśmiechnął się. – Nie będziemy ściągali z niego skóry. Wczoraj na przesłuchaniu powiedzieliśmy, że jest szpiegiem. Na pewno był, bo wykorzystał naszą nieuwagę i powiesił się. Tym samym przyznał się do winy. Tobie też nie całkiem ufamy. To prawda, że zabiłeś kilku Polaków, jednak przyszedłeś znikąd. Jeszcze będziemy rozmawiali o tej sprawie.

Krosno

Drogi Izaaku – przeczytał. Piszę ten list, ponieważ od dawna nie mam od Ciebie żadnych wiadomości i martwię się o Ciebie, bo czasy, jak sam mówiłeś, są teraz takie niebezpieczne. Modlę się do Boga każdego dnia, aby nie spotkało Cię nic złego. Pamiętam noc z Tobą. To dzięki Tobie poczułam się wtedy taką kobietą, jaką zawsze chciałam być. Teraz brakuje mi Twoich ust, Twoich pieszczot, ciepła Twojego ciała i dotyku Twoich rąk. Kocham Cię, choć nie powinnam, ale to jest silniejsze ode mnie. Całuję.

Izaak Wise zapalił papierosa, usiadł w fotelu i ponownie zaczął czytać. Kiedy skończył, zamyślił się i przysnął.

Z drzemki wyrwał go hałas dobiegający z korytarza. Podniósł list leżący na podłodze, chwilę się zastanawiał, a w końcu podarł go i wyrzucił do kosza.

Z pięciu rannych banderowców przywiezionych z Porohatego Wyżnego trzech zmarło w ciągu nocy, a dwaj pozostali byli w takim stanie, że o przesłuchaniu nie mogło być mowy.

Wise wpadł we wściekłość.

– Oprócz strat, jakie poniosła sotnia – krzyczał – wczorajsza akcja nie wypełniła głównego zadania! Mieliśmy zlokalizować ich bunkier, no i co? Gównem z tego wyszło!

– Kiedy opuszczaliśmy wieś, obywatelu majorze – jeden z żołnierzy zdobył się na odwagę – widziałem, jak jakaś dziewczyna klęczała przy zabitym banderowcu.

– No i co z tego?

– Może ona coś wie? – żołnierz stanął na baczność. – Może od niej czegoś się dowiemy?

– A potrafcie ją odnaleźć?

– Tak jest, obywatelu majorze.

– No to zbierajcie żołnierzy i wracajcie do wsi.

Po dwóch godzinach przywieziono wystraszonych Łemków i od razu zaprowadzono ich na przesłuchanie, które osobiście prowadził major Wise. Czterdziestoletnia kobieta i w podobnym wieku mężczyzna siedzieli niepewni swojego losu. Najwyżej dwunastoletnia dziewczynka i jej starsza siostra trzymały się kurczowo ojcowskich ramion.

– *Kym że buw dl'a tebe ubytyj bandyt, jakoho ty oplakuwała?* [277] – Wise stanął przed starszą z nich.

Milczała przerażona, nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Patrzyła na majora wzrokiem, w którym były strach i niepewność. Nie wiedziała, dlaczego się tutaj znalazła i czego chce od nich radziecki oficer. Nie spuszczać z niego wzroku, jeszcze bardziej wtuliła się w ojcowskie ramiona.

– *To był mij syn* [278] – mężczyzna gładził włosy córki.

– Wasz syn – Wise wydał usta, miarowo kiwając głową. – Czyli jesteście banderowską rodziną, tak?

– Nie, panie, nie jesteśmy – głos kobiety był ledwie słyszalny. – Syna siłą zabrali. On nie chciał, a i my nie chcieli. „Was i córki wasze pohańbimy” – powiedzieli, no, partyzanty – „a chyżę spalimy”. To i co my robić mieli?

– A syn to często was odwiedzał? – major wyjął z kabury pistolet.

– Nie, panie, nieczęsto – Łemek nie spuszczał z oczu rąk przesłuchującego. – Cały czas on w lesie był.

– W bunkrze?

– Tak, panie.

– Gdzie jest ten bunkier?

– Ja nie wiem, panie – Łemek rozłożył ręce. – My syna nie pytali.

– Zabierzcie ją – Wise wskazał pistoletem starszą dziewczynkę. – Jest wasza.

Dwaj żołnierze siłą oderwali dziecko od ojca. Krzyczała, kiedy zdarli z niej sukienkę i zaprowadzili do pokoju obok.

– Gdzie jest bunkier? – major powtórzył pytanie.

– Tatko, matuś, ratujcie! – usłyszeli przeraźliwy krzyk zza zamkniętych drzwi. – Przestańcie, to boli!

Rodzice dziewczynki rzucili się do drzwi. Szarpali je i krzyczeli, usiłując otworzyć. Major Wise doskoczył do Łemka i z całej siły uderzył go pięścią w tył głowy.

– Siadać! – warknął krótko.

Wołanie dziewczynki było coraz słabsze, a w końcu ustało zupełnie.

– Gdzie jest bunkier? – Wise ponowił pytanie. – Zaraz wszystko powiecie – rzucił gniewnie, kiedy nie doczekał się odpowiedzi. – Przyprawdźcie ją! – krzyknął w stronę zamkniętych drzwi.

Po chwili żołnierze wynieśli nagie, bezwładne ciało dziewczyny i położyli je na podłodze.

– Zhańbili dziecko i zabili! – kobieta rzuciła się na podłogę. Przykryła córkę chustą i tuliła ją w ramionach.

– Wy to gorsze od partyzantów są! – krzyczał mężczyzna, wygrażając pięścią.

Major Wise też krzyczał. W panującym zamieszaniu nie zauważył kapitana Zielińskiego, który z pistoletem w rękę i trzema żołnierzami asysty wpadł do pokoju.

– Skuć go! – rozkazał.

Dwaj żołnierze wykręcili ręce radzieckiego oficera, a trzeci wprawnie skuł je kajdankami.

– Jesteście aresztowani, towarzyszu Wise! Za to, co zrobiliście, czeka was sąd wojskowy!

– Gównu czeka – Wise wyszarpnął się z żołnierskiego uścisku. – Ot, Polaczki, ot, panowie, szlachta! – kpił. – Łemek powiedział, gdzie jest bunkier z bronią i żywnością i zaczynał mówić o głównym bunkrze – blefował – a wy jak zwykle wszystko spieprzyliście!

– Obywatelu kapitanie – dowódca plutonu stanął przed kapitanem Zielińskim. – W lesie za Porohatem Wyżnem odkryliśmy banderowski bunkier z żywnością i bronią – meldował.

Chociaż z wojskowego punktu widzenia była to dobra wiadomość, kapitan Zieliński nie wyglądał na zadowolonego. Kolejny raz okazało się, że major Wise miał rację. Nie dość, że opracował i przeprowadził udaną akcję zaczepną przeciwko banderowcom, nie dość, że wytknął nieudolnie poprowadzoną akcję odsiecz, to jeszcze potrafił wydobyć od Łemka tak cenne informacje. Kapitana irytował fakt, że zamiast pomagać mu w podejmowaniu decyzji, major Wise sam przejmował dowodzenie. Teraz był

wprawdzie w areszcie, ale Zieliński wiedział, że to nie jest dobra sytuacja. Aresztowanie radzieckiego oficera dotąd się nie zdarzyło, a on, który to zrobił, nie miał takich sukcesów w walce z UPA jak Wise. Kapitan postanowił za wszelką cenę zmienić ten stan rzeczy.

– Weźcie kilku żołnierzy, poruczniku – instruował dowódcę plutonu – i przesłuchajcie Łemka. On wie, gdzie banderowcy mają bazę. O wynikach przesłuchania natychmiast meldujcie.

Kiedy po kilku godzinach nie dotarł do niego raport, osobiście zainteresował się sprawą.

– No i czego dowiedzieliście się? – pytał porucznika.

– Niczego, obywatelu kapitanie – dowódca plutonu zmieszał się. – To wyjątkowo twarda sztuka. Ciągłe powtarza, że nic nie wie.

– Trudno – kapitan Zieliński przygryzł wargę. – Sam się tym zajmę.

– To niemożliwe, obywatelu kapitanie – porucznik spuścił głowę. – Więzień jest nieprzytomny.

Masyw Chryszczatej, główny schron UPA

Po dwóch dniach Jakubowskiego ponownie zabrano na przesłuchanie. Ci sami mężczyźni zadawali te same pytania, a każda odpowiedź była przez nich szczegółowo analizowana, jednak o czym dokładnie rozmawiali, tego nie słyszał.

– *Wczora Pol'aky znajszly nasz bunker zi zbrojeju ta jizeju!* [279] – oznajmił prowadzący przesłuchanie. – Musiał go pokazać jeden z zaginionych *pryjmaków*. To któryś z nich był szpiegiem. Was już nie podejrzewamy – pochylił się i siedzącemu obok mężczyźnie szeptał coś do ucha. Tamten kiwał miarowo głową. – Od początku miałem do was zaufanie – śledczy zakaszłał. – Tu jest wasza pepesza, wracajcie do oddziału.

Jakubowskiemu zawiązano oczy i wyprowadzono go z bunkra. Znowu szli korytem niewielkiego strumyka, ciągle niżej i niżej. W pamięci liczył kroki, wsłuchiwał się w odgłosy płynącej wody, wdychał woń lasu. Tak jak poprzednio zatrzymywali się kilka razy i obracali go wkoło, po czym znowu ruszali w drogę. Mimo tych zabiegów Jakubowski był pewien, że nie

zmieniali kierunku i nadal schodzili wzdłuż tego samego strumyka. Do miejsca, w którym przejęła go inna grupa i zdjęto mu z oczu opaskę, naliczył dwa tysiące siedemset kroków. Wracali wprawdzie inną drogą, ale był pewien, że potrafiłby trafić tam, gdzie go przesłuchiowano.

Krosno

Przeprowadzone dochodzenie wykazało, że łemkowska dziewczyna nie została zgwałcona. Bito ją gumowymi pałkami po nogach i plecach, a kiedy straciła przytomność, wniesiono do pokoju przesłuchań i położono na podłodze. Majora Wise oskarżano wprawdzie o pobicie i terror psychiczny, ale w wojsku nie uważano tego za poważne przestępstwa. W niemałe tarapaty popadł natomiast kapitan Zieliński. Podczas przesłuchania Łemka skatowano tak bardzo, że zmarł, nie odzyskawszy nawet przytomności. Kapitanowi zarzucono brak nadzoru nad podwładnymi i dopuszczenie do samowolnych i brutalnych działań. To było poważne oskarżenie. Sam kapitan Zieliński nie uchylał się od odpowiedzialności. Jako człowiek honoru, gotów był ponieść wszelkie konsekwencje zaistniałego stanu rzeczy.

Dla wyjaśnienia wszystkich okoliczności tego zdarzenia wojskowy prokurator przyjechał specjalnie z Rzeszowa. W asyście swojego radzieckiego kolegi wznawiał właśnie przesłuchanie jednego ze świadków, kiedy podszedł do niego sierżant i coś powiedział półgłosem. Twarz prokuratora przyjęła kamienny wyraz.

– Przerywamy przesłuchanie – zarządził. – Dzisiaj rano w zasadzce pod Baligrodem ukraińscy nacjonałści zabili generała Karola Świerczewskiego.

Śmierć generała była wstrząsem dla wszystkich. Wobec najwyższej konieczności, jaką stała się sprawa ostatecznej likwidacji UPA, dochodzenie w sprawie kapitana Zielińskiego i majora Wise umorzono, jednak przed wyjazdem prokurator wezwał do siebie obu zwaśnionych oficerów.

– Doceniam wasze zaangażowanie w walce przeciwko ukraińskim faszystom – mówił. – To, co robicie, jest jednak szkodliwą rywalizacją, a my potrzebujemy dobrej współpracy. Wasze kompetencje nie mogą dotyczyć tych samych spraw. Dlatego pamiętajcie, że według obowiązującego prawa dowódcą wszystkich operacji wojskowych jest kapitan Zieliński, natomiast opracowanie szczegółów tych operacji, a także szkolenie polityczne to wasza rola, majorze Wise. O tym zawsze musicie pamiętać. Powiem jeszcze, tylko zachowajcie to w tajemnicy, że w Warszawie przygotowuje się dużą akcję wojskowo-przesiedleńczą. To wy będziecie ją realizowali.

Karlików

Julia karmiła Natalkę. Przez rozsunięte firanki obserwowała listonosza, który z przewieszoną przez ramię torbą pchał rower. Kiedy był przed domem, zauważył ją. Uśmiechnął się, pomachał przyjaźnie ręką i nie zatrzymując się, szedł dalej w stronę Ozorkowa.

Krosno

Niewielka sala wypełniała się powoli. Dowódcy drużyn, plutonów i kompanii zajmowali miejsca, robiąc przy tym niemały harmider. Major Wise przeglądał kartkę papieru, na której zapisał sprawy, jakie podczas tego spotkania zamierzał poruszyć. Zależało mu, aby w jego wystąpieniu był zachowany porządek.

– Czeka was wyjątkowa misja – powiedział, podnosząc rękę, aby uciszyć salę. – Wiem, że dla niektórych z was będzie ona trudna. Jak wiecie, rozwiązano Grupę Operacyjną „Rzeszów”, która nadzorowała wyjazd ludności łemkowskiej i ukraińskiej. Ta akcja przesiedleńcza nie powiodła się. Wielu Łemków i Ukraińców rzeczywiście wyjechało, jednak większość została. To oni stanowią zaplecze dla oddziałów UPA. To dzięki ich pomocy banderowcy ciągle są silni. Z naszego punktu widzenia nie jest ważne, czy Łemkowie pomagają z własnej woli, czy zmuszeni są do tego terrorem. Ważne, że w ogóle wspierają banderowców! – uderzył dłonią w stół. Kartka z planem wystąpienia upadła na podłogę. Porucznik siedzący w pierwszym rzędzie podniósł ją i podał majorowi. – Dziękuję – Wise przycisnął kartkę popielniczką i mówił dalej. – Śmierć generała Świerczewskiego przyśpieszyła prace nad planem ostatecznej rozprawy z banderowcami. Utworzono Grupę Operacyjną „Wisła”, a my jesteśmy jej częścią. Naszym zadaniem jest oczyszczenie tych terenów z ludności cywilnej. Oczywiście nie chodzi o fizyczną likwidację – podniesioną dłonią uciszył szmer, jaki przetoczył się przez salę – ale o przymusowe wysiedlenie. Za dwa dni wywieziemy ludność z Porohatego Wyżnego. Urząd Bezpieczeństwa i wywiad wojskowy opracowały listy rodzin podejrzewanych o przynależność do UPA oraz tych czynnie wspierających banderowców.

Wyjął z tekturowej teczki kilka arkuszy papieru spiętych metalowym spinaczem i zaczął czytać.

– Do Dmytra Basłaka i jego żony Makryny nie mamy zastrzeżeń. Nie popierają banderowców i nie kryją się z tym. Nie są przez nich represjonowani tylko dlatego, że ich syn Petro służy w sotni „Łemko”, a córka Katryna to banderowska sanitariuszka. Katryna Basłak spodziewa się dziecka, którego ojcem jest prawdopodobnie jeden z banderowców.

Wise odłożył notatki i w skupieniu lustrował twarze słuchaczy.

– Tego rodzaju informacje zostaną wam dostarczone – mówił. – Waszym obowiązkiem jest zapoznanie się z nimi. Wiedząc, z kim macie do czynienia, będziecie mogli różnie traktować łemkowskie rodziny. To powinno uspokoić wasze sumienia. Czy są jakieś pytania? – zawiesił głos. – Jeśli nie ma, to na koniec powiem coś od siebie. Zanim znalazłem się w Krośnie, moja jednostka stacjonowała w Kutach, niewielkim miasteczku nad Czeremoszem. Był rok 1944. Banderowcy ukrywali się w górach, ale co jakiś czas napadali na wsie, w których mieszkali Polacy. Dobrze pamiętam ten listopadowy wieczór, kiedy dostaliśmy wiadomość, że palą się Rybaki. Nasz oddział wyruszył natychmiast, ale zanim dojechaliśmy, banderowcy zamordowali dwadzieścia trzy osoby. Wśród ofiar niewielu było mężczyzn. Zginęły głównie kobiety, dzieci i osoby starsze. W jednym z domów zamordowali aż dwanaście osób. Wśród nich była młoda kobieta o imieniu Wanda i jej czterech synów – major Wise ściszył głos. – Nie wiem dlaczego, ale zapamiętałem ich imiona: Janek, Tadzio, Władek i Zygmunt. Wszyscy zostali zamordowani. Starszych zabili nożami, a młodszych roztrzaskali o ścianę. Matkę zamordowali siekierą jako ostatnią. Chcę, żebyście o tym pamiętali. Łemkowie pomagają takim właśnie ludziom.

Porohate Wyżne

O wysiedleniu wiedzieli już od wczoraj, kiedy na wieś spadły ulotki rozrzucone z samolotu. Większość rodzin była spakowana. Do myśli o opuszczeniu ojcowizny przyzwyczajali się od kilku miesięcy. W tym czasie opustoszały wszystkie okoliczne wsie, ale kiedy i na nich przyszła kolej, nie potrafili opanować emocji i żalu.

Rodzina Basłaków miała dodatkowy problem, ponieważ Katryna właśnie zaczęła rodzić. Dwie wiejskie babki były przy niej, a poród odbywał się w jedynej izbie, którą przedzielili prowizorycznym parawanem. Dmytro, Makryna i Petro z niepokojem wsłuchiwali się w coraz głośniejsze krzyki córki.

– *Jak dobri, szchos ty z namy* [280] – Dmytro położył dłoń na ramieniu syna. – Powiozą nas gdzieś, ale razem będziemy.

– *Koły wreszci pryjde to polskie wijsko?* [281] – Petro podszedł do okna, nie podtrzymując rozmowy.

– Tak do nich spieszno tobie?

– Tak, tato, żebyś wiedział, że spieszno. Przecież z sotni uciekłem!

Czas płynął powoli, a we wsi nie było ani banderowców, ani polskich żołnierzy.

Makryna zaglądała co chwila za parawan, chociaż babki uspokajały ją, że wszystko jest tak, jak być powinno.

– Zostać to chyba nam pozwolą – zastanawiała się na głos – aż Katryna zdrowa będzie?

– Przyjechali – Petro uchylił firankę. – Jeden, dwa, trzy... Sześć samochodów przyjechało.

– Przyj, Katrunia, przyj – dobiegło zza parawanu.

– Jakiś żołnierz do nas idzie – Petro od kilku chwil obserwował oficera rozmawiającego z ich sąsiadem. Wkrótce usłyszeli pukanie do drzwi.

– Prosimy, prosimy! – zawołał Dmytro.

Do izby wszedł młody, najwyżej trzydziestopięcioletni żołnierz w stopniu sierżanta. Zlustrował pomieszczenie i domowników, zajrzał za parawan.

– Jak się nazywacie? – bez powitania zwrócił się do gospodarza.

– Basłak. Dmytro Basłak jestem.

– Wy jesteście Makryna Basłak? – pytał wystraszoną kobietę.

– Tak, panie – odpowiedziała niepewnie.

– A ty?

– Ja jestem ich synem.

– Pytam, jak się nazywasz!

– Mam na imię Petro.

– Katryna Basłak to gdzie jest?

– Katrunia, panie? Ona rodzi, o tam – Makryna pokazała parawan. – Przecie widzieli wy, chociaż nie można mężczyznom patrzeć.

– Jesteście gotowi do drogi?

– Tak, panie. Jednak do was prośbę wielką mamy – Makryna uklękła przed żołnierzem. – Katrunia rodzi i w drogę ruszać nie możemy. Zostawcie nas, aż wyzdrowieje ona.

– Tak, oczywiście – sierżant zamyślił się. – To się da zrobić.

– Dziękuję wam, panie, bardzo dziękuję – twarz Dmytra wypogodziła się.

Oficer rozejrzał się raz jeszcze po izbie. Nagle wyszarpnął z kabury pistolet i dwukrotnie strzelił do Petra. Zanim Dmytro i Makryna zdążyli zareagować, odsunął parawan i z najbliższej odległości strzelił do rodzącej dziewczyny. Katryna znieruchomiała w zakrwawionej pościeli, połączona pępowiną z dzieckiem, które trzymała w rękach jedna z akuserek.

Krosno

Zbrodnia, której dopuścił się sierżant Pytel, wstrząsnęła całym krośnieńskim garnizonem. Śledztwo wdrożono natychmiast i prokurator miał już pełen obraz zaistniałej sytuacji.

Pod koniec 1942 roku Józefa Pytla wywieziono na roboty do Niemiec. W rodzinnych Rybakach zostawił żonę i czterech synów, którzy w listopadzie 1944 roku zostali zamordowani przez banderowców, dokładnie tak jak przedstawił to major Wise. Po zakończeniu wojny Pytel dowiedział się o tym i przysiągł zemstę. Nie znał nazwisk zabójców i nie mógł już pojechać do Rybak, ale wiedział, że walka z banderowcami przeniosła się w Bieszczady i Beskidy. Jako absolwent szkoły podoficerskiej sam zgłosił się do wojska i poprosił o przydział do jednostki walczącej z UPA. W ten sposób trafił do Jasła. Był żołnierzem wyróżniającym się niezwykłą odwagą. Brawurowe manewry plutonu, którym dowodził, znalazły uznanie u przełożonych i Pytla awansowano do stopnia sierżanta.

Jego podwładni mówili, że zabił kilkunastu banderowców, a dwóch z nich w walce na bagnety. Właśnie walka stała się jego żywiołem, wyzwalała w nim niespotykaną energię i furię. Mówiono, że we śnie wymawiał imiona żony i synów.

Kiedy rozwiązano Grupę Operacyjną „Rzeszów” i walki z UPA osłabły, zapał Pytla też przygasł. Znowu był dobrym, ale niewyróżniającym się dowódcą. Znajomym mówił, że pomścił już śmierć żony i synów. Major Wise, który dobrze znał Pytla i wiedział o losach jego rodziny, postanowił działać. Wiedząc, że Pytel jest na odprawie, celowo przypomniał tragedię, jaka dotknęła jego rodzinę. Taką wiedzę posiadał wojskowy prokurator, przed którym ze spuszczoną głową siedział sierżant Pytel.

– To nie wy, ale major Wise powinien być oskarżony – mówił prokurator.
– Musimy tak zrobić, aby sąd i kara was ominęły. Zostaniecie zbadani przez lekarza, który napisze, że jesteście niepoczytalni.

– A po co mi lekarz? – sierżant nie podnosił głowy. – Widać, że jestem wariat. Nie mam dla kogo żyć. Nie potrzebuję waszej pomocy.

– Tak się wam teraz wydaje, ale czas zaleczy rany i wróćcie do normalnego życia.

– Moje życie już nigdy nie będzie normalne, obywatelu prokuratorze.

Rzeszów

W gabinecie pułkownika Prochorenki panowała cisza. Jakubowski, pochylony nad mapą, analizował każdy zapamiętany szczegół, coś zapisywał, wykonywał jakieś obliczenia i znowu pochylał się nad mapą. Pułkownik Prochorenko siedział w fotelu. Czytał książkę i palił papierosa, zerkając od czasu do czasu na Michała.

– Towarzyszu pułkowniku! – głos Jakubowskiego był pełen emocji. – To musi być masyw Chryszczatej.

– No mówcie, mówcie – Prochorenko odłożył książkę i zamienił się w słuch.

– Do miejsca, w którym strumyk Olchowy wpada do Osławy – Michał przesuwiał palec po mapie – siedłem bez opaski. Później zasłonili mi oczy. Tak, to musi być Chryszczata, jestem tego pewien.

– *Wy atliczna pakazali s'eb'a!* [282] – pułkownik także pochylił się nad mapą.

– Banderowskie bunkry koło Porohatego Wyżnego i schron z żywnością już zostały zniszczone. Chryszczata to jednak poważna sprawa. Tak czy inaczej spisaliście się znakomicie – poklepał Jakubowskiego po ramieniu. Usiadł w fotelu i zapalił kolejnego papierosa. – Jak zwialiście z sotni, już wiem – zaciągnął się. – Powiedzcie jeszcze, jak się tam dostaliście. Nie cierpię tego człowieka, ale muszę przyznać, że major Wise również spisał się znakomicie, skoro banderowcy przyjęli was jak swego.

– Major Wise? – Jakubowski krzyknął tak głośno, że wystraszył Prochorenkę. – Powiedzcie, towarzyszu pułkowniku, jaką rolę w tym wszystkim odegrał major Wise?

– Nie wiem – Prochorenko założył nogę na nogę. – To wy musicie mi o tym powiedzieć. O waszej wyprawie wiedziały tylko trzy osoby: pułkownik Kriwonosow, major Wise i ja. Tylko my znaleźliśmy trasę waszej wędrówki, a sprawę przyjęcia was przez banderowców major wziął na siebie. Powiem jeszcze, że to on nalegał, aby was przydzielić do tego zadania. Mieliśmy kilku równie dobrych kandydatów, ale upór Wise spowodował, że

zdecydowaliśmy się właśnie na was. To on osobiście pilnował, aby zabrano was z transportu w Stanisławowie. Nie wiem, dlaczego tak bardzo mu na tym zależało – Prochorenko zgasił papierosa. – O tym, co wam przed chwilą powiedziałem, nie mówcie jednak nikomu – strzepnął popiół z oparcia fotela.

– Zabiję skurwysyna! – Michał zacisnął zęby. – Na pewno go zabiję! Zdechnie jak pies, nie daruję mu tego!

Prochorenko oniemiał. Chciał zapytać Jakubowskiego o powód jego furii, ale zadzwonił telefon.

– Pułkownik Prochorenko, słucham – przedstawił się. Trzymał słuchawkę i nie wypowiedział ani jednego słowa, jedynie co chwila marszczył czoło i wydymał usta. – Tak jest, towarzyszu generale. Jutro w południe przyjadę do Krosna – powiedział na koniec i wolno odłożył słuchawkę. – Rozmawialiśmy o majorze Wise i właśnie w jego sprawie był ten telefon – sięgnął po kolejnego papierosa. – Mówiłem, że go nie lubię, ale to radziecki wojskowy. Nie pozwolę, aby polski prokurator go oskarżał.

– To wyjątkowy skurwysyn, obywatelu pułkowniku! – Jakubowski w pośpiechu zdejmował bluzę i koszulę. – To jego sprawa! Niech towarzyszu pułkownik zobaczy, jak wyglądają moje plecy.

Prochorenko przyglądał się bliznom i kręcił z niedowierzaniem głową.

– Jesteście pewni, że to sprawka majora Wise?

– Tak, jestem pewien. Ale co on tym razem zrobił?

– Prokurator chce go oskarżyć o podżeganie do zabójstwa. Myślę, że ta sprawa powinna być wam częściowo znana. Pamiętacie Józefa Pytla?

– Tego z Rybak?

– Tak, właśnie jego.

– Pewnie, że pamiętam. Został wywieziony do Niemiec, a banderowcy zamordowali całą jego rodzinę. To ja, towarzyszu pułkowniku, wbrew rozkazowi majora Wise i bez waszej zgody pośpieszyłem Rybakom z pomocą.

– Tak, nieźle wtedy namieszaliście – pułkownik Prochorenko zamyślił się. – Właściwie zrobiliście wszystko, aby stanąć przed plutonem egzekucyjnym, ale to już historia – machnął ręką. – Pytel był dowódcą

plutonu w krośnieńskim garnizonie. Nie przypuszczał, że Wise wie, co stało się z jego rodziną. Poglądy majora na traktowania ludności cywilnej powinny być wam dobrze znane, bo ani trochę się nie zmieniły. Chyba pamiętacie, jak to było w Kutach?

– Pamiętam – kiwnął głową.

– Major Wise – kontynuował Prochorenko – uważał, że żołnierze są wobec ludności łemkowskiej zbyt łagodni. Podczas odprawy, przed wysiedleniem Porohatego Wyżnego, postanowił przypomnieć krzywdy, jakich Polacy doznali od banderowców. Wiedział, że Pytel jest na sali. Rozmyślnie powiedział o tragedii, jaka dotknęła jego rodzinę. Nie wiem, czy miało to jakieś znaczenie, ale podczas akcji w Porohatem Wyżnem Pytel zastrzelił dwie osoby, które należały do UPA. Normalnie nie byłoby wielkiego problemu – Prochorenko zamilkł, gładząc dłonią kilkudniowy zarost.

– To dlaczego jest, towarzyszu pułkowniku?

Prochorenko podszedł do okna i uchylił firankę.

– Jest problem, bo Pytel zastrzelił rodzącą dziewczynę. Czy myślicie, że polski prokurator ma prawo oskarżyć majora Wise za czyn, którego dokonał polski podoficer? – odwrócił się.

Jakubowski siedział bez ruchu, wpatrując się tępyim wzrokiem w rozłożone mapy. Jego twarz w jednej chwili zrobiła biała jak kreda.

– Co się wam stało? – na czole pułkownika Prochorenki pojawiła się głęboka pionowa bruzda.

Julia zostawiła Natalkę i wybiegła przed dom. Bała się, że Tkaczuk, który zatrzymał się przed furtką, zaraz odejdzie, nie zostawiwszy listu, na który tak bardzo czekała. Tymczasem listonosz z powagą należną sprawowanej funkcji grzebał w przepastnej torbie.

– Spokojnie, panienko Julio – mówił dobrotliwie, widząc jej zniecierpliwienie – to wezwanie do sądu. Wszyscy we wsi takie dostali – uśmiechał się łagodnie. – Wreszcie będą dzielić łąkę pod lasem. A we wsi to dużo się dzieje, panienko. Ukraińców wojsko przywiozło, jedną rodzinę. Chwedoruki im, czy jakoś tak. Ludzie mówią, że to banderowce są. Jedne się

boją, inne dokuczają, no, jak to ludzie, panienko. Do Ozorkowa też jedną rodzinę Ukraińców zawieźli, a do Szczepanowa dwie. Wieś większa, to i rodziny dwie dali, ale porządku w wojsku nie ma, panienko. Razem by ich osiedlić, to i różniej na obczyźnie by im było, a tak jedne tu, drugie tam. Nie, w wojsku też porządku nie ma, panienko Julio.

Bibliografia [283]

A. Pozycje książkowe:

1. Gudowski J., *Ukraińskie Beskidy Wschodnie*, t. 2, Warszawa 1998.
2. Kurzowa Z., *Polszczyzna Lwowa i kresów południowo-wschodnich do 1939*, PWN 1985.
3. Kwiecień K., *Góry Ukrainy z plecakiem – Czarnohora*, Kraków 2006.
4. Laskowski E., *Gdzie szum Prutu, Czeremoszu, tam moje korzenie*, Grodzisk Wielkopolski 2000.
5. Łozko H., *Rodzima wiara ukraińska*, Wrocław 1997.
6. Masłowski W., *Z kim i przeciw komu walczyli ukraińscy nacjonaści w latach II wojny światowej*, Wrocław 2001.
7. Poliszczuk W., *Doktryna Dmytra Doncowa – tekst i analiza*, Toronto 2008.
8. Poliszczuk W., *Gorzka prawda – zbrodnicość OUN/UPA*, Toronto 1995.
9. Prus E., *Atamania UPA*, Warszawa 1988.
10. Tałko-Bryncewicz J., *Zarys lecznictwa ludowego na Rusi południowej*, Kraków 1983.
11. Trzeciak S., *Talmud o gojach a kwestia żydowska w Polsce*, Warszawa 1995.
12. Vincenz S., *Na wysokiej połoninie. Barwinkowy wianek*, Sejny 2005.
13. Watt R.M., *Gorzka chwała. Polska i jej los 1918-1939*, Warszawa 2005.
14. *Wielka Księga Obornik Śląskich – My Oborniczanie*, Oborniki Śl. 2005.

B. Reportaże prasowe:

1. Beauvois D., *Demokracji szlacheckiej nie było*, „Gazeta Wyborcza” 2006: 28-29 stycznia.

2. Czech M., *Jak agent „Bogusław” rozbił UPA*, „Gazeta Wyborcza” 2007: 28-29 kwietnia.
3. Czyżewski M., *Hajstra nad chyżą*, „Gazeta Wyborcza Turystyczna” 2009: 11-12 lipca.
4. Goławski J., *Krwawy śnieg*, „Gazeta Wrocławska”: 26 stycznia 2001.
5. Korman A., *Polscy ISTRIEBITIELE z lat 1944-1945 w Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu*, „Semper Fidelis” 1995: 3.
6. Kościński P., *UPA kontra komuniści*, „Rzeczpospolita”, 15 października 2005.
7. Kulczycka A., *Pawłokoma już tak nie dzieli*, „Gazeta Wyborcza” 2006: 15 maja.
8. „Nasze Słowo – Tygodnik Ukraiński” 2007: 27-30 kwietnia (wydanie specjalne z okazji 60. rocznicy Akcji „Wisła”).
9. Nowakowska J., *Pojednanie na cmentarzu*, „Wprost” 2003: 28 (1076).
10. Pawliw W., *Lach brat Kozaka – czy na pewno?*, „Gazeta Wyborcza Świąteczna” 2009: 6-7 czerwca.
11. Popow G., *Cała prawda o tej wojnie (4 reportaże)*, „Gazeta Wyborcza Świąteczna” 2005: kwiecień-maj.
12. Romanowski A., *Ukraina*, „Gazeta Wyborcza” 2006: 7-8 stycznia.
13. Smoleński P., *Co pana obchodzi ten kamień?*, „Gazeta Wyborcza” 2008: 10-11 maja.
14. Woźniak J., *Historia wsi Kobyłowloki*, „Semper Fidelis” 2004: 2 (79).

C. Publikacje internetowe:

1. Archiwum Akt Nowych, <http://www.aan.gov.pl> (dostęp na dzień 14.06.2013).
2. Artykuły: *Lipna; Łemkowie i Łemkowszczyzna przed 1947 rokiem; Dzieje wsi Czertyżne do 1947 roku; Geneza i przebieg akcji „Wisła”; Przebieg wysiedlenia i rozsiadlenia mieszkańców Czertyżnego na Ziemiach Zachodnich; Łemkowie w Polsce; 50-lecie akcji „Wisła”; Akcja „Wisła” w Gorlickiem; Jaworzno; Kim są Łemkowie i co to właściwie znaczy?; Wierzenia Łemków*, www.lemko.org (dostęp na dzień 14.06.2013).

3. CIA chroniło odpowiedzialnego za rzezie na Ukrainie;

12.12.2010 – PAP, <http://dzieje.pl/content/cia-chroni%C5%82o-wsp%C3%B3%C5%82odpowiedzialnego-za-rzezie-na-ukrainie> (dostęp na dzień 17.06.2013).

4. Historia Beskidu Niskiego i Łemków: *Osadnictwo; Dzieje przedwojenne; I Wojna Światowa; II Wojna Światowa; UPA i wysiedlenie; Śladami Łemków: Pochodzenie nazwy; Miejsce zamieszkania; Wygląd zewnętrzny; Język; Zajęcia; Zabudowa; Cerkwie; Święta Bożego Narodzenia*, <http://mlodek.republika.pl/> (dostęp na dzień 14.06.2013).

5. Historia Ukrainy, http://pl.wikipedia.org/wiki/Historia_Ukrainy (dostęp na dzień 14.06.2013).

6. Hymn ZSRR z 1943 r., http://pl.wikipedia.org/wiki/Hymn_ZSRR#Wersja_pierwotna_.281943.29 (dostęp na dzień 17.06.2013).

7. Jantón Z., *UPA w Polsce („Zakierzoński kraj”); Walki w Bieszczadach w latach 1944 – marzec 1947; Operacja „Wisła” (Wschód); Zbrodnie popełnione przez UPA w latach 1944-1947; Zbrodnie Wojska Polskiego popełnione w Bieszczadach (i na pograniczu) na osobach cywilnych*, <http://www.twojebieszczady.net/upa/upa3.php> (dostęp na dzień 14.06.2013).

8. Konferencja Episkopatu Polski; Orędzie Biskupów Polskich do ich Niemieckich Braci w Chrystusowym Urzędzie Pastorskim, <http://web.archive.org/web/20120223054907>, http://www.opoka.org.pl/biblioteka/W/WE/kep/oredzie-niem_18111965.html (dostęp na dzień 17.06.2013).

9. Kwiecińska S., *Szabasowe opowieści*, www.bilgoraj.lbl.pl (dostęp na dzień 14.06.2013).

10. Maciejewska B., *Razem z nimi jechał strach*, <http://wroclaw.gazeta.pl/wroclaw/1,35771,1836574.html> (dostęp na dzień 14.06.2013).

11. Maciejewska B., *Stał dwór drewniany, lecz podmurowany*, <http://wroclaw.gazeta.pl/wroclaw/1,35771,1836588.html> (dostęp na dzień 14.06.2013).

12. Maciejewska B., *My, oni, sąsiedzi*, <http://wroclaw.gazeta.pl/wroclaw/1,35771,1836595.html> (dostęp na dzień

14.06.2013).

13. Maciejewska B., *Szkoło bolesne, obraz dni*, <http://wroclaw.gazeta.pl/wroclaw/1,35771,1844729.html> (dostęp na dzień 14.06.2013).

14. Maciejewska B., *Tak daleko od domu*, <http://wroclaw.gazeta.pl/wroclaw/1,35771,1844738.html> (dostęp na dzień 14.06.2013).

15. Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, http://pl.wikipedia.org/wiki/Ministerstwo_Bezpiecze%C5%84stwa_Publicznego (dostęp na dzień 14.06.2013).

16. *Mniejszość ukraińska w okresie II RP*, www.lo2.olsztyn.pl (dostęp na dzień 14.06.2013).

17. Notki biograficzne: *Kazimierz Missona*, www.liceum.brzesko.pl (dostęp na dzień 14.06.2013).

18. Orlicki Ł., *Tajemnice bieszczadzskich szlaków*, <http://www.ukraine-poland.com/u/publicystyka/publicystyka.php?id=3658> (dostęp na dzień 14.06.2013).

19. Poliszczuk W., *Przyczyny mordów dokonanych przez banderowców na ludności ukraińskiej*, cz. I i II, http://wsercupolska.org/joomla/index.php?option=com_content&view=article&catid=6:warto-przeczytac&id=1743:dr-hab-wiktor-poliszczuk-przyczyny-mordow-dokonanych-przez-banderowcow-na-ludnoci-ukraiskiej-czi-i-ii (dostęp na dzień 14.06.2013).

20. Poliszczuk W., *Tragedia Łemków, UPA na Łemkowszczyźnie, Akcja „Wisła”, Jaworzno, Łemkowie w Polsce*; Jan Hastan, *Nie omijajcie prawdy – nie tylko o Wołyniu*, http://akcjawisla.fm.interia.pl/dwunasty_artykul.htm (dostęp na dzień 14.06.2013).

21. Rudner M., *Kuty – echoes of a vanished heritage*, tłum. Krzysztof Kirkorowicz, <http://www.ibiblio.org/yiddish/Places/Kuty/kuty-p0.htm> (dostęp na dzień 14.06.2013).

22. *Stopnie NKWD 1935-1940*, http://pl.wikipedia.org/wiki/NKWD#Stopnie_NKWD_1935-1940 (dostęp na dzień 14.06.2013).

23. *Szkolnictwo powszechne w latach 1918-1939*,

<http://sp7krosno.republika.pl> (dostęp na dzień 14.06.2013).

24. *Polski październik 1956*, <http://historia-polski.klp.pl/a-6273-4.html> (dostęp na dzień 20.07.2013).

25. *Medal Za zasługi bojowe*, http://pl.wikipedia.org/wiki/Medal_Za_zas%C5%82ugi_bojowe (dostęp na dzień 20.07.2013),

26. *Rawicz. Centralne więzienie*, <http://hczarnecki.republika.pl/rawicz.htm> (dostęp na dzień 20.07.2013).

D. Wspomnienia zamieszczone w Wielkiej Księdze Obornik

Śląskich:

1. Adamski A., *Z tajemniczego ogrodu dziadka Stefana*.
2. Łysiak H., *Błaszany kogucik*.
3. Maślej K., *List wysłany*.
4. Obrocka R., *Dwie fotografie*.
5. Remian A., J., *Gospodarstwo*.

E. Wspomnienia niepublikowane:

- a) Elżbieta Burgier
- b) Stanisław Ciołek
- c) Bolesław Gruberski
- d) Jakub Kirkorowicz
- e) Jadwiga Migocka-Drzazga
- f) Jan Sitnik
- g) Maria Wojtuś

Teksty piosenek ukraińskich i ich tłumaczenie:

Jan Sitnik (Niemcza)

Tłumaczenia zwrotów ukraińskich i rosyjskich:

Dorota Lutek (Trzebnica)

Tłumaczenia zwrotów łemkowskich:

Klaudia Maślej-Feluś (Uraz k. Wrocławia)

F. Oryginalne słowa przyśpiewek weselnych z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych:

a) Rozalia Pleszewa (Zajączków k. Wrocławia)

b) Maria Więcek (Pęgów k. Wrocławia)

G. Oryginalny tekst przedstawienia odgrywanego przez kolędników w latach sześćdziesiątych i na początku lat siedemdziesiątych:

Józef Skowron (Zajączków k. Wrocławia)

H. Wiersz Tarasa Szewczenki *Do Polaków w tłumaczeniu Jerzego Jędrzejewicza*

- [1] Kraju górzysty, światku ty nasz,
Oj, jak u ciebie tam miło.
Jak igraszki fal płynie tu czas,
Swobodnie, hucznie, wesoło.
Oj, nie ma to kraju, kraju nad tę górzystą krainę
Puść mnie, mamu, potańcować, choć jedną godzinę.
Ze szczytu na szczyt, a z boru w bór,
Z lekką w sercu myślą.
W pokrowcu karabin, w rękach topór,
Buja [wędruje] młodzieniec tobą.
Czeremoszu, Czeremoszu, czysta twoja woda,
Dzieweczko z górzystej krainy, jakaż twa uroda.
Tam pan nie kładł łańcuchem miedz,
Obcy nie stanął stopą.
Wolna jest tu ziemi odzież [to, co porasta ziemię: lasy, łąki...],
Buja [wędruje] młodzieniec tobą.
Jak zagra kołomyjka, baca zatańczy,
Z czarnobrewą dziewczeczką w kółko się obraca.
Przez całe lato, nocą i dniem,
Chłopcy hulają tu nasi.
Wolna jest tu ziemi odzież.
Dostatkiem lasów i paszy.
Zawyły wilki, w połoninach słyhać,
Bywaj, luba dziewczeczko, ja idę do wojska.
Nie wabi nas baryszy liść,
Lecz tylko proch i strzelba.
U ludzi świat u Boga cześć
I owiec stado, i fujarka.
Jak idę na połoninę i owieczki gnam,
Rano gram na fujarce, wieczorem śpiewam.

Więc żeby prysł grzbiet fal o brzeg,
A niedźwiedź pobiegł lasami,
Zawiał południowy wiatr, zagrał Beskid,
Czeremosz huknął skałami.
A ja takie dziewczę kocham, co białe jak gęś,
Ono mnie pocałuje, ile razy się obejrzę.
Tam to brzmi trembity głos,
Wtórjuje pięknie fujarka.
A jak zwierzyny poczujesz głos,
Między oczy plunie mu strzelba.
A ja chodzę i śpiewam i tak sobie myślę,
Że nie ma piękniejszych pioseneczek jak o naszej krainie.

- [2] Senne góry noc przykryła, całą połoninę otuliła,
Na dole stado pieściła. Młody owczarz nie spał,
On w tej porannej godzinie widział Ksenię na połoninie
I w tej górzystej godzinie o kochaniu jej śpiewał.
Hucułko Kseniu, ja tobie na trembicie
Tylko jednej na tym świecie o swoim żalu opowiem.
Dusza cierpi, głos trembity rozlega się,
A co serce kocha, nie powiedzą usta.
Cicho wsparty na worini, patrzył w oczy niebieskie
I w tej górzystej godzinie smutno na trembicie grał.
Hucułko Kseniu...
Nadeszło gorące lato, hucuł Ksenię kochał skrycie,
A hucułkę czarnobrewą on ostatni raz żegnał.
Hucułko Kseniu...
W Czeremoszu szumią fale, smutne były oczy niebieskie,
Tylko wiatr wśród sosen smutną pieśń roznosił.
Hucułko Kseniu...
- [3] Megły – (regionalizm huculski) stopy drewna przygotowane do spławu.
- [4] Dżuma z łopata chodziła i groby kopała,

Kopała i trupa z trupem nadziewała, i ze świętymi nie śpiewała
Niby róża w szczerym polu wieś zielenieje,
Nikt do niej nie zachodzi, tylko wiatr wieje
I roznosi żółte liście po pożółkłym polu.
I długo ona zieleniała, póki ludzie z pola jej nareszcie nie opuścili
I nie podpalili tej zielonej wioski.
Zwęgliło i spłonęło, popiół wiatr rozwiął i ślad nie pozostał
Z tej wioski zielonej.
Takie to ludziom męki dzuma przynosiła.

- [\[5\]](#) Nie na suchoty ja choruję, nie na suchoty ja umrę,
Przez miłość mojego ukochanego ja w surową ziemię spać idę.
- [\[6\]](#) Szczo bez nas budeś robyty u Kutach? – (ukr.) Co będziesz bez nas robił w Kutach?
- [\[7\]](#) Idite po Irynu Krasiuk, til'ky szwydko! – (ukr.) Idźcie po Irynę Krasiuk, tylko szybko!
- [\[8\]](#) Poczekajte, til'ky odjahny ja zapasku – (ukr.) Poczekajcie, tylko założę zapaskę.
- [\[9\]](#) Majete syna – (ukr.) Macie syna.
- [\[10\]](#) Wertajemo – (ukr.) Wracamy.
- [\[11\]](#) O własne! – (ukr.) No właśnie!
- [\[12\]](#) Tomu, szczo szcze mołoda! – (ukr.) Bo jest jeszcze młoda!
- [\[13\]](#) Ce prawda, najsuworisza zyma nam ne bude straszna! – (ukr.) To prawda, najcięższa zima nie będzie nam straszna!
- [\[14\]](#) Żytnica – (regionalizm huculski) spichlerz.
- [\[15\]](#) Biłania – (regionalizm huculski) kłoda okorowana.
- [\[16\]](#) Metr – 100 kg.
- [\[17\]](#) A deż win zapodiwsja? – (regionalizm huculski) A gdzież on się zapodział?
- [\[18\]](#) Win wyjszow z Kateju na carynku – (ukr.) Wyszedł razem z Kasią na carynkę (carynka – łąka kośna; regionalizm huculski).
- [\[19\]](#) Smereka – (regionalizm huculski) świerk.
- [\[20\]](#) Didko – (regionalizm huculski) diabeł.
- [\[21\]](#) Bormotać – (regionalizm huculski) mrużyć pod nosem.

- [\[22\]](#) Diak – (regionalizm huculski) śpiewak cerkiewny.
- [\[23\]](#) Tak, czuju, ce woda tak szumyt', ale zdajet'sja, szczo rika z druho boku – (ukr.) Tak, słyszę, to woda tak szumi, ale wydaje się, że rzeka powinna być z tamtej strony.
- [\[24\]](#) Tak, my mały bahato szczo stajta ta djakujmo za ce Bohowi, ale ce nasza wyna, szczo my dozwołyly jim sjohodni pity do riky – (ukr.) Tak, mieliśmy dużo szczęścia i dziękujmy za to Bogu, ale to my jesteśmy winni, że pozwoliliśmy im dzisiaj pójść nad rzekę.
- [\[25\]](#) Źródło: patrz bibliografia – H.
- [\[26\]](#) Numer – gospodarstwo, zagroda.
- [\[27\]](#) Wy szczo, suside, wy bojitecja? – (ukr.) No co wy, sąsiad, boicie się?
- [\[28\]](#) Kopyś – drewniana łyżka lub łopatką o długim trzonku, służąca do mieszania wrzących potraw lub gotowanej w dużych pojemnikach bielizny.
- [\[29\]](#) Nasz Stefan wse taky widważnyj – (ukr.) I tak nasz Stefan jest dzielny!
- [\[30\]](#) Hospodyn – (regionalizm huculski) Pan Bóg.
- [\[31\]](#) Czeladyna – (regionalizm huculski) kobieta.
- [\[32\]](#) Detyna – (regionalizm huculski) dziecko.
- [\[33\]](#) Stefan widważnyj, ale żinka buła b jomu prydatnoju – (ukr.) Stefan jest dzielny, ale kobieta by się jemu przydała.
- [\[34\]](#) Czuczurny – (regionalizm huculski) zgrabny, przymilny.
- [\[35\]](#) Zsunąć się z hłuzdów jak pies ze słomy – (ukr.) zgłupieć.
- [\[36\]](#) Pażdziokać – (regionalizm huculski) paplać.
- [\[37\]](#) Huzycia – (regionalizm huculski) tyłek.
- [\[38\]](#) Gugła – (regionalizm huculski) biała sukienka, peleryna weselna.
- [\[39\]](#) Oj, za tego Piotrusia biła mnie matusia.
Oj, lichy, nie Piotruś, białe lico, czarny wąs.
Oj, lichy, nie Piotruś, białe lico, czarny wąs.
Jak nie widzę Piotrusia, to padam z żalu
Oj, lichy, nie Piotruś...
Jak zobaczę Piotrusia, to biorę się pod boki.
Oj, lichy, nie Piotruś...
Chociaż zabij mnie, matko, i tak Piotruś będzie mój.

Oj, lichu, nie Piotruś...

Nagotowała, napiekła, a dla kogo, dla Piotra.

Oj, lichu, nie Piotruś...

Nie ma Piotra, tylko Hryć, szkoda moich pierogów.

Oj, lichu, nie Piotruś...

- [\[40\]](#) A ja chłopiec piękny i nie włóczęga,
Gdzie ładne dziewczę wyczuję, tam przenocuję.
Oj, ty piękny Hryciu, nie czepiaj się spódnicy,
Bo mnie ją mama kupiła, cztery ruble zapłaciła.
Hryć mnie, moja matuś, Hryć mnie pokochał,
Hryć dla mnie, moja matuś, trzewiczki kupił.
- [\[41\]](#) I szumi, i huczy, drobny deszczyk pada.
A kto mnie, młodą mężatkę, do domu odprowadzi?
A kto mnie, młodą mężatkę, do domu odprowadzi?
Rozhulał się kozak na słodkim miodzie.
Baw się, baw się, dziewczę kochane, ja ciebie do domu odprowadzę.
Baw się, baw się, dziewczę kochane, ja ciebie do domu odprowadzę.
Oj, proszę ja ciebie, nie odprowadzaj ty mnie.
Bo mam męża złego, będzie bił mnie.
Bo mam męża złego, będzie bił mnie.
Na bok, chłopcy, na bok, diabeł męża niesie.
Jak zobaczy mnie z wami, to go febra roztrzęsie.
Jak zobaczy mnie z wami, to go febra roztrzęsie.
- [\[42\]](#) My pidemo sami, ne treba nas widwodyty! – (ukr.) Same pójdziemy, a wy nie musicie nas odprowadzać.
- [\[43\]](#) Czortenietko – (regionalizm huculski) czorcik, diabłatko.
- [\[44\]](#) Witaju wsich – (ukr.) Witam wszystkich.
- [\[45\]](#) Watah – (regionalizm huculski) główny pasterz, baca.
- [\[46\]](#) Dobryden – (ukr.) Dzień dobry.
- [\[47\]](#) Ne piznajete nas? – (ukr.) Nie poznaje nas pani?

- [\[48\]](#) Os' majemo wijnu, Ol'go! – (ukr.) No to mamy wojnę, Olgo!
- [\[49\]](#) A czoho ty znoł tiszyszjsja? – (ukr.) A ty z czego się znowu cieszysz?
- [\[50\]](#) Kiczera – (regionalizm huculski) lesisty grzbiet.
- [\[51\]](#) Adże kożna wijna nedobra tomu, szczo hynut' l'udy – (ukr.) Przecież żadna wojna nie jest dobra, bo giną na niej ludzie.
- [\[52\]](#) Panowe, wy duże wtomleni – (ukr.) Panowie, wy jesteście bardzo zmęczeni.
- [\[53\]](#) Pid stinu! – (ukr.) Pod ścianę!
- [\[54\]](#) Celerada – administracja w małych miejscowościach, powoływana w czasie drugiej wojny światowej na terenach zajętych przez Związek Radziecki.
- [\[55\]](#) Ne na taku l'udynu my chotily joho wychowaty – (ukr.) Nie na takiego człowieka chcieliśmy go wychować.
- [\[56\]](#) Jak powiedzą: da, da – oj, to bieda,
 Jak powiedzą: gut – oj, bardzo biją.
 A wtedy będzie dobrze,
 Jak powiedzą: dzień dobry.
- [\[57\]](#) Wy robyte meni czest' swoim wizytom! – (ukr.) Jest dla mnie zaszczytem was gościć.
- [\[58\]](#) Liżnyk – (regionalizm huculski) gruby wełniany koc.
- [\[59\]](#) Wareniki – (regionalizm huculski) pierogi.
- [\[60\]](#) Holubci – (regionalizm huculski) gołąbki z kaszą kukurydzianą.
- [\[61\]](#) Kutia – wschodnia potrawa wigilijna, składająca się z maku, pszenicy, orzechów, miodu i bakalii.
- [\[62\]](#) Nowa radość przyszła, jaka nie bywała,
 Nad stajenką gwiazda jasna światłością zasiała.
 Gdzie się Chystus rodził, z Dziewicy się wcielił,
 Jak człowiek pieluchami ubogo się spowił.
 Anieli śpiewają, chwałę ogłaszają,
 W niebiosach i na ziemi pokój przepowiadają.
 Prosimy Ciebie, Królu, niebieski włodarzu,
 Daruj lata najszcześniejsze temu gospodarzowi.
 Temu gospodarzowi i tej gospodyni,

Żeby oni doczekali za rok tego dnia.

Żeby wiek przeżyli, Twą wolę spełnili,

A po śmierci w Twym królestwie na wiek wieków żyli.

- [\[63\]](#) Koliadky – (regionalizm huculski) kolędy.
- [\[64\]](#) Szczodry wieczór, dobry wieczór wszystkim ludziom na ten wieczór.
Nasza Małanka Dniestr przechodziła w bród i cienki fartuch zamoczyła.
Powiej, wietrze bujny, porywisty, wysusz fartuch cieniuteńki.
Powiej, wietrze, niczym z błota, wysusz fartuch z samego złota.
Powiej, wietrze, nie tak i nie siak, wysusz fartuch jak mak, jak mak.
- [\[65\]](#) Bereza – (regionalizm huculski) przewodnik kolędy.
- [\[66\]](#) Rozples – (regionalizm huculski) taniec na zakończenie kolędy.
- [\[67\]](#) Nenezka – (regionalizm huculski) mateńka.
- [\[68\]](#) Ciła simja Nowakiw jde do naszoho domu – (ukr.) Cała rodzina Nowaków zbliża się do naszego domu.
- [\[69\]](#) Klycz bat'ka ta Iwana! Wyjdemo wsi pered dim, szczob jich prywitary – (ukr.) Wołaj tatę i Iwana! Wyjdziemy wszyscy przed dom, aby ich przywitać.
- [\[70\]](#) Dobryweczir! Jaka cudowa zastricz – (ukr.) Dobry wieczór! Jakie miłe spotkanie.
- [\[71\]](#) Prywit'. Ja radyj was baczyty! Wy Ihor Matwiej? – (ukr.) Witajcie! Cieszę się, że was widzę. Czy nazywacie się Igor Matwiej?
- [\[72\]](#) Pohidna hrupa – tzw. oddziały marszowe OUN, zajmujące się tworzeniem terenowej administracji tej organizacji.
- [\[73\]](#) Staniczny – (ukr.) wójt, sołtys wioski mianowany przez OUN.
- [\[74\]](#) Wam można wernuty til'ky zawtra w połdeń – (ukr.) Możecie wrócić dopiero jutro w południe.
- [\[75\]](#) Tak, ce my – (ukr.) Tak, to my.
- [\[76\]](#) Buchnia – (regionalizm huculski) nędzna chata.
- [\[77\]](#) Worinie – (regionalizm huculski) huculski drewniany płot.
- [\[78\]](#) Łodwa – (regionalizm huculski) gruba deska.
- [\[79\]](#) Czoho ty płaczesz, Ol'ho, szczo trapyłosja? – (ukr.) Dlaczego płaczesz, Olgo, powiedz, co się stało?

- [\[80\]](#) Wczera pryszly do nas bat'ky Mykoły Tomaszuka – (ukr.) Wczoraj przyszli do nas rodzice Mykoły Tomaszuka.
- [\[81\]](#) Ja pryszla, jak ty chotiw. Ja pryszla tomu, szczo i ja tak chotila – (ukr.) Przyszłam, tak jak chciałeś. Przyszłam, bo ja też tego chciałam.
- [\[82\]](#) Meni pohano bez tebe, pociluj mene – (ukr.) Źle jest mi bez ciebie, pocałuj mnie.
- [\[83\]](#) Źródło: patrz bibliografia – A/8.
- [\[84\]](#) Ibidem.
- [\[85\]](#) Wstęp do *Dekalogu ukraińskiego nacjonalisty*. Źródło: patrz bibliografia – A/8.
- [\[86\]](#) Witaju wid szczyroho serc'a! – (ukr.) Witam ze szczerzego serca.
- [\[87\]](#) Ja – Duch odwiecznoji stichiji, szczo zberih Tebe wid tatars'koi potopy j postawyw na hrani dwoch switiw tworyty nowe zyttja – (ukr.) Ja, Duch odwiecznego żywiołu, który uratował cię przed tatarskim potopem i postawił na granicy dwóch światów, aby stworzyć nowe życie (wstęp do *Dekalogu ukraińskiego nacjonalisty* – źródło: patrz bibliografia – A/8).
- [\[88\]](#) Cużyniec – (ukr.) obcokrajowiec.
- [\[89\]](#) Szczenyk – (regionalizm huculski) czort, duch leśny.
- [\[90\]](#) Wanda, ja dobre rozumiju twoje neszczastja – (ukr.) Wanda, ja dobrze rozumiem twoje nieszczęście.
- [\[91\]](#) Ne ty odna neszczaslywa – (ukr.) Nie ty jedna jesteś nieszczęśliwa.
- [\[92\]](#) Prywit', ja rada tebe baczyty – (ukr.) Witaj, cieszę się, że cię widzę.
- [\[93\]](#) Zwedenyca – (regionalizm huculski) niezamężna matka.
- [\[94\]](#) Dzieża – naczynie z dębowych klepek spiętych obręczą, służące do przygotowania chlebowego ciasta.
- [\[95\]](#) Misić – wyrabiać.
- [\[96\]](#) Korowaj – kołacz.
- [\[97\]](#) Nie żałuj pędów barwinkowych,
Najświętsza Panno Mario,
Najświętsza Panno Mario,
Prosimy Cię do chaty,
Wianeczek zaczynać.
Nie żałuj pędów barwinkowych

Oj, daj, mamusiu, igiełkę,
Oj, daj, mamusiu, igiełkę
I nitkę jedwabną,
I czosnku ząbeczek,
Zaczynać wianeczek,
Zaczynać wianeczek.
Nie żałuj pędów barwinkowych,
Oj, daj, mamusiu, igiełkę,
Oj, daj, mamusiu, igiełkę
I nitkę jedwabną,
I czosnku ząbeczek,
Już zaczęto wianeczek.

- [98] Oj, kopałem studzieneczkę

Nie jedną, nie dwie.
Oj, kochałem ja dziewczeczkę
Ludziom, a nie sobie.
Oj, żal, żal, żal w sercu będzie,
Wezmą ją obcy ludzie,
Moja nie będzie.
Już do mojej studzieneczki
Ścieżki zarosły,
A do mojej dziewczeczki
Swaty poszli.
Oj, żal, żal, żal...
Już z mojej studzieneczki
Orły wodę piją
I już moją dziewczeczkę
Do ślubu wiodą.
Oj, żal, żal, żal...
Jeden trzyma ją za rączkę,
Drugi za rękaw,
A ja płaczę, serce boli,

Że kochałem i nie wziąłem.

Oj, żal, żal, żal, wielki żal

W sercu będzie,

Wzięli ją obcy ludzie,

Moja nie będzie.

- [\[99\]](#) Ikonostas – mistyczna ściana z ikonami, łącząca zawsze północną i południową ścianę cerkwi.
- [\[100\]](#) Dobrze wszystkim bojącym się Pana.
Chwała Tobie, Boże nasz, chwała Tobie.
Chodzącym Jego drogami.
Chwała Tobie, Boże nasz, chwała Tobie.
Ty będziesz się żywił z pracy rąk swoich.
Chwała Tobie, Boże nasz, chwała Tobie.
Jesteś dobry i dobrze tobie.
Chwała Tobie, Boże nasz, chwała Tobie.
Żona twoja jak płodna łozina w domu twoim.
Chwała Tobie, Boże nasz, chwała Tobie.
Synowie twoi jak wijące się pędy wokół osoby twojej.
Chwała Tobie, Boże nasz, chwała Tobie.
Błogosławiony człowiek bojący się Pana.
Chwała Tobie, Boże nasz, chwała Tobie.
Błogosławi ciebie Pan z Syjonu i doświadczysz błogosławieństwa
Jeruzalem przez wszystkie dni twojego życia.
Chwała Tobie, Boże nasz, chwała Tobie.
Zobaczysz synów u synowych twoich. Pokój dla Izraela.
Chwała Tobie, Boże nasz, chwała Tobie.
- [\[101\]](#) Analoj – stół pełniący w cerkwi funkcję ołtarza.
- [\[102\]](#) – Imiejesz li ty iskrennje neprinużdiennoje żałańje w twierdoje namerenje byt’
mużem etoj Olgi, kotoruju widisz zdes’ pered soboju?
 - Imieju, czestnyj otcze.
 - Ne swjazan li ty objeszczanjem druhoj niewiestie?
 - Niet, ne swjazan.

(- Czy masz wolną i nieprzymuszoną wolę i niezłomne postanowienie zostać mężem tej Olgi, którą tu widzisz przed sobą?)

– Mam, dobry ojciec.

– Nie jesteś związany słowem danym innej kobiecie?

– Nie, nie jestem związany).

- **[103]** Imiejesz li ty iskrennje neprynużdiennoje żalanje w twierdoje namerenje byt' żenoju etoho Mykoły, kotoroho widisz zdes' pered soboju? – (ukr.) Czy masz wolną i nieprzymuszoną wolę i niezłomne postanowienie zostać żoną tego Mikołaja, którego tu widzisz przed sobą?

- **[104]** – Ne swjazana li ty objeszczanjem druhomu żenichu?

– Niet, ne swjazana.

(- Nie jesteś związana słowem danym innemu mężczyźnie?)

– Nie, nie jestem związana).

- **[105]** Hospodin, Boże nasz, sławoju i czestiju wienczaj ich.

Wozwieliczijsja, żenisze, jakoże Abraam i błogosławijsja jakoże Isaak i umnożisja jakoże Iakow, chodijaj w mire i dełajaj w prawdie zapowiedi Bożija.

I ty, niewiosto, wozwieliczijsja jakoże Sarra, i wozwieselijsja jakoże Rebekka, i umnożisja jakoże Rachil, weseliajszczisja o swoim muże, chranjaszczij predeli zakona zane tako błałowoli Boh.

(Panie i Boże nasz, w chwałę i cześćią połącz ich.

Umocnij się, mężczyzno, wyrośnij jak Abraham i błogosławiony bądź jak Izaak i mnoż się jak Jakub, żyj w pokoju i pracuj według prawa Bożego.

I ty, kobieto, umocnij się i wyrośnij jako Sara i wesel się jak Rebeka i mnoż się jak Rachela, wesel się ze swoim mężem, chroniącym cię według prawa ustanowionego przez Boga).

- **[106]** Carskie Wrota – dwuskrzydłowe drzwi umieszczone w środku ikonostasu.

- **[107]** Dziewczyna w sieni stała, do kozaka mrugała.

Chodź, kozaku, kochaj mnie wiernie – serce moje, serce moje.

Jak ja mam przyjść i cię wiernie kochać?

Twoja matka jest zła i nie cierpi kozaka – serce moje, serce moje.

Mamy nie ma w domu, bawi się na chrzcinach.

Ty do mnie przyjdź, wiernie kochaj mnie – serce moje, serce moje.

Jak ja mam przyjść i cię wiernie kochać?

Twój tato jest zły i niedobry taki – serce moje, serce moje.

Ja ojcu dogodzę, tytoniem fajkę nabiję.

Ty do mnie przyjdź, wiernie kochaj mnie – serce moje, serce moje.

Jak ja mam przyjść i ciebie wiernie kochać?

U ciebie myszy złe i niedobre takie – serce moje, serce moje.

Jak ty myszy się boisz, to na wrotach się powieś.

A tfu, przypadnij, więcej do mnie nie przychodź.

Szlag by cię trafił! [dosł. żeby ci droga trzasnęła]

- **[108]** Tej nocy o północy fajka się paliła,
Spadła z pieca na przypiecek, o ceber się zbiła.
Oj, poszedłem ja na jarmark fajkę kupować,
Ona była za droga, nie mogłem utargować.
Oj, szedłem ja przez sady i przez ogrody,
Zapłatałem się w łęty harbuza, narobiłem szkody.
Oj, przyszedłem ja do karczemki: dobry wieczór, ludzie,
Rozpląćcie łęty harbuza, to jakoś to będzie.
Jeden łęty rozplątuje, drugi woła: kumie!
A ten trzeci wałkiem wali po plecach.
- **[109]** Rozpręgajcie, chłopcy, konie
I kładźcie się spać.
A ja pójdę w sad wiśniowy,
W sad studzienkę kopać.
Kopałem, kopałem studzienczkę
W wiśniowym sadzie.
Czy nie przyjdzie dziewczeczka
Wczesnym rankiem po wodę?
Przyszła, przyszła dziewczeczka
Wczesnym rankiem wodę brać,
A za nią kozaczek
Prowadzi konia napoić.
Prosił, prosił wiadereczko,
Ona jemu nie dała.
Darował jej w ręce pierścioneł,

Ona go nie wzięła.
Wiem, wiem, dziewczeczko,
Czym ja ciebie obraziłem,
Bo wczoraj wieczorem
Ładniejszą pokochałem.
Ona wzrostu niewielkiego,
Jeszcze młoda wiekiem.
Rudy warkocz do pasa,
Kokarda niebiesko-błękitna.
Czarne oczy, biała rączka,
Roześmiana, wesoła.
Czerwone policzki jak płatki róży,
To moja kochana dziewczyna.

- [\[110\]](#) Mnie wróżka wróżyła,
Mnie wróżka mówiła,
Mnie wróżka wróżyła,
Żeby nie kochała chłopców ja.
Bo chłopiec kocha i porzuci,
Porzuci dziewczynę, kochać
Przestanie, lica całować
I milutką nazywać.
Pójdę do lasu i pobłądzę,
Niechaj on szuka mnie.
Pójdę i w morzu się utopię,
Niechaj nie będzie więcej mnie.
Przyszła nad morze i stanęła,
Wesoła fala szumi.
Miły z miłą się rozstaje,
Prawej ręki nie podaje.
Przyszła godzina, przyszła minuta,
Miła w morzu tonęła.
Tylko czasami spomiędzy fal

Prawą ręką machała.
Niechaj ciebie bogaczka kocha,
Niechaj ciebie bogaczka wzywa.
Ona nie potrafi tak kochać,
Jak ja ciebie kochałam.

- [\[111\]](#) Ja tebe kochaju – (ukr.) Kocham cię.
- [\[112\]](#) Mij Boże, jak wse tut zminyłosja – (ukr.) Mój ty Boże, jak to się wszystko zmieniło.
- [\[113\]](#) Jakby ne wijna, ce ne Mychajło, ale nasz Stiepan wzjaw by Julju za drużyynu – (ukr.) Gdyby nie wojna, to nie Michał brałby za żonę Julię, ale nasz Stiepan.
- [\[114\]](#) Chto mih znaty, lipsze wyjty abo zalyszytysja w orhanizaciji? – (ukr.) A kto mógł wiedzieć, czy lepiej było wystąpić z organizacji, czy lepiej w niej pozostać?
- [\[115\]](#) Jak ty mohła ce zrobyty, czy mało ukraińskich chłopciw? Ty prosto pljuha! – (ukr.) Jak mogłaś to zrobić, czy mało jest ukraińskich chłopaków? Jesteś dziwką!
- [\[116\]](#) Idy wże, bo nezabarom temno stane – (ukr.) Idź już, bo niedługo zrobi się ciemno.
- [\[117\]](#) Put' by tobi prypała. Połomył by ty ruki i nohy – (ukr.) Szlag by cię trafił. Połamałbyś sobie ręce i nogi.
- [\[118\]](#) Jiji bat'ky cjocho ne dozwołyly – (ukr.) Jej rodzice na to nie pozwolili.
- [\[119\]](#) Harny – (regionalizm huculski) przystojny, ładny.
- [\[120\]](#) Mamo, wychodź! – (ukr.) Wychodzę, mamo.
- [\[121\]](#) Koly budesz? – (ukr.) Kiedy wrócisz?
- [\[122\]](#) Sołodeńka – (regionalizm huculski) słodziutka.
- [\[123\]](#) Durijka – (regionalizm huculski) szaleństwo.
- [\[124\]](#) Zawtra zranku pid pochyłym dubom – (ukr.) Jutro z rana pod pochyłym dębem.
- [\[125\]](#) Ja pryjdu! – (ukr.) Przyjdę!
- [\[126\]](#) Meni pohano bez tebe! Ne možu bez tebe żyty! – (ukr.) Jest mi źle bez ciebie! Nie mogę bez ciebie żyć!
- [\[127\]](#) Ukrajin's'ka Powstan's'ka Armija! Widczyn'ajte! – (ukr.) Ukraińska Powstańcza Armia! Otwierać!
- [\[128\]](#) Boże, pomahaj wam – (ukr.) Bóg z wami.
- [\[129\]](#) Diakuju za dobre słowo. Nechaj Boh pomahaje i wam – (ukr.) Dziękuję za dobre

słowo. Bóg zapłać.

- [\[130\]](#) Wy obydwu majete zjawytc'a nehajno w policijnomu komisariati! – (ukr.) Obie macie stawić się natychmiast na posterunku policji!
- [\[131\]](#) Nie smućcie się, chłopcy, wy, chłopcy, junacy,
Niebawem przyjdzie pohybel na Polaków.
Będziemy strzelać i rżnąć nożem,
Aż z rodzonej Ukrainy Polaków przepędzimy.
- [\[132\]](#) De twij muž? My pryjszly po twoho muža! Tiszc'a, szczo ne po tebe! – (ukr.) Gdzie jest twój mąż? Przyszliśmy po twojego męża! Ciesz się, że jeszcze nie po ciebie!
- [\[133\]](#) Prowid – egzekutywa, najwyższa władza OUN, wybierana przez Wielki Zbór (Kongres) tej organizacji.
- [\[134\]](#) Czota – zgrupowanie UPA odpowiadające plutonowi (ok. 30 ludzi).
- [\[135\]](#) Rój – zgrupowanie UPA odpowiadające drużynie (ok. 10 ludzi).
- [\[136\]](#) Karczuchy – (regionalizm huculski) sanie.
- [\[137\]](#) Koromysło – (regionalizm huculski) jarzmo do noszenia wiader.
- [\[138\]](#) Czepełyk – (regionalizm huculski) nóż zrobiony ze starej kosy.
- [\[139\]](#) Boże, Boże nasz, szczo daw nam Pana naszoho ta Boha, Isysa Chrysta – naszoho Spasytel'a, Byzwolytel'a ta Dobrodijnyka, jakyj nas blahoslowyt' ta osw'aczuje – Ty poblahoslowy ci noży ta sokyry, szczo my s'ohodni składajemo na cjomu zemnomy wiwtari wirujuczy, szczo ce Twij nebesnyj Wiwtar – (ukr.) Boże, Boże nasz, który zesłałeś Pana naszego i Boga, Jezusa Chrystusa – naszego Zbawiciela, Odkupiciela i Dobroczyncę, który nas błogosławi i uświęca – sam pobłogosławił te noże i siekiery, które dzisiaj składamy na tym ziemskim ołtarzu, wierząc, że to Twój ponadniebiański Ołtarz.
- [\[140\]](#) Dorohi braty! – (ukr.) Drodzy bracia!
- [\[141\]](#) Czerwona kalina pochyliła się,
Czemu moja Ukraina zamartwiła się?
Czerwona kalino, nie chyl się,
Dumna Ukraino, nie martw się.
- [\[142\]](#) Spokijno, dytyno, spokijno, vse bude dobre – (ukr.) Spokojnie dziecko, spokojnie, wszystko będzie dobrze.
- [\[143\]](#) De wy buli ta kudy wy jdete? – (ukr.) Gdzie byliście i dokąd idziecie?
- [\[144\]](#) My służyły u Pol'akiw, ale jich ubyły, tomu wertajemo do domu – (ukr.) Służyliśmy u Polaków, ale oni zostali zamordowani, więc wracamy do domu.

- [\[145\]](#) Chrystos woskresen! – (ukr.) Chrystus zmartwychwstał.
- [\[146\]](#) Dorohi sestry ta braty w Isusi Chrysti! – (ukr.) Drogie siostry, drodzy bracia w Chrystusie Panu!
- [\[147\]](#) Basztarnyk – (regionalizm huculski) prastary las jodłowy.
- [\[148\]](#) Barda – (regionalizm huculski) topór.
- [\[149\]](#) Dobrydeń, diwczyno. A kudy ty tak samotno jdziesz – (ukr.) Dzień dobry, panienko. A dokąd tak samotnie idziecie?
- [\[150\]](#) Czicziena – (regionalizm huculski) miła, luba.
- [\[151\]](#) Lubaska – (regionalizm huculski) kochanka.
- [\[152\]](#) Harnyj – (regionalizm huculski) ładny.
- [\[153\]](#) Chołosznie – (regionalizm huculski) spodnie.
- [\[154\]](#) Sopiłka – (regionalizm huculski) fujarka.
- [\[155\]](#) Leckie czeladyny – (regionalizm huculski) polskie kobiety.
- [\[156\]](#) Tawariści! – (ros.) Towarzysze!
- [\[157\]](#) Chałat – długi czarny płaszcz, zapinany pod szyję.
- [\[158\]](#) Jarmułka – czarna czapka z małym daszkiem.
- [\[159\]](#) Hołowa – (ukr.) wójt, sołtys wioski mianowany przez administrację radziecką.
- [\[160\]](#) Stadnarka – (regionalizm huculski) miejsce w zagrodzie przeznaczone wyłącznie dla koni.
- [\[161\]](#) Majete wże syna! – (ukr.) No to macie syna.
- [\[162\]](#) Bo win ne je... Ja ne budu johu wychowywaty! Ne budu! – (ukr.) Bo nie jest! Ja nie będę go wychowywał! Nie będę!
- [\[163\]](#) Zornica – (regionalizm huculski) gwiazda.
- [\[164\]](#) Tuha – (regionalizm huculski) tęsknota.
- [\[165\]](#) Bordiuh – (regionalizm huculski) worek z koziej skóry
- [\[166\]](#) Przemównik – (regionalizm huculski) czarownik.
- [\[167\]](#) Obertyn – (regionalizm huculski) odesłany z powrotem czar.
- [\[168\]](#) Nu mal'cziki, s'ewodnia w'ecz'eram prajd'ot'e bajewoje kreścienije! – (ukr.) No,

chłopaki, dzisiaj wieczorem przejdziecie bojowy chrzest!

- [\[169\]](#) Rebjata propali, ubili ich – (ros.) Chłopcy przepadli, zabili ich!
- [\[170\]](#) Stripek, istrebitiel – potoczne nazwy członków Istrebitielnych Batalionów.
- [\[171\]](#) My pryjshly tak rano, szczo pop Atanasij ne wstyh szcze prosnutyca – (ukr.) Przyszliśmy tak wcześniej, że pop Atanasij nie zdążył się jeszcze obudzić.
- [\[172\]](#) Poczekajemo, my ne pospyszajemo, majemo bahato czasu – (ukr.) Poczekamy, nie śpieszy się nam, mamy jeszcze dużo czasu.
- [\[173\]](#) Hałaj bałaj – (regionalizm huculski) nuże, czym prędzej.
- [\[174\]](#) Ni, ce nemożlywo! Skaży, szczo ce ne tak! Boże! Boże! – (ukr.) Nie, to niemożliwe! Panie powiedz, że to nie jest prawda! Boże! Boże!
- [\[175\]](#) Szto eta takoje Ukrains’kaja Powstancieskaja Armija? – (ros.) Czym jest Ukraińska Powstańcza Armia?
- [\[176\]](#) Tawariś major, razrieszytie atajti!? – (ros.) Towarzyszu majorze, czy mogę już odejść?
- [\[177\]](#) Kureń – zgrupowanie UPA odpowiadające batalionowi (ok. 400 osób).
- [\[178\]](#) Zdrawija żełaju, tawariś kamandir! – (ros.) Czołem, towarzyszu dowódco!
- [\[179\]](#) Osedok – (regionalizm huculski) zagroda.
- [\[180\]](#) Chto wy taki i czoho хочzete wid nas? – (ukr.) Kim jesteście i czego od nas chcecie?
- [\[181\]](#) Ditko – (ukr.) diabeł.
- [\[182\]](#) Sotennyj – (ukr.) dowódca sotni.
- [\[183\]](#) Już wieczór zapada, wszyscy państwo idą spać.
Marusia otruła się, do szpitala ją wiozą.
Przywieźli ją do szpitala, położyli na łóżko,
Dwóch lekarzy z pielęgniarką starają się ją ratować.
Nie trzeba mnie ratować, nie trzeba niczego,
Zwróćcie mi miłego, zwróćcie mi jego.
Już wieczór zapada, wszyscy państwo idą spać.
Marusiu, ty, Marusiu, otwórz swoje oczy,
Bo jeśli nie otworzysz, umrę z tobą i ja.
- [\[184\]](#) Czarne morze Dnieprem popłynie,

Hetman na Moskali was prowadzi.

Niestraszna w boju śmierć.

Chwała Bogu i cześć.

Śmierć Polakom, żydowskiej komunie.

(źródło: patrz bibliografia – A/9)

- [\[185\]](#) Tawariść komandir, kak eta była s etim stanicznym i Marijeju? Prawda li eta? – (ros.)
Towarzyszu dowódco, jak to było z tym stanicznym i Mariją? Czy to prawda?
- [\[186\]](#) Twoji uczeni ne spiszat' s'ohodni na uroki! – (ukr.) Twoi uczniowie nie spieszą się
dzisiaj na lekcje!
- [\[187\]](#) Mene zwaty Roman Dywczuk – (ukr.) Nazywam się Roman Dywczuk.
- [\[188\]](#) Dobry den', ale jakszezo wy pryjszly po charezi, muszu Was zasmutyty! – (ukr.)
Dzień dobry, ale jeśli przyszliscie po żywność, to muszę was zmartwić!
- [\[189\]](#) Prowidnyk – (ukr.) przewodniczący.
- [\[190\]](#) Tawariść l'ejtant, astanawims'a na mam'ent! – (ros.) Towarzyszu lejtnancie,
zatrzymajmy się na chwilę!
- [\[191\]](#) Myłoserd'a proszu, pane! – (ukr.) Litości, panie!
- [\[192\]](#) Wstańt'e i ruki ww'erch! – (ukr.) Wstać i ręce do góry!
- [\[193\]](#) Ce mij muž. Ci diwczynky, Julija ta Switlana, joho doczku. Mene zwaty Oksana –
(ukr.) To mój mąż. Te dziewczynki, Julia i Swietłana, są jego córkami. Ja mam na imię Oksana.
- [\[194\]](#) Ja – twoja, ciła twoja. Roby zi mnoju wse, szczo bażajesz, tilky daruj nam żytt'a –
(ukr.) Jestem twoja, cała twoja. Rób ze mną, co tylko chcesz, ale daruj nam wszystkim życie!
- [\[195\]](#) Kaczan – kolba bez ziaren kukurydzy.
- [\[196\]](#) Łamańce – wschodnia potrawa podobna do kutii, z tą różnicą, że zamiast gotowanej
łuskanej pszenicy zawiera połamane (stąd nazwa) grube placki, pieczone na kuchennym blacie.
- [\[197\]](#) Tawariść l'ejtant, uże para! – (ros.) Towarzyszu lejtnancie, już pora!
- [\[198\]](#) Atkrywaju zas'edanije Wajskowawa Suda! – (ros.) Otwieram posiedzenie sądu
wojskowego!
- [\[199\]](#) Praszu wstat'! – (ros.) Proszę wstać!
- [\[200\]](#) Tawariści aficery! – (ros.) Towarzysze oficerowie.
- [\[201\]](#) Da, u min'a dwa waprosa! – (ros.) Tak, mam dwa pytania.
- [\[202\]](#) Stoi chatka niby pałac, słomiana strzecha,

Przyczółki w kwiatkach, malowane okna.
Żółta przyzba koło chaty, a chata białutka,
Na podwórzu, jak barwinek, trawa zieloneńka.
Mały sad jak wianek chatkę ukwieca,
A w okienko z nieba słońko do chatki zagląda.
Tu pięknie i czysto, tu wszędzie porządek,
Oj, kocham ja całym sercem moją rodzinną chatkę.

- [\[203\]](#) Oj, chodzi sen koło okien, a drzemka koło płotu.
Pyta się sen drzemki: gdzie będziemy nocowali?
Tam, gdzie chatynka białutka, tam, gdzie dziecina milutka,
Tam będziemy nocowali, małe dzieciątko usypiali.
- [\[204\]](#) Daj meni dytynu! – (ukr.) Daj mi dziecko!
- [\[205\]](#) Szczo chcesz zrobyty z Olenkoju? – (ukr.) Co chcesz zrobić z Olenką?
- [\[206\]](#) Waszy familiji? – (ros.) Wasze nazwiska?
- [\[207\]](#) Widczyn’ajte, szwydko widczyn’ajte! – (ukr.) Otwierajcie, szybko otwierajcie!
- [\[208\]](#) Nenia – (regionalizm huculski) matka.
- [\[209\]](#) To szczo, komandyre, czerez dwa dni nas czekaje spilna akcja! – (ukr.) To co, dowódco, za dwa dni czeka nas wspólna akcja!
- [\[210\]](#) Widczyn’ajte, pols’ki swyni! Widczyn’ajte, bo inaksze spalymo was żywcem! – (ukr.) Otwierać, wy polskie świni! Otwierać, bo spalimy was żywcem!
- [\[211\]](#) Wybyjte dweri! – (ukr.) Wyłamać drzwi!
- [\[212\]](#) Oj, budesz żałuwaty, szczo ty maw dytynu z naszoju diwczynoju! – (ukr.) Oj, będziesz żałował, że miałeś dziecko z naszą dziewczyną!
- [\[213\]](#) U was bude wyn’atkowa wystawa! – (ukr.) Będziecie mieli wyjątkowe przedstawienie!
- [\[214\]](#) Wtikajte, Rosijany pryjichaly! – (ukr.) Uciekajcie, Rosjanie przyjechali!
- [\[215\]](#) Jewo zd’ot Wajennyj Sud! On bud’et rastriel’an ili pajd’ot na front! – (ros.) Czekają go sęd wojenny! Zostanie rozstrzelany albo pójdzie na front!
- [\[216\]](#) W cziom winawaty eti spakojnyje l’udi? – (ros.) Cóż winni byli ci spokojni ludzie?
- [\[217\]](#) Zawdann’a cilkom my ne wykonalj! – (ukr.) Nie wykonaliśmy w pełni zadania!

- [\[218\]](#) Pro szczo wy howoryte? Pro jake derewo jdet'c'a? – (ukr.) O czym wy mówicie? O jakie drzewo wam chodzi?
- [\[219\]](#) Priw'edit'e s'ejciac d'es'at'era swaich l'ud'ej s p'ep'eszami! – (ros.) Natychmiast przyprowadźcie dziesięciu swoich ludzi z pepeszami!
- [\[220\]](#) Im'ejem dw'e asnawnych celi! – (ros.) Mamy dwa podstawowe cele!
- [\[221\]](#) Ja raspałagaju znacit'el'nymi siłami! – (ros.) Ja dysponuję znacznymi siłami!
- [\[222\]](#) Nemożliwo, szczo win propaw bezwisti! – (ros.) To niemożliwe, aby zapadł się jak kamień w wodę!
- [\[223\]](#) Ja jim niczoho ne skazaw, niczoho! – (ukr.) Niczego im nie powiedziałem, niczego!
- [\[224\]](#) Uchadit'e, uchadit'e! – (ros.) Wychodzić, wychodzić!
- [\[225\]](#) Durnyj rozum, propało! – (ukr.) Głupi rozum, przepadło.
- [\[226\]](#) Koliba – (regionalizm huculski) szałas pasterski na połoninie.
- [\[227\]](#) Wy chto takyj i czoho tut szukajete? – (ukr.) Kim jesteś i czego tutaj szukasz?
- [\[228\]](#) Put' by tobi prypała! – (ukr.) Szlag by cię trafił!
- [\[229\]](#) Jak bulo na wyszkoli w Stanislawowi? – (ros.) Jak było w Stanisławowie na szkoleniu?
- [\[230\]](#) Adże ce Ukrajincy! – (ukr.) Przecież to też są Ukraińcy!
- [\[231\]](#) Uže n'edołga, Natasza! – (ros.) Już niedługo, Nataszo!
- [\[232\]](#) B'erit'es' za rabotu! – (ros.) Bierzcie się do roboty!
- [\[233\]](#) Jechał kozak na wojenkę, żegnał swoją dziewczeczkę.
Żegnaj, milutka czarnobrewa, ja idę w obcą krainę.
Podaj, dziewczyno, chusteczkę, może ja w polu polegnę.
Ciemnej nocy przykryją oczy, kozak w polu poległ.
Do ludzi doszła nowina, wzięli nieszczęsną dziewczynę.
Tam pośród pola gnie się topola, tam nad strzelecką mogiłą.
- [\[234\]](#) Eta s bunkra! – (ros.) To z bunkra.
- [\[235\]](#) Snimitie s siebia wsiu adieżdu! – (ros.) Zdjąć wszystkie ubrania!
- [\[236\]](#) Tawariści kamandiry, tawariści sałdaty! – (ros.) Towarzysze dowódcy, obywatele żołnierze!

- [\[237\]](#) Słowa hymnu ZSRR z 1943 r. Źródło: patrz bibliografia – C/6.
- [\[238\]](#) Sidajte do stolu! – (ukr.) Siadajcie do stołu.
- [\[239\]](#) Ce my, Pawlyczky z Rybak, widczyn'ajte! My pryszli poproszczatys'a – (ukr.) To my, Pawłyckowie z Rybak, otwórzcie! Przyszliśmy się pożegnać.
- [\[240\]](#) Bóg przedwieczny się narodził,
Przyszedł dziś z niebios,
Żeby zbawić swój lud cały, i ucieszył się.
W Betlejem nam się narodził
Mesjasz, Chrystus nasz i Pan nasz,
Dla nas wszystkich się narodził.
- [\[241\]](#) My na miestie! – (ros.) Jesteśmy na miejscu!
- [\[242\]](#) Sidajt'e, tawariśc Jakubowski! – (ros.) Siadajcie, obywatelu Jakubowski!
- [\[243\]](#) Wot mołodiec – (ros.) Bohater z was.
- [\[244\]](#) Diese Frau die gerade gekommen ist will etwas von uns – (niem.) Ta kobieta po coś przyszła.
- [\[245\]](#) Frag was sie will – (niem.) Zapytaj po co.
- [\[246\]](#) Sie möchte etwas zucker leihen – (niem.) Ona chciała pożyczyć cukier.
- [\[247\]](#) Deż to idete pane? – (łem.) Dokąd to idziecie, wędrowcze?
- [\[248\]](#) Stij! Ruky whoru! – (ukr.) Stój! Ręce do góry!
- [\[249\]](#) Widwernyc'a! – (ukr.) Odwróć się!
- [\[250\]](#) Wy chto takyj i kudy jdete? – (ukr.) Kim jesteś i dokąd idziesz?
- [\[251\]](#) Tam, ce zwidty! – (ukr.) Tam, to stamtąd!
- [\[252\]](#) S'elo czyste! – (ukr.) Wioska jest czysta!
- [\[253\]](#) Ne ma jej doma, piszła na seło! – (łem.) Nie ma jej w domu, poszła do wsi.
- [\[254\]](#) Ja je Katryna Basłak – (łem.) Nazywam się Katryna Basłak.
- [\[255\]](#) Da, zd'es' jest' kakaja-to prabl'ema! – (ros.) Tak, to jest pewien problem.
- [\[256\]](#) Naszi syly budut' odnakowi! – (ukr.) Nasze siły będą wyrównane.
- [\[257\]](#) Studebaker – amerykański samochód wojskowy.

- [\[258\]](#) Jaki majemo wtraty? – (ukr.) Jakie mamy straty?
- [\[259\]](#) Chyża – (łem.) łemkowska chata.
- [\[260\]](#) Prynesłam weczirju – (łem.) Przyniosłam kolację.
- [\[261\]](#) Hneska pideme na spacer – (łem.) Dzisiaj wyjdziemy na spacer.
- [\[262\]](#) Pater noster, qui es in caelis – (łac.) Ojcze nasz, któryś jest w Niebie.
- [\[263\]](#) Sanctificetur nomen tuum; adveniat regnum tuum; fiat voluntas tua, sicut in caelo et in terra. Panem nostrum quotidianum da nobis hodie – (łac.) Święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w Niebie, tak i na Ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj.
- [\[264\]](#) Agnus Dei qui tollis peccata mundi, miserere nobis – (łac.) Baranku Boży, który gładzisz grzechy Świata, zmiłuj się nad nami.
- [\[265\]](#) Ecce Agnus Dei, ecce qui tollit peccata mundi. Beati qui ad cenam Agni vocati sunt – (łac.) Oto Baranek Boży, który gładzi grzechy świata. Błogosławieni, którzy zostali wezwani na ucztę Baranka.
- [\[266\]](#) Domine, non sum dignus ut intres sub tectum meum, sed tantum dic verbo et sanabitur anima mea – (łac.) Panie, nie jestem godzien, abys przyszedł do mnie, ale powiedz tylko słowo, a będzie zbawiona dusza moja.
- [\[267\]](#) Corpus Christi – (łac.) Ciało Chrystusa.
- [\[268\]](#) Chrystos raždajetsia – (łem.) Chrystus się rodzi.
- [\[269\]](#) Sławyte Jego – (łem.) Sławcie imię Jego.
- [\[270\]](#) Ne budeme czekaty na połaznyka – (łem.) Nie będziemy czekali na połaznyka.
- [\[271\]](#) Na szczasti, na zdrowła, na to Boże Narodźnia, szczob ste byli zdrowi, weseli, jak w Nebi Anheli – (łem.) Na szczęście, na zdrowie, na to Boże Narodzenie, żeby wszyscy byli zdrowi, weseli, jak w Niebie Anieli.
- [\[272\]](#) Chto ty włastywo je? – (łem.) Kim ty właściwie jesteś?
- [\[273\]](#) Schowaj sia skoro, doniu! – (łem.) Schowaj się szybko, córeczko!
- [\[274\]](#) Za paddierżywanije UPA, wy bud’et’e wys’el’eny iz waszewa s’ela! – (ros.) Za popieranie UPA zostanieie z waszej wioski wysiedleni!
- [\[275\]](#) Dawaj pepeszu ta hwintiwku z optycznym prycilom! – (ukr.) Dawaj pepeszę i karabin z lunetą!
- [\[276\]](#) Chto daw nakaz wtkaty? – (ukr.) Kto wam dał rozkaz do ucieczki?
- [\[277\]](#) Kym że buw dl’a tebe ubytyj bandyt, jakoho ty oplakuwała? – (ros.) Kim był dla

ciebie zabity bandyta, którego tak bardzo opłakiwałaś?

- [\[278\]](#) To był mij syn – (łem.) To był mój syn.
- [\[279\]](#) Wczora Pol'aky znaszly nasz bunker zi zbrojeju ta jizeju! – (ukr.) Wczoraj Polacy odnaleźli nasz bunkier z bronią i żywnością.
- [\[280\]](#) Jak dobri, szczos ty z namy – (łem.) Jak to dobrze, że jesteś z nami.
- [\[281\]](#) Koły wreszci pryjde to polskie wijsko? – (łem.) Kiedy wreszcie przyjdzie to polskie wojsko?
- [\[282\]](#) Wy atliczna pakazali s'eb'a! – (ros.) Spisaliście się znakomicie!
- [\[283\]](#) Bibliografia wspólna dla powieści Julia i Michał.

Table of Contents

[Strona tytułowa](#)

[Michał](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Podziękowania](#)

[Rok 2010, Wrocław](#)

[Rok 1930](#)

[Rok 1933, Rybaki](#)

[Rok 1935](#)

[Rok 1938](#)

[Rok 1939](#)

[Rok 1939/1940](#)

[Rok 1941](#)

[Rok 1942](#)

[Rok 1943](#)

[Rok 1943/1944](#)

[Rok 1945](#)

[Rok 1946](#)

[Bibliografia](#)